PROCH I MAGIA. WYBUCHOWA MIESZANKA.
„OBIETNICA KRWI" JEST NAJLEPSZYM DEBIUTEM, JAKI CZYTAŁEM OD LAT.
PETER V. BRETT

BRIAN McCLELLAN

OBIETNICA KRWI

TO KONIEC EPOKI KRÓLÓW...
ZGINĘLI Z MEJ RĘKI.

fabryka słów

Spis treści

Karta tytułowa
Mapy
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21

Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Epilog
Podziękowania
Brian McClellan
Fabryka Słów proponuje
Karta redakcyjna
Okładka

BRIAN McCLELLAN

OBIETNICA KRWI

TRYLOGIA MAGÓW PROCHOWYCH

Obietnica krwi
Krwawa kampania
The Autumn Republic

TŁUMACZYLI
MACIEJ NOWAK-KREYER
DOMINIKA REPECZKO

fabryka słów®

Lublin 2015

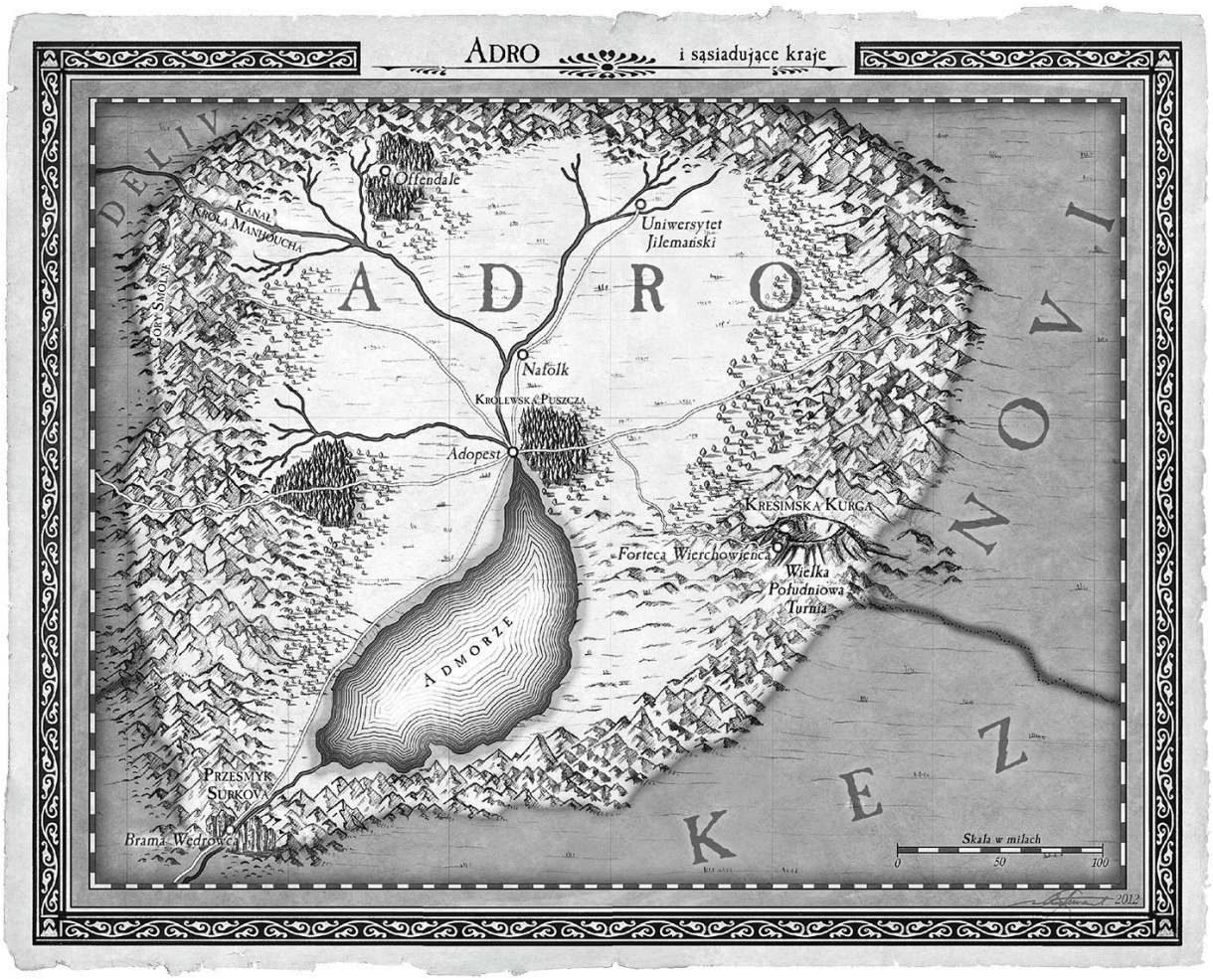
ADRO i sąsiadujące kraje
DELIV
KEZNOVI
A D R O
Offendale
Kanał Króla Manjoucha
Uniwersytet Jilemański
Nałölk
Królewska Puszcza
Adopest
Admorze
Kresimska Kurga
Forteca Wierchowjenca
Wielka Południowa Turnia
Przesmyk Surkov
Brama Wędrowca
Skala w milach
0
50
100
2012

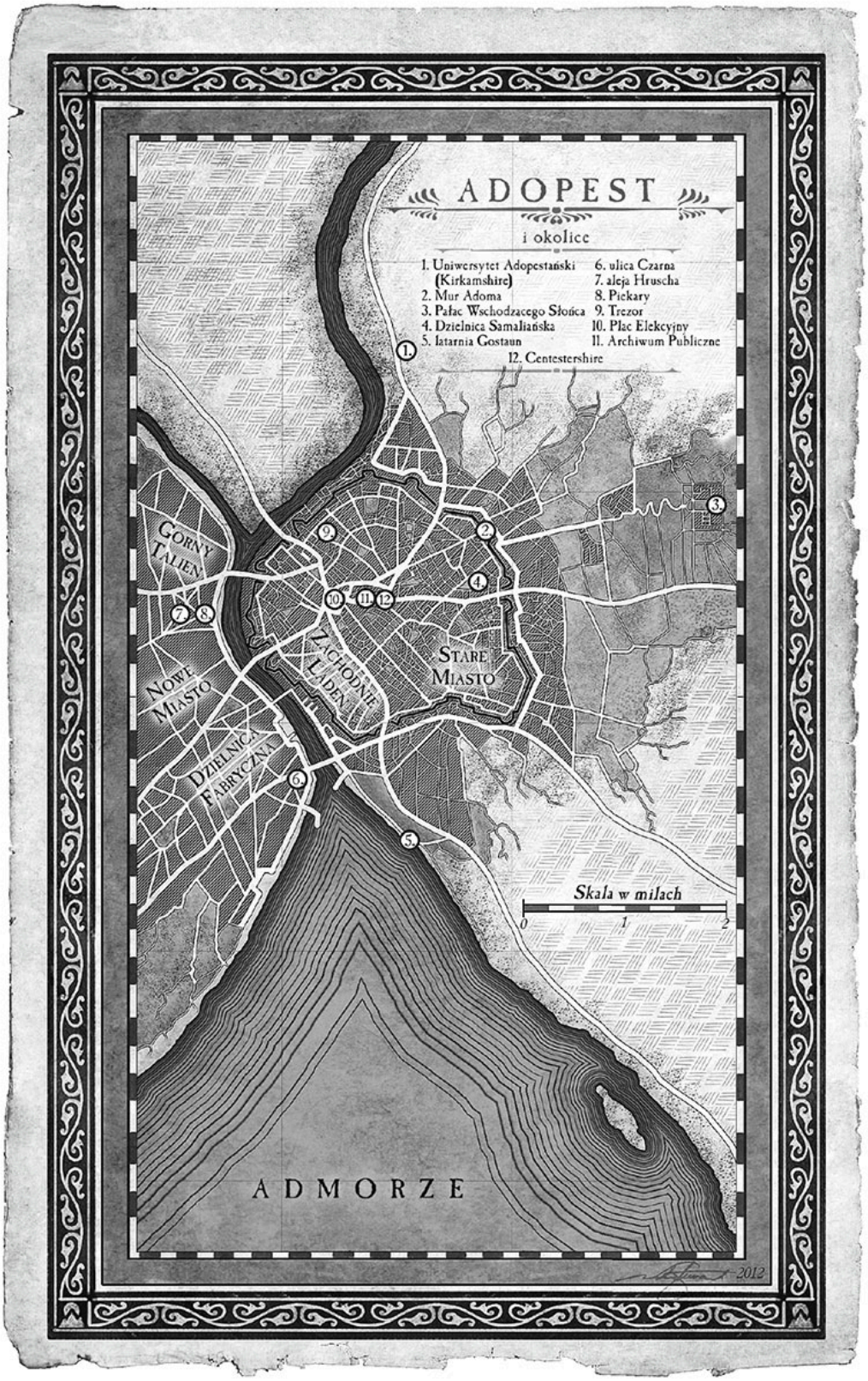
ADOPEST
i okolice
1. Uniwersytet Adopestański (Kirkamshire)
2. Mur Adoma
3. Pałac Wschodzącego Słońca
4. Dzielnica Samaliańska
5. latarnia Gostaun
6. ulica Czarna
7. aleja Hruscha
8. Piekary
9. Trezor
10. Plac Elekcyjny
11. Archiwum Publiczne
12. Centestershire
Górny Talien
Nowe Miasto
Zachodnie Laden
Stare Miasto
Dzielnica Fabryczna
ADMORZE
Skala w milach
0
1
2
2012

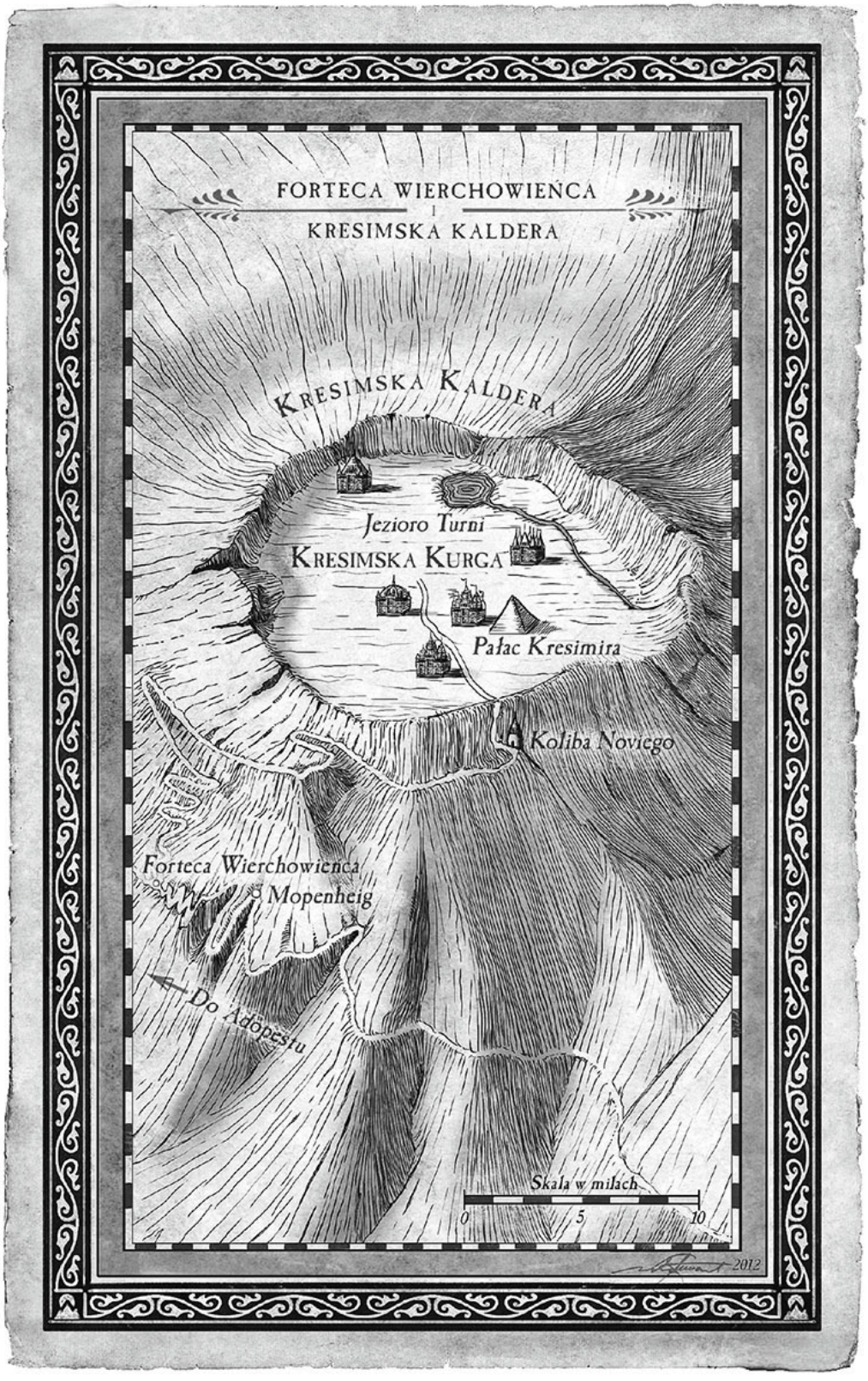
FORTECA WIERCHOWIEŃCA
I
KRESIMSKA KALDERA
KRESIMSKA KALDERA
Jezioro Turni
KRESIMSKA KURGA
Pałac Kresimira
Koliba Noviego
Forteca Wierchowienca
Mopenheig
Do Adopestu
Skala w milach
0
5
10
2012

Dla Taty
– za to, że nigdy nie wątpiłeś, iż dotrę tak daleko.
Nawet kiedy miałeś ku temu powody.

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

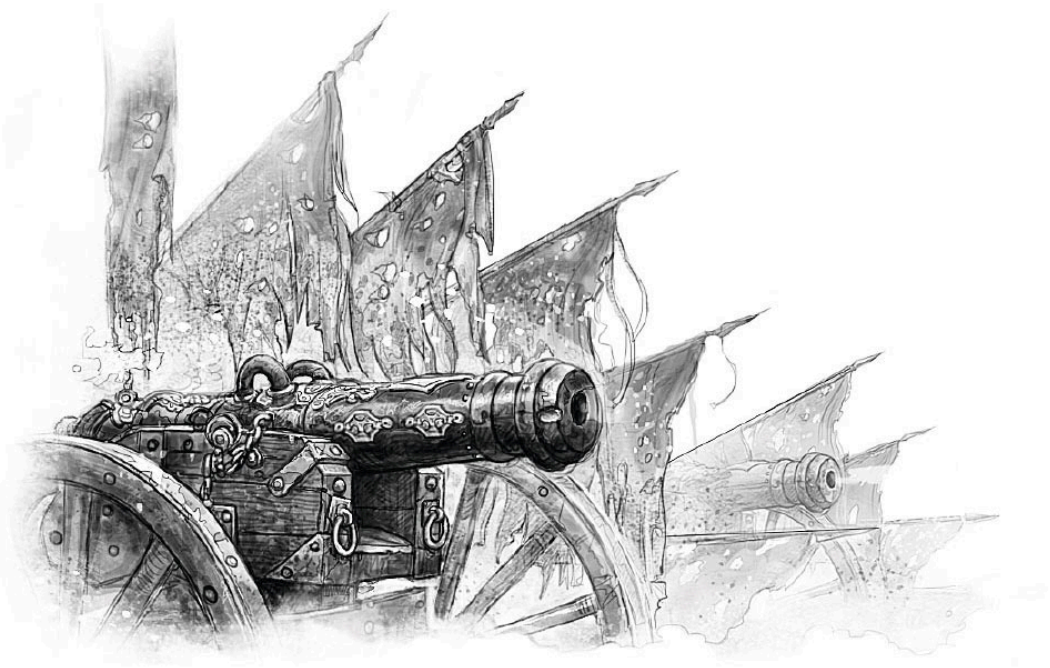

I
ROZDZIAŁ

Adamat ciasno zapiął płaszcz pod szyją, bo nocne powietrze okazało się przesycone nieprzyjemną wilgocią. Obciągnął rękawy i poprawił gors surduta, zdecydowanie zbyt obcisłego w talii. Ostatni raz miał ten ubiór na sobie przed pięciu laty, ale gdy przyszło wezwanie od króla, Adamatowi zabrakło czasu, by odebrać od krawca pasujące ubranie. W dodatku letni strój nie chronił przed chłodem wciskającym się przez okienko powozu.

Zbliżał się poranek, jednak świt z pewnością nieprędko przedrze się przez mgłę. Adamat czuł tę nietypową aurę. Powietrze było stanowczo zbyt

wilgotne, nawet jak na wczesną wiosnę w Adopeście, a do tego panował paskudny ziąb. Wróżbici z Alei Nomana powtarzali, że to zły omen. Ale kto dzisiaj słuchał wróżbitów? Adamat pomyślał, że to się jak nic skończy przeziębieniem, i zastanawiał się, dlaczego został wyciągnięty z łóżka o tej nieludzkiej porze.

Powóz zbliżył się do głównej bramy Pałacu Wschodzącego Słońca i minął ją, nie zwalniając. Adamat zacisnął palce na nogawkach spodni i wyjrzał przez okno. Na posterunku nie było strażników. Co dziwniejsze, kiedy powóz toczył się szeroką aleją między fontannami, nie dostrzegł ani jednej świecącej latarni. Pałac był zwykle tak rzęsiście oświetlony, że można go było zobaczyć z miasta nawet w najbardziej zachmurzoną noc. Dzisiaj ogrody tonęły w ciemnościach.

Adamata to bynajmniej nie martwiło. Manhouch i tak dość już wydał pieniędzy z podatków na swoje zbytki. Adamatowi wydawało się, że przy czarnych gardzielach wejść do żywopłotowych labiryntów widzi przemykające po trawnikach postacie. Co to...? Tylko rzeźby. Odchylił się na oparcie, odetchnął głęboko. Czuł głośne, szybkie uderzenia własnego serca i ciasną obręcz na żołądku. Może jednak powinni zapalać te latarnie...

Jakaś część Adamata, tego Adamata, który kiedyś był inspektorem i w noce takie jak ta przemierzał najciemniejsze uliczki, by łapać złodziei i kieszonkowców, śmiała się w kułak. *To twoje oczy kiedyś śledziły innych z ciemności.*

Powóz zatrzymał się z szarpnięciem. Adamat czekał, aż woźnica otworzy drzwi. Okazało się jednak, że mógłby tak sobie czekać do rana. Usłyszał tylko pukanie w dach oraz burknięcie:

– To tutaj.

Niegrzecznie.

Wysiadł. Ledwie zdążył złapać kapelusz i laskę, a woźnica strzelił lejcami i powóz odjechał, turkocząc wśród nocy. Adamat posłał w ślad za nim ciche przekleństwo, po czym odwrócił się, spoglądając na Wschodzące Słońce.

Arystokraci nazywali Pałac Wschodzącego Słońca „klejnotem Adro”. Wznosił się na wysokim wzgórzu, na wschód od Adopestu, tak więc co rano słońce wstawało nad bryłą pałacu. Jakaś wyjątkowo odważna gazeta nazwała go diamentowym pierścieniem na palcu głodującego nędzarza. Porównanie było bardzo trafne w tych chudych latach. Królewska duma nie napełni wszak żołądków poddanych.

Adamat stał pod głównym wejściem. Przy świetle dziennym albo zapalanych wieczorem latarni można było podziwiać wspaniałą aleję z fontannami i marmurowymi chodnikami, wiodącą ku olbrzymim, obitym srebrną blachą wrotom, które jednak zdawały się małe w porównaniu z ogromem szerokiej fasady tej największej budowli Adro. Adamat nasłuchiwał miękkich kroków patroli Hielmenów. Mówiono, że gwardia królewska pilnuje każdego zakątka ogrodów. Paradują z naładowanymi muszkietami, lśniącymi bagnetami, a ich szaro-białe szarfy wyglądają wyjątkowo ponuro wśród zielono-złotego przepychu ogrodów. Jednak nie było słychać ani kroków, ani szumu wodotrysków. Ponoć kiedyś fontanny wyłączano tylko, gdy umierał król. Ale Adamat miał pewność, że nie wezwano by go, gdyby Manhouch zmarł. Wygładził przód surduta. Tutaj, blisko budynku, paliło się już kilka latarni.

Z ciemności wyłoniła się jakaś postać. Adamat mocniej zacisnął dłoń na lasce, gotów w każdej chwili dobyć ukrytej w niej szpady.

Do Adamata podszedł mężczyzna w mundurze, jednak w słabym oświetleniu nie można było dostrzec dystynkcji ani innych szczegółów. W ręku trzymał strzelbę lub muszkiet, swobodnie, lecz lufą skierowaną w Adamata. Na głowie miał czapkę z płaskim denkiem i sztywnym daszkiem. Jedno było pewne. Nie należał do Hielmenów. Ci zawsze nosili wysokie czapy z pióropuszami i łatwo ich było rozpoznać.

– Jesteś sam? – usłyszał Adamat.

– Tak – odparł. Uniósł ręce i obrócił się wokół własnej osi.

– W porządku. Chodź.

Żołnierz wysunął się przed Adamata i pociągnął za wykładane srebrem skrzydło. Uchyliło się powoli, opornie, chociaż mężczyzna uwiesił się na

nim ciężarem całego ciała. Adamat tymczasem przyglądał się szczegółom mundurowej kurtki. Była ciemnoniebieska, ze srebrnymi obszyciami. Adrańska armia. Teoretycznie podległa królowi. W praktyce trzymał ją na smyczy jeden jedyny człowiek: marszałek polny Tamas.

– Odsuń się, przyjacielu – polecił żołnierz. W jego głosie zadźwięczała odrobina zniecierpliwienia, cień napięcia, powodem tego mógł być jednak ciężar drzwi. Adamat usłuchał. I dopiero gdy żołnierz wezwał go gestem, przekroczył próg pałacu.

– Proszę iść prosto – usłyszał chwilę później. – Przy diademie w prawo, a potem prosto przez Diamentową Galerię. Bez zatrzymywania, aż do Komnaty Odpowiedzi.

Drzwi zamknęły się za nim z głuchym łoskotem.

Stał teraz samotnie w pałacowym przedsionku. *Adrańskie wojsko...* – powtórzył w myślach. Co tutaj robił ten żołnierz, na terenie królewskiej siedziby? I dlaczego nigdzie nie było śladu po królewskich gwardzistach? Najbardziej przerażające wyjaśnienie przyszło mu do głowy pierwsze. Zamach stanu. Czyżby wezwano armię, by uporała się z buntownikami? W Adro istniało kilka silnych obozów: najemnicy ze Skrzydeł Adoma, królewska kamaryla, Straż Górska oraz potężne arystokratyczne rody. Każda z grup mogła przysporzyć Manhouchowi kłopotów. Jednak teoria o zamachu raczej nie miała sensu. Gdyby doszło do przewrotu, teren pałacu stałby się polem bitwy albo zostałby zrównany z ziemią przez kamarylę.

Adamat minął diadem – ogromną kopię adrańskiej korony. Miał okazję przekonać się na własne oczy i zgodzić z opinią, że to rzecz w fatalnym guście. Ściany i podłoga Diamentowej Galerii były szkarłatne i zdobione złotym motywem liści. Na suficie lśniły tysiące maleńkich klejnotów, od których sala wzięła swą nazwę. Migotały w blasku jedynego żyrandola. Maleńkie płomyki kandelabru drżały, jak gdyby na wietrze. W pomieszczeniu panował ziąb.

W miarę jak Adamat zbliżał się do drugiego krańca Galerii, czuł się coraz bardziej nieswojo. Jedynym odgłosem rozlegającym się w pałacu było echo jego własnych kroków na marmurowej posadzce. Rozbite okno

wyjaśniało panujący tu chłód. Czyżby efekt jednego ze słynnych wybuchów króla? A może jednak dzieje się tu coś innego? Puls huczał Adamatowi w uszach. Tam, za kotarą. Buty? Adamat przetarł oczy. Gra świateł. Dla pewności podszedł i odsunął draperię.

Cienie skrywały ciało. Adamat pochylił się i dotknął skóry leżącego. Ciepła, ale mężczyzna nie żył. Miał na sobie szare spodnie z białymi lampasami i pasującą do nich bluzę. Nieopodal leżało wysokie czako z białym pióropuszem. Hielmen. Półcienie tańczyły na młodej, gładko ogolonej twarzy, zastygłej w wyrazie spokoju. Gwardzista wyglądałby, jakby spał, gdyby nie dziura po kuli w skroni i ciemna plama krwi na posadzce.

Jednak podejrzenia Adamata okazały się zgodne z prawdą. Miało tu miejsce jakieś starcie. Czy to Hielmeni się zbuntowali i przeciwko nim sprowadzono wojsko? Nie, to także nie miało sensu. Hielmeni byli fanatycznie wierni królowi, a wszystkie sprawy na terenie pałacu załatwiłaby kamaryla.

Adamat zaklął cicho. Pytań było coraz więcej. Podejrzewał, że już wkrótce pozna jakieś odpowiedzi.

Pozostawił ciało za kotarą. Uniósł laskę i przekręcił jej trzon, obnażając kilka cali ostrza. Podszedł do wysokich drzwi, przed którymi stały dwa posągi zakapturzonych postaci trzymających berła. Zatrzymał się przed wiekowymi rzeźbami, odetchnął głęboko i zawadzając spojrzeniem o tajemny napis wyryty nad drzwiami, przekroczył próg.

W porównaniu z Komnatą Odpowiedzi Diamentowa Galeria wydawała się niewielka. Po dwóch stronach pomieszczenia biegły schody tak szerokie, że zmieściłyby się na nich trzy powozy, jeden obok drugiego. Prowadziły na balkon ciągnący się wzdłuż całej długości pomieszczenia. Poza królem i jego Uprzywilejowanymi magami z kamaryli jedynie kilka osób bywało w tej komnacie.

Pośrodku, na niewysokim podium stało krzesło, wokół niego zaś klęczniki, na których członkowie kamaryli przysięgali swemu suwerenowi. Choć nie dało się dostrzec żadnych źródeł światła, w sali było jasno.

Na schodach po prawej siedział jakiś mężczyzna. Starszy od Adamata, około sześćdziesiątki, siwy. Nieliczne pasma czarnych włosów widoczne były jeszcze w krótko przyciętych wąsach i brodzie. Ogorzałą twarz charakteryzowały mocna, choć niezbyt wydatna szczęka i wysokie kości policzkowe. W kącikach oczu i ust wyraźnie rysowały się zmarszczki. Mężczyzna miał na sobie granatowy mundur ze srebrnym emblematem baryłki prochu, przypiętym nad sercem, oraz dziewięcioma złotymi belkami naszytymi na prawej piersi, każda symbolizowała pięć lat służby w adrańskim wojsku. Mundurowi brakowało oficerskich epoletów, ale znużenie i doświadczenie widoczne w brązowych oczach mężczyzny nie pozostawiało wątpliwości, że nie raz dowodził oddziałami na polu bitwy. Na stopniu obok leżał pistolet z odwiedzionym kurkiem. Mężczyzna podpierał się na schowanym w pochwie ostrzu i obserwował, jak strużka krwi spływa ze stopnia na stopień, rysując ciemną linię na biało-żółtym marmurze.

– Marszałek polny Tamas – powiedział Adamat. Wsunął szpadę z powrotem do laski i obrócił trzpień, aż kliknęła zapadka.

Mężczyzna uniósł wzrok.

– Nie sądzę, żebyśmy się już kiedyś spotkali.

– A jednak. Czternaście lat temu, na balu dobroczynnym, wydanym przez lorda Aumena.

– Kompletnie nie mam pamięci do twarzy – przyznał marszałek. – Proszę o wybaczenie.

Adamat nie potrafił oderwać spojrzenia od strumyka krwi.

– Panie, zostałem tutaj wezwany. Nie powiedziano mi jednak, przez kogo i z jakiego powodu.

– Owszem – odparł Tamas. – To ja pana wezwałem. Z rekomendacji Cenki, jednego z moich Naznaczonych. Mówił, że służyliście razem w policji, w dwunastej dzielnicy.

Adamat przywołał z pamięci postać Cenki, niskiego mężczyzny o potarganej brodzie i zamiłowaniu do wina oraz dobrego jedzenia. Ostatnio widzieli się z siedem lat temu.

– Nie wiedziałem, że został prochowym magiem.

– Zwykle staramy się odkrywać takie talenty najszybciej jak możemy. Jednak u Cenki objawił się późno. W każdym razie – Tamas machnął ręką – mamy problem.

– Pan... potrzebuje mojej pomocy? – Adamat zamrugał z niedowierzaniem.

Marszałek uniósł brew.

– Czy to aż taka nietypowa prośba? Był pan detektywem w policji, zacnym sługą Adro, a Cenka mówił także, że ma pan doskonałą pamięć.

– Nadal jestem.

– Hę?

– Nadal jestem detektywem. Tyle że już nie w policji.

– Doskonale. W takim razie w tym, że potrzebuję pana usług, nie ma nic aż tak zaskakującego.

– W istocie nie ma – zgodził się Adamat. – Jednak to Pałac Wschodzącego Słońca. W Diamentowej Galerii leży martwy Hielmen, a... – Wskazał strumyk krwi na schodach. – Gdzie jest król?

Tamas przechylił głowę.

– Zabarykadował się w kaplicy.

– Dokonał pan zamachu stanu – stwierdził Adamat. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Na szczycie schodów pojawił się żołnierz. Delivijczyk, ciemnoskóry mieszkaniec północy. Miał na sobie taki sam mundur jak marszałek, ale na jego piersi widniało tylko pięć złotych belek. Za to srebrna baryłka wskazywała, że także jest Naznaczonym. Kolejny prochowy mag.

– Jest sporo ciał do przeniesienia – stwierdził.

Tamas zerknął na podwładnego.

– Wiem, Sabonie.

– Kto to jest? – zapytał Sabon.

– Inspektor, którego chciał Cenka.

– Nie podoba mi się, że on tutaj jest. To może wszystko popsuć.

– Cenka mu ufał.

– Dokonał pan zamachu stanu – powtórzył Adamat teraz już z pewnością.

– Zaraz pomogę z ciałami – obiecał Tamas. – Jestem już stary, czasem muszę odpocząć.

Delivijczyk skłonił się krótko i odszedł.

– Sir! Co tu się stało?! – Adamat chwycił mocniej laskę z ukrytym ostrzem.

Marszałek skrzywił się lekko.

– Mówiono, że adrańscy rojaliści mieli najpotężniejszych magów w całych Dziewięciu Narodach, ustępujących tylko tym z Kezu – powiedział cicho. – Mimo to zabiłem wszystkich, co do jednego. Sądzi pan, że miałbym problem ze starym detektywem i jego ostrzem ukrytym w lasce?

Adamat zwolnił uchwyt. Poczuł mdłości.

– Zakładam, że nie.

– Cenka przekonywał mnie, że jest pan pragmatykiem. Jeżeli tak jest rzeczywiście, chętnie skorzystam z pańskich usług. Jeżeli nie, teraz pana zabiję i poszukam odpowiedzi gdzie indziej.

– Dokonał pan zamachu stanu – powtórzył Adamat.

Tamas westchnął.

– Czy musimy ciągle do tego wracać? Czy to takie szokujące? Jak pan myśli, ile jest w samym Adro frakcji mających powody, by usunąć króla? Założę się, że od ręki wymieni pan nie mniej niż dwanaście.

– Nie sądziłem, aby którakolwiek z nich miała takie możliwości – odparł Adamat. – Albo miała tyle odwagi.

Jego wzrok powędrował znów do strużki krwi na schodach, a myśli ku żonie i dzieciom, śpiącym w domu. Popatrzył na marszałka. Zmierzwione włosy, krople krwi na mundurze. Całkiem sporo. Tamas mógł zostać nią obryzgany. Ciemne cienie pod oczami świadczyły o czymś więcej niż tylko wieku. *Ten człowiek dokonał zamachu stanu. Jakie plany ma wobec mnie? Jakie plany ma wobec Adro*?

– Nie przyjmę żadnego zlecenia w ciemno – powiedział Adamat. – Proszę mi powiedzieć, czego pan chce.

– Zabiliśmy ich we śnie – oznajmił Tamas bez żadnych wstępów. – Nie jest to łatwy sposób zabicia Uprzywilejowanego, ale najlepszy. Popełniono jednak błąd i musieliśmy walczyć. – Przez oblicze Tamasa przemknął ból i Adamat zaczął podejrzewać, że nie wszystko poszło po myśli dowódcy. – Udało się nam. Jednak ginący ciągle wypowiadali jedno zdanie.

Adamat czekał.

– „Nie możesz złamać Obietnicy Kresimira” – powiedział Tamas. – Tak właśnie mówili ci umierający czarownicy. Czy według pana to coś oznacza?

Adamat wygładził przód surduta, przywołując wspomnienia.

– Nie. Obietnica Kresimira... Złamać... Złamana... Chwileczkę. Złamana Obietnica Kresimira. Uniósł wzrok. – Tak się kiedyś nazywał pewien uliczny gang. Dwadzieścia... dwadzieścia dwa lata temu. Cenka tego nie pamiętał?

– Mówił, że coś mu się kojarzy. Twierdził, że pan na pewno będzie pamiętał.

– Niczego nie zapominam – poinformował go Adamat. – Złamana Obietnica Kresimira to uliczny gang, liczący czterdziestu trzech członków. Wszyscy młodzi, niektórzy byli prawie dziećmi, najstarszy nie miał dwudziestki. Próbowaliśmy zgarnąć przywódców i ukrócić falę kradzieży. Dziwna to była banda. Włamywali się do kościołów i okradali księży.

– Co się z nimi stało?

Adamat nie był w stanie się powstrzymać i ponownie spojrzał na krew na stopniach.

– Pewnego dnia zniknęli, wszyscy co do jednego, łącznie z czwórką naszych informatorów. Kilka dni później znaleźliśmy ich. Czterdzieści trzy ciała upchnięte w kanale ściekowym jak peklowane świńskie nóżki. Zostali zmasakrowani wyjątkowo brutalnym czarem. Typowy sposób działania kamaryli. I na tym zakończyło się śledztwo.

Adamat z trudem powstrzymał wzdrygnięcie. Raz w życiu widział coś takiego. Widywał egzekucje, zamieszki, sceny zbrodni, ale nic przedtem ani później nie wzbudziło w nim takiego przerażenia.

Na szczycie schodów znowu pojawił się Delivijczyk.

– Jesteś potrzebny – zwrócił się do Tamasa.

– Niech pan się dowie, dlaczego magowie wymawiali te słowa wraz z ostatnim tchnieniem – powiedział Tamas do Adamata. – Może to jest powiązane z tym gangiem, a może nie. Tak czy owak niech pan znajdzie odpowiedź. Nie znoszę zagadek umarlaków. – Wstał szybko, jak gdyby ubyło mu dwadzieścia lat, i pobiegł schodami w ślad za Delivijczykiem. Mokre od krwi zelówki zostawiały na stopniach czerwone ślady. – Jeszcze coś – zawołał przez ramię. – Proszę milczeć o tym, co pan tutaj widział, aż do egzekucji. Zacznie się w południe.

– Ale – zawołał za nim Adamat – od czego mam zacząć? Mogę porozmawiać z Cenką?

Tamas zatrzymał się nieopodal szczytu schodów i odwrócił.

– Jeśli pan potrafi rozmawiać z umarłymi, to proszę bardzo.

Adamat zacisnął szczęki.

– Jak wymawiali te słowa? Jakim tonem? Rozkazującym? Oznajmiającym?

Marszałek zmarszczył brwi.

– Błagalnym. Jakby coś było dla nich ważniejsze niż krew płynąca z ran. Teraz muszę iść.

– Jeszcze jedno.

Marszałek zdawał się tracić cierpliwość.

– Jeśli mam panu pomóc, to proszę mi powiedzieć, po co to wszystko?

Wskazał krew na schodach.

– Są sprawy, które wymagają mojej obecności – ostrzegł Tamas.

Adamat ponownie zacisnął szczęki, aż na policzkach wystąpiły mu guzy.

– Zrobił to pan dla władzy?

– Zrobiłem to dla siebie – odparł Tamas. – I dla Adro. Żeby Manhouch nie mógł Ugodami oddać nas w niewolę Kezu. Zrobiłem to, bo ci sarkający

studenci tylko bawią się w rebelię. Adamacie, epoka królów dokonała swego żywota i to ja ją zabiłem.

Adamat uważnie przyjrzał się twarzy Tamasa. Ugody były traktatem, który zamierzano podpisać z królem Kezu, w zamian za umorzenie wszystkich adrańskich długów. Nakładały jednak na kraj surowe podatki i regulacje, czyniące go w zasadzie wasalem Kezu. Marszałek polny bez ogródek je krytykował. Z drugiej strony, wszyscy się tego po nim spodziewali, przecież w Kezie stracono jego żonę.

– W rzeczy samej – przyznał mu rację Adamat.

– W takim razie niech mi pan znajdzie te przeklęte odpowiedzi. – Tamas odwrócił się na pięcie i zniknął w korytarzu u góry schodów.

Adamat przypomniał sobie ciała członków gangu, wyciągane z kanału na błotnistą ziemię, przypomniał też sobie grozę na ich martwych twarzach. *Te odpowiedzi rzeczywiście mogą być przeklęte.*

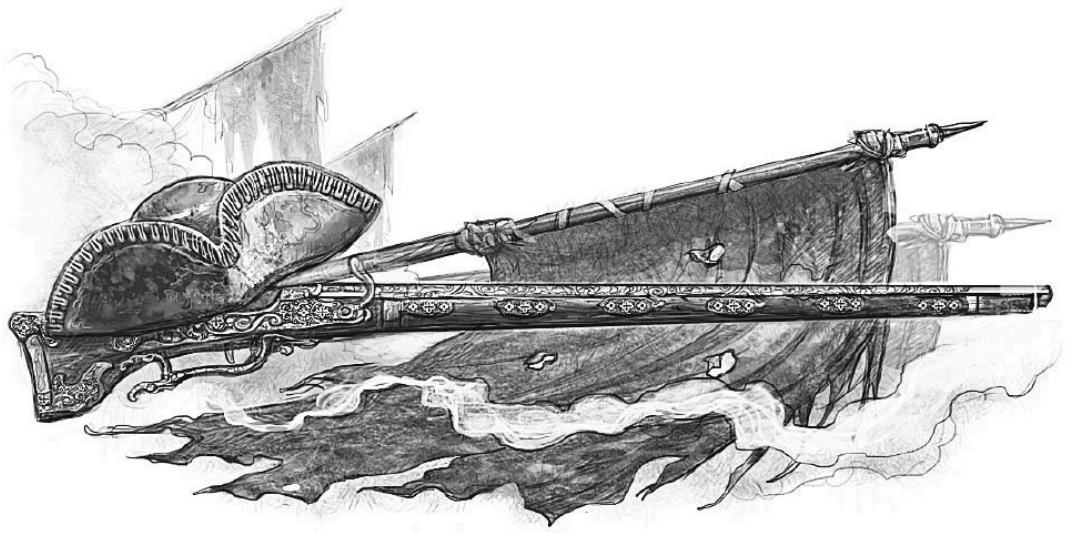

2
ROZDZIAŁ

Lajos umiera – oznajmił Sabon.

Tamas wszedł do apartamentów Uprzywilejowanego, Odźwiernego Zakary’ego. Szybko przeszedł przez salon i znalazł się w alkowie – komnacie większej od niejednego kupieckiego domu. Ściany barwy indygo obwieszone były malowidłami, przedstawiającymi dawnych Odźwiernych adrańskiej kamaryli. Drzwi prowadziły stąd do innych pomieszczeń, wychodka, kuchni i osobistego burdelu Odźwiernego. Te ostatnie zostały wyrwane z zawiasów, a pomieszczenie zasłane było drzazgami, nie większymi niż palec.

Z łoża Zakary’ego zdarto pościel, ciało zepchnięto, aby zrobić miejsce dla rannego prochowego maga.

– Jak się czujesz? – zapytał Tamas.

Lajos zdołał tylko cicho zakasłać. Naznaczeni byli wytrzymalsi od większości ludzi, a proch strzelniczy, który teraz krążył w żyłach rannego, sprawiał, że ten nie czuł już bólu. Niewielkie pocieszenie, bo połowy Lajosowego ramienia nie było, a w brzuchu ziała dziura wielkości melona. Cud, że mag jeszcze oddychał. Dali mu pół rożka prochu. Już to tylko powinno go zabić.

– Bywało lepiej. – Lajos kaszlnął ponownie, z kącika ust popłynęła mu krew.

Tamas wyjął chusteczkę i starł szkarłatne krople.

– To nie potrwa długo – powiedział.

– Wiem.

Marszałek ścisnął przyjacielowi dłoń.

– Dziękuję – odpowiedział Lajos samym ruchem warg.

Tamas odetchnął głęboko. Nagle wzrok mu się zamglił. Marszałek zamrugał, póki znów nie zaczął widzieć wyraźnie. Oddech rannego zmienił się w rzężenie. Marszałek już miał puścić dłoń konającego, gdy nagle Lajos ścisnął mu palce. Otworzył oczy.

– Wszystko w porządku, przyjacielu – powiedział. – Zrobiłeś to, co należało. Bądź spokojny. – Spojrzenie uciekło mu w bok, a potem zastygł bez ruchu. Nie żył.

Tamas zamknął zmarłemu oczy, następnie odwrócił się do Sabona. Delivijczyk stał po drugiej stronie komnaty, przypatrując się resztkom drzwi haremu, wiszącym na jednym zawiasie. Marszałek podszedł tam, zajrzał do środka. Żołnierze już godzinę temu przegnali kobiety, zabierając je do innych części pałacu wraz z resztą dziwek Uprzywilejowanych.

– Furia niewiasty – mruknął Sabon.

– W rzeczy samej – zgodził się Tamas.

– Nijak nie zdołalibyśmy tego przewidzieć.

– Im to powiedz. – Marszałek ruchem głowy wskazał cztery ciała, ułożone w rzędzie pod ścianą, a także piąte, które zaraz miało do nich dołączyć. Pięciu prochowych magów. Pięciu przyjaciół. Wszystko przez jedną Uprzywilejowaną, której nie uwzględnili w swoich planach. Tamas właśnie wpakował kulkę w łeb Odźwiernemu, człowiekowi, któremu zwykle ściskał dłoń. Naznaczeni towarzyszyli mu jedynie na wszelki wypadek, gdyby w starcu tliła się jeszcze wola walki. Nie spodziewali się jeszcze jednej Uprzywilejowanej, ukrytej w burdelu. Przeszła przez drzwi niczym brzytwa gilotyny przez melon. Na dłoniach miała rękawice Uprzywilejowanych, jej palce tańczyły, a płynąca z nich magia rozdzierała ludzi Tamasa na strzępy. Prochowy mag mógł bezbłędnie trafić w cel oddalony o mile. Mógł samą myślą prowadzić kulę po najbardziej zawiłej trasie i spożywać czarny proch, aby stać się silniejszym i szybszym od zwykłych ludzi. Niewiele to jednak było warte przeciwko czarom Uprzywilejowanego, rzucanym z niewielkiego dystansu.

Tamas, Sabon i Lajos jako jedyni mieli czas zareagować, a i tak ledwie zdołali odeprzeć jej wściekły atak. Umknęła, a echo niszczycielskich czarów podążało jej śladem przez korytarze pałacu. Zapewne miały na celu zniechęcenie ewentualnego pościgu. Jej ostatni strzał okazał się śmiertelny dla Lajosa, uderzyła jednak na oślep. Równie dobrze Sabon albo nawet sam Tamas mogli umrzeć na łóżku Odźwiernego. Ta myśl zmroziła marszałkowi krew w żyłach.

Oderwał spojrzenie od drzwi.

– Trzeba za nią iść. Znaleźć ją i zabić. Na wolności jest niebezpieczna.

– To zadanie dla pogromcy magów – stwierdził Sabon. – Zastanawiałem się właśnie, dlaczego trzymasz go przy sobie.

– Rozwiązanie, do którego nie chciałem się uciekać – przyznał Tamas. – Żałuję, że nie mam maga, którego mógłbym z nim posłać.

– Jego towarzyszka jest Uprzywilejowaną – odparł Sabon. – Pogromca i Uprzywilejowana powinni stanowić twardy orzech do zgryzienia dla samotnej Uprzywilejowanej z kamaryli.

Wskazał zniszczone drzwi.

– Jeśli chodzi o kamarylę, to nie lubię walczyć fair – odparł Tamas. – I pamiętaj, że jest pewna różnica między członkiem królewskiej kamaryli a wynajętym zbirem.

– Kim w ogóle była ta kobieta? – zapytał Sabon. Zdawało się, że w jego głosie zabrzmiał wyrzut.

– Nie mam pojęcia – warknął Tamas. – Znam wszystkich członków kamaryli. Spotykałem się z nimi, jadałem z nimi. Ona była obca.

Delivijczyk pozostawił gniewne słowa marszałka bez komentarza.

– Jakiś szpieg?

– Raczej nie. Dziewczyny z burdelu są dokładnie sprawdzane. Zresztą nie wyglądała na dziwkę. Była silna, ogorzała. Może kochanka Odźwiernego? Jeszcze jej nigdy nie widziałem.

– Może Odźwierny szkolił kogoś w tajemnicy?

– Nie wolno ukrywać terminatorów. Uprzywilejowani są zbyt podejrzliwi, aby na coś takiego pozwolić.

– I te podejrzenia często mają solidne podstawy – stwierdził Sabon. – Ona jednak nie znalazła się tam bez powodu.

– Wiem. Zajmiemy się nią w stosownym czasie.

– Gdyby byli tutaj jeszcze inni...

– Więcej naszych by zginęło – uciął Tamas. Jeszcze raz policzył ciała, jakby miał nadzieję, że tym razem będzie ich mniej. Pięciu. Pięciu spośród jego siedemnastu magów. – Dlatego właśnie podzieliliśmy się na dwie grupy. – Odwrócił się od zabitych. – Są jakieś wiadomości od Taniela?

– Jest w mieście.

– Doskonale. Wyślę go razem z pogromcą.

– Jesteś pewien? Dopiero co wrócił z Fatrasty. Musi odpocząć, zobaczyć się z narzeczoną...

– Jest z nim Vlora?

Sabon wzruszył ramionami.

– Miejmy nadzieję, że się szybko zjawi. Jeszcze tutaj nie skończyliśmy. – Marszałek uniósł dłoń, aby uciszyć wszelkie protesty. – Taniel może sobie odpocząć, gdy przewrót stanie się faktem.

– Co ma być zrobione, będzie zrobione – powiedział cicho Sabon.

Potem obaj umilkli, myśląc o poległych towarzyszach. Po chwili Tamas dostrzegł uśmiech na pomarszczonej, ciemnej twarzy Sabona. Delivijczyk był zmęczony i wyglądał mizernie, ale się cieszył.

– Udało się nam.

Marszałek ponownie spojrzał na ciała swoich przyjaciół, podkomendnych.

– Tak – powiedział. – Udało. – Zmusił się, by odwrócić wzrok.

W kącie stało malowidło, bohomaz w złoconych ramach, na srebrnym trójnogu, jak na Odźwiernego kamaryli przystało. Przedstawiało Zakary'ego w kwiecie wieku, silnego młodzieńca o szerokich barach i stanowczej minie.

Zakary na portrecie bardzo różnił się od martwego starca skulonego w kącie. Kula trafiła go w głowę, zabijając na miejscu, ale z martwego gardła wydobyło się chrapliwe: „Nie możesz złamać Obietnicy Kresimira".

Cenka zrobił się biały jak prześcieradło, gdy pierwszy z Uprzywilejowanych wykrzyczał te słowa. Zażądał, by marszałek sprowadził Adamata, tutaj, w samo serce ich zbrodni. Tamas miał nadzieję, że podwładny się mylił. Miał nadzieję, że detektyw niczego nie znajdzie.

Wyszli ze skrzydła zajmowanego przez kamarylę, Tamas przodem, Sabon tuż za nim.

– Potrzebuję nowego ordynansa – oznajmił marszałek po drodze. Te słowa sprawiły mu ból, w końcu ciało Lajosa jeszcze nawet nie ostygło.

– Naznaczonego? – zapytał Sabon.

– Nie możemy poświęcić żadnego. Nie teraz.

– Mam kogoś na oku – odparł Sabon. – Nazywa się Olem.

– Żołnierz? – upewnił się Tamas. Wydawało mu się, że skądś zna to imię. Podniósł rękę, zatrzymując ją tuż pod poziomem oczu. – Takiego wzrostu? Płowe włosy?

– Tak.

– Jaką ma Zdolność?

– Nie musi spać. W ogóle.

– Przydatne – ocenił marszałek.

– Właśnie. Ma też całkiem niezłe trzecie oko, więc może ostrzegać przed Uprzywilejowanymi. Do czasu egzekucji zostanie we wszystko wprowadzony i będziesz go miał u swego boku.

Zdolny nie mógł się równać z prochowym magiem. Ale Zdolni trafiali się znacznie częściej. Ich umiejętności były w zasadzie talentem, a nie mocą magiczną. Ale skoro ten umiał korzystać z trzeciego oka, nadawał się do tej roboty.

Tamas podszedł do okratowanych drzwi kaplicy. Z ciemności przy murze wyłoniło się dwóch żołnierzy z muszkietami gotowymi do strzału. Tamas skinął im głową, wskazał drzwi.

Jeden z wojaków dobył zza pasa długi sztylet i wsunął ostrze pomiędzy skrzydła.

– Zamknął na zasuwę – wyjaśnił, manipulując nożem. – Ale nawet nie zadał sobie trudu, żeby czymś zabarykadować drzwi. Niezbyt się wysilił, gdyby ktoś mnie pytał o zdanie.

Udało mu się pokonać zamek i wspólnie z towarzyszami pchnęli skrzydła.

Kaplica była ogromna, podobnie jak wszystkie pomieszczenia pałacu. Jednak w przeciwieństwie do pozostałych komnat uniknęła ciągłego odnawiania przy okazji królewskich kaprysów i najpewniej wyglądała tak jak przed dwustu laty. Sufit zdawał się równie odległy co i niebiosa, a w połowie wysokości ścian, między kolumnami, umieszczono loże rodziny królewskiej i możnowładców, tak przestronne, że można by było w nich wóz drabiniasty ustawić w poprzek. Marmurowe kafelki, którymi wyłożono posadzkę, tworzyły zawiłe mozaiki rozmaitych kształtów i rozmiarów, zaś sufit zdobiły malowidła przedstawiające postaci świętych, którzy pod ojcowskim okiem Kresimira opiekują się Dziewięcioma Narodami.

W prezbiterium, na niewielkim podwyższeniu stały dwa ołtarze, a obok nich hebanowa kazalnica. Pierwszy ołtarz, mniejszy i bliższy wiernym, poświęcono Adomowi, świętemu założycielowi Adro. Drugi, większy,

obmurowany marmurem i przykryty satyną, wzniesiono ku czci Kresimira. I właśnie obok tego ołtarza kulił się teraz Manhouch XII, władca Adro, wraz z żoną Nataliją, księżną Taronii. Natalija spoglądała ponad ołtarzem, a jej usta poruszały się w cichej modlitwie. Manhouch był blady, oczy miał zaczerwienione, usta zaciśnięte w cienką linię. Szeptał coś rozpaczliwie do biskupa. Zamilkł, gdy Tamas zbliżył się do nich.

– Stój – zawołał biskup do króla, który już zbiegał po schodach podestu, na spotkanie Tamasowi. Na starej twarzy ordynariusza widniało napięcie.

Marszałek patrzył, jak Manhouch zmierza w jego stronę z dłonią schowaną za plecami. Widział burze emocji szalejących na młodej, arystokratycznej twarzy. Dzięki potężnym magom kamaryli Manhouch, mężczyzna dobrze już po trzydziestce, wyglądał jak siedemnastoletni gołowąs. Ów wygląd miał być dowodem na ponadczasowy charakter monarchii, jednak Tamasowi zawsze trudno było brać na poważnie kogoś o aparycji nastolatka. Marszałek zatrzymał się i uważnie spoglądał na króla, który zwolnił, czyniąc ostatnich kilka kroków. Dzieliło go od Tamasa zaledwie pięć, gdy wydobył zza pleców pistolet. Uczynił to płynnym ruchem, z takiej odległości nie mógł przecież chybić – zresztą to właśnie Tamas uczył go strzelać. Jednak sam czyn stanowił odzwierciedlenie faktu, jak dalece władca był oderwany od rzeczywistości. Monarcha pociągnął za spust.

Tamas sięgnął ku broni umysłem i wchłonął moc płonącego prochu. Czuł, jak energia zaczyna krążyć mu w żyłach, rozgrzewając niczym kieliszek dobrej wódki. Przekierował siłę uderzenia na posadzkę, roztrzaskując płytki pod nogami króla. Manhouch odskoczył. Kula wypadła smętnie z lufy, potoczyła się po posadzce i zatrzymała u stóp marszałka.

Tamas zrobił krok do przodu, chwycił broń za lufę i wyjął królowi z dłoni. Zaledwie fragmentem świadomości zarejestrował oparzenie.

– Jak śmiesz. – Pod warstwą pudru wykwitł rumieniec gniewu. – Powierzyliśmy wam swoje bezpieczeństwo. – Drżał lekko.

Tamas spojrzał ponad Manhouchem, na biskupa, wciąż trwającego przy ołtarzu. Stary kapłan opierał się o ścianę, wysoka, haftowana tiara

przechyliła mu się na bok.

– Zakładam – Tamas potrząsnął pistoletem – że dostał to od ciebie?

– Nie w takim celu – zaświszczał starzec. Zadarł podbródek. – To miało być dla króla. Żeby mógł honorowo odebrać sobie życie, a nie zginąć z rąk bezbożnego zdrajcy.

Tamas sięgnął zmysłami w poszukiwaniu innych ładunków prochowych, ale żadnego nie znalazł.

– Przyniosłeś tylko jeden pistolet, z jedną kulą – stwierdził. – Grzeczność wymagałaby, byś dał im dwie. – Zerknął na modlącą się królową.

– Nie ważyłbyś... – zaczął biskup.

– Nie zrobi tego! – przerwał mu król. – Nie zabije nas. Nie może. Jesteśmy bożymi wybrańcami. – Drżąc, zaczerpnął głęboko powietrza.

Tamas poczuł drgnienie litości. Wiedział, że Manhouch jest starszy, niż na to wygląda, jednak w rzeczywistości był niczym dziecko. Nie tylko ze swojej winy. Chciwi doradcy, zidiociali nauczyciele, pobłażliwi czarodzieje. Istniało wiele powodów, dlaczego był tak złym – nie, fatalnym – królem. Ale tak czy owak, był królem. Marszałek zdławił współczucie. Manhouch musi ponieść konsekwencje.

– Manhouchu Dwunasty – zaczął marszałek – jesteś aresztowany za całkowite zaniedbanie spraw swojego ludu. Będziesz osądzony za zdradę, sprzeniewierzenie majątku oraz morderstwo poprzez zagłodzenie.

– Sąd – wyszeptał Manhouch.

– Sąd nad tobą już się rozpoczął – oznajmił Tamas. – Jestem twoim sędzią i ławą przysięgłych. Zostałeś uznany za winnego wobec ludu i wobec Kresimira.

– Nie udawaj, że przemawiasz w bożym imieniu! – oburzył się kapłan. – Manhouch jest naszym królem! Uświęconym wolą Kresimira!

Tamas roześmiał się ponuro.

– Szybko wzywasz Kresimira na świadka, gdy ci to odpowiada. Czy to Jego imię masz na ustach, tarzając się w jedwabiach z nałożnicą albo gdy obżerasz się delikatesami, za które mogłoby się pożywić pół setki chłopów?

Biskupie, twe miejsce nie jest po bożej prawicy. Kościół już pobłogosławił ten zamach stanu.

Ordynariusz szeroko otworzył oczy.

– Wiedziałbym.

– A czy arcybiskupi mówią ci o wszystkim? Nie sądzę.

Manhouch zebrał się na odwagę i spojrzał Tamasowi w oczy.

– Nie masz żadnych dowodów! Żadnych świadków! To nie jest proces!

Tamas gwałtownie machnął ręką, wskazując świat za murami kaplicy.

– Tam są moje dowody! Ludzie nie mają pracy i głodują. Twoi magnaci chędożą dziwki i jeżdżą na polowania, napełniają talerze mięsem, a kielichy winem, zaś prosty człowiek kona z głodu w rynsztoku. Świadkowie? Planowałeś poprzez Ugody oddać cały kraj Kezowi. Uczyniłbyś nas wasalami obcej potęgi tylko po to, aby umorzono ci długi.

– Bezpodstawne oskarżenia, padające z ust zdrajcy – słabo bronił się Manhouch.

Tamas tylko potrząsnął głową.

– W południe zostaniesz stracony, razem ze swoimi doradcami, królową i setkami krewnych.

– Kamaryla cię zniszczy.

– Oni już zostali straceni.

Król pobladł jeszcze bardziej. Dygotał na całym ciele i osunął się na podłogę. Biskup oderwał się od ściany i uczynił kilka kroków. Tamas przez chwilę spoglądał na Manhoucha, pamięć nieproszona podsunęła mu wspomnienie małego królewicza, sześcio-, może siedmiolatka, którego marszałek kołysał na kolanach. Zdusił tę myśl.

Biskup dotarł do Manhoucha i przykucnął u jego boku.

– To przez twoją żonę? – Spojrzał w górę na Tamasa.

Tak.

– Nie – odparł marszałek głośno. – To dlatego, że Manhouch udowodnił niezbicie, że życie całego narodu nie może zależeć od kaprysów jednego zdegenerowanego głupca.

– Zamierzasz pozbawić tronu władcę pobłogosławionego przez boga, stać się tyranem i nadal twierdzisz, że kochasz Adro? – zapytał kapłan.

Tamas zerknął na Manhoucha.

– Bóg już dawno się od niego odwrócił. Gdybyś nie był taki zaślepiony przez te swoje wyszywane złotem szaty i młode konkubiny, to również byś to zauważył. Manhouch zasługuje na otchłań za swoje zaniedbania względem Adro.

– Z pewnością się tam z nim spotkasz – zapewnił marszałka ordynariusz.

– Nie wątpię, biskupie. Jestem pewien, że w kompanii, jaką tam spotkam, nie będę się nudził. – Tamas upuścił nienabity pistolet u stóp Manhoucha. – Masz czas do południa, aby pojednać się z bogiem.

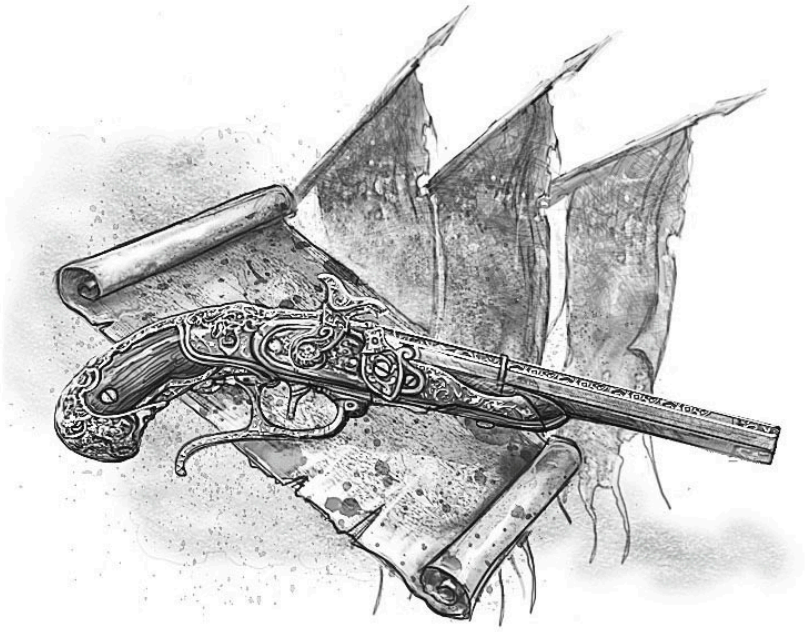

3
ROZDZIAŁ

Taniel zatrzymał się na szczycie schodów wiodących do Domu Szlachty. Rankiem o tej porze gmach był ciemny i cichy jak grobowiec. Żołnierze pełnili wartę na stopniach, na ulicy oraz przy wszystkich drzwiach. Natychmiast rozpoznał ciemnoniebieskie kurtki podkomendnych marszałka polnego Tamasa. Wielu znało Taniela z widzenia. A ci, którzy go wcześniej nie spotkali, widzieli teraz srebrną baryłkę prochu, wpiętą w klapę kurtki z koźlej skóry. Jeden z nich uniósł rękę w geście pozdrowienia. Taniel odwzajemnił się tym samym, po czym wyjął tabakierę i usypał na wierzchu dłoni kreskę czarnego prochu. Wciągnął ją nosem. Proch ożywił Taniela, przepełnił ciało energią.

Wyostrzał umysł i myśli, przyspieszał bicie serca i dawał wytchnienie starganym nerwom. Dla Naznaczonych proch oznaczał życie.

Taniel poczuł klepnięcie w ramię, odwrócił się. Jego towarzyszka była niższa o głowę i smukła niczym podlotek. Nosiła długi płaszcz, który spowijał ją całą, a przy tym ogrzewał, do tego szerokoskrzydły kapelusz kryjący większość twarzy. W powietrzu czuć było chłód wczesnej wiosny, zaś Ka-poel pochodziła ze znacznie cieplejszych stron.

Drobną, piegowatą dłonią wskazała budynek przed nimi pytającym gestem. Taniel uświadomił sobie, że przecież nigdy jeszcze nie widziała gmachu takiego jak Dom Szlachty. Centralny budynek adrańskiej administracji miał sześć kondygnacji, powierzchnię pola bitewnego i był wystarczająco obszerny, aby pomieścić biura wszystkich szlachciców wraz z ich służbą.

– Jesteśmy na miejscu. – W ciszy poranka głos Taniela zabrzmiał zaskakująco głośno. – To tu kazali nam przyjść jego żołnierze. Ale on nie ma tutaj swojego biura. Czyżby to się stało właśnie dzisiaj w nocy? Mogłem wybrać lepszy moment... – Ucichł.

Mówił coś jeszcze bezgłośnie, zdradzając w ten sposób swoje zdenerwowanie. Tamas się wścieknie, gdy usłyszy o Vlorze. Oczywiście to Taniel okaże się wszystkiemu winny. Spostrzegł, że nadal trzyma tabakierę. Ręce mu drżały. Usypał kolejną czarną kreskę, wciągnął proch, po czym odrzucił głowę do tyłu, a serce zabiło szybciej. Kontury pośród ciemności stały się ostrzejsze, dźwięki wyraźniejsze. Taniel odetchnął głębiej pokrzepiony prochowym transem. Uniósł dłoń ku światłu ulicznej lampy. Już nie drżała.

– Pole – odezwał się do dziewczyny – od dłuższego czasu nie widziałem Tamasa. To człowiek surowy dla wszystkich, poza nieliczną garstką najbliższych. Sabona. Lajosa. Są jego przyjaciółmi. Ja jestem tylko jednym z żołnierzy. – Spod szerokiego ronda spojrzały na niego zielone oczy. – Zrozumiano? – zapytał.

Ka-poel krótko skinęła głową.

– Patrz – powiedział. Wyjął szkicownik zza pazuchy. Był to kajet mocno sfatygowany podróżami, podniszczony od częstego używania, oprawiony w wyblakłą cielęcą skórę. Taniel przerzucił kilka kartek, znalazł podobiznę marszałka polnego i pokazał Ka-poel. Szkic zrobiony został węglem i zdążył się nieco rozmazać, lecz bez trudu można było rozpoznać surową twarz Tamasa. Ka-poel przez chwilę przyglądała się rysunkowi, potem oddała kajet.

Taniel pchnął skrzydło gigantycznych drzwi i wszedł do wielkiego holu. Panowała tam zupełna ciemność, wyjąwszy plamę jasnego światła nieopodal schodów z lewej strony, gdzie na ścianie wisiała pojedyncza latarnia, a pod nią, na krześle służącego, drzemała jakaś zmęczona postać.

– Widzę, że Tamas dochrapał się arystokratycznej siedziby.

Taniel słuchał echa własnego głosu i z satysfakcją ujrzał, jak Sabon podskakuje na krześle. Ciemna twarz Delivijczyka pokryta była wyraźną siatką zmarszczek. Taniel dostrzegał to jedynie za sprawą prochowego transu. Miał jednak wrażenie, że przez dwa lata, jakie minęły od ich ostatniego spotkania, Sabon postarzał się o całe dziesięć.

– Nie podoba mi się tu – dodał Taniel, zdejmując z ramienia karabin razem z plecakiem. Położył je na miękkim, czerwonym dywanie. Pochylił się, by rozmasować nogi zesztywniałe po dwudziestu godzinach w powozie. – Zbyt chłodno zimą, zbyt pusto latem. A taka przestrzeń aż prosi się o gości.

Sabon roześmiał się, podchodząc do młodzika. Uścisnął mu dłoń i przyciągnął ku sobie, by objąć.

– Jak tam Fatrasta?

– Oficjalnie? Nadal w stanie wojny z Kezem – odparł Taniel. – Nieoficjalnie, Kez zaproponował rozejm i prawie wszystkie regimenty powróciły już do Dziewięciu. Fatrasta zdobyła niepodległość.

– A zabiłeś dla mnie jednego czy dwóch Uprzywilejowanych z Kezu? – zapytał Sabon.

Taniel podniósł karabin, tak by broń znalazła się w plamie światła. Delivijczyk przesunął palcem po rzędzie nacięć na kolbie i zagwizdał

z uznaniem.

– Nawet kilku Stróżów – pochwalił się młodzieniec.

– Ich to ciężko zabić – stwierdził Sabon.

Taniel przytaknął.

– Na Stróża nie wystarczy jedna kula.

– Taniel Dwa Strzały – powiedział Sabon. – Byłeś głównym tematem w Dziewięciu przez ostatni rok. Królewska kamaryla pochorowała się ze strachu. Chcieli, żeby Manhouch cię odwołał. Naznaczony zabijający Uprzywilejowanych, nawet Uprzywilejowanych z Kezu, to niedobry precedens.

– Jak sądzę, już za późno? – Taniel rozejrzał się po wielkim, ciemnym holu. Po prawdzie to w przeciwnym wypadku by go tutaj nie było. Jeśli wszystko poszło według planu, Tamas wyciął kamarylę do nogi oraz uwięził Manhoucha.

– Dokonało się przed kilkoma godzinami – potwierdził Sabon.

Taniel odniósł wrażenie, że spojrzenie starego żołnierza stwardniało.

– Sprawy nie potoczyły się jak trzeba?

– Straciliśmy pięciu ludzi. – Sabon szybko wymienił poległych.

– Niech spoczywają w Kresimirze – powiedział Taniel, ale nawet dla niego samego słowa te zabrzmiały wyjątkowo pusto. Skrzywił się. – A Tamas?

Sabon westchnął.

– Jest... zmęczony. Obalenie Manhoucha to dopiero pierwszy krok. Przed nami jeszcze egzekucja, powołanie nowego rządu, trzeba będzie policzyć się z Kezem, rozwiązać problem głodu, ubóstwa. Lista jest długa.

– Przewidział jakieś problemy ze strony ludności?

– Tamas przewidział prawie wszystko. Rojaliści się znajdą. Głupotą byłoby zakładać, że nie, w mieście, gdzie mieszka milion ludzi. Nie wiemy tylko, ilu i jak będą zorganizowani. Tamas cię potrzebuje. Ciebie i Vlory. Nie przyszła z tobą?

Taniel zerknął w stronę Ka-poel. Była w holu jedyną osobą oprócz nich. Zostawiła rzeczy Taniela zwalone na stos i przewiesiwszy sobie plecak

przez ramię, powoli obchodziła pomieszczenie, przyglądając się malowidłom, ledwie widocznym w słabym świetle.

Taniel zorientował się, że zaciska szczęki.

– Nie.

Sabon cofnął się o krok i głową wskazał Ka-poel.

– Sługa – wyjaśnił Taniel. – Z ludu Dynizyjczyków.

– Dzikus, co? – Sabon zastanowił się. – Imperium Dynizyjskie wreszcie otworzyło granice? To ci nowina.

– Nie – odparł Taniel. – Niektóre plemiona Dynizyjczyków mieszkają w zachodniej Fatraście.

– Toż to chłopiec zaledwie.

– Uważaj, kogo nazywasz chłopcem – ostrzegł Taniel Delivijczyka. – Bywa drażliwa w tej kwestii.

– Znaczy dziewczyna. – Sabon rzucił Tanielowi ironiczne spojrzenie. – Można jej ufać?

– Uratowałem jej życie więcej razy niż ona mi – powiedział Taniel. – Dzicy traktują takie sprawy bardzo poważnie.

– Nie tacy znowu dzicy – mruknął Sabon. – Tamas będzie chciał wiedzieć, dlaczego nie ma z tobą Vlory.

– Nie kłopocz się o to.

Tamas zapyta o Vlorę, zanim jeszcze zapyta o Fatrastę. Głupotą byłoby oczekiwać, że zmienił się przez te dwa lata, jakie minęły od ich ostatniego spotkania. Dwa lata. A niech to otchłań. Aż tak długo? Przed dwoma laty Taniel szykował się do wyjazdu, który miał być jedynie krótkim wypadem do Fatrasty, kezańskiej kolonii. „Dla ostudzenia emocji” – jak to określał Tamas. Taniel dotarł do celu na tydzień przed tym, jak Fatrasta ogłosiła swą niepodległość, i zmuszony był opowiedzieć się po jednej ze stron.

Sabon skwitował słowa młodego Naznaczonego krótkim skinieniem głowy.

– W takim razie zaprowadzę was do niego.

Zdjął lampę z haka, podczas gdy Taniel zebrał swoje rzeczy. Ruszyli ciemnymi korytarzami, Ka-poel podążyła za nimi w pewnej odległości.

Dom Szlachty był ogromny, sprawiał niesamowite wrażenie. Grube dywany tłumiły odgłos kroków, stąpali więc bezszelestnie niczym duchy. Tanielowi nie podobała się taka cisza, za bardzo kojarzyła się z lasem, gdzie czają się wrogowie. Gdy skręcili za róg, zobaczył światło dochodzące z pomieszczenia na drugim krańcu korytarza. Usłyszał również głosy, podniesione i pełne złości.

Taniel zatrzymał się w progu dobrze oświetlonego salonu, który stanowił przedsionek jakiegoś szlacheckiego biura. Dwóch mężczyzn, zwróconych do siebie twarzami, stało przy ogromnym kominku. Dzieliła ich nie więcej jak stopa, dłonie mieli zaciśnięte, jakby w każdej chwili gotowi byli ruszyć do walki. Trzeci mężczyzna, na pierwszy rzut oka straż osobista, o charakterystycznych, zniekształconych rysach boksera, przypatrywał się wszystkiemu z zakłopotaniem, zastanawiając się, czy powinien interweniować.

– Wiedziałeś! – krzyczał niższy z mężczyzn. Twarz miał czerwoną, stawał na czubkach palców, aby dorównać drugiemu wzrostem. Raz po raz poprawiał ześlizgujące się z nosa okulary. – Powiedz prawdę, czy ty to wszystko tak sobie zaplanowałeś? Wiedziałeś, że trzeba będzie zmienić harmonogram?

Marszałek polny Tamas uniósł otwarte dłonie.

– Oczywiście, że nie wiedziałem – zaprotestował. – Zamierzam wyjaśnić to wszystko rano.

– Podczas egzekucji! Co to za zamach... – Rozmówca marszałka zauważył Taniela i urwał. – Wynocha – rozkazał. – To rozmowa prywatna.

Taniel zdjął kapelusz i oparł się o framugę drzwi, wachlując się od niechcenia.

– A zaczynało się robić ciekawie – stwierdził.

– Co to za chłopak? – niewysoki mężczyzna zwrócił się nagląco do Tamasa.

Chłopak? Taniel zerknął na dowódcę, wiedział, że tamten nie mógł spodziewać się swego podkomendego akurat tego wieczora, a jednak nie okazał zaskoczenia. Tamas zawsze umiał zachować kamienną twarz.

Bywało, że Taniel zastanawiał się, czy marszałek w ogóle zdolny jest odczuwać emocje.

– Tanielu, dobrze cię widzieć.

Czyżby? Tamas zdecydowanie nie wyglądał na zadowolonego. Przez ostatnie dwa lata przerzedziły mu się włosy, a wąsy były bardziej siwe niż czarne. Marszałek się starzał. Taniel powoli skłonił głowę.

– Proszę o wybaczenie – Tamas odezwał się po krótkiej przerwie. – Tanielu, oto podskarbi Ondraus. Ondrausie, oto Naznaczony Taniel, jeden z moich magów.

– Chłopiec nie ma tu czego szukać. – Ondraus dostrzegł teraz Ka-poel stojącą za plecami Taniela. Zmrużył powieki. – Dzikus też nie – dodał. – Znów przymknął oczy, jak gdyby nie dowierzając temu, co ujrzał za pierwszym razem. Mruknął coś niezrozumiale.

Taniel nie mógł nie zwrócić uwagi, że został przedstawiony jako prochowy mag. Czy tylko tym był dla marszałka? Tylko kolejnym żołnierzem?

Tamas otworzył usta, jednak Taniel odezwał się pierwszy.

– Panie – zwrócił się do podskarbiego – jestem kapitanem armii Fatrasty, Naznaczonym w służbie Adro i wiem wszystko o tym zamachu stanu. Potrafię z odległości mili jednym strzałem położyć dwóch Uprzywilejowanych i robiłem tak już kilka razy. Trudno mnie uważać za chłopca.

Ondraus parsknął.

– A tak, Tamasie, to przecież ten twój słynny syn.

Taniel przesuwał czubkiem języka po zębach i spoglądał na ojca. *Jestem nim, prawda? Ondrausie, dobrze, że mu przypomniałeś. Łatwo o tym zapomina.*

– Taniel ma prawo tutaj przebywać – poparł go Tamas.

Ondraus przez chwilę przyglądał się Tanielowi. Powoli gasła złość malująca się na jego twarzy, zastąpiona przez wyraz chłodnej kalkulacji. Odetchnął głęboko.

– Chcę obietnic – zażądał, zwracając się do Tamasa. Teraz skupiony był już na interesach i emocje zniknęły z jego tonu, zastąpiła je nuta daleko bardziej niepokojąca niż wcześniejsza furia. – Pozostali będą równie wściekli, ale jeśli przed egzekucją przekażesz w moje ręce królewskie rejestry, udzielę ci wsparcia.

– Cóż za uprzejmość – odparł Tamas sucho. – Przecież jesteś urzędnikiem królewskim. Masz już dostęp do królewskich rejestrów.

– Nie. Zarządzam kasą miasta – wyjaśnił Ondraus jak dziecku. – Chcę prywatnych ksiąg Manhoucha. Przez dziesięć lat wydawał na błyskotki tyle co ekskluzywna dziwka. Zamierzam zbilansować księgi.

– Uzgodniliśmy, że otworzymy jego szkatuły dla ubogich.

– Po zbilansowaniu ksiąg.

Tamas zastanawiał się przez chwilę.

– Załatwione. Masz czas do egzekucji. Do południa.

– Zgoda.

Ondraus przeszedł przez pokój, ciężko wspierając się na lasce. Gestem przywołał do siebie wielkoluda. Obaj przepchnęli się obok Taniela i zniknęli w ciemności korytarza, ich kroki odbijały się echem od marmurowej posadzki.

– Nie zaczekał nawet, aż pozwolisz mu odejść – zauważył Taniel.

– Dla Ondrausa świat to niewiele więcej jak liczby i arytmetyka. – Tamas lekceważąco machnął dłonią. Gestem zaprosił Taniela do komnaty i podszedł do niego. Podali sobie ręce. Taniel zajrzał ojcu w oczy, zastanawiając się, czy powinien go teraz uściskać, tak jak mogliby uczynić druhowie po długim rozstaniu. Tamas marszczył brwi, patrząc gdzieś na ścianę, wyraźnie myślami był gdzie indziej, więc Taniel porzucił swój pomysł.

– Gdzie jest Vlora? – zapytał marszałek, z ciekawością patrząc na Kapoel. – Nie odwiedziłeś jej po drodze w Jilemanie?

– Pojechała drugim powozem – odparł Taniel. Starał się, aby jego głos brzmiał neutralnie. Pierwsze, o co zapytał Tamas. Oczywiście.

– Siadaj – zaprosił go ojciec. – Jest tak dużo spraw do omówienia. Zacznijmy od tego, kim ona jest.

Ka-poel ułożyła plecak i karabin Taniela w kącie, a teraz z zaciekawieniem przyglądała się pokojowi oraz zasłonom. Czas, jaki miała okazję spędzić w miastach Dziewięciu, upłynął jej w podróży, przesiadali się z Tanielem z jednego powozu do drugiego, śpiąc w drodze, by jak najprędzej dotrzeć do Adopestu.

– Ma na imię Ka-poel – przedstawił ją Taniel. – Jest Dynizyjką, z plemienia z zachodniej Fatrasty. Pole, zdejmij kapelusz – pouczył ją i uśmiechnął się do ojca przepraszająco. – Wciąż ją uczę adrańskich obyczajów. Ich zwyczaje bardzo różnią się od naszych.

– Imperium Dynizyjskie otworzyło granice? – spytał Tamas sceptycznym tonem.

– Wielu mieszkańców Dziczy Fatrastańskiej ma krewnych wśród Dynizyjczyków, a dzięki przesmykowi łączącemu Imperium i Fatrastę nie martwią ich specjalnie zamknięte granice.

– A Imperium martwi fatrastańskich generałów?

– Czy martwi? Już na samą myśl dostają zgagi. Jednak nie wygląda na to, żeby wojna domowa w Imperium miała się ku końcowi. Jeszcze przez jakiś czas nie będą wyglądać poza swoje granice.

– A Kez? – dopytywał Tamas.

– Kiedy wyjeżdżałem, właśnie przymierzali się do zawarcia pokoju.

– Szkoda. Miałem nadzieję, że Fatrasta będzie ich zajmować jeszcze przez jakiś czas. – Tamas otaksował syna uważnym spojrzeniem. – Widzę, że wciąż nosisz strój pogranicza.

– A co w tym złego? Wydałem wszystkie pieniądze na podróż do domu. – Taniel obciągnął kurtkę z koźlej skóry. – To najlepsze ubranie na pograniczu, ciepłe, wytrzymałe. Już zapomniałem, jak cholernie zimno potrafi być w Adro. Cieszę się, że je mam.

– Rozumiem. – Tamas podszedł do Ka-poel i obejrzał ją od stóp do głów. Trzymała kapelusz oburącz, odważnie odwzajemniając spojrzenie marszałka. Włosy miała ogniście rude, zaś jasną skórę pokrywały blade

piegi, co w Dziewięciu stanowiło osobliwość. Była niewysoka i drobna. Daleko jej było do wielkiego, dzikiego wojownika, jak w Dziewięciu wyobrażano sobie jej pobratymców.

– Fascynujące – stwierdził Tamas. – Jak na nią trafiłeś?

– Była zwiadowcą naszego regimentu – wyjaśnił Taniel. – Pomagała tropić kezańskich Uprzywilejowanych w Dziczy Fatrastańskiej. Służyła u mnie jako obserwator i kilka razy ocaliłem jej życie. Od tamtej pory mnie nie opuszcza.

– Mówi po adrańsku?

– Jest niema. Jednak rozumie.

Tamas pochylił się do przodu i zajrzał Ka-poel w oczy. Obejrzał jej policzki i uszy, jak gdyby oceniał konia. Taniel niemalże spodziewał się, że marszałek zajrzy dziewczynie w zęby. Ka-poel chybaby go wtedy ugryzła. Bez mała na to liczył.

– Jest czarownikiem – poinformował ojca. – Kościanym Okiem. To dynizyjska wersja Uprzywilejowanych, chociaż z tego, co się orientuję, ich magia jest nieco inna od naszej.

– Dzicy czarownicy – powiedział Tamas. – Coś o nich słyszałem. Jest bardzo niska, ile ma lat?

– Czternaście – odparł Taniel. – Tak sądzę. To niewielki lud, ale na polu bitwy prawdziwe z nich demony. Nieźle też sobie radzą z bronią palną. Aha – dodał, jak gdyby nagle coś sobie przypomniał – chciałem ci coś pokazać.

Wskazał swój karabin. Ka-poel natychmiast odwiązała broń od plecaka Taniela. Uśmiechnął się szeroko i podał karabin ojcu.

– Czy to...? To ten, z którego oddałeś tamten strzał? – zapytał Tamas.

– Jasne.

Marszałek chwycił karabin za lufę, okręcił, przyglądając się uważnie.

– Strasznie długi. Dobrze wyważony, gwintowana lufa, zamek skałkowy z zakrytą panewką. Przepiękna robota.

– Spójrz na imię pod lufą.

– Hrusch. No niezgorzej.

– To nie tylko jego projekt – powiedział Taniel. – On sam wykonał tę broń. Spędziłem z nim miesiąc w Fatraście. Pracował nad karabinem przez jakiś czas i dał mi w prezencie.

– Autentyczny? – Tamas spojrzał na syna rozszerzonymi oczami. – Jeszcze nie widziałem lepiej wykonanego karabinu. Kupiliśmy prawa do patentu Hruscha jakiś rok temu i produkujemy karabiny dla wojska, ale widziałem tylko jeden zrobiony przez niego własnoręcznie.

Zachwyt ojca sprawił, że Taniel poczuł ciepło w piersi. Wreszcie coś nowego. Coś, z czego Tamas mógł być dumny.

– Kez też próbował kupić ten patent – poinformował Taniel ojca.

– Naprawdę? Mimo że prowadzą wojnę z Fatrastą?

– Oczywiście. Karabin Hruscha dał im nieźle w kość na pograniczu. Zawsze wypala, nawet w najgorszą pogodę. Hrusch nie sprzedałby im patentu nawet za skrzynię złota i hrabstwo. A kezańscy rusznikarze nie są w stanie skopiować jego prac.

– Nikt nie jest w stanie, chyba że się u niego szkolił. – Tamas raz jeszcze uważnie obejrzał broń, po czym zwrócił ją właścicielowi.

– Podoba ci się? – zapytał Taniel.

– Nadzwyczajny. – Zainteresowanie Tamasa wydało się nagle nikłe, sam marszałek zaś niemalże nieobecny.

Taniel się zawahał.

– W takim razie spodoba ci się i to. – Wyciągnął rękę w stronę Ka-poel.

Przyniosła mu drewnianą skrzynkę z polerowanego mahoniu, niewiele dłuższą niż przedramię dorosłego mężczyzny.

– Prezent – oznajmił Taniel.

Tamas położył pudełko na stole i uniósł pokrywkę.

– Nie do wiary – westchnął.

– Pistolety pojedynkowe z uchwytem w kształcie pętli – powiedział Taniel. – Wykonane przez najstarszego syna Hruscha, który jak mówią, jest nawet lepszym rusznikarzem niż ojciec. Skałkówki z osłoniętą panewką i zamkiem kołowym. Gładkolufowe, ale znacznie celniejsze od innych. – Na widok rozjaśnionej twarzy ojca Taniel znów poczuł ciepło w piersi.

Tamas uniósł jeden z pistoletów, przesunął palcami po oktagonalnej lufie. Blask lampy odbił się od wypolerowanej inkrustacji z kości słoniowej.

– Niewiarygodne. Mógłbym sprowokować jakąś zniewagę tylko po to, żeby ich użyć.

Taniel się zaśmiał. Tamas powiedział to tak, jakby rzeczywiście miał zamiar coś takiego zrobić.

– Są... cudowne – stwierdził marszałek.

Taniel dostrzegł jakiś błysk w ojcowskich oczach. Dumę? Wdzięczność? Nie, uznał, Tamas nie wie nawet, co to znaczy.

– Chciałbym, abyśmy mieli więcej czasu na rozmowę – powiedział Tamas.

– Zatem już do rzeczy? – No przecież. Nie ma czasu na pogawędki. Nie ma czasu, żeby porozmawiać z dawno niewidzianym synem.

– Niestety. – Tamas albo nie zauważył sarkazmu, albo go zignorował. – Sabonie! – zawołał. Delivijczyk zjawił się w drzwiach. – Przyprowadź najemników – polecił marszałek i Sabon ponownie zniknął. – A teraz, gdzie jest Vlora? Potrzebujemy was obojga. Sabon mówił ci, jakie odnieśliśmy straty?

– Mówił. To smutne. Sądzę, że Vlora w końcu się pojawi. – Taniel wzruszył ramionami. – Właściwie to z nią nie rozmawiałem.

Tamas zmarszczył brwi.

– Sądziłem...

– Przyłapałem ją w łóżku z innym mężczyzną. – Taniel poczuł ukłucie satysfakcji na widok szoku, jaki odmalował się na twarzy ojca. Szok najpierw zmienił się we wściekłość, a potem w żal.

– Dlaczego? Kiedy? Od jak dawna? – wyrzucał z siebie marszałek, prawdziwie skonfundowany. Taniel zastanawiał się, kiedy i czy w ogóle widział ojca tak wytrąconego z równowagi.

Wsparł się na karabinie, powstrzymał pogardliwe parsknięcie. Dlaczego Tamas tak się przejmował? Przecież to nie chodziło o JEGO narzeczoną.

– Od kilku miesięcy, jeśli wierzyć plotkom. Mężczyźnie zapłacono, żeby ją uwiódł. Syn jakiegoś szlachcica, zrobił to dla dreszczyku emocji i dla pieniędzy.

– Zapłacono? – Tamas zmrużył oczy.

– Intryga – wyjaśnił Taniel. – Płaska zemsta. Bez wątpienia uknuta przez jakiegoś bogatego szlachcica. – Nie zdążył się dowiedzieć, kto był za to odpowiedzialny, ale nie miał zbyt wielu wątpliwości. Szlachta nienawidziła Tamasa. Był niskiego urodzenia, a przy tym korzystał ze swego wpływu na króla, by uniemożliwić szlachcicom kupowanie patentów oficerskich. Awansowali tylko ci, którzy na to zasłużyli. Takie postępowanie stało w sprzeczności z tradycją, ale zarazem sprawiło, że armia adrańska była jedną z najlepszych w Dziewięciu. Szlachta za bardzo obawiała się Tamasa, by atakować go bezpośrednio, ale próbowała każdego innego sposobu, nawet poprzez syna.

Tamas zacisnął zęby, unosząc przy tym górną wargę w grymasie wściekłości.

– Tej nocy aresztowałem połowę szlachty. Razem ze swoim królem staną pod gilotyną. Dowiem się, kto to opłacił, a potem...

Taniel poczuł się nagle zmęczony. Lata walczył w nie swojej wojnie, potem miesiące ciężkiej podróży, a kiedy wreszcie wrócił do domu, czekały nań zdrada i przewrót. Jego gniew gdzieś się ulotnił. Usypał na grzbiecie dłoni kreskę czarnego prochu, wciągnął ją.

– Gilotyna wystarczy. Oszczędzaj swoich ludzi.

Oszczędzaj swój gniew, chociaż Kresimir wie, że jest go w tobie aż nadto. Za to nie ma współczucia. Nie dla twego syna, który został zdradzony.

Tamas potarł oczy.

– Powinienem kazać jej patrzeć.

– Może patrzeć, jak będzie chciała – powiedział Taniel. Zabrzmiało to jak warknięcie.

– Ślub?

– Pierścionek przyszpiliłem do tego sukinsyna, z którym była w łóżku. Będą musieli go odcinać jego własną szpadą.

Sabon wszedł do pomieszczenia, a za nim jeszcze dwoje ludzi, na pierwszy rzut oka niezbyt godnych zaufania. Oboje ubrani jak ktoś, kto zwykł sypiać w siodle albo na ławie w oberży. Mężczyzna był wysoki i tyczkowaty, zakola sięgnęły mu już niemal tyłu głowy, choć nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat. Nosił pas zakrywający cały brzuch, cztery szpady i trzy pistolety, różnej wielkości i kształtu, i rękawice Uprzywilejowanego. Jednak nie białe z barwnymi runami, a granatowe, pokryte złotymi runami. Był więc pogromcą magów: Uprzywilejowanym, który zrezygnował z wrodzonej mocy, by móc wedle woli niwelować magię.

Towarzyszyła mu kobieta, na pierwszy rzut oka około czterdziestki. Na sobie miała kurtkę i spodnie do konnej jazdy. Byłaby wręcz piękna, gdyby nie stara blizna, biegnąca od kącika ust przez całą skroń. Kobieta także nosiła rękawice Uprzywilejowanego, które pozwalały dotykać Nieświata. Jej były białe, z krwistoczerwonymi runami. Taniel zastanawiał się, dlaczego nie należała do jakiejś kamaryli. Nawet nie otwierając trzeciego oka, czuł, że była dość silna.

Najemnicy, jak powiedział Tamas. Rzeczywiście na takich wyglądali. Uprzywilejowana i pogromca magów stanowili niebezpieczne połączenie. Zwykle polowali na Zdolnych, Naznaczonych albo Uprzywilejowanych. Taniel był ciekaw, jaki cel wyznaczy im teraz ojciec.

– Uprzywilejowana wymknęła się naszej obławie w pałacu – poinformował najemników Tamas. – Nie należy do królewskiej kamaryli, ale i tak jest potężna. Chcę, żeby wasza trójka... – zerknął na Ka-poel – wasza czwórka wytropiła ją i zabiła.

Tamas nawykł do wydawania rozkazów i prowadzenia odpraw, a Taniel uświadomił sobie, że jego powrót do domu nie był niczym więcej jak zdaniem raportu i otrzymaniem nowego przydziału. Łowy na Uprzywilejowaną. Zerknął na najemników. Wydawali się zawodowcami. W Fatraście musiał sobie radzić, mając o wiele mniej do dyspozycji. Uprzywilejowana, którą mieli ścigać, zabiła pięciu doświadczonych prochowych magów w czasie krótszym niż oddech. Była niebezpieczna,

a Taniel nigdy jeszcze nie polował w mieście. Uznał, że takie wyzwanie będzie trzymało jego myśli z dala od... innych spraw.

Znowu uniósł pokrywę tabakiery i usypał na dłoni prochową kreskę, ignorując niezadowolone spojrzenie ojca.

Nila zatrzymała się na chwilę i zapatrzyła w płomienie paleniska pod dużym żelaznym kotłem. Zatarła spierzchnięte dłonie i ogrzała nad ogniem. Woda wkrótce się zagotuje, a wtedy skończy pranie dla wszystkich mieszkańców rezydencji. Obok szafki leżał niewielki stos brudów, ale większość ubrań państwa i liberii służby już od zeszłego wieczora moczyła się w dużych kadziach pełnych ciepłej wody zmieszanej z ługowym mydłem. Teraz trzeba je było zagotować, wypłukać i rozwiesić, by wyschły. Wpierw jednak musiała wyprasować galowy mundur diuka. O dziesiątej miał spotkanie z królem. Do wyznaczonej godziny wciąż pozostało sporo czasu, lecz całe to płukanie, szorowanie oraz prasowanie należało skończyć, zanim zjawią się kucharze, by przygotować śniadanie.

Drzwi do pralni otworzyły się i w progu stanął pięcioletni chłopiec, przecierając zaspane oczy.

– Nie możesz spać, paniczu? – zapytała Nila.

– Nie – odparł. Jakob, jedyne dziecko diuka Eldaminse’a, był słabego zdrowia. Jasne włosy okalały bladziutką twarz o zapadłych policzkach. Chłopczyk był niewysoki, jak na swój wiek, jednak bystry i o wiele milszy w obyciu, niż można by się spodziewać po synu diuka. Kiedy przyszedł na świat, Nila miała trzynaście lat i terminowała w pralni Eldaminse’ów. Gdy tylko opanował sztukę chodzenia, mały Jakob zapałał do Nili gorącą sympatią, ku niezadowoleniu matki oraz guwernantki.

– Usiądź tutaj – powiedziała Nila, układając przy ogniu czysty, suchy kocyk. – Ale tylko na chwilkę, potem masz wracać do łóżka, zanim Ganny się obudzi.

Usadowił się na kocyku i patrzył, jak dziewczyna rozgrzewa żelazka na palenisku i rozkłada ubrania jego ojca. Wkrótce powieki zaczęły mu opadać i ułożył się na boczku.

Nila przyciągnęła dużą balię do żelaznego kotła. Właśnie miała przelać do niej wrzątek, kiedy drzwi otworzyły się raz jeszcze.

– Nila! – Ganny stała w progu, opierając dłonie na biodrach. Miała dwadzieścia sześć lat i była nad wiek surowa. Świetnie nadawała się na guwernantkę dziedzica diuka. Włosy o kakaowej barwie zbierała w ciasny kok z tyłu głowy. Nawet w koszuli nocnej wyglądała stosowniej niż Nila w swojej prostej sukience i z niesfornymi, kasztanowymi lokami.

Nila przyłożyła palec do ust.

– Wiesz, że nie powinno go tutaj być – Ganny ściszyła głos.

– A co miałam mu powiedzieć? Zabronić?

– Oczywiście!

– Daj mu spokój. Wreszcie zasnął.

– Przeziębi się tutaj.

– Leży przy ogniu.

– Jeśli diuszesa go tutaj znajdzie, to wpadnie w furię! – Ganny pogroziła Nili palcem. – Nie będę cię broniła, jak cię wyrzuci na ulicę.

– A czy kiedykolwiek mnie broniłaś?

Ganny zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Dzisiaj zaproponuję diuszesie, żeby cię zwolniła. Masz zły wpływ na Jakoba.

– Ja... – Nila spojrzała na śpiącego chłopca i zamknęła usta. Nie miała ani rodziny, ani koneksji. Diuszesa już teraz jej nie lubiła. Diuk Eldaminse miał w zwyczaju kłaść się ze służącymi, a ostatnio coraz częściej jej się przyglądał. Nila nie chciała jeszcze zwady z Ganny, nawet biorąc pod uwagę fakt, że tamta wykorzystywała swoją przewagę przy każdej okazji.

– Przepraszam, Ganny – powiedziała. – Zaraz zabiorę go z powrotem do łóżka. Czy masz jakieś ubrania, które mogę ci wyczyścić?

– Od razu lepiej – stwierdziła guwernantka. – A teraz...

Przerwało jej łomotanie do głównych wrót, wystarczająco głośne, żeby słychać je było nawet w kuchni, na tyłach rezydencji.

– Kto to może być o tak wczesnej porze? – Ganny owinęła się ciaśniej szlafrokiem i ruszyła w stronę holu. – Obudzą pana i panią.

Nila oparła dłonie na biodrach i spojrzała na Jakoba.

– Wpakowałeś mnie w kłopoty, paniczu.

Zatrzepotały unoszone powieki.

– Przepraszam.

Przyklękła przy nim.

– W porządku, a teraz idź spać. Zaniosę cię do łóżka.

Ledwie go podniosła, kiedy usłyszała wrzask dobiegający z przedniej części domu. Potem kolejne okrzyki i łomot stóp na schodach prowadzących do głównego holu. Usłyszała gniewne męskie głosy, a żaden z nich nie należał do nikogo ze służby.

– Co się dzieje? – zapytał Jakob.

Postawiła go na nogi, żeby nie poczuł, że trzęsą się jej ręce.

– Szybko. Do balii – nakazała.

Jakobowi zadrżała dolna warga.

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Schowaj się!

Wspiął się do balii. Narzuciła na niego brudne rzeczy, usypując wysoki stos, a potem wybiegła na korytarz.

Prosto na jakiegoś żołnierza. Mężczyzna wepchnął ją z powrotem do kuchni. Zaraz za nim pojawiło się kolejnych dwóch, potem jeszcze jeden, trzymający Ganny za kark. Ten ostatni pchnął guwernantkę na podłogę. Jej oczy były pełne strachu zmieszanego z upokorzeniem.

– Te dwie wystarczą – stwierdził jeden. Miał na sobie granatowy mundur adrańskiej armii, z dwoma belkami na piersi i srebrnym medalem za służbę koronie za morzami. Zaczął rozpinać pas, powoli zbliżając się do Nili.

Dziewczyna chwyciła gorące żelazko z paleniska i rąbnęła żołnierza w twarz. Upadł przy akompaniamencie krzyków towarzyszy.

Ktoś złapał ją za ramiona, ktoś inny za nogi.

– Ostra sztuka – ocenił któryś.

– Będzie ślad – odezwał się inny.

– Co to ma wszystko znaczyć?! – Ganny wreszcie udało się stanąć na nogi. – Nie wiecie, czyj to dom?!

– Zamknij się. – Żołnierz, którego uderzyła Nila, wstał. Napuchła oparzelina zajęła pół jego twarzy. Pięścią uderzył Ganny w brzuch. – Zaraz weźmiemy się i za ciebie – obiecał, następnie odwrócił się w stronę Nili.

Dziewczyna szarpała się w uścisku dłoni zbyt silnych, by mogła im się wyrwać. Odwróciła się w stronę balii, mając nadzieję, że Jakob tego wszystkiego nie zobaczy, i zamknęła oczy w oczekiwaniu na cios.

– Heathlo! – usłyszała szczeknięcie.

Otworzyła oczy, gdy trzymające ją ręce nagle puściły.

– Żołnierzu, co wy, do otchłani, wyprawiacie?! – Człowiek, który zadał pytanie, nosił taki sam mundur jak pozostali, wyjąwszy złoty trójkąt przypięty do srebrnej klapy. Miał płowe włosy i schludnie przystrzyżoną brodę. Z kącika ust zwisał mu papieros. Nila jeszcze nigdy nie widziała brodatego żołnierza.

– Tylko się trochę bawimy, panie sierżancie. – Heathlo posłał Nili złowrogie spojrzenie i odwrócił się w stronę przybysza.

– Bawicie? My się nie bawimy, żołnierzu. Jesteśmy w armii. Znacie rozkazy marszałka polnego.

– Ale, panie sierżancie...

Sierżant pochylił się i podniósł z podłogi żelazko. Spojrzał na nie, a potem na oparzenie na twarzy żołnierza.

– Chcecie, żebym wam zrobił jeszcze jedno takie z drugiej strony?

Spojrzenie Heathla stwardniało.

– Ta suka mnie uderzyła.

– Następnym razem jak zobaczę, że próbujesz zgwałcić obywatelkę Adro, to cię uderzę w jeszcze przyjemniejsze miejsce. – Sierżant wskazał Heathla papierosem. – To nie Gurla.

– Zamelduję o tym kapitanowi – parsknął Heathlo.

Sierżant wzruszył ramionami.

– Heathlo – wtrącił się jeden z żołnierzy – nie prowokuj. Sierżancie, przepraszamy, on jest nowy na kompanii i w ogóle...

– Trzymajcie go w ryzach – polecił sierżant. – Może jest nowy, ale po was spodziewałbym się czegoś lepszego.

Pomógł Ganny wstać, a potem, zwrócony w stronę Nili, dotknął palcami czoła.

– Panienko, szukamy syna diuka Eldaminse’a.

Guwernantka spojrzała na Nilę. Praczka widziała doskonale, że Ganny jest przerażona.

– Był z tobą – powiedziała.

Nila zmusiła się, aby spojrzeć w niebieskie oczy sierżanta.

– Dopiero co zaniosłam go do łóżka.

– Idźcie – rozkazał żołnierzom. – Znaleźć go.

Natychmiast się oddalili, ale sierżant nadal stał i powoli rozglądał się po kuchni.

– Nie ma go w łóżku.

– Ma zwyczaj błąkać się po domu – tłumaczyła Nila. – Położyłam go właśnie do łóżka, ale jestem pewna, że wystraszył się hałasu. Co się dzieje?

To nie był przypadek. Ci żołnierze dokładnie wiedzieli, czyj to dom. Sierżant wspominał o marszałku polnym. W Adro tylko jeden człowiek miał taki stopień: marszałek polny Tamas.

– Diuk Eldaminse i jego rodzina są aresztowani pod zarzutem zdrady – uświadomił ją sierżant.

Ganny zbladła, wydawało się, że zaraz zemdleje.

Nila poczuła ucisk w dołku. Zdrada. Takie oskarżenie mogło rzutować na całą służbę. Nie było ucieczki. Kiedyś słyszała opowieść o jakimś arcydiuku, bliskim kuzynie Żelaznego Króla, który intrygował przeciwko koronie. Cała jego rodzina oraz wszyscy służący skończyli pod ostrzem gilotyny.

– Możecie odejść w każdej chwili – oznajmił sierżant. – Przyszliśmy tylko po diuka i jego rodzinę. – Marszcząc brwi, podszedł do balii. –

Pewnie będziecie chcieli poszukać nowych pracodawców. Jednak, jeśli możecie, powinniście opuścić miasto na przynajmniej kilka dni.

Wetknął papierosa między wargi i podniósł z balii parę spodni.

– Olem! – rozległo się od progu.

Sierżant odwrócił głowę w stronę wchodzącego żołnierza.

– Znalazłeś chłopca? – zapytał, zapominając o balii.

– Nie, ale przyszło wezwanie dla ciebie. Od marszałka polnego.

– Dla mnie? – zdziwił się Olem.

– Masz się natychmiast zameldować u komendanta Sabona.

– W porządku. – Olem zgasił papierosa na kuchennym stole. – Miej oko na Heathla. Nie pozwól mu się szarpać z żadną z kobiet. Jeśli będziesz musiał pozwolić chłopakom napchać kieszenie, żeby ich zająć, zrób to.

– Ale rozkazy...

– Prędzej czy później pokusi ich, żeby złamać któryś rozkaz. Wolałbym, żeby łamali takie, przez które nie zawisną na szubienicy.

– Słusznie.

Olem po raz ostatni rozejrzał się po kuchni.

– Bierzcie wszystko, co tu macie wartościowego, i idźcie stąd – polecił. – Diuk po nic tu nie wróci, więc... – Zanim wyszedł, dotknął czoła, zwrócony w stronę Ganny i Nili.

Więc bierzcie, co chcecie – dokończyła Nila w myślach.

Ganny zerknęła na Nilę, a potem wybiegła na korytarz. Po chwili praczka usłyszała jej kroki dobiegające ze schodów dla służby.

Wyłowiła klucze kamerdynera ze skrytki nad kominkiem i otworzyła szafkę ze srebrami. Wszystko, co chowała pod materacem na piętrze, było nic niewarte w porównaniu z kawałątkiem choćby sztućca, który teraz wsadzała do jutowego worka.

Poczekała, aż z korytarza przestaną dobiegać głosy żołnierzy, i wyciągnęła Jakoba z balii. Pomogła mu zdjąć koszulę nocną, po czym wręczyła parę brudnych spodni oraz koszulę jednego z chłopców do posług. Ubrania były za duże, ale musiały wystarczyć.

– Co robimy? – zapytał malec.

– Zabiorę cię w jakieś bezpieczne miejsce.

– A co z panną Ganny?

– Myślę, że odeszła na dobre.

– A matka i ojciec?

– Nie wiem. Myślę, że chcieliby, żebyś ze mną poszedł. – Wzięła z kąta paleniska garść chłodnych popiołów i wymieszała z wodą na dłoni. – Stój spokojnie – poleciła, rozsmarowując chłopcu popiół na włosach i policzkach. Chwyciła go za rękę i wraz z workiem pełnym sreber zarzuconym na ramię ruszyła w stronę tylnego wyjścia.

Na uliczce za rezydencją czekało dwóch żołnierzy. Nila szła w ich stronę z opuszczoną głową.

– Hej, ty tam – zawołał jeden. – Czyje to dziecko?

– Moje – odparła.

Żołnierz uniósł Jakobowi podbródek.

– Nie wygląda na syna diuka.

– Mamy ich zatrzymać, póki nie znajdziemy chłopca? – zapytał drugi.

– Sierżant Olem powiedział, że możemy iść – powiedziała Nila.

– Dobra – zgodził się żołnierz. – No to idźcie. Dzisiaj w nocy jesteśmy zajęci.

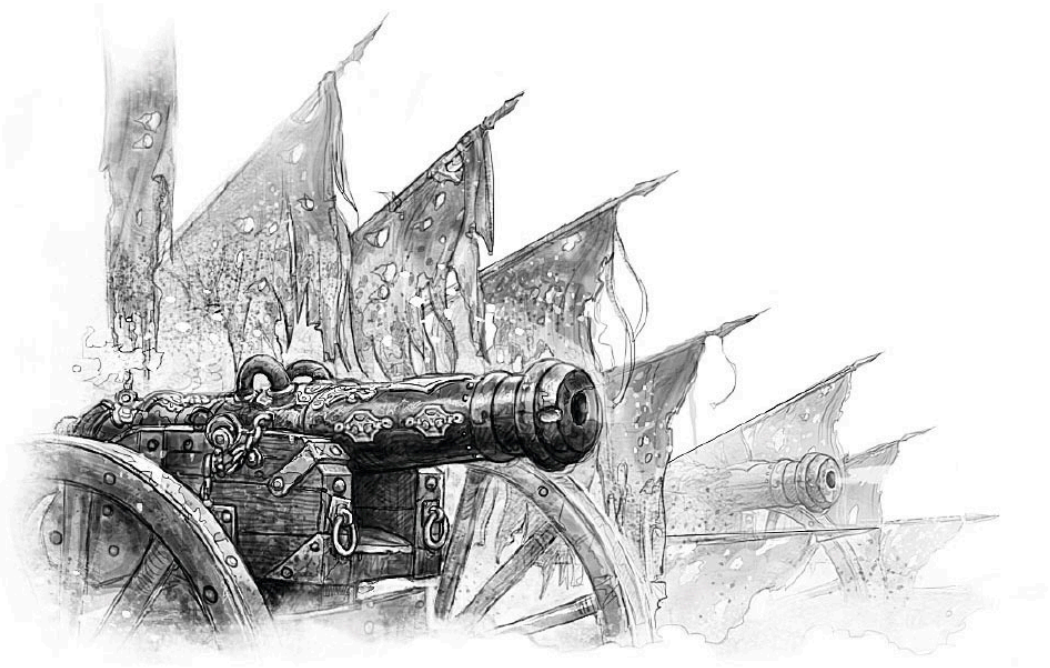

4
ROZDZIAŁ

Adamat, opuściwszy pałac, wsiadł do dorożki i ruszył prosto do domu. Na koźle siedział jeden z żołnierzy Tamasa. I gdy powóz toczył się przez pogrążone w ciszy nocne ulice, Adamat miał za towarzyszy podróży jedynie zmartwienia i wątpliwości. Żałował po cichu, że nie jadą szybciej. Kiedy wreszcie wyskoczył z powozu, pchnął starą furtę, kilkoma susami przemierzył niewielki ogródek i stanął pod drzwiami domu, niebo na wschodzie zaczynało jaśnieć. Próbując wsunąć klucz w zamek, upuścił cały pęk. Przerwał próby otwarcia drzwi i odetchnął głęboko.

Powtarzał sobie, że widywał już gorsze rzeczy. Nie będzie przecież gorzej niż w trakcie zamieszek w Oktersehn. Wsadził klucz w zamek

i przekręcił, a pordzewiały metal zaskrzypiał, kiedy na wpół pchnął, na wpół kopnął drzwi.

Ruszył schodami na piętro, przesadzając po dwa stopnie naraz, a potem biegł korytarzem, waląc we wszystkie mijane drzwi. Wreszcie otworzył te do swojej sypialni.

– Faye – powiedział.

Żona uniosła głowę z poduszki i przyjrzała mu się w blasku przykręconego płomienia lampy. Na jej twarzy poruszyły się cienie, pogłębione jeszcze przez aureolę czarnych loków.

– Która godzina?

– Trochę po piątej rano – odpowiedział Adamat. Podkręcił knot i ściągnął z żony kołdrę. – Wstawaj. Jedziesz do domu w Offendale.

Faye przyciągnęła krawędź kołdry do piersi.

– Co cię napadło?! Jaki znowu dom w Offendale?

– Ten, który kupiliśmy, gdy wstąpiłem do policji, na wypadek gdyby tutaj zrobiło się zbyt niebezpiecznie dla ciebie i dzieci.

Faye usiadła.

– Myślałam, że sprzedaliśmy tamten dom. Ja... Adamacie, co się stało? – W jej głosie zadźwięczał niepokój. – Czy chodzi o sprawę Lourentów? Czy to coś nowego?

Rodzina Lourentów wynajęła Adamata, żeby sprawdził przeszłość kandydata do ręki ich najmłodszej córki. Cała sprawa zakończyła się fatalnie, gdy detektyw ujawnił, że narzeczony to oszust.

– Nie, nie chodzi o Lourentów. O coś znacznie poważniejszego. – Adamat odwrócił się, słysząc lekkie kroki. – Astrit – powiedział łagodnie. Jego najmłodsza córka trzymała pod pachą sfatygowanego pluszowego pieska. Miała sobie koszulę nocną oraz stare kapcie Faye, za duże o kilka rozmiarów. W słabym świetle wyglądała jak miniaturowa wersja matki. Zaciekawiona, przechyliła głowę na bok. – Kochanie, załóż płaszcz podróżny. Jedziesz na wycieczkę.

– A mam założyć sukienkę? – zapytała.

Zmusił się do uśmiechu.

– Nie, kochanie, tylko płaszcz podróżny na koszulę nocną. Zaraz wyjeżdżasz. Nie zapomnij o butach.

Uśmiechnęła się do niego i odwróciła, podskakując na korytarzu, a stary pluszowy piesek też podskakiwał w jej dłoni. Starsze rodzeństwo, wychodzące ze swoich sypialni, patrzyło na siostrzyczkę ze zdziwieniem.

– Josepie – Adamat zwrócił się do najstarszego syna – przypilnuj, żeby twoi bracia i siostry byli szybko gotowi do drogi. I niech się spakują na kilka tygodni.

Josep, poważny młodzieniec, niedawno skończył szesnaście lat i właśnie przyjechał do domu na wakacje. Nerwowym gestem potarł pierścień, który otrzymał od ojca Adamata na krótko przed śmiercią starca. Chłopak rzadko rozstawał się z tym darem. Josep poczekał chwilę na wyjaśnienia, a kiedy żadne nie padły, posłusznie zagonił rodzeństwo z powrotem do ich pokojów.

Dobry chłopak. Adamat odwrócił się do Faye, która już siedziała na łóżku.

– Lepiej, żebyś miał jakieś dobre wytłumaczenie. – Przeczesała dłonią włosy, ciągnąc nerwowo, gdy palce zaplątały jej się w kędziory. – Co się stało? Czy dzieciom grozi jakieś niebezpieczeństwo? Czy tobie coś grozi? Chodzi o twoją nową pracę? Mówiłam ci, żebyś przestał węszyć za żonami szlachciców i zajmować się sprawami innych ludzi.

Adamat zamknął oczy.

– Kochanie, jestem detektywem. Sprawy innych ludzi to właśnie moje sprawy. Będą zamieszki. Chcę, żebyś w ciągu godziny razem z dziećmi opuściła miasto. Oczywiście tylko na wszelki wypadek.

– Dlaczego będą zamieszki?

Przeklęta kobieta. Ileż by dał za posłuszną żonę.

– Doszło do zamachu stanu. Manhouch w południe stanie pod gilotyną.

Miał chwilę satysfakcji, bo Faye rozdziawiła usta ze zdumienia. W następnej sekundzie już była na nogach i sięgała do szafy. Adamat przyglądał się żonie przez moment. Z upływem lat jej figura stała się bardziej kanciasta. Kościste łokcie oraz pomarszczona skóra zastąpiły

łagodne krągłości i słodkie pulchności. Lata, które minęły od jego odejścia z policji, również odcisnęły na niej swoje piętno i nie była już taka piękna jak za młodu. Adamat pomyślał o własnym wyglądzie. Nie miał co krytykować urody Faye. Sam był niski i łysiał, wąsy i broda też się jakoś ostatnio przerzedziły, a twarz, kiedyś okrągła, teraz się wydłużyła i wychudła. Też już nie był taki młody jak kiedyś. Jednak pasowali do siebie... Przygryzł wargę, wciąż patrząc na żonę i rozmyślając o sprawach, które będą musiały trochę poczekać.

Odwróciła się i podchwyciła jego spojrzenie.

– Jedziesz z nami, prawda? – zapytała.

– Nie.

Znieruchomiała.

– Dlaczego nie?

Powinien skłamać. Powiedzieć, że miał jakieś wcześniejsze zobowiązania.

– Jestem... zamieszany.

– O nie. Adamacie, na otchłań, co ty zrobiłeś?

Powstrzymał uśmiech. Uwielbiał, kiedy przeklinała.

– Nie tak zamieszany. Nie. To dzisiejsze wezwanie. Marszałek polny ma dla mnie zadanie.

– ON JEDEN mógł mieć dość ikry, żeby obalić króla – stwierdziła, marszcząc brwi. – No dobrze, przestań się już szczerzyć, wezwij powóz i pomóż dzieciom założyć buty. – Machnęła ręką. – Do roboty!

Dwadzieścia minut później Adamat patrzył, jak jego rodzina pakuje się do dwóch powozów. Zapłacił woźnicom i na chwilę zatrzymał się obok żony.

– Jeśli będzie wyglądało na to, że zamieszki się do was zbliżają, to nie zastanawiaj się, tylko zabieraj dzieci do Delivu. Znajdę was, kiedy wszystko się uspokoi.

Faye zwykle spoglądała na świat twardo i z dezaprobatą, ale teraz jej rysy złagodniały nagle. W oczach Adamata znowu stała się młodą,

zaniepokojoną dziewczyną, która czeka na kochanka, nadchodzącego traktem o północy. Z czułością pocałowała męża w usta.

– Co mam powiedzieć dzieciom?

– Nie okłamuj ich – odparł Adamat. – Są już duże.

– Będą się martwić. Zwłaszcza Astrit.

– Owszem.

Faye pociągnęła nosem.

– Nie byłam w Offendale od czasu, gdy pojechaliśmy tam na wakacje po urodzinach Astrit. Czy ten dom jest w dobrym stanie?

– Wyda wam się mały – odpowiedział Adamat. – Ale przytulny. I bezpieczny. Pamiętasz nasz szyfr? W pobliskim miasteczku jest poczta. Wyślę do Saddie list i poproszę, żeby przynosiła ci korespondencję.

– Czy to wszystko jest konieczne? – zapytała Faye. – Sądziłam, że to tylko zamieszki.

– Marszałek polny to niebezpieczny człowiek – odparł Adamat. – Ja nie... – Umilkł. – To tak na wszelki wypadek. Zrób to dla mnie.

– Oczywiście. Uważaj na siebie.

Adamat odwzajemnił pocałunek żony, następnie, pochylając się do okien powozów, ucałował każde ze swoich dziewięciorga dzieci, każde z bliźniąt dwa razy. Zatrzymał się przy Astrit, przykucnął na podłodze dyliżansu, aby spojrzeć małej w oczy.

– Wyjeżdżacie na kilka tygodni. W mieście będzie trochę niespokojnie.

– Dlaczego nie jedziesz z nami? – chciała wiedzieć dziewczynka.

– Muszę pomóc, by znów było bezpiecznie. – Przypomniał sobie o Złamanej Obietnicy Kresimira i zadrżał.

– Zimno ci? – zapytała Astrit.

Powiódł palcem po jej policzku.

– Tak – powiedział. – Straszny ziąb. Lepiej już pójdę, zanim się pochoruję. Bezpiecznej podróży!

Zamknął drzwiczki powozu i stanął na ulicy, patrząc, jak odjeżdżają. Będzie mu teraz brakowało Faye, i to z wielu powodów. W sprawach zawodowych była dla niego kimś więcej niż żoną. Była jego partnerem.

Miała ogromną sieć przyjaciół i znajomych, wiedziała, jak wydobyć z nich plotki i pogłoski, by dotrzeć do informacji, których nawet Adamat nie potrafił uzyskać.

Zawrócił do domu. Zatrzymał się na chwilę, widząc jakiś ruch w drzwiach po drugiej stronie ulicy. Z cienia wyłonił się młody mężczyzna w długim, sztywnym płaszczu, zmierzając w kierunku przeciwnym do tego, w którym pojechały powozy. Spojrzał na Adamata i przyspieszył kroku.

Adamat przyglądał mu się uważnie, upewniając się, że mężczyzna poczuje ciężar tego spojrzenia. To na pewno był jeden ze zbirów Palagiego. Adamat nie miał wątpliwości, że wkrótce usłyszy i o samym Palagim. Wrócił do domu, zamknął za sobą drzwi na klucz i od razu skierował się do gabinetu. Przewracał zawartość szuflad biurka, póki nie znalazł papeterii.

Kiedy kończył adresowanie listów, słońce wychyliło się już znad dachów i zajrzało w okna gabinetu. Adamata bolała ręka od pisania, a ze świecy został jedynie ogarek. Detektyw ziewnął, pozwalając myślom błądzić bez celu, gdy nagle usłyszał odległy zgrzyt metalu o metal.

Wsunął cały plik listów do szuflady i zamknął ją na klucz. Ujął laskę. Przekręcił trzonek, aż rozległo się kliknięcie, a potem ruszył przez dom, nasłuchując, skąd dobiega ów niepokojący zgrzyt. Dotarł do drzwi w tylnej części domu, małych i starych, prowadzących do niewielkiego ogrodu pomiędzy domem Adamata a budynkiem z tyłu. Można było się tam dostać z samego domu albo niewielką alejką między dwoma kamienicami, z zamykaną na klucz furtką.

Adamat gwałtownie otworzył drzwi, unosząc zarazem laskę. Trzech mężczyzn zamarło w bezruchu. Dwóch miało na sobie wyświechtane płaszcze i proste kapelusze robotników, przy czym jeden na kolanach i rękawach koszuli miał czarne plamy – pewnie od wrzucania węgla do pieca. Drugi, ten, który grzebał w zamku, nosił ubranie o wiele na niego za duże, tak jak to mieli w zwyczaju złodzieje, chcąc ukryć najrozmaitsze rzeczy. Trzeci mężczyzna nosił się bogato, spod szarego palta wystawała smoliście czarna kamizelka, zaś buty tak mu lśniły, że można było sobie obejrzeć w nich zęby.

Ten, który próbował otworzyć wytrychem drzwi, klęcząc, gapił się na Adamata.

– Robisz taki hałas, że równie dobrze mógłbyś zapukać do frontowych drzwi – pouczył go detektyw. Westchnął i opuścił laskę. – Palagi, czego chcesz? – zwrócił się do najlepiej ubranego z nieproszonych gości.

Palagi zdawał się zaskoczony widokiem gospodarza w domu. Poprawił okrągłe okulary, które bardziej spoczywały na nalanych policzkach niż na wąskim nosie.

Człowiek ów był osobliwością. Z taką budową ciała nadawał się prosto do cyrku: okrągły brzuch zwisał daleko za pasem, ale ramiona i nogi nie były grubsze od gałązek. Wyglądał jak przerośnięta kula armatnia z cienkimi patykami kończyn.

Kiedyś był zwykłym bandziorem i okazał się wystarczająco bezwzględny, żeby założyć legalny interes, a przy tym nie dość inteligentny, by pozostawić za sobą sprawy poprzedniego życia. W sam raz pasował na bankiera. Adamat od razu przywołał w pamięci rejestr jego przestępstw.

– Krążą słuchy, że czmychasz z miasta – powiedział Palagi.

– To znaczy tak mówi ten niedorozwinięty kundel, któremu przez ostatnich kilka tygodni kazałeś się kręcić wokół mojego domu?

– Mam swoje powody, żeby mieć cię na oku. – Bankier zdawał się zirytowany obecnością Adamata w domu.

Detektyw westchnął ciężko, widząc, jak Palagi zgrzyta zębami, bankier nie znosił bowiem, kiedy nie traktowano go poważnie. Mało się zmienił od czasów, gdy był tylko na wpół zapitym lichwiarzem.

– Termin spłaty długu upływa dopiero za dwa miesiące.

– Niemożliwe, żebyś w dwa miesiące zebrał siedemdziesiąt tysięcy krana. Dlatego kiedy usłyszałem, że twoja rodzina w środku nocy wymyka się z miasta, pomyślałem, że może stchórzyłeś i postanowiłeś zwiać.

– Zastanów się lepiej, kogo nazywasz tchórzem! – Adamat ujął laskę, jakby szykował się do ciosu.

Palagi drgnął nerwowo.

– Upłynęło sporo czasu, od kiedy porachowałeś mi kości po raz ostatni – powiedział. – Już nie chroni cię policja. Jesteś teraz jednym z nas, zwyczajnym szczurem z rynsztoka. Nie powinieneś brać u mnie pożyczki – parsknął. Piskliwy śmiech działał Adamatowi na nerwy.

Teraz to detektyw zgrzytnął zębami. Wcale nie brał pożyczki u Palagiego, tylko w banku należącym do przyjaciela. Przyjaciel okazał się jednak nieuczciwy i odsprzedał dług Palagiemu za prawie sto pięćdziesiąt procent wartości. Ten zaś od razu potroił odsetki, potem pozostało mu tylko poczekać, aż upadnie założona przez Adamata drukarnia. Co zresztą nastąpiło.

Palagi otarł z oka łzę rozbawienia.

– Kiedy dowiaduję się, że osoba, która ma u mnie największy dług, wysyła swoją rodzinę za miasto akurat dwa miesiące przed terminem spłaty, to sprawdzam rzecz osobiście – stwierdził.

– I próbujesz się włamać do mojego domu? – odciął się Adamat. – Nie możesz mnie zwyczajnie ogołocić i wyrzucić na ulicę, po tym jak już nie oddam ci pieniędzy w terminie?

– Może zrobiłem się chciwy. – Palagi uśmiechnął się słabo. – Teraz chciałbym się dowiedzieć, gdzie jest twoja rodzina, tak żebym mógł sprawdzić, co u nich.

Adamat odpowiedział przez zaciśnięte zęby:

– Są u mojego kuzyna, na wschód od Nafolk. Sprawdź sobie, jeśli chcesz.

– Dobrze. Sprawdzę. – Palagi odwrócił się i zatrzymał nagle. – Jak ma na imię twoja córka? Ta najmłodsza? Myślę, że każę paru swoim chłopcom przywieźć ją z powrotem, tak na wypadek gdybyś próbował wślizgnąć się na jeden z tych nowych parowców i czmychnąć do Fatrasty.

Palagi zdążył drgnąć zaledwie, nim laska Adamata trzasnęła go w ramię. Bankier krzyknął i zatoczył się do tyłu. Węglarz uderzył detektywa w brzuch.

Adamat zgiął się wpół z bólu. Nie spodziewał się, że przeciwnik zada cios tak szybko i tak mocno. Prawie upuścił laskę, a teraz robił wszystko,

żeby nie upaść.

– Naślę na ciebie policję! – zaskowyczał Palagi.

– Spróbuj – wysapał Adamat. – Wciąż mam tam przyjaciół. Wyśmieją cię i wyrzucą za drzwi. – Zdołał się wziąć w garść na tyle, by zatrzasnąć drzwi. – Wróć za dwa miesiące!

Przekręcił klucz i zamknął zasuwę.

Trzymając się za brzuch, pokuśtykał z powrotem do gabinetu. Był pewien, że po takim ciosie przez tydzień będzie miał niestrawność. Miał tylko nadzieję, że nie krwawi.

Dochodził do siebie jeszcze kilka minut, wreszcie zgarnął listy i wyszedł na ulicę. Czuł narastające wokół napięcie. Chciałby przypisać je konfliktowi, który jak wiedział, właśnie nadchodził, rewolucji, jaka przewali się przez miasto na wieść o śmierci Manhoucha, i chaosowi, jaki potem zapanuje. Modlił się, żeby Tamasowi udało się nad tym zapanować, ale wiedział doskonale, że to zadanie mogło okazać się niewykonalne. Ale nie, napięcie powodował najpewniej coraz silniejszy ból głowy oraz gdzieś w głębi brzucha.

Nieopodal poczty detektyw zatrzymał się na rogu, by odsapnąć. Dotąd nieświadomie przyspieszał kroku i teraz oddychał ciężko. Nie opuszczało go wrażenie, że gdzieś niedaleko czai się niebezpieczeństwo.

Gazeciarz, najwyżej dziesięcioletni, podskoczył do Adamata. Zatrzymał się, zaczerpnął głęboko powietrza, a następnie odrzucił głowę do tyłu i zawołał:

– Manhouch obalony! Król obalony! Dziś w południe Manhouch zostanie ścięty!

I już w następnej chwili zniknął za kolejnym rogiem.

Gdy Adamat otrząsnął się z oszołomienia i odwrócił, zobaczył, że inni również przystanęli. WIEDZIAŁ, że obalono Manhoucha. Widział na mundurze Tamasa krew członków kamaryli. Jednak kiedy usłyszał te słowa wypowiedziane głośno, w publicznym miejscu, ręce zaczęły mu drżeć. Obalono króla. Kraj został zmuszony do zmian. Ludzie natomiast będą musieli wybrać, co zrobią w nowej rzeczywistości.

Minął pierwszy szok wywołany wieściami. Na ulicy zapanowało zamieszanie, bo przechodnie nagle zmieniali plany i ruszali w kierunkach zupełnie odmiennych niż przed chwilą. Jakaś dorożka gwałtownie zawróciła. Woźnica nie dostrzegł dziewczynki sprzedającej kwiaty. Adamat skoczył do kwiaciareczki, złapał za ramię i odciągnął, zanim stratowały ją konie. Kwiaty rozsypały się po ulicy. Jeden z przechodniów, pospiesznie przebiegając przez ulicę, potrącił drugiego, tamten w odpowiedzi obalił go na ziemię. Ruszyli na siebie z pięściami, policyjna pałka szybko zakończyła bójkę.

Adamat pomógł dziewczynce zebrać kwiaty. Westchnął. *Zaczęło się*. Zwiesił głowę i poszedł w stronę poczty.

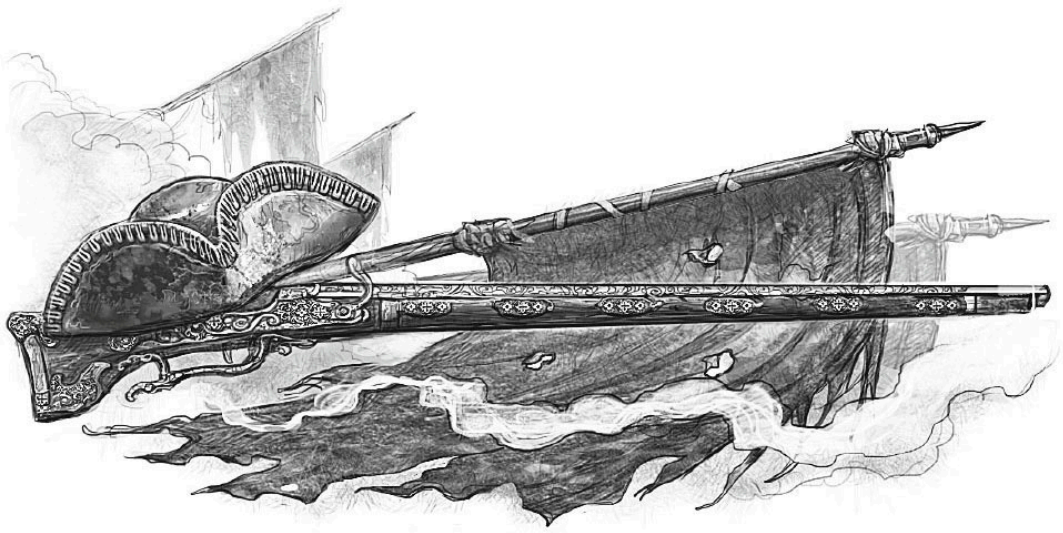

5
ROZDZIAŁ

Tamas stał na balkonie, sześć pięter ponad olbrzymim placem noszącym miano Królewskiego Ogrodu. Wiatr wiał marszałkowi w twarz, gdy patrzył na zbierający się tłum. U stóp spały mu dwa wilczarze, nieświadome, jak ważny był to dzień. Tamas miał na sobie świeżo wyprasowany, galowy mundur, granatowy ze złotymi epoletami i guzikami, z których każdy miał wyrytą małą baryłkę prochu. Klapy, obszycia kołnierza oraz skrzydełka munduru wykonane były z czerwonego aksamitu, pas natomiast z czarnej skóry. Marszałek przypiął ordery dla podkreślenia swoich dotychczasowych zasług: złote, srebrne i fioletowe gwiazdy

różnych kształtów i rozmiarów, przyznane przez rozmaitych gurlańskich szachów i królów Dziewięciu. Pod ramieniem trzymał oficerski bikorn.

Słońce dopiero co wyłoniło się znad dachów Adopestu, jednak marszałek był przekonany, że jak nic piętnaście tysięcy osób przyglądało się robotnikom stawiającym gilotyny. Podobno Ogród mógł pomieścić pięćset tysięcy, połowę wszystkich mieszkańców Adopestu.

Będą mieli okazję się przekonać.

Spojrzenie Tamasa powędrowało ku wieży, która niczym czarny cierń mierzyła w błękit nieba. Szabloząb zbudował ojciec Manhoucha, Żelazny Król, miał być więzieniem dla jego najniebezpieczniejszych wrogów i ostrzeżeniem dla wszystkich pozostałych.

Budowa trwała blisko połowę z sześćdziesięciu lat panowania Żelaznego Króla, i to właśnie owej wieży, a dokładniej jej barwie, władca zawdzięczał swój przydomek. Szabloząb był trzykrotnie wyższy od najwyższego budynku w Adopeście. Brzydki jak deszczowa noc, bazaltowy kieł sprawiał wrażenie, jak gdyby wyszarpnięto go wprost z legend o czasach sprzed Ery Kresimira.

Teraz cele w wieży zostały niemal całkowicie zapełnione prawie sześcioma setkami szlachciców wraz z ich żonami i najstarszymi synami i pięcioma setkami dworzan oraz królewskich dygnitarzy, którym nie ufano na tyle, by puścić wolno. Gdy Tamas zamykał oczy, wydawało mu się, że słyszy pełne cierpienia zawodzenie uwięzionych. Nie wiedział, czy była to tylko wyobraźnia. Szlachta wiedziała, co ją czeka. Wiedziała już od stu lat.

Tamas odwrócił się, gdy drzwi za nim szczęknęły cicho. Na balkon wszedł jakiś żołnierz. Miał mundur tego samego koloru co uniform marszałka, w klapę wpięty sierżancki trójkąt i na oko trzydzieści pięć lat, włosy przycięte równo nad uszami i do tego starannie przystrzyżoną, nieregulaminową brodę. W wojsku służył już od dekady, czego potwierdzeniem były galony na piersi. Tamas skinął mężczyźnie głową.

– Panie. Olem melduje się na rozkaz.

– Dziękuję, Olemie – odpowiedział Tamas. – Czy wiesz już, jakie będą twoje obowiązki przy mojej osobie?

– Ordynans – odparł Olem. – Służący i goniec. I wszystko, czego, kurde, pan marszałek polny sobie zażyczy. Z całym szacunkiem, panie.

– Zakładam, że to słowa Sabona?

– Tak jest.

Tamas powstrzymał uśmiech. Mógłby polubić tego człowieka. Aczkolwiek żołnierz wypowiadał się nieco zbyt swobodnie.

Zza ramienia Olema wypłynęła wąska wstążka dymu.

– Plecy ci się palą, żołnierzu?

– Nie, panie – zaprzeczył Olem.

– A dym?

– Papieros, panie.

– Papieros?

– Najnowsza moda. Tytoń równie dobry jak w tabace, a za pół ceny. Prosto z Fatrasty. Sam skręcałem.

– Brzmi jak zachęta do kupna. – Tamas poczuł skradające się rozdrażnienie.

– Mój kuzyn sprzedaje tytoń, panie.

– Dlaczego chowasz to za plecami?

Olem wzruszył ramionami.

– Panie, jesteś abstynentem i wszyscy dobrze wiedzą, że nie tolerujesz również palenia tytoniu.

– Dlaczego więc kryjesz to za plecami?

– Czekam, panie, żebyś się odwrócił, tak abym mógł się zaciągnąć.

Przynajmniej był szczery.

– Kiedyś kazałem wychłostać sierżanta za palenie w moim namiocie. Dlaczego uważasz, że ciebie potraktuję inaczej?

To było przed dwudziestu pięciu laty i Tamasa niemal zdegradowano.

– Albowiem chcesz, panie, żebym pilnował twoich pleców – odpowiedział Olem. – To logiczne, że nie każesz wybatożyć człowieka, od którego będzie zależeć twoje życie.

– Rozumiem – powiedział Tamas. Olem spoglądał na niego z powagą. Marszałek uznał, że polubił tego człowieka, chociaż pewnie nie powinien.

Przez chwilę taksowali się wzrokiem. Tamas nie mógł nie patrzeć na wstążkę dymu unoszącą się zza Olema. Po chwili poczuł i zapach. Woń nie była jakoś straszliwie odpychająca, mniej gryząca niż zapach cygara, ale nie tak miła jak aromat fajkowego tytoniu. Tamas wyczuwał nawet nutę mięty.

– Czy dostałem tę posadę, panie? – zapytał Olem.

– Naprawdę nie musisz spać?

Olem stuknął się w środek czoła.

– Zdolny jestem, panie. U nas to rodzinne. Ojciec na milę potrafił wywęszyć kłamcę. Kuzyn może zjeść więcej, niż zje stu ludzi, albo w ogóle niczego nie jeść całymi tygodniami. A moja Zdolność? Nie potrzebuję snu. Mam nawet trzecie oko, więc wiadomo, że to prawdziwa Zdolność.

Zdolnych uważano za najsłabszych wśród mających magiczne umiejętności. Zdolności zazwyczaj objawiały się jako jeden silny i mocno określony talent, czasem naprawdę potężny. Niejeden utrzymywał, że posiada jakąś Zdolność. Jednak tylko ci obdarzeni trzecim okiem – umiejętnością widzenia magii oraz tych, którzy nią władali – byli uznawani za prawdziwych Zdolnych.

– Dlaczego wcześniej nikt nie zrobił z ciebie strażnika?

– Nie rozumiem, panie.

– Z takim talentem powinieneś już dowodzić osobistą strażą jakiegoś diuka z Kezu i zarabiać więcej niż tuzin żołnierzy. Albo służyć za morzami w Skrzydłach Adoma.

– A. Mam chorobę morską – wyjaśnił Olem.

– To znaczy?

– Strażnicy bogaczy powinni być w stanie żeglować wraz ze swoimi panami. A ja na statku jestem bezużyteczny.

– Czyli że będziesz pilnował mi pleców pod warunkiem, że nie ruszę na morze?

– Na to wychodzi, panie.

Jeszcze przez chwilę Tamas przyglądał się sierżantowi. Olem był znany i lubiany – dobrze strzelał, boksował, jeździł konno, grał w karty oraz

bilard. Żołnierze uważali go za swojaka.

– Masz skazę w papierach – stwierdził marszałek. – Uderzyłeś w twarz jakiegoś na-barona. Złamałeś mu szczękę. Opowiedz mi, o co chodziło.

– Panie, oficjalnie zepchnąłem go z drogi rozpędzonego powozu – skrzywił się Olem. – Uratowałem mu życie. Pół mojej kompanii widziało.

– Pięścią?

– Tak jest.

– A nieoficjalnie?

– To był łajdak, panie. Zastrzelił mi psa, bo mu konia spłoszył.

– A gdybym to ja znalazł kiedyś powód, żeby zastrzelić ci psa?

– Walnąłbym pana w twarz.

– No dobrze. Masz tę pracę.

– Och, świetnie. – Olem wyglądał, jakby mu ulżyło. Wyjął papierosa zza pleców i zaciągnął się głęboko. Dym wypuścił nosem. – Zaraz by się skończył.

– A. Pożałuję tego, prawda?

– Oczywiście, że nie, panie. Ktoś tutaj jest.

Tamas dostrzegł jakiś ruch w pokoju.

– Już czas.

Zrobił krok w stronę drzwi i się zatrzymał. Wilczarze obudziły się i trzymały przy nogach swego pana. Tamas spojrzał wymownie na Olema.

– Panie?

– Powinieneś otwierać przede mną drzwi.

– Racja. Przepraszam, panie. Trochę potrwa, zanim się przyzwyczaję.

– Ja także – odparł Tamas.

Olem otworzył drzwi, a wilczarze przebiegły przez próg z nosami przy podłodze. Jeśli nie liczyć narastającego gwaru, który dochodził z Ogrodu, w komnacie panowała niemal całkowita cisza. Tamas, który nie spał już od kilku dni, uznał ją za kojącą.

Stał w głównym gabinecie, jeżeli tak ogromne pomieszczenie można było w ogóle nazywać gabinetem. Zmieściłby się tu niejeden dom. Komnata miała wcześniej służyć królowi jako miejsce pracy, gdzie w ciszy

i skupieniu mógł studiować i oceniać decyzje Domu Szlachty. Jednakże tak jak i wszystko, co tylko wymagało odrobiny rozumu i poświęcenia chociażby krana uwagi sprawom państwa, gabinet pozostawał niewykorzystany przez całe panowanie Manhoucha – no może poza sytuacją, gdy w minionym roku monarcha użyczał go swojej faworycie, póki nie odkryli tego królewscy doradcy, o czym Tamas wiedział z dobrze poinformowanych źródeł.

Ricard Tumblar stał przy stole z przekąskami, przebierając wśród słodkich ciasteczek i szukając najlepszych. Choć jego krótkie brązowe włosy zaczynały już rzednąć, wciąż pozostawał przystojnym mężczyzną, o pełnej twarzy i długiej brodzie noszonej na fatrastańską modłę. Założył kosztowny strój wykonany z sierści jakiegoś zwierzęcia ze wschodniej Gurli. Kapelusz i laskę, w równie eklektycznym i luksusowym guście, pozostawił przy drzwiach.

Ricard stał na czele jedynego związku zawodowego w Adopeście, a także należał do rady współspiskowców Tamasa. Był przy tym jedynym członkiem owej rady, który stanowił miłe towarzystwo dłużej niż kilka minut. Hrusch i Rechot trącały go nosami, póki nie dał im po ciastku. Pochwyciły swój łup i umknęły na podokienną otomanę.

Tamas westchnął. Nie znosił, gdy ludzie karmili jego psy. Tydzień upłynie, zanim się teraz porządnie wysrają.

– Częstuj się – powiedział głośno.

Ricard posłał mu szeroki uśmiech.

– Dziękuję, chętnie. – Wrzucił ciastko do ust i kontynuował, żując: – Zrobiłeś to, chłopie. Nie wierzyłem, a ty tego dokonałeś.

– Jeszcze nie – odparł Tamas. – Trzeba wykonać egzekucje, przywrócić w mieście porządek. Poradzić sobie z zamieszkami i rojalistami, i wciąż jeszcze muszę rozliczyć się z Kezem.

– I rządzić krajem – dodał Ricard.

– Na moje szczęście, od tego jest rada.

Ricard przewrócił oczyma.

– Zaiste, twoje szczęście. Przeraża mnie sama myśl o pracy z resztą. Trzeba nam będzie twojej mocnej ręki, żebyśmy nie rzucili się sobie do gardeł.

– Zgadzam się – powiedział Ondraus.

Podskarbi wszedł wolnym krokiem do gabinetu, z laską w ręce i grubą księgą pod pachą. Niespiesznie skierował się do królewskiego biurka, rzucił na nie foliał, a sam opadł na krzesło. Tamas zdławił protest.

Ondraus otworzył księgę. Marszałek mógłby przysiąc, że uniósł się z niej kurz. Podszedł bliżej. Była bardzo stara, na okładce złotą nicią wyszyto jakieś słowo w starodelivijskim. Coś związanego z pieniędzmi, zgadł Tamas. Strony księgi wydawały się niemal czarne. Dopiero z bliska widać było drobniutkie pismo: litery oraz liczby ujęte w tabelki, zapisane tak gęsto, że należało je oglądać przez szkło powiększające.

– Skarbiec królewski jest pusty – oznajmił Ondraus. Wyjął lupę z kieszeni i przyłożył do strony, odczytał kilka przypadkowych liczb.

Ricard gwałtownie zaczerpnął powietrza i zakrztusił się ciastkiem.

Tamas spojrzał prosto na podskarbiego.

– Jak to?

– Nie oglądałem tej księgi od śmierci Żelaznego Króla. – Ondraus wskazał tom palcem. – Zapisane są w niej wszystkie transakcje dokonane w imieniu korony przez ostatnie sto lat. Co do krana. Od kiedy Manhouch wstąpił na tron, znajdowała się w rękach jego osobistych księgowych. Trzeba przyznać, że starannie odnotowywali wszelkie wpływy i wydatki. Zgodnie z wyliczeniami w skarbcu królewskim nie ma już ani krana.

Tamas zacisnął pięści, aby powstrzymać drżenie rąk. Z czego opłaci żołnierzy? Z czego wyżywi ubogich i sfinansuje policję? Potrzebował setek milionów, a miał nadzieję na przynajmniej dziesiątki.

– Podatki. – Ondraus z hukiem zamknął księgę. – Najpierw będziemy musieli podnieść podatki.

– Nie – sprzeciwił się Tamas natychmiast. – Wiesz, że to nie wchodzi w rachubę. Jeśli zastąpimy Manhoucha jeszcze większymi podatkami,

bardziej jeszcze wzmożemy kontrolę, to w przeciągu roku nasze głowy wylądują w koszu.

– Dlaczego mielibyśmy podnosić podatki? – Arcybiskup Charlemund wszedł do gabinetu pewnym krokiem, zamiatając podłogę skrajem fioletowej szaty. Był to człowiek wysoki, silny, bardzo sprawny fizycznie. Nie utracił nic z krzepy właściwej młodości, w przeciwieństwie do większości mężczyzn w wieku średnim. Miał kwadratową twarz o gładko wygolonych policzkach i szeroko osadzonych brązowych oczach. Odziany był w drogie futra i jedwabie. Na głowie nosił niewielką czapkę wyszywaną złotem, a na palcach pierścienie tak kosztowne, że można by za nie kupić z tuzin rezydencji. Tak samo ubierali się i pozostali arcybiskupi Kościoła Kresimskiego.

– Jak widzę, założyłeś na siebie całą zawartość szafy – zauważył Ricard.

– Charlemundzie – Tamas skłonił lekko głowę.

Arcybiskup pociągnął nosem.

– Jestem człowiekiem Powroza – powiedział. – Mam tytuł, którego mógłbyś używać, chociaż ciężko mi o tym przypominać.

– Wasza Eminencjo! – Ricard udał, że zdejmuje z głowy kapelusz, i ukłonił się nisko.

– Nie oczekuję, że ktoś taki jak ty to zrozumie – odpowiedział arcybiskup. – Wyzwałbym cię na pojedynek, ale jesteś zbyt wielkim tchórzem.

– Od tego mam ludzi. – W spojrzeniu Ricarda mignął strach. Zanim arcybiskup wstąpił na służbę Powroza, był najlepszym szermierzem we wszystkich Dziewięciu. Nadal rzucał wyzwania i nie bacząc na stan kapłański, patroszył przeciwników bez litości.

– Majątki – Tamas zwrócił się do podskarbiego. – Teraz posiadamy połowę Adro, jako że każdy szlachcic i jego dziedzic zakosztują wkrótce ostrza gilotyny. Ondrausie, spodziewam się, że bardzo ci się to spodoba: wyprzedawaj majątki. Powoli, ale na tyle szybko, żeby sfinansować wszystkie omawiane przez nas projekty. Jeśli trzeba, sprzedawaj za granicą, ale zdobądź dla nas jakieś cholerne pieniądze.

– Mieliśmy plany związane z tymi majątkami – przypomniał marszałkowi arcybiskup.

– Tak, i...

– Co dzieje się z majątkami?

Tamas westchnął. Lady Winceslav weszła do komnaty w sukni, która mogłaby spokojnie konkurować z szatami arcybiskupa pod względem ilości użytego materiału i drogocennych kamieni. W jej uszach kołysały się diamentowe kolczyki. Miała około pięćdziesięciu lat, wysokie kości policzkowe oraz wąską talię. Dowodziła Skrzydłami Adoma, najbardziej elitarnymi najemnikami świata, i była rodowitą Adranką. Przez ostatnich kilka miesięcy w ramach przygotowań do przewrotu podległe jej oddziały cichcem ściągano z zagranicznych placówek do Adro. Tamas wiedział, że w najbliższym czasie będzie ich rozpaczliwie potrzebował.

Śladem lady Winceslav podążał duży, łysy mężczyzna w jednoczęściowej szacie, eunuch Szafarza, a za nim szedł Pierwszy Lektor, kanclerz Uniwersytetu Adopestańskiego. Jak nic miał tyle lat co podskarbi, za to ważył o dobrych dziesięć kamieni więcej. Z wysiłkiem podszedł do krzesła.

Wszyscy współspiskowcy Tamasa dotarli na spotkanie: pięciu mężczyzn i jedna kobieta, którzy pomogli mu zaplanować obalenie Manhoucha, a teraz decydowali o przyszłości Adro.

– Tamasie, na otchłań. – Kanclerz otarł pot z czoła. Fioletowe znamię siedziało na jego szczęce po lewej stronie niczym wielgachny pająk, sięgając ust i oka. Miał brodę, jednak na znamieniu nie rosły włosy, co nadawało staremu uczonemu wyjątkowo dziki wygląd. – Musiałeś wybrać akurat najwyższe piętro? Pożałujesz tego za kilka lat, kiedy wiek dobierze się do twoich kości.

– Pani – Tamas ukłonił się lady Winceslav, a potem kanclerzowi i eunuchowi. – Pierwszy Lektorze. Eunuchu. Dziękuję za przybycie.

Eunuch wślizgnął się do kąta i wyjrzał przez okno. Poruszał się jak węgorz i pachniał południowymi przyprawami, jednak Szafarz, najpotężniejsza postać adopestańskiego półświatka, nigdy nie zjawiał się na

spotkaniach osobiście. Wysyłał tylko swojego bezimiennego przedstawiciela.

– Nie mieliśmy dużego wyboru – odezwał się eunuch. Brzmiał niczym dziecko w kościele. – Przyspieszyłeś harmonogram.

– To nie wszystko – odezwał się Charlemund niepotrzebnie gromko. – Próbuje przejąć majątek skonfiskowany szlachcicom.

Członkowie rady zaczęli się przekrzykiwać. Tamas uniósł dłonie, by ich uciszyć.

– Nie jesteśmy tutaj po to, żeby dzielić się Adro. – Popatrzył wrogo na arcybiskupa. – Jesteśmy po to, żeby zwrócić kraj jego mieszkańcom. Skarbiec królewski jest pusty. Jeżeli chcemy w ciągu najbliższych kilku lat zachować choćby cień kontroli, rozpaczliwie potrzebujemy pieniędzy. Lady, twoi najemnicy dostaną ziemię, Ricardzie, twój związek zawodowy dostanie swoje przywileje. Każdy otrzyma swój udział.

– Piętnaście procent dla Kościoła – zażądał cicho arcybiskup, uważnie studiując własne paznokcie.

– Do otchłani z tobą – nie wytrzymał Ricard.

– Ciebie tam poślę. – Arcybiskup postąpił krok w jego stronę. Włożył dłoń pod szatę. Tumblar odsunął się niezgrabnie.

– Charlemundzie! – zawołał Tamas.

Kapłan zatrzymał się, odwrócił do marszałka.

– Kościół dostanie zwyczajową daninę w wysokości piętnastu procent. Taka była cena za nasze wsparcie.

– Cena? – powtórzył Tamas. – A ja sądziłem, że Kościół uświęcił zamach stanu dlatego, że Manhouch pozwolił swoim poddanym umierać z głodu. A może dlatego, że Manhouch opodatkował Kościół, żeby opłacić pałac pełen konkubin? Sam już nie pamiętam. Kościół dostanie pięć procent i będzie zadowolony.

– Jak śmiesz! – Arcybiskup zrobił krok w stronę Tamasa.

Tamas też postąpił krok naprzód. Jego dłoń powędrowała do krótkiej szpady na biodrze.

– Wyzwij mnie – zachęcił kapłana. – Postaram się, żeby było ciekawiej, i nie wybiorę pistoletów.

Charlemund się zawahał. Kącik jego ust uniósł się w sarkastycznym uśmieszku.

– Gdybym cię usunął, cały kraj popadłby w chaos i anarchię – powiedział. – Przede wszystkim służę bogu. Ale potem swojemu krajowi. Porozmawiam z pozostałymi arcybiskupami i zobaczę, co mogę zrobić. – Wyjął ręce spod szaty i rozłożył je w geście pokoju.

Tamas odpowiedział mu nieszczerym uśmiechem.

– Dziękuję. – Położył dłoń na rękojeści szpady.

– Skoro skarbiec królewski świeci pustkami, to skąd Manhouch brał pieniądze?

– Pieniądze Kościoła – warknął arcybiskup.

– Między innymi – sprostował Ondraus. – Zaciągnął ogromne kredyty w licznych bankach w całych Dziewięciu. Korona jest winna Kezowi prawie sto milionów krana.

Ricard gwizdnął cicho.

– Korona zaraz spadnie do kosza – zwrócił się Tamas do podskarbiego. – Kiedy zaczniesz wyprzedawać majątki szlachty, od razu spłacaj krajowe banki. Jeżeli uda się znaleźć jakieś pieniądze, to spłać naszych sojuszników.

– To głównie pieniądze z Kezu. – Ondraus wzruszył ramionami.

– Dobrze. To niech sobie gniją – powiedział Tamas z mocą.

Odwrócił się, słysząc śmiech. Eunuch cały czas stał pod oknem. Nalał sobie szklankę chłodnej wody i teraz wpatrywał się w jej dno.

– Przez twoją osobistą wendetę przeciwko Kezowi wszyscy zobaczymy niewłaściwą stronę katowskiego ostrza – stwierdził.

– To nic osobistego – warknął Tamas. Jednak zdawał sobie sprawę, że nikogo nie oszukał. Wiedzieli o jego żonie. Całe Dziewięć wiedziało. Niemniej Tamas zaprzeczał. – Ten dług tłumaczy, dlaczego Manhouch tak bardzo chciał zapisać Adro Kezowi. – Umilkł. – Czy któreś z was czytało tekst Ugód?

– Miały ograniczyć uprawnienia związków zawodowych – powiedział Ricard.

– I wyjąć spod prawa Skrzydła Adoma – dodała lady Winceslav.

– A czytaliście te fragmenty, które nie odnosiły się bezpośrednio do was?

Kanclerz uniósł rękę. Wszyscy pozostali unikali wzroku Tamasa.

– Ugody położyłyby kres Adro, jakie znamy – powiedział Tamas. – Pod każdym względem, wyjąwszy nazwę, stalibyśmy się niewolnikami Kezu. Pod rządami Manhoucha lud głoduje i kraj cierpi, a pod rządami Kezu cierpiałby jeszcze bardziej. To właśnie DLATEGO wysyłamy Manhoucha na gilotynę.

Nie dlatego, że Kez postąpił tak samo z żoną Tamasa, a Manhouch na to pozwolił.

– Zamierzasz coś powiedzieć? – spytała nieoczekiwanie lady Winceslav.

– Komu? – zdziwił się Tamas.

– Tłumowi. Musisz przemówić do ludu. Ich monarcha ma zostać ścięty. Pozostaną bez przywódcy. Muszą wiedzieć, że mają kogoś, kto nimi pokieruje w nadchodzących czasach.

W trakcie prawie nieuchronnej wojny z Kezem. Pewnie właśnie to miała na myśli.

– Nie – odparł Tamas. – Dzisiaj niczego nie powiem. Poza tym to nie ja zastąpię króla. Wasza szóstka to zrobi. Moim zadaniem będzie obrona kraju i utrzymywanie pokoju, podczas gdy wy stworzycie rząd mający na uwadze dobro ludu.

– Rozsądnie byłoby powiedzieć cokolwiek – stwierdził kanclerz, a jego znamię poruszało się dziwacznie przy każdym słowie. – Właśnie aby utrzymać pokój.

Tamas zmierzył ich wszystkich spojrzeniem.

– Teraz lud pragnie krwi, a nie słów. Pragnął jej od lat. Ja to czułem i wy to czuliście. To dlatego zebraliśmy się, aby zrzucić Manhoucha z tronu. Zamierzam dać im krew. Mnóstwo krwi. Aż się nią zadławią i porzygają. A potem moi żołnierze pokierują ich do Dzielnicy Samaliańskiej, gdzie będą mogli rabować domy szlachciców, gwałcić im córki i zabijać

młodszych synów. Pozwolę im zachłysnąć się szaleństwem. Za dwa dni stłumię rozruchy. Zostaną ogłoszone proklamacje. Moi żołnierze jedną ręką będą dławić zamieszki, a drugą rozdawać ubogim jedzenie i ubrania, a ja przywrócę porządek.

Sześciu członków rady wpatrywało się w niego w milczeniu. Lady Winceslav zbladła, a Ricard za przykładem eunucha studiował dno szklanki. Tamas pozwolił im pomyśleć przez chwilę. Zastanowić się nad tym, co był gotów uczynić, żeby strzec swojego kraju, zadbać o wymierzenie sprawiedliwości oraz przywrócenie porządku.

– Jesteś groźnym człowiekiem – zauważył arcybiskup.

– Mówisz tak, jak gdybyś potrafił kontrolować tłuszczę – odezwał się eunuch. W jego głosie zabrzmiało lekceważenie.

– Tłuszczy nie da się kontrolować – powiedział Tamas. – Ale można spuścić ją ze smyczy. Ja jestem gotów zaakceptować tego konsekwencje. Jeżeli uważacie, że musicie zaprotestować, zróbcie to teraz, ale mówię wam, ci ludzie chcą krwi.

Pozostali milczeli.

– Mamy jeszcze inne rzeczy do omówienia – podjął marszałek po chwili.

Potem zasiadł w kącie. Niewiele mówił, bardziej przysłuchiwał się, jak członkowie rady dyskutują na temat różnych szczegółów związanych z nadchodzącymi miesiącami. Trzeba wyznaczyć gubernatorów, na nowo spisać prawa, opłacić robotników. Mieli przed sobą długą oraz trudną drogę. Gwizdnął cicho, wzywając psy, a potem oparł dłonie na ich łbach i słuchał.

Uniósł głowę, gdy skrzypnęły drzwi balkonowe. Nagle zorientował się, że drzemał.

– Panie – powiedział Olem – już czas.

Marszałek wstał, potrząsnął głową, odpędzając resztki snu, podszedł do drzwi, otworzył je przed lady Winceslav.

– Pani.

Wszyscy wyszli na balkon. Tamas spojrzał na Ogród, a widok zaparł mu dech w piersiach. Z góry nie widać było ani jednego kamienia bruku.

Ludzie stali ramię przy ramieniu, szmer przyciszonych głosów brzmiał niczym plusk fal na plaży. Tłum zapełnił cały Królewski Ogród oraz wylewał się w pięć odchodzących od niego ulic. Nie miał kresu.

– Panie – odezwał się Olem.

Marszałek zmusił się, aby oderwać wzrok od ludzkiej ciżby. Szczycił się tym, że jest człowiekiem, który rzadko się lęka, ale ten ogromny tłum sprawił, że Tamas poczuł się mały. Przez chwilę zastanawiał się, czy aby nie oszalał. Nikt nie potrafiłby ujarzmić tej masy. Wystarczyło mu spojrzeć na miny towarzyszy, by zrozumieć, że podzielają jego odczucia – nawet oschły, wiecznie zirytowany Ondraus zamilkł.

Tamas poprawił kapelusz, by osłonić się przed południowym słońcem, i przesunął dłonią po policzku. Uświadomił sobie, że nie golił się już od dwóch dni i szczękę porosła mu gęsta szczecina, nieprzystająca marszałkowi polnemu w galowym mundurze.

Głosy dobiegające z placu ucichły. Odwrócił się i poczuł, jak serce nagle uderza mu szybciej, gdy zrozumiał, że wszystkie twarze zwróciły się teraz w jego stronę.

– Jeszcze nigdy nie widziałem tak wielkiego tłumu i tak skupionych słuchaczy – mruknął. – Wszystko gotowe? – zapytał Olema.

– Tak, panie.

Tamas przyjrzał się dachom okolicznych budynków. Obsadzili je jego prochowi magowie i najlepsi strzelcy, z karabinami wycelowanymi w tłum. Tamas próbował przypomnieć sobie twarz Uprzywilejowanej, która nocą zmasakrowała jego magów. Ogorzała, z siateczką zmarszczek w kącikach oczu, okolona posiwiałymi włosami. Pamiętał, że jej szaty miały zapach kurzu. Ciekawe, czy się pojawi, czy spróbuje ratować króla. Tam, w królewskim pałacu rysującym się na linii horyzontu po wschodniej stronie, Taniel i najemnicy ruszali właśnie jej tropem.

Tamas zerknął na towarzyszy, stojących wraz z nim na tarasie. Ciekawe, co by powiedzieli, gdyby im zdradził, że byli przynętą dla Uprzywilejowanej. Czuł, że Olem otworzył trzecie oko i obserwuje tłum.

– Daj sygnał – polecił.

Olem podniósł dwie flagi, dwukrotnie nimi zamachał.

Brama Szablozębu otworzyła się ze zgrzytem słyszalnym w promieniu pół mili. Przez tłum przetoczyły się gigantyczne fale, w miarę jak zgromadzeni na placu ludzie odwracali się w stronę upiornego dźwięku. Tamas pochylił się w przód, serce waliło mu w piersi niczym młot.

Z bramy więzienia wyjechali konno żołnierze. Zaczęli torować drogę przez ludzką ciżbę. Tamas dostrzegł na czele kolumny lśniącą, czarną głowę Sabona. Delivijczyk nie przestawał wykrzykiwać poleceń. Zgromadzeni na placu ludzie cofnęli się przed żołnierzami, ci zaś utworzyli kordon. Z bramy wyłoniła się zwyczajna karetka więzienna.

Tłum ryknął jak gdyby jednym głosem, naparł na żołnierzy. Przez moment Tamas obawiał się, że Sabon i jego ludzie zostaną ściągnięci z siodeł. Czy król w ogóle dotrze do gilotyny?

Żołnierze zdołali utrzymać się na pozycjach wokół karetki, krok za krokiem zmierzali w stronę placu, cały czas zmagając się z tłumem. W końcu pojazd zatrzymał się przed gilotynami, zaraz pod balkonem, na którym stał Tamas. Żołnierze stanęli w dwóch szeregach, prowadzących aż do bram Szablozębu, powstałe między nimi wolne przejście przypominało z góry olbrzymiego węża pełznącego poprzez tłum. Marszałek z wysiłkiem przełknął ślinę. Pomiędzy żołnierzami przesuwał się jeszcze jeden szereg, sięgający bram więzienia, tworzyło go ponad tysiąc osób skutych ze sobą łańcuchami, które pętały im nogi. Byli to szlachcice, ich najstarsi synowie oraz małżonki. Potargane, wykwintne stroje nic nie znaczyły dla tłuszczy, ludzie pluli i obrzucali szlachtę zgniłym jedzeniem zza pleców żołnierzy Tamasa.

– Kat przejdzie po tym na emeryturę – rzucił półgłosem Olem.

Patrząc na plac, Tamas czuł zarazem uniesienie i obrzydzenie. Ten widok stanowił kulminację dziesiątków lat snucia planów. Marszałek drżał z podniecenia i dygotał targany wątpliwościami. Jeśli jakiś jego czyn przejdzie do historii, to będzie to właśnie ten.

Po prawej, przy końcu alei Królowej Floun zapanowało jakieś poruszenie. Tamasowi serce podeszło do gardła.

– Karabin – zażądał.

Olem podał broń.

– Zapasowy ładunek.

Marszałek wziął papierową gilzę i rozdarł ją w palcach. Dotknął językiem czarnego prochu i od razu poczuł mrowienie. Wzdrygnął się i uchwycił balustrady, gdy świat zatańczył mu się przed oczyma. Zacisnął powieki, a kiedy ponownie je uchylił, wszystko widział o wiele wyraźniej. Mógł zobaczyć pojedyncze włosy na głowach osób stojących sześć pięter niżej, a także to, co działo się pół mili w głąb alei Królowej Floun.

– Dragoni – oznajmił. – Cała kompania.

Dragoni w dekoracyjnych mundurach królewskich Hielmenów parli przed siebie na potężnych rumakach bojowych. Z szablami i pistoletami w dłoniach sunęli poprzez tłum jak po pustej ulicy, nie oglądając się za siebie, tratowali kobiety oraz dzieci.

Olem nie czekał na rozkaz i uniósł flagę sygnalizacyjną. Zamachał nią nad głową, a następnie opuścił poziomo, wskazując aleję Królowej Floun. Tamas zobaczył, jak ciemno ubrani mężczyźni, ledwie kropki pośród tłumu, ruszyli we wskazanym kierunku. Byli to żołnierze słynnej Straży Górskiej, wielcy i nieokrzesani, sprowadzeni specjalnie po to, by Tamas miał choćby częściową kontrolę nad tłumem. Strzelcy na budynkach ponad aleją też odwrócili się w stronę dragonów. Tamas spojrzał szybko na Olema. Sabon dobrze opisał sierżanta. Jasnowłosy żołnierz zachowywał się jak prawdziwy zawodowiec, nawet nie mrugnął, chociaż pojawienie się Hielmenów mogło zagrozić przewrotowi.

– Nie strzelać bez mojego rozkazu – polecił Tamas. Olem przekazał rozkaz żołnierzom kilkoma ruchami flag.

Dragoni zwolnili, gdy dotarli do skraju Królewskiego Ogrodu. Nawet wierzchowce ważące po sto czterdzieści kamieni nie mogły łatwo przebić się przez taką ciżbę. Coraz więcej ludzi padało pod kopytami, bo i nie było gdzie uciekać. Tłum zwrócił się przeciwko dragonom.

Konie wreszcie się zatrzymały. Dalej musiałyby stąpać po ludzkich głowach. Dragoni popędzali je, tymczasem za nimi podniosły się jęki

i zawodzenia. To krewni i przyjaciele stratowanych krzyczeli w gniewie i rozpaczy, próbując pomóc rannym.

Pierwszy Hielmen został ściągnięty z konia, tłum zakrył go w mgnieniu oka. Pochwycono i pozostałych, którzy w panice zaczęli wymachiwać szablami. Któryś z nich strzelił, a tłum odpowiedział rykiem furii.

Jeden z Hielmenów utrzymał się w siodle przez kilka minut. Zmusił wierzchowca do tańczenia w kółko i machał szablą, utrzymując tłum na dystans. Ale i on podzielił wkrótce los swych towarzyszy i zniknął wśród tłuszczy. Tamas usłyszał, jak ktoś głośno wciąga powietrze, jakby z zaskoczenia. Lady Winceslav osunęła się zemdlona. Ponad tłum wyłoniła się głowa. Wciąż w ozdobionej piórami czapce Hielmena, ale ewidentnie brakowało jej ciała. Ludzie przekazywali ją sobie z rąk do rąk, nie bacząc na krew. Wkrótce dołączyły do niej inne głowy.

Tamas zmusił się, by patrzeć. To wszystko było jego dzieło. Dla Adro. Dla ludu.

Dla Eriki.

– Straszna śmierć, panie – stwierdził Olem. Zaciągając się papierosem, patrzył na makabryczne przedstawienie wraz z Tamasem, podczas gdy nawet Charlemund się odwrócił.

– Tak – zgodził się Tamas.

Króla i królową prowadzono na szafot. Znajdowało się na nim sześć gilotyn, jedna przy drugiej, kaci czekali gotowi. Manhouch oraz jego żona stanęli przed tłumem, obrzucani zgniłym jedzeniem. Tamas aż mrugnął, gdy skrwawiony ochłap mięsa uderzył królową w twarz, zostawiając szkarłatną smugę na jej alabastrowej skórze oraz kremowej koszuli nocnej. Zemdlała, upadła na deski szafotu. Zdawało się, że Manhouch w ogóle tego nie zauważył.

Tamas znowu spojrzał na głowy Hielmenów. Przekazywane z rąk do rąk zbliżały się do gilotyny.

Król wpatrywał się w marszałka przez chwilę, potem pogmerał w kieszeni i wyciągnął zabrudzoną kartkę. Odchrząknął, następnie zaczął przemawiać, chociaż Tamas wątpił, by ktokolwiek poza mistrzem

małodobrym słyszał jego słowa. Zgiełk wzmagał się w miarę, jak Manhouch starał się wywrzeszczeć swą przemowę, aż wreszcie monarcha umilkł, schylił głowę, uznając swą porażkę. Kat szarpnął okowy, ale król zamarł w bezruchu, aż w końcu mistrz musiał chwycić go za kark i zaciągnąć na gilotynę.

Tamas uznał, że dla tych dwojga swoistym dobrodziejstwem było, iż omdleli, zanim spadło ostrze.

Głowa Manhoucha wpadła do kosza, a na pierwsze rzędy gapiów bryznęła fontanna krwi, mimo że nie mogli podejść bliżej niż dziesięć kroków do szafotu. Królową ułożono pod drugim ostrzem, podczas gdy robotnicy wciągali na górę pierwsze. Jej głowa spadła w burzy jasnych loków.

– To zajmie cały dzień – mruknął Ricard.

– Owszem – przyznał Tamas. – I jutrzejszy też. Mówiłem, że dam ludziom tyle krwi, że się nią zadławią. – Spojrzał na karmazynową kałużę płynącą spod gilotyny ku stopom najbliżej stojących. Królewski Ogród nasiąknie krwią, kamienie placu pokryją się rdzawymi plamami.

Tamas raz jeszcze obrzucił tłum uważnym spojrzeniem i zszedł z balkonu. Uprzywilejowana się nie pojawiła. A to znaczyło, że gdzieś tam, w ukryciu, był jeszcze jeden nieznany wróg. Nie, poprawił się. Nie nieznany. Taniel ją odnajdzie.

– Zamieszki zaczną się, kiedy ludzie zgłodnieją – stwierdził, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Jutro wprowadzimy godzinę policyjną. Do tego czasu sugeruję wam wszystkim pozostanie w domach.

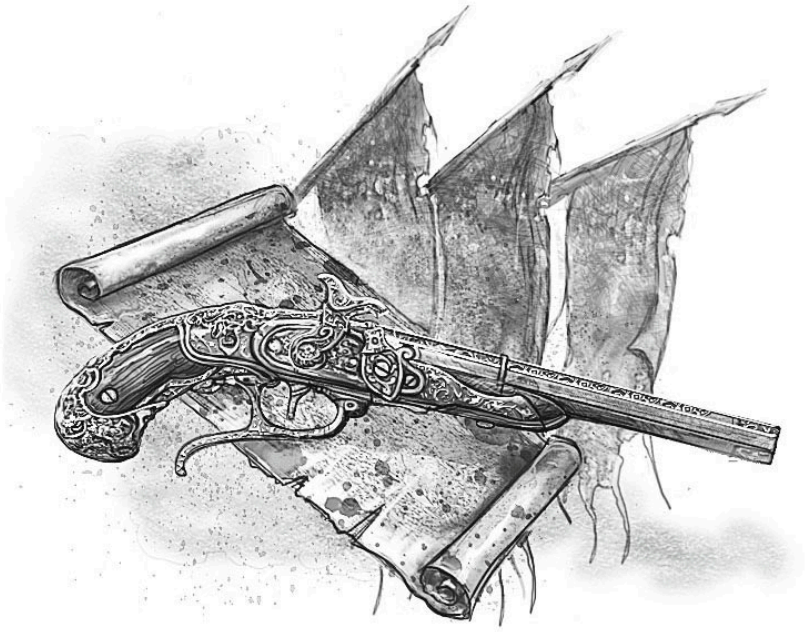

6
ROZDZIAŁ

Adamat pojechał na Uniwersytet Adopestański dorożką. Droga nie była długa, jednak zdawało się, że wszyscy mieszkańcy stolicy zmierzają do centrum, zaś uniwersytet znajdował się na obrzeżach miasta. Kiedy dorożka dotarła do Kirkamshire, morze ludzi zmieniło się w strumyk zaledwie. Na uczelni zaś panowała niesamowita cisza.

Wszyscy poszli obejrzeć egzekucję. Tamas jak nic posłał swoich najszybszych jeźdźców z wieściami na peryferie, żeby każdy miał szansę ujrzeć śmierć Manhoucha. Ryzykowne posunięcie. Lud będzie się cieszyć. Adamat się cieszył. Miał tylko nadzieję, że nie wymienili idioty na tyrana.

Kiedy przemierzał opustoszały uniwersytet, usłyszał jakiś odległy szum. Adamat uznał, że to ryk miliona świadków dekapitacji króla. Wkrótce dojdzie do pierwszych grabieży, kiedy ludzie zaczną po trochu opuszczać miejsce egzekucji i zorientują się, że wszyscy pozostawiali otwarte domy, sklepy bez opieki. Potem nastąpią zamieszki, brat zwróci się przeciwko bratu. Jeśli Kresimir pozwoli, to wtedy Adamat będzie już z powrotem w domu.

Przeszedł między solarium a biblioteką, jego kroki rozbrzmiewały echem na pustym dziedzińcu i na schodach do głównego budynku administracji. Potężne dębowe wrota okute żelazem nie były zamknięte. Za nimi Adamat mijał kolejne drzwi, prowadzące do biur, na moment zatrzymał się pod portretem obecnego kanclerza. Pierwszy Lektor nawet w młodości nie grzeszył urodą, bowiem jedną trzecią twarzy zajmowało mu fioletowe znamię, za to jako uczony nie miał ponoć sobie równych. Adamat minął biuro kanclerza i skierował się do następnych drzwi.

Były niewielkie, otwarte na oścież i zabezpieczone drewnianym klinem, a pomieszczenie za nimi wyglądało tak skromnie, że można by je wziąć za klitkę woźnego. Adamat słyszał dobiegające stamtąd drapanie staroświeckiego gęsiego pióra.

Zapukał dwukrotnie w futrynę. Za prostym biurkiem ustawionym w kącie ciasnej izby siedział młody mężczyzna. Można by przypuszczać, że gabinet asystenta kanclerza będzie zawalony papierzyskami, jednak każdy skrawek papieru, każda księga i każdy zwój zostały starannie ułożone, a wszystkie powierzchnie odkurzone. Adamat uśmiechnął się pod nosem. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– Adamacie. – Uskan odłożył pióro na podstawkę i dmuchnął kilkakrotnie na kartkę, żeby wysuszyć atrament. – Miła niespodzianka.

– Uskanie, cieszę się, że jesteś tutaj – odpowiedział Adamat – i nie oglądasz egzekucji.

Po twarzy Uskana przemknął cień. Uczony obszedł biurko i uścisnął Adamatowi dłoń.

– Jedna z moich studentek ma bardzo lekkie pióro. Kazałem jej opisać wszystko dla potomności. – Skrzywił się z niesmakiem. – Mam dużo pracy. Co mi po jakimś krwawym spektaklu?

Adamat uważnie przyjrzał się Uskanowi. Jego przyjaciel wyglądał zaiste młodo, nikt by mu nie dał czterdziestu pięciu lat. Zmarszczki świadczyły jedynie o tym, że zbyt często mruży oczy, czytając przy słabym świetle.

– To spektakl stulecia – zauważył Adamat.

– Tysiąclecia – poprawił go Uskan. Powrócił na swoje miejsce i zaproponował Adamatowi jedyne wolne krzesło w pokoju. – Jeszcze nigdy w historii Dziewięciu, od samego ich założenia przez Kresimira i jego braci, żaden król nie został zdetronizowany. Ani razu. Nawet nie wiem... nawet nie wiem, co mam powiedzieć. – Starł z twarzy zmartwioną minę opuszkami palców, jakby była drobinką kurzu. – Co słychać u Faye?

– Na szczęście jest teraz z dziećmi poza miastem.

– Szczęśliwy traf.

– Tak.

– A jak tam twoja drukarnia? – ożywił się Uskan. – Byłem tak długo zagrzebany w robocie, że nawet nie pomyślałem, aby wysłać do ciebie list. To na pewno niesamowite, oglądać tę machinę przy pracy. Pierwsza napędzana parą maszyna drukarska w całym Adro!

– Nie słyszałeś? – skrzywił się Adamat.

Uskan przecząco potrząsnął głową.

– Wybuchła.

Uskan otworzył usta ze zdumienia.

– Nie!

– Zabiła czeladnika i zniszczyła pół budynku. Wyszedłem akurat na filiżankę herbaty, a kiedy wróciłem... – Adamat zrobił gest naśladujący eksplozję. – Nie ma już wydawnictwa Adamat i Przyjaciele.

– Z pewnością byłeś ubezpieczony.

– Oczywiście. Odmówili wypłaty. Wniosłem pozew o odszkodowanie. Okazało się, że taniej im wychodzi przekupienie sędziego niż pokrycie wszystkich moich strat.

Uskan bezgłośnie poruszył wargami.

– Aż ciężko uwierzyć. Byłem przekonany, że przed tobą sława i bogactwo. Gdyby to się udało, byłbyś teraz zamożnym człowiekiem. Właśnie czytałem w gazetach, że w przeciągu ostatnich sześciu miesięcy w samym Adopeście otwarto jedenaście księgarń. Czytanie stało się bardzo modne. Poezja, powieści, książki historyczne. Ten przemysł kwitnie!

– Nawet mi nie mów.

Uskan się przygarbił.

– Adamacie, tak mi przykro.

Detektyw machnął ręką.

– Zdarza się. To było prawie rok temu. Poza tym nie przyszedłem rozmawiać o swoich kłopotach. Pracuję.

– Śledztwo? Dobrze, że zostało ci jeszcze to.

– Tak.

– Mów, jak mogę ci pomóc – powiedział Uskan.

– Muszę zdobyć informacje o czymś, co nazywa się Złamana Obietnica Kresimira albo Obietnica Kresimira.

Uskan odchylił się na oparcie krzesła i spojrzał w sufit.

– To jakoś brzmi... – powiedział po kilku chwilach. – Mam coś na końcu języka. Ale nie potrafię sobie przypomnieć. Nie każdy ma twoją Zdolność. – Wstał. – Sprawdźmy to.

Wyszli z budynku władz, przeszli do biblioteki. Ktoś pomyślał, aby zamknąć wiekowe drzwi do księgozbioru, jednak Uskan miał przy sobie klucze.

Za przedsionkiem znajdowała się szeroka, otwarta przestrzeń wysokości trzech kondygnacji. Wydawało się, że wszędzie wokół są schody i drabiny, a stoły do lektury ktoś porozmieszczał przypadkowo na skraju regałów albo pod oknami.

– Mam nadzieję, że wiesz, gdzie zacząć te poszukiwania – powiedział Adamat. Zupełnie zapomniał, jak wielka jest ta biblioteka, nie zaglądał tu od dekady. – W przeciwnym wypadku spędzimy tu cały dzień.

Uskan pewnym krokiem skierował się na prawo i do najbliższych schodów.

– Chyba wiem – uspokoił detektywa. – Chociaż to może chwilę potrwać. Ostatnio znacznie powiększyliśmy nasz księgozbiór, a ja nie miałem tyle czasu na lekturę, ile bym chciał. Ale nie będę się przecież skarżył, że biblioteka ma nowe książki. Przemysł wydawniczy rozkwita, ale książki w dalszym ciągu są drogie. – Zerknął na Adamata. – Dopiero parowa maszyna drukarska mogłaby to zmienić.

Adamat przewrócił oczyma. Przyjaciel miał jak najlepsze intencje, ale mówił tak, jak gdyby wybuch stanowił tylko winę detektywa.

Uskan odliczył rzędy półek i niezwłocznie skierował się do właściwej. Chwycił wysuwaną drabinę i pchnął w górę, w poprzek stojącego przed nim regału. Głos naukowca odbijał się echem w pustej przestrzeni ponad zbiorami ksiąg.

– Zazwyczaj to Uniwersytet Jilemański dostaje wszelkie dotacje na zakup książek. Archiwum Publiczne w Adopeście ma kolekcję dwa razy większą od naszej. Dlaczego tam najpierw nie poszedłeś?

Adamat przestał wędrować palcami po skórzanych grzbietach ksiąg. Lubił biblioteki. Były suche, pełne kurzu i pachniały papierem, co detektywowi kojarzyło się z wiedzą. A wiedza stanowiła dlań sprawę najważniejszą.

– Bo centrum miasta to teraz jeden wielki zwierzyniec. Egzekucje, pamiętasz?

Uskan odwrócił się do niego i zamrugał.

– Och, racja. – Powrócił do przesuwania drabiny. – Jeżeli tutaj nam się nie poszczęści, przejdź się do Archiwum. Jest całkiem nieźle urządzone. Mają tam paru bardzo uzdolnionych bibliotekarzy. Odsyłacze „teologia” i „historia”... A przynajmniej od tego zamierzam rozpocząć poszukiwania. – Uskan wreszcie wspiął się po drabinie. Ciężkie żelazo szczebli zagrzechotało pod jego ciężarem, więc Adamat wyciągnął rękę i je przytrzymał.

– Staram się w ogóle nie odnosić do teologii.

Na wysokości dziesięciu stóp Uskan zaśmiał się niewesoło.

– A kto to dzisiaj robi? – Umilkł na chwilę. – Hm, to dziwne.

– Co?

Drabina zagrzechotała i uczony znalazł się obok Adamata.

– Brakuje tych książek. Ktoś je musiał wypożyczyć. Tylko wykładowcom wolno wynosić książki z biblioteki, a nasz wydział teologii jest akurat w rozsypce. Składa się z trzech braci, którzy pół roku spędzają na urlopie naukowym w cieplejszych krajach. Dzisiaj już mało kto studiuje teologię. Teraz wszystko kręci się wokół matematyki oraz innych nauk ścisłych i przyrodniczych. Na Kresimira, od kiedy zacząłem tutaj pracować, nasze wydziały fizyki i chemii powiększyły się czterokrotnie. – Zerknął w górę drabiny, ku pustym miejscom na półce. – Doskonale pamiętam... Nieważne, poszukajmy gdzie indziej.

Adamat ruszył za przyjacielem na trzecią kondygnację. Jednak książki, których Uskan szukał, również zniknęły, tak jak i z kolejnych dwóch miejsc.

– Ktoś musi pracować nad dysertacją z teologii. – Uskan oparł się o półkę i otarł czoło. – Ci cholerni studenci teologii zawsze zabierają książki. Niewielu ich teraz mamy, ale jak już są, to im się wydaje, że to miejsce jest ich własnością, bo ich dziadkowie dali jakiś grant czy inne wsparcie.

Adamat nie był pewien, ile może wyjawić staremu przyjacielowi. Pytanie o samą Obietnicę nie niosło ze sobą zbyt wielkiego zagrożenia, jednak detektyw wolał, by o naturze jego śledztwa wiedziało jak najmniej osób. Nie było sensu ryzykować piętna zdrajcy, skoro Tamas jeszcze oficjalnie nie przejął władzy.

– Masz może jakieś książki z czasów Pomrocza? Słyszałem, że z tamtej epoki pochodzi sporo pism traktujących o Kresimirze.

– Gdzie to słyszałeś?

– Czytałem w gazecie, wczesną wiosną, trzy lata temu.

– Pfff, w gazetach wydrukują każdą bzdurę. Z pewnością były to czasy wyjątkowo religijne, ale ponure i ciemne, jeśli chodzi o naukę. Kresimir

i jego bracia zniknęli. Nowe monarchie uwikłane były w konflikt z Predei, starożytną kastą potężnych Uprzywilejowanych. W ogóle niewiele przetrwało z tamtych czasów. Kanclerz powiedział mi kiedyś, że gdybyśmy mieli połowę tej wiedzy na temat magii i nauk ścisłych, jaką mieliśmy w czasach Kresimira, a z czego większość przepadła bezpowrotnie w epoce Pomrocza, to żylibyśmy teraz w złotym wieku, zarówno szlachta, jak i prosty lud.

– No cóż, sprawdźmy może pod „teologią”, „historią” i „czarami”.

– Jeszcze z ciebie zrobię bibliotekarza – stwierdził Uskan.

– Co wiesz na temat czarów? – zainteresował się Adamat.

– Filozofia czarów to takie moje hobby, chociaż sam nie mam w tym kierunku żadnych zdolności. Dziadek był Uprzywilejowanym. Dokładniej uzdrowicielem.

Uskan umilkł na chwilę i spojrzał na Adamata wyczekująco.

– Tak? – zapytał detektyw.

Uskan zmarszczył brwi.

– Uzdrowicielem. To najrzadsi z Uprzywilejowanych. Wiedzą o tym nawet dzieci w szkole. Mówi się, że ciało ludzkie jest tak bardzo złożone, że tylko jeden na stu Uprzywilejowanych ma zdolności uzdrawiania wyższe od podstawowych.

– Czyli że rzadko.

– Adamacie, bardzo rzadko. Na Kresimira, z twoim przywiązaniem do szczegółów można byłoby się spodziewać, że wiesz takie rzeczy. Czy ty w ogóle się nie znasz na czarach?

– Nie bardzo – przyznał Adamat. Jego świat sprowadzał się do ulic miasta, obywateli tego miasta i kryminalistów działających w mieście. Nie miał czasu na czary i szczerze mówiąc, były mu obce. Od czasu do czasu natykał się na jakąś dziwną Zdolność, ale silniejsza magia stanowiła właściwie dziedzinę kamaryli, a inspektorowi jakoś nie było z nimi po drodze. Cała jego wiedza brała się z tych kilku godzin lekcji, które pobrał jako chłopiec.

– Jesteś Zdolnym – zauważył Uskan. – To znaczy, że masz trzecie oko, prawda?

– Tak, ale nie wiem, co to może mieć wspólnego z...

– Czyli kiedy je otworzysz, dostrzegasz aury wszelkich rzeczy i możesz spojrzeć w to, co Uprzywilejowani nazywają Nieświatem?

Ostatnimi czasy Adamat rzadko otwierał trzecie oko. W najlepszym wypadku towarzyszyło temu nieprzyjemne uczucie, jednak pamiętał blask, który wtedy otaczał wszystko, jak gdyby świat malowano żywymi pastelami.

– Tak.

– Uprzywilejowani manipulują Nieświatem – powiedział Uskan. – Każdy z palców Uprzywilejowanego związany jest z jednym z żywiołów: ogniem, ziemią, wodą, powietrzem oraz eterem.

– Ale ogień nie jest żywiołem – zauważył Adamat. – To efekt procesu spalania.

Uskan pociągnął nosem.

– Trochę cierpliwości. W świetle odkryć z ostatnich stu lat powyższa definicja, owszem, została uznana za niedoskonałą, jednak jest najlepszą, jaką mamy. Każdy palec odpowiada jednemu z żywiołów i temu, jak silny jest Uprzywilejowany w danej materii, przy czym kciuk wskazuje zawsze żywioł najsilniejszy. Uprzywilejowany używa swojej wiodącej ręki, najczęściej prawej, aby wzywać aurę tego, czym chce manipulować w Nieświecie. Potem używa drugiej ręki, żeby kierować tymi aurami, kiedy już zostaną ściągnięte do naszego świata.

– A jak w takim razie działa magia prochu?

– Nie mam zielonego pojęcia. Uprzywilejowani nienawidzą prochowych magów, a kamaryla od zawsze utrudniała badania w tej dziedzinie.

– Skąd taka nienawiść? – Adamat słyszał, że większość Uprzywilejowanych jest wręcz uczulona na proch.

– Ze strachu – powiedział Uskan. – Większość czarów Uprzywilejowanych ma zasięg poniżej pół mili. Prochowi magowie mogą strzelać z dwukrotnie większej odległości. Kamaryla nie znosiła

pozostawać na słabszej pozycji. Słyszałem także, że chociaż wszystkie rzeczy, żywe, umarłe albo związane z żywiołami, mają w Nieświecie swoje aury, to proch strzelniczy jej nie ma, co bardzo denerwuje Uprzywilejowanych. Aha, jesteśmy na miejscu.

Uskan zatrzymał się przed regałem z książkami. Przesunął palcami po kilku okładkach, wyjął tomy i ułożył w stos na rękach Adamata, zarazem spowijając detektywa obłokiem kurzu, jaki wzbił się z kart.

– Brakuje tylko jednej – powiedział Uskan. – Wiem, gdzie jest. W gabinecie kanclerza.

– Możemy ją zabrać?

– Kanclerza nie ma, wcześnie rano wezwano go do Adopestu w jakiejś pilnej sprawie. Nie mam klucza do jego gabinetu. Musimy poczekać, aż wróci.

Usiedli przy jednym ze stołów i zaczęli przeglądać wybrane książki. Adamat otworzył pierwszą. Skrzywił się.

– Uskanie?

– Hmm? – Uskan spojrzał w stronę przyjaciela. Zerwał się na równe nogi i okrążył stół. Adamat jeszcze nie widział, by uczony poruszał się tak szybko. – Co to jest?! Kto to zrobił, do otchłani?!

Pierwszych kilka stron księgi zostało wyrwanych, a na tuzinach innych zamazano całe akapity tekstu, jak gdyby ktoś umoczył palce w tuszu i mazał nimi po kartach.

– Te księgi są bezcenne! – Uskan otarł czoło chusteczką i zaczął przechadzać się nerwowo za plecami Adamata. – Kto mógłby zrobić coś takiego?!

Adamat pochylił się i zmrużywszy oczy, studiował uważnie miejsce po wyrwanych stronach. Księga została spisana na pergaminie, grubszym niż współczesny papier i cztery razy mocniejszym. Krawędź oderwanej strony była nieco poczerniała.

– Jakiś Uprzywilejowany – stwierdził Adamat.

– Skąd wiesz?!

Adamat zaprezentował nierówny brzeg, jaki pozostał po wydartych kartach.

– Czy znasz coś poza czarami, co mogłoby tak przypalić pergamin, nie niszcząc reszty książki?

Uskan znów zaczął chodzić w tę i we w tę.

– Jakiś Uprzywilejowany! A niech ich Kresimir pokarze! Powinni znać wartość ksiąg!

– Myślę, że znają – zauważył Adamat. – Inaczej wszystko by spalili. Sprawdźmy pozostałe księgi. – Sięgnął po kolejny tom, a potem jeszcze jeden. Siedem z jedenastu książek, które zdjęli z półek, miało zamazane akapity albo powyrywane strony. Gdy skończyli je przeglądać, Uskan aż kipiał ze złości.

– Czekaj, aż się o tym dowie kanclerz! Pójdzie prosto do pałacu i zrobi z tych Uprzywilejowanych marmoladę, on...

– Tamas stracił wszystkich członków kamaryli.

Uskan zamarł. Jego nozdrza nadal jeszcze się rozdymały, usta wykrzywiał grymas wściekłości.

– To znaczy, jak sądzę, że nie otrzymamy za to odszkodowania.

Adamat pokręcił przecząco głową.

– Zobaczmy, co tutaj mamy.

Przeglądali księgi jeszcze przez jakiś czas i znaleźli osiem różnych miejsc, w których zamazany tekst mógł zawierać jakieś odniesienia do Obietnicy Kresimira. Akapitów nie dało się jednak odczytać.

– Ostatnia księga – powiedział Adamat. – Ta w gabinecie kanclerza...?

– Tak. – Uskan zamyślony drapał się po głowie. – „W służbie Króla”. Określa obowiązki królewskich kamaryli w zakresie ochrony królów Dziewięciu. Bardzo znana praca.

Adamat wygładził przód płaszcza.

– Zobaczmy, czy zostawił otwarte drzwi.

Uskan odłożył księgi na miejsce i pogonił za Adamatem na dziedziniec biblioteki.

– Na pewno są zamknięte – zaręczył bibliotekarz. – Poczekajmy lepiej, aż wróci. Kanclerz dba o swoją prywatność.

– Prowadzę śledztwo – stwierdził Adamat, ponownie wchodząc do głównego budynku administracji.

– To nie znaczy, że masz prawo przeszukiwać cudze gabinety! Poza tym drzwi będą zamknięte.

Uśmiechnął się triumfalnie, kiedy Adamat bezskutecznie nacisnął klamkę.

– Nic nie szkodzi. – Detektyw przykucnął i wydobył mały zestaw wytrychów, noszony w bucie.

– Co?! – Uskan patrzył na to oczyma wielkimi jak spodki. – Nie, nie możesz tego zrobić!

– Jak myślisz, kiedy wróci kanclerz?

– Dopiero wieczorem. Ja... – Uskan uświadomił sobie swój błąd, gdy Adamat zaczął gmerać wytrychem w zamku. Westchnął ciężko, oparł się o ścianę. – Powinienem odpowiedzieć, że może wrócić w każdej chwili – mruknął.

– Jesteś fatalnym kłamcą – stwierdził Adamat.

– Tak, to prawda. I nie będę umiał skłamać kanclerzowi, kiedy zapyta, czy ktoś był u niego w gabinecie.

– Daj spokój. Nie dowie się.

– Oczywiście, że się dowie, jak możesz...

Zamek kliknął i detektyw delikatnie uchylił drzwi. Gabinet kanclerza wyglądał dokładnie tak, jak się tego Adamat spodziewał. Wszędzie leżały księgi i dokumenty. Talerze z resztkami posiłków można było znaleźć na krzesłach, stołach, nawet na podłodze. Pod wszystkimi ścianami stały regały z książkami, wysokością dwukrotnie przewyższające dorosłego mężczyznę, zapchane do granic wytrzymałości, ich półki uginały się pod zbyt wieloma foliałami, ryzykownie ułożonymi jedne na drugich.

– Niczego nie ruszaj – naciskał Uskan. – On dokładnie wie, gdzie zostawił każdą rzecz. Zorientuje się, jeśli... – Umilkł pod spojrzeniem Adamata. – Pozwól, że ja poszukam tej książki – oznajmił ponuro.

Detektyw posłusznie zatrzymał się na skraju papierowo-atramentowej dżungli, którą stanowił gabinet kanclerza, zaś Uskan szukał brakującej księgi z naturalnym wdziękiem sekretarza. Papiery były podnoszone, talerze i książki przesuwane, jednak wszystko wracało dokładnie na swoje miejsce.

Adamat stał na palcach i uważnym spojrzeniem lustrował pokój.

– Czy to ta? – zapytał, wskazując na środek biurka kanclerza.

Uskan wystawił głowę spod krzesła.

– Och tak.

Adamat ostrożnie zbliżył się do biurka, delikatnie uniósł książkę i zaczął ją wertować. Uskan stanął obok niego.

– Nie ma uszkodzonych kartek – oznajmił Adamat. Przeglądał pobieżnie strony, szukając wiadomych dwóch słów. Znalazł je na samym końcu, w posłowiu na ostatniej stronie. – „A oni strzec będą Obietnicy Kresimira własnym życiem, albowiem jeśli zostanie złamana, wszystkich Dziewięć może sczeznąć” – przeczytał głośno. Sprawdził jeszcze raz treść na stronie i na dwóch kolejnych. Nie znalazł żadnych innych odniesień. – To nie ma sensu – stwierdził, wpatrując się w kartki ponurym wzrokiem.

Uskan dźgnął palcem środek książki.

– Co?

– Znowu brakuje stron – wyjaśnił uczony. – Połowy posłowia. – Głos drżał mu z wściekłości.

Adamat przyjrzał się bliżej. Strony starannie usunięto z księgi. Ta księga została złożona innym sposobem niż pozostałe i trudno było w ogóle zauważyć, że zniknęły jakieś strony. Westchnął.

– Gdzie mogę znaleźć inny egzemplarz tej książki?

Uskan pokręcił głową.

– Może w Archiwum Publicznym. Sądzę, że egzemplarz może mieć także uniwersytet w Nopeth.

– Nie spędzę ponad połowy miesiąca w powozie po to, by „może” znaleźć książkę w Nopeth – sarknął Adamat. Zatrzasnął wolumin i odłożył go na biurko kanclerza. – Sprawdzę w Archiwum Publicznym.

– Ale przecież zamieszki... – zaprotestował Uskan, kiedy Adamat ruszył do drzwi.

Detektyw się zatrzymał.

– Archiwum zamknęli – argumentował dalej Uskan. – Znajdują się tam spisy podatkowe, dzieje rodów, nawet zamknięte depozyty. Na pewno postawili tam straże, Adamacie.

To akurat stanowiłoby problem jedynie wtedy, gdyby go złapano.

– Dziękuję za pomoc – powiedział detektyw. – Daj mi znać, jeśli coś jeszcze znajdziesz.

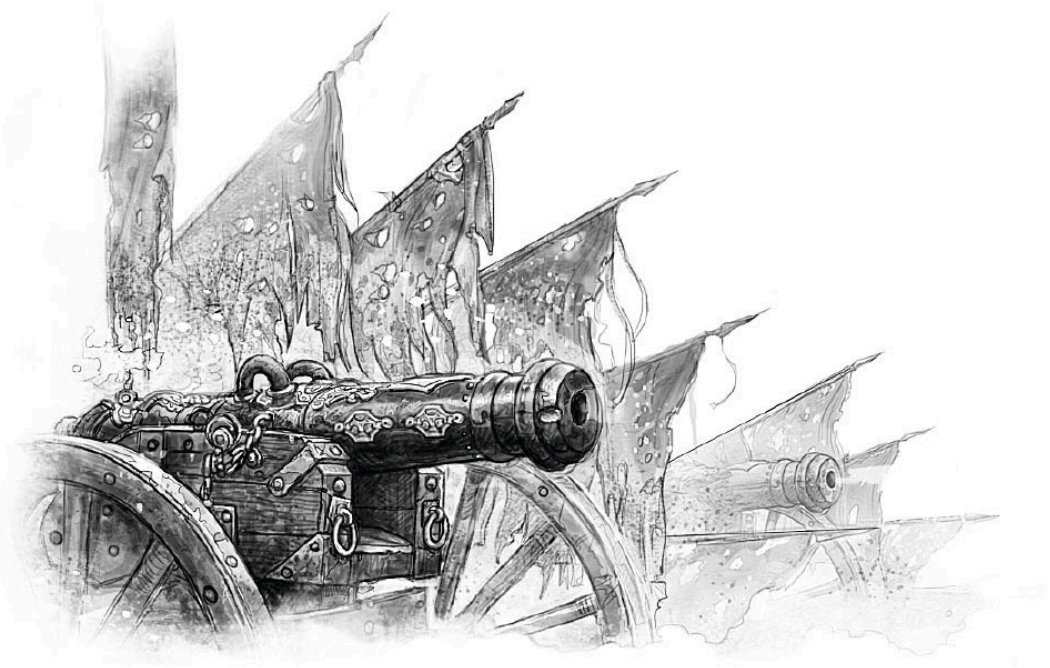

7
ROZDZIAŁ

Taniel obserwował tłum, posuwający się nieustannie w dół ulicy, i zastanawiał się, czy owi ludzie mogliby stanowić dla niego poważny kłopot.

Miasto ogarnął chaos. Budynki płonęły, ulice tarasowały poprzewracane wozy, na każdym kroku można było natknąć się na ciała tych, którzy padli ofiarą rabusiów, albo i na co gorszego. Wydawało się, że wiatr nigdy nie rozwieje dymu, który zawisł nad miastem.

Taniel przerzucał kartki szkicownika. Notes otworzył się na portrecie Vlory. Chłopak patrzył na rysunek przez chwilę, a potem złapał grzbiet kajetu i wydarł stronę. Zmiął, cisnął na ulicę. Spojrzał na poszarpaną

krawędź w zeszycie i od razu pożałował, że go zniszczył. Nie miał pieniędzy na nowy szkicownik. Sprzedał wszystko, co miał cennego, żeby w Fatraście kupić pierścionek z brylantem. Ten przeklęty pierścionek, który później zawisł przyszpilony do fircyka w Jilemanie. Taniel wciąż jeszcze miał przed oczyma krew tryskającą tamtemu z ramienia, pamiętał szkarłat kapiący z pierścienia, gdy wsuwał klejnot na szpadę rywala, zanim wbił ostrze w jego ciało.

A trzeba było zatrzymać pierścionek. Teraz mógłby go zastawić w lombardzie. Z wysiłkiem przełknął ślinę. Żałował, że odchodząc, nie powiedział czegoś – czegokolwiek – Vlorze, która stała w drzwiach sypialni, przyciskając prześcieradło do piersi.

Sprawdził godzinę na zegarze na pobliskiej wieży. Jeszcze cztery godziny, zanim żołnierze ojca zaczną przywracać porządek. Jeżeli na ulicach po północy zostanie jakiś motłoch, będzie miał do czynienia z ludźmi marszałka polnego Tamasa. Żołnierzom nie będzie łatwo uporać się z tłumem. Ostatnimi czasy w Adopeście nie brakowało zrozpaczonych ludzi.

– Co myślisz o tych najemnikach? – zapytał Taniel. Podniósł zmięty portret Vlory i rozprostował na udzie, nim na powrót wetknął go do szkicownika.

Ka-poel wzruszyła ramionami. Przyglądała się tłumowi, który zbliżał się do nich nieuchronnie. Na jego czele szedł jakiś rosły mężczyzna, farmer w znoszonym, starym kombinezonie, w dłoni ściskał zaimprowizowaną pałkę. Zapewne przeprowadził się do miasta, żeby pracować w fabryce, ale nie mógł wstąpić do związku zawodowego. Ujrzał Taniela i Ka-poel stojących w drzwiach zamkniętego sklepu i odwrócił się w ich stronę, unosząc broń. Szykował się zwiększyć liczbę ofiar.

Taniel przesunął palcem po krawędzi skórzanej kurtki i dotknął rękojeści pistoletu na biodrze.

– Przyjacielu, wcale nie chcesz kłopotów – powiedział. Dłonie Ka-poel zacisnęły się w małe piąstki.

Wzrok farmera zawadził o srebrną beczułkę prochu na piersi Taniela. Mężczyzna opuścił rękę z pałką i powiedział coś do kompana z tyłu. Obaj szybko skierowali się w inną stronę. Reszta podążyła za nimi, rzucali Tanielowi ponure spojrzenia, ale nikt nie odważył się zadzierać z prochowym magiem.

Chłopak odetchnął z ulgą.

– Tej dwójki wynajętych zbirów coś długo nie ma.

Julene, Uprzywilejowana najemniczka, oraz Gothen, pogromca magów, podążyli śladem Uprzywilejowanej z pałacu już niemal godzinę temu. Jest blisko, twierdzili, wyśledzą ją, a potem wrócą do Taniela i Ka-poel. Tymczasem Taniel zaczynał podejrzewać, że para najemników zdezerterowała.

Ka-poel dźgnęła się kciukiem w pierś, a potem osłoniła oczy, wystawiając głowę tak, jak gdyby czegoś wypatrywała.

– Tak, wiem, że możesz ją znaleźć. – Taniel skinął głową. – Ale pozwolę tamtym poczynić przygotowania. I tak nadają się tylko do...

Głowa Taniela uderzyła o kamienną ścianę budynku za jego plecami, w uszach zadudniło mu od nagłej eksplozji. Ka-poel wpadła na niego z impetem, zdołał ją chwycić, nim upadła. Pomógł dziewczynie stanąć pewnie, potrząsnął głową, żeby pozbyć się dzwonienia w uszach.

Był kiedyś pół mili od składu amunicji, w którym zapalił się proch. To przypominało ową eksplozję, tyle że tym razem zmysły Naznaczonego podpowiadały mu, iż przyczyną wybuchu nie jest proch, a czary.

W niebo wytrysnął strumień ognia, niecałe dwie przecznice od nich, i zgasł równie szybko, jak się pojawił. Taniel usłyszał krzyki. Spojrzał na Ka-poel. Oczy miała szeroko otwarte ze zdumienia, ale wydawało się, że nic jej nie jest.

– Dalej – rzucił już w biegu.

Pędem minął ludzi porozrzucanych na bruku jak dziecięce zabawki, następnie skręcił za róg, kierując się do miejsca eksplozji. W tym samym momencie wpadł na kogoś i stracił równowagę. Upadł, ale zerwał się niemal w tej samej chwili. Ledwie zerknął na osobę, z którą się zderzył.

Biegł już znowu, kiedy uświadomił sobie, kogo zobaczył: starszą kobietę o siwych włosach, w prostej, brązowej kurtce i rękawicach Uprzywilejowanej.

Taniel obrócił się w miejscu, wyciągając pistolet.

– Stój! – krzyknął.

Ka-poel wypadła zza rogu, prosto na linię strzału. Opuścił pistolet i pobiegł w stronę towarzyszki. Nad szczupłym ramieniem dziewczyny widział, jak Uprzywilejowana się odwraca. Jej palce zatańczyły, a Taniel poczuł żar płomieni, kiedy Uprzywilejowana dotknęła Nieświata.

Złapał Ka-poel i padł na ziemię. Ogniste kule wielkości pięści przemknęły mu tuż przy twarzy, na tyle gorące, by osmalić włosy. Uniósł pistolet i wycelował. Poczuł, jak ogarnia go spokój prochowego transu. Nacisnął spust.

Pocisk trafiłby kobietę w samo serce, gdyby akurat się nie potknęła. Zamiast tego uderzył w jej ramię. Szarpnęło nią, warknęła na Taniela, obnażając zęby.

Prochowy mag rozejrzał się szybko. Potrzebował schronienia, gdzie mógłby przeładować broń. Stary ceglany magazyn, odległy o dwadzieścia kroków, wydawał się odpowiedni.

– Pora ruszać. – Szarpnięciem podniósł Ka-poel na nogi i pobiegł w stronę magazynu.

Kątem oka spostrzegł, że palce Uprzywilejowanej zatańczyły. Oglądanie Uprzywilejowanej dotykającej Nieświata byłoby bez wątpienia fascynujące – gdyby ta nie starała się właśnie zabić Taniela. Uzdolniony Uprzywilejowany mógł cisnąć ognistą kulą albo przywołać błyskawice.

Ziemia zadrżała pod stopami Taniela i Ka-poel. Dotarli do magazynu, lecz w tej samej chwili budynek zadygotał. Taniel niemalże czuł moc wzbierającą, by rozedrzeć gmach na strzępy, a ich samych pogrzebać pod gruzami, i krzyk wyrwał mu się z gardła.

Budynek zatrzeszczał, drgnął gwałtownie, lecz się nie rozpadł. Z pęknięć, które nagle pojawiły się w zaprawie, poszedł dym. Rozległo się donośne „łup” i wszystko znieruchomiało. Żyli. Coś powstrzymało czary

Uprzywilejowanej. Taniel zerknął na Ka-poel. Z drżeniem wypuścił powietrze.

– To ty?

Ze spojrzenia Ka-poel nie dało się nic wyczytać. Wskazała coś palcem.

– Za nią. Teraz. Chodź.

Wyskoczył na ulicę. Zatrzymał się na widok biegnących Julene i Gothena.

Najemniczka wyglądała tak, jak gdyby baryłka prochu eksplodowała jej prosto w twarz. Włosy miała przypalone, ubranie okopcone. Nawet Gothen miał dziki wzrok i czarne ślady na koszuli, a przecież magia nie powinna go nawet tknąć. Szpada w jego dłoni straciła chyba stopę ostrza.

– Co wy, do otchłani, wyprawiacie?! – zawołał Taniel. – Mieliście po mnie wrócić, zanim wyruszycie w pościg!

– Nie potrzebujemy, żeby jakiś cholerny Naznaczony plątał nam się pod nogami. – Julene poparła swoje słowa wulgarnym gestem.

– Ona w ogóle nie powinna wiedzieć, że tutaj jesteśmy – bronił się Gothen zakłopotany. – A jednak wiedziała.

– I to jej dzieło? – Taniel wskazał złamane ostrze.

Gothen zmarszczył brwi.

– Do otchłani z tym! – Cisnął resztą szpady na ziemię.

– Jeszcze chwilę pogadamy, to ją zgubimy – zreflektował się Taniel. – Julene, spróbuj zajść ją z boku, a ja...

– Nie będziesz mi rozkazywał. – Uprzywilejowana pochyliła się do przodu. – Chwycę ją prosto za gardło. – Podciągnęła rękawice i pobiegła ulicą.

– Cholera! – Taniel klepnął Gothena po ramieniu. – No to ty ze mną.

Ruszyli w boczną uliczkę, a potem skręcili w pierwszą większą przecznicę, biegnąc równolegle do Julene.

– Co się stało, u licha? – zapytał Taniel.

– Znaleźliśmy ją w sklepie astronoma – wyjaśnił Gothen między jednym łapczywym oddechem a drugim, biegł jednak nadal, podzwaniając bronią i oprzyrządowaniem. – Okrążyliśmy to miejsce, sprawdziliśmy wszystkie

wyjścia i zastawiliśmy pułapkę. Szykowaliśmy się, żeby wejść do środka, kiedy nagle cały front gmachu wyleciał w powietrze. Julene ledwie zdołała się osłonić. Nawet ja poczułem żar eksplozji! Coś takiego w ogóle nie powinno się zdarzyć. Powinienem być w stanie zneutralizować każdą aurę z Nieświata. Ani ogień, ani energia nie powinny mnie sięgnąć. A jednak dosięgły.

– Jest potężna.

– Bardzo – potwierdził Gothen.

W wylocie alejki Taniel zobaczył przyspieszającą nagle Julene. Zatrzymał się gwałtownie, gestem nakazując Gothenowi zrobić to samo. Odetchnął głęboko. Coś było nie tak. Odwrócił się.

– Ka-poel?

Dziewczyna zatrzymała się. Położyła palec na ustach, oczy miała na wpół zamknięte. Wskazała w głąb uliczki.

Taniel, wciąż bez słowa, kazał Gothenowi iść przodem. Pogromca powinien unieszkodliwić wszelkie pułapki i powstrzymać miotaną w nich magię. Taniel uniósł pistolet, celując tuż ponad ramieniem Gothena. Alejkę wypełniały śmieci: odpadki, błoto i gówno, do tego kilka przegniłych beczułek. Nie było gdzie się tu schować. A południowe słońce zalewało wszystko jasnym światłem.

– Tutaj! – Gothen skoczył do przodu. Taniel dostrzegł jakiś ruch w alei przed nimi. Zamrugał, chcąc widzieć wyraźniej. Wydawało się, że światło załamywało się samo, tworząc niby-cień, który mógł skryć człowieka.

I wtedy Uprzywilejowana się pojawiła. Jej dłonie drgnęły, uniosła je w stronę Gothena. Pogromca magów przygotował się na atak.

Powietrze zamigotało, rozpalone żarem formowanego czaru. Gothen wrzasnął, na szyi wystąpiły mu żyły. Taniel strzelił.

Pocisk odbił się rykoszetem od skóry Uprzywilejowanej i przepadł gdzieś w alejce. Czarodziejka wyrzuciła dłonie przed siebie. Gothen zatoczył się i upadł.

W ceglaną ścianę budynku wmurowano uchwyty prowadzące na dach. Uprzywilejowana wspięła się po nich ze sprawnością młódki. Zanim Taniel

zdołał przeładować pistolet, była już na szczycie budynku, dwie kondygnacje wyżej. Wciągnął szczyptę prochu i ruszył jej śladem.

– Nie zgubcie jej! – zawołał do Gothena. Ka-poel popędziła do głównej ulicy, by śledzić, dokąd kieruje się Uprzywilejowana.

Taniel dotarł na górę, wskoczył na dach. Uprzywilejowana dała susa na sąsiedni budynek, odwróciła się i cisnęła w prześladowcę kulą ognistą. Taniel, niesiony prochowym transem, był w stanie ZOBACZYĆ aury jej czarów, WYCZUĆ, jaką drogę obierze ognista kula. Uchylił się i przetoczył, a potem z powrotem stanął na nogi. Uciekała, ślizgając się po glinianych dachówkach, które klekotały pod jej stopami.

Taniel bez trudu przeskoczył na kolejny budynek. Na chwilę zniknęła mu z oczu za stromizną dachu, ale zaraz zobaczył ją znowu. Skoczyła na następny dach.

Taniel strzelił.

I ponownie trafił, jednak i tym razem nie upadła. To był pewny strzał, w sam kręgosłup. Powinna zginąć albo co najmniej zwalić się ranna. Tymczasem ledwie się zachwiała.

Wcisnął pistolety w kabury, chwycił przewieszony przez plecy karabin. Nasadził bagnet. Dostanie ją, nie tym sposobem, to innym.

Prochowy mag w pełnym transie potrafił prześcignąć konia. Przeskoczyli na następny dach, i jeszcze kolejny, i Taniel już deptał jej po piętach. Znów skoczyła. Tym razem ledwie sięgnęła krawędzi czubkami stóp. Poślizgnęła się i zaczęła spadać, próbując przytrzymać się dachówek.

Taniel wylądował na dachu ze sporym zapasem. Zatrzymał się, łapiąc równowagę, i odwrócił, gotów wrazić Uprzywilejowanej bagnet w oko. Rozwarła palce i runęła na ulicę.

Taniel zaklął. Zawahał się na moment, potem skoczył w ślad za nią. Jednak nawet prochowy trans w swym apogeum nie uchronił go przed bólem kolan. Taniel wylądował obok Uprzywilejowanej na ugiętych nogach. Ona już zdążyła się podnieść. Zareagował instynktownie, pchając bagnetem. Poczuł, że ostrze trafiło w cel.

Pod czarodziejką ugięły się nogi, jej okryta rękawicą dłoń zawisła o stopę zaledwie od twarzy Taniela. Kiedyś Uprzywilejowana musiała być piękna, teraz czas poznaczył jej twarz zmarszczkami, ułożył z nich wachlarzyki w kącikach oczu. Gwałtownie nabrała powietrza i szarpnięciem wyrwała bagnet z ciała.

– Chłopcze, nie masz pojęcia, co tu się dzieje – szepnęła.

Taniel słyszał szczęk broni biegnącego Gothena. Pogromca zatrzymał się obok maga z pistoletem wycelowanym w Uprzywilejowaną.

Taniel poczuł drżenie ziemi.

– Padnij! – Gothen rzucił się między Taniela a kobietę.

Ulica pękła i uciekła im spod nóg. Uwalniane ciśnienie sprawiło, że całe ciało Taniela zakrzyczało. Czuł się, jakby wciśnięto go do lufy armatniej i użyto jako paliwa do eksplozji. Przestał słyszeć, czuł oszołomienie. W głowie huczało.

Wszędzie wokół waliły się mury.

Kiedy kurz zaczął rzednąć, Taniel zobaczył, że Gothen w dalszym ciągu stoi nad nim z wykrzywioną twarzą. Po chwili otworzył jedno oko. Jego wargi się poruszyły, jednak Taniel niczego nie słyszał. Cały świat falował. Mag wstał i rozejrzał się, dostrzegł Ka-poel zbliżającą się doń poprzez tuman pyłu. Julene szła zaraz za nią. Budynki po obu stronach Taniela zostały zrównane z ziemią, wilgotne piwnice wypełniły się gruzem, nad nimi unosiły się zasłony z pyłu. Wśród szczątków zobaczył plamy krwi oraz strzępy ciała. W tych kamienicach zginęli ludzie, ich nie osłonił żaden pogromca.

Taniel odetchnął niepewnie.

Julene podeszła prosto do niego i pchnęła, zwalając z miękkich nóg. Ka-poel zasłoniła go natychmiast, wbiła w najemniczkę ponure spojrzenie. Julene cofnęła się o krok. Dopiero po chwili Tanielowi słuch wrócił na tyle, by usłyszeć jej wrzaski.

– ...jej uciec! Dałeś jej uciec! Ty cholerny głupcze!

Wstał i delikatnie odsunął Ka-poel.

Julene natychmiast postąpiła o krok i walnęła go pięścią w twarz. Zareagował odruchowo. Złapał ją za rękę, uniemożliwiając kolejny cios, i spoliczkował.

– Precz ode mnie. – Splunął krwią. – Ona nie żyje. Nie ma mowy, żeby ktokolwiek zdołał to przeżyć.

– Ona żyje. – Policzki Julene pałały czerwienią, jednak najemniczka nie próbowała kontynuować bójki. – Cały czas ją wyczuwam. Uciekła nam.

– Wbiłem jej trzy piędzi stali! Nie dała rady odejść.

– Myślisz, że stal ją zrani? Myślisz, że naprawdę możesz ją zranić? Gówno wiesz.

Taniel najpierw głęboko wciągnął powietrze, żeby się uspokoić, a potem nieco prochu.

– Ka-poel – zapytał – czy ona wciąż żyje?

Ka-poel uniosła w drobnych dłoniach lufę karabinu Taniela i przesunęła opuszkiem po krwi plamiącej bagnet. Rozsmarowała ją między palcami. Po chwili twierdząco pokiwała głową.

– Zdołasz ją wytropić?

Ponownie przytaknęła.

– Nawet ja nie mogę jej wytropić! – parsknęła Julene. – Ukryła ślad. Nawet ranna jest znacznie potężniejsza, niż sądzicie. Ta przeklęta dziewczynka nigdy jej nie znajdzie.

– Pole?

Ka-poel prychnęła lekceważąco i odwróciła się tyłem do najemniczki. Pozbierała swoje rzeczy, a potem wskazała pozostałym kierunek.

– No i wiemy już, w którą stronę iść – podsumował Taniel. – Weź się w garść i patrz, jak to robi prawdziwy tropiciel. – Gestem dał pierwszeństwo Ka-poel. – Prowadź.

Taniel osłonił oczy przed deszczem, popatrzył na Julene. Stała nad nim z założonymi rękoma, wyzywający uśmiech zniekształcał bliznę na jej twarzy.

– Minęły dwa dni – powiedziała. – Przyznaj się, że twoja dzikuska nie jest w stanie wytropić tej suki, a my schowamy się przed deszczem i powiemy Tamasowi, że mamy problem.

– Tak łatwo się poddajesz? – Taniel nadal trzymał dłoń w rynsztoku, starając się nie zastanawiać, jaka substancja właśnie prześlizguje mu się między palcami.

Odpływy burzowe zbierały wszystko, od ludzkich odchodów po martwe zwierzęta, a także wszelkie śmieci i błoto z ulic. W trakcie burzy takiej jak ta wszystko spływało do kanałów rozciągających się pod miastem. Ten odpływ coś zatkało, więc Taniel po bark unurzał rękę w deszczówce oraz szlamie, co podobało mu się w równym stopniu, jak ciągłe przytyki Julene.

– Wiesz, że Tamas nie zapłaci, dopóki robota nie będzie zrobiona, prawda? – przypomniał jej.

– Znajdziemy ją – zapewniła go butnie Julene. – Tylko nie dzisiaj. Nie w tym deszczu. To ONA wywołała burzę. Czuję to. Aury wirują, przyzywane z Nieświata. To wszystko zaciera jej ślad, ale gdy tylko deszcz przestanie padać, JA wytropię ją znowu.

– Ka-poel ma już trop. – Taniel sięgnął nieco dalej, policzkiem dotknął powierzchni obrzydliwej kałuży. Poczuł pod palcami coś twardego, chwycił to i pociągnął.

– Grzebie paznokciami pomiędzy brukowcami i każe ci taplać się w każdym rowie między tym miejscem a... Co to jest, na otchłań?!

Taniel wstał. Kula szarego błota w jego dłoni wyglądała jak szlam odrapany z setki butów. Smród sprawiał, że Tanielowi skręcało żołądek, dlatego trzymał bryłę na odległość wyciągniętej ręki. Cała błotna masa oblepiała długi kawałek drewna. Z mlaszczącym odgłosem kałuża została wessana do odpływu.

– Jak sądzę, to złamana laska – odpowiedział Taniel.

Ka-poel podeszła, aby obejrzeć cuchnący muł. Dźgnęła go palcem, podniosła, obejrzała z daleka, a potem z bardzo bliska. Gwałtownie wetknęła palce w szlam i wyjęła, trzymając coś między opuszkami.

Julene pochyliła się, chcąc obejrzeć znalezisko.

– Co to jest? – Pokręciła głową. – Nic. Głupia dziewczyna.

Taniel obmył rękę w najczystszej kałuży, jaką zdołał znaleźć, potem wziął od Gothena swoją koszulę i kurtkę z koźlej skóry.

– Przydałby ci się bystrzejszy wzrok – zwrócił się do Julene. – To jest włos. Włos Uprzywilejowanej.

– Niemożliwe. Nie da się w całym tym błocie znaleźć pojedynczego włosa. A nawet jeśli to jej włos, co z nim zrobi ta twoja dzikuska?

Taniel wzruszył ramionami.

– Znajdzie ją.

Ka-poel odeszła na bok i otworzyła torbę. Przez kilka chwil robiła coś zwrócona do nich plecami, wreszcie odwróciła się, zarzuciła torbę na ramię i krótko skłoniła głowę. Poklepała się po piersi, a następnie wykonała gest chwytania czegoś.

Taniel uśmiechnął się szeroko, zapinając guziki koszuli.

– Mamy ją.

Zatrzymali dorożkę. Ka-poel siadła obok woźnicy, by pokazywać mu drogę, a Taniel, Julene oraz Gothen wskoczyli do środka. Julene cmoknęła z niesmakiem.

– Śmierdzisz ściekami – skrzywiła się. – Wolę raczej siedzieć na deszczu niż tutaj z tobą. Pojadę na stopniu. – Wyskoczyła z powrotem na zewnątrz. Chwilę później powóz szarpnął i ruszył.

– Ka-poel zdoła wytropić Uprzywilejowaną dzięki pojedynczemu włosowi? – nie dowierzał Gothen. Kolana pogromcy raz po raz stukały w kolana Taniela.

– Z jednym włosem jest trudno – wyjaśnił Taniel. – Im więcej śladów, tym łatwiej. Krew na moim bagnecie, kawałek paznokcia, rzęsa. Jedna cząstka prowadzi do drugiej. Im są liczniejsze, tym łatwiej złapać trop. Jeśli

chcemy podkraść się do niej niepostrzeżenie, musimy precyzyjnie ustalić jej miejsce pobytu.

Taniel otworzył szkicownik i zaczął przerzucać kartki, na chwilę zatrzymał się na portrecie Vlory, a potem przeszedł do na wpół ukończonego rysunku przedstawiającego Uprzywilejowaną. Kreślił z pamięci. On jeden z ich czwórki zdołał się jej dobrze przyjrzeć. Pogromca patrzył na szkic przez kilka chwil. Skończywszy, Taniel zatrzasnął kajet i wsadził z powrotem do kieszeni.

– Jak działa magia Ka-poel? – zapytał Gothen.

– Nie mam pojęcia. Nigdy nie widziałem, jak czaruje. W każdym razie nie tak, jak my to robimy. Żadnego kręcenia palcami, żadnego przyzywania aur żywiołów. – Dawno już zarzucił próby zrozumienia czarów Ka-poel.

Nie minęła minuta, a Gothen odchrząknął. Nie patrzył wprost na Taniela, jednak na twarzy pojawił mu się szelmowski uśmiech.

– Założyłem się z Julene.

Taniel usypał ścieżkę prochu na dłoni.

– O co?

– Julene uważa, że sypiasz z dzikuską. Ja mówię, że nie.

– To raczej nie jest stosowny zakład dla dżentelmena – zauważył Taniel.

– Tutaj wszyscy jesteśmy żołnierzami. – Gothen uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Jaka stawka?

– Sto krana.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o kobiecą intuicję. Powiedz jej, że jest ci winna stówę.

– Tak właśnie myślałem – stwierdził Gothen. – Mężczyzn znacznie łatwiej przejrzeć w tym temacie niż kobiety. Czasami na nią patrzysz w ten szczególny sposób, ale jest w tym najwyżej odrobina pożądania, to nie jest spojrzenie kochanka.

Taniel rzucił pogromcy magów spojrzenie spode łba i poprawił się na siedzeniu. Nie bardzo wiedział, jak na to odpowiedzieć. W oficerskim

towarzystwie wyzwałby za takie słowa na pojedynek, ale tutaj... Dobra, tak jak mówił Gothen, obaj byli żołnierzami.

– To przecież jeszcze dziecko – odparł. – Zresztą gdy poznałem Ka-poel, byłem zaręczony z inną kobietą.

– A. Gratulacje.

– Zaręczyny zerwane.

– Proszę o wybaczenie. – Gothen uciekł spojrzeniem w bok.

Taniel usypał kolejną kreskę prochu. Machnął tabakierką w lekceważącym geście.

– Nie ma za co, to błahostka.

Wciągnął proch i odetchnął, a potem oparł głowę o ścianę dorożki. Wsłuchiwał się w stukot kropel deszczu uderzających o dach, w turkot kopyt oraz turkot kół na bruku. Tyle dźwięków, że mogły zagłuszyć myśli.

Zastanawiał się, gdzie teraz jest Vlora? Może właśnie przybywa do Adopestu. Może zdążyła już wyjechać, otrzymawszy rozkazy Tamasa. Od chwili gdy przyszpilił tamtego fircyka do ściany niczym okaz motyla, wciąż dręczyło go jedno pytanie. Co poszło nie tak? Popełnił błąd, wyjeżdżając do Fatrasty. Wplątał się w nie swoją wojnę tylko po to, aby zrobić wrażenie na Tamasie. Na zbyt długo pozostawił Vlorę samą. Mężczyzna, z którym poszła do łóżka, był zawodowym uwodzicielem. To nie jej wina.

Zacisnął pięść, wciąż przepełniony gniewem. Czy wściekał się, bo kochał Vlorę? A może dlatego, że inny mężczyzna pohańbił mu kobietę? Czy Vlora naprawdę była JEGO kobietą? Taniel nie potrafił sobie przypomnieć czasów, kiedy nie planował ożenić się z Vlorą. Tamas pchał ich ku sobie w każdy możliwy sposób. Vlora była utalentowanym prochowym magiem, więc istniała szansa, że ich dzieci odziedziczą talent. Tamas od lat zachęcał oboje do tego związku. I Vlora chyba bardziej była przyszłą synową Tamasa niż przyszłą żoną Taniela. Przełknął tę myśl, a wraz z nią satysfakcję, jaką niosło rozczarowanie ojca. Teraz w ogóle nie musiał się żenić. Albo jeśli przyjdzie mu ochota, mógł sam wybrać sobie żonę, a nie wiązać się z wyznaczoną przez ojca narzeczoną ze stosownym talentem. Może nawet i z Ka-poel. Prychnął śmiechem, ignorując

zaciekawione spojrzenie Gothena. Tamasa trafiłby szlag, gdyby Taniel ożenił się z jakąś cudzoziemską dzikuską. Jednak rozbawienie szybko minęło i Taniel zdławił w sobie chęć otwarcia szkicownika i ponownego spojrzenia na podobiznę Vlory.

– Strasznie ładna część miasta – stwierdził Gothen, wyrywając Taniela z zamyślenia. Pogromca magów odsunął zasłonę na tyle, by wyjrzeć. Po chwili dorożka zatrzymała się z szarpnięciem. Taniel otworzył drzwiczki.

Znaleźli się w Dzielnicy Samaliańskiej. Nad miastem wisiał gęsty dym, mieszając się z lekkim deszczem i drażniąc oczy Taniela. Dzielnica pogrążona była w ciszy. Zamieszki zostały zdławione dwa dni wcześniej, ale z majestatycznych posiadłości niewiele pozostało po przejściu rozwścieczonego tłumu. Osypujące się ruiny oraz wypatroszone budynki.

Poza jednym. Dwupiętrowy dom, zbudowany z szarego kamienia na wzór dawnych fortec, łącznie z balustradami i krużgankami. Ściany rezydencji poczerniały od pożarów, które pochłonęły sąsiednie domy, ale sam budynek sprawiał wrażenie nienaruszonego. Nietrudno było zgadnąć dlaczego. Za balustradami klęczeli żołnierze. Z kamieni brukowych wydartych z ulicy usypano przed głównym wejściem wał, który miał połowę wysokości człowieka. Za nim też kryli się żołnierze, z muszkietami gotowymi do strzału. Obserwowali dorożkę Taniela, nie kryjąc wrogości.

Wyskoczył na ulicę. Julene, już na zewnątrz, zakładała rękawice. Kapoel zsunęła się z kozła.

– Czyj to dom? – zapytał Taniel woźnicę.

– Generała Westevena. – Mężczyzna potarł podbródek.

Z budynku wymaszerował oddział żołnierzy i skierował się prosto w ich stronę. Taniel nie mógł nie rozpoznać wysokich, ozdobionych piórami czap czy szaro-białych mundurów gwardii królewskiej. A podobno wszyscy Hielmeni polegli. Generał Westeven miał prawie osiemdziesiąt lat, był zdecydowanie sędziwy, chociaż mówiono, że wciąż bystry i czujny. Ze wszystkich adrańskich dowódców jedynie Westeven wedle opinii ogółu mógł równać się z Tamasem.

– Czy generał jest w mieście? – chciał wiedzieć Taniel. Marszałek na pewno starałby się z nim rozprawić. Przecież nie mógł pozostawić takich niedokończonych spraw.

– Krążą plotki, że powrócił – odezwał się woźnica. – Podobno spędzał wakacje w Novi. Przerwał je i wrócił wczoraj.

Taniel zerknął na Ka-poel.

– Jesteś pewna, że ona tutaj jest?

Ka-poel przytaknęła.

– Niech to!

Hielmeni zatrzymali się pięć kroków od Taniela. Dowodził nimi kapitan, starszy już mężczyzna o surowej twarzy, o pół dłoni wyższy od prochowego maga. Kiedy dostrzegł baryłkę w klapie Taniela, górna warga uniosła mu się w grymasie odrazy.

– W tym domu przebywa pewna kobieta – zaczął Taniel, dotykając pistoletu. – Uprzywilejowana. Zjawiłem się tutaj, by aresztować ją w imieniu marszałka polnego Tamasa.

– Chłopcze, tutaj nie uznajemy władzy zdrajców.

– Więc przyznaje pan, że ją chroni?

– Jest gościem generała – odparł kapitan.

Gościem. Hielmeni pod dowództwem generała Westevena, którzy w dodatku mają teraz Uprzywilejowaną? Niebezpieczny grunt. Taniel widział lufy karabinów w oknach na wyższych piętrach i na blankach. Kapitan Hielmenów miał szablę oraz pistolet. Dwóch gwardzistów trzymało długie, smukłe karabiny wyposażone w pojemniki wielkości pięści – strzelby ze zbiornikami powietrza. Broń zaprojektowana tak, by nie poddawała się czarom prochowych magów. Bez wątpienia miało ją też kilku ze strzelców wyborowych ukrytych na wyższych kondygnacjach budynku.

Taniel, Julene i pogromca magów zapewne zdołaliby się przebić do wnętrza rezydencji. Ale co innego było mierzyć się z żołnierzami, a co innego z Uprzywilejowaną.

Poczuł, jak Julene dotknęła Nieświata. Uniósł dłoń.

– Nie – powstrzymał ją. – Wycofujemy się.

– Za nic! – parsknęła Julene. – Przepalę się przez tych tu i...

– Gothen – polecił Taniel – okiełznaj ją.

Musieli stąd odejść, ostrzec Tamasa. Jeżeli generał Westeven znalazł się w mieście, raz-dwa sformuje szyki. Zaatakuje szybko, mierząc prosto w serce. Taniel zwilżył językiem wyschnięte wargi.

– Idziemy – rzucił krótko.

– Kapitanie – odezwał się jeden z Hielmenów – to Taniel Dwa Strzały.

Dowódca królewskich gwardzistów zmrużył powieki.

– Ty nigdzie nie idziesz, Dwa Strzały.

– Do powozu – rozkazał Taniel. – Odjeżdżamy! Woźnica!

Żołnierze przyłożyli się do muszkietów. Taniel wskoczył na stopień powozu. Dobył pistoletu, obrócił się i strzelił jednemu z Hielmenów w pierś, zanim jeszcze ten zdołał sam wycelować. Taniel wrzucił broń do powozu przez okno i spojrzał w stronę gwardzistów, sięgając swoimi zmysłami ku ich prochowi. Dwóch miało standardowe muszkiety, kapitan pistolet, a każdy z nich jeszcze zapas prochu.

Bez trudu odnalazł ich prochownice. Dotknął ich myślą, wywołując pojedynczą iskrę.

Wybuch prawie zrzucił go z powozu. Konie zakwiczały dziko, ale Taniel trzymał się ze wszystkich sił, gdy przerażone zwierzęta popędziły przed siebie. Spojrzał do tyłu. Kapitana Hielmenów rozerwało dokładnie na pół. Jeden z jego towarzyszy usiłował podnieść się do pozycji siedzącej. Pozostali w krwawych strzępach leżeli na ulicy. Nikt nawet nie próbował strzelać do uciekającej dorożki.

– Mogłabym się przez nich przedrzeć – upierała się Julene.

– I by nas wszystkich pozabijali. Obserwowało nas ze dwa tuziny żołnierzy z powietrznymi strzelbami, nie wspominając już o Uprzywilejowanej wewnątrz domu. Wy dwoje, wysiądźcie. Miejcie oko na budynek. Jeśli Uprzywilejowana stamtąd wyjdzie, idźcie za nią, ale w żadnym wypadku nie próbujcie siłą wdzierać się do środka.

– Dokąd jedziecie? – zapytał Gothen.

– Ostrzec mojego ojca.

Taniel wspiął się na kozioł obok woźnicy i kazał mu na chwilę zwolnić. Gothen i Julene wyskoczyli i zawrócili. Taniel przez chwilę po cichu liczył, że zlekceważą jego zakaz atakowania rezydencji i będzie miał ich raz na zawsze z głowy. Jednak ten pogromca magów był mu potrzebny.

– Dobrze ci zapłacę – zapewnił woźnicę.

Mężczyzna pokiwał głową, wargi miał zaciśnięte.

– Zabierz nas do Domu Szlachty – polecił mu Taniel. – Tak szybko, jak tylko zdołasz.

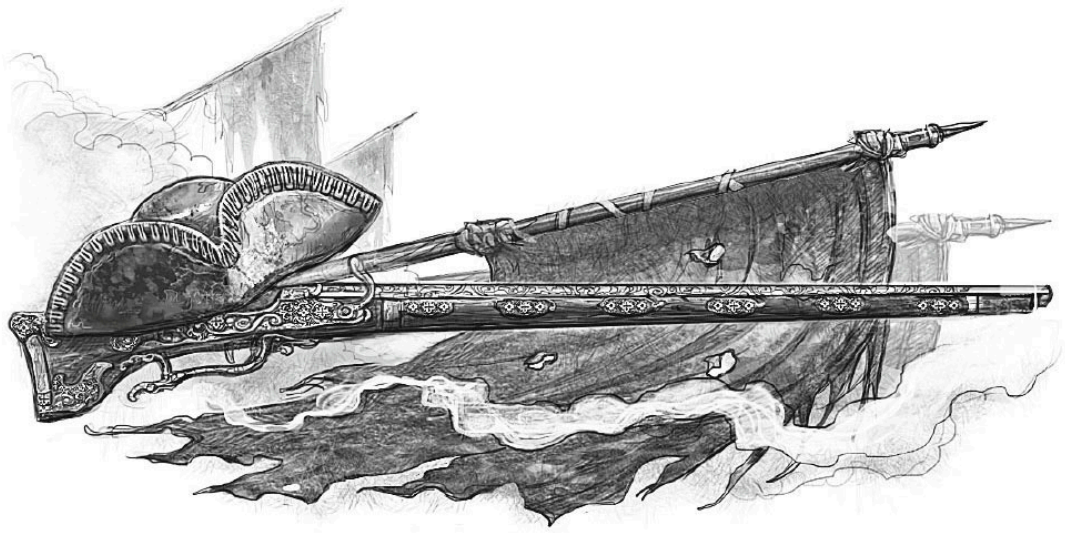

8
ROZDZIAŁ

Olemie – odezwał się Tamas – czy wiesz, że napisano moją biografię?

Ordynans, który stał w pozycji spocznij obok drzwi, teraz się ożywił.

– Nie, panie.

– Niewielu wie. – Marszałek złożył dłonie tak, że stykały się jedynie opuszki palców, i spojrzał na drzwi. – Z rozkazu kamaryli wszystkie egzemplarze zostały wykupione i spalone, w każdym razie większość. Autor, lord Samurset, popadł w niełaskę korony i został wygnany z Adro.

– Kamaryli nie podobała się biografia?

– Ani trochę. Samurset bardzo faworyzował prochowych magów. Twierdził, że stanowią fantastyczną nowoczesną broń, która pewnego dnia całkiem zastąpi Uprzywilejowanych.

– Niebezpieczna konkluzja.

Tamas przytaknął.

– Jestem na tyle próżny, że ta książka nawet mi się podobała.

– A co napisał?

– Samurset twierdził, że moje małżeństwo uczyniło mnie konserwatystą, a narodziny syna obdarzyły mnie miłosierdziem, zaś śmierć żony wzmocniła obie cechy wraz z obiektywizmem, pozwalającym zrobić z nich użytek. Doszedł do wniosku, że mój awans do rangi marszałka polnego podczas kampanii w Gurli był najlepszym, co przytrafiło się adrańskiej wojskowości w trakcie ostatniego tysiąca lat. – Tamas z lekceważeniem machnął dłonią. – W większości bzdury, ale muszę się do czegoś przyznać.

– Słucham, panie?

– Bywa, iż wcale nie czuję się miłosierny albo sprawiedliwy, a czuję jedynie wściekłość i gniew. Jakbym znowu miał dwadzieścia lat, a rozwiązaniem każdego problemu były pistolety na dwadzieścia kroków. Olem, to jest najniebezpieczniejsze z uczuć, jakie może żywić dowódca. Dlatego gdyby wydawało się, że tracę cierpliwość, proszę, zaraz mnie o tym poinformuj. Bez żadnego krygowania się czy jakiegoś tam uprzejmego pochrząkiwania. Od razu mów wprost. Potrafisz?

– Potrafię – stwierdził Olem.

– Dobrze. To poślij po Vlorę.

Tamas patrzył, jak była narzeczona syna wchodzi bez cienia lęku. Wielu uważało marszałka polnego za zimnego. On sam starał się podtrzymywać tę opinię, być może nawet z krzywdą dla syna. Wiedział jednak doskonale, że owo wyrachowanie jedynie kryje niezgorszy temperament, i teraz, po raz pierwszy w życiu, miał ochotę zastrzelić kobietę.

Splótł palce na blacie biurka. Wyraz ust wypośrodkował gdzieś między uśmiechem a skrzywieniem.

Vlora była ciemnowłosą pięknością o klasycznej figurze, szerokich biodrach, wąskich plecach i drobnych ramionach, które teraz zasłaniał mundur adrańskiego żołnierza. Przyszła na świat jako córka na-barona, który stracił fortunę przez szereg nietrafionych inwestycji. Ostatki rodzinnego majątku pochłonęła kopalnia złota w Fatraście, gdzie żyła kruszcu skończyła się już dwa miesiące po rozpoczęciu eksploatacji. Szlachcic zmarł rok po tej ostatniej porażce. Vlora miała wtedy dziesięć lat. Sabon odnalazł dziewczynę ledwie kilka miesięcy później, w szkole z internatem, gdzie umieścili ją krewni: samotne dziecko o niezwykłym talencie. Umiała podpalać proch nie z odległości kilkunastu kroków jak większość Naznaczonych, lecz aż kilkuset jardów. Tamas ją przygarnął, zapewnił utrzymanie oraz karierę w armii. Co poszło nie tak?

Marszałek przyłapał się na tym, że aby powściągnąć gniew, wpatruje się w punkt nad jej głową.

Stanęła przed nim na baczność, trzaskając obcasami.

– Prochowy mag Vlora melduje się na rozkaz, sir.

Skrzywił się. Od kiedy skończyła czternaście lat, zwracała się do niego po imieniu. Nikt nawet słowem nie komentował takiej bezczelnej poufałości. Traktowała go jak ojca w większym stopniu niż kiedykolwiek Taniel.

– Siadaj – polecił Tamas.

Posłuchała.

– Sabon przedstawił ci sytuację? – Czuł jej uważne spojrzenie. Sam nadal patrzył ponad głową dziewczyny.

– Straciliśmy sporo ludzi, panie. Mnóstwo przyjaciół.

– Ciężki cios dla naszej grupy. Potrzebuję teraz magów. Chętnie bym cię pozostawił...

Na Uniwersytecie Jilemańskim – dokończył w myślach. Gdzie mogłaby kontynuować studia i dalej zdradzać jego syna. Odchrząknął.

– Potrzebuję cię jednak tutaj.

– Jestem na rozkaz – powiedziała.

– Dobrze – skwitował Tamas. – Zamierzam przydzielić cię do Siedemdziesiątego Piątego Regimentu, na północnym skraju miasta. Trzeba tamten rejon oczyścić z uczestników zamieszek i... – Zawiesił głos, słysząc ciche pukanie do drzwi. Olem odrobinę je uchylił. Wysłuchał meldunku, a potem przez chwilę jeszcze szeptał z kimś po drugiej stronie.

– Tamasie – powiedziała Vlora nieoczekiwanie – jeśli to możliwe, chciałabym zostać przydzielona tam, gdzie Taniel.

Marszałek musiał mocno ściągnąć cugle swojej wściekłości.

– Panie albo sir, tak należy się do mnie zwracać, żołnierzu – poprawił ją. – I nie, to jest niemożliwe. Miasto trzeba oczyścić, dlatego będziesz przy Siedemdziesiątym Piątym Regimencie. – Nie zamierzał narażać Taniela na cierpienie. Był oziębły, lecz nie okrutny.

Olem odprawił posłańca.

– Panie – odezwał się.

– O co chodzi?

– Problemy.

– Jakiego rodzaju?

– Chłopcy natknęli się na barykady.

– I?

– Spore, panie, chociaż budowane w pośpiechu. Bardzo dobrze zorganizowane. To nie są zwykli bandyci.

– Gdzie?

– Centestershire.

– To mniej niż milę stąd. Mieli okazję zorientować się, czyje to barykady?

– Tak. – Olem nie wyglądał na zadowolonego. – To rojaliści, panie.

– Prędzej czy później musieli się objawić – stwierdził Tamas. – Cholerni ludzie króla bez króla. Liczebność?

– Nie wiadomo. Wygląda na to, że zebrali się przez noc.

– Jaki obszar kontrolują?

– Tak jak mówiłem, panie, Centestershire.

– Co? Całe centrum miasta?

Olem pokiwał głową.

– A niech to otchłań pochłonie!

Tamas odchylił się na krześle. Jego spojrzenie spoczęło na Vlorze. Wściekłość, jaką wzbudziła w nim zdrada dziewczyny, teraz walczyła o pierwszeństwo z gniewem, jaki czuł na myśl o głupocie ludzi, ryzykujących życie w imię martwego monarchy. Poczuł, że drżą mu ręce.

– Dlaczego? – wyrwało mu się wbrew woli. Od razu się złajał w duchu. Powinien bardziej nad sobą panować. Zmusił się, aby spojrzeć Vlorze w oczy.

Dlaczego zdradziłaś mojego syna?

Ujrzał w jej oczach żal. Smutne, samotne dziewczę. Patrzył w oczy dziecka, które popełniło straszny błąd. Wezbrała w nim furia. Wstał, przewracając krzesło.

– Panie! – huknął Olem.

– Czego? – wrzasnął Tamas.

– Panie, to nie czas ani miejsce.

Marszałek poczuł, jak zaciskają mu się szczęki. *Kazałem mu siebie powstrzymać.*

Drzwi do gabinetu otworzyły się gwałtownie. Taniel wpadł do środka, z trudem łapiąc oddech po pokonaniu licznych schodów. Na widok Vlory zatrzymał się jak wryty.

Dziewczyna wstała.

– Tanielu...

– O co chodzi? – Tamas zmusił się, aby mówić spokojnie.

– Generał Westeven sprzymierzył się z Uprzywilejowaną.

– Westeven jest w Novi na wakacjach. Sprawdziłem to przed przewrotem.

– Wczoraj wrócił. Dopiero co byłem przed jego domem. Pilnowały go co najmniej dwa tuziny Hielmenów. Tropiliśmy Uprzywilejowaną aż do tamtego miejsca, jednak nie byliśmy w stanie wtargnąć do środka. Jest jego gościem.

– Musi być poza miastem. Zapewne korzystają z jego domu jako kwatery głównej.

Taniel przeszedł na środek pokoju, zatrzymał się obok Vlory, ale patrzył tylko na ojca.

– Jeśli Westeven jest w mieście, będzie działał szybko. Może uderzyć w każdej chwili.

Tamas odchylił się na krześle i przetrawiał otrzymane wiadomości. Generał Westeven, dawno już emerytowany dowódca Hielmenów, był żywą legendą. Cieszył się szacunkiem zarówno szlachty, jak i pospólstwa. Westeven wygrywał bitwy w niejednym miejscu na świecie. Należał do tych nielicznych wojskowych, tak w kraju, jak i za granicą, których Tamas uważał za równych sobie. I generał całym sercem popierał króla.

Marszałek przysunął do siebie pudło z pojedynkowymi pistoletami. Zaczął ładować jeden z nich.

– Olem, wyrzuć z tego budynku każdego, kto nie należy do Siódmej Brygady. Kiedy Dom Szlachty zostanie zabezpieczony, zajmiemy się tymi barykadami. Może to sprawka generała Westevena.

Olem pospiesznie opuścił pokój.

Młodzi ruszyli za Tamasem, na korytarz, a potem w dół schodami. Olem dołączył do nich na pierwszym piętrze. Było tam mnóstwo ludzi – mieszkańców miasta, wieśniaków, ubogich handlarzy. Zdawało się, że pół stolicy zebrało się w korytarzu. Olem musiał się przeciskać, by dotrzeć do Tamasa.

– Panie – odezwał się sierżant – w gmachu jest za dużo ludzi. Oczyszczenie wszystkich pomieszczeń zajmie całe godziny.

Tamas gniewnie zmarszczył czoło.

– Kim są ci ludzie? – Przed nim wiła się kolejka, której końca nie było widać. Chwycił najbliższego człowieka, hutnika, sądząc po grubym kombinezonie z młotem wyszytym na kieszeni. – Czego tutaj szukacie?

Zagadnięty wzdrygnął się lekko.

– Panie, proszę o wybaczenie. Jestem tu, żeby przedyskutować nowe podatki. – Wskazał kolejkę. – Wszyscy jesteśmy.

– Nie wprowadzono żadnych nowych podatków – stwierdził Tamas.

– Za króla!

Obok ucha marszałka huknął strzał, a przebrany hutnik upadł na ziemię, nim zdołał całkiem wyjąć sztylet z pochwy. Vlora natychmiast zaczęła przeładowywać pistolet. Taniel dobył już obu.

W całym holu nagle zapanowało poruszenie. Pofrunęły peleryny i płaszcze, pojawiły się szable, sztylety, pistolety, nawet kilka muszkietów. To, co przed chwilą wydawało się stojącą bez celu kolejką złożoną z mieszczan i pospólstwa, zmieniło się w uzbrojony tłum.

Napastnicy rzucili się na żołnierzy Tamasa z tym samym okrzykiem: „Za króla!”.

Olem zasłonił Tamasa przed większą grupą rojalistów. Strzelił, a potem dobył szabli i w mgnieniu oka zasiekł trzech.

– Do mnie! Żołnierze Siódmej Brygady, do mnie! – Tamas obnażył własną szpadę.

Tych żołnierzy, którzy dali się zaskoczyć, wycięto. Hol był pełen monarchistów, pułapka się domknęła. Napastnicy nie spodziewali się jednak trójki prochowych magów ani zajadłości, z jaką walczył świetnie wyszkolony Olem.

– Z powrotem na schody! – wrzasnął sierżant. – Na następne piętro!

Wyrąbali sobie drogę do schodów. Rojaliści atakowali grupą, upatrując przewagi w liczebności. Tamas stanął obok Olema, żeby ich powstrzymać, a Vlora i Taniel strzelali zza nich. Klatkę schodową wkrótce wypełnił gęsty prochowy dym. Tamas odetchnął nim z lubością.

Z holu wyłoniły się szaro-białe mundury. Hielmeni – resztki osobistej gwardii Manhoucha. Było ich dwunastu. Mieli najlepsze strzelby powietrzne z nasadzonymi bagnetami. Bez namysłu runęli do szturmu. To nie byli zwykli rojaliści, lecz wyszkoleni zabójcy, groźni nawet dla najlepszych żołnierzy Tamasa. Prędzej zginęliby, niż się zawahali czy cofnęli.

Jednak tylko Hielmeni mieli strzelby powietrzne. Tamas poczuł, że Vlora podpala czyjąś prochownicę. Mężczyzna znajdujący się najbliżej

gwardzistów eksplodował, obryzgując wielu z nich krwawym deszczem, a dwóch powalając na podłogę. Marszałek też sięgnął zmysłami, podpalając proch w naładowanym muszkiecie. Nieoczekiwany wystrzał zmasakrował twarz jakiejś kobiecie obok.

Dotarli do schodów na drugie piętro. Hielmeni deptali im po piętach. Rozległ się charakterystyczny dźwięk strzelb powietrznych. Ten odgłos mroził krew w żyłach każdego prochowego maga, zapowiadał bowiem kulę dla Naznaczonego.

Vlora potknęła się na schodach, upadła. Taniel, który znajdował się wyżej, skoczył do niej natychmiast. Płynnym ruchem nasadził tuleję bagnetu na lufę karabinu i z cichym warknięciem stawił czoła szarży Hielmenów. Ciął w szyję jednego z gwardzistów szybkim, wprawnym ruchem wyćwiczonego rzeźnika. Uchylił się, unikając pchnięcia, po czym zwarł z kolejnym żołnierzem. Mężczyzna był wyższy od niego o jakąś dłoń, a cięższy o co najmniej trzy kamienie. Taniel z taką siłą uderzył gwardzistę kolbą od dołu, że wgniótł tamtemu nos do mózgu. Hielmen upadł, nie wydając nawet dźwięku. Może i Taniel był prochowym magiem, ale umiejętności brutalnej walki wręcz miał opanowane niczym piechociarz.

Gwałtownie odwrócił się w stronę czterech pozostałych Hielmenów.

– Taniel! – szczeknął Tamas. – Cofnij się!

Pochwycił Vlorę na ręce – dzięki prochowemu transowi była dlań lekka jak piórko. Dziewczyna zacisnęła zęby z bólu.

– Trafiło w kość? – zapytał.

Pokręciła głową.

Tamas usłyszał trzask i poczuł, jak pocisk drasnął mu lewe ramię, mijając głowę Vlory zaledwie o kilka cali. Marszałek odwrócił się, akurat by zobaczyć, że bagnet osadzony na lufie strzelby powietrznej zmierza wprost w stronę jego brzucha.

Przerzucił Vlorę na drugie ramię i strzelił z biodra, trafiając Hielmena w oko.

Zanim dotarli na czwarte piętro, ostatni z Hielmenów leżeli martwi na schodach. Marszałek i jego kompani mogli zadbać o swoje rany. Olem miał

sporo nowych skaleczeń, wymagały szycia, ale nie odniósł poważniejszych obrażeń. Postrzał Vlory był powierzchowny. Dziewczyna mogła oprzeć się na zranionej nodze, co oznaczało, że pocisk nie roztrzaskał kości i nic jej nie będzie. Taniel nie miał nawet zadrapania. Z twarzą wykrzywioną wściekłością wycierał bagnet z krwi. Po drodze dołączyła się do nich Kapoel. Rudowłosa pachniała siarką i miała czarne całe ręce. Wytarła je o swój kaftan i podchwyciwszy spojrzenie Tamasa, uśmiechnęła się do niego.

Odgłosy walki dobiegające z niższych pięter ustały wreszcie. Tamas odetchnął głęboko kilka razy, wsłuchując się w bicie serca Vlory. Oboje opierali się o ścianę, dziewczyna położyła mu głowę na ramieniu. Odsunął się.

Na schodach pod nimi rozległy się kroki i zobaczyli Sabona. Na mankietach kurtki miał ślady prochu, a wzdłuż ramienia płytką ranę od klingi. Na ich widok odetchnął z ulgą.

– Ktoś został ranny? – zapytał.

– Same draśnięcia – uspokoił go Tamas. – Gdzie byliście?

– W kasynie oficerskim. Pojawili się znikąd.

– Jakieś straty? – zapytał marszałek. *Ktoś ważny?*

– Niewielkie – odparł Sabon, nieznacznym ruchem głowy odpowiadając przecząco na niewypowiedziane pytanie dowódcy. – Wygląda na to, że był to głównie motłoch. Wzięli nas z zaskoczenia, ale kiedy już zebraliśmy ludzi, prawie nie było walki. Wszyscy Hielmeni ruszyli za tobą.

– Czy Dom jest już bezpieczny?

– Pracujemy nad tym.

– Wrogowie schwytani?

– Pojmaliśmy ponad dwudziestu bez walki. Do tego mamy ze czterdziestu rannych. To ludzie generała Westevena.

– Wiem. – Tamas podszedł do syna, położył mu dłoń na ramieniu. – Dobra robota, Tanielu.

Taniel zdjął bagnet i schował do pochwy. Przerzucił karabin przez ramię. Zerknął na Vlorę, a potem sztywno kiwnął głową ojcu.

– Wracam do pracy, sir.

Tamas odprowadził syna wzrokiem. Krok w krok za Tanielem szła rudowłosa dzikuska. Miał wrażenie, że powinien coś jeszcze powiedzieć. Nie wiedział dokładnie co.

– Sabonie?

– Sir?

– Zawiadom lady Winceslav. Powiedz, że jej żołnierze potrzebni są w mieście. Generał Westeven trzyma barykady i niech mnie otchłań pochłonie, jeżeli poślę swoich ludzi przeciwko niemu na śmierć. Najemnicy muszą zacząć pracować na swoją zapłatę. Przygotuj stanowisko dowodzenia w pobliżu barykad. Przeniesiemy walkę na jego teren. Vlora... – Zawiesił głos, zastanawiając się nad decyzją. – Idź z Sabonem. Chcę mieć cię w swoim sztabie.

– Tanielu!

Zatrzymał się na półpiętrze i spojrzał w górę schodów. Sam nie wiedział, czy poczekać, czy jednak nie. Dobrze znał ten głos. Nie chciał słuchać niczego, co ten głos miał mu do powiedzenia. Czubkiem buta szturchnął leżące na podeście ciało. Hielmen, którego wypatroszył bagnetem. Mężczyzna zamrugał. Żył jeszcze. Rzucił Tanielowi ponure spojrzenie. Zgrzytnął zębami, nie wydając dźwięku, choć musiał potwornie cierpieć. Taniel zastanowił się, czy wzywać chirurga, czy dobić. Rana była śmiertelna. Przykucnął obok gwardzisty.

– Nie przeżyjesz tygodnia – stwierdził.

– Zdrajca – wyszeptał Hielmen.

– Chcesz żyć jeszcze dzień albo dwa tylko po to, aby odpowiedzieć na pytania śledczych Tamasa? – zapytał Taniel. – Czy zakończyć to już teraz?

Oczy mężczyzny zdradziły jego mękę. Milczał.

Taniel rozpiął pas, złożył, podając końcówkę rannemu.

– Zaciśnij na tym zęby.

Hielmen posłuchał.

Kilka uderzeń serca później było po wszystkim. Taniel otarł nóż o spodnie gwardzisty i wyciągnął pas spomiędzy szczęk nieboszczyka. Dlaczego to w ogóle robił? Przecież powinien być teraz na uniwersytecie i uganiać się za dziewczętami. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz uganiał się za jakąś dziewczyną. Pierwszej nocy w Fatraście, jeszcze nim zaczęła się wojna, poznał dziewczynę w portowym barze. Flirtowali całą noc. Gdyby wypił nieco więcej, mógłby się z nią przespać, ale pilnował się, bo pamiętał o Vlorze. Ciekawe, czy dziewczyna wciąż przychodziła do tego baru. Naszkicował ją w swoim kajecie.

Hielmen leżał pogrążony w niezmąconym spokoju mimo rozprutego brzucha i świeżego cięcia na gardle. Ka-poel stanęła kilka kroków dalej, jak zwykle cicha. Przyglądała się martwemu gwardziście, jakby zafascynowana.

– Powinniśmy ruszać – powiedział Taniel.

– Tanielu, poczekaj.

Vlora pospiesznie schodziła po schodach. Potknęła się, chwyciła poręczy i usiadła na stopniu. Zaciskała dłoń na zranionym udzie.

Przez chwilę tylko wpatrywali się w siebie. Vlora pierwsza odwróciła wzrok, popatrzyła na poległego Hielmena.

– Jak się czujesz?

– Żywy – odparł Taniel.

Znów milczeli przez chwilę. Taniel słyszał, jak u góry ojciec wykrzykuje rozkazy. Pomimo niespodziewanego ataku marszałek w ogóle nie dał się wytrącić z równowagi. Wojownik z krwi i kości.

Minęło ich kilku żołnierzy, dwóch szło na górę, jeden schodził na dół. Na parterze, w głównym holu, zapanowało poruszenie, ludzie marszałka otaczali rannych jeńców.

– Wybacz mi – poprosiła Vlora.

Łzy płynęły jej po policzkach. Taniel zdusił nagły impuls, by do niej podbiec i pocieszyć. Wyczuwał cierpienie Vlory, emocjonalne oraz

fizyczne, ale prochowy trans sprawił, że nie robiło na nim wielkiego wrażenia. Wetknął kciuk za pas i zacisnął szczęki.

– Idziemy – polecił Ka-poel.

Adamat zgrzytał zębami ze złości. Od przewrotu minęło już siedem dni, siedem dni, od kiedy odwiedził Uskana, a jedyne, co zdobył, to jeszcze więcej pytań. Kto wypalił strony z książek o historii religii i czarów? Kto zabrał pozostałe książki? I czym, do otchłani, była ta Obietnica Kresimira?

Adamat kazał woźnicy zatrzymać się w Piekarach, kupił pasztecik z mięsem, a potem ruszyli dalej, aleją Hruscha, gdzie między warsztatami rusznikarskimi i odlewniami unosiła się ciężka woń oliwy, drewna, palenisk oraz czarnego prochu. Było tam dzisiaj gwarniej niż zwykle, a tłum gęstszy. Pod każdym sklepem, na schodkach, siedział jakiś chłopak z plikiem papierów, przyjmując zamówienia i podając liczby, tu dobrze odziani dżentelmeni bratali się z najniższymi rangą piechociarzami. Na rogu ulicy stał handlarz, wykrzykujący, że nowy karabin Hruscha obroni każdy dom. Rusznikarze sprzedawali broń tak szybko, jak ją wyrabiali.

Adamat przewertował dzisiejszą gazetę. Pisali, że do miasta powrócił Taniel Dwa Strzały, bohater fatrastańskiej wojny o niepodległość. Teraz ścigał zbiegłą Uprzywilejowaną. Niektórzy twierdzili, że owa Uprzywilejowana to ocalały członek kamaryli. Inni uważali, że jest szpiegiem Kezu, który usiłował uzyskać sekrety prochowej koterii Tamasa. W każdym razie cały kwartał miasta został zrównany z ziemią, zginęły dziesiątki ludzi, jeszcze więcej było rannych. Adamat miał nadzieję, że Uprzywilejowana zostanie ujęta albo opuści miasto, zanim dojdzie do jeszcze większej rzezi. I tak już dość krwi popłynie w zbliżającym się starciu Westevena z Tamasem.

Rojaliści zabarykadowali się w Centestershire, zajmując niemal w całości środkową część Adopestu. Przypuścili wyprzedzający atak na siły

Tamasa, jednak zostali odparci. Teraz wyglądało na to, że obie strony łapią oddech. Prawie osiemdziesięcioletni generał Westeven zgromadził wszystkich rojalistów w jednym miejscu i zbudował tyle barykad, że powstrzymałyby całą cholerną armię. Wszystko w jedną noc, przynajmniej tak to wyglądało. W odpowiedzi marszałek polny Tamas sprowadził całe dwa legiony Skrzydeł Adoma i otoczył Centestershire działami polowymi oraz cięższą artylerią. Jednak do tej pory nie oddano żadnego strzału. Obaj przywódcy mieli wystarczająco dużo doświadczenia, aby nie chcieć zmieniać centrum Adopestu w pole bitwy.

To jakiś cholerny koszmar – stwierdził w duchu Adamat. Dwaj najsłynniejsi dowódcy Dziewięciu stający przeciwko sobie w centrum milionowego miasta. Tego starcia nikt nie mógł wygrać.

Jednak życie toczyło się dalej. Ludzie musieli pracować, jeść. Ci, którzy nie byli bezpośrednio uwikłani w nowy konflikt, trzymali się od niego z daleka. Tamas wykonał godną podziwu robotę, utrzymując spokój w reszcie miasta.

Jednak dla Adamata sprawy miały się o tyle gorzej, że Archiwum Publiczne, gdzie jak podejrzewał, znajdowały się kopie uszkodzonych książek z uniwersytetu, było teraz za linią barykad rojalistów. Nie czuł się na siłach iść w takie miejsce sam.

Powóz zatrzymał się przed dwupiętrowym budynkiem w bocznej uliczce na skraju Górnego Talienu, najgorszej dzielnicy Adopestu. Dom miał jedno wejście od strony ulicy, podwójne drzwi pomalowane wyblakłą oliwkową farbą, która odłaziła płatami. Mur wokół futryny też był w nie najlepszym stanie. Jedno skrzydło drzwi pozostawało zamknięte, drugie otwarte, stał w nich niewysoki mężczyzna, opierając się o framugę.

Adamat zabrał z dorożki kapelusz i laskę. Trzymając je w jednej dłoni, drugą szukał w kieszeni chusteczki, którą mógłby zasłonić usta, wchodząc do środka. Zapłacił woźnicy, po czym przekroczył próg, bezmyślnie słuchając oddalającego się stukotu podków na bruku.

– Jeramie, gdzie, na Kresimira, znalazłeś jabłko o tej porze roku? – Adamat otarł nos i wetknął chusteczkę do kieszeni.

Odźwierny uśmiechnął się, pokazując krzywe zęby.

– Dobry. Będzie miesiąc, jak żeśmy się nie widzieli, sir, albo i dwa. – Z chrupnięciem ugryzł owoc. – Mam kuzyna, mieszka na południe od Piekar, a on dostaje świeże owoce przez cały rok.

– Mówią, że jeśli negocjacje pójdą źle, to możemy mieć wojnę z Kezem – stwierdził Adamat. – Na kolejne jabłko będziesz musiał czekać aż do jesieni.

– Takie już moje szczęście – stwierdził odźwierny z kwaśną miną.

– Jak dzisiejsze walki?

Zza ronda sfatygowanego kapelusza Jeram wyciągnął pomiętą kartkę.

– SouSmith wygrał trzy razy pod rząd, Formichael wygrał dzisiaj dwa razy. Obaj wyglądają, jakby zaraz mieli paść, ale prowadzący walki ma chyba śmierciorobaka w gaciach i twierdzi, że teraz wreszcie będzie rozstrzygnięcie.

– I już pięć razy walczyli? – parsknął Adamat. – No to ta walka będzie do dupy, oni ledwie dadzą radę stać.

– Ano tak, tak by to wynikało z tabel, ale zakładów było niewiele. A ci, co stawiają, stawiają na Formichaela.

– SouSmith ma mocny cios.

Jeram spojrzał na niego przebiegle.

– Jeśli uda mu się walnąć. Formichael jest bardziej wypoczęty, młodszy i połowę lżejszy od SouSmitha.

– No tak – odparł Adamat. – Wy młodzi zawsze myślicie, że ze starych to już nic nie będzie.

Jeram zachichotał.

– Dobra, no to jak, szefuniu? – Z tylnej kieszeni wyjął złożony papier, pokryty ciemnymi smugami oraz śladami dawno wytartych linii. Oparł go o framugę i uniósł kawałek węgla drzewnego.

– Jaka jest stawka?

Jeram podrapał się po policzku, zostawiając na nim odrobinę węgla.

– Dam ci dziewięć do jednego.

Adamat uniósł brwi.

– Stawiam dwadzieścia pięć na SouSmitha.

– Ryzykowne – mruknął Jeram. – Wiadomo. – Wyskrobał cyfry i złożył papier, a potem wetknął z powrotem do kieszeni. Adamat wiedział, że ten papier jest tylko na pokaz. Jeram miał prawie tak dobrą pamięć jak detektyw, i to bez żadnej Zdolności. Nigdy nie zapominał twarzy, nigdy nie zapominał liczb i nigdy nie pomylił się przy zakładzie, chociaż kiedyś wielokrotnie mu to zarzucano. Te zarzuty przestały się powtarzać ostatnimi czasy, od kiedy Szafarz przejął ten ring. Ten nie lubił, gdy ktoś oskarżał jego bukmacherów.

Wewnątrz jedyne źródło światła stanowiło prostokątne okno ze szprosami, wysoko pod dachem. Adamat przepchnął się przez serię kotar, tłumiących dźwięk i skrywających to, co działo się w środku, przed ciekawskimi. Całe wnętrze budynku stanowiło jedno wielkie pomieszczenie. Kamienicę wybebeszono dawno temu. Miejsce ścian zajęły zagrody i wyznaczone zasłonami boksy, by zawodnicy mogli mieć chwilę prywatności, odpoczywając po walce. Pośrodku znajdowało się to, co dało budynkowi nazwę: arena, czyli okrągła jama o średnicy dwunastu kroków, głęboka na cztery kroki poniżej poziomu podłogi.

Jamę otaczały rzędy siedzeń, po każdej stronie budynku wznoszące się prawie do stropu. Adamat, schylony, przeszedł na drugą stronę pod tylnymi krzesłami i łokciami utorował sobie drogę na skraj areny. Trybuny były pełne, mężczyźni siedzieli ramię przy ramieniu. Miejsc wystarczyło dla kilku setek ludzi: dżentelmenów z laseczkami i w kapeluszach, robotników w sfatygowanych kurtkach, a nawet dwóch policjantów, których czarnych peleryn oraz cylindrów nie dawało się przegapić.

Poprzednia walka zakończyła się może z dziesięć minut temu, a pracownicy Areny zasypywali krew świeżymi trocinami, przygotowując miejsce dla kolejnych zawodników. Słychać było tylko cichy szmer rozmów, mężczyźni pozwalali swym gardłom odpocząć przed następną walką.

Adamat odetchnął zapachem potu, brudu i wściekłości. Powoli wypuścił powietrze, otrząsnął się. Boks na gołe pięści był barbarzyńskim, dzikim

sportem. Detektyw uśmiechnął się pod nosem. *Przednia zabawa*. Znów wciągnął powietrze i wychwycił w nim woń chlewa. Nie tak dawno w tym budynku hodowano świnie, a jeszcze wcześniej? Chyba był tu sklep, albo nawet kilka, w czasach gdy Górny Talien miał być najnowszą, najbogatszą oraz najmodniejszą dzielnicą miasta.

Z zagrody na drugim końcu sali wyszło dwóch mężczyzn z obnażonymi torsami. Wkroczyli na arenę ramię w ramię, bez żadnych ceremonii. Robotnicy zeszli, a pięściarze stanęli twarzą w twarz. Mężczyzna po lewej był niższy, chudszy, miał mięśnie niczym postronki, wyraźnie zarysowane, jak u bojowego rumaka. Kędzierzawe, brązowe włosy od czasu do czasu opadały na twarz, zdmuchiwał je za każdym razem. Formichael. Ulubiony zawodnik Szafarza – w każdym razie był nim, gdy Adamat ostatnio obserwował walki. Formichael pracował w magazynie, był przy tym młody i przystojny. Szeptano, że Szafarz szykuje go na kogoś więcej niż zwykłego zbira.

Mężczyzna z prawej sprawiał wrażenie dwukrotnie większego. We włosach błyskały mu pierwsze oznaki siwizny, policzki porastała niedogolona szczecina. Małe, świńskie oczka, osadzone głęboko, spoglądały na Formichaela z niespotykaną intensywnością zabójcy. Ramiona miał tak potężne, że mógłby chyba wygrać zapasy z górskim niedźwiedziem. Pozdzierane kostki dłoni nosiły liczne ślady bliskiego kontaktu z cudzymi szczękami. Niewątpliwie niejedną złamały, a i pewnie na niejednej pękły. Twarz pięściarza pokrywały pomarszczone blizny po byle jak zszytych ranach. Wyszczerzył do Formichaela połamane zęby.

Pomimo przewagi pod względem rozmiaru i doświadczenia SouSmith niewątpliwie był zmęczony. Broda mu opadła po długim dniu wypełnionym walkami, w kącikach oczu czaiło się wyczerpanie, a ramiona nieco się przygarbiły. Ponadto doświadczenie też miało swoją cenę. SouSmith się już starzał, a klatka piersiowa i brzuch obrastały mu tłuszczem od nieumiarkowania w piciu.

Prowadzący walki zszedł na drugi stopień ringu, porozmawiał z zawodnikami. Po chwili się cofnął. Uniósł dłoń, następnie opuścił,

odskakując w tył.

Trzystu mężczyzn wrzasnęło, kiedy dwóch bokserów rzuciło się na siebie. Pięści uderzyły w ciało, a odgłos ciosów utonął w ryku z trybun.

– Zabij go!

– Niech krwawi!

– W brzuch! Wal po brzuchu!

Głos Adamata utonął w kakofonii okrzyków. Detektyw nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, co dokładnie krzyczy, jednak zawarł w tym całą swoją złość na Palagiego i na rozłąkę z żoną i dziećmi. Pochylił się do przodu, machał pięściami i wrzeszczał ile sił w płucach wraz z resztą tłumu.

Formichael paskudnym ciosem dosięgnął żeber SouSmitha. Ten zatoczył się w bok, wtedy młodszy bokser zaatakował ponownie i walnął go jeszcze raz w to samo miejsce. Prawdopodobnie w złamane kiedyś żebro. Pięści zamigotały w słabym świetle. SouSmith zatrząsł się i zatoczył ku ścianie jamy. Oparł się o deski odgradzające go od tłumu. Z widowni natychmiast wyciągnęły się ręce, paznokcie szarpały gołą głowę boksera, plwociny rozbryznęły się na policzku. Adamat patrzył. Głowa pięściarza pozostawała nieco poza jego zasięgiem.

– No dalej! – krzyknął. – Nie daj mu się zapędzić do narożnika!

Coś głośno chrupnęło, a SouSmith opadł na jedno kolano, podnosząc dłoń, by osłonić się przed ciosami Formichaela.

Adamat nie krzyczał już, ale szeptał.

– Wstawaj, sukinsynu – warczał przez zaciśnięte zęby.

Formichael walił SouSmitha po dłoniach i ramionach, aż wreszcie starszy mężczyzna padł na kolana, nie mogąc znieść takiego ataku. Twarz Formichaela pokraśniała, już czuł wygraną. Powoli odpuszczał, aż wreszcie ciosy stały się ledwie klapsami. W końcu Formichael się zatrzymał. Stał, oddychając ciężko, i przyglądał się mężczyźnie u swoich stóp. SouSmith nie podnosił wzroku.

No przecież! Wykończ go już! – ponaglał w myślach Adamat.

Jednak Formichael wcale nie miał takich planów. Szczerząc się w uśmiechu, pochylił i złapał SouSmitha za ramię, przyciągając do siebie,

aby zadać jeden brutalny cios. SouSmith znowu padł na kolana, dygotał cały. Formichael chciał wszystko przeciągnąć. Chciał wykorzystać zmęczenie SouSmitha, które trzymało starego na klęczkach, i bić go, póki nie zetrze pięściami na miazgę.

Formichael wymierzył jeszcze kilka pojedynczych ciosów, dopóki SouSmith nie padł na czworaka. Twarz starszego boksera zmieniła się w miazgę z krwi i ciała. Formichael odwrócił się, uniósł ramiona i napawał się rykiem tłumu. Raz jeszcze odwrócił się do przeciwnika.

Wielkolud zerwał się na nogi w mgnieniu oka. Dwadzieścia pięć kamieni masy napędzało jego pięść. Jeden cios, prosto w ładną, młodzieńczą twarz Formichaela. Siła uderzenia poderwała młodego do góry. W locie jego ciało zwiotczało. Niczym szmaciana lalka uderzył o deski ogrodzenia i osunął się na ziemię. Drgnął, a potem znieruchomiał. SouSmith splunął na pokonanego, następnie odwrócił się, powlókł się po schodach i do zagród dla pięściarzy. Wyciągały się ku niemu ręce, poklepując po plecach, obsypywano go gratulacjami. Za nim leciały przekleństwa tych, którzy przegrali zakłady.

Adamat odebrał swoją wygraną, a następnie poczekał, aż tłum pozwoli mu niepostrzeżenie przemknąć się do zagród pięściarzy. Wszedł do pomieszczenia SouSmitha i zaciągnął za sobą kotarę.

– Niezła walka.

SouSmith zatrzymał się z kubłem uniesionym nad głową i zerknął na Adamata. Przechylił wiadro, pozwalając wodzie spłukać warstwę potu oraz krwi, następnie wytarł się energicznie brudnym ręcznikiem. Zadarł głowę w stronę Adamata, skórę wokół oczu miał napuchniętą i posiniaczoną, usta i brwi popękane.

– Ano tak. Dobrze postawiłeś?

– Oczywiście.

– Sukinsyn próbuje mnie zabić.

– Kto?

– Szafarz.

Adamat zachichotał, a potem uświadomił sobie, że SouSmith wcale nie żartuje.

– Dlaczego tak mówisz?

Pięściarz potrząsnął głową, wycisnął czerwonobrązową wodę z ręcznika i zanurzył go w czystym wiadrze.

– Chce, żebym poszedł na dno.

SouSmith zdecydowanie nie był głupi, ale zawsze mówił niewiele i krótko. Pewnie ciężko mu się zbierało myśli po tylu latach obrywania w głowę.

– Dlaczego? Dobrze walczysz. Ludzie przychodzą cię oglądać.

– Ludzie przychodzą oglądać młodszych byczków. – SouSmith splunął do jednego z kubłów. – Ja jestem stary.

– Formichael dwa razy się zastanowi, kiedy znowu każą mu z tobą walczyć. – Adamat przypomniał sobie nieruchome ciało na arenie. Musieli go wynieść. – O ile jeszcze żyje.

– Wyżyje. – SouSmith postukał się w bok głowy. – Będzie się bał.

– A może postara się szybko skończyć walkę – powiedział Adamat.

SouSmith wziął głęboki oddech. Zaśmiał się, ale śmiech zmienił się w atak kaszlu.

– Tak czy owak, dobrze.

Adamat przez chwilę przypatrywał się staremu przyjacielowi. SouSmith nie był takim człowiekiem, jakim wydawał się na pierwszy rzut oka. Czyli zbirem, w przeciwieństwie do innych bokserów. Za niewielkimi oczkami kryła się inteligencja, sękate łapska bywały też delikatnymi dłońmi brata i wuja. Wielu źle go oceniało, dlatego między innymi tak często wygrywał. Chociaż pod jednym względem te oceny trafiały w sedno. W głębi duszy, poza swą lojalnością w stosunku do rodziny, poza całą inteligencją, SouSmith był zabójcą.

– Mam do ciebie pytanie – odezwał się Adamat.

– Myślałem, że tęskniłeś.

– Kiedyś mi mówiłeś, że należałeś do ulicznego gangu Złamańców Kresimira.

SouSmith zamarł bez ruchu, z rogiem ręcznika wciąż wetkniętym w ucho. Powoli go opuścił.

– Tak mówiłem?

– Byłeś bardzo pijany.

Nagle ruchy boksera stały się ostrożne. Zerknął w stronę biurka, na szufladę, w której z pewnością trzymał pistolet. Chociaż mężczyzna jego postury nie potrzebował pistoletu.

Adamat zrobił uspokajający gest.

– Byłeś bardzo pijany – powtórzył. – Wtedy ci nie wierzyłem. Byłem tam, gdy wyciągano tych chłopaków ze ścieków. Nie sądziłem, żeby komukolwiek udało się uciec przed tym, co ich załatwiło.

SouSmith przyglądał mu się przez kilka chwil.

– Może nie. Może tak.

– Jak?

Bokser odpowiedział pytaniem na pytanie:

– Dlaczego?

– Prowadzę śledztwo. – Adamat już postanowił, że opowie SouSmithowi o wszystkim. – Dla marszałka polnego Tamasa. Chce wiedzieć, co to jest Obietnica Kresimira.

SouSmith miał minę, jakby te słowa zrobiły na nim wrażenie.

– Jedyny człowiek, któremu nie chciałbym podpaść – stwierdził.

– Dokładnie. Masz jakiś pomysł, co to może oznaczać?

– Nasz herszt był takim odpadem z kamaryli. – SouSmith otworzył szufladę biurka. Wyjął okopconą, starą fajkę i woreczek z tytoniem. Zapalił, a dopiero potem kontynuował. – Krzykacz. Palant. Szukał rozgłosu. Powiedział nam, że nasza nazwa ma przypominać królewskiej kamaryli o jej śmiertelności.

To było najdłuższe zdanie, jakie Adamat od lat słyszał od boksera.

– Mówił, co to oznacza?

– Złam Obietnicę Kresimira. – SouSmith pyknął z fajki. Maleńkie pomieszczenie wypełnił zapach zaprawionego pistacjami tytoniu. – A zniszczysz świat.

– Ale co to za obietnica? – zapytał śledczy.

SouSmith wzruszył ramionami.

Adamat postukiwał palcem w szczękę. SouSmith odchylił się na krześle. Nie zamierzał już niczego więcej mówić. Nie na ten temat. Adamat pozwolił myślom odpłynąć ku Palagiemu. Bankier kretyn wciąż wysyłał za detektywem swoich ludzi. Był nieprzewidywalny. Człowiek o posturze i reputacji SouSmitha zdołałby trzymać tego idiotę na dystans. Dopóki nie minie termin spłaty długu Adamata i prawo nie znajdzie się po stronie Palagiego. Ponadto SouSmith mógł się przydać w paru niebezpiecznych miejscach, takich jak Archiwum Publiczne za barykadami rojalistów.

– Czy przypadkiem nie potrzebujesz pracy? – zapytał.

SouSmith spojrzał nań badawczo swoimi małymi oczkami.

– Jakiej pracy?

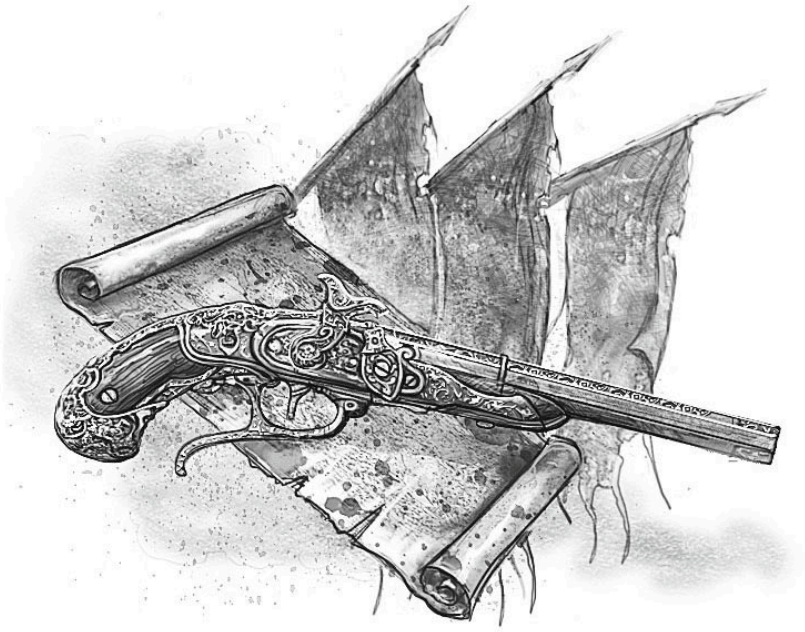

9
ROZDZIAŁ

Taniel znalazł sztab ojca, umiejscowiony nieco poza zasięgiem karabinów przeciwnika. Puste ulice były pełne śmieci, kamienie chodnika mokre od przelotnego deszczu, który spadł w nocy. Niewiele brakowało, a zapachy miasta całkowicie przytłoczyłyby zmysły Taniela, wyostrzone prochowym transem, w którym przebywał niemal bez przerwy od dwóch tygodni. Dla maga świat cuchnął łajnem, strachem, opróżnianymi nocnikami oraz nieufnością.

U boku miał Ka-poel. Miasto wciąż ją zadziwiało – tyle budynków, i to z każdej strony, a wszystkie takie wysokie. Nie podobało jej się. Gestami przekazała Tanielowi swoją opinię. Za dużo ludzi. Za dużo domów. Taniel

ją rozumiał. Talent prochowego maga oznaczał w praktyce umiejętność niesienia kuli na mile. Przez najszersze nawet pole bitwy. Co z niego był za pożytek, gdy coś z każdej strony blokowało widok?

Gothen zajął miejsce po drugiej stronie Taniela. Pogromca drapał się po głowie, z tyłu, tam gdzie jeszcze zostały mu włosy. Obserwował barykady z ręką na kolbie jednego ze swoich trzech pistoletów.

– Idziesz tam ze mną? – zapytał Taniel.

Najemnik pokręcił głową.

– Przy twoim ojcu jestem cokolwiek nerwowy.

– Nie ty jeden – mruknął Taniel.

Sztab znajdował się w jednym z setek opuszczonych domów nieopodal centrum miasta. Wokół kręciło się sporo żołnierzy. Ich mundury nie były jednak granatowe, a czerwono-złoto-białe, zaś na sztandarze widniała aureola ze złotymi skrzydłami. Najemnicy ze Skrzydeł Adoma. W większości pochodzili z Adro, bo stąd wywodziła się kompania, ale w ich szeregach można było spotkać mieszkańców każdego innego kraju.

Taniel przeszedł przez ulicę i zatrzymał się pod kamienicą wystarczająco długo, aby straż mogła przyjrzeć się wpiętej w kurtkę baryłce prochu, po czym wszedł do środka razem z Ka-poel depczącą mu po piętach.

Salon domu wyglądał jak wnętrze namiotu dowodzenia. Każdą praktycznie powierzchnię zakrywały płachty map, w kątach ulokowano broń wszelkiego rodzaju i skrzynie z amunicją. Tamas stał za stołem i studiował plan miasta, towarzyszyli mu dwaj komendanci brygad ze Skrzydeł. Ordynans Tamasa rozsiadł się na sofie w kącie i palił papierosa.

Marszałek nie uniósł wzroku znad mapy. Taniel odchrząknął. Żadnej odpowiedzi. Brygadierzy spojrzeli na niego zaciekawieni.

– Chcę Bo – oznajmił.

Tamas dopiero teraz spojrzał na syna. Wyraźnie był poirytowany, jak ktoś, kto rozważał coś głęboko i właśnie mu przeszkodzono.

– Jakiego Bo?

Taniel przewrócił oczami.

– Borbadora. Potrzebuję jego pomocy.

– Nie chcę teraz żadnego Uprzywilejowanego w pobliżu miasta. – Tamas się skrzywił.

– A ta najemniczka, którą wsadziłeś mi na kark? Julene?

– To co innego. Borbador należał kiedyś do królewskiej kamaryli.

– I został z niej wygnany – przypomniał ojcu Taniel. – Poza tym Bo nie przepadał za ostatnim królem. Przyłączył się do kamaryli dla pieniędzy i dziwek z burdelu.

– A wydalono go za to, że się przespał z ulubioną nałożnicą przywódcy kamaryli – przypomniał synowi Tamas. Odszedł od stołu i ciężko usiadł na krześle. Przetarł oczy, jak gdyby chciał w ten sposób usunąć zmęczenie. – Kilka miesięcy temu niemal przywrócili go do łask. Zaaranżowałem jego przeniesienie do Straży Górskiej, żeby nie było go tutaj, kiedy będę wyrzynał królewską kamarylę. Dbam o takie rzeczy.

Taniel poczuł drobny przypływ wdzięczności do ojca i znienawidził się za to.

– Jak tam polowanie? – Tamas zmienił temat.

Taniel, składając raport, nadal stał, mimo że ojciec gestem pokazywał, aby usiadł.

– Miejska rezydencja Westevena jest opuszczona. Uprzywilejowana też odeszła. Dobrze ukrywa ślady, a metody Ka-poel, chociaż dokładne, nie są na tyle szybkie, aby dotrzymywać kroku komuś, kto ciągle jest w ruchu.

– Julene powinna ją wytropić.

– Z Julene jest więcej kłopotów niż pożytku.

– Julene jest warta pieniędzy, które jej płacę. – Tamas wyprostował się, patrząc na syna. – Już w przeszłości zajmowała się dla mnie różnymi problemami. Jest dyskretna i potrafi myśleć.

– Problemami, co? – powtórzył Taniel. – Takimi jak zniknięcie tych trzech adrańskich Uprzywilejowanych w zeszłym roku? Pisali o tym w gazetach w Fatraście. Za głośno sprzeciwiali się twojej prochowej koterii, o ile dobrze pamiętam.

– Owszem – potwierdził Tamas.

– I ufasz jej?

– Dopóki jej płacę.

– Tamasie, ona jest beczką prochu z krótkim lontem. Ruszyła teraz za tamtą Uprzywilejowaną, razem ze swoim pogromcą magów, poszli sami, wbrew moim rozkazom. Ona albo szuka śmierci, albo w tym wszystkim jest coś osobistego.

– A kiedyż to zrobiłem ciebie dowódcą? – Tamas wstał, podszedł do biurka i nalał sobie szklankę wody.

Taniel zesztywniał.

– Założyłem, że wtedy, kiedy dałeś mi tamtych dwoje. Jestem Naznaczonym.

– Hmm. – Tamas zakołysał wodą w szklance. – Jeszcze raz ta Uprzywilejowana ci się wymknie, a dowodzenie przekażę Julene. Jest skuteczna. Brutalna, kiedy trzeba, ale skuteczna.

– Zrób tak, a będziesz musiał tłumaczyć swojej radzie, dlaczego połowa miasta została zniszczona w trakcie starcia dwóch Uprzywilejowanych. – Jad dźwięczał w głosie Taniela. Czy Tamas naprawdę był taki głupi?

– Dam ci jeszcze jedną szansę – powiedział marszałek.

Taniel zazgrzytał zębami.

– Nie wierzysz, że wykonam swoją robotę? Nie jesteś w stanie, prawda? Co cię przekona, żebyś we mnie uwierzył? Kreski za pięćdziesięciu Uprzywilejowanych na kolbie mojego karabinu? Stu?

– Wiem, do czego jesteś zdolny, ale jesteś jeszcze młody. Masz zbyt gorącą głowę.

– I kto to mówi?!

– Uważaj na słowa. Albo będziesz wykonywał rozkazy, albo przekażę zadanie komuś innemu. Vlora od razu skorzysta z okazji, żeby wrócić do łask.

– Dam sobie radę – odparł Taniel przez zaciśnięte zęby.

– Udowodnij. Posłuchaj Julene. To weteranka łowów na Uprzywilejowanych, sama też jest utalentowanym czarodziejem.

Taniel parsknął.

– O Kresimirze na niebiosach, gadasz, jakbyś się z nią przespał. – Zamilkł na chwilę, bo w oczach Tamasa zamigotały niebezpieczne iskry. Taniel nie zdołał powstrzymać szerokiego uśmiechu. – Zrobiłeś to! Przeleciałeś najemniczkę!

– Dosyć tego, żołnierzu – wtrącił się nieoczekiwanie nowy ordynans marszałka. Przyglądał się ojcu i synowi zza smug papierosowego dymu. Taniel zerknął na niego, a potem na marszałka. Widział żyły występujące ojcu na szyi. Tamas miał zaciśnięte szczęki i pięści. Taniel poczuł, jak jego duma zmaga się z nagłym poczuciem zagrożenia. Obaj brygadierzy pochylili głowy nad mapą Dziewięciu, udając, że nie słyszą rozmowy ojca z synem.

Taniel odchrząknął.

– Julene nie potrafi jej wytropić. Sama to przyznała. Uprzywilejowana rozmywa aurę, korzystając z deszczu. Używałem swojego trzeciego oka i niczego nie znalazłem. Nasza jedyna szansa to Ka-poel, a ona działa wolno. A nawet kiedy już dogonimy Uprzywilejowaną, to ona jest naprawdę potężna. I nie chodzi tylko o siłę jej czarów. Trafiłem ją trzy razy. Wsadziłem jej bagnet w brzuch. A ona zniszczyła dwa budynki i zniknęła. Nadal ucieka, pomimo rany, która powinna ją zabić. Właśnie dlatego chcę Bo.

Wyglądało na to, że Tamas odzyskał już panowanie nad sobą.

– Absolutnie wykluczone. Nie będę ryzykował obecności w mieście Uprzywilejowanego z kamaryli. Może za kilka miesięcy. Musisz poradzić sobie z tym, co masz. Ryze – zwrócił się do starszego z dwóch brygadierów, weterana z przepaską na oku – potrzebuję kompanii w gotowości do dyspozycji Taniela. Daj mu też doświadczonego tropiciela. Takiego, co dobrze sobie radzi w mieście. – Stary brygadier skinął głową, a Tamas odwrócił się z powrotem do syna. – Odmaszerować, żołnierzu.

Taniel zasalutował drwiąco i zrobił w tył zwrot, a następnie opuścił pokój. Zatrzymał się przed sztabem, aby wciągnąć kolejną kreskę prochu. Prochowy trans natychmiast przybrał na sile. Taniel zadrżał i ujrzał świat tak wyraźnie, że zaczęły łzawić mu oczy.

– Przestań tak na mnie patrzeć – odezwał się do Ka-poel.

Dziewczyna przedrzeźniła wciąganie prochu i pokręciła głową.

Za dużo prochu.

– Nic mi nie jest.

Znowu pokręciła głową.

– A skąd ty możesz wiedzieć?!

Ka-poel spojrzała gniewnie.

Taniel uciekł wzrokiem. Po drugiej stronie ulicy Gothen poprawiał swój prywatny arsenał, tak żeby móc wygodnie usiąść na podeście.

– Sądzę, że jedno z nich donosi Tamasowi – Taniel odezwał się do Ka-poel. – Za moimi plecami. Z nim to nie wiadomo. Nigdy mi nie ufał. – Potarł nos. – Wciąż uważa mnie za dziecko.

Ka-poel dotknęła pięścią serca i wskazała Taniela.

– On mnie kocha? Ha. Może i tak – zgodził się. – W końcu jest moim ojcem, to powinien. A przecież Tamas zawsze robi to, co należy. Tylko byłoby miło, gdyby mnie jeszcze LUBIŁ. – Ruchem głowy wskazał Gothena. – Nigdy nie przepadałem za najemnikami. – Rozejrzał się szybko, upewniając, że w zasięgu głosu nie ma nikogo ze Skrzydeł Adoma, i kontynuował: – Nawet w połowie nie pracują tak ciężko, jak powinni za pieniądze, które dostają, a jak przychodzi co do czego, to przede wszystkim starają się uratować swoją skórę, zamiast robić, za co im płacą.

Zdawało się, że Ka-poel zastanawia się przez chwilę nad jego słowami. Całkiem dobrze go rozumiała, a przynajmniej wtedy, gdy było jej to na rękę. Jednak gdy mówił zbyt szybko, potrzebowała chwili, by sobie to poukładać.

Wykreśliła w powietrzu kontur kobiety.

– Julene?

Przytaknęła, odsłaniając zęby.

– Też jej nie lubię. Przez nią mogliśmy wszyscy zginąć w walce z tamtą Uprzywilejowaną. Nawet Uprzywilejowana, a zwłaszcza Uprzywilejowana powinna wiedzieć, że nie można do żadnego z nich po prostu podejść

i liczyć, że padnie trupem. Ona się zachowuje tak, jak gdyby uważała, że zawsze wygra.

Ka-poel wskazała na niego palcem.

– Ja? – zaśmiał się Taniel. – Ja WIEM, że wygram każdą walkę.

Przeszedł przez ulicę i dołączył do Gothena na podeście.

– Gdzie Julene? – zapytał.

Gothen wzruszył ramionami.

– Zjawia się i znika. Wróci za parę godzin, wie, że mamy robotę.

– Długo z nią pracujesz?

– Dwa lata.

– A dla Tamasa?

– Nieco ponad rok.

– A wcześniej gdzie?

– W Kezie.

– Polowaliście na prochowych magów?

Gothen poprawił się na podeście, zakłopotany.

– Jakiś oszalały Stróż. Uprzywilejowany, były członek kamaryli. Głównie takie sprawy.

– Pewnie braliście niezły pieniądz? – Taniel postanowił nie przyciskać pogromcy w kwestii prochowych magów.

– Bardzo dobry – odparł Gothen. – Jednak kiedy pracowaliśmy dla diuka, sprawy przybrały zły obrót i musieliśmy szybko opuścić kraj.

Taniel zanotował w pamięci, że Julene może żywić urazę do Kezu. To wyjaśniałoby, dlaczego Tamas lubił czarodziejkę.

– Jak wam się udaje razem pracować? – zapytał. – Pogromca magów i Uprzywilejowana jako partnerzy? Przecież nie może używać czarów, kiedy jesteś obok.

Gothen uśmiechnął się krzywo.

– Nie jest tak źle, jak myślisz. Muszę mieć kontakt z Nieświatem – uniósł dłonie, chociaż nie miał na nich rękawic – aby móc naprawdę odciąć Uprzywilejowanego od magii. A nawet wtedy muszę być w odległości około dziesięciu stóp od niego.

– Co stanowi niezłe wyzwanie – stwierdził Taniel.

– Racja.

Taniel odchylił się lekko.

– Pogromcy są bardzo nieliczni. Wątpię, żeby mój ojciec w ogóle wiedział, w jaki dokładnie sposób pracujesz.

– Rzeczywiście, niewielu nas – zgodził się Gothen. – Spotkałem w życiu tylko jednego. Człowiek nie rodzi się pogromcą magów, jak to jest z Uprzywilejowanym, prochowym magiem czy Naznaczonymi.

– A jak się nim staje?

– Świadoma decyzja – oznajmił Gothen, patrząc przed siebie niewidzącym spojrzeniem.

– I tyle?

– I tyle. Dotknąłem Nieświata i zażyczyłem sobie, aby wszystkie aury odeszły. – Wyciągnął z kieszeni rękawice Uprzywilejowanego i pokazał Tanielowi. Na granatowym tle widniały złote runy, podczas gdy rękawice Uprzywilejowanych były białe, a runy na nich rozmaitej barwy. – Moje rękawice natychmiast uzyskały taki kolor. Z tego, co wiem, to jakiś rodzaj polaryzacji. Teraz kiedy dotykam Nieświata, przestrzeń wokół mnie staje się pozbawiona magii. Nie można przyzywać aur, tworzyć ich ani nimi manipulować. Nawet kiedy nie dotykam Nieświata, aury nie zjawiają się bliżej niż sześć cali ode mnie.

– Czy to można odwrócić? Gdybyś chciał znowu zostać Uprzywilejowanym?

– Nie. – Gothen schował rękawice z powrotem do kieszeni.

Uprzywilejowani byli najpotężniejszymi istotami na ziemi. Ciskali błyskawice z taką łatwością, jak dzieci piłkę. Rozkazywali morzu i ziemi. Taniel nawet nie potrafił wyobrazić sobie, że ktoś dobrowolnie rezygnuje z takiej potęgi.

– Dlaczego? – zapytał.

Gothen trącił butem kamień brukowy.

– Byłem bardzo słabym Uprzywilejowanym, miałem ledwie tyle sił, aby dotykać Nieświata, nie wspominając o władaniu aurami. Nie przeszedłem

testu, żeby stać się jednym z Uprzywilejowanych kamaryli. Byłem wściekły. Pomyślałem, że skoro nie chcą zabrać mnie z ulicy i podzielić się swoją władzą i bogactwem, to stanę się tym, kogo najbardziej się boją: nietykalnym dla ich magii.

– A to rozumiem.

Gothen odwzajemnił szeroki uśmiech.

– A teraz zarabiam mnóstwo pieniędzy za ściganie ich i zabijanie.

– Wielu zabiłeś?

Gothen wyprostował pięć palców.

Skoro pracował dla Kezu, to pewnie zabijał także prochowych magów. Nie nosił powietrznej strzelby, ale wystarczyłby mu i pistolet, gdyby wziął maga z zaskoczenia. Taniel słyszał o łowcach nagród, używających pocisków ze złotem. Gdy złoto dostało się do krwi prochowego maga, ten nie mógł zapalić prochu myślą ani wejść w prochowy trans. Na szczęście, sposób ten był zarówno kosztowny, jak i zawodny.

– Co sądzisz o tej Uprzywilejowanej, którą ścigamy? – zapytał Taniel.

– Jest bardzo silna. – Gothen spochmurniał od razu. – Nigdy dotąd nie polowałem na kogoś tak silnego. Julene mówi, że mi się tylko wydaje.

– Moim zdaniem nie – poparł go Taniel. – Byłem przy tym, jak rozwaliła tamte budynki. Nie zabiła mnie tylko dlatego, że stałeś między nami. Dziękuję ci.

Gothen przytaknął niepewnie.

– Myślę, że jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

– Co?

– Kiedy skoczyłem przed ciebie, dotykałem Nieświata. I jak nic byłem dość blisko, by ją odciąć. Nie powinna w żadnym razie być w stanie sięgnąć do aur. A jednak sięgnęła. Nigdy dotąd się z czymś takim nie spotkałem.

Taniel wytarł odrobinę potu, która perliła mu się na czole.

– Lepiej ostrzeż swoją partnerkę, żeby nie była zbyt pewna siebie.

– Jak gdyby mnie słuchała – odparł Gothen. – W tym jest coś prawie... osobistego. Jak gdyby nie chciała twojej pomocy... Do otchłani, jak gdyby

nie chciała nawet mojej pomocy.

– Proszę bardzo, może załatwić to sama – prychnął Taniel.

– Co załatwić sama?

Taniel drgnął. Julene stała za nimi, z ręką na biodrze i z brwiami zmarszczonymi tak mocno, że koniuszek jednej dotykał blizny. Zbliżyła się do nich zupełnie niepostrzeżenie. Tyko Ka-poel nie była zaskoczona.

Milczeli wszyscy. Gothen próbował uniknąć wściekłego spojrzenia Julene, pod którym niemal się skurczył. Taniel wstał.

Prawie natychmiast znalazł się na bruku, gdy ulica zakołysała mu się pod nogami.

– Trzęsienie ziemi! – ktoś krzyknął.

Tamas opierał się właśnie o krawędź stołu z mapą, gdy ziemia zaczęła wierzgać. Zatoczył się na ścianę, potem rzuciło nim na podłogę. Tynk sypiący się z sufitu przesłonił wnętrze pomieszczenia. Tamas rozpłaszczył się na podłodze, żołądek mu się skręcił na widok stołu kołyszącego się gwałtownie z jednej strony na drugą, póki nie pękła drewniana noga. Wtedy mebel przewrócił się, podrygując przy tym jak liść na wietrze. Z półek pospadały bibeloty, a chwilę później meble też poleciały na podłogę. Z ulicy słychać było wrzaski paniki.

Trzęsienie ziemi skończyło się tak szybko, jak się zaczęło. Tamas dźwignął się z podłogi, otarł tynk z twarzy. Pokój wydawał się nienaruszony, chociaż większość mebli rozpadła się na kawałki. Marszałek odetchnął z ulgą. W tej okolicy sporo gmachów było starych i niezbyt mocnych, równie dobrze Tamas mógłby zostać pogrzebany pod zwałami gruzu. Pomyślał, że sporo osób miało mniej szczęścia.

Olema rzuciło na podłogę, a na niego zwaliła się biblioteczka. Nogi Tamasa uginały się pod nim, jak gdyby całe miesiące spędził na morzu.

Podszedł ostrożnie do biblioteczki i podniósł mebel, uwalniając swojego ordynansa.

Olem leżał na plecach, jedną dłonią pocierał czoło, a drugą odgarniał przygniatające go książki. Skwapliwie uchwycił wyciągniętą rękę Tamasa.

– Krwawisz, sir – zauważył.

Marszałek dotknął czoła. Na palcach pozostał mu szkarłat.

– Nawet nie poczułem – zdziwił się.

– Na pewno kawałek tynku – stwierdził Olem.

Spojrzał w górę. W suficie było kilka sporych dziur, jedna dokładnie nad stołem sztabowym.

– To tylko guz – stwierdził marszałek. – Nic mi nie jest.

Rozejrzał się niepewnie, wciąż czuł się oszołomiony. Minie kilka godzin, zanim przywróci się tutaj porządek. Zachwiał się.

– Panie, na pewno wszystko w porządku? – zaniepokoił się Olem, podtrzymując Tamasa.

Marszałek zbył go ruchem ręki.

– W porządku, w porządku. Zobaczmy, jakie są szkody na zewnątrz.

Na ulicy panował chaos. Ludzie wybiegli z domów, wołając o pomoc. Najemnicy starali się postawić działa polowe, poprzewracane niczym dziecięce zabawki. Kamienie bruku powyskakiwały z ulicy, wydawało się, że ziemia się pod nimi rozciągnęła. Pobudowane ciasno kamienice zawaliły się, zasypując ulice cegłami.

Przed Tamasem zatrzymał się jeden z najemników ze Skrzydeł Adoma.

– Panie, nastąpiło trzęsienie ziemi – powiedział.

– Dziękuję, żołnierzu. Tyle to sam wiem.

Mężczyzna odszedł spiesznie, sprawiał wrażenie ogłuszonego. Tamas i Olem wymienili spojrzenia.

– Nie miewamy tu zbyt często trzęsień ziemi – zauważył Tamas.

Olem potrząsnął głową.

– Za mojego życia jeszcze żadnego nie było.

Tamas odwrócił się, szacując zniszczenia. W pewnych częściach miastach sytuacja z pewnością rysowała się gorzej, w innych lepiej. Nawet

nie chciał myśleć, co się teraz działo w porcie.

– Czy Szabloząb nie przechylił się cokolwiek, sir? – spytał Olem.

Tamas spojrzał. Czarna wieża, wznosząca się na zachodzie ponad dachami budynków, rzeczywiście zdawała się nieco krzywa.

– Przynajmniej nie wywalił się od razu. Olemie...

– Tak, panie?

– Znajdź jakichś gońców. Chcę mieć informacje o zniszczeniach z całego miasta. Chcę wiedzieć, co z barykadami. Jeśli powstały w nich jakieś wyłomy, to może być nasza szansa, żeby się przebić.

– Teraz?

– Zdecydowanie teraz. Generał Westeven wykorzysta ten chaos, aby przesunąć barykady na nasz teren, wzmocnić je gruzem po trzęsieniu. Też powinniśmy to spożytkować.

– Na pewno nie jesteś ranny, panie?

– Na pewno. Ruszaj.

Olem oddalił się, nie zwlekając. Tamas poczekał, aż ordynans zniknie mu z oczu, a potem ciężko oparł się plecami o ścianę. Głowa pulsowała bólem. Widział sylwetki spiesznie zbiegające z barykad na ulicę, aby pochwycić cegły oraz kamienie i wrzucić za zapory.

– Ryze! – zawołał Tamas.

Brygadier najemników zbliżył się, lawirując między kamieniami i kawałkami muru.

– Czy któreś z tych dział są gotowe do użycia? – zapytał marszałek.

– Osie są pogięte, koła połamane. Musimy wezwać paru kowali.

Tamas wskazał barykady.

– Każ swoim chłopakom podejść na odległość strzału, nie pozwól Westevenowi wzmocnić barykad.

Ryze zasalutował, zrobił w tył zwrot i zaczął wywrzaskiwać rozkazy.

Tamas wrócił do budynku. Postawił wywrócony fotel, poszukał wśród bałaganu zapasowego płaszcza, złożył go i przycisnął do głowy, a potem usiadł ciężko.

– Ma pan okropnego guza na czole.

W drzwiach stanął jakiś mężczyzna, wsparł dłonie na biodrach i szacującym wzrokiem przyglądał się zniszczeniom. Miał cienki wąsik i długie czarne włosy splecione w warkocz, przerzucony przez ramię. Ważył ze dwadzieścia kamieni, nawet więcej, i przewyższał Tamasa o półtorej głowy. Lekko żółtawy odcień skóry wskazywał na rosvelskie korzenie, ale nieznajomy mówił z akcentem rodowitego Adrańczyka. Ubrany był w brązowe spodnie oraz długą, przybrudzoną białą koszulę miejskiego robotnika i sfatygowany surdut.

– Owszem – stwierdził Tamas, ostrożnie przyciskając palce do skroni. – Tak sądzę. Jesteś pan chirurgiem?

Mężczyzna, zaskoczony, spojrzał na ręce.

– Nie sądzę. Te mięsiste dłonie mają tylko jedno powołanie: kuchnię.

– Kucharz? – Ledwie odesłał Olema, a już jakiś przybłęda wlazł mu prosto do sztabu. – Jak pan potrzebuje pomocy, to na pewno żołnierze rozstawiają już szpital polowy.

Mężczyzna zmrużył oczy.

– Kucharz? – warknął przez zęby. – Czy ja wyglądam jak tani dostawca wodnistej zupy i rozgotowanego mięsa? Jestem kuchmistrzem, do cholery, i proszę na przyszłość uważać, kogo pan nazywa kucharzem. Uczucia łatwo zranić.

Tamas opuścił dłoń, odsuwając ją od zranionej głowy, i przyjrzał się mężczyźnie. A ten to myślał, że kim jest, u licha? Rozbawienie zmieniło się w rozdrażnienie, gdy mężczyzna wszedł do pokoju, postawił sobie leżące obok Tamasa krzesło i usiadł wygodnie.

– Wiesz pan, kim ja jestem? – zapytał marszałek ostro.

Mężczyzna machnął ręką, drugą poprawiając wielkie brzuszysko, żeby wygodnie spoczęło mu na kolanach.

– Marszałek polny Tamas, o ile się nie mylę.

Co za tupet.

– Kim pan jest?

Mężczyzna wyjął chusteczkę z kieszeni i otarł czoło.

– Cholernie tu gorąco. Ale gdzież moje maniery? Jestem Mihali, syn Moaki, lord Złotych Kuchmistrzów.

Złoci Kuchmistrzowie, to brzmiało znajomo, jednak Tamas nie mógł sobie przypomnieć, o co dokładnie chodziło.

– Moaka? – zapytał Tamas. – Ten na-baron?

– Mój ojciec przede wszystkim uważał się za znawcę kulinariów. Niech Kresimir ma jego duszę w opiece.

– A tak – stwierdził Tamas. Ostrożnie dotknął głowy. Przestała już chyba krwawić, ale ból stawał się coraz mocniejszy. – Byłem kiedyś na jednym z jego bankietów. Jedzenie niezrównane. Zmarł w zeszłym roku, nieprawdaż? – Nawet syn na-barona tutaj nie pasował. Gdzież, do licha, podziewał się Olem?

– Zawsze wszystko przyrządzał sam. – Mihali zwiesił głowę. – Co za szkoda. Serce odmówiło mu posłuszeństwa, kiedy kosztował mojego jagnięcego sufletu. Był taki dumny, iż wreszcie go przerosłem. – Przybysz zapatrzył się przed siebie niewidzącym spojrzeniem, pogrążając we wspomnieniach.

– Proszę mi wybaczyć – odezwał się Tamas. Łupanie w głowie stawało się coraz mocniejsze. – Czego pan tu, u licha, szukasz?

– Och – powiedział Mihali. – Najmocniej przepraszam. Jestem bogiem Adomem odrodzonym.

Tamas nie zdołał się powstrzymać i parsknął śmiechem. Klepnął się w kolano.

– Święty Adom, co? A to dobre. Au! – Chwycił się za głowę. Śmiech nie był jednak dobrym pomysłem.

– Święty – prychnął Mihali. – Wraz z Kresimirem zmieniłem chaos w porządek, a ci ludzie relegowali mnie do bycia świętym. Och, no dobrze, nie można mieć wszystkiego, nieprawdaż?

Tamas postarał się zdusić chichot.

– Na Kresimira, pan mówisz poważnie?

– Oczywiście – powiedział Mihali. Przyłożył sobie dłoń do serca. – Przysięgam na zupę kabaczkową mojej matki.

Tamas wstał. Czy to był jakiś żart? Dowcip Sabona? Może Olema. Ordynans stanowczo na zbyt wiele sobie pozwalał.

– Olem! – zawołał marszałek. Żadnej odpowiedzi. Zaklął pod nosem. Kazał ordynansowi wysłać gońców, a nie osobiście przeprowadzać inspekcje w całym mieście. – Olemie! – Wystawił głowę na korytarz. W pobliżu nikogo nie było.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Mihalim. Kuchmistrz zerknął za próg.

– Tak naprawdę to jeszcze nie chcę się z nikim spotkać, dziękuję – powiedział. – Nie chcę robić zamieszania. Spotkanie z bogiem to, jak sądzę, niesłychanie poważna sprawa.

– Kim pan jest? Aktorem? – zapytał Tamas. Palcem dziabnął mężczyznę w brzuch, spodziewając się, że koszula okaże się wypchana. Brzuch był jednak najprawdziwszy na świecie. – Niezły pokaz, ale nie jestem w nastroju.

Mihali wskazał głowę Tamasa.

– Nieźle pan oberwał – stwierdził ze zrozumieniem. – Wiem, że to sporo do przetrawienia. Może powinien pan na chwilę usiąść. W tym ciele moje wspomnienia są jeszcze niedoskonałe, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy. – Odchrząknął. – Czy umierający Uprzywilejowani ostrzegli pana, tak jak powinni?

Tamas zastygł z dłonią w połowie drogi do rany na głowie. Chwycił Mihalego za klapy marynarki.

– Przed czym mnie ostrzegli?

Mihali zdawał się naprawdę zmieszany. Przepraszająco wzruszył ramionami.

– Jak mówiłem, moje wspomnienia nie są takie, jakie powinny. – Zdawało się, że się ożywił. – Jednak polepszą się z czasem. Tak sądzę.

– Dosyć żartów – powiedział marszałek. – Kim jesteś, do otchłani?

Tamas poleciał na ościeże, rąbnął w nie barkiem, potem upadł na podłogę. Przez chwilę sądził, iż Mihali go uderzył, ale potem uświadomił sobie, że to kolejne trzęsienie ziemi. Serce podeszło mu do gardła, złapał

się framugi i patrząc na sypiący się tynk, modlił się, by tym razem nie zawalił się cały budynek. Wszystko trwało kilka sekund.

Wstał, otrzepał się z pyłu i rozejrzał. Obcy zniknął. Tamas zazgrzytał zębami, wyjrzał na korytarz. Olem stał oparty o ścianę.

– Gdzie się podziewałeś, do otchłani? – zapytał Tamas.

– Szukałem gońców – odparł Olem. – Panie, wszystko w porządku?

Tamas przyjrzał mu się uważnie. Nie dostrzegł nawet cienia kpiny. Nikt nie potrafił robić kawałów z tak kamienną twarzą.

– W porządku. Czy widziałeś, żeby ktoś tędy przechodził?

Olem zerknął na niego, rozejrzał się w obie strony korytarza. Sięgnął do gruzu pod stopami, wyłowił stamtąd wciąż tlącego się papierosa.

– Nie, panie.

Tamas wrócił do pokoju, pewien, że dom ma jakieś tylne drzwi. Jednak przecież nikt nie mógł przejść przez pokój, kiedy ziemia wyprawiała takie harce.

Jak mocno uderzyłem się w głowę?

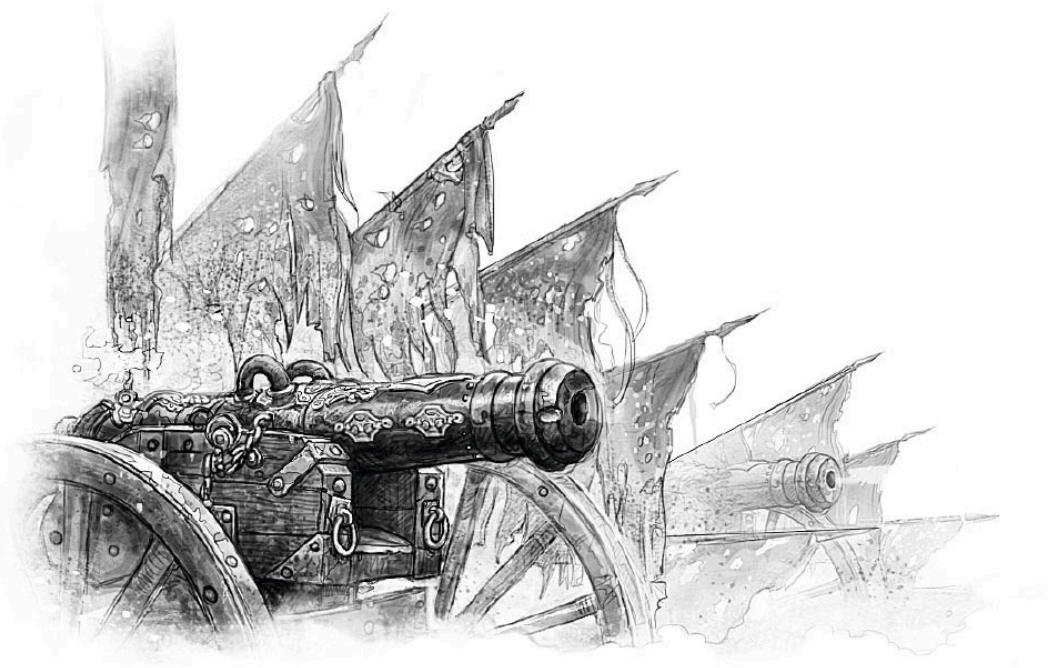

10
ROZDZIAŁ

Adamat na moment wrócił do swojego domu po pistolety. Od dnia, w którym zatrudnił SouSmitha, minęło już pięć kolejnych, jednak nadal nie zdołali prześlizgnąć się przez kordon wojska i dotrzeć do Archiwum Publicznego. Sytuacja zmieniła się jednak za sprawą trzęsienia ziemi. W całym mieście zapanował chaos. Niejeden budynek obrócił się w gruzy, ulice wypełniły bezdomnymi. Detektyw wreszcie miał sposobność, by zakraść się w pobliże pozycji rojalistów i znaleźć drogę do Archiwum. Podobna okazja mogła się już nie powtórzyć.

Krążyły pogłoski, że Tamas ściąga do miasta całą armię i zamierza przedrzeć się przez barykady, ale wszystko wskazywało na to, że wysłał

swoich żołnierzy i najemników do pomocy mieszkańcom, a nie zdobywania umocnień. Jednak kiedy walki zaczną się już na poważnie, w Centestershire z pewnością zrobi się bardzo niebezpiecznie. Mówiono też, że prochowi magowie Tamasa nadal ścigają po Adopeście jakąś zbiegłą Uprzywilejowaną. Ulice przestały być miejscem dla ludzi o słabym sercu.

Co trzy dni Adamata odwiedzał posłaniec od Tamasa. Co trzy dni detektyw musiał zdawać raport o braku postępów. Irytowało go niewymownie, że Tamas wisi mu nad głową, ale i to, że nie może donieść marszałkowi o jakichkolwiek sukcesach.

Adamat zatrzymał się w progu, żeby zabrać listy. Tamas zadbał, by przynajmniej poczta nadal działała. Trudno go było za to nie podziwiać. Detektyw poczekał, aż SouSmith wejdzie do środka, następnie nogą zamknął drzwi. Bokser stuknął Adamata w ramię.

Po drugiej stronie korytarza widać było tylne drzwi otwarte na oścież. Detektyw odłożył pocztę na stolik z boku i wyjął laskę ze stojaka przy wejściu. Pięściarz skierował się do gabinetu, Adamat ruszył za nim, wysoko unosząc laskę. Powoli ją opuścił.

– Zaoszczędziłeś mi spaceru – stwierdził.

Palagi czekał w ulubionym fotelu Adamata obok kominka, ręce miał złożone na kolanach. Towarzyszyło mu tych samych dwóch zbirów co ostatnio. Włamywacz rozpierał się na sofie, a dryblas o wybrudzonych węglem ramionach przyglądał się portretowi rodzinnemu nad kominkiem. Czwarty mężczyzna siedział za biurkiem detektywa, dłonie splótł na podołku.

Palagi szeroko otworzył oczy na widok SouSmitha.

– Zamierzałeś mnie odwiedzić? – zapytał.

– Owszem, właśnie miałem to zrobić.

– A niby po co. Nie ma mowy, żebyś już miał pieniądze, które jesteś mi winien. – Jeszcze raz nerwowo zerknął na SouSmitha.

Adamat odetchnął głębiej i wziął się w garść.

– Nie, ale mam część. Powiedziałeś, że dasz mi spokój, dopóki nie minie termin.

– I tak zrobiłem – stwierdził Palagi.

Detektyw rozejrzał się po gabinecie.

– Został mi jeszcze ponad miesiąc.

– Dałeś mi zły adres do swojej rodziny – stwierdził bankier.

– Dałem ci adres swojego kuzyna – poprawił go Adamat.

– Twoi kuzyni to rodzina bokserów?

– Siedmiu synów, wszyscy wdali się w ojca – wyjaśnił Adamat. – Odnieśli mnóstwo sukcesów jako zawodowcy.

– Możliwe – powiedział Palagi – jednak twojej żony i dzieci tam nie było.

– Doprawdy?

– A gdy moi chłopcy zaczęli naciskać, to zostali zmuszeni do opuszczenia miasta – kontynuował Palagi. – W smole i w pierzu.

– Nie mam pojęcia dlaczego – zdziwił się obłudnie Adamat. Uśmiechał się w duchu, jednak zachował obojętny wyraz twarzy.

Bankier zmusił się, by nad sobą zapanować.

– Mam zamiar to odpuścić.

Adamat zamarł. Palagi coś knuł.

– Dlaczego? – zapytał.

Bankier przyjrzał się swoim paznokciom.

– Chciałbym przedstawić cię mojemu nowemu przyjacielowi. – Wskazał mężczyznę siedzącego przy biurku. – Oto lord Vetas, człowiek, który ma wiele talentów. I bardzo potężnych przyjaciół.

– Miło mi pana poznać. – Adamat ukłonił się uprzejmie, obrzucając nieproszonego gościa uważnym spojrzeniem. Vetas nosił się na czarno, wyjąwszy szkarłatną kamizelkę oraz złoty łańcuszek zegarka widoczny w kieszonce na piersi. Siedział na krześle detektywa niczym uczeń, zachowując idealną postawę, jego oczy zaś uważnym spojrzeniem omiatały cały pokój. I było to spojrzenie kogoś, kto zauważa absolutnie wszystko.

– Wiedziałeś o zamachu stanu – Palagi ponownie skupił na sobie uwagę Adamata. – Nawet przed gazetami. Poprzedniej nocy zniknąłeś gdzieś na

kilka godzin. Gdzieś cię wezwano. Mój człowiek widział, jak odjeżdżasz. Wróciłeś i od razu zapakowałeś rodzinę do powozu i wysłałeś w...

– Jakieś bezpieczne miejsce – wszedł mu w słowo Adamat.

– Jakieś bezpieczne miejsce – powtórzył Palagi. – A potem napisałeś mnóstwo listów. Wysłałeś je nie wiadomo gdzie. Pobiegłeś na uniwersytet, odpuściłeś egzekucje. A to dziwne, bo w Adopeście nikt inny tak nie zrobił. Od tamtego czasu kręcisz się po mieście, wynajmujesz powozy na północ i na południe, piszesz jeszcze więcej listów. Byłeś w każdej bibliotece w południowym Adro.

– Widzę, że wynająłeś ludzi, żeby mnie śledzili – podsumował Adamat.

– A owszem. – Palagi polerował paznokcie o kamizelkę.

– A jednak aż tyle czasu zajęło ci dodanie dwóch do dwóch?

– Nie pozwolę, abyś zepsuł mi humor – odparł Palagi. – Pracujesz dla Tamasa. Wiem, że tak. I lord Vetas także o tym wie. Tak samo jak jego pan.

Adamat uważnie przyjrzał się mężczyźnie za biurkiem.

– A kto to może być?

– Ktoś, kogo interesują sprawy Adro i pozostałych Dziewięciu – odezwał się lord Vetas po raz pierwszy. Miał cichy głos, starannie wymawiał słowa, jak ktoś, kto kończył dobre szkoły.

– Jakiś kryminalista? – zapytał Adamat. – Palagi rzadko zadaje się z innymi ludźmi. Może Szafarz?

Lord Vetas zaśmiał się bez cienia wesołości.

– Nie – odparł.

– Przestań zmieniać temat – warknął Palagi do Adamata. Wstał. – Teraz pracujesz dla Tamasa, prawda?

– Siadaj – nakazał lord Vetas. Palagi usiadł.

– A jeśli tak? – zapytał Adamat.

Palagi otworzył usta.

– Cisza – nakazał lord Vetas łagodnie. Palagi natychmiast zamknął usta. – Palagi, możesz odejść. Przedstawiłeś nas sobie.

Bankier ze złością spojrzał na Vetasa.

– Tylko niech pan nie myśli, że przypisze sobie wszystkie zasługi. Ja to odkryłem. Powiedziałem lordowi...

Od tyłu na gardle Palagiego zacisnęła się garota. Adamat dobył szpady ukrytej w lasce, SouSmith pistoletu. Lord Vetas powstrzymał ich gestem. Detektyw zastygł bez ruchu. Patrzył z chorobliwą fascynacją, jak Palagi szarpie się z silnymi rękoma własnego zbira, tego węglarza o szybkim refleksie. Twarz bankiera zrobiła się purpurowa, aż w końcu Palagi skonał. Adamat opuścił szpadę.

Lord Vetas ponownie złożył dłonie.

– Właśnie przejąłem od Palagiego pański dług. Teraz praca dla mnie leży w pańskim interesie.

– Jaka praca? – W głowie Adamata trwała gonitwa myśli. Palagi był przewidywalnym bandziorem, detektyw wiedział, czego może się po nim spodziewać. Ale ten lord Vetas... to niebezpieczny człowiek. Niebezpieczny jak Szafarz. Jeden z tych, którzy sprawiają, że policjanci wcześniej przechodzą na emeryturę.

– Chcę wiedzieć wszystko o Tamasie. O wszystkim, co robi, wszystko, o czym panu mówi. O tym, czego szuka.

– Moja lojalność nie jest na sprzedaż – uciął Adamat.

– W takim razie musi pan zmienić osobę, wobec której jest pan lojalny.

– Nie wiem, kim pan jest i kto jest pana mocodawcą. Jestem lojalny wobec Adro i tego nie zmienię.

– Zapewniam pana, że mój mocodawca jak najbardziej ma na uwadze dobro Dziewięciu – oznajmił lord Vetas. Jego cichy głos i świszcząca wymowa zaczynały już irytować detektywa, który musiał się niemal wysilać, by słuchać dalej.

– Dziewięć to nie to samo co Adro – stwierdził Adamat. – Jak sądzę, pracuje pan dla Kezu. W gazetach napisano, że Kez wysyła ambasadorów i nadal chce, żeby Tamas podpisał Ugody.

– Nie pracuję dla Kezu.

– To dla kogo?

– To dla pana nie ma znaczenia.

– Nie zyskał pan mojej sympatii – odparł Adamat. – Nachodzi mnie pan w moim domu, zabija człowieka w moim gabinecie, grozi mi. Skąd pan wie, że na przykład zaraz nie poślę po policję?

Przez twarz lorda Vetasa przemknął uśmiech.

– Ja nie jestem człowiekiem, na którego wzywa się policję – ostrzegł. – Akurat pan to powinien dobrze wiedzieć.

– Tak. Już to sobie uświadomiłem. – Adamat zgrzytnął zębami. – Jest pan jednym z tych ludzi, którzy nadają twarz złu.

Lord Vetas wydawał się urażony.

– Złu? Skądże, szanowny panie. Tylko pragmatyzmowi.

– Znam takich jak pan – stwierdził Adamat. – Wygląda na to, że i pan zna mnie. Albo sądzi, że zna. A teraz wynocha z mojego domu.

Zerknął na SouSmitha. Palagiego udusił jego własny człowiek. Czy detektyw powinien obawiać się podobnego końca? Czy SouSmith aby na pewno był jego przyjacielem? Pięściarz sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Obserwował jednocześnie lorda Vetasa oraz jego dwóch zbirów, wyłamywał palce, jak zwykle, gdy szykował się do walki.

– Spłacę swoje zobowiązania – obiecał Adamat – jeśli rzeczywiście przejął pan mój dług. Albo skończę na ulicy, kiedy już mnie pan na nią wykopie. Jednak nie zdradzę swojego klienta ani swojego kraju.

Lord Vetas z namysłem obejrzał swoje dłonie. Wstał i zabrał kapelusz z biurka.

– Wrócę, kiedy będę miał zdolność wywarcia nacisku – powiedział to od niechcenia, jednak słowo „nacisk” sprawiło, że Adamatowi ciarki przeszły po plecach. – Tymczasem, na znak dobrej woli mojego mocodawcy, zawieszam spłatę pańskiego długu. – Przeszedł obok detektywa, uchylając kapelusza. – Proszę rozważyć naszą ofertę zatrudnienia. – Podał detektywowi niewielką karteczkę z wydrukowanym adresem.

Dopiero gdy lord Vetas i jego zbiry już odeszli, Adamat przypomniał sobie o trupie na swoim ulubionym fotelu. Z ponurą miną odwrócił się do SouSmitha.

– Znajdź nam w spiżarce coś na lunch. A ja pomyślę, co z tym począć.

– Jakob jest do ciebie bardzo przywiązany – zauważyła kobieta.

Nila siedziała naprzeciwko niej, przy stoliku, i popijała ciepłą herbatę z filiżanki. Na niebie świeciło słońce, po ulicach hulał silny wiatr i niemal udawało jej się nie myśleć o barykadach zaraz po drugiej stronie budynku, gdzie między rojalistami a znacznie liczniejszymi żołnierzami Tamasa panował chwilowo stan ostrożnej równowagi.

– Nie mogę tutaj zostać – powiedziała Nila.

Kobieta przyjrzała się jej znad swojej filiżanki. Miała na imię Rozalia i była Uprzywilejowaną. Hielmeni mówili, że ostatnią Uprzywilejowaną, jaka pozostała w Adro. Nikt jednak nie wiedział, skąd się tu wzięła. Nie należała do królewskiej kamaryli Manhoucha. I nie sposób było powiedzieć, dlaczego zainteresowała się akurat Nilą. Młodziutka praczka nie wiedziała, jak się zachowywać w obecności Uprzywilejowanej. Nie dało się dygać na siedząco, wlepiła więc wzrok w herbatę, starając się zachowywać tak uprzejmie, jak tylko potrafiła.

– A dlaczego nie, dziecko?

Nila uniosła dumnie głowę. Nie uważała się już za dziecko, jako osiemnastolatka była kobietą. Potrafiła prać, prasować oraz cerować ubrania, a pewnego dnia mogłaby poślubić syna kamerdynera, Yewena, gdyby przez zamach Tamasa cały świat nie runął do otchłani. Teraz Yewen zniknął, może uciekł, może zginął gdzieś na ulicy.

– Rano będziemy układać się z marszałkiem polnym Tamasem – mówiła dalej Rozalia, korzystając z milczenia Nili. – Jeżeli generał Westeven skłoni marszałka, by ten posłuchał głosu rozsądku, to możesz się okazać piastunką nowego króla Adro.

– Nie jestem żadną piastunką – odparła Nila. – Piorę ubrania.

– Dziecko, to, co teraz robisz, wcale nie musi określać tego, czym jesteś. W swoim życiu parałam się już niejednym. Bycie Uprzywilejowaną wcale nie stanowiło ani największej, ani najmniejszej z tych rzeczy.

Co mogło przerastać bycie Uprzywilejowaną? – zdziwiła się w duchu Nila.

– Przepraszam – powiedziała.

Rozalia westchnęła.

– Mów głośniej, dziecko. Spójrz mi w oczy. Już nie jesteś praczką diuka.

– Proszę pani... wielmożnej pani, ja jestem niskiego urodzenia. – Nila próbowała sobie przypomnieć, jak zwracać się do Uprzywilejowanego. Aż do dzisiaj jeszcze żadnego nie spotkała.

– Ocaliłaś życie dziecka, które jest pierwsze w kolejce do tronu – przypomniała jej Rozalia. – Ludzie zostawali baronami za mniejsze dokonania.

Nila przełknęła ślinę i starała się nie wyobrażać sobie siebie jako baronessy. Jej takie rzeczy się nie przytrafiały. Czuła badawcze spojrzenie Uprzywilejowanej.

– Myślisz, że przegramy – stwierdziła Rozalia. Czekała chwilę na reakcję ze strony dziewczyny, a potem, nieco niecierpliwie, dodała: – Odezwijże się, wolno ci ze mną rozmawiać.

Nila uniosła więc wzrok.

– Marszałek polny Tamas ma przewagę – odparła. – Przecież nie po to ściął połowę szlachciców, aby osadzać Jakoba na tronie. Za kilka tygodni najdalej przedrze się przez barykady i pośle Jakoba razem z tymi, co go popierali, na gilotynę. Chciałabym, żeby wtedy mnie tutaj nie było. Nie chcę tego zobaczyć. – Zastanowiła się, nie po raz pierwszy, czy nie popełniła błędu, przyprowadzając Jakoba do generała Westevena. Mogła uciec z nim do Kezu. Srebra, które zabrała z miejskiej rezydencji, z nadwyżką wystarczyłyby na opłacenie podróży.

– Bystra dziewczyna – oceniła Rozalia, kładąc palec na podbródku.

Nila skrzyżowała ręce na piersiach.

– Co zrobisz? – zapytała Rozalia. – Kiedy już przejdziesz przez kordon Tamasa i opuścisz miasto?

Dlaczego Uprzywilejowaną miałoby to ciekawić? Nila uświadomiła sobie, że nie wie, co zrobi. Miała srebra. Większość z tego, co zabrała

w każdym razie. Potrzebowała nowego ubrania, paru lekarstw dla Jakoba oraz jakiegoś miejsca, gdzie mogliby się ukryć na czas zamieszek.

– Przyłączyłabym się do wojska. Zawsze potrzebują praczek, a płacą dobrze.

– W najlepszym razie skończyłabyś jako żona żołnierza – stwierdziła Uprzywilejowana. – Cóż za strata.

– Zawsze tak lepiej, niż umrzeć za przegraną sprawę – powiedziała Nila cicho.

– Jak myślisz, co by zrobili żołnierze Tamasa, gdyby przyłapali cię wtedy, jak wyprowadziłaś Jakoba z rezydencji? Dziecko, nie brak ci odwagi i nie udawaj, że nie kochasz tego malca. Gdybyś myślała tylko o sobie, byłabyś już w połowie drogi do Brudanii. Zostań tutaj – przekonywała Rozalia. – Opiekuj się Jakobem. Jeśli jutrzejsze rokowania pójdą dobrze, staniesz się bogatą kobietą. Jeśli nie... możliwe, że znowu będziesz musiała ratować mu życie.

Gdyby została przy Jakobie, mogła stać się bogata. Albo razem z nim skończyć na gilotynie. Przypomniała sobie żołnierskie dłonie przyciskające ją do ziemi, tamto uczucie bezradności i przerażenia. Kiedy żołnierze Tamasa znowu przejdą przez drzwi, już nie ocali jej brodaty sierżant. Miała srebra, zakopane w zakątku cmentarza zaraz pod miastem. Nigdy więcej nie musiała czuć tego strachu.

Nila zastanawiała się przy tym, z jakiego jeszcze powodu Rozalia namawiała ją do pozostania w mieście. Uprzywilejowani wykorzystywali prostych ludzi, a nie dbali o ich dobro. Musiała istnieć konkretna przyczyna owego zainteresowania prostą praczką.

Ponad ramieniem Rozalii Nila dostrzegła Jakoba. Pomimo ciężkich przeżyć w ciągu ostatnich dwóch tygodni chłopczyk odzyskał nieco rumieńca. Uprzywilejowana uporała się z jego kaszlem. Malec uśmiechnął się i pomachał do Nili, by w następnej chwili zająć się bez reszty motylkiem fruwającym nad gruzami zawalonego budynku. Dziewczyna patrzyła, jak chłopczyk odbiega w podskokach w ślad za owadem, a za nim rusza dwóch czujnych Hielmenów.

– Zostanę – oznajmiła. – Na razie.

– Możesz to zakończyć szybko – powiedziała Julene.

Tamas uważnie przyglądał się kobiecie, która właśnie rozsiadła się w fotelu po drugiej stronie biurka. Przyszła do niego z własnej inicjatywy, pozostawiając Taniela i pogromcę magów nie wiadomo gdzie. Miała na sobie koszulę z głębokim dekoltem, odsłaniającą dość rowka między piersiami, by dać pożywkę wyobraźni, jednak wystarczająco obcisłą, żeby nie utrudniać ruchów. Tamas wiedział, że ów wybór stroju nie jest przypadkowy. Marszałek nie należał jednak do mężczyzn, którzy popełniają ten sam błąd dwukrotnie. Julene była kobietą niebezpieczną. Gotową użyć wszelkich dostępnych środków, by tylko dostać to, czego chciała. Odwrócił spojrzenie od jej piersi oraz blizny ciągnącej się od ust po brew.

Zastanawiała go ta szrama. Istnieli przecież Uprzywilejowani, którzy zajmowali się magią leczniczą. Było ich niewielu, a praktykowana przez nich sztuka – trudna i kosztowna, jednak przy sumach, jakie zarabiała Julene, mogła sobie pozwolić na ich usługi. Może po prostu wolała wyglądać groźnie?

– Jak?

– Zabójcy – odparła. – Poślij ludzi za barykady. Zlikwiduj przywódców, a reszta szybko się podda.

– Robiłem, co mogłem, żeby rozpracować starą siatkę szpiegowską Manhoucha, i skutki miałem mierne, a ty chcesz, abym znalazł tylu zabójców, żeby pokonali te barykady? Zwariowałaś.

– Użyj Balwierzy z Ulicy Czarnej – powiedziała Julene.

– Gang uliczny?

Julene przytaknęła.

– Będą drodzy, ale są najlepsi w swoim fachu. Zakończą tę wojnę domową.

– Gangów nie można kontrolować.

– Można, jak się ma dość pieniędzy – poprawiła go. – Balwierze są inni niż reszta. Lepiej zorganizowani. Podlegają Ricardowi Tumblarowi. Używa ich, by utrzymywać porządek w dokach.

– Zabójstwo na zlecenie to ryzykowna sprawa. Może zwrócić ludzi przeciwko mnie.

– Jesteś głupi.

– Ostrożny.

– No to skoro nie Balwierze, to weź mnie na rokowania.

– Dlaczego? – Tamas zerknął na zegarek. Pertraktacje miały się zacząć o dziesiątej, za dwie godziny.

– Bo generał Westeven jest w sojuszu z tą Uprzywilejowaną, na którą polujemy. Ona tam będzie. Nie zdziwiłabym się, gdyby wykorzystała okazję.

– Od tego mam moich prochowych magów – odparł Tamas.

– Twój chłopak trzy razy ją postrzelił i wpakował w brzuch żelazo długie jak ręka. Myślisz, że inni Naznaczeni zrobią coś więcej?

To potwierdzało raporty Taniela. Ta Uprzywilejowana była inna. Była kimś więcej niż pozostali.

– Znasz ją, prawda? – zapytał. – To jakaś sprawa osobista. Widzę to po sposobie, w jaki mówisz. Chcesz jej śmierci.

– Nie opowiadaj bredni.

– W ciągu ostatnich dwóch lat zleciłem ci zabójstwa siedmiorga Uprzywilejowanych. Za każdym razem byłaś zimna, bezduszna.

– I za każdym razem dałam radę zabić ich w przeciągu jednego, dwóch dni – odparła Julene. – To zaczyna być dla mnie sprawa osobista. Chcę śmierci tej suki.

– Czyli że ją znasz?

– Jasne, że nie.

Kłamała. Zdradzało ją twardniejące nagle spojrzenie. To był drobiazg i dopiero niedawno Tamas to u niej zauważył. Julene wypowiadała

kłamstwa ze szczególnym ogniem, gdy bardzo chciała, by jej uwierzono. Ale dlaczego teraz nie mówiła prawdy?

– Sądzisz, że w razie czego zdołasz sobie z nią poradzić? – zapytał Tamas.

– Oczywiście. Za każdym razem, kiedy wszczynaliśmy walkę, rzucała się do ucieczki. W najgorszym razie ją wystraszę.

– Bądź tutaj – zadecydował Tamas. – Za godzinę. Sprowadź Gothena, Taniela i tę jego dzikuskę. I nie rób nic głupiego.

– Jestem tutaj tylko po to, aby cię chronić – zapewniła go Julene.

Tamas stanął obok naprawianego działa i obserwował rząd ludzi, przechodzących przez barykadę. Nieśli białą flagę. Po drugiej stronie działa Olem, oparty o lufę, mówił coś szybko do Sabona. Gdzieś za nimi była Vlora, razem z dowódcami najemników, Ryze’em i Sabastenienem. Z budynku po drugiej stronie ulicy Taniel celował w barykady z karabinu. Julene nerwowo poprawiała rękawice, obok niej stał jej partner. Cała kompania adrańskiego wojska czekała w pogotowiu dwadzieścia kroków z tyłu. Marszałek chciał, by generał Westeven dokładnie się przekonał, jak niewielkie ma szanse.

To miało być kluczowe spotkanie. Tamas czuł, że trzyma w ręku większość kart, jednak generał Westeven był niezwykle uzdolnionym dowódcą. Mógł zrujnować plany marszałka, zwyczajnie przeciągając wojnę domową.

– Żałosna banda – stwierdził Olem, wskazując zbliżających się rojalistów.

Tamas wstrzymał się od sądów. Rojaliści kryli się za barykadami już od ośmiu dni. Byli brudni i ubrania mieli w nieładzie, ale nie wyglądali na głodnych czy wyczerpanych. Może i trwali za skleconymi naprędce osłonami, lecz generał Westeven dbał, by każdy z jego ludzi miał gdzie

spać i co jeść – co nie stanowiło problemu, zważywszy, że opanowali główne magazyny miasta. Rojaliści jadali teraz lepiej od większości mieszkańców Adopestu.

Tamas trwał w lekkim prochowym transie, dzięki czemu z łatwością mógł przyglądać się twarzom z dużej odległości. Znał generała Westevena, wysokiego mężczyznę z czerwonymi znamionami na łysej głowie. Kolejne upływające dekady sprawiły, że ciało generała zostało zredukowane zaledwie do skóry naciągniętej na kości, przy czym każdy jego ruch ograniczony był zaawansowanym reumatyzmem. Jednak to nie stanowiło powodu, aby go nie doceniać. Umysł miał nadal ostry jak brzytwa.

Tamas nie rozpoznał żadnego z mężczyzn towarzyszących Westevenowi, ale przyjrzawszy się ich pomiętym strojom, doszedł do wniosku, że ma do czynienia ze szlachtą. Ludzie, którzy wymknęli się jego żołnierzom w noc przewrotu, byli zbyt mało ważni, by się nimi zajmować.

Rozpoznał towarzyszącą im kobietę. To była ta sama Uprzywilejowana, która zabiła Lajosa oraz pozostałych. Sprawiała wrażenie jedynie zmęczonej, pomimo ran, które podobno zadał jej Taniel. Może Taniel się mylił. Może chybił. Marszałek przez chwilę patrzył jej prosto w oczy. Odwzajemniła spojrzenie, nawet nie mrugnęła.

Taniel nie chybiał.

Rojaliści zatrzymali się na chwilę, dyskutowali, a potem ustawili się naprzeciwko Tamasa oraz jego najemników. Było ich dwadzieścioro, Westeven okazał się jedynym wojskowym w ich gronie. To nie była opozycja, stwierdził Tamas z niesmakiem. To był komitet.

– Marszałku polny Tamasie – odezwał się gruby szlachcic przepasany poplamioną szarfą – nakaż swoim ludziom, aby pozostali na miejscach! Przybywamy jako parlamentariusze.

Marszałek zerknął do tyłu, na swoich żołnierzy. Wszyscy stali na baczność, z bronią na ramieniu.

– Westie – powiedział – dobrze cię widzieć.

Westeven w odpowiedzi skinął głową.

– Szkoda, przyjacielu, że w takich okolicznościach.

– Nie będę żywił żadnej urazy, jeśli teraz odstąpisz od tego towarzystwa. Byłbyś wielce przydatnym sojusznikiem przy przebudowie kraju.

– Z mojego punktu widzenia – odparł Westeven – to ty ten kraj niszczysz.

– Z pewnością dostrzegałeś całe to zepsucie? – powiedział Tamas. – Nic prócz zniszczenia szlachty nie mogło ocalić Adro.

Westeven miał zmęczone oczy, twarz napiętą. Zdawało się, że rozpaczliwie pragnie odpowiedzieć „tak”.

– Gra idzie o wyższą stawkę, niż sądzisz. Poza tym, Tamasie, zabiłeś mojego króla. Nie mogę ci tego wybaczyć.

– Twój król miał właśnie oddać cały kraj Kezowi! – stwierdził ostro Tamas.

Westeven był bystrym człowiekiem. Nie, wręcz genialnym. Jak mógł nie dostrzegać tego, co Tamas starał się zrobić? Jak mógł stawać mu na drodze?

– Nie mogłem pozwolić, aby podpisano Ugody i ten kraj został sprzedany w niewolę. Co jest wyższą stawką niźli lud?

Generał zerknął na członków gwardii Tamasa.

– Nie będę teraz o tym mówił. – Jego spojrzenie stwardniało. – Przybyliśmy na negocjacje.

– A jakie masz podstawy do negocjacji? – zapytał Tamas. – Jesteś całkowicie otoczony. Mam więcej ludzi.

– Za tymi barykadami mam dwadzieścia tysięcy.

– Może z kobietami i dziećmi – skwitował marszałek. – Możesz mieć najwyżej kilkoro niebezpiecznych Zdolnych i jeszcze ją. – Wskazał Uprzywilejowaną. – A ja mam tuzin prochowych magów oraz wystarczająco dużo dział, aby zniszczyć pół miasta.

– Masz na myśli tę połowę, której nie zniszczyło trzęsienie ziemi? – Spokój Westevena doprowadzał do furii.

Tamas zacisnął zęby.

– Mam czas – kontynuował Westeven. – Trzymam miejskie spichrze i zbrojownie. Mam prowiant i broń, której potrzebujesz, bo lada dzień przybyć mają ambasadorowie Kezu, a jeśli zobaczą, że walczymy sami ze

sobą, to poczują krew i armia Kezu zapuka do naszych wrót w przeciągu kilku tygodni. A nawet jeśli nie, ludzie zaczną się nużyć wojną domową. Zaczną postrzegać twoich żołnierzy i najemników jako ciężar. Zwrócą się przeciwko tobie, kiedy nie będziesz mógł ich wyżywić i kiedy nie będziesz mógł odbudować ich miasta.

Sukinsyn widział wszystkie problemy Tamasa jak na dłoni. Marszałek zmierzył wzrokiem zbieraninę szlachciców.

– Co proponujesz?

Do przodu wystąpił mężczyzna z poplamioną szarfą.

– Jestem wicehrabia Maxil – przedstawił się. Uniósł długą wstęgę papieru. – Mamy listę żądań.

Tamas zabrał papier, nim Maxil zdołał zaprotestować. Przebiegł wzrokiem listę.

– Oczekujecie, że ustąpię? Że sam się zaaresztuję? – Spojrzał na szlachciców z niedowierzaniem.

– Pan dopuścił się zdrady stanu! – zawołał jeden z nich. – Pan zabił naszego króla!

Tamas wpatrywał się w parlamentariuszy tak długo, aż w końcu odezwał się kolejny szlachcic:

– Jesteśmy gotowi negocjować ten punkt.

Marszałek powrócił do lektury. Jeszcze zanim dotarł do kolejnego paragrafu, już potrząsał głową.

– Chcecie, aby wszystkie królewskie posiadłości oraz te należące do straconych szlachciców rozdzielono między was? Za kogo wy mnie macie, za głupca?

– To są nasze sugestie – odpowiedział Maxil.

– Przed chwilą mówił pan, że żądania!

– Bardziej sugestie... – Maxil uciekł spojrzeniem w bok.

Tamas oddał listę.

– Westie, z pewnością zdołasz im nieco przemówić do rozsądku?

Westeven wzruszył ramionami.

– Tamasie, negocjujmy. Proszę.

– Daj mi chwilę.

Tamas odszedł za linię dział i skinął na brygadierów. Dołączyli do niego Olem, Vlora, Sabon, Ryze oraz Sabastenien. Julene cały czas trzymała się z boku, wpatrując w drugą Uprzywilejowaną niczym kot.

Brygadier Sabastenien odezwał się jako pierwszy:

– Oni nie mają żadnych podstaw do negocjacji.

Był młody, niewiele starszy od Taniela, i Tamasowi z trudem przychodziło traktowanie Sabasteniena poważnie. Jednak na pewno nie bez powodu został brygadierem Skrzydeł Adoma w takim wieku.

– Obawiam się, że mają – poprawił go Sabon. – Westeven ma rację. Brak nam czasu. Jeżeli zjawią się ambasadorowie Kezu i zobaczą nas w takim stanie...

– Nie wspominając o spichlerzach – dodał Tamas. – Zredukowaliśmy o jedną trzecią racje żywnościowe dla wojska, tylko po to, żeby mieć minimum dla piekarni polowych. Ludzie głodują. Nie będą tego długo znosić.

– Członkowie rady nie będą zadowoleni, jeżeli podejmiesz jakieś decyzje bez nich – zauważyła Vlora. – Sir – dodała.

– To kwestia wojenna, kapitanie – uświadomił ją Tamas – a pod tym względem otrzymałem od nich pełnię władzy. Będę negocjował tak, jak uważam za stosowne. – Odwrócił się do Ryze’a. – Jesteśmy w stanie zdobyć te barykady i nie stracić przy tym kilku tysięcy żołnierzy?

Ryze zastanowił się przez chwilę.

– Tylko jeśli najpierw solidnie ich ostrzelamy. Nawet wtedy... to będzie kosztowało.

– A jeśli ich nie ostrzelamy?

– To będzie krwawa łaźnia – odparł Ryze. – Po obu stronach.

– Cholera.

Tamas powrócił do rojalistów.

– Przedstawcie mi jakąś propozycję – powiedział. Wskazał papier trzymany przez Maxila. – Poważną propozycję, a nie taką gównianą listę. I ta propozycja ma zawierać punkt gwarantujący, że ona – wskazał na

Uprzywilejowaną – się podda, by mogła zostać stracona za morderstwo moich ludzi.

Uprzywilejowana patrzyła na Tamasa z surowością, do jakiej zdolne są tylko stare kobiety. Dla niej wszyscy tutaj byli dziećmi bawiącymi się w dziecięce gry.

– Tak się nie stanie – powiedział generał Westeven. – Tamasie, bądźże realistą. To jest wojna. Na wojnie ludzie giną.

Tamas zacisnął szczęki.

– Przedstawcie mi propozycję.

Maxil natychmiast włączył się do rozmowy, Tamas uświadomił sobie, że szlachcic czekał na ten właśnie moment.

– W obrębie naszych barykad przebywa kuzyn króla – oznajmił Maxil.

– Jego imię? – przerwał mu Tamas.

– Jakob Sprawiedliwy.

Tamas postarał się przypomnieć sobie królewskie drzewo genealogiczne.

– Bardziej by pasowało Jakob Dziecię. Jest w najlepszym razie kuzynem w czwartej linii i ma ledwie pięć lat.

– Jest najbliższym żyjącym krewnym Manhoucha – kontynuował Maxil. – Proponujemy osadzenie go na tronie jako Manhoucha Trzynastego. Pan oraz generał Westeven zachowacie władzę nad armią, a my połączymy się z pańską radą, tworząc w ten sposób rdzeń nowego ciała doradczego króla. Pańscy prochowi magowie staną się nową królewską kamarylą.

– A król? – zapyta Tamas.

– Będziemy mu doradzać, dopóki nie osiągnie pełnoletności.

Tamas spojrzał na Westevena. To była wyważona propozycja, co świadczyło o wpływie generała. W takim układzie szlachta oddałaby w jego ręce większość władzy. Jednak to nie było dość.

– Nigdy nie pozwolę, aby w Adro król ponownie miał władzę – oznajmił Tamas. – Po prostu nie. Jeżeli chcecie mieć króla, to niech będzie nim tylko z nazwy.

– Marionetkowa monarchia? – Maxil zmarszczył gniewnie brwi.

– W najlepszym wypadku, to i tak duże ustępstwo z mojej strony.

– Nie – odparł Maxil. – Adro musi mieć prawdziwego króla.

– Nigdy więcej – stwierdził Tamas.

– Pan nam odmawia? Prawda? To koniec negocjacji? Pozostawilibyśmy armię w pana rękach. Uczynilibyśmy pana głową nowej kamaryli królewskiej. Byłby pan drugim człowiekiem w Adro. Jest pan aż tak chciwy, że musi wszystko mieć dla siebie?

Tamas się roześmiał.

– Biedni głupcy. Nie zrobiłem tego dla władzy. Zrobiłem to, żeby zniszczyć monarchię. Zrobiłem to, żeby uwolnić lud. Nie zamierzam teraz zawrócić z obranej drogi i osadzać na tronie jakiegoś chłopca, tylko po to, abyście mogli sobie wrócić do wiejskich posiadłości i wykrwawić ten kraj do ostatniej kropli. – Spojrzał na Westevena. – Przykro mi, przyjacielu. Żaden król oraz żaden obcy kraj już nigdy nie może mieć władzy w Adro.

– Będę walczył do końca – powiedział Westeven.

Tamas ukłonił się przed starym przyjacielem.

– Wiem.

Poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Julene stała za nim z poważną miną.

– Coś tu jest nie tak – powiedziała.

– Co? – zapytał Tamas. Wymienili z Westevenem spojrzenia spod zmarszczonych brwi.

Na barykadach rozległ się nagle znajomy trzask salwy ze strzelb powietrznych. Julene skoczyła między Tamasa a Westevena, odpychając marszałka do tyłu. Pociski zagrzechotały o niewidzialną barierę. Julene ciskała ognistymi kulami tak szybko, jak tylko była w stanie je przyzywać. Uderzały o barykady i rozkwitały płomieniami.

Druga Uprzywilejowana włączyła się do walki chwilę po Julene. Tarcze z utwardzonego powietrza powstrzymały kule najszybszych żołnierzy Tamasa, osłaniając nagły odwrót delegacji rojalistów. Ziemia zadygotała, wydawało się, że powietrze się trzęsie, działo stojące najbliżej marszałka nagle straciło koła, popękany metal rąbnął o ziemię.

Marszałek zerwał się na nogi. Zaatakowali go, chociaż był parlamentariuszem! Westeven powinien być mądrzejszy. Westeven....

Spojrzenie Tamasa odszukało starego przyjaciela. Ciało generała wleczono właśnie w stronę barykad. Nie miał ramienia, cały tułów był poczerniały. Czy nie żył? Trafiła go jedna z ognistych kul Julene. Tamasowi zrobiło się niedobrze.

– To bez sensu – rzucił. – Brygadierze Ryze! Szykować działa! Zaraz atakujemy!

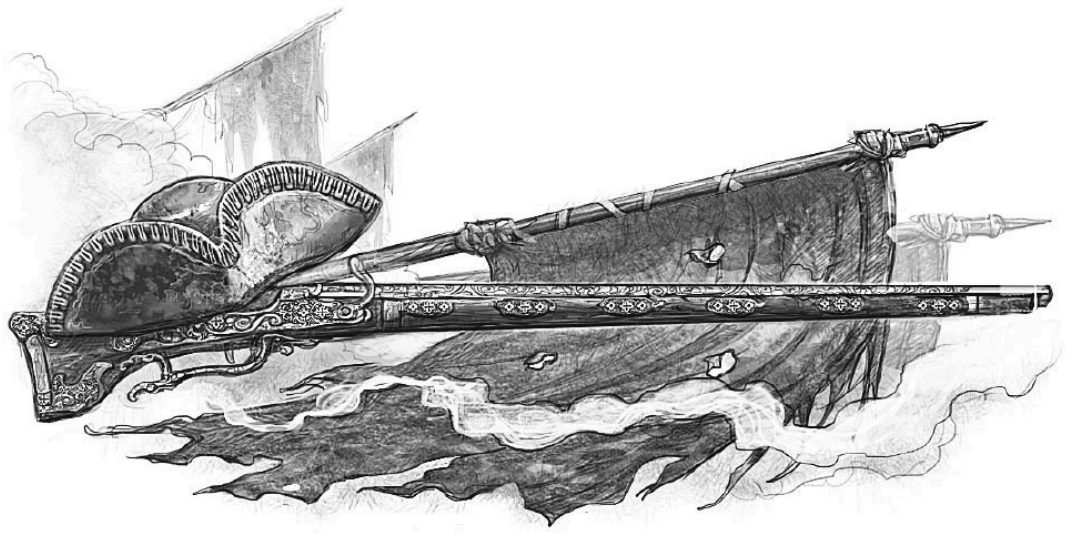

II
ROZDZIAŁ

Archiwum Publiczne jest zaraz nad nami – oznajmił Adamat. Zatrzymali się, gdzieś z tyłu zakołysała się latarnia SouSmitha. Umilkł chlupot.

– Tym razem jesteś pewien?

Detektyw uniósł swoją latarnię, oświetlając pordzewiałą drabinkę. Między szczeblami tkwiła przymocowana do cegieł tabliczka, przypuszczalnie z informacją, do którego budynku prowadzi wyjście, ale litery już dawno się zatarły. Kanały burzowe pod Adopestem nie były utrzymywane we wzorowym porządku. Cud, że większość z nich w ogóle przetrwała trzęsienie ziemi. To tylko świadczyło o wysokim poziomie adrańskiej inżynierii.

– Może i mam doskonałą pamięć – głos Adamata odbił się echem w długim tunelu – ale te wszystkie cholerne odpływy wyglądają tak samo.

– Hm. Podobało mi się w damskiej łaźni.

– Nie wątpię – odparł detektyw. – Zdumiewające, że ktoś jej w ogóle używa, teraz kiedy Tamas bombarduje tę część miasta. – Potarł plakietkę palcami, starając się odczytać cokolwiek. – To musi być gdzieś tutaj.

SouSmith zachlupotał obok niego. Rosły pięściarz zginał się prawie wpół. Adamat czuł, że od chodzenia po kanałach bolą go już kolana i uda, jednak bokser musiał cierpieć znacznie bardziej.

– Sprawdzę – zaoferował SouSmith. Wręczył towarzyszowi swoją latarnię, zaczął wspinać się po żelaznych stopniach. Drabinka zaskrzypiała protestująco pod jego ciężarem.

– Latarnia. – SouSmith wyciągnął rękę.

Adamat usłyszał, jak krata nad nimi przesuwa się w bok. SouSmith zniknął z pola widzenia. Gdzieś u góry, bliżej, niż detektyw by chciał, rozlegał się łoskot artylerii.

– Chodź. – Głos pięściarza brzmiał niewyraźnie.

Adamat ruszył za towarzyszem i znalazł się w wysoko sklepionej piwnicy. Betonowe ściany były wilgotne i porośnięte grzybem, na podłodze stało pół cala wody. Ewidentnie nikt tu nie zaglądał od jakiejś dekady.

– To tu – stwierdził inspektor.

– Naprawdę? – SouSmith nie wydawał się przekonany.

– Bawiłem się w tych kanałach, kiedy byłem chłopcem – wyjaśnił Adamat. – Matka dostawała szału. Spenetrowałem chyba z połowę piwnic w Adro. – Uśmiechnął się szeroko. – Wiedziałem, że jesteśmy już blisko, kiedy znaleźliśmy tamtą łaźnię.

– Spędziłeś tam na dole sporo czasu, co?

– No przecież. Byłem w końcu dzieciakiem.

Przeszli przez całą serię identycznych, sklepionych pomieszczeń magazynowych, aż wreszcie znaleźli wąskie schody prowadzące na górę. Jednak gdy Adamat spróbował otworzyć drzwi, okazały się zamknięte na klucz.

– SouSmith. – Odsunął się, pozwalając bokserowi przecisnąć się obok.

Pięściarz zaparł się rękami o obie ściany i kopnął. Zamek trzasnął, drzwi, wyrwane z zawiasów, wpadły do wewnątrz. Spojrzeli po sobie, kiedy huk rozniósł się echem po budynku.

Zostawiwszy latarnie obok drzwi do piwnicy, ruszyli ostrożnie naprzód. Adamat miał swoją laskę, SouSmith parę pistoletów o krótkich lufach. Wyszli z długiego korytarza na parter Archiwum.

Trzypiętrowy budynek był wielki niczym plac defiladowy. Wzdłuż wszystkich ścian ciągnęły się rzędy półek. Adamat ruszył alejką pomiędzy nimi. Słyszał stłumiony huk wystrzałów dobiegający z ulicy. Powietrze było tu przesycone kurzem, a zapach ksiąg wręcz przytłaczający: woń kleju, papieru, starych pergaminów, starości i stęchlizny.

– Nikogo nie ma – stwierdził SouSmith. Adamat zerknął za siebie. Pięściarz nieco podejrzliwie przyglądał się półkom z książkami. Kiedy ktoś przywykł do rozwiązywania problemów pięścią, księgi zazwyczaj były mu obce.

– Nic dziwnego – uznał Adamat. – Generał Westeven przekazał spore datki na co najmniej tuzin bibliotek we wszystkich Dziewięciu, łącznie z tą. Nie pozwoli ich tknąć.

Wyszli z alejki i znaleźli się w samym środku biblioteki. Szeroka przestrzeń wolna od półek była zastawiona stołami przeznaczonymi dla osób korzystających z księgozbioru. Światło dochodziło z okna w dachu, poprzez wszystkie cztery piętra padając dokładnie na samo centrum Archiwum. Stoły były całkiem puste.

Poza jednym. Adamat przyłożył palce do ust i gestem przywołał SouSmitha. Na blat w rogu wyłożono liczne księgi. Były otwarte, jakby ktoś odszedł od nich jedynie na chwilę. Detektyw podszedł do stołu i zmarszczył brwi. Księgom ewidentnie brakowało stron, usunięto też z nich całe ustępy. Zamknął jedną z nich, spoglądając na okładkę. „W służbie Króla”.

Jednym płynnym ruchem Adamat wydobył szpadę z laski i odwrócił się. Usłyszał kliknięcie pistoletów SouSmitha.

Spomiędzy półek wyszła kobieta. Miała na sobie wełnianą spódnicę i kurtkę do konnej jazdy, jej szpakowate włosy sięgały ramion, a mądre, ciemne oczy skojarzyły się Adamatowi z oczyma kruka. Jej dłonie obleczone były w rękawice Uprzywilejowanej, jedną z nich celowała zarówno w detektywa, jak i w SouSmitha. Salwa artylerii zatrzęsła budynkiem, podnosząc kurz z półek.

Adamat oblizał wargi. SouSmith miał oczy jak spodki, palcem musnął spust.

– Zabijesz nas obu – ostrzegł go detektyw.

– Nie podoba mi się.

– Mnie też nie. Kim jesteś? – zapytał Uprzywilejowaną, chociaż właściwie znał odpowiedź.

– Mam na imię Rozalia – odparła.

– Jesteś tą Uprzywilejowaną, na którą poluje Tamas?

Jej milczenie było dla Adamata wystarczającym potwierdzeniem. Zerknął na książki na stole.

– Zamierzasz nas zabić?

– Tylko jeżeli będę musiała.

Detektyw powoli opuścił swoją laskę. Gestem nakazał SouSmithowi schować pistolety.

– Jesteś Zdolnym – stwierdziła Rozalia.

– Tak.

– Szukasz mnie?

– Nie.

To ją najwyraźniej zaskoczyło.

– To dlaczego więc tutaj jesteście?

Adamat wskazał głową księgi. Uprzywilejowana nadal nie opuszczała dłoni obleczonych w rękawice. To go denerwowało.

– To ty usuwasz te strony? Zamazujesz słowa? I to ty zabrałaś księgi z uniwersytetu?

– Nie. – Rozalia opuściła ręce.

– To nie ty zabrałaś książki z uniwersytetu?

– Ja je zabrałam. Ale to nie ja wyrwałam tamte strony. ONA to zrobiła.

– Kto?

Uprzywilejowana nie odpowiedziała.

– Co robisz z tymi książkami, które zabrałaś?

– Wygląda na to, że to samo co ty – powiedziała. – Szukam odpowiedzi.

– Obietnicy Kresimira – szepnął Adamat.

Rozalia parsknęła ze wzgardą.

– To proste – powiedziała. – Jest więcej pytań, niż myślisz.

– Mnie obchodzi tylko Obietnica Kresimira – oznajmił. – Czym ona jest?

Przechyliła głowę na bok, patrząc na Adamata tak, jak kot mógłby spoglądać na mysz. Ciszę wypełnił ostry trzask karabinów, na zewnątrz zaryczało działo.

– Muszę dostarczyć wiadomość – odezwała się nagle Uprzywilejowana.

– Co?!

– Wiadomość. Taką, którą trzeba przekazać osobiście.

– Dostarczę tę twoją przeklętą wiadomość. Powiedz mi, czym jest ta Obietnica. Daj mi jakieś informacje.

– Nie ufam ci – odparła Rozalia. – Powiem ci, jeśli dostarczysz moją wiadomość. – Jej spojrzenie pobiegło do drzwi, które zadygotały pod ciosami karabinowych kolb. Uprzywilejowana syknęła. – Marszałek polny Tamas jest tutaj. Muszę iść. Żadna z tych ksiąg nie da ci odpowiedzi. Tylko ja.

Adamat przez ułamki sekund kalkulował szanse zaskoczenia Uprzywilejowanej. Znak dla SouSmitha, cios w tył głowy. Mogli przekazać Rozalię Tamasowi i pozwolić, aby sam wyciągnął z niej odpowiedź. Szybko jednak zrozumiał, że jakakolwiek próba skończy się dla nich śmiercią od czarów.

– Dla kogo ta wiadomość?

– Dla Uprzywilejowanego Borbadora – powiedziała Rozalia. – Ostatniego ocalałego członka kamaryli Manhoucha. Przebywa w Fortecy Wierchowieńca. Powiedz mu, że ONA spróbuje wezwać Kresimira.

– To wszystko? – upewnił się Adamat.

Rozalia skinęła głową.

– A Obietnica Kresimira?

Zaśmiała się.

– Zapytaj Borbadora. Będzie wiedział.

Na marmurowej posadzce głównego holu Archiwum rozległy się kroki. Rozalia odwróciła się, przeskoczyła stół jak młódka i zniknęła gdzieś w dalekim przejściu, akurat gdy między regałami po przeciwnej stronie pojawili się żołnierze. Najemnicy ze Skrzydeł. Trzymali Adamata i SouSmitha na muszce.

Detektyw uniósł ręce i westchnął.

– Powiedzcie marszałkowi Tamasowi, że inspektor Adamat jest tutaj i chce się z nim widzieć.

Najemnicy zerknęli po sobie.

– No? – ponaglił ich. – Przecież jest w pobliżu, prawda?

Jeden z najemników zawrócił. SouSmith spojrzał na Adamata spode łba.

– Ani słowa – szepnął detektyw. – Gdybym wiedział, że Tamas zamierza dzisiaj zająć Archiwum, to nie spędzilibyśmy ostatnich dwóch dni, taplając się w kanałach.

– Drań. – SouSmith popatrzył na swoje przemoczone buty.

– Inspektorze? – Tamas pojawił się u wylotu alejki. W dłoni trzymał pistolet pojedynkowy, ślady prochu na lufie świadczyły, że był niedawno używany. – Co pan tutaj robi, do otchłani?!

– Prowadzę śledztwo.

– Oczywiście – rzucił Tamas rozkojarzony. Zmierzył wzrokiem Adamata oraz SouSmitha od stóp do głów, następnie pociągnął nosem.

– Byliście w ściekach?

– W kanałach burzowych.

– Bardzo pomysłowe. – Tamas zerknął na stojących za nim najemników. – Wszystko w porządku. Inspektor Adamat pracuje dla mnie. Sprawdźcie resztę biblioteki. – Najemnicy się oddalili, a marszałek odwrócił się z powrotem do Adamata. – Inspektorze, rozwiązał pan moją zagadkę?

– Mam trop, sir. Jeszcze nic konkretnego. Księgi, których szukam, okazały się albo niekompletne, albo zupełnie ich nie ma.

– Spodziewałem się po panu czegoś więcej niż wertowania ksiąg.

– Ale śledztwo tego właśnie często wymaga – fuknął Adamat. – Podąża się za każdym możliwym tropem.

– Bardzo dobrze. Proszę kontynuować. Chwileczkę...

Adamat zatrzymał się.

– Co pan wie o Balwierzach z Ulicy Czarnej?

Detektyw zastanowił się przez chwilę.

– Ich przywódcą jest człowiek o imieniu Teef. W adrańskim półświatku uważani są za najlepszych zabójców. Podobno biorą każde zlecenie, pod warunkiem że dobrze płatne. Przez ostatnich kilka wieków co najmniej tuzin Balwierzy usiłowało zabić adrańskich królów, gdy wyznaczono stosowną cenę. Żadnemu się nie udało. Nie, kiedy władcy pilnowała kamaryla. Spotkałem Teefa. Jest... najmniej niezrównoważony z nich wszystkich. Szczerze mówiąc, cały ten gang powinien trafić do domu wariatów. Mam nadzieję, że nie zastanawia się pan nad...

Tamas skinął głową.

– Dziękuję.

Odszedł.

– Zatrudnieniem ich – cicho dokończył Adamat.

Podniósł laskę, którą upuścił, kiedy pojawili się najemnicy. Zerknął w stronę, gdzie zniknęła Rozalia, i zastanowił się nad jej tajemniczą wiadomością.

– Czas ruszać do Wierchowieńca – oznajmił SouSmithowi.

– Jakob! – Nila przepchnęła się obok żołnierza rojalistów i potknęła na ceglanym gruzie, zalegającym ulice po ostatnim ostrzale artyleryjskim.

Podniosła się, podkasała spódnicę i ruszyła dalej, wykrzykując raz po raz imię chłopca.

Na sukience miała krew. W trakcie skromnego śniadania armatnia kula świsnęła jej nad ramieniem i oderwała głowę Pennowi. Nila wciąż słyszała ten dźwięk, niczym świst upiornego imbryka, gdy nagła śmierć minęła jej ucho o kilka cali. Kula wywaliła dziurę w murze za Pennem i uderzyła prosto w sypialnię Jakoba. Bezgłowy Penn nadal siedział na krześle, miał przygarbione ramiona, a w dłoni ściskał łyżkę. Jakob powinien leżeć w swoim łóżku. Nie leżał.

Nila znalazła jednego z Hielmenów przydzielonych do pilnowania chłopca. Żołnierz otrzepywał mundur z pyłu. Miał na imię Bystre i około trzydziestu pięciu lat. Jego spokój oraz pewność siebie przypominały tamtego brodatego sierżanta z rezydencji diuka Eldaminse’a.

– Gdzie jest Jakob? – zapytała.

– Nie ma go w łóżku? – zdziwił się Bystre.

– Nie.

– Licho nadało, znowu gdzieś powędrował.

Nad ich głowami eksplodował kartacz, wszyscy rzucili się szukać osłony. Nila znalazła się na ziemi, pod Bystre’em.

– Nic ci nie jest? – upewnił się.

– Wszystko w porządku. Znajdźmy Jakoba.

Pomógł jej wstać i ruszyli, nawołując chłopca. Nila usłyszała huk muszkietów, uderzył ją duszący swąd spalonego prochu. Kawałek dalej wznosiła się barykada. Ukryci za nią żołnierze i ochotnicy strzelali do oddziałów marszałka polnego.

Rokowania miały miejsce pięć dni temu. Od tamtej pory Tamas nieustannie atakował barykady. Ostrzał z dział oraz muszkietów trwał dzień i noc. Powietrze cuchnęło siarkowym, czarnym prochem.

Ktoś wykrzyczał ostrzeżenie. Chwilę potem na szczycie barykady zaroiło się od niebieskich mundurów. Zupełnie jakby woda przerywała tamę.

– Biegiem – polecił Bystre. – Wycofać się za następną barykadę! – zawołał do pobliskich ochotników.

Złapał Nilę za ramię.

– Musimy odnaleźć Jakoba – powiedział.

I odwrócił się gwałtownie, aż mu czako spadło, gdy w pobliskiej alejce pojawił się adrański żołnierz. Bystre dobył szabli i sparował cios bagnetu. Jednak przeciwnik uderzył Hielmena w szczękę kolbą karabinu, a potem stanął nad nim, z bagnetem gotowym do ciosu.

Nila z trudem dźwignęła jakiś brukowiec. Uniosła kamień nad głowę i uderzyła adrańskiego żołnierza w kark. Mężczyzna padł na ziemię, nie wydawszy nawet jęku. Bystre złapał się za szczękę i próbował otrząsnąć po ciosie.

Podniosła go na nogi.

– Tam! – Dostrzegła Jakoba biegnącego przez ulicę, bliżej barykady. Jakiś pocisk wzbił kurz przed chłopcem, wystraszył go. Malec upadł, zalewając się łzami.

Adrańscy żołnierze zajęli barykadę. Byli już tylko sto stóp od Jakoba. Nila pięćdziesiąt. Zadarła spódnicę i pobiegła. Słyszała Hielmena tuż za sobą. Żołnierze na barykadzie bardziej zajęci byli umacnianiem swojego zwycięstwa niż jakimś zabłąkanym dzieciakiem. Dziewczyna padła na kolana obok chłopca i chwyciła go w ramiona. Bystre pomógł jej wstać, a potem oboje rzucili się do ucieczki.

Nila zatrzymała się nagle, gdy uświadomiła sobie, że gwardzisty przy niej już nie ma. Odwróciła się i ujrzała, jak Hielmen wpatruje się w barykadę.

– Jest stracona – zawołała.

– To on! – Bystre dobył szabli.

– Co ty... – Ale już zrozumiała. Marszałek polny Tamas stał na barykadzie, przyglądając się ulicy. Obok zobaczyła kogoś znajomego. Brodatego sierżanta, który ocalił ją tamtej nocy w kuchni rezydencji diuka.

– Bystre, musimy zabrać Jakoba w bezpieczne miejsce.

– Żadne miejsce nie jest bezpieczne przed tym zdradzieckim sukinsynem.

– Generał Westeven...

– Generał nie żyje.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Słyszała, że generał Westeven został ranny podczas rokowań, ale rojalistom oznajmiono, że przeżył. Tylko on jako strateg mógł dorównać Tamasowi. Teraz ich sprawa już naprawdę była stracona.

Nila spojrzała w stronę najbliższej barykady. Rojaliści przywoływali dziewczynę niecierpliwymi gestami. Przycisnęła Jakoba do piersi. Chłopczyk zasłaniał sobie uszy, czuła, jak jego ramionami wstrząsa łkanie.

– Bystre – powiedziała błagalnie. Gdzie była Rozalia? Teraz stała się jedyną nadzieją. Mogła rzucić na armię Tamasa swoje czary, oczyścić ulicę.

Bystre chwycił wystrzelony karabin jednego z poległych, sprawdził bagnet. Zdmuchnął proch z panewki, uchwycił broń oburącz i rzucił się do ataku na utraconą barykadę.

Brodaty sierżant wskazał w stronę Bystre’a i uniósł karabin. Marszałek polny odwrócił się, przechylił głowę, jakby rozbawił go widok atakującego Hielmena. Wyciągnął pistolet i nacisnął spust. Bystre szarpnął się, upadł, przetoczył się jeszcze siłą rozpędu, aż wreszcie zadygotał i znieruchomiał. Kula trafiła go w oko z odległości ponad stu kroków. Tamas dłonią odgarnął dym znad lufy.

Nila krzyknęła.

Zobaczyła, że marszałek wskazuje ją swoim ludziom, i już czekała, aż kolejny pocisk rozwali jej głowę. Nikt do niej nie strzelił. Zamiast tego adrańscy żołnierze zbiegli z barykady i ruszyli prosto w stronę dziewczyny. Patrzyła na nich, zaszokowana, aż wreszcie przypomniała sobie o trzymanym w ramionach Jakobie.

Odwróciła się i ile sił w nogach pobiegła w stronę następnej barykady. Miała przewagę odległości nad adrańskimi żołnierzami, ci jednak byli znacznie szybsi. Potknęła się i przydepnęła rąbek sukni. Rojaliści osłaniali

ją, strzelając zza barykady. Wokół dziewczyny rykoszetowały pociski. Zapach prochu dusił. Jeszcze trzydzieści stóp.

Ktoś ją uderzył z tyłu. Upadła. Krzyknęła i próbowała się opierać, ale Jakoba już wyrwano jej z ramion. Jeden z żołnierzy odwrócił się w stronę Nili. Celował w jej brzuch bagnetem. W ostatniej chwili przekręcił karabin i odepchnął dziewczynę kolbą. Pozostali żołnierze wycofali się, zabierając ze sobą wrzeszczącego chłopca.

Nila z trudem się podniosła i chwiejnie podążyła za nimi. Nie mogli go zabrać. Nie teraz, nie po tym, jak tak długo go chroniła. Zatrzymała się przy ciele Bystre'a. Leżał na brzuchu, jego jedyne oko niewidzącym wzrokiem spoglądało poprzez ulicę. Muchy zaczynały już krążyć nad krwawą dziurą w czaszce. Dziewczyna opadła na kolana i zwymiotowała.

Ktoś pociągnął ją w pełną gruzu boczną uliczkę.

Nila osunęła się po ocalałej częściowo ścianie kamienicy.

– Pozwoliłaś, żeby go zabrali! – zarzuciła swojej wybawicielce.

Rozalia spojrzała na ulicę, jej okryte rękawicą palce ułożyły się w gotowości, dopóki nie przeminęło jakieś niewidzialne niebezpieczeństwo. Potem opuściła dłonie.

– To już nie moja walka – oznajmiła.

– Mogłaś ich powstrzymać! – oskarżała ją Nila. – Mogłaś od razu zabić Tamasa! Mogłaś ochronić Bystre'a! – Usłyszała, jak głos się jej łamie, i poczuła łzy spływające po policzkach. Otarła je brudnym rękawem.

– Generał Westeven nie żyje – przypomniała jej Rozalia. – Nie ma powodu, aby przedłużać tę walkę. – Zamilkła, patrząc w pełne oskarżeń oczy Nili. – Tak, mogłam zabić Tamasa, ale wyrządzono już szkody na taką skalę, że nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić. W tym momencie śmierć marszałka jedynie by je zwiększyła.

– Bystre – powiedziała Nila.

– Nie oczekuję, że zrozumiesz – odparła Rozalia. Nagle jej głos złagodniał. – Jesteś dzielną dziewczyną. Odważną dziewczyną. Teraz czas ruszyć dalej, niczego więcej od ciebie nie oczekuję. Tamas ma chłopca. Westeven nie żyje. Pozostali rojaliści będą przeciągać wszystko ile się da,

ale Tamas w końcu zwycięży. Uciekaj stąd, póki jeszcze możesz. Jest taka ścieżka przez gruz, na południowo-zachodnim krańcu barykad. Żadna z walczących stron o niej nie wie. Zgarnij tyle pieniędzy, ile zdołasz, i żyj pełnią życia gdzieś daleko. – W oczach Rozalii pojawiła się tęsknota. – Fatrasta jest piękna o tej porze roku.

– Co on zrobi z Jakobem? – zapytała Nila.

Rozalia wyciągnęła dłoń i pomogła dziewczynie wstać.

– Jakob – naciskała Nila. – Co Tamas z nim zrobi?

– Tamas jest pragmatykiem – stwierdziła Uprzywilejowana. – Gdyby pozwolił dziedzicowi tronu żyć, to taka sytuacja jak teraz powtarzałaby się ciągle. Po cichu pozbędzie się chłopca.

Nila otarła łzy. Jej serce stwardniało na myśl o jasnowłosej główce Jakoba spadającej do katowskiego kosza.

– Opuść Adro – powtórzyła Rozalia. – Ja tak zrobię, kiedy uporam się ze swoim zadaniem. Proszę. – Wygrzebała coś z kieszeni i wcisnęła Nili w dłoń. Była to stukranowa moneta.

– Dziękuję – powiedziała Nila.

Rozalia zbyła ją gestem, po czym ruszyła alejką, oddalając się od barykad. Nila stała jeszcze kilka chwil, rozmyślając o monecie w dłoni i srebrach ukrytych pod miastem. Wciąż widziała Bystre’a. Jego ciało leżało nieruchomo, a nad nim nieustannie świstały kule. Zacisnęła palce na monecie. Pieniędzy wystarczyłoby na nowe sukienki i podróż aż do Brudanii. A razem ze srebrami było tego dość, by rozpocząć całkiem nowe życie.

Oczyma duszy zobaczyła marszałka polnego Tamasa, jak z zimną krwią strzela do Bystre’a.

Nie mogłaby zacząć nowego życia, nie ze wspomnieniami tego, co się tutaj stało.

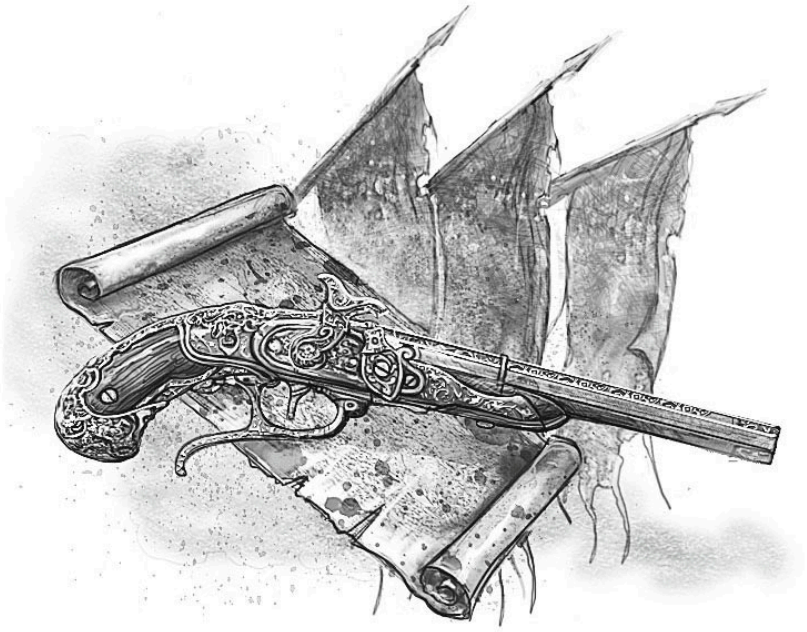

12
ROZDZIAŁ

Forteca Wierchowieńca wznosiła się na poszarpanej krawędzi Wielkiej Południowej Turni. Mury bastionu były spadziste i idealnie gładkie pomimo surowej pogody panującej na tych wysokościach, co świadczyło o potędze czarów, które go wzniosły i umocniły pięćset lat temu. W oddali na południowym wschodzie ciągnęły się bursztynowe równiny Kezu. Na południowym zachodzie, zza wzgórz i lasów, widać było odległe góry otaczające Adro. Adopest usadowił się niczym diament na przypominającym łzę czubku Admorza. Na północy szczyt Południowej Turni dymił złowrogo.

Adamat odwrócił się od krawędzi bastionu. Widok świata rozpościerającego się w dole przyprawiał detektywa o zawroty głowy. Adamat zapragnął powrócić do osiedla. Forteca bowiem była tak wielka, że w obrębie jej murów znajdowało się całe miasteczko. Jednak żołnierz Straży Górskiej tu nakazał Adamatowi czekać na Uprzywilejowanego Borbadora. Mogli mu chociaż zaproponować izbę. Na tej wysokości panował straszliwy ziąb. Chyba im zależało, aby przybysz dygotał z zimna.

Detektyw czuł się wyczerpany, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Podróż powozem zajęła pięć dni i praktycznie nie robili przerw na odpoczynek. Adamat czuł się cały obolały po blisko tygodniu spędzonym na niewygodnym i nieustannie podskakującym siedzeniu. Głowa pulsowała mu z niewyspania. Zagadkowe ostrzeżenie Rozalii o jakiejś kobiecie próbującej przyzwać Kresimira sprawiło, że gdy kilka razy udało się Adamatowi przysnąć, od razu męczyły go koszmary. Co z nim było nie tak? Przecież był człowiekiem nowoczesnym. Człowiekiem wykształconym. Kresimir stanowił mit, uosobienie siły, która miała trzymać pospólstwo w ryzach.

– Co robisz?

SouSmith zatrzymał się w połowie ładowania jednego ze swoich krótkolufowych pistoletów. W jego wielkich dłoniach broń wyglądała jak zabawka.

– A jak myślisz?

– Uważasz, że będzie chciał nas zabić? – zapytał Adamat. – Tylko za zadanie pytania?

– Poprzednio Uprzywilejowana o mało nas nie załatwiła.

– I?

– I co?

– To jest Uprzywilejowany. Jeśli nie będzie chciał z nami gadać, zwyczajnie machnie ręką i strąci nas z tej góry.

SouSmith wzruszył ramionami.

– Płacisz mi, żebym cię chronił, hm?

– Tak – westchnął Adamat. SouSmith zdawał się niczego nie rozumieć. To był Uprzywilejowany. Przed nim nie obroni żaden strażnik.

– Nawet Uprzywilejowany, żeby cię dorwać, musi najpierw przejść przeze mnie. – SouSmith załadował broń.

Adamat zmusił się do uśmiechu i uświadomił sobie, że te słowa uspokoiły go nieco. Znalazł się tutaj, na samym dachu świata, o pięć dni drogi od Adopestu. Był gościem Straży Górskiej. Wszyscy wiedzieli, że Straż Górska składa się ze skazańców i rzezimieszków, najtwardszych ludzi z całych Dziewięciu. Strażnicy dbali o wysokie przełęcze, obsadzali kopalnie, tartaki i stanowili pierwszą linię obrony Adro. Adamat miał pełne zaufanie do Straży Górskiej, gdy chodziło o jego kraj, znacznie mniejsze, gdy chodziło o jego własne życie.

– A co w ogóle robi tutaj Uprzywilejowany? – SouSmith wetknął pistolety za pas i oparł się o jedno z dział, wycelowane w Kez.

– Jest na wygnaniu. – Adamat obserwował, jak jego oddech zamienia się w parę.

– Za co?

– Oficjalnie? W kamaryli królewskiej było jakieś starcie o władzę i Borbador znalazł się po niewłaściwej stronie. Nieoficjalnie, ponoć przespał się z ulubioną konkubiną Uprzywilejowanego Khena.

SouSmith zarechotał.

– I zachował skórę?

– Oczywiście, że zachowałem.

Uprzywilejowany szedł do nich od strony miasteczka. Był jeszcze na tyle daleko, że nie powinien niczego usłyszeć. Miał na sobie sięgającą kolan kurtę ze skóry renifera, do tego wysokie buty, spodnie i kapelusz, też skórzane. Był niższy, niż Adamat się spodziewał. Pod rudą brodą skóra zwisała z pulchnych kiedyś policzków. Straż Górska nie rozpieszczała nikogo, nawet Uprzywilejowanego.

Mężczyzna zatrzymał się kilka stóp przed nimi. Dłonie miał wetknięte do kieszeni, ale Adamat był pewien, że dostrzegł rąbek białych rękawic.

– Tak naprawdę to nie było trudne. Oznajmiłem Magusowi Khenowi, że jeśli mnie zabije, to przyjdzie po niego mój najlepszy przyjaciel.

– A kto taki?

– Taniel Dwa Strzały. Jestem Uprzywilejowany Borbador. Mówcie mi Bo.

Adamat wyciągnął rękę. Bo uścisnął ją z zaskakującą siłą dłonią obleczoną w rękawicę.

– Inspektor Adamat. Oto mój współpracownik, SouSmith.

– Ten bokser? – Bo spojrzał na SouSmitha spod przymrużonych powiek.

– Zgadza się – odparł SouSmith, zaskoczony.

– Oglądałem twoje walki, kiedy byłem jeszcze dzieckiem – powiedział Bo. – Wykradaliśmy się na nie razem z Tanielem. Stracił mnóstwo pieniędzy, stawiając przeciwko tobie.

– A ty?

– Mnie uczyniłeś bogatym. Jak na dzieciaka.

Adamat uważnie przyglądał się Uprzywilejowanemu. Nie wiedział o nim zbyt wiele, jeśli nie liczyć plotek krążących po mieście. Zresztą nierozsądnie było wiedzieć zbyt wiele na temat któregokolwiek z członków królewskiej kamaryli.

– Pierwszy raz słyszę, żeby Uprzywilejowany przyjaźnił się z prochowym magiem.

– Poznaliśmy się na długo przed tym, jak któryś z nas dowiedział się, kim jest – wyjaśnił Bo. – Kiedy Taniel się ze mną zaprzyjaźnił, byłem bezdomnym sierotą. Tamas pozwolił mi mieszkać w suterenie. Nawet opłacił guwernantkę. Powiedział, że skoro Taniel ma jakichś kolegów, to niech przynajmniej będą wykształceni. Kiedy poszukiwacze mnie znaleźli, wszyscy byliśmy zaszokowani. Nie widziałem Taniela, od kiedy wyjechał do Fatrasty.

– A czy Uprzywilejowani nie mają przypadkiem alergii na proch?

– Jak jest w pobliżu, to puchną mi powieki – przyznał Bo. – Jako dzieciak zawsze się temu dziwiłem. No dobrze. Co sprowadza tu takich

dżentelmenów jak wy? Nie wyglądacie mi na zabójców nasłanych przez Tamasa.

– Nie jesteśmy zabójcami – zapewnił go szybko Adamat. – Chociaż nie dziwię się, że to ci przyszło do głowy. Pracuję dla marszałka polnego Tamasa. Wątpię, abyś nadal żył, gdyby on tego nie chciał.

Bo zakołysał się do tyłu.

– On nie wie – mruknął.

– Czego nie wie?

– Niczego. Dlaczego mnie szukaliście? – Uprzywilejowany porzucił gawędziarski ton, przestał się też uśmiechać.

– Czym jest Obietnica Kresimira?

Bo przyglądał mu się przez kilka chwil.

– Pytasz serio?

– Absolutnie.

– Tamas wysłał was tak daleko tylko po to, żeby mnie o to zapytać?

– Zjawiłem się z własnej inicjatywy – sprostował Adamat. – Jednak poszukuję odpowiedzi z polecenia marszałka polnego Tamasa.

Reakcja Bo, na wpół niedowierzanie, na wpół kpina, wzbudziła w detektywie niepokój.

Ale Uprzywilejowany sprawiał wrażenie, jakby doznał gigantycznej ulgi. Uśmiechnął się, wreszcie roześmiał.

– Niech zgadnę – powiedział. – Kiedy Tamas wyrzynał członków królewskiej kamaryli, to ich ostatnie słowa brzmiały: „Nie łam Obietnicy Kresmira” czy jakoś tak?

Detektyw zacisnął zęby. Uprzywilejowany zaczynał go irytować. Przeklęty czarownik zdawał się szczerze ubawiony tym, o czym Adamat nie miał pojęcia.

– Owszem – przyznał. – Bawią cię ostatnie słowa umierających Uprzywilejowanych? Czy to był jakiś czarny humor? Czar utkany, aby zbić z tropu tych, co ich zabijają?

Bo przestał się śmiać.

– Absolutnie nie. Ci Uprzywilejowani byli śmiertelnie poważni. Można przygotować taki czar, coś jak glif, który wyzwoli się w chwili śmierci czarodzieja. Żarty? Nie. Ja mógłbym robić coś w tym guście, oni nie. Wierzyli w to całkowicie.

– A co to oznacza?

– Obietnica Kresimira... – Bo wymówił te słowa, jak gdyby miały kwaśny smak. – Wedle legendy, kiedy Kresimir założył Dziewięć, wybrał dziewięciu królów, żeby władali stworzonymi przez niego narodami. Każdemu monarsze dał królewską kamarylę czarowników, aby go strzegła i mu doradzała. Nazwał ich Uprzywilejowanymi. Królowie, widząc, że Uprzywilejowani to ludzie o wielkiej mocy, udali się do Kresimira, mówiąc, iż obawiają się, że królewskie kamaryle mogą kiedyś obrócić się przeciwko nim i przejąć władzę dla siebie. A zatem Kresimir dał im obietnicę. Obiecał, że ich rody będą władać Dziewięcioma po wsze czasy, że ich nasienie nigdy nie padnie na jałową glebę. Kresimir oznajmił nowo wyznaczonym Uprzywilejowanym, że jeśli ktokolwiek będzie starał się przemocą zakończyć istnienie któregoś z tych rodów, to on powróci osobiście i zniszczy cały kraj. – Kiedy już skończył przemawiać, odchylił się niczym uczeń, który wyrecytował zadaną lekcję. – Co o tym sądzicie?

– Staram się kierować rozumem, ale... – zaczął Adamat. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że po kręgosłupie przebiegł mu lodowaty dreszcz.

– Jasne, że tak – zgodził się Bo. – Jak większość ludzi w dzisiejszych czasach. To tylko głupia legenda. Jedna z wielu opowieści, mających trzymać kamarylę królewską w ryzach. Panowanie Kresimira miało miejsce, wedle przypuszczeń, prawie czternaście stuleci temu. A może nawet i dawniej. Tak naprawdę nawet królowie w to nie wierzą, wierzą tylko najstarsi z najstarszych członków kamaryli. – Bo sięgnął po coś ukrytego pod płaszczem. – Nie, istnieją znacznie skuteczniejsze sposoby trzymania królewskiej kamaryli w ryzach.

– Co mam powiedzieć Tamasowi? – zapytał Adamat.

Bo wzruszył ramionami.

– Powiedz Tamasowi, co tam chcesz. Powiedz mu, żeby się martwił ważnymi rzeczami, takimi jak wyżywienie ludności albo – uczynił gest w stronę równin Kezu – nimi.

Adamat głęboko wciągnął powietrze i powoli je wypuścił.

– Czyli tak to wygląda.

– Właśnie tak. Chociaż nie wiem, dlaczego nie mogliście tego znaleźć w bibliotece. Wspomina o tym kilkanaście książek.

– Spalono to – powiedział Adamat. – Brakuje stron, a całe ustępy zostały usunięte. Przez Uprzywilejowanego, a przynajmniej na to wszystko wskazuje.

– Uprzywilejowani powinni być mądrzejsi – skrzywił się Bo. – Książki są ważne, łączą naszą przeszłość z przyszłością. Każde zapisane słowo jest kolejną wskazówką, jak kontrolować Nieświat.

– Bo! – krzyknął ktoś od strony zabudowań.

Uprzywilejowany się odwrócił.

– Idziemy już do kamieniołomu!

– Jeszcze pięć minut! – odkrzyknął czarodziej. Wysunął dłonie z rękawów i rozprostował palce w rękawicach. – Dranie się rozleniwiły – stwierdził. – Myślą, że skoro już mają Uprzywilejowanego, to mogę im ciąć kamień, obalać drzewa i oczyszczać osuwiska. Sprzątanie po tym trzęsieniu ziemi nieźle mnie wymęczyło w zeszłym tygodniu. Przykro mi, że moja odpowiedź nie była jakaś bardziej dramatyczna. Jak spotkacie Taniela Dwa Strzały, pozdrówcie go ode mnie.

Bo był już w połowie drogi do miasteczka, kiedy Adamat przypomniał sobie o wiadomości, którą obiecał przekazać. Pobiegł, aby dogonić Uprzywilejowanego.

– Jest jeszcze wiadomość – wydyszał.

– Od Taniela?

– Nie, od Uprzywilejowanej imieniem Rozalia.

Bo wzruszył ramionami.

– Nie znam.

– No cóż, kazała mi przekazać ci wiadomość.

– I?

– Wiadomość brzmi: „Ona zamierza przyzwać Kresimira”. Nie mam pojęcia, kim jest ta „ona”. Nie sądzę, żeby miała na myśli siebie, ja...

Bo zamarł. Twarz powlekła mu się śmiertelną bladością. Zatoczył się w bok. Adamat go podtrzymał.

– Co to oznacza?

Bo go odepchnął. Szczękał zębami.

– Otchłań i potępienie. Idź już! Szybko, wracaj do Adopestu. Powiedz Tamasowi, żeby mobilizował armię! Powiedz Tanielowi, żeby wyjechał z kraju. Powiedz mu... Cholera! – Ostatnie słowo było warknięciem, a Bo pobiegł poprzez bastion z powrotem do osiedla.

Adamat stał w miejscu, zdumiony.

SouSmith podszedł do niego, wytrzepując stary tytoń z fajki.

– Dziwny jakiś – mruknął.

– Nie podoba mi się to – oznajmił Tamas.

– Nie sądzę, żeby komukolwiek się podobało, przyjacielu.

Tamas zerknął z powrotem na Sabona. Delivijczyk stał pod dużym parasolem, ze wzrokiem utkwionym w dalekie barykady. Pot perlił się na jego ogolonej głowie niczym rosa na chłodnej szklance. Dzień był wyjątkowo upalny, jak na tak wczesną wiosnę. Słońce świeciło, wypijając wodę, jaką pozostawiło kilka tygodni wilgotnej pogody.

– Czy ludzie zrozumieją? – chciał wiedzieć Tamas.

– Nasi czy najemnicy?

– Najemnicy są pragmatykami. Dostaną swoje pieniądze, tak czy owak. Ale moi ludzie? Stracą wiarę we mnie po czymś takim?

Olem stał kilka stóp dalej. Odwrócił się, by spojrzeć na marszałka, chociaż pytanie nie było skierowane do niego.

– Nie sądzę – odparł Sabon. – Może nie będą zachwyceni. Wojnę przyjęło się wszak uważać za rozgrywkę dżentelmenów. Ale zrozumieją. Uszanują, że nie chciałeś trwonić ludzkiego życia w niepotrzebnej bitwie. Uszanują, że nie chciałeś zbombardować własnego miasta.

Tamas wolno pokiwał głową.

– Nigdy jeszcze nie uciekałem się do skrytobójstwa. Przez dwadzieścia pięć lat dowodzenia.

– Pamiętam kilka przypadków, kiedy powinieneś – stwierdził Sabon. – Przypominasz sobie tamtego szacha, z którym walczyliśmy w południowo-wschodniej Gurli?

– Staram się o nim nie pamiętać. – Tamas splunął. Uniósł do ust manierkę, ani na chwilę nie odrywając spojrzenia od barykad. Słyszał muszkiety i sporadyczne odpowiedzi artylerii. Dobiegały z odległej o dwie mile zbrojowni, którą próbował zdobyć brygadier Ryze. – Spotkałem w swoim życiu kilku złych ludzi. – Tamas wrócił myślami do szacha. – Jednak tamten człowiek był potworem. Gdy ktoś kwestionował jego polecenia, posyłał tego człowieka i całą jego rodzinę na stos.

– Kazałeś go wywałaszyć – przypomniał mu Sabon.

Olem się zakrztusił. Cisnął papierosa na ziemię, kaszląc dymem.

– Przyjacielu, wojna zdecydowanie nie jest rozgrywką dżentelmenów – stwierdził Tamas. – W przeciwnym razie bym w nią nie grał. Daj nam minutę – zwrócił się do Olema.

Sierżant posłusznie oddalił się poza zasięg słuchu, stale kaszląc. Tamas dołączył do Sabona pod parasolem. Wyciągnął z kieszeni list i podał go Sabonowi.

– Twój nowy przydział – oznajmił.

Delivijczyk wziął list.

– Co?!

– Poleciłem Andrii oraz Vadalslavowi wywęszyć więcej prochowych magów. Teraz gdy nie ma już królewskiej kamaryli, przypuszczam, że magowie chętniej się ujawnią. Nie wspominając o pieniądzach, jakie proponujemy. Rozstawili się pod miastem, niedaleko uniwersytetu, i zaraz

ruszą do Delivu, Novi i Unice’u, aby rekrutować. Chcę, żebyś do nich dołączył.

– Nie – Sabon spróbował zaprotestować.

– Jestem twoim dowódcą – stwierdził Tamas. – Nie możesz mi odmówić.

– Mogę odmówić staremu przyjacielowi – upierał się Sabon.

– Dlaczego nie?

– Andriya i Vadalslav aż nadto wystarczą, by zadbać o rekrutów. Pozostałych magów wysłałeś do Bramy Wędrowca. Taniel goni jakiegoś ducha po mieście i choć nakazałeś Vlorze dołączyć do sztabu, to wciąż jesteś zbyt wściekły, żeby w ogóle z nią rozmawiać. Nie pozbawię cię kolejnego prochowego maga. W ciągu tygodnia zjawi się tutaj ambasador Kezu, a wciąż masz ten bałagan do posprzątania. – Wskazał w stronę barykad. – Wiemy w ogóle, czy Balwierzom się powiodło?

– Martwisz się o mnie? – zapytał Tamas. – To twoja wymówka?

– Martwię się, że wszystko sknocisz i będziesz potrzebował kogoś, kto po tobie posprząta. – Sabon umilkł. Obaj słyszeli okrzyki dochodzące zza barykady. – Może powinniśmy im pomóc? – zaproponował.

– Cholerni Balwierze mogą sobie sami poradzić – uciął Tamas. – Nie zmartwiłbym się, gdyby dali się powybijać. Nie próbuj zmieniać tematu. Vadalslav mówi, że znaleźli już siedmiu kandydatów z odrobiną talentu. Mówi, że trzech ma potencjał.

– Potrzeba lat, żeby wyszkolić prochowego maga – przypomniał mu Sabon. – Muszą umieć kontrolować moc i zarazem być żołnierzami.

– Właśnie dlatego chcę, żebyś ty się tym zajął – obstawał przy swoim Tamas. – Taniela i Vlorę tak naprawdę wyszkoliłeś sam jeden. A teraz Taniel jest najlepszym strzelcem wyborowym na świecie, zaś Vlora potrafi zdetonować baryłkę prochu z odległości pół mili.

– To nie to samo i dobrze o tym wiesz. – Sabon był już zły, jego ciemne oczy zamigotały niebezpiecznie. – Taniel strzela, od kiedy tylko potrafi utrzymać karabin. Vlora... no, to po prostu wrodzony talent.

– Nie musisz tam iść i rekrutować – nie odpuszczał Tamas. – Jednak chcę, żebyś założył szkołę. Otworzę ci kredyt i będziesz decydował

o wszystkim. Nigdy nie będziesz ode mnie dalej niż kilka godzin drogi. Jeśli będę potrzebował pomocy, natychmiast cię wezwę.

– Dajesz słowo? – upewnił się Sabon.

– Daję słowo.

Delivijczyk wetknął kopertę do kieszeni.

– Chcę tutaj być, jak zjawi się ambasador Kezu.

– Oczywiście.

– I nie ciesz się tak.

Tamas powściągnął uśmiech.

– Sir! – Powrócił Olem. Wskazywał w stronę umocnień rojalistów.

Jakaś postać powoli przechodziła przez barykadę. Zeszła na ulicę i ruszyła między zwałami gruzu pozostałymi po trzęsieniu ziemi. Miała długi, biały fartuch narzucony na białą koszulę i czarne spodnie. Przód kitla pokrywały szkarłatne plamy.

Człowiek w fartuchu kierował się prosto w stronę Tamasa i towarzyszy. Jednym ruchem dłoni otworzył brzytwę, której ostrze zalśniło w słońcu. Tamas dostrzegł, że Olem napina wszystkie mięśnie.

– Panie, jestem Teef, z Balwierzy z Ulicy Czarnej. – Mężczyzna w fartuchu dotknął brzytwą czoła w parodii salutu. – Barykady są twoje.

– Przywódcy rojalistów?

– Martwi albo pojmani – powiedział Teef. – W większości martwi.

– Kobiety i dzieci?

Mężczyzna szarpnięciem zatrzasnął brzytwę i natychmiast z powrotem otworzył. Nerwowym gestem przesunął tępą krawędzią po własnym gardle.

– Emm, było kilka przykrych wypadków. Niektórzy z moich chłopaków mają problemy, panie. Poradziłem, ehm, sobie z tym.

Tamas zacisnął pięści. To jednak był błąd.

– A generał Westeven?

– Nie żył, panie. Tak jak mówiłeś.

Tamas miał nadzieję, że rana, jaką otrzymał Westeven, okaże się właśnie tylko raną. Ale generał stracił całe ramię, miał przy tym swoje lata i nie był prochowym magiem.

– Olemie, przypilnuj, żeby Balwierze z Ulicy Czarnej zostali zebrani w jednym miejscu, i zadbaj o ich bezpieczeństwo, dopóki nie będziemy mieli okazji, aby im zapłacić.

– Hejże – odezwał się Teef, robiąc krok w stronę Tamasa. W sekundę Olem znalazł się między nimi, a jego bagnet zatrzymał się o włos od zakrwawionego fartucha. Balwierz przełknął ślinę.

Tamas gestem przyzwał najbliższego kapitana najemników.

– Nie obawiaj się – uspokoił zabójcę. – Jeśli dotrzymałeś swojej części umowy, ja dotrzymam swojej. Najchętniej wtrąciłbym cię do Szablozębu, ale dotrzymuję słowa. I... w przyszłości możesz się jeszcze przydać.

Tamas zostawił Teefa z tyłu, zbliżył się do barykad razem z Sabonem i Olemem. Towarzyszyła im kompania Skrzydeł Adoma. Marszałek sięgnął przed siebie zmysłami, szukając ładunków prochowych. Wyczuwał mały skład amunicji nieopodal barykady oraz porozsypywany proch.

Wspiął się na szczyt szańca i rozejrzał. Zdobyli już kilka barykad, wiedział więc, czego się spodziewać: namiastki żołnierskiego obozu, ulic oczyszczonych z gruzu, niewprawnie wykonanych flag, zawieszonych przy drzwiach budynków zmienionych w koszary.

Ulice były pełne ludzi. Było ich znacznie więcej, niż Tamas się spodziewał. Setki kobiet i dzieci. Znacznie mniej mężczyzn. Na ich obliczach malował się strach, przygnębienie, poczucie straty. To były twarze ludzi, którzy po przebudzeniu znaleźli swoich mężów, przyjaciół, ojców i przywódców leżących z poderżniętymi gardłami. Po takim doświadczeniu nie mieli już ochoty do walki.

Każdej stłoczonej grupki pilnował Balwierz uzbrojony w pistolet lub pałkę. Czasem tylko w obnażoną brzytwę. Zdawało się, że to wystarczy.

– Brygadier Sabastenien – odezwał się Tamas.

Młody dowódca wspiął się na barykadę i stanął obok.

– Sir?

– Niech pańscy ludzie zluzują Balwierzy. Proszę zacząć wyprowadzać ludzi za szańce.

– Do Szablozębu, panie?

– Nie. – Tamas raz jeszcze powiódł spojrzeniem po tych twarzach. – Podejrzewam, że ci najbardziej odpowiedzialni za powstanie rojalistów już spotkali swoje przeznaczenie. Chcę, żeby wszystkich ocalałych zabrano do starego sądu. Rozbroić ich, ale nakarmić. Niech zbadają ich lekarze, a potem poprzydzielać im łóżka. To nie są już rojaliści. To obywatele. Nasi rodacy.

– Moi ludzie nie są niańkami, sir.

– Teraz nimi są. Odmaszerować.

Tamas patrzył, jak najemnicy schodzą między rojalistów. Nikt nie podnosił głosu, wszystko odbywało się stosunkowo cicho, a większość ludzi chętnie stosowała się do poleceń. Żołnierze zaczynali rozbierać barykady. Od czasu do czasu wszystkie głowy odwracały się na grzmot armat, który rozbrzmiewał na południu.

– Sabonie, prześlij wiadomość brygadierowi Ryze’owi. Przekaż mu, że wzięliśmy główną barykadę. Niech rozpocznie pertraktacje. Każdy rojalista niebędący szlachcicem ma zostać puszczony wolno. Jeśli Balwierze dokładnie wykonali swoją robotę w całym obozie rojalistów, to podejrzewam, że oferta zostanie przyjęta.

– Zamierzasz ich wszystkich puścić wolno, sir? – zapytał Olem.

– Jeśli potraktuje się ich jak zwierzęta, jak kryminalistów, to zaraz będę miał drugie powstanie. Jeśli potraktuję ich jak obywateli, jeśli wrócą do siebie, jeśli sprawię, że będą znowu mieli swoje miejsce, to właśnie będzie najlepsze rozwiązanie. Nie zamierzam przeprowadzać kolejnej tury egzekucji.

– To niegłupie, sir – ocenił Olem.

Tamas spojrzał przeciągle na swego ordynansa.

– Cieszę się, że się z tym zgadzasz.

– No cóż, sir, nawet gdybyś zaproponował równowartość miesięcznych zarobków, nikt nie zmyje krwi na Placu Elekcyjnym. Zabarwiła bruk na czerwono. Mówią, że warstwa zeschniętej krwi sięga miejscami na pół stopy. Nie ma po co jeszcze jej dolewać.

– Plac Elekcyjny?

– Wcześniej to był Królewski Ogród, panie. Został przemianowany.

– Nie słyszałem o tym.

– Owszem, był pan okropnie zajęty tymi barykadami i w ogóle.

– Dlaczego Plac Elekcyjny?

Olem prychnął śmiechem.

– To taki czarny humor, panie. Lud uznał te egzekucje za swoiste wybory.

– Nie było żadnego głosowania.

– Sądzę, że głos został oddany, kiedy tamtych Hielmenów rozerwano na strzępy.

Przez równą linię rojalistów przesuwającą się w dół barykady przedarł się jeden z najemników. Zasalutował pospiesznie, gdy tylko znalazł się przed marszałkiem.

– Panie, brygadier Sabastenien powiedział, że pan będzie chciał o tym wiedzieć. Znaleźliśmy generała Westevena.

Generał leżał w niewielkiej izbie. Jego kwatera była wilgotna i zimna. Zdawała się zbyt mała, jak na tak wielkiego człowieka. Tamas musiał się pochylić, żeby wejść do pomieszczenia.

Westeven leżał na wznak na pryczy, a obok niego, na niewielkiej szafce, spoczywał jego skromny dobytek. Miniatura zmarłej żony, gurlański nóż myśliwski o mocno zużytej rękojeści, fetysz z paciorków, para okularów, starannie złożona chustka.

Tamas zmarszczył brwi, spoglądając na zwłoki. Westeven leżał pod cienkim kocem, o wiele za krótkim. Stopy w skarpetach nie zostały więc przykryte. Ciało generała umyto, ale ślady oparzeń nadal pozostawały widoczne. Oczy miał zamknięte. Ocalałą ręką wciąż ściskał jakąś starą, oprawioną w skórę książkę. Najwyraźniej przeżył utratę ramienia, choć pewnie tylko godzinę bądź dwie.

Tamas przechylił głowę, by przeczytać tytuł księgi, którą Westeven trzymał powyginanymi przez reumatyzm palcami. „Czasy Kresimira”. Marszałek nie wiedział nawet, że jego przyjaciel był religijny.

Wziął do ręki gurlański nóż myśliwski i koralikowy fetysz.

– Brygadierze – odezwał się cicho.

Sabastenien pochylił się w wejściu. W ciemnej izbie ledwie starczało miejsca dla nich dwóch.

– Odeślijcie ciało generała jego najbliższym krewnym.

Sabastenien zdjął kapelusz.

– Generał chyba nie miał żyjących krewnych.

Tamas poczuł, że w gardle ma twardą kulę, przełknął ją z trudem.

– W takim razie ja się zajmę pochówkiem – oświadczył, gdy już udało mu się zapanować nad emocjami. – Przesłać wiadomość do podskarbiego. Pogrzeb ma być państwowy i ma się odbyć ze wszelkimi honorami. Bez oszczędzania. Jeśli będzie trzeba, opłacę to z własnej kieszeni.

Sabastenien milczał. Tamas odwrócił się i w oczach młodego brygadiera zobaczył powstrzymywane łzy.

– Sir – powiedział Sabastenien – przedstawię oficjalny wniosek, by generał Westeven został pochowany na cmentarzu Skrzydeł Adoma. Jestem pewien, że lady Winceslav się zgodzi.

– Dziękuję. – Tamas położył dłoń na ramieniu młodego dowódcy.

Był to największy możliwy zaszczyt. W szeregi Skrzydeł Adoma trudno było dostać się żywym, jeszcze trudniej umarłym.

Sabastenien pozostawił Tamasa sam na sam z ciałem. Marszałek położył kapelusz na piersi Westevena i wziął głęboki oddech.

– Źle przyszło ginąć w tej wojnie – powiedział Tamas. – Przykro mi, mój przyjacielu. Jednak zginąłeś, walcząc za to, w co wierzyłeś. Teraz muszę uporać się z Kezem i żałuję, że nie będzie cię u mego boku.

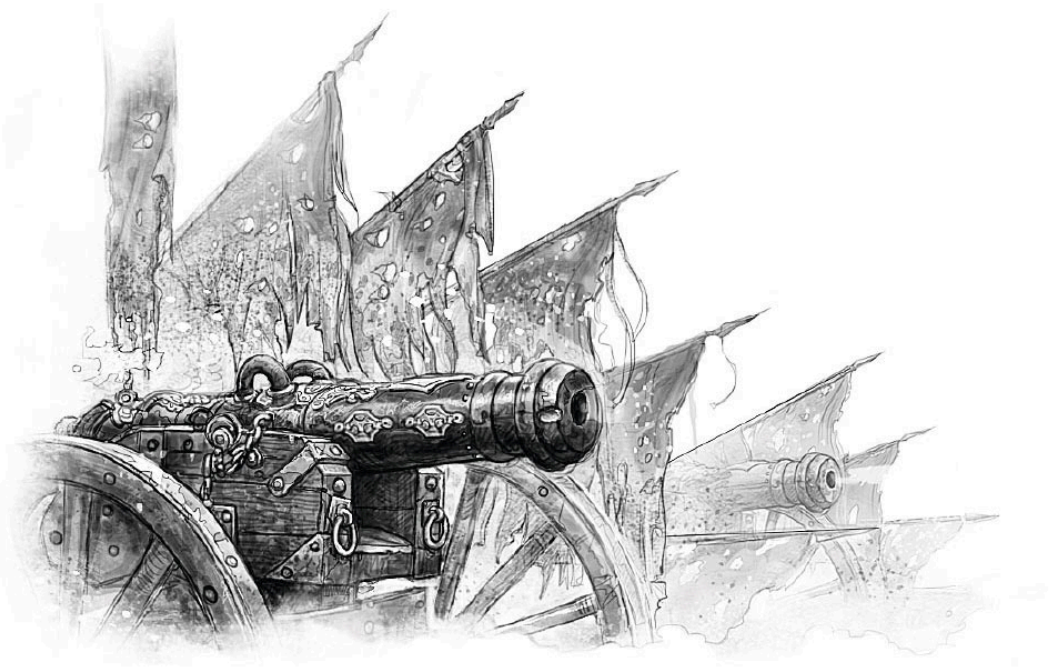

13
ROZDZIAŁ

Ona tutaj jest – oznajmiła Julene.

Usta wykrzywił jej paskudny uśmieszek, z jednej strony rozciągnięty przez bliznę, oczy miała nienaturalnie rozszerzone. Tak samo pokazywał zęby kuguar, którego Taniel kiedyś oglądał w cyrku. Stali pod główną bramą Uniwersytetu Adopestańskiego. Mury otaczające kampus były właściwie mocno nadkruszonym zabytkiem, za nimi powiewały flagi umieszczone na wieżach uczelnianych budynków. Taniel słyszał śmiech studentów. To nie było dobre miejsce na konfrontację z Uprzywilejowaną.

Chociaż zawsze lepsze od zatłoczonego miasta.

– Nie masz żadnych wątpliwości? – upewnił się. Od wielu dni nie otwierał trzeciego oka. Ostatnim razem, kiedy to zrobił, o mało nie zemdlał. Wmawiał sobie, że przyczyną wcale nie był prochowy trans, w którym trwał nieprzerwanie od czterech tygodni. Wcale nie był zaślepiony prochem. Wcale nie był uzależniony.

Wciągnął kreskę prochu z grzbietu dłoni i zadrżał.

Julene zignorowała pytanie Taniela.

– No więc? – zapytał Gothena.

– Ona tutaj jest – potwierdził pogromca.

Taniel rozejrzał się, szukając Ka-poel. Oglądała gargulce nad bramą. Przyglądało się jej uważnie kilku studentów. Spojrzał na nich złowrogo, kładąc dłoń na rękojeści pistoletu.

– To prawdziwa dzikuska? – zapytał jeden z nich.

– Musisz mieć pozwolenie, żeby nosić broń na terenie uniwersytetu – poinformował go drugi.

– Zjeżdżaj – odparł Taniel. – Chwila. Gdzie mogę znaleźć plan kampusu?

Chłopiec, Taniel myślał o nim jako o chłopcu, chociaż mogli być rówieśnikami, ostentacyjnie pociągnął nosem.

– Sam zjeżdżaj.

Taniel odwrócił się w stronę rozmówców, tak aby zobaczyli przypinkę z baryłką prochu.

– To ma na nas zrobić wrażenie? – zapytał chłopak.

Taniel uśmiechnął się szeroko.

– Zrobi, kiedy wbiję ci to w zęby. – Wyciągnął pistolet zza pasa i zakręcił na palcu tak, by lufa znalazła się w jego dłoni. Zakręcił ponownie, a potem zawinął młynka wokół środkowego palca, by po chwili trzymać już rękojeść pistoletu we właściwy sposób.

– Zabawne – stwierdził chłopak ze śmiechem. – Biuro administratora. Prosto przez bramę, potem w prawo. W końcu się na nie natkniesz.

– Dzięki – powiedział Taniel. – I owszem, ona jest dzikuską. MOJĄ dzikuską. – Przestał się uśmiechać, kiedy odwróciwszy się, podchwycił

wściekłe spojrzenie Ka-poel.

Odchrząknął.

– Znajdźmy jakiś plan kampusu. Julene, jak najbliżej możesz do niej podejść, zanim cię nie wyczuje?

– Nie obchodzi mnie, czy ona wie, że się zbliżam.

– Mnie obchodzi – rzucił Taniel. – Nie bądź głupia.

Ka-poel postukała się w pierś, a następnie przemaszerowała parą palców w powietrzu.

– Możesz się zbliżyć? – zapytał.

Tylko przewróciła oczyma.

Jasne, że mogła. Ka-poel praktycznie mogła podejść do Uprzywilejowanego i dźgnąć go palcem niezauważona. *O czym ja myślę* – skarcił się w duchu Taniel. Wszystko przez ten cholerny proch. Kiedy to się skończy, przez miesiąc nawet go nie tknie.

– W porządku. Ka-poel, znajdź tę Uprzywilejowaną. Chcę dokładnie wiedzieć, gdzie jest, w którym budynku, w którym pokoju. Wy dwoje – zwrócił się do najemników – czekajcie na kapitana Ajucare'a. – Kapitan podążał za nimi od tygodnia na rozkaz Tamasa. Trzymał się na tyle daleko, by nie przeszkadzać, a przy tym na tyle blisko, żeby stawić się natychmiast w miarę potrzeby.

Taniel, rzuciwszy okiem na drogę, spostrzegł w oddali mężczyzn na koniach.

– Powiedzcie mu, żeby zaczął ewakuację uniwersytetu. Weźmiemy się za tę Uprzywilejowaną teraz i zaraz. Gothenie, zdołasz odciąć ją od Nieświata?

– Oczywiście.

– Tym razem bez problemów?

– Bez – zapewnił go pogromca. – Nie popełnię znowu tego samego błędu.

Czyli Taniel musiał upewnić się, że Gothen zdoła podejść na tyle blisko, by odciąć Uprzywilejowaną. Jeśli kule i ostrza to za mało, żeby ją zabić, w ten sposób dadzą Julene szansę użycia magii.

– Ewakuacja zdradzi nasze zamiary – zauważyła Julene.

– Nie zamierzam pozwolić, aby jacyś studenci zginęli, jeśli coś nam nie wyjdzie i wy dwie zaczniecie przerzucać się czarami.

Julene uśmiechnęła się szyderczo.

– Zaraz wrócę – zapowiedział Taniel.

Przeszedł przez bramę, w stronę budynków administracyjnych. Prowadziły go liczne drogowskazy, bardziej precyzyjne niż spotkany student. Uniwersytet stanowił właściwie miasto w mieście. Budynki były ogromne, zbudowane z ponuro szarego kamienia, o strzelistych wieżach i szerokich łukach. Pomiędzy nimi zieleniły się trawniki, na których wylegiwali się studenci. Taniel szedł przez rozległy dziedziniec, a jego karabin przyciągał spojrzenia.

– Mogę w czymś panu pomóc?

Mężczyzna, mniej więcej czterdziestoletni, zaczepił prochowego maga, gdy ten wchodził już po schodach do budynku administracji.

– Prochowy mag Taniel. A kim pan jest?

– Jestem asystentem kanclerza. Profesor Uskan, do usług.

– Profesorze, czy kanclerz jest na terenie uniwersytetu?

– Udał się do miasta w interesach. Proszę mi wybaczyć, czy pan jest Tanielem Dwa Strzały? Synem marszałka polnego?

– Profesorze, za chwilę przez główną bramę wjedzie tu kompania wojska. Na terenie uniwersytetu przebywa zbiegła Uprzywilejowana. Polujemy na nią z rozkazu mojego oj... z rozkazu marszałka polnego Tamasa.

Uskan szeroko otworzył oczy.

– Co... Nie, nie wolno wam tutaj walczyć. To jest uniwersytet.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby nie doszło do konfrontacji. Czy macie jakiś plan ewakuacji?

– Co? Nie...

– W takim razie proszę szybko jakiś wymyślić. Od razu. Żołnierze są ze Skrzydeł Adoma. Proszę powiadomić studentów, aby opuścili teren kampusu.

– Opuścili teren?! Mamy tutaj niemal pięć tysięcy studentów! Kampus jest szeroki prawie na milę! Czego pan ode mnie wymaga?

– Wymyślenia jakiegoś sposobu.

– Co z Uprzywilejowaną?

– My się nią zajmiemy.

Mężczyzna załamał ręce.

– Uprzywilejowana! Będą ogromne zniszczenia! Naprawy...

– Jestem pewien, że nie dojdzie... – Taniel zamarł. Zobaczył ją. Właśnie wychodziła z biblioteki, niecałe sto jardów dalej. Nie miała rękawic. To dawało mu przewagę.

– Dalej – powiedział. – Niech pan ewakuuje stąd ludzi.

– I co mam im powiedzieć?

– Nie wiem – warknął Taniel. Powoli sięgnął po pistolet, starając się nie zwracać niczyjej uwagi.

Uskan z trudem przełknął ślinę i przyjrzał się rozmówcy od stóp do głów. Popatrzył błagalnie.

– Tylko niech pan uważa przy gmachu Wydziału Nauk Stosowanych – poprosił. – Jest nowiutki.

Nabrał powietrza i gwałtownie uniósł ręce.

– Darmowy lunch! – zawołał. – Darmowy lunch na zewnątrz, za bramą północną!

Zaczął biec przez dziedziniec.

– Cholera – zaklął Taniel.

Uprzywilejowana patrzyła prosto na niego. Wyszarpnął pistolet zza pasa, zawahał się. Ludzie na dziedzińcu powoli ruszali za Uskanem. Taniel zazgrzytał zębami.

Kobieta zaczęła biec w przeciwnym kierunku.

Wycelował pistolet i nacisnął spust. Na dziedzińcu zabrzmiało echo wystrzału. Taniel w ostatniej chwili trącił pocisk, tak by nie trafić jakiegoś studenta. Kula chybiła Uprzywilejowaną, utkwiła w ścianie biblioteki. Ktoś krzyknął. Studenci zaczęli biec.

Taniel ruszył za Uprzywilejowaną. Wcisnął pistolet za pas, wyciągając zarazem drugi, zapasowy. Kobieta skręciła za róg biblioteki. Taniel zatrzymał się gwałtownie. Mogła przyczaić się zaraz za węgłem. Czarami rozerwałaby go na sztuki, zanimby w ogóle zdołał nacisnąć spust. Rozejrzał się i jego spojrzenie padło na wieżę za budynkiem administracji.

Dzwonnica była najwyższym miejscem w kampusie. Taniel zawrócił, przeszedł przez budynek administracji, ruszył przez ogród botaniczny, kryty gigantycznymi taflami szkła utrzymywanymi przez metalowy szkielet. Mag o mało nie wpadł do sadzawki, gdy starał się ją przeskoczyć, jednak w końcu stanął pewnie i skierował się prosto do drzwi dzwonnicy.

Przesadzał po dwa stopnie naraz. Zatrzymał się przy oknie mniej więcej w połowie wieży. Ani śladu Uprzywilejowanej. Podszedł do następnego okna. Tam. Szła przez dziedziniec przed wielkim budynkiem z krużgankami, napis nad wejściem głosił, że jest to aula Banashera.

Taniel zdjął karabin z ramienia. Zamknął oczy, odetchnął spokojem prochowego transu i skupił się ponownie. Kiedy otworzył oczy, zobaczył Uprzywilejowaną tak wyraźnie, jak gdyby stał w odległości pięciu kroków. Widział dokładnie jej urodziwą twarz o ostrych rysach, nawet pieprzyk nad jedną z brwi. Kobieta szła szybkim krokiem. Nadal miała na sobie akademicką szatę, ale włożyła już rękawice. Zerknęła przez ramię.

– Rozalio! – Głos poniósł się echem na dziedzińcu.

Taniel aż się wzdrygnął. Uprzywilejowana także, spojrzenie miała dzikie. Położył palec na spuście.

Wtedy zobaczył, jak grunt w dole przeorał czar. Drobiny gleby pomknęły w powietrze, a w ślad za nimi linie ognia, buchające z ziemi wszędzie wokół Uprzywilejowanej.

Dziedziniec zniknął na chwilę za zasłoną opadającej ziemi. Julene ruszyła w tamtą stronę, wysoko unosząc dłoń w rękawicy. Śmiała się piskliwie.

Taniel dostrzegł skrawek akademickiej szaty. Przystawił karabin do ramienia i wystrzelił. Pocisk rykoszetował kilka cali od głowy Uprzywilejowanej, odbiwszy się od niewidzialnej tarczy. Taniel zaklął.

W Julene uderzyła błyskawica. Najemniczka pojechała do tyłu, ryjąc obcasami ziemię. Zdołała utrzymać się na nogach, dłonie unosiła nad głową. Zatrzeszczała energia i błyskawica popędziła do Uprzywilejowanej. Huk grzmotu odrzucił Taniela.

Potoczył się kilka stopni w dół, zanim zdołał zahamować upadek. Podniósł karabin, wrzucił kulę do lufy, potem wyciągnął ładunek prochu z torby i rozdarł palcami. Powrócił do okna, wycelował i strzelił.

Uprzywilejowaną okręciło, krew trysnęła jej z barku.

Padła na kolana, podpierając się jedną ręką. I spojrzała w stronę dzwonnicy.

– A, szlag.

Wykonała gest, jakby coś cięła.

Taniel zacisnął powieki. Nic się nie stało. Uchylił powiekę. Świat się przewracał. Gdzieś z dołu rozległ się straszliwy zgrzyt kamienia o kamień.

Serce podskoczyło Tanielowi do gardła. Wieża się waliła. Zacisnął dłonie na karabinie i wyskoczył z okna.

Otworzył usta, jednak nie znalazł tyle oddechu, aby krzyknąć. Szklane tafle ogrodu botanicznego pędziły mu na spotkanie. Stopy Taniela pierwsze uderzyły w dach. Pod magiem ugięły się kolana. A potem szkło pękło. Spadł ostatnie dwadzieścia stóp i wylądował na barku. Przetoczył się na plecy, łapczywie wciągając powietrze. Wszędzie wokół leżały odłamki szkła, niektóre wielkości mężczyzny. Taniel miał szczęście, że żaden nie spadł na niego.

W transie prochowi magowie byli silniejsi. Znosili znacznie większe obrażenia. Wytrzymywali znacznie większy ból. Jednak taki upadek powinien zabić Taniela, albo przynajmniej połamać mu kości.

Ziemia zadrżała. Taniel poczuł, że przewraca go fala uderzeniowa, gdy wieża zwaliła się na budynek pod nią. Kamienie kruszyły się na piach, drewno pękało w drzazgi. Zasłonił głowę rękoma.

Kiedy zdecydował się otworzyć zaciśnięte powieki, kurz już opadał. Taniel wstał powoli.

Karabin leżał dwadzieścia stóp dalej. Taniel poszedł po broń, niezgrabnie przechodząc nad gruzem i popękanym szkłem. Ciało go bolało, ale nie miał żadnych złamań. Sprawdził swój ekwipunek, poszukał szkicownika. Wciąż był na miejscu. Podniósł karabin.

– Zdecydowanie za dużo przeszliśmy w ostatnich dniach.

Kolejne grzmotnięcie sprawiło, że się zachwiał na nogach. Pokuśtykał z ogrodu do przyległego budynku. Dotarł do holu, skąd mógł wyjrzeć na dziedziniec.

Kraniec auli został zniszczony. Wieża wylądowała na biurze administratora. Taniel miał nadzieję, że nikogo nie było w środku.

Przywarł plecami do ściany, tuż poniżej okna, i nasłuchiwał. Kolejne grzmotnięcie. Ktoś się śmiał. Upiornie. Julene. Zazgrzytał zębami. Ponownie naładował karabin i wstał.

Dziedziniec został zniszczony. Wszędzie piętrzyły się kopce ziemi, większe niż stu ludzi zdołałoby w ciągu jednego dnia usypać łopatami. Jakby nagarnęła ją boska ręka, a następnie uklepała z niej pagórki. Nagle cienka linia ognia wystrzeliła zza jednego z kopców i przedarła się na wskroś całej auli Banashera. Taniel widział w oknach twarze ludzi obserwujących walkę. Zniknęły wszystkie w ułamku chwili. Wyraz absolutnej grozy, który się na nich malował, zastygł w umyśle Taniela, gdy cała fasada budynku runęła.

Mag ponownie schował się za ścianą, odetchnął głęboko. To nie była zwyczajna walka. Owszem, widywał już starcia Uprzywilejowanych, na bitewnych polach Fatrasty. Ciskali kulami ognia, lodem oraz błyskawicami. Jednak jeszcze nie oglądał czegoś takiego jak teraz. Zarówno Julene, jak i druga Uprzywilejowana używały mocy daleko przekraczających jego pojęcie. Z taką potęgą każda mogłaby bez trudu przewodzić królewskiej kamaryli.

Nie wiedział, gdzie podziała się Ka-poel. W głowie dzwoniło mu po kolejnym grzmotnięciu, myśli zdawały się jakieś niewyraźne. Posłał ją chyba za Uprzywilejowaną? Miał nadzieję, że nie zrobiła niczego głupiego. Miał nadzieję, że jest bezpieczna.

Ponownie wyjrzał. Widział Uprzywilejowaną. Stała na stopniach jakiegoś budynku, tak nieco na ukos od miejsca, w którym krył się Taniel. *Muzeum* – pomyślał. Powoli uniósł karabin.

Palce Uprzywilejowanej zatańczyły. Wyrzuciła jedną rękę przed siebie, w stronę centrum dziedzińca. Z wnętrza dłoni buchnął cienki słup ognia. Julene została uniesiona zza świeżo uformowanych wzgórz i rzucona na szczątki auli Banashera. Kamienie zawinęły się wokół niej, a reszta gmachu złożyła jak domek z kart.

Uprzywilejowana wytarła dłonie w swoją szatę i weszła do muzeum.

Taniel zerwał się do biegu. Był już w połowie auli, kiedy zadał sobie pytanie, co właściwie robi? Nie był w stanie mierzyć się z taką mocą. Po co więc gonił czarodziejkę? Co mógł jej zrobić?

Pomyślał o zniszczeniach na dziedzińcu. Uprzywilejowana się zmęczyła. Nie mogła walczyć bez ustanku. Na pewno nie zostało jej wiele sił.

Budynek, w którym się schronił, połączony był z muzeum wąską kamienną kładką. Taniel popędził na drugą stronę, skoczył przez drzwi. Znalazł się w krótkim korytarzyku, właściwie w służbówce, pełnej mioteł i szmat. Kolejne drzwi, otwarte, prowadziły do głównej sali. Dostrzegł balkony pełne starożytnych zabytków: zmumifikowanych trupów, kości pradawnych bestii, ceramiki jakiejś prehistorycznej cywilizacji, kamieni skrzących się od klejnotów. Usłyszał energiczne kroki na marmurowej posadzce.

Uprzywilejowana maszerowała przez główną galerię.

Ramię wciąż jej krwawiło. Patrzyła w drugą stronę. Chyba nie dostrzegła Taniela. A z pewnością nie widziała pogromcy magów na galerii powyżej.

Gothen przeskoczył poręcz i wylądował niecałych pięć stóp od Uprzywilejowanej. Wstał, twarz jaśniała mu w poczuciu triumfu. W dłoni trzymał krótki miecz.

– Tak! – Z okrzykiem radości Taniel wyskoczył zza zasłony. Teraz ją mieli. Już nie zdoła im...

Uprzywilejowana szeroko rozpostarła ramiona. Jej szata załopotała, a potem zaczęła jaśnieć. Gothen szeroko otworzył oczy.

Taniel znieruchomiał. Cofnął się o krok, gdy dziwne lśnienie zaczęło dobywać się z ciała pogromcy.

Gothen osunął się na kolana. Otworzył usta do krzyku. Jednak nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Usta rozwarły się jeszcze szerzej. Szczęka Gothena odpadła, a w ślad za nią reszta ciała poczęła spływać na posadzkę, niczym świeca topniejąca w żarze ognia. Ubranie zapłonęło, miecz kapał kroplami roztopionej stali. Pogromca magów zmienił się w kałużę u stóp Uprzywilejowanej.

Taniel uskoczył za kolumnę. Odruchowo sięgnął po proch, ale tak naprawdę nie miał pojęcia, co mógłby jeszcze zrobić. Rozsypał proch na całej dłoni i wciągnął nosem. Poczuł wilgoć na palcach. Krew kapała mu z nozdrzy. Zaraz jednak spokój prochowego transu ukoił drżenie dłoni.

Mag zacisnął zęby i zamocował bagnet na lufie karabinu. Prawie natychmiast znowu zaczęły mu się trząść dłonie. Dwukrotnie sprawdził, czy pistolety są naładowane, i szykował się, aby poderwać się do ataku.

Coś musnęło jego włosy.

Uprzywilejowana stała obok. Jeden palec przycisnęła do głowy Taniela.

– Zrób to – powiedział.

Z tak bliska widział, jak bardzo jest zmęczona. Włosy miała mokre od potu. Kurze łapki w kącikach przekrwionych oczu stały się naprawdę głębokie, twarz poznaczyło wyczerpanie.

– Chcę, żebyś przestał mnie ścigać – oznajmiła.

– Zabiłaś moich przyjaciół.

– Prochowych magów w pałacu? To był błąd. Nie, to właściwie nie był błąd. Pozabijałabym ich wszystkich, gdybym tylko zjawiła się na czas, żeby powstrzymać Tamasa i ten jego głupi przewrót. Byłam tam tylko, by ostrzec kamarylę królewską, jednak za późno. Kiedy zobaczyłam, że już po wszystkim, chciałam tylko odejść.

– Kim ty, do otchłani, jesteś?

– Mam na imię Rozalia.

– A CZYM jesteś?

Westchnęła przeciągle.

– Jestem jedną z kilku ocalałych Predei. A raczej byłam, bo ostatnio raczej nie jestem w formie.

– To nic mi nie mówi.

– Bo jesteś po prostu głupim młokosem. Wszyscy jesteście zwykłymi, głupimi młokosami. Uprzywilejowani i prochowi magowie. Żadne z was o niczym nie ma pojęcia.

– Zatem mnie zabij.

– Jeśli to zrobię, twój ojciec wyśle za mną wszystkich swoich prochowych magów. Już nigdy nie zaznam spokoju.

Taniel pociągnął nosem. Wiedziała więc, kim był.

– Każ tej swojej dzikiej czarodziejce się zatrzymać. Nie chcę z nią walczyć.

– Pole? – Taniel rozejrzał się, ale nie zobaczył dziewczyny. – Zmykaj stąd! – Wydało mu się, że za jedną z gablot mignęły czerwone włosy.

– Zostawcie mnie w spokoju – powiedziała Rozalia – a dzisiaj opuszczę kraj. Przysięgam. Tutaj już nie zostało mi nic do zrobienia.

– Tak po prostu? – Myśli Taniela trwały w dzikiej gonitwie. Julene zapewne zginęła. Gothen zmienił się w kałużę. Co mógł zdziałać jeden prochowy mag? Czyżby Uprzywilejowana tak bardzo obawiała się Tamasa?

Taniel zauważył nerwowe spojrzenie Rozalii rzucone w stronę Dynizyjki.

Czyżby obawiała się Ka-poel? Przecież Ka-poel była tylko dziewczyną.

– Właśnie tak – oznajmiła Rozalia. – Opuszczam to miejsce. Twój ojciec kopnął gniazdo szerszeni i kiedy już zjawią się te szerszenie, ja zamierzam być daleko stąd.

– Co masz na myśli?

Rozalia potrząsnęła głową.

– Wy naprawdę nie wiecie, co? Igracie z czymś bardzo niebezpiecznym. Nie, więcej niż niebezpiecznym. Z czymś absolutnie nie do opanowania. Nie ma już szansy, by przywrócić monarchię, aby naprawić szkody. Westeven to rozumiał, jednak wy, pozostali, pozostawaliście ślepi.

– Jesteś szalona.

– Zapytaj Uprzywilejowanego Borbadora, skoro mi nie wierzysz. To ostatni z królewskiej kamaryli. On powie ci prawdę.

– Zapytam.

Rozalia opuściła dłoń. Taniel wstał.

– Nie mogę zagwarantować, że Tamas nie pośle za tobą kogoś innego. Ale niech to otchłań pochłonie, ja mam dość.

– W przeciągu tygodnia będę na statku, daleko od Dziewięciu – zapewniła go Rozalia. – Poza jego zasięgiem. Zresztą wtedy już na pewno będę jego najmniejszym zmartwieniem. – Odwróciła się.

Taniel patrzył, jak szła do wyjścia.

– Stój! – Wyprzedził ją i otworzył drzwi. Mijając to, co zostało z Gothena, zmusił się, by odwrócić wzrok.

Na zewnątrz zobaczył kilkunastu żołnierzy. Celowali w drzwi muzeum z karabinów.

– Opuścić broń! – rozkazał im Taniel. Patrzyli na niego w milczeniu. – Opuścić broń, psiakrew, albo wszyscy zginiemy!

Posłuchali go z oporami. Rozalia schodziła po schodach tak, jak gdyby była królową, której towarzyszy gwardia honorowa. Minęła ich i skierowała się ku głównej bramie uniwersytetu. Zatrzymała się jeszcze, jakieś dwadzieścia, może trzydzieści stóp od Taniela.

– Strzeż się Julene – powiedziała, odwróciwszy się w jego stronę. Po czym odeszła.

Godzinę później, a może i więcej niż godzinę, Taniel dostrzegł Julene, idącą ku niemu poprzez dziedziniec. Siedział w nienaruszonym walką zakątku kampusu. Opierał głowę o ścianę, w ręku trzymał szkicownik. Obok ze skrzyżowanymi nogami siedziała Ka-poel. Zaczął rysować Gothena. To był odważny człowiek, nieważne, że najemnik. Zasłużył, aby ktoś o nim pamiętał. Taniela bolała głowa. Bolało go ciało. A osoba, która właśnie szła w jego stronę, nie powinna już żyć.

Julene wyglądała tak, jak gdyby stratowało ją stado koni. Ubranie miała nadpalone i podarte. Nawet nie zasłaniało jej ciała jak należy, lecz zdawała się nic sobie z tego nie robić. Stanęła nad Tanielem z rękoma na biodrach.

– Gdzie Gothen?

– Stopił się.

Zbladła, ale zaraz odzyskała rezon.

– Kapitan Ajucare mówił, że pozwoliłeś jej odejść.

Taniel pokiwał głową.

– Wyjeżdża z kraju.

Julene pochyliła się, jej twarz znalazła się w odległości mniejszej niż szerokość dłoni od twarzy Taniela.

– Pozwoliłeś tej suce odejść! – Uniosła dłoń w rękawicy.

Taniel nawet nie pamiętał, kiedy wydobył pistolet. W jednej chwili dłonie miał złożone na kolanach, a już w następnej wciskał lufę w miękkie miejsce, gdzie łączyły się szczęka i szyja Julene. Uprzywilejowana szeroko otworzyła oczy.

– Idź stąd – powiedział.

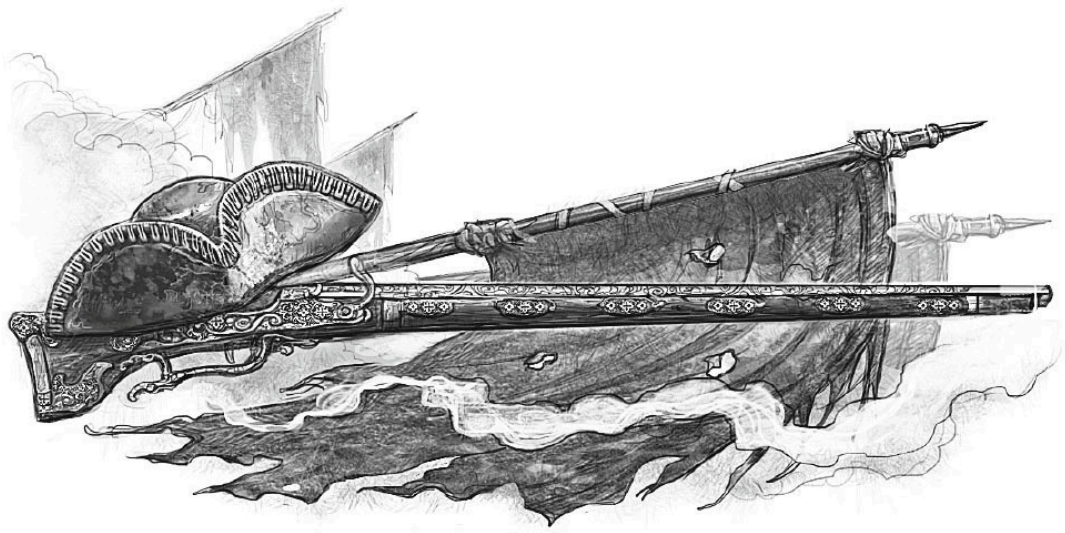

14
ROZDZIAŁ

Większość historyków uważała, że powstanie latarni Gostaun należy datować na Erę Kresimira. Niektórzy twierdzili, że jest jeszcze starsza, i Tamas nie zdziwiłby się, gdyby mieli rację. Z pewnością stanowiła najstarszy budynek w Adopeście. Kamień wyrzeźbił wiatr, mijające stulecia zostawiły na granitowych blokach ślady działania żywiołów, bezlitośnie smagających budowlę przy okazji wszelkich obrzydliwych kaprysów pogody, jakie tylko trafiały się na Admorzu.

Tamas stał na balkonie latarni, mocno zaciskając dłonie na kamiennej balustradzie. Coś było nie tak. Rojaliści zostali pokonani ostatecznie, spichlerze otwarte dla ludu. Właśnie rozpoczęto restaurowanie miasta,

zatrudniając tysiące osób przy oczyszczaniu ulic z gruzu i odbudowie czynszowych kamienic. Powinien zatem skupić się całkowicie na przybywających ambasadorach Kezu, a jednak ciągle spoglądał na południowy zachód. Nie potrafił przestać.

Wielka Południowa Turnia dymiła. Dwa tygodnie temu, podczas trzęsienia ziemi, na horyzoncie pojawiła się czarna wstążka dymu. Od tamtej pory urosła dziesięciokrotnie. Wielkie szarobiałe kłęby unosiły się ze szczytu góry, tym większe, im wyżej wzlatywały, i płynęły nad Admorze. Historycy twierdzili, że ostatnia erupcja Południowej Turni miała miejsce, gdy Kresimir po raz pierwszy postawił stopę na owej świętej górze. Mówili, że wtedy popiół pokrył cały Kez, a lawa zniszczyła setki miejscowości w Adro.

Słowa takie jak „omen” albo „złe czasy” powtarzali już nawet ludzie wykształceni, którzy wcześniej nie traktowali tych spraw serio.

Tamas odwrócił się od odległej góry i spojrzał na południe. Latarnia jako taka miała tylko trzy kondygnacje, wznosiła się jednak na klifie, znacznie wyższym niż zabudowania Adopestu. Zbocze wzniesienia osunęło się podczas trzęsienia ziemi, odsłaniając fundamenty wieży, jednak sam budynek ocalał. Niżej doki flankowała bateria armat. Tamas nie sądził, by kiedykolwiek strzelano z tych dział. Stały głównie na pokaz – pozostałość dawnych czasów, podobnie jak i Straż Górska. W swojej długiej historii Dziewięć już niezliczoną ilość razy stanęło na krawędzi wojny, ale od czasów Pomrocza nie doszło do rozlewu krwi. Gdzieś daleko na kotwicy kołysała się galera z Kezu, a wysoko na jej masztach łopotały flagi.

– Przetestujcie te działa jutro – polecił Tamas. – Możemy ich wkrótce potrzebować.

– Tak jest, panie – odparł Olem. Ordynans i Sabon trwali za plecami marszałka, przeczekując jego cichą zadumę. Pełna kompania honorowa stała na brzegu gotowa powitać delegację z Kezu. Służba krzątała się przy ostatnich przygotowaniach do bankietu powitalnego. Roznoszono jedzenie, rozstawiono na piasku parasole i namiotowe wiaty, a odziani w liberie służący starali się nie dopuścić, by wiatr zdmuchnął je do Admorza.

Andriya i Vlora ukryli się na obu krańcach plaży z naładowanymi karabinami i wypatrywali Uprzywilejowanych. Tamas wolał niczego nie ryzykować, a ucisk odczuwany gdzieś głęboko w dołku stanowił tylko dowód, że słusznie czyni. Wśród Kezan BYLI też Uprzywilejowani, Tamas zobaczył ich swoim trzecim okiem, jednak z takiego dystansu nie potrafił określić, jak wielu i jaką mocą dysponowali.

Od galery oderwała się długa łódź. Tamas podniósł lunetę do oka, naliczył w niej ze dwa tuziny pasażerów. W tym Stróżów, których łatwo dawało się zauważyć, z uwagi na ich rozmiary oraz przygarbione i zniekształcone barki.

– Ipille odważył się wysłać tu Stróżów – warknął Tamas. – Kusi mnie, aby od razu mu zdmuchnąć tę łódź.

– Oczywiście, że się odważył – odezwał się Sabon. – Jest przecież cholernym królem Kezu. – Kaszlnął w dłoń. – Tamci Uprzywilejowani pewnie myślą o tobie to samo. Wiedzą, że masz na plaży prochowych magów.

– Moi Naznaczeni nie są jakimiś bezbożnymi, zrodzonymi z magii zabójcami.

Tylko Kezanie odkryli, jak złamać w człowieku ducha i zniekształcić ciało, by stworzyć Stróża. Pozostałe kamaryle w Dziewięciu wzdragały na samą myśl o eksperymentach na ludziach.

Sabon wydawał się rozbawiony.

– Co cię bardziej przeraża, człowiek, którego prawie nie da się zabić, czy człowiek, który potrafi zabić cię z karabinu z odległości ligi?

– Stróż czy prochowy mag? Żaden. Ale Stróże budzą moją odrazę. – Splunął przez barierkę. – Co w ciebie dzisiaj wstąpiło? Filozofujesz, że aż się płakać chce.

Olem zaśmiał się w kułak.

– To przez śniadanie – powiedział.

Tamas odwrócił się w stronę żołnierza.

– Śniadanie?

– Rano zjadł sześć talerzy owsianki – wyjaśnił Olem. Strzepnął popiół z papierosa i patrzył, jak roznosi go wiatr. – Jeszcze nigdy nie widziałem pułkownika, który by tyle jadł, i to jeszcze tak szybko.

Zakłopotany Delivijczyk wzruszył ramionami.

– Ten nowy kucharz jest wyjątkowy. Jakbym pił mleko prosto z cycków samej świętej. Skąd go wziąłeś?

Tamas przełknął ślinę. Zimny pot zrosił mu czoło.

– Jak to „skąd go wziąłem”? Nie zatrudniałem żadnego nowego kucharza.

– Powiedział, że osobiście wyznaczyłeś go na kuchmistrza, panie – odezwał się Olem. Wyciągnął przed siebie dłoń, udając, że kładzie ją na dużym brzuchu, zaczął naśladować napuszony ton: – „Aby napełnić serca, umysły i dusze żołnierzy i dać im siłę na nadchodzące lata”. Czy jakoś tak.

– Grubas, tego wzrostu? – Tamas uczynił gest ponad głową.

Olem przytaknął.

– Długie czarne włosy, wygląda jak Rosvelczyk?

– Sądziłem, że w jednej czwartej jest Delivijczykiem – odparł Olem. – Ale tak.

– Chyba zwariowałeś – prychnął Sabon. – Nie ma w nim ani krzty Delivijczyka.

– Mihali – odezwał się Tamas.

– Tak, to on – potwierdził Sabon. – Kucharz nie z tej ziemi.

– Kuchmistrz – poprawił go odruchowo Tamas. – I może faktycznie z innego świata. Dowiedzcie się, kim jest. Wszystko na jego temat. Mówi, że jego ojcem był Moaka, na-baron... czegoś tam. Dowiedzcie się.

Nie pozwoli obcym na infiltrowanie jego kwatery głównej przy użyciu sufletu jagnięcego.

– Zajmę się tym, sir! – odpowiedział Olem.

– Już!

Olem podskoczył.

– Tak jest, sir!

Strzepnął papierosa i ruszył w stronę schodów. Tamas odprowadził go wzrokiem, a potem wrócił do obserwowania zbliżającej się łodzi. Na plecach czuł spojrzenie Sabona.

– Co? – zapytał z większym rozdrażnieniem, niż zamierzał.

– O co, na otchłań, w tym chodziło? – zapytał Sabon. – Tyle zachodu o jakiegoś cholernego kucharza?

– Kuchmistrza – poprawił Tamas.

– Myślisz, że to jakiś szpieg?

– Nie wiem. Właśnie dlatego kazałem Olemowi to sprawdzić.

– Po co najmować człowieka do ochrony, skoro go odsyłasz akurat teraz?

Tamas zignorował pytanie. Czyli ten cały Mihali nie był wytworem wyobraźni. Ale jak należy potraktować to, co wtedy mówił? Polecił marszałkowi zbadać kwestię ostrzeżenia, jakie padło z ust umierających Uprzywilejowanych – a przecież nie powinien mieć o tym pojęcia.

Tamas nie był człowiekiem religijnym. Gdyby miał opowiedzieć się za jakimś wyznaniem, to poparłby najpopularniejsze wśród filozofów i górnych warstw społeczeństwa przekonanie, że Kresimir był bogiem tymczasowym. Pojawił się, puścił Dziewięć w ruch, a następnie ruszył gdzieś dalej i nie miał zamiaru wrócić.

Chociaż teraz święta góra huczała gniewem. Co to mogło oznaczać?

Zabobony. Coś takiego nie mogło mieć na niego wpływu. Jeszcze tego wieczora każe aresztować Mihalego i położy kres tym bredniom.

Przez kilka minut przypatrywali się zbliżającej łodzi, a potem Sabon wskazał brzeg:

– Podżegacze już się zjawili.

– W samą porę, psiakrew.

Zeszli na dół do doków, aby przyłączyć się do członków rady. Przy takiej liczbie pomocników, asystentów, strażników i lokajów zdawało się, że w porcie pojawił się cały Adopest. Tamas zatęsknił za czasami, kiedy tajemnica wymagała, żeby spotkali się osobiście: tylko sześciu mężczyzn i jedna kobieta, spiskujących, by obalić swojego króla.

Członkowie rady wyszli marszałkowi naprzeciw.

– Tamasie, mój drogi – zaczęła lady Winceslav, gdy podszedł – bądź tak miły i poproś Jego Eminencję oraz tego drugiego dżentelmena – wskazała z lekceważeniem arcybiskupa oraz eunucha – by nie palili tyle w obecności damy.

– Możesz ich poprosić osobiście – zauważył Tamas.

– Prosiła – wtrącił Ricard. – Ale wygląda na to, że Jego Eminencja nie wie, jak zachowywać się przy damach.

Lady Winceslav chrząknęła wymownie.

– Panie, sądzę, że ty również.

Ricard zdjął kapelusz i ukłonił się przed nią.

– Jestem tylko biednym człowiekiem pracy, szanowna pani. Proszę o wybaczenie.

Arcybiskup i eunuch zdawali się rozbawieni dyskomfortem lady Winceslav. Charlemund odwrócił się do Tamasa, wydmuchując kółka dymu.

– Wiesz, że odjęto mu męskość przy urodzeniu? Sądziłem, że takich rzeczy nie praktykuje się już od tysiąca lat.

– Jeszcze pięćdziesiąt lat temu Kościół chętnie brał kastratów do swoich chórów – zauważył Ondraus, spoglądając na arcybiskupa znad książki. Uśmiechnął się krzywo. – Żyje jeszcze kilku sławnych śpiewaków, takich jak Kirkham i Noubenhaus, którzy są kastratami. Słyną w katedrach w całych Dziewięciu. Jestem zaskoczony, że o tym nie wiedziałeś.

Arcybiskup mocno zaciągnął się fajką.

– To powszechna praktyka – odezwał się spokojnie eunuch, jego wysoki głos niemal tonął w szumie fal. – W moim rodzinnym kraju istnieje cała kasta eunuchów, stworzonych przy narodzinach, którzy potem służą gurlańskim urzędnikom. Usługują w haremach, a na dworach dbają, by zaspokoić wszelkie zachcianki swych panów. – Spojrzał na lady Winceslav. – Wszelkie, jakie tylko można sobie wyobrazić.

– Obrzydliwe – stwierdziła lady Winceslav, odwracając się.

Tamas przysłuchiwał się tej wymianie zdań w milczeniu. Czasem cała ta rada przypominała mu dzieci, posłane przypadkowo do jakiejś szkoły z internatem, bez jakiegokolwiek pojęcia o klasie czy wychowaniu. Ot, taka zbieranina.

– To wszystko jest bardzo interesujące, ale właśnie przybył ambasador – przypomniał im. – Powitam go osobiście. Sam. Bez wątpienia poruszy kwestię Ugód, jeszcze zanim zejdzie z łodzi. Zamierzam mu powiedzieć, żeby je sobie wetknął w tyłek.

– Sądzę jednak, że lepiej zareaguje na niewieści urok – zaprotestowała lady Winceslav.

– Niewątpliwie – mruknął arcybiskup. – Nie mam tu nic do powiedzenia. Kościół jest neutralny w kwestiach wojny.

– Twoje niezachwiane wsparcie wzrusza mnie do łez – powiedział Tamas. – Kez wysunie swoje żądania. Jeśli to będzie możliwe, wolę pokój. Osobną kwestią jednak pozostaje, jak bardzo się ugniemy, żeby go zachować. Ugody absolutnie nie wchodzą w rachubę. Nie pozwolę, żeby zabrali nam ten kraj. Ricardzie?

– Wojna znacznie ograniczy ruch handlowy na Admorzu – powiedział Ricard Tumblar. – Związkowi nie podoba się ten pomysł. Ale z drugiej strony, fabryki będą pracować na pełnych obrotach, zatrudniając tysiące ludzi przy produkcji amunicji, ubrań i konserw. To złoty czas dla przemysłu w Adopeście. Jeśli dołożymy do tego odbudowę miasta, to kwestię bezrobocia mamy praktycznie rozwiązaną.

– Zacząć wojnę, aby usprawnić gospodarkę – mruknął Tamas. – Gdyby to tylko było takie proste. Lady?

– Moi najemnicy są do twojej dyspozycji.

Póki w Adro nie skończy się ziemia dla twoich oficerów – pomyślał Tamas.

Eunuch wzruszył ramionami.

– Mój pan nie ma zdania na temat wojny.

– Czy będzie trzymał swoje gangi w ryzach? – zapytał Tamas. – Jeśli Adopest pójdzie na wojnę tylko po to, żeby sam się rozszarpać, to będzie po

wszystkim, zanim ta wojna się w ogóle zacznie.

Eunuch zaciągnął się fajką.

– Szafarz będzie miał sprawy... pod kontrolą.

– Kanclerzu? – zapytał Tamas.

Starzec spojrzał tęsknie na morze i przesunął palcem po pajączkowatym znamieniu na twarzy.

– Między Dziewięcioma nie było prawdziwej wojny od czasów Pomrocza. Mam nadzieję na pokój, ale... – Pełnym znużenia gestem otarł czoło. – Ipille to chciwiec. Zrób to, co trzeba.

Podskarbi Ondraus wypowiadał się ostatni. Schował do kieszeni swój rejestr, zdjął z nosa okulary, złożył je i schował do płaszcza.

– Spłacenie Kezowi tego, co pożyczył Manhouch, będzie nas kosztowało więcej niż prowadzenie wojny przez dwa lata. A niech ich otchłań pochłonie.

Sabon wybuchnął śmiechem, Ricard i eunuch także uśmiechnęli się szeroko. Tamas stłumił własny chichot, skinął na podskarbiego.

– Panie, dziękuję za uczoną opinię.

Tamas ruszył powitać ambasadora. Wyjął z kieszeni ładunek prochu, delikatnie go odwinął, po czym wysypał szczyptę na język. Poczuł syczenie mocy niosącej ze sobą wyostrzenie świadomości charakterystyczne dla prochowego transu. Zamknął oczy, idąc stopa za stopą, a deski portowego nabrzeża skrzypiały mu pod nogami. Otworzył oczy dwadzieścia kroków przed łodzią.

Delegacja dobiła już do brzegu. Stróże wygramolili się z łodzi i pomagali wysiąść szlachcicom, a ich wypaczone magią mięśnie poruszały się pod płaszczami niczym grube węże. Wszyscy Stróże byli wielcy, niektórzy o dwie głowy przewyższali Tamasa. Każdy w bitwie wart był też dziesięciu żołnierzy. Marszałkiem wstrząsnął dreszcz.

Nie pozwoli się zastraszyć. Jakiekolwiek będzie stanowisko Kezu w trakcie zbliżających się negocjacji, Tamas musiał zachować spokój. Mogli mu grozić i lżyć, a on winien przyjmować to z godnością. Wojna nie

była wcale najlepszym rozwiązaniem. Będzie próbował zachować pokój, byle nie za cenę swojego kraju.

Członkowie delegacji jeden po drugim wspinali się na nabrzeże. Było ich wielu, wszyscy odziani w kosztowne szaty. Dostrzegł białą rękawicę Uprzywilejowanego. Dzięki trzeciemu oku Tamas wiedział, że w delegacji przybył tylko jeden czarownik. Marszałek odetchnął głęboko, sięgając swoimi zmysłami. Uprzywilejowany nie władał zbyt wielką potęgą, chociaż to określenie było względne, gdy mówiło się o ludziach potrafiących zniszczyć budynek jednym gestem.

Kezanin wyszedł na brzeg i poprawił płaszcz. Zaśmiał się z czegoś, co powiedział któryś z jego towarzyszy, i ruszył w stronę Tamasa. Sam.

Marszałek zacisnął dłonie za plecami, by powstrzymać ich drżenie. Krew dudniła mu w uszach, w kącikach oczu widział czerwień. Wzruszył ramionami, żeby strącić dłoń Sabona z barku.

Nikslaus.

Diuk Nikslaus był niewielkim mężczyzną, o delikatnych dłoniach Uprzywilejowanego i nieco zbyt dużej głowie, która zdawała się chybotać nad drobnymi ramionami. Okrywała ją niska, futrzana czapka. Z ramion Nikslausa zwisał czarny płaszcz pozbawiony guzików. Kezanin zatrzymał się w odległości stopy od Tamasa, wyciągnął dłoń, na ustach miał ironiczny uśmieszek.

– Tamasie, tyle czasu minęło – powiedział.

Marszałek zacisnął mu palce na gardle, nim w ogóle zdołał pomyśleć, co robi. Nikslausowi oczy wyszły z orbit, otworzył usta w niemym krzyku. Tamas jedną ręką dźwignął go ponad deski doku. Diuk zamachał rękami. Tamas odtrącił je, zanim tamten zdołał uwolnić czar. Marszałek niejasno zdawał sobie sprawę z pędzących ku niemu Stróżów i z tego, że jego ludzie nadbiegali z tyłu, jakąś cząstką świadomości zarejestrował nawet trzask kurka w pistolecie Sabona. Mocno potrząsnął Nikslausem.

– Czy właśnie to Ipille posłał na negocjacje?! – dopytywał się z wściekłością. – Czy właśnie to jest jego białą flagą? Mówiłem ci, że jeśli

twoja stopa jeszcze kiedyś stanie w moim kraju, to przybiję ci te ręce do Szablozębu.

– Wojna – wychrypiał Nikslaus.

Tamas rozluźnił uchwyt.

Nikslaus łapczywie nabrał powietrza.

– Ryzykujesz wojnę!

– Ty tutaj?! – ryknął Tamas. – To JEST wypowiedzenie wojny. Posłał tu swojego węża. – Cisnął Nikslausa na nadbrzeże. Diuk odczołgał do tyłu, w ciszy poruszał dłońmi.

– Spróbujesz czegoś, a moi Naznaczeni cię zastrzelą.

– Jak śmiesz? – powiedział Nikslaus. – To było w dobrej wierze.

– Zeżryj swoją dobrą wiarę, robaku! Precz z mojego kraju. Powiedz Ipille'owi, aby podtarł sobie tyłek swoimi Ugodami!

– To wojna! – zaskrzeczał Nikslaus.

– Wojna! – Tamas wyszarpnął z kieszeni garść prochowych ładunków i zgniótł je w dłoni. Podpalił opadający proch, koncentrując jego energię. Deski pod Nikslausem wystrzeliły w górę, diuk poleciał w powietrze, a potem głową naprzód w wodę. Kilku Stróżów skoczyło za nim, a Tamas odwrócił się, ignorując dochodzące od Nikslausa bełkotliwe wołanie o pomoc.

– Co to było, do otchłani? – dopytywał się arcybiskup.

Tamas popchnął go wyprostowanym ramieniem, przewracając na ziemię. Reszta rady zamarła przerażona. Czuł ich spojrzenia na plecach, kiedy wspinał się po brzegu do latarni. Słuch wzmocniony prochowym transem złowił głos Sabona.

– Bądźcie dla niego wyrozumiali – poprosił Delivijczyk. – Ten człowiek ściął mu żonę.

Adamat walił w drzwi frontowe Archiwum Publicznego przez dwadzieścia minut, zanim wreszcie usłyszał dźwięk odsuwanej zasuwy. Jedno z wielkich skrzydeł uchyliło się i wyjrzała zza niego oświetlona latarnią twarz młodej kobiety.

– Biblioteka nieczynna – padło i drzwi zaczynały się już zamykać.

Adamat zablokował je stopą.

– Jest trzecia rano – powiedziała kobieta.

– Potrzebuję dostępu do Archiwum.

– No to fatalnie. Bo jest zamknięte. – Nieco szerzej otworzyła drzwi, a potem pchnęła skrzydło, gniotąc Adamatowi stopę.

– Au. SouSmith, jeśli mógłbym cię prosić.

SouSmith naparł na drzwi. Kobieta zatoczyła się w głąb korytarza.

– Wezwę straże! – zagroziła, kiedy Adamat wszedł do środka. Gestem przywołał SouSmitha, następnie zamknął drzwi.

– Proszę się nie kłopotać – powiedział. – Mam nakaz od marszałka polnego Tamasa. – Nie miał go, ale przecież o tym nie wiedziała. – Muszę tylko coś sprawdzić, zniknę, zanim otworzycie.

– Nakaz? Proszę mi pokazać.

Nie po raz pierwszy w trakcie tego śledztwa Adamat pożałował odesłania Faye. Miała wielu przyjaciół i wprowadziłaby go do Archiwum o dowolnej porze dnia czy nocy, a tak musiał wdzierać się na siłę.

Adamat spojrzał uważnie na kobietę. Nie wyglądała na typową bibliotekarkę. Włosy miała rozpuszczone, kędzierzawe i złote i była bardzo młoda. Prawie zbyt młoda. Nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat.

– Kim jesteś? – zapytał.

Wyprostowała się, widać było, że przywykła do takich tłumaczeń.

– Jestem nocną bibliotekarką! Dbam o regały i prowadzę badania.

– No tak, panienko, a wiesz, skąd biorą się fundusze na Archiwum Publiczne?

– Król... och. Darowizny od szlach... Och...

– I czy sądzisz, że marszałek polny Tamas będzie zadowolony z tego, że jego agenta odprawiono, uniemożliwiając prowadzenie ważnego śledztwa,

od którego może zależeć bezpieczeństwo państwa? Sądzisz, że zadba o fundusze na Archiwum Publiczne, skoro tak źle traktuje się w nim jego ludzi? Wszak można dotować i inne biblioteki. Powiedzmy bibliotekę Uniwersytetu Adopestańskiego, do której, co wiem na pewno, miałbym dostęp już teraz, gdyby tylko nie była mi tak bardzo nie po drodze.

Pracownicy na nocnych zmianach zwykle łatwo dawali się zagadać. Zazwyczaj nie byli zbyt bystrzy. Ta tutaj słuchała każdego słowa Adamata niczym kazania. Widział to po jej oczach. Miał szczęście i użył właściwych argumentów.

– W porządku – ustąpiła. – Ale tylko na kilka minut.

Detektyw ruszył za nią do archiwów. Na ścianach wisiały latarnie, niewiele, tyle tylko, by oświetlić przejście. Zagrożenie pożarem traktowano w bibliotekach bardzo poważnie. Zatrzymał się, gdy dotarli do stołów.

– Mówiłaś, że porządkujesz półki?

– To jeden z obowiązków bibliotekarza.

– Czyli odkładasz książki?

– Oczywiście.

– Czy przypominasz sobie taki stos książek, na tym stole, tak z dziesięć dni temu?

Odwróciła się w jego stronę tak szybko, że aż się cofnął o krok.

– Tamte książki zostały zniszczone. – Pogroziła mu palcem przed nosem. – Pan to zrobił?

Usłyszał, jak SouSmith parska śmiechem.

– Nie – odparł Adamat z westchnieniem. – To bardzo ważne. Gdzie one są?

Nie opuszczała gniewnego spojrzenia przez dobrych trzydzieści sekund.

– Tędy – oznajmiła sztywno. – Są w naprawie.

Poszedł za nią do pomieszczeń na tyłach biblioteki, gdzie w jednym z kątów stał blat warsztatowy do naprawy książek. Ława przy nim była już mocno zużyta, drewno wypolerowane za sprawą niezliczonych godzin, jakie spędziło na nim bibliotekarskie siedzenie. Wszędzie wokół piętrzyły się stosy zniszczonych i starych ksiąg, przygotowanych do naprawy.

Adamat dostrzegł woluminy, które czytała Rozalia. Leżały schludnie ułożone na samym końcu. Detektyw usiadł na ławie, podniósł pierwszą książkę.

Kiedy stało się jasne, że tak naprawdę wszystko potrwa dłużej niż „tylko kilka minut”, bibliotekarka niechętnie zostawiła Adamata w spokoju. Pospiesznie przeglądał akapity, bo nawet przy jego doskonałej pamięci czytanie polegało na czymś więcej niż tylko przemykaniu wzrokiem po stronach. Dopiero kiedy do pokoju zaczęło wpadać światło dnia, a on był już przy piątej książce, poczuł się usatysfakcjonowany. Chwycił w ramiona trzy tomy i obudził SouSmitha.

– Idziemy zobaczyć się z Tamasem – oznajmił.

Archiwum Publiczne znajdowało się tylko dwadzieścia minut spacerem od Domu Szlachty. Adamat, idąc przez śródmieście, czuł się wręcz oszołomiony. Z głównych ulic uprzątnięto gruz, budynki uszkodzone trzęsieniem ziemi wyburzono, trwały przygotowania do odbudowy. Prasa podawała, że Szlachetni Wojownicy Pracy zatrudnili przy tym pięćdziesiąt tysięcy kobiet i mężczyzn.

Adamata natychmiast zaprowadzono do marszałka polnego. Kiedy znalazł się na najwyższym piętrze, został niemalże wrzucony do pokoju, w którym urzędował Tamas. Obok detektywa przepchnęła się młoda kobieta o ciemnych włosach, z baryłką prochowego maga na piersi. Usta miała zaciśnięte, twarz poczerwieniałą od krzyku. W środku było pełno ludzi, którzy sprawiali wrażenie, jakby chcieli być zupełnie gdzie indziej. Adamat rozpoznał dwóch doradców Tamasa – miejskiego podskarbiego i kanclerza. Dwóch mężczyzn i jakaś kobieta nosili oficerskie mundury Skrzydeł Adoma. Z boku, przy stole siedziało z pół tuzina adrańskich żołnierzy, od kapitana w górę.

Marszałek siedział za biurkiem, głowę wspierał na dłoniach. Uniósł wzrok na Adamata. Z jego miny można było wnioskować, że dopiero co na kogoś krzyczał.

– Ma pan dla mnie jakiś raport? – spytał zaskakująco spokojnie.

– Tak. – Adamat uniósł książki. – I nie tylko.

Tamas skinieniem głowy wskazał mu drzwi balkonowe.

– Proszę mi na chwilę wybaczyć – zwrócił się do oficerów.

Na zewnątrz świeciło słońce. Chłodny powiew sprawił, że Adamat pożałował, iż nie założył cieplejszej kurtki.

– Co pan dla mnie ma?

Adamat położył książki na stoliku.

– Obietnicę Kresimira.

– I?

– Właśnie wróciłem z bastionu Straży Górskiej na Południowej Turni. Rozmawiałem tam z Uprzywilejowanym Borbadorem, ostatnim ocalałym Uprzywilejowanym z królewskiej kamaryli Manhoucha.

– BYŁYM członkiem kamaryli – poprawił go Tamas. – Został relegowany. W innym wypadku leżałby już w nieoznakowanym grobie razem z pozostałymi.

– Za chwilę do tego dojdziemy – skrzywił się detektyw. – Kiedy wspomniałem o Obietnicy, Bo mnie wyśmiał. To stara legenda, przekazywana sobie przez członków kamaryli. Według niej Kresimir obiecał pierwszym królom Dziewięciu, że ich potomkowie będą rządzić wiecznie. A jeśli władanie ich rodów zostanie przerwane, powróci osobiście i dokona zemsty.

– Bajka do straszenia dzieci – podsumował Tamas.

– Bo powiedział to samo. Legenda stworzona przez królów, aby trzymać kamaryle w ryzach. Bali się, że gdy tylko odejdzie Kresimir, Uprzywilejowani zagarną władzę dla siebie.

– Nie wiem, jak ktoś mógłby w to wierzyć. Jacy ludzie z odrobiną wykształcenia mogli brać coś takiego na serio?

– Najwyraźniej starsi członkowie kamaryli królewskiej.

Tamas prychnął lekceważąco.

– Ale zacząłem się zastanawiać – podjął Adamat. – Bo dał do zrozumienia, że królowie mieli inne sposoby utrzymywania swoich kamaryli w ryzach. Coś, co mogło czynić Obietnicę Kresimira niepotrzebną.

Jego słowa wzbudziły zainteresowanie Tamasa.

– Proszę kontynuować.

Adamat podniósł jedną z książek. Odnalazł zaznaczoną przez siebie stronę i wręczył foliał Tamasowi. Kiedy marszałek zakończył lekturę, detektyw miał już dla niego ustęp z innej książki, a potem jeszcze jeden, z trzeciej.

Tamas oddał mu ostatnią książkę, twarz miał zasępioną.

– Przysięga – stwierdził.

– Pewnego rodzaju przymus. Nałożony na każdego królewskiego Uprzywilejowanego. Jeśli król zostaje zabity, Uprzywilejowani muszą go pomścić. Wraz z upływem czasu geas przybiera na sile, albo Uprzywilejowany dokona zemsty zgodnie z przysięgą, albo przysięga zabije Uprzywilejowanego. Geas przyjmuje formę demonicznego karbunkułu. Jest to noszony przez każdego Uprzywilejowanego duży klejnot, którego nie można zdjąć. Kiedy rozmawiałem z Bo, widziałem, że ciągle bawi się jakimś wisiorkiem. No i jeszcze to.

Przekartkował trzecią księgę do odpowiedniej strony i ponownie wręczył Tamasowi.

Marszałek czytał, marszcząc brwi w gniewnym grymasie. Kiedy skończył, zatrzasnął książkę i oddał Adamatowi.

– Przysięga jest na całe życie. Nic nie może jej przełamać, nawet wygnanie albo usunięcie z kamaryli.

– W rzeczy samej. Jeszcze jedno. – Adamat szybko zrelacjonował swoje spotkanie z Rozalią oraz wiadomość, z jaką posłała go do Bo. – Kiedy tylko usłyszał tę wiadomość, natychmiast popędził z powrotem do Straży. Kiedy poszedłem za nim dopytać, o co chodzi, nie chciał się ze mną widzieć. Godzinę potem zobaczyłem, jak wychodzi na Południową Turnię przez północną bramę.

– Północną bramę...? – zdziwił się Tamas.

– Górską bramę. Tamtędy pielgrzymi idą na szczyt Południowej Turni, do miejsca, gdzie Kresimir po raz pierwszy postawił stopę na zboczu świętej góry. To jedyny szlak.

Tamas oparł się o balustradę i uniósł twarz ku słońcu.

– Co pan o tym sądzi?

Adamat przemyślał sobie to wszystko dokładnie w czasie pięciodniowej podróży powrotnej.

– Jestem człowiekiem kierującym się rozsądkiem, sir. Człowiekiem nowoczesnym. Ostatnie słowa czarodziejów sprawiły, że przeszły mnie dreszcze, jednak sądzę, że nie ma czym się przejmować. Ta cała sprawa to jakieś bzdury. Od razu czuć to wszystko religią. Nie bez powodu pięćset lat temu kamaryle oddaliły się od Kościoła Kresimskiego.

– Zgadzam się – powiedział Tamas. – A ta sprawa z geas?

– Jest religia, ale są i czary. Potwierdziłem to w innych źródłach – odrzekł Adamat, wskazując stos ksiąg. – Te czary to sprawa śmiertelnie poważna.

– Wygląda na to, że mimo wszystko nie mogę oszczędzić Borbadora. – Przez twarz Tamasa przemknął grymas bólu, tak szybko, że Adamat nie był pewien, czy sobie tego nie wymyślił. Marszałek zmrużył oczy, mierząc go wzrokiem od góry do dołu.

– Wykonał pan świetną robotę – stwierdził, wyciągając rękę. – Dowiedział się pan nawet więcej, niż prosiłem.

– Przykro mi, że na nic to się zdało. – Adamat uścisnął podaną mu dłoń.

– Nie ma potrzeby się tym martwić. Lepiej wiedzieć, że to nic ważnego, niż NIE wiedzieć, że to coś istotnego. W sprawie honorarium proszę spotkać się z podskarbim. Zadbam, aby nie był skąpy. Życzę udanego dnia.

Taniel obudził się gwałtownie, z pistoletem w dłoni. Z trudem skupił spojrzenie na pochylającej się nad nim postaci.

– Śpiąc w ten sposób, odstrzelisz sobie stopę.

Taniel opadł na łóżko i opuścił pistolet na podłogę.

– Czego chcesz?

Tamas przysunął sobie jedyne krzesło i usiadł na nim, opierając buty na krawędzi łóżka.

– Nie tak rozmawia się z ojcem.

– A idź do otchłani.

Nastało kilka chwil ciszy, Taniel ledwie był w stanie myśleć. Ostatniej nocy starał się nie zażywać prochu. Wytrzymał aż do drugiej nad ranem, potem ruszył na poszukiwania swojej prochownicy. Ka-poel ją schowała, razem z tabakierą pełną prochu oraz wszystkimi zapasowymi ładunkami. Nawet pistolet był rozładowany. Dzika suka. Ledwie zdołał zasnąć.

– Vlora cię szukała.

– Nie obchodzi mnie to.

– Nie powiedziałem jej, gdzie jesteś.

– Nie obchodzi mnie to.

– Wrzuciłem diuka Nikslausa do Admorza.

Taniel otworzył oczy i usiadł. Ojciec właśnie czyścił sobie paznokcie. Wyglądał na zadowolonego z siebie.

– Sądzę, że zacząłem wojnę – oznajmił.

– Powinieneś odstrzelić mu łeb. Admorze jest dla niego za dobre.

Tamas odetchnął głęboko.

– Nie, kula jest dla niego za dobra. Chcę, żeby ten człowiek cierpiał. Chcę, żeby ten człowiek czuł poniżenie. Ale chcę, żeby to potrwało.

Taniel mruknął twierdząco.

– To było zaplanowane zagranie – powiedział Tamas.

– Co?

– To, że król Ipille wysłał Nikslausa. Chciał mnie rozwścieczyć. Chciał, żebym go pobił albo uśmiercił. Chciał mieć pretekst do wszczęcia wojny.

– I mu go dałeś. Od samego początku chciałeś na nich ruszyć.

– Myślałem. Przez kilka ostatnich miesięcy. Myślałem, że powinniśmy unikać tej wojny. Zwłaszcza po trzęsieniu ziemi. Musimy odbudować kraj, wyżywić ludność. Ale teraz już za późno.

– Damy im radę? – Tanielowi zaczęło rozjaśniać się w głowie. To nie było dobre. Łomotało w niej głośniej i mocniej niż w kuźni.

– Może – powiedział Tamas. – Kościół grozi, że opowie się przeciwko. Dokładniej przeciwko Adro. Nie spodobało im się, że wrzuciłem Nikslausa do Admorza. Ten nadęty Charlemund mówi, że postara się ich przekonać. Wierzę mu. Muszę mu wierzyć. Było nie było, najpierw był Adrańczykiem, a dopiero potem został arcybiskupem.

Taniel przerzucił nogi przez krawędź łóżka i jęknął. Bolało go całe ciało. Bolała go głowa. Jakikolwiek fart albo czar ocaliły mu życie na uniwersytecie, nie uchroniły go od konsekwencji upadku.

– Mam nowego kuchmistrza – powiedział nagle Tamas.

Taniel spojrzał na ojca uważnie. Dlaczego miałoby go to obchodzić? Bolało go całe ciało. Po prostu potrzebował prochu, a Pole ukryła gdzieś wszystkie zapasy.

– Twierdzi, że jest wcieleniem Adoma – kontynuował Tamas. – Powinienem kazać go zaaresztować, ale cholera, za dobrze gotuje. Plotka głosi, że przygotowuje jedzenie dla połowy regimentów. Nie wiem, jak to robi, ale ludzie go lubią. Zaraz mi się tutaj zacznie wojna, a szalony kucharz właśnie staje się najpopularniejszym człowiekiem w armii. I...

– Do rzeczy – powiedział Taniel.

– Jakiej rzeczy?

– Pleciesz trzy po trzy. A pleciesz, co ci ślina na język przyniesie, tylko wtedy, kiedy chcesz prosić mnie o coś, czego nie będę chciał zrobić.

Tamas ucichł. Taniel patrzył, jak ojciec zmaga się z sobą, emocje zaledwie cieniem przemykały po twarzy marszałka. Taniel był teraz po raz pierwszy sam na sam z ojcem od... zaraz, czterech lat? Zauważył, że Tamas nosi przy sobie pistolety, które przywiózł mu z Fatrasty. Sprawiały wrażenie regularnie używanych.

Marszałek odetchnął głęboko. Spojrzał w sufit.

– Chcę, żebyś zabił Bo.

– Co?!

Tamas wyjaśnił. Tłumaczył długo, podając mnóstwo szczegółów. Taniel prawie go nie słuchał. Było o jakimś detektywie i o jakiejś obietnicy. Z tonu

głosu ojca wynikało, że niezbyt chciał o tym wszystkim mówić. Nakłoniło go jedynie poczucie obowiązku.

– Dlaczego ja? – zapytał, kiedy marszałek zamilkł.

– Gdyby Sabon musiał umrzeć, oddałbym mu honor, zabijając go samemu. Czułbym się jak tchórz, gdybym musiał powierzyć takie zadanie komuś innemu.

– I uważasz, że potrafię zabić swojego najlepszego przyjaciela.

– Wiem, że Bo jest bardzo silny. Dam ci kogoś do pomocy.

– To nie o to mi chodzi. Wiem, że dam radę go zastrzelić. Przecież mogę podejść do niego bez wzbudzania podejrzeń, na taką odległość, by użyć pistoletu. Ale naprawdę sądzisz, że zdołam się przemóc, żeby to zrobić?

– Zdołasz?

Taniel spojrzał na swoje dłonie. Ostatnim razem widział Bo dwa lata temu, tego dnia, gdy wsiadał na statek do Fatrasty. Bo przyszedł go odprowadzić. Chociaż czymże był kolejny przyjaciel? Świat się teraz zmienił. Taniel zabił dziesiątki ludzi. Jego narzeczona poszła do łóżka z innym mężczyzną. Jego kraj nie miał już króla. Kto powiedział, że Bo pozostał wciąż taki sam?

Taniel zacisnął pięści. Jak on śmiał? Jak Tamas śmiał przychodzić tutaj i prosić go o coś takiego? Taniel był żołnierzem, ale był także synem Tamasa. Czy to w ogóle miało znaczenie?

– Nie zrobię tego na twoją prośbę – powiedział. – Nie, jeśli poprosisz mnie jak syna. Ale jeśli wydasz mi rozkaz jako prochowemu magowi, owszem, wtedy to zrobię.

Tamas spojrzał na niego twardo. To było wyzwanie i dobrze o tym wiedział. Nie reagował zbyt dobrze na wyzwania. Wstał.

– Kapitanie, chcę, żebyś zabił Uprzywilejowanego Borbadora ze Straży Górskiej Południowej Turni. Na dowód przynieś klejnot, który przy sobie nosi.

Taniel zamknął oczy.

– Tak jest, sir.

– Wyślę z tobą Julene.

Taniel gwałtownie otworzył oczy.

– Nie. Nie będę z nią pracował.

– Dlaczego nie?

– Jest niebezpieczna. Przez nią zginął jej partner. Niewiele brakowało, a też bym zginął.

– Powiedziała to samo o tobie.

– I jej bardziej wierzysz?

– Była uprzejma złożyć mi raport po tym, kiedy tak beztrosko pozwoliłeś odejść nieprzyjacielowi.

– Ta Uprzywilejowana wszystkich nas by pozabijała – powiedział Taniel.

– Wydałem rozkaz. – Tamas ruszył w stronę drzwi. – Naznaczony Tanielu, proszę wykonać polecenie. Potem będziesz potrzebował nieco czasu, by poradzić sobie ze swoimi... problemami osobistymi.

Wyszedł.

Problemami osobistymi? Taniel skrzywił się pogardliwie. Poczuł coś na ramieniu, spojrzał w dół. Z nosa niemal ciurkiem płynęła mu krew. Zaklął, rozejrzał się za jakimś ręcznikiem. Co mogło na to pomóc? O tak, trochę czarnego prochu...

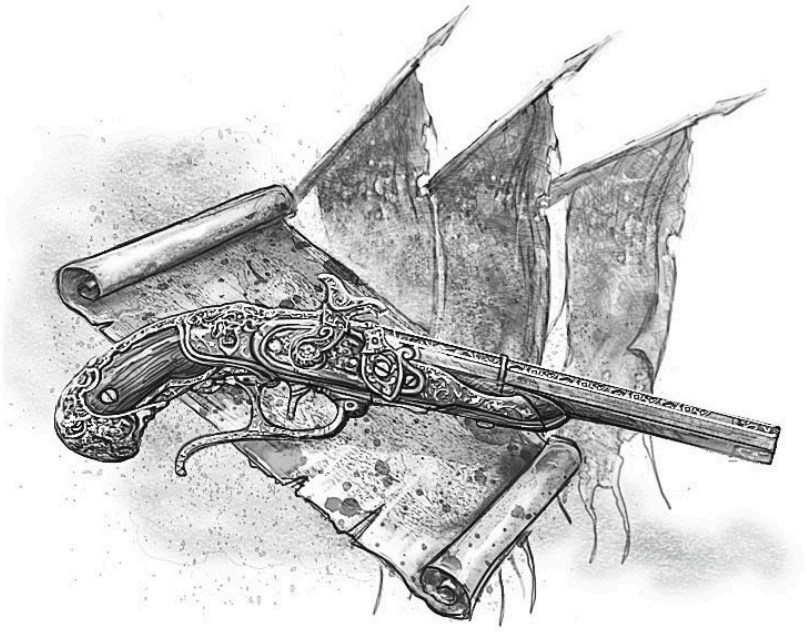

15
ROZDZIAŁ

W podziemiach Domu Szlachty, poniżej poziomu kanałów, znajdowało się pewne pomieszczenie, często używane za czasów Żelaznego Króla. Czary Uprzywilejowanych trzymały z daleka ciemność i stęchliznę, nie pozwalały przeciekać ścianom. I to długo po śmierci tych, którzy rzucili zaklęcia. Komnata miała pięćdziesiąt kroków szerokości, dziesięć wysokości. Białe ściany zasłonięte były gobelinami, które znawcy i kolekcjonerzy uważali za dawno stracone. Stały tam krzesła i stoły, sofy, na których można było przespać się wygodnie, skrzynki z konserwami oraz baryłki wody schowane za jedwabnymi zasłonami.

Nawet Manhouch nie miał pojęcia o tej kryjówce ojca. Zaledwie kilku najbliższych doradców Żelaznego Króla, w tym Tamas, wiedziało o istnieniu tego miejsca i znało doń drogę. Monarcha obsesyjnie bał się powstania ludu, jak również sztyletów własnych szpiegów. Kiedy stało się jasne, iż od wstąpienia na tron Manhoucha XII komnata w ogóle nie jest używana, Tamas uznał za stosowne wykorzystać ją na potrzeby spisku przeciwko królowi.

Po przewrocie rada współspiskowców przeniosła spotkania do mniej odludnego miejsca. Zbierali się teraz wysoko na trzeciej kondygnacji Domu Szlachty, tak jak przystało rządowi. Tamas jednak nadal korzystał z owej komnaty, bo tu mógł znaleźć spokój i samotność. Nawet Olem i Sabon nie wiedzieli o tym miejscu, a w razie potrzeby i tak mógł szybko wrócić na górę.

Tamas zasiadł na najwygodniejszym z krzeseł. Stopy w samych skarpetach oparł na podnóżku, na kolanach miał miskę zupy kabaczkowej – jedyne, co Mihali pozwolił mu po drodze zabrać z kuchni. W dłoni trzymał niewielką mapę Przesmyku Surkova. Drugą ręką delikatnie drapał łeb jednego ze swoich wilczarzy. W nagrodę za ten trud od czasu do czasu otrzymywał pełne uczucia liźnięcie.

W skupieniu studiował mapę. Minęły już trzy dni od przymusowej kąpieli diuka Nikslausa. Z Przesmyku Surkova – wąskiej doliny między górami, łączącej Adro z Kezem – w trzy dni można było dotrzeć do Adopestu, bez przystanków na sen i przy zmianie koni. Niecałą godzinę temu Tamas otrzymał wieści, że armia Kezu gromadzi się pod Budwiel, miastem po kezańskiej stronie Przesmyku.

Nikslaus i ta cała delegacja byli więc jedynie pretekstem, bowiem Ipille od dawna szykował się do wojny. Kez zamierzał dokonać inwazji. Jednak przebicie się przez Przesmyk Surkova będzie go kosztowało sto tysięcy ludzi. Cały górski korytarz naszpikowany był wojskiem oraz stanowiskami artylerii. Chyba że wybiorą inną drogę.

Złożył mapę i odstawił miskę z zupą na pobliski stół. Rechot odsunął się z cichym warknięciem.

– Cii – Tamas uspokoił psa. Wziął większą mapę, całego południowego Adro, i spojrzał na nią.

Południowa Turnia była jedyną przełęczą górską na tyle szeroką, aby Kez zdołał przeprowadzić nią całą armię, zanim skończy się lato. Czy spróbują tamtędy? Czy ich dowódcy uznają, że owa mniejsza gardziel, obsadzona przez mniej ludzi, to jednak lepszy cel niż Przesmyk Surkova? Zerknął na fragment widocznego na mapie Admorza, na jedyny admorski port Kezu, który nie leżał w delcie rzeki. Mogą spróbować przedostać się wodą, ale Kez praktycznie nie miał floty wojennej na Admorzu. Tamas westchnął, składając mapę, i usiadł z powrotem na krześle. Spojrzał na Hruscha. Pies odwzajemnił spojrzenie, przechylając łeb. Wystawił jęzor i dyszał, przez co zdawał się uśmiechać szeroko.

Co mógł myśleć Ipille? Armia Kezu liczniejsza była od armii Adro w stosunku pięć do jednego, jednak Adro miało wiele przewag: przemysł, lepszych dowódców, Straż Górską. Adro utrzymywało też wszystkie wąskie przełęcze.

– Powinienem ściągnąć tutaj na dół Olema – powiedział Tamas psu. – Lepiej mi się myśli, kiedy mam kogoś, z kim mogę się tymi przemyśleniami podzielić.

Ale wtedy cuchnęłoby tutaj papierosami.

Marszałek pochylił się, by zjeść łyżkę zupy Mihalego. Nigdy dotąd nie próbował czegoś podobnego, miała mleczno-słodki smak z lekką nutą brązowego cukru.

Nagle Tamas usłyszał kliknięcie. Rozległo się przy przeciwległej ścianie, nieopodal drzwi. W korytarzach prowadzących do tajnej komnaty umieszczono całą serię fałszywych ścian tworzących ślepe zaułki, zakrętów wiodących donikąd oraz zapadni. Stanowczo było tego aż nadto, by skonfundować i zniechęcić nawet kogoś zdeterminowanego. Tamas, zaskoczony, wzuł buty i odwrócił się w stronę drzwi, poprawiając koszulę. Gestem uspokoił skamlącego Hruscha.

Na widok istoty, która przestąpiła próg izby, marszałkowi serce zabiło szybciej. Był to mężczyzna, przynajmniej kiedyś. Odziany w długą, ciemną

kurtkę oraz wysoki cylinder, jednak strój nie maskował straszliwych deformacji ciała przybysza. Miał garb oraz nienaturalnie potężne ramiona i nogi. Gładko ogoloną twarz, niemal przystojną, szpeciły przerośnięte, zniekształcone brwi.

– Stróż – powiedział Tamas i sam był zaskoczony, jak spokojnie to zabrzmiało. Uprzywilejowani z Kezu często używali Stróżów jako chłopców na posyłki, jednak kezańska kamaryla stworzyła ich przed wiekami tylko w jednym celu: aby zabijali prochowych magów.

Tamas nie miał przy sobie pistoletu czy karabinu. Została mu szpada, ale wiedział, że przeciwko Stróżowi klinga nie zda się na wiele. Okazał się głupcem, idąc gdziekolwiek bez ochrony, nawet jeśli udawał się do najbezpieczniejszego miejsca w całym Adro. Sprawdził kieszenie. Żadnych ładunków. Nie miał nawet swojego humidoru, w którym trzymał fałszywe, wypełnione prochem cygara. Został w kurtce. Po drugiej stronie pokoju, na wieszaku, obok którego stał teraz Stróż.

Intruz rozejrzał się po komnacie, najwyraźniej upewniając, że zastał Tamasa samego, a potem zdjął kapelusz i zawiesił na haku. Chwilę później obok kapelusza zawisły kurtka i koszula, a Stróż został jedynie w spodniach. Z szerokim uśmiechem zdjął buty.

Mięśnie pod jego skórą poruszały się własnym rytmem, napinając się i rozluźniając, od czasu do czasu kurcząc spazmatycznie. Miejscami zwierały się w twarde kule, a gdzie indziej wydawały się ledwie obecne. Skóra ciasno opinała kości, potem wszystko przemieszczało się na nowo. Zupełnie jakby patrzyło się na kłębowisko węży ukryte w jedwabnym worku.

– Mag. – Głos miał głęboki, wibrujący.

– Cóż za cholernie zarozumiały uśmieszek – stwierdził Tamas. Wziął pendent ze szpadą z oparcia krzesła i dobył broni. Obok niego Rechot obnażył zęby, warcząc groźnie. Hrusch wycofał się za jakąś sofę, powarkując na Stróża z bezpiecznej odległości.

– Nieczęsto dostaję prochowego maga – powiedział Stróż. – W dodatku maga o takiej reputacji. Zazwyczaj muszę zjadać jakieś męty, wygrzebane

przez czarodziejów z kezańskiej prowincji.

ZJADAĆ? Tamas poczuł niejakie mdłości.

Stróż się uśmiechnął. Wyciągnął ramiona tak, jak gdyby chciał objąć marszałka poprzez pokój, zniekształcone kończyny miał tak długie, że zdołałby nimi owinąć lufę moździerza.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytał Tamas. Odsunął się od krzesła, szpadę nadstawił z boku. Rechot stanął przed swym panem, a przez umysł marszałka przemknęła wizja Stróża rozrywającego jego psy na strzępy. – Rechot, wróć.

Wilczarz cofnął się niechętnie, omijając Tamasa i Stróża szerokim łukiem.

Stróż potrząsnął głową, nadal uśmiechał się szeroko.

– Nie będę ryzykował, że przeżyjesz. – Rozprostował palce jednej z ogromnych, zdeformowanych dłoni. – Ale pozwolę ci umrzeć ze świadomością, że każdy z twoich cennych magów będzie ścigany i zostanie pożarty, zarówno jego ciało, jak i dusza.

Pochylił głowę jak byk i zaszarżował. Dzieliło ich trzydzieści kroków, lecz garbus przebył ów dystans w mgnieniu oka. Zgarnął przy okazji podnóżek i cisnął nim w Tamasa, jak gdyby to była zabawka.

Tamas uchylił się przed pociskiem i wykonał unik z wypadem. Celował ostrzem w samo serce, uderzył mocno. Wtedy mięsista pięść walnęła go w bok głowy, posyłając na drugą stronę pokoju.

Stróż nie dał Tamasowi szansy dojść do siebie. W ułamku sekundy zmienił kierunek i rzucił się na marszałka, ignorując ostrze wymierzone w swoją pierś. Tamas pchnął ze wszystkich sił i rzucił się w bok. Przetoczył się przez ramię i stanął na nogi.

Z dwóch dziur w torsie wroga sączyła się krew. Tamas z pewnością trafił w płuco i w żołądek, ale stwór tylko się uśmiechał, patrząc na niego wygłodniałym wzrokiem, nie zwracając uwagi na rany. Serca Stróżów chronione były skorupą z kości, wyrosłych za sprawą magii, a czary podtrzymywały pracę pozostałych organów kreatury nawet wtedy, kiedy już dawno powinny być martwe.

Stróż zaszarżował ponownie. Tamas zatańczył w bok, by zadać cięcie, ale stwór wyciągnął ku niemu wielgachną dłoń. Marszałek zanurkował pod ramieniem przeciwnika i uderzył od dołu, aż po rękojeść wbijając szpadę w pachę Stróża.

Ten zawył i szarpnął się w tył, wyrywając Tamasowi ostrze z rąk. W uszach marszałka łomotał puls, trzęsły mu się dłonie.

Stróż miotał się jeszcze kilka chwil, a potem nagle znieruchomiał. Spojrzenie ocienione przerośniętymi brwiami było posępne, małe, niebieskie oczka nabiegły krwią. Prawe ramię zwisało mu luźno, a jego mięśnie prawie zakrywały rękojeść. Za to ostrze szpady wystawało z piersi. Stróż spojrzał na nie z pogardą. Sięgnął prawą ręką i próbował wyciągnąć broń. Ale tkwiła pod takim kątem, że nie dał rady.

– Coś ci chyba zalega na piersi – stwierdził Tamas słabo. Paliły go płuca, bolały mięśnie. Spoglądał na kurtkę po drugiej stronie pokoju. Niemal czuł prochowe ładunki spoczywające w kieszeni.

Stróż skoczył ku niemu nagle, niczym ryba wyskakująca z fal rzeki. Tamas spróbował wywinąć się z zasięgu napastnika, poczuł jednak, że palce Stróża chwytają go za gors koszuli. Garbus objął go tak, że szyja Tamasa znalazła się ledwie na odległość palca od ostrza szpady wystającej z przebitej piersi Stróża. Marszałek poczuł na policzku gorący, pełen wściekłości oddech, a także odór żółci, którym zionął przeciwnik.

Uderzył Stróża po oczach. Ten zaryczał jak raniony niedźwiedź, jednym ramieniem siłując się z przeciwnikiem. Przeciągnął pierś marszałka po jego własnym ostrzu, a następnie cisnął nim w drugi kraniec pokoju.

Tamas chwycił się sofy i podciągnął. Zobaczył, że wieszak na ubrania jest tuż obok, i ruszył po humidor.

– Rechot! Zabij!

Wilczarz skoczył w stronę Stróża. Dziesięć kamieni wściekłych kłów i muskułów. Zaatakował od strony bezwładnej ręki. I rzucił się wprost do gardła garbusa. Jednak stwór zdołał się wywinąć, kły psa zatonęły mu w ramieniu.

Tamas zrzucił ubranie Stróża z wieszaka, a potem sięgnął do kieszeni własnej kurtki. Otworzył szybko pudełko. Sześć starannie zwiniętych cygar tylko na niego czekało. Odgryzł koniuszek jednego z nich, wsypując do ust ukrytą wewnątrz porcję prochu. Siarka zapiekła go goryczą na języku. W głowie mu się zakręciło, jak zawsze, gdy zbyt szybko zażył taką ilość prochu. Zachwiał się.

Nagle rozległ się przenikliwy skowyt. Rechot uderzył w podłogę. Coś było nie tak z jego tylnymi łapami. Próbował odczołgać się od Stróża, skamląc głośno. Serce Tamasa płakało razem z psem. Coś w marszałku pękło. Prochowy trans ogarnął go bez reszty.

Kilkoma długimi krokami przemierzył pokój. Stróż zamachnął się zdrowym ramieniem. Tamas pochwycił ogromną pięść. Odpalił fałszywe cygaro, kierując moc ładunku na rękę przeciwnika. Kość trzasnęła głośno.

Marszałek nie wypuścił bezwładnego już ramienia. Przekręcił je, zmuszając Stróża, by ten stanął na palcach. Garbus wybałuszył oczy, rozwarł usta w niemym krzyku. Jedną dłonią Tamas chwycił rękojeść szpady i szarpnął. Raz po raz wbijał klingę w ciało wroga. Czuł, jak ostrze drapie o kość. Wreszcie wyrwał szpadę z rany i odrzucił. Ze szczękiem upadła na kamienną posadzkę.

Stróż wyszczerzył zęby w szaleńczym uśmiechu i głową do przodu runął na Tamasa. Nie poddawał się nawet w takiej agonii. Marszałek oburącz pochwycił wielką głowę. Siła płynąca z prochowego transu pozwoliła mu podnieść garbusa. Przekręcił mu łeb, walnął o marmurową podłogę. Usłyszał, jak kamień pęka. Podpalił kolejne cygaro w kieszeni i wystrzelił energię w mózg Stróża.

Stwór legł martwy.

Tamas odkuśtykał na bok. W głowie mu się kręciło. Był mokry od krwi, ale nawet nie wiedział, ile sam stracił. Rozcięcia na piersi wymagały szwów, gdzieś daleko poza prochowym transem czuł, że palą go jak cholera. Bolały nadgarstki i ramiona, stare kości nie były przyzwyczajone do takiej mocy, jaką uwolnił. Odetchnął głęboko i jego wzrok spoczął na Rechocie.

Stary wilczarz leżał na krawędzi dywanu. Hrusch opuścił kryjówkę za otomaną i zbliżył się do towarzysza, skamlając cicho, szturchając go nosem. Rechot miał wykręcony grzbiet, tylne łapy sterczały pod dziwnym kątem. Otworzył ślepia i spojrzał na Tamasa żałośnie.

– Dobrze sobie poradziłeś, piesku – łagodnie powiedział marszałek. Ruszył w stronę drzwi, ale się zatrzymał, gdy Rechot próbował za nim pójść, ciągnąc tylne łapy i skamlając głośno. Tamas poczuł, że pieką go oczy.

Minęło sporo czasu, zanim Tamas dotarł na górne kondygnacje Domu Szlachty z Rechotem na rękach. Znalazł doktora Petrika na pierwszym piętrze, grającego w karty z kilkoma oficerami. Gapili się na niego osłupiali, gdy stanął w progu cały we krwi, z psem na rękach.

Jakiś czas później Petrik badał Rechota, leżącego na sofie, a w drzwiach cisnęło się kilkunastu żołnierzy, starając się zajrzeć do wnętrza pomieszczenia. Kilka głośnych przekleństw sprawiło, że rozstąpili się na boki, pozwalając przejść Olemowi. Na widok Tamasa ordynans zastygł bez ruchu. Twarz mu poczerwieniała, oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

– Sir – wykrztusił. Wyciągnął w stronę Tamasa drżące dłonie, jak gdyby chciał upewnić się, że marszałek wciąż żyje. Nie ośmielił się spojrzeć dowódcy w oczy. – Zawiodłem – powiedział.

– To nie twoja wina – uspokoił go Tamas. – Nie mogłeś o niczym wiedzieć. Wymknąłem się sam.

– Powinienem tam być. – Spojrzenie Olema padło na Rechota. – Przykro mi, panie. Na Kresimira, ja...

– Nie zawiodłeś – twardo stwierdził Tamas. – Nawet cię tam nie było. Teraz jednak chcę, żebyś trzymał się blisko. Wyślij posłańców. Wszyscy członkowie rady mają się tutaj zjawić w przeciągu godziny. Gówno mnie obchodzi, czy w tym celu będą musieli wyhodować sobie skrzydła. Idź. Chcę, żeby spotkali się ze mną w komnacie pod Domem Szlachty.

Petrik podszedł do marszałka.

– Nic nie mogę dla niego zrobić. Nie zdołałby mu teraz pomóc nawet utalentowany weterynarz.

– Rozumiem. Dziękuję, doktorze.

Tamas wziął od Olema pistolet i podszedł do psa. Delikatnie przesunął palcami między oczyma wilczarza.

– Już dobrze, pieseczku. Spokojnie.

Kiedy zabrzmiał huk wystrzału, Tamas poczuł ból, jakby to jego przeszyła kula. Kilka minut klęczał przy Rechocie, ignorując strażników zaalarmowanych hałasem.

Potem wstał i zwrócił się do najbliższego żołnierza:

– Znajdź mi młotek i gwoździe. Szybko.

Tamas czekał w komnacie pod Domem Szlachty, wpatrując się w zmasakrowane ciało Stróża. Te istoty były silne i trudno je było zabić, ale Kez musiał wiedzieć, że Tamas zdołał sobie z jedną z nich poradzić. Tylko jego pech sprawił, że nie miał przy sobie prochu, gdy został zaatakowany. Jaki był cel napaści? Zasianie niepokoju wśród najbliższych współpracowników Tamasa?

Jeżeli o to im chodziło, osiągnęli swój cel.

Członkowie rady zjawiali się jeden po drugim, on zaś prowadził ich do krzeseł ustawionych z boku komnaty, ignorując protesty oraz pytania, póki nie zjawili się wszyscy. Stanął przed nimi, założywszy ramiona na piersi, wciąż w koszuli zachlapanej krwią. Stróż wisiał na ścianie przybity za przeguby, a szkarłatne krople spływały z jego ciała na kamienie posadzki.

– Jedno z was mnie zdradziło – oznajmił Tamas. – DOWIEM SIĘ kto.

I zostawił ich, by mogli kontemplować trupa Stróża.

Adamat dostrzegł cień padający na ramię i poczuł, że ktoś za nim stoi. Dotknął laski opartej o kolano, odstawił herbatę na żelazny stolik. Przez ułamek chwili przyglądał się cieniowi, przypominając sobie dźwięk zbliżających się kroków, po czym odsunął dłoń od laski.

– Witam, marszałku polny – powiedział, nie unosząc wzroku.

Tamas rzucił gazetę obok filiżanki Adamata i zajął miejsce naprzeciwko. Uniósł dłoń, aby wezwać kelnera.

– Jak pan mnie rozpoznał?

– Wojskowe buty, wojskowy krok – oznajmił Adamat, wypijając łyk herbaty. – Od dziesięciu lat nie pracowałem dla żadnego innego wojskowego.

– Mógłbym wysłać kogoś, żeby pana odnalazł.

Adamat wzruszył ramionami.

– Każda osoba stawia kroki w swoim szczególnym rytmie. Pański jest aż nadto wyraźny.

– Fascynujące. Jak sądzę, Ondraus dał panu dość pieniędzy, aby pomóc w spłaceniu długów?

Adamat nie zdziwił się, że Tamas wiedział o jego problemach. Obrzucił marszałka uważnym spojrzeniem. Zauważył siniaki i kilka zadrapań na twarzy. Tamas wyglądał jak po bójce na pięści. Zdawał się zmęczony, wyczerpany wręcz.

– W rzeczy samej – odparł Adamat. *Chociaż nie dość* – pomyślał. Gdyby do końca miesiąca dostał jeszcze tak z tuzin dobrych zleceń, może jakoś spłaciłby lorda Vetasa. – Doceniam pańską szczodrość.

– Uczciwie pan zapracował. – Tamas mówił półgłosem. Przechylił głowę, by móc przyglądać się ludziom idącym ulicą. Po kilku chwilach milczenia odwrócił się i wyjął z kurtki jakąś kopertę. Położył ją na stole, na gazecie.

– Mam dla pana następne zlecenie – oświadczył.

Adamat jak mógł najlepiej postarał się ukryć podniecenie.

– Mam nadzieję, że tym razem nie chodzi o ostatnie słowa jakiegoś umierającego czarodzieja?

– Jeszcze nie. – Tamas podziękował kelnerowi za herbatę. Wypił ją duszkiem. Zdawał się nie zauważać, że była gorąca. Kiedy skończył, wyciągnął z kieszeni garść monet. Sapnął z odrazą na widok tego, co było na nich wybite, a potem rzucił jedną na stół.

– Niech pan się dowie, kto próbuje mnie zabić.

Wstał i odszedł. Adamat przyglądał się monecie. Na awersie widniała podobizna Tamasa.

Adamat wziął kopertę, stukając nią o blat stolika. Zerknął na gazetę. „Dziennik Adopestu”. ZAMACH NA ŻYCIE MARSZAŁKA POLNEGO TAMASA.

Adamat spojrzał na kopertę. Potrzebował pracy. Jednak to zlecenie było niebezpieczne. Lord Vetas zyska powody, aby wrócić i szantażem wyciągać informacje na temat Tamasa. Do tego Adamatowi i jego rodzinie mogło grozić niebezpieczeństwo ze strony zdrajcy. Chciał dać znać Faye, aby już wracała do Adopestu. Jednak teraz tego nie zrobi... Jeszcze nie.

Otworzył kopertę. W środku był czek na dziesięć tysięcy krana. Na blat wypadł też mały, złożony kawałek papieru. Chwycił świstek, nim zdmuchnął go wiatr.

Jedynie sześć osób poza mną wiedziało, gdzie znajduje się komnata, w której dokonano zamachu na moje życie. Potem następowała lista imion członków rady Tamasa. Adamat otarł pot z czoła, ponownie odczytując te imiona i zastanawiając się, czy dziesięć tysięcy krana to aby nie za mało. Pod koniec notatki znajdowały się tylko dwa słowa: *Pozyskać ochronę*.

Adamat wsunął czek i notatkę do kieszeni, a potem uznał, że chyba nieco za wcześnie zwolnił SouSmitha.

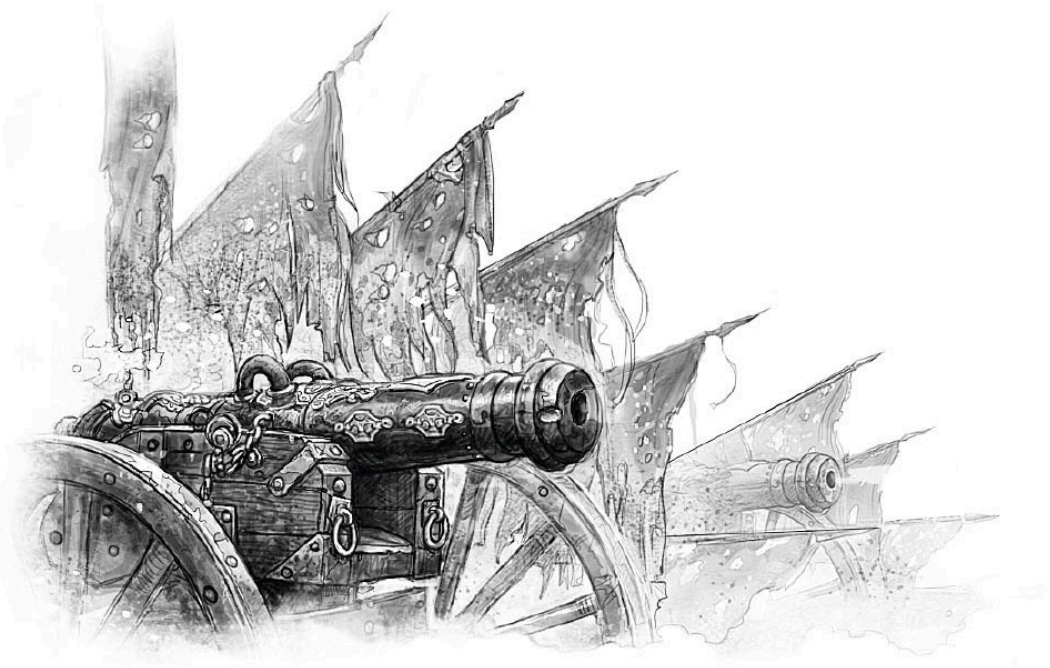

16
ROZDZIAŁ

Dowiedzieliśmy się, kim jest ten Mihali, sir.

Tamas uniósł wzrok znad biurka. Choć raz wokół panował spokój. Żadnego brygadiera Skrzydeł nie było w okolicy. Olem był pierwszą osobą, jaką marszałek widział tego ranka.

– Mihali?

Olem przerwał, żeby zapalić papierosa.

– Nowy kuchmistrz.

Tamas przypomniał sobie o misce zupy kabaczkowej stojącej na rogu biurka. Niestety, w naczyniu świeciło dno. Ta potrawa uzależniała jak czarny proch.

– Tak... Mihali – powiedział Tamas. – Długo ci to zajęło.

– Dużo się działo w tym tygodniu.

– Niech będzie.

– Mihali jest na-baronem Moaki – oznajmił Olem. – Bardziej znany jest pod swoim zawodowym tytułem lorda Złotych Kuchmistrzów.

– A co to oznacza?

– Złoci Kuchmistrzowie to instytut kulinarny. Najlepszy w Dziewięciu. Absolwenci ich szkół są zatrudniani jako kuchmistrzowie przez najbogatsze rody czterech kontynentów. Gotują dla samych królów.

– A ich lord?

– To człowiek, którego uznają za najlepszego w swym pokoleniu.

– I on jest teraz w naszej kuchni, gotuje posiłek dla trzech regimentów?

– Właśnie tak, sir.

– Dlaczego? – zdziwił się Tamas.

– Wygląda na to, że się ukrywa.

Marszałek patrzył na Olema zdumiony.

– Ukrywa?

– Niedawno uciekł z Zakładu dla Obłąkanych Hassenbur.

Tamas odchylił się na krześle z uśmiechem.

– Co w tym zabawnego, sir? – nie zrozumiał Olem.

Marszałek przygryzł wnętrze policzka.

– Czy mówił komuś, że jest ponownym wcieleniem boga Adoma?

– Tak jest, sir – potwierdził ordynans. – Właśnie dlatego zamknięty był w szpitalu.

– To wiele wyjaśnia – uznał Tamas. Zerknął na papiery na biurku. Postulaty Adopestańskiego Towarzystwa Kynologicznego. Rozporządzenia dla związku zawodowego Ricarda Timblara oraz propozycja opodatkowania Kościoła Kresimskiego. Potrząsnął głową. Nic, czym chciałby się teraz zajmować.

– Chodźmy pogawędzić z naszym kuchmistrzem, dobrze?

Olem ruszył za nim na korytarz.

– Uważa pan to za rozsądne, sir?

– Czy on jest niebezpieczny? – zapytał Tamas.

– Z tego, co mogę stwierdzić, to nie. Ludzie go uwielbiają. Jeszcze nikt im tak nie gotował. Przy tym, co robi, wszystkie wojskowe racje smakują jak łajno.

– A co on gotuje? Zupę kabaczkową?

Olem roześmiał się głośno.

– Pamięta pan, co dostał wczoraj na obiad?

– Oczywiście, że pamiętam – odparł Tamas. – Cholerny posiłek z dziewięciu dań. Kandyzowany węgorz, nadziewana koszatka, duszona wołowina, sałatka tak wielka, że wół by się najadł... Wcześniej tak dobrze jadłem tylko raz i to było na jednym z przyjęć Manhoucha.

– Panie, to była normalna porcja – uświadomił marszałka Olem i wpadł mu na plecy, kiedy ten stanął jak wryty.

– To znaczy, że wszyscy tak dobrze jedzą?!

– Tak jest, sir.

– Ty też?

– Tak jest, sir.

– Cała cholerna brygada?!

– Tak jest, sir.

– To musiało pochłonąć cały roczny budżet żywnościowy! – Tamas ruszył, czując zarazem, że mimowolnie przyspiesza kroku. – Ondraus zesra się ze złości.

– Wręcz przeciwnie, panie. Pytałem już sekretarza. Wygląda na to, że nawet nie tknięto podstawowego budżetu.

– To jak on płaci za całe jedzenie?!

Olem wzruszył ramionami.

Dom Szlachty obsługiwała jedna kuchnia. Mieściła się w suterenie, a okno znajdujące się u szczytu jednej ze ścian zapewniało światło w ciągu dnia. Pomieszczenie przy tym było tak długie, jak Dom szeroki. Po jednej stronie ciągnął się też szereg palenisk zaopatrzonych w przewody kominowe, znikające w sklepieniu. Dość tu było miejsca, aby przygotować posiłek dla tysięcy sekretarzy i szlachciców przebywających zazwyczaj

w budynku. Na środku pomieszczenia stały szerokie, niskie stoły służące do przygotowywania potraw oraz szykowania składników, a po drugiej stronie były liczne szafki i kredensy, pełne przyborów do odmierzania, przypraw oraz wszelkich innych ingrediencji. Z sufitu zwisały kiełbasy, zioła, warzywa i inne rozmaitości.

Gdy tylko przekroczyli próg, Tamas otarł czoło chusteczką. Skwar o mało nie wygonił go z powrotem. Marszałek wytrzymał jednak, po części skuszony niezliczoną ilością aromatów: kakao i cynamonu, chlebów, mięs. Do ust napłynęła mu ślina.

– Wszystko w porządku, panie? – zapytał Olem.

Tamas rzucił mu wymowne spojrzenie.

W pomieszczeniu roiło się od kuchcików. Wszyscy nosili różne odmiany tego samego stroju: biały fartuch, czarne spodnie, a na głowie jakaś czapka. Wydawało się, że niektórych stać było na ubranie dobrej jakości, inni zaś wyglądali, jak gdyby znaleźli swój strój na ulicy. Tamas zauważył jednak, że nieważne, jak sfatygowane, każde ubranie było czyste. Dostrzegł coś jeszcze: wszyscy pomocnicy kucharza okazali się pomocnicami. Kobiety były w różnym wieku i różnej urody, wszystkie pracowały jednak w ogromnym skupieniu. Żadna z nich nie zwróciła uwagi na gości.

Kuchmistrz krążył wśród swych pomocnic. Tamas natychmiast rozpoznał mężczyznę, który zjawił się w sztabie w dzień trzęsienia ziemi. Mihali zatrzymał się, by powiedzieć coś jednej z pomocnic, a potem natychmiast przeszedł do kolejnej, dodając do dania odrobinę przypraw, łagodnie przytrzymał rękę kolejnej, nim wsypała do ciasta za dużo mąki. Tańczył między kobietami ze zręcznością liniowego dowódcy, rozkazując, zmieniając przepisy, komponując smaki, i wydawał się mieć oko na wszystko naraz.

Dostrzegł Tamasa i uśmiechnął się promiennie. Ruszył w stronę drzwi, tylko po to, aby zatrzymać się tam przy blacie z mięsami i pomóc zwalistej kobiecie poporcjować mięso. Z katowską precyzją odrąbał tuzin żeberek cielęcych i oddał pomocnicy tasak. Szepnął jej coś pokrzepiającego i już znów szedł do Tamasa.

– Dzień dobry, marszałku – powiedział. – Te dwa tygodnie, które minęły od naszego spotkania, były bardzo pracowite.

Olem spojrzał na Tamasa zdziwiony.

– Powiem panu, że mógłbym pracować dwa razy szybciej, gdybym nie musiał wyszkolić całego nowego zespołu kuchcików. – Mihali zdjął czapkę, osuszył spocone czoło rękawem i wytarł dłonie w fartuch. Spochmurniał. – Obawiam się, że obiad będzie spóźniony o kilka minut.

Tamas rozglądał się po kuchni. Tyle się tam działo, że nie sposób było stwierdzić, co dokładnie przyrządzano. Tamas zszedł tu gotów zadawać trudne pytania. Chciał dotrzeć do sedna tej całej sprawy z szalonym kuchmistrzem. Jednak teraz słowa zamarły mu na ustach.

– Wątpię, aby ktokolwiek się poskarżył – stwierdził. Nagle zaburczało mu w brzuchu. – Co będzie na obiad?

– Smażona salamandra z curry i lekki placek z warzywami – poinformował go Mihali. – Na dzisiejszą kolację mamy glazurowaną wołowinę w winie i sądzę, że podam do niej wino zaprawione korzeniami. Ale to tylko główne dania. Będzie jeszcze mnóstwo innych rzeczy do wyboru.

– Dla wszystkich w Domu?

– Oczywiście. – Mihali spoglądał z absolutnym zdziwieniem w szeroko otwartych oczach, jakby nie spodziewał się równie głupich pytań. – Czy pan uważa, że jakiś sekretarz zasługuje na gorszy posiłek niż marszałek polny, albo żołnierz na coś gorszego od księgowego?

– Proszę o wybaczenie – odparł Tamas. Wymienił spojrzenia z Olemem, starając się sobie przypomnieć, po co tu właściwie przyszedł.

– Proszę za mną, marszałku. – Mihali oddalił się, nie czekając na odpowiedź. Kiedy Tamas go dogonił, kuchmistrz regulował właśnie temperaturę pod kotłem z zupą. Zanurzył palec w wywarze, oblizał, po czym z kieszeni fartucha wyciągnął nóż oraz ząbek czosnku i zgrabnie wkroił do zupy odpowiednią ilość przyprawy.

– Słyszałem o zamachu na pańskie życie – zagaił.

Tamas zatrzymał się. Dotarło do niego, że z chwilą gdy wszedł do kuchni, ustały ból ran i pieczenie szwów na piersi. Były stłumione i odległe, jak w czasie prochowego transu.

– Jestem przeciwny temu, co czarodzieje robią Stróżom. – W tonie Mihalego pojawiła się nuta smutku. – To jest wbrew naturze. Cieszę się, że pan przeżył.

– Dziękuję – powoli odpowiedział Tamas.

Coraz mniej podejrzewał kuchmistrza o szpiegostwo. Jego reputacja oraz umiejętności nie mogły być sfingowane.

– Mihali, przyszedłem, żeby zapytać pana o zakład dla obłąkanych.

Kuchmistrz zastygł bez ruchu, z widelcem pełnym placka z warzywami w połowie drogi do ust. Szybko odgryzł kawałek.

– Więcej pieprzu – polecił pomocnicy. – I następnym razem proszę dodać jeszcze z tuzin ziemniaków. – Pospieszył do następnego stanowiska, Tamas chcąc nie chcąc ruszył za nim.

– Owszem, uciekłem z Hassenbur – przyznał Mihali, kiedy marszałek go dogonił. – To było paskudne miejsce.

– W jaki sposób pan uciekł?

Dotarli do części kuchni, w której nie było żadnych pomocnic. Tamas miał wrażenie, że cały ten żar, duchota i hałas zostały za jakąś grubą zasłoną. Zerknął przez ramię, by się upewnić, że wciąż są w tej samej sali. Za nim w dalszym ciągu trwała krzątanina.

– Mogłem przebywać w kuchni, jeśli akurat mnie nie leczyli. – Mihali wzdrygnął się na to wspomnienie. – I chociaż mówili mi, że gotuję dla zakładu, to szybko odkryłem, że posiłki wysyłają do pobliskich wiejskich rezydencji szlachty, i to za niemałe pieniądze. Zapiekłem sam siebie w cieście i kazałem kuchcikom wysłać się do najbliższej posiadłości.

– Pan żartuje – odezwał się Olem. Trzymał w ustach niezapalonego papierosa i co chwilę zerkał w stronę pieca.

Mihali wzruszył ramionami.

– To było bardzo duże ciasto.

Tamas czekał, aż kuchmistrz powie jeszcze coś, może zdradzi, jak naprawdę uciekł, jednak grubas milczał. W tym rejonie kuchni, zajmującym niemal połowę całej sali, znajdowało się tyle samo garnków i płonących palenisk co w drugiej części, ale kiedy Mihali przechodził od potrawy do potrawy, jasnym stawało się, że tutaj sam się wszystkim zajmuje. Zdjął z haka ogromny gar. Zdawało się, że naczynie waży tyle co Tamas, jednak Mihali z łatwością postawił je na palenisku. Otworzył piec, sprawdził wysokość płomieni, a potem przeszedł do rożna w kącie.

Tamas cały czas podążał za kuchmistrzem, zatrzymał się dopiero obok gara na palenisku. Z naczynia buchnęła para. Marszałek zerknął do środka. Kocioł wypełniał gęsty gulasz z ziemniakami, marchwią, kukurydzą i wołowiną.

– Czy aby przed chwilą nie był całkiem pusty? – Tamas zapytał Olema po cichu.

Olem zmarszczył brwi.

– Był.

Obaj rozejrzeli się wokół, ale w tej części kuchni wszystkie garnki były pełne gotującego się jedzenia. Tamas poczuł się teraz jakoś mniej głodny, a bardziej zaniepokojony. Mihali w dalszym ciągu stał przy rożnie, gdzie piekł się cały połeć wołowiny. Kuchmistrz uniósł niewielką miseczkę i zaczął polewać mięso jakimś sosem. Marszałek znowu poczuł, że w brzuchu mu burczy, a niepokój rozwiał się wraz z pojawieniem się nowych woni.

– Mihali, czy mówił pan innym, że jest odrodzonym bogiem Adomem? – Tamas wypatrywał w twarzy kuchmistrza jakichkolwiek oznak szaleństwa. Bez dwóch zdań ten człowiek był absolutnym mistrzem patelni. Marszałek słyszał kiedyś, że każdy geniusz jest zarazem szaleńcem. Próbował przypomnieć sobie, czego uczył się na lekcjach religii w dzieciństwie. Adom był świętym patronem Adro. Kościół nazywał go bratem Kresimira, jednak nie bogiem.

Mihali dźgnął wołowinę czubkiem noża i patrzył, jak na powierzchni mięsa pojawiają się bąbelki tłuszczu, który ze skwierczeniem kapał na

węgle.

– Moi krewni zamknęli mnie w zakładzie – powiedział cicho Mihali. – Bracia i kuzyni. Jestem bękartem. Matka była rosvelską pięknością, którą ojciec kochał bardziej niż żonę, więc bracia nienawidzili mnie od zawsze. Ojciec mnie jednak chronił i dbał, bym rozwijał swoje talenty. Wbrew zwyczajowi uczynił dziedzicem. Bracia posłali mnie do zakładu dla obłąkanych w dzień jego śmierci. Nie mogłem być na pogrzebie. To, że głoszę, iż jestem bogiem Adomem, stanowiło tylko wymówkę.

Nagle Mihali wyprostował się, jak gdyby ocknąwszy z drzemki.

– Chleb, chleb – wymamrotał. – Jeszcze co najmniej pięćdziesiąt bochenków. Dziewczęta nie pracują wystarczająco szybko.

Przeszedł do stołów pośrodku sali. Pod wilgotnymi szmatkami leżały na nich kawały ciasta. Odsłonił je zręcznie jedną dłonią, a drugą zanurzył w wielkiej bryle pulchnego ciasta.

– Doskonale wyrosło – powiedział do siebie z zamyślonym uśmiechem. Rozdzielił ciasto na perfekcyjnie ukształtowane porcje. Jego dłonie pracowały tak szybko, że Tamas ledwie nadążał wzrokiem za ich ruchami. Na łopatę trafiały po dwa bochenki naraz. Wrzucał je do oczekującego już pieca, aż wreszcie ciasto się skończyło.

Kiedy do pieca powędrował ostatni bochenek, Mihali natychmiast wyjął pierwszy, już upieczony. Chleb był złotobrązowy i pulchny, chociaż w piecu leżał może ze dwie minuty. Tamas zmrużył powieki, zaczął liczyć.

– Wcale mi się nie wydaje – stwierdził, nachylając się ku Olemowi.

– Nie – potwierdził Olem. – Wsadził do pieca z jedną czwartą tego, co wyjął. – Przeżegnał się znakiem Powroza, złączonymi dwoma palcami dotykając czoła i piersi. – O Kresimirze nad nami. Czy pan słyszał kiedyś o czarach pozwalających tworzyć coś z niczego?

– Nigdy, ale ostatnio widzę mnóstwo nowych rzeczy.

Mihali zakończył wyjmowanie ostatnich bochenków z pieca.

– Z Hassenburu wysłano za mną ludzi. – Odwrócił się do Tamasa i Olema. – Prędzej ucieknę na drugi kraniec Fatrasty i będę gotował dla dzikich, niż wrócę do Zakładu Hassenbur.

Tamas przestał gapić się na chleb. Spojrzał na piekący się połeć wołowiny oraz gar gulaszu, jeszcze przed chwilą zupełnie pusty. Potaknął kuchmistrzowi, a potem obaj z Olemem ruszyli do wyjścia.

– Zdolność – ocenił Olem. – To jedyne wyjaśnienie. Słyszałem o Zdolnościach silniejszych niż jakiekolwiek czary Uprzywilejowanych. Musi mieć to, jeśli chodzi o jedzenie.

– Trzecie oko? – domyślił się Tamas.

Olem pokiwał głową.

– Właśnie spojrzałem. Ma blask Zdolnego.

– No tak, bogiem nie jest – stwierdził marszałek. – Jednak uważa, że nim jest. A to potężna Zdolność. Od jego jedzenia jak nic zależy morale wojska, przynajmniej w połowie. I co ja mam z nim teraz zrobić?

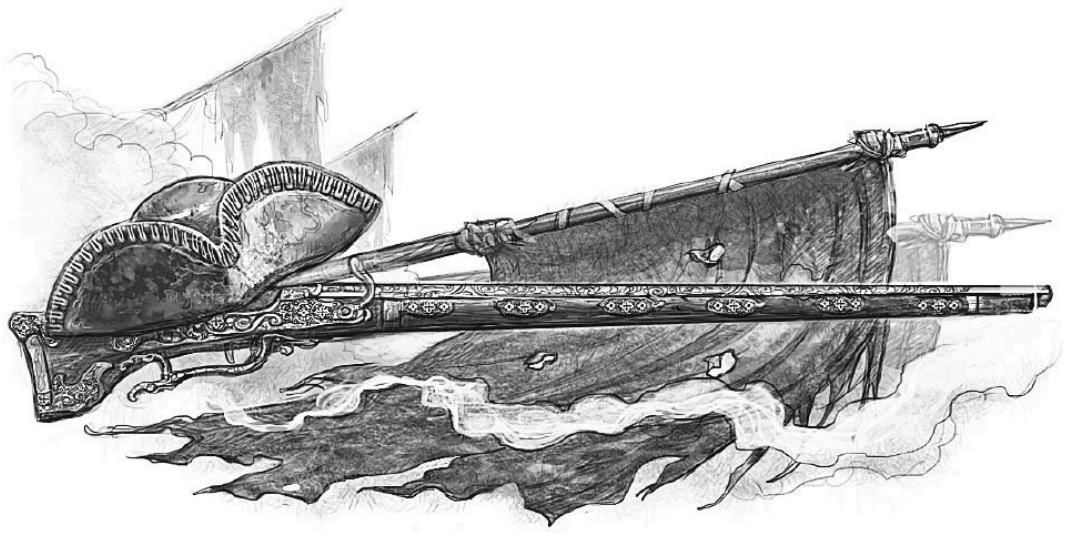

17
ROZDZIAŁ

Szukam Uprzywilejowanego Borbadora.

Taniel stanął w progu karczmy. Była duża, ale bardzo stara. Połowa sufitu zapadła się dawno temu i kiepsko ją naprawiono. Lokal nazywał się Wyjący Wendigo. Miano zawdzięczał przeciągłemu wyciu wiatru pod okapami. W tym momencie był to jedyny dźwięk, jaki dało się słyszeć w izbie, bowiem nagle umilkły wszelkie rozmowy.

Co najmniej pięćdziesiąt par oczu patrzyło na Taniela. Wszedł sam, Julene i Ka-poel kazał poczekać na zewnątrz. Założył skórzany kaftan i czapkę, z czego był bardzo zadowolony. Nieważne, że w dolinie zaczęła się już wiosna, w Fortecy Wierchowieńca nadal trwała zima.

– Jaką sprawę ma prochowy mag do naszego Uprzywilejowanego?

Naszego Uprzywilejowanego. Tanielowi nie spodobało się, jak zabrzmiały owe słowa. Bo zaprzyjaźnił się z tymi zbirami. Skazańcy i malkontenci, biedacy i wykolejeńcy – innymi słowy członkowie Straży Górskiej. Nie ufali nikomu, a obcych witali równie serdecznie, jak zatłoczone miasta witają zarazę. Z pewnością byli to najtwardsi ludzie w Dziewięciu.

Taniel odetchnął głęboko. Nie miał nastroju na takie przepychanki. „Zjawiłem się tutaj, żeby go zabić” – miał ochotę powiedzieć. „Z drogi albo wpakuję wam kulę w łeb”. Jednak głośno odparł tylko:

– To moja sprawa.

Wstał jakiś mężczyzna. Był o rok, może dwa młodszy od Taniela. Chudy, brodaty, pomimo chłodu nosił koszulę bez rękawów, odsłaniającą węźlaste muskuły.

– To nasza sprawa – oznajmił, patrząc na Taniela wrogo.

– Fesnik, nie zadzieraj z prochowym magiem – odezwał się ktoś inny. – Chcesz, żeby Tamas dał nam popalić?

– Zamknij się – rzucił przez ramię Fesnik. – A co, jeśli ci nie powiemy?

– Jesteś tutaj najtwardszy?

– Hę? – Mężczyzna zdawał się zaskoczony.

– Proste pytanie – powiedział Taniel. – Czy jesteś najtwardszym kozojebcą, ojcobójcą i kurwim synem w tej budzie?

Fesnik odwrócił się od Taniela, uśmiechając półgębkiem. I odwinął się błyskawicznie z nożem w dłoni. Taniel miał już w rękach oba pistolety. Jedną lufę wraził Fesnikowi w usta, łamiąc mu zęby, zmusił go do upuszczenia noża.

Mężczyźnie oczy niemal wyskoczyły z czaszki. Drugi pistolet Taniel wycelował w pierwszego strażnika, który właśnie uniósł się z miejsca.

– Nazywam się Taniel Dwa Strzały – powiedział głośno. – I jestem tutaj, żeby spotkać się ze swoim najlepszym przyjacielem, Bo. Powiecie mi teraz uprzejmie, gdzie jest?

– Taniel Dwa Strzały? – zapytał czyjś głos. – Dlaczego, do licha, od razu nie powiedziałeś? Bo jest w górach.

– To prawda? – Taniel zwrócił się do Fesnika.

Mężczyzna pokiwał głową, zezując na lufę pistoletu w swoich ustach.

Taniel schował broń.

– Przepraszam. – Fesnik sprawdzał stan swoich zębów. – Bo powiedział, żeby nie mówić żadnym prochowym magom, gdzie jest. To znaczy żadnym poza tobą. Powiedział, że możesz go szukać.

Taniel nie pozwolił sobie na żaden grymas.

– Przepraszam za zęby – odpowiedział. Potem dodał głośniej: – Kolejka na koszt marszałka polnego Tamasa!

W sali rozległ się powszechny okrzyk zadowolenia. Taniel przywołał Fesnika gestem.

– Powiedział, że jest w górach?

– Ruszył tam prawie dwa tygodnie temu. Zaraz po tym, jak spotkał się z nim taki jeden inspektor, który przyjechał z Adopestu.

– Powiedział, kiedy wróci?

– Nie powiedział.

Taniel podrapał się po szczęce. Nie golił się od powrotu do Adopestu. Gęsty zarost na brodzie swędział.

– Dlaczego poszedł?

Fesnik potrząsnął głową.

Taniel poczuł nagły strach spływający chłodem po kręgosłupie. Bo wiedział, że Tamas przyśle kogoś, aby go zabił.

– I powiedział, żeby tylko mnie powiadomić?

– Tak. Powiedział nam o tobie mnóstwo rzeczy. Powiedział, że kumplujecie się od lat.

To było jak cios nożem. Taniel zacisnął zęby i zmusił się do uśmiechu. To była jakaś zagrywka ze strony Bo? A może to była jedynie paplanina pijaczyny?

– Zgadza się. Ile czasu zajmuje dotarcie na szczyt góry?

– Nie, on nie poszedł na sam szczyt – odparł Fesnik. – Tam jest klasztor dla pielgrzymów, kilka mil od Kresimskiej Kurgi. Tam się zatrzymał.

Kresimska Kurga. Święte Miasto. Nazwa z legend. Taniel nie słyszał jej od czasów, gdy niania zabierała go co tydzień do kaplicy Kresimira. Ale nawet wtedy nie wierzył, że miasto istnieje.

Otrząsnął się ze wspomnień. Nie mógł tutaj czekać. Mógłby ruszyć za Bo i zostawić go tam później, zagrzebanego w śniegu. Wróciłby do Adopestu, zanim ktokolwiek by odkrył, że jego przyjaciel nie żyje.

– No to pójdę tam za nim – stwierdził Taniel.

– O tej porze roku? – Fesnik pokręcił głową. – Nawet doświadczony strażnik nie będzie chciał z tobą pójść, a wierz mi, bez przewodnika wpakujesz się w zamieć i już z niej nie wyleziesz. Szlaki są zdradliwe aż do lata.

– Mój ojciec wspominał o jakimś człowieku imieniem Gavril – powiedział Taniel. – Swoim starym przyjacielu. Mówił, że to najlepszy człowiek gór w całych Dziewięciu. No to co?

Fesnik zaczął się śmiać.

– Gavril, tak, on da radę. O ile jest na tyle trzeźwy, żeby coś widzieć, i na tyle pijany, żeby nic nie myśleć. Spróbuję go dla ciebie znaleźć.

Strażnik wmieszał się między klientelę karczmy. Taniel wyszedł na ulicę, gdzie zobaczył, jak Julene wściekle wpatruje się w Ka-poel. Za to rudowłosa przyglądała się wznoszącej ponad nimi górze.

– Bo tam jest. – Taniel pokazał skaliste zbocze. – Idziemy po niego.

Julene zmrużyła oczy.

– To przypuszczalnie pułapka. Musiał wiedzieć, że Tamas kogoś przyśle.

– Wiem. Ale kazał strażnikom powiedzieć mi, gdzie go szukać. Nikomu innemu. To znaczy, że mi ufa.

– Albo ufa, że zdoła ciebie zabić pierwszy.

– Znam Bo. To znaczy, że mi ufa. – Odetchnął głęboko. – Tym gorzej dla niego.

– Potrzebujemy prowiantu i sprzętu do chodzenia po górach – oznajmiła Julene. – I zimowych ubrań.

– Ty nie idziesz.

– Co?! – Julene spojrzała na niego z niedowierzaniem i oburzeniem zarazem.

– O mało mnie nie zabiłaś, i to nie raz – stwierdził Taniel.

– Jak śmiesz!

– Zamknij się. Idę tam z Ka-poel. Idziemy zabić mojego najlepszego przyjaciela i zaraz potem wracamy. Ostrożnie i spokojnie. Ty zaczęłabyś miotać czarami i nie tylko cała Straż zaraz by wiedziała, co tam robimy, ale jeszcze zwaliłabyś nam na łby lawinę.

Julene wykrzywiła się pogardliwie.

– Nie ufam ci, jesteś słaby. Nie będziesz w stanie pociągnąć za spust.

– Zabijanie Uprzywilejowanych to moja specjalność – przypomniał jej Taniel. Wciągnął trochę prochu. Jedynie odrobinę, wyłącznie dla ukojenia nerwów. Potem jeszcze raz. – Bo jest zagrożeniem. Wiem, jak radzić sobie z zagrożeniami. Teraz zamknij się, do otchłani, i znajdź sobie jakąś dziurę, w której możesz się zaszyć. Jest jeszcze jeden powód, dlaczego cię zostawiam. Jeśli Bo uzyska nade mną przewagę albo jakoś się prześlizgnie, masz być czujna. I zabić go od razu. Zdołasz to zrobić, moja damo?

Ramiona Julene zadrżały. Wyglądała tak, jak gdyby chciała się rzucić na Taniela i zębami rozedrzeć mu gardło. Może by się nawet i wystraszył, gdyby nie użył prochu. W prochowym transie miał to gdzieś.

– No więc? – zapytał. – Zrobisz to, do cholery?

Julene odwróciła się na pięcie i odeszła w dół ulicy.

– Uznaję to za „tak”.

Otworzyły się drzwi do karczmy i wyszedł z nich Fesnik, wdziewając na ramiona sięgający kolan płaszcz z jeleniej skóry. Za nim szedł jeden z największych ludzi, jakich kiedykolwiek widział Taniel. Ubrany był w grube skóry i futra, przesiąknięte potem i piwem. Z trudem starał się skupić spojrzenie na Tanielu, nawet kiedy potknął się i oparł o ścianę budynku. Potrząsnął głową, wybełkotał:

– Jestem Gavril.

Taniel obejrzał go od stóp do głów.

– Fantastycznie.

Kiedy mroźny wiatr cisnął w Taniela śniegiem, mag zatrzymał się, aby poprawić futra chroniące twarz. Skulił się, próbując schować głowę przed kąsającym mrozem i wściekłym wichrem, chociaż Gavril ostrzegał go, że coś takiego może skończyć się śmiercią: zawsze jedna noga po drugiej, oczy utkwione w zaspy na wprost, bo inaczej można wejść we wpółukrytą rozpadlinę albo spaść z krawędzi urwiska.

Taniel akurat tym niezbyt się przejmował. Dziesięć tysięcy stóp niżej farmerzy już orali pola w promieniach wiosennego słońca. Za kilka tygodni zrobi się tak ciepło, że będzie się można kąpać w Admorzu. Jednak on był tutaj, niedaleko szczytu najwyższej góry we wszystkich Dziewięciu – niektórzy twierdzili, że na całym świecie. Na nogach miał śnieżne rakiety, pijaka za przewodnika, a karabin i pistolety zmieniły się na tym zimnie w bezużyteczne kawałki drewna i metalu. Wędrował, aby zabić najlepszego przyjaciela.

Był przywiązany do Gavrila mocną liną. Wiatr zelżał nieco i teraz Taniel mógł dostrzec zarysy sylwetki przewodnika jakieś dziesięć kroków przed sobą. Szli pod górę, ale szli, a nie wspinali się, bądź co bądź, gdzieś pod tym wszystkim była jakaś droga. Latem była to ponoć uczęszczana trasa – przynajmniej tak twierdził Gavril. Wiatr wirujący wokół nich sypał śniegiem zebranym z zasp. Taniel przysiągłby, że za każdym razem, kiedy kłujące drobiny uderzają go w twarz, słyszy dziecięcy śmiech. Uznał, że ta góra okrutnie się bawi.

Ka-poel, przywiązana do Taniela kolejną liną, przedzierała się przez zaspy na rakietach. Za nią wędrował niewysoki człowiek imieniem Darden. Był to stary Delivijczyk, który uparł się pójść z nimi. Twierdził, że ma kuzyna w klasztorze, który ostatniej jesieni był umierający, i teraz chciał się

dowiedzieć, czy krewny przeżył zimę. Taniel nie bardzo wierzył w tę historyjkę. Może Darden był jednym z przyjaciół Bo?

Gavril okazał się jowialnym pijakiem i zaskakująco chętnie zgodził się zostać przewodnikiem Taniela. W ciągu kilku godzin byli już gotowi do drogi. Przez pierwsze pół dnia Gavril szedł raczej niepewnie, jednak Taniel zauważył, że zanim kolejny dzień dobiegł końca, wielkolud był trzeźwy jak nowo narodzone dziecię.

Zatrzymał się na chwilę, aby sprawdzić pistolet wiszący na biodrze. Skałka była zmrożona, zapchana lodem i śniegiem, jednak proch wydawał się wciąż suchy, zaś kula nadal pewnie tkwiła w lufie. I to było najważniejsze. Naznaczony przecież umiał stworzyć własną iskrę do odpalenia ładunku. Chociaż... Taniel przyjrzał się Gavrilowi. Czy ten człowiek przysporzy mu jakichś problemów, kiedy mag pośle kulę prosto w oko Bo? A może mnisi coś zrobią nieoczekiwanego? Taniel sprawdził drugi pistolet. Czy zdoła zejść z góry bez Gavrila, jeśli zajdzie taka konieczność?

Gdy wreszcie dotarli na wysokość, gdzie wiatr ucichł, Taniel dawno już stracił czucie w nogach. Zniknęły śnieżne wiry, a słońce niemal go oślepiło. Szlak się wyrównał i nagle Taniel zobaczył ziemię, nie twardo ubity śnieg, lecz prawdziwą glebę poznaczoną śladami szpadla. Tę część drogi najwyraźniej niedawno oczyszczono. Mrugnął zaskoczony i spróbował się uśmiechnąć. Miał jednak na to zbyt odrętwiałą twarz.

– Jak się czujesz? – usłyszał Gavrila. Ludzki głos był miłą odmianą po słuchaniu wycia wiatru i szyderczego śmiechu góry przez ostatnie trzy i pół dnia. Taniel uświadomił sobie, że przez ten czas nie wypowiedzieli do siebie ani słowa, nawet na nocnych biwakach, gdy w czwórkę kulili się, szukając ciepła w małym namiocie Gavrila.

– Topsze. – Taniel zatrzymał się obok rosłego przewodnika i razem czekali na Ka-poel oraz Dardena. Zamknął oczy, poruszał ustami, starając się formować wyrazy. – Dobrze – poprawił się. – Jeszcze taleko? Daleko?

– Tam. – Gavril podniósł rękę.

Taniel osłonił oczy i mrużąc powieki, spojrzał pod słońce.

– Za jasno, nie widzę. Ty coś widzisz?

– Lata spędzone w górach. Jeśli spędzisz tu tyle czasu co ja, nie będziesz potrzebować oczu. To Koliba Noviego. Jesteśmy zaraz pod nią.

Darden uśmiechnął się szeroko do Taniela spierzchniętymi ustami, a jego ciemnoskóra twarz zdawała się pękać na pół w tym grymasie. Delivijczyk był niewysoki i mniej więcej w wieku Tamasa.

– Prawie na miejscu – oznajmił.

Darden niemal się nie zasapał, co Taniel zauważył z pewną irytacją, bowiem on sam ciężko dyszał.

Podniósł do nosa tabakierę i zaciągnął się prochem wprost z pudełka, po czym ostrożnie wsadził pojemnik z powrotem do kieszeni – nie ufał odrętwiałym palcom. Gwałtowny przypływ prochowego transu sprawił, że Tanielowi przez chwilę kręciło się w głowie, a potem oddychanie zrobiło się łatwiejsze, zaś w mięśniach poczuł odprężenie.

Zdjęli rakiety śnieżne. Od klasztoru dzieliło ich tylko kilkaset stóp. Szlak się zwężał. Po lewej wznosiło się niemal pionowe skaliste zbocze. Po prawej widać było jedynie białe niebo: przepaść zdawała się nie mieć dna. Gdy znaleźli się w cieniu klasztoru, Taniel po raz pierwszy mógł spojrzeć w górę i wreszcie zobaczyć budynek.

Koliba Noviego wydawała się częścią góry. Klasztor zbudowano z szarego kamienia, który niczym nie różnił się od tego tworzącego zbocze Południowej Turni; a częściowo wyciosano bezpośrednio w skałach. Stał wprost na szlaku, tak że ścieżka kończyła się w bramie. Koliba Noviego wznosiła się na co najmniej sto stóp, z prawej strony zaś na dobrych kilkanaście wystawała poza krawędź urwiska. Taniel zastanawiał się, jak mnisi potrafią spać ze świadomością, że wiszą ponad tysiącami stóp nicości.

Klasztor okazał się niezwykle prosty, pozbawiony wszelakich ozdób, wieżyczek czy fasad. Kamienie były gładko ociosane, łuki drzwi oraz okien zaledwie zaokrąglone u szczytów. Cała wspaniałość tej budowli sprowadzała się do konstrukcji wiszącej ponad przepaścią i oczywiście prestiż klasztoru brał się też z miejsca, w którym go zbudowano.

Taniel zszedł z drogi, z głową zadartą do góry nie patrzył, gdzie stawia stopy, aż wreszcie Gavril sięgnął ku niemu i szarpnął za przód płaszcza. Mag wzdrygnął się cały. Okazało się, że od urwiska dzieliły go nie więcej jak dwie stopy.

Podwójne wrota klasztoru otworzyły się z jękiem nieoliwionych zawiasów. Taniel już do połowy wyciągnął pistolet, kiedy uświadomił sobie, że w bramie wcale nie stoi Bo. Witali ich jakiś mężczyzna z kobietą, oboje mniej więcej wzrostu Taniela, dosyć wysocy, jak na Novijczyków. Skórę mieli śniadą – tylko o ton jaśniejszą niż Darden.

– To jeszcze bardzo wczesna pora roku, jak na pielgrzymów – zauważył mnich, kiedy już wszyscy weszli do środka.

Taniel zerknął na swoją broń, na grube futra, skóry oraz wyposażenie niezbędne do górskiej wędrówki. Ewidentnie nie wyglądali na pielgrzymów.

– Zjawiłem się tutaj, żeby się spotkać z Uprzywilejowanym Borbadorem – oznajmił cicho. Słowa rozbrzmiały echem w długim, kamiennym korytarzu i Taniel poczuł się, jak gdyby szeptał wewnątrz starych kości Turni. – Gdzie go mogę znaleźć? – Chciał załatwić to najszybciej jak się da. Jeżeli Bo wiedział, że Taniel po niego przyszedł...

Kobieta z powagą pokiwała głową.

– Rozumiem. Obawiam się jednak, że twoja podróż jeszcze się nie zakończyła.

– Szlag by to! – zaklął Taniel i zaraz skruszony spojrzał na mnichów. – Przepraszam, siostro.

– On jest teraz kilka mil w górę szlaku, za klasztorem. W jaskini.

– Znam tę jaskinię – wtrącił Gavril.

– Czy Bo mówił, dlaczego tam idzie?

Novijczycy pokręcili głowami.

– Powiedział, że ktoś go może szukać – dodał mężczyzna. – I prosił, byśmy tego kogoś nie zatrzymywali.

Bo wyraźnie kogoś się spodziewał. Nie da się tego uniknąć.

– Jak tam dojdę? – chciał wiedzieć Taniel.

– Przez klasztor – odpowiedziała mniszka. – To jedyna droga w góry, nawet latem. Stoimy u bram drogi do Kresimskiej Kurgi.

Tanielowi serce podskoczyło w piersi.

– Ona naprawdę istnieje?

Mnisi unieśli brwi ze zdumieniem.

– Święte Miasto? – dopytywał Taniel. – Naprawdę tutaj jest?

– Ruiny, owszem – odpowiedział mężczyzna. – Przed wiekami Novi wybrał swój lud, aby strzegł najważniejszych miejsc Dziewięciu. Kresimska Kurga może i od dawna jest opuszczona, a opieka Kresimira gaśnie, jednak niczego nie zaniedbujemy, nie uchylamy się od obowiązku nałożonego przez naszego świętego.

Gavril stanął obok Taniela, zaś Darden podszedł do mnichów i powiedział coś cicho. Taniel próbował podsłuchać, ale wyłapał tylko słowa „chory” i „kuzyn”. Mnich poprowadził gdzieś Dardena.

– Na czym polega opieka Kresimira? – zapytał Taniel.

Gavril był tak wysoki, że głową niemalże dotykał sufitu.

– Bóg w czasach swego władania utkał potężne czary, tak aby nikt, zdrowy czy chory, młody czy stary, nie cierpiał tu za sprawą żywiołów albo choroby wysokościowej.

– Choroby wysokościowej? – Tego pojęcia Taniel dotąd nie słyszał.

– Człowiek jej dostaje, jak wchodzi tak wysoko – wyjaśnił Gavril. – Darden i ja jesteśmy przyzwyczajeni. Ale innym dokucza pragnienie albo krew im się rzuca z nosa, głowy ich bolą, rzygać im się chce. Oczywiście tobie nic nie będzie.

– Nic mi nie będzie? Dlaczego?

Gavril nie odpowiedział. Podeszła do nich Novijka.

– Chciałbyś wypocząć, zanim ruszysz dalej? – zapytała.

– Nie, dziękuję. – Taniel wiedział, że powinien, ale nie mógł ryzykować, że Bo zwęszy jego przybycie.

– Zaczęliśmy już oczyszczać drogę na szczyt, więc powinniście bez trudu dotrzeć do celu – zapewniła ich mniszka.

Przemierzali kolejne korytarze i Taniel miał wrażenie, że weszli już do samego środka. Po drodze mijali liczne pokoje, których drzwi pozostawały szeroko otwarte. W pomieszczeniach przebywali mnisi, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Taniel przystanął na progu jednej z cel. W środku siedział jakiś mnich ze skrzyżowanymi nogami, pochylając się nad skrzynką barwnego piasku i rysując na nim wzory długim, zakrzywionym kijkiem. Niewielu mnichów widać było poza pokojami, chociaż Taniel słyszał głosy dobiegające z głębszych korytarzy. Nigdy by nie pomyślał, że Koliba Noviego jest taka duża ani że tylu ludzi mieszka przez całą zimę tak wysoko w górach.

Ka-poel zatrzymywała się przy każdej izbie. Na jej buzi rysował się uśmiech przepełnionego ciekawością dziecka. W końcu Taniel zniecierpliwiony pociągnął ją za sobą.

I kiedy wspięli się na kolejne z licznych stopni, ich wędrówka wreszcie się skończyła. Jej kres wyglądał identycznie jak początek: takie same dwuskrzydłowe wrota.

– Kiedy już przejdziecie przez drzwi, zostaną zaryglowane – poinformowała ich Novijka. – Po tej stronie góry... są... inni.

Te słowa sprawiły, że Taniel się zatrzymał. Chciał wyciągnąć od mniszki jakieś szczegóły, zdążył nawet otworzyć usta, ale ta wycofała się już do korytarza. Taniel został sam z Gavrilem i Ka-poel.

– Takie tam, opowieści mnichów. – Rosły przewodnik wzruszył ramionami. – O stworzeniach, jakie wyłażą w Kresimskiej Kurdze. Co roku coraz później wypuszczają pielgrzymów dalej w góry. Ja tam nigdy nie widziałem niczego dziwnego, wyjąwszy jaskiniowego lwa. Gotowi?

Taniel położył dłoń na piersi Gavrila.

– Idę tam sam – oznajmił, potem zwrócił się do Ka-poel. – Chcę, żebyś ty również została.

Skrzywiła się.

– Muszę porozmawiać z Bo w cztery oczy. To nie powinno długo potrwać, a mnisi powiedzieli, że droga jest czysta.

Ka-poel kciukiem wskazała na siebie.

– Nie – odparł stanowczo Taniel. – Ty zostajesz. Z Gavrilem.

Gavril przygryzł wnętrze policzka.

– Kiedy powinienem... – zahuczał.

– Nie – uciął Taniel i uniósł karabin. – Na lwy jaskiniowe mam to.

Usłyszał, jak Gavril rygluje za nim drzwi, i zastanowił się, czy wielkolud odgadł, w jakim celu zjawił się tu prochowy mag. Gavril mógł się czegoś domyślać. Z drugiej strony, był jednak pijakiem. Taniel postawił mu kilka kolejek w Wierchowieńcu, zanim wyruszyli do klasztoru.

Szlak stał się szeroki na tyle, że Taniel mógł iść w stosownej odległości od przepaści. Kamienna ściana po lewej stronie stawała się coraz mniej stroma, aż wreszcie przeszła w skaliste, zaśnieżone zbocze wzgórza. W tym miejscu Taniel nie potrzebował już rakiet śnieżnych.

Wypatrzył jaskinię z daleka. Nietrudno było ją zauważyć – wejście miała wielkie jak dom. Chwilę później znalazł sobie odpowiedni pagórek. Nieduże wzgórze między szlakiem a krawędzią urwiska. Ostrożnie wspiął się na nie i usadowił w śniegu. Doskonałe stanowisko dla strzelca. Widział całe wejście do jaskini, sam zaś pozostał ukryty za zaspami. Jedyną wadę tego miejsca stanowiło to, że znajdowało się na skraju przepaści. Jeżeli Bo go zwęszy, zdmuchnie ze wzniesienia jednym pstryknięciem palców.

Prochowy trans pozwalał Tanielowi dostrzegać szczegóły nawet z dużej odległości. Wejście jaskini znajdowało się nieco na bok od niego. Zdawało się wydrążone w boku góry i prowadziła do niego wąska ścieżka. Po lewej wznosił się stromy pagórek z lodu i śniegu, sterczący zaraz na krawędzi urwiska.

W jaskini ktoś mieszkał. Wąska strużka dymu płynęła z wejścia, by wznieść się w bezwietrzne niebo, a ścieżka była mocno wydeptana. Taniel otworzył trzecie oko. Bo znajdował się w środku, jego pastelowy blask migotał obok płomieni ogniska. Mag odczołgał się na bok i zaczął przygotowywać. Robił to metodycznie, kontrolując wszystko po dwa razy. Oczyścił ze śniegu skałkę i panewkę oraz sprawdził lufę. Rozerwał zębami patron i podsypał panewkę, następnie wsypał proch do lufy, wsadził kulę. Sypnął szczyptę prochu na język, aby pogłębić trans, a potem przybił

ładunek flejtuchem. Wreszcie wyjął szkicownik i otworzył na jednej z pierwszych stron: portrecie Bo. Narysował go w trakcie podróży do Fatrasty. Bo był gładko ogolony, miał krótkie włosy oraz pełne policzki, na wargach szyderczy uśmieszek. Taniel postukał palcem w podobiznę, następnie wspiął się z powrotem na pagórek. I czekał.

Pozostał tam tak długo, aż słońce zaczęło opadać w stronę zachodu. Powietrze zrobiło się bardziej przejrzyste. Spoglądając w prawo, mógł zobaczyć cały Kez, dalekie pola, a nawet miasta błyszczące na horyzoncie.

Czas mijał, a Taniel pozwolił swym myślom błądzić. Nie mógł nic poradzić na to, że natychmiast popłynęły ku Vlorze. Kiedy ich związek dopiero rozkwitał, zdarzało im się uszczknąć trochę czasu z treningów, by wynająć pokój w gospodzie i tam cieszyć się sobą. Taniel uśmiechnął się do tych wspomnień i serce zabiło mu żywiej. *Nie, niedobrze* – skarcił się w duchu. Musi zachować spokój. Przypomniał sobie, jak kiedyś wróciwszy z gospody, zastał oczekującego nań Tamasa. Ojciec poinformował go wtedy, że pobiorą się z Vlorą, gdy już osiągną stosowny wiek, i właśnie tak zaczęło się ich narzeczeństwo.

Pamięć nieproszona podsunęła mu wspomnienie Vlory w łóżku z innym mężczyzną. Odegnał je z wysiłkiem i zauważył, że ręce mu się trzęsą. Zmusił się, by poszukać spokoju w prochowym transie. By myśleć obiektywnie. Czy ją kochał? Może. Zawsze lubił jej towarzystwo. Ale czy naprawdę kochał?

Czasem miłość wydawała mu się jakimś obcym pojęciem, stosownym w poezji, nie w życiu. Vlora była pierwszą kobietą, która stała mu się bliska od chwili, gdy stracił matkę, będąc zaledwie sześcioletnim brzdącem. Niewiele miał własnych wspomnień o matce, większość tego, co o niej wiedział, opowiedziano mu później: była prochowym magiem, szlachcianką adrańską, ze strony matki wywodziła się z Kezu. Wydawała się twarda jak Tamas, jednak Taniel wyraźnie pamiętał, że kiedy byli w domu, pokazywała daleko łagodniejszą i delikatniejszą stronę. Nawet kiedy Tanielem opiekowała się guwernantka, matka zawsze była obecna.

Po jej śmierci w życiu Taniela co i rusz pojawiała się nowa guwernantka. Podejrzewał, że ojciec sypiał z każdą. Potem nagle parada guwernantek dobiegła końca, jak gdyby Tamas uznał, że już ma dość. I kolejną kobietą, która pojawiła się w ich życiu, była Vlora. Taniel pamiętał, jak rywalizowali o nią z Bo. Wtedy jedyny raz w zabieganiu o damskie względy okazał się lepszy od przyjaciela. Czy to znaczyło, że Vlora była dla niego tą jedyną? Nie. Świat był na to za wielki.

Właściwie sam czuł się zaskoczony, jak rzadko o niej myślał w ciągu tych tygodni, które upłynęły od zerwania zaręczyn. Dotknął kieszeni, gdzie schował pomięty portrecik dziewczyny. Nie, nie kochał Vlory. Owszem, zraniła go jej zdrada, ale zraniła głównie dumę. No i to małżeństwo było planowane od tak dawna, że jakoś dziwnie czuł się teraz, kiedy już przestało być częścią jego przyszłości.

Ciekawe, jaki dostała teraz przydział. Czy wciąż przy sztabie Tamasa? Marszałek nie był jakoś przesadnie sentymentalny. Zerwanie zaręczyn niewątpliwie wprawiło go we wściekłość, jednak nie chciał oddalać tak utalentowanego prochowego maga jak Vlora.

Taniel przyłapał się, że zaciska zęby. Nie był sentymentalny. Ha! Wysłał tutaj własnego syna, żeby ten zabił swojego najlepszego przyjaciela. Dlaczego? To miała być kara za puszczenie Rozalii żywcem? A może test na lojalność?

Nie, nic z tych rzeczy. Stary drań kierował się jedynie względami czysto praktycznymi. Taniel był najlepszym strzelcem w armii. W wietrzny dzień potrafił zestrzelić komuś kapelusz z odległości trzech mil. A gdyby okoliczności uniemożliwiały oddanie strzału, mógł się zbliżyć do Bo, nie wzbudzając podejrzeń, i rozpłatać brzuch nożem. Kiedy Tamas się wreszcie nauczy, że względy czysto praktyczne to nie wszystko? Niewątpliwie pojął co nieco, gdy wrzucił Nikslausa do Admorza. Taniel mógł być tylko dumny z ojca. Jednak owa duma trwała krótko.

– Przecież musisz w końcu wyjść się wysrać – mruknął, gdy dzień dobiegał końca. Przypomniał sobie, jak kiedyś czaił się tak na wzniesieniu w królewskim lesie pod Adopestem. Miał wtedy czternaście lat. Bo odkrył,

gdzie królowa i jej dwórki kąpią się w rzece. Siedzieli we dwóch na tamtym pagórku prawie dwadzieścia cztery godziny, zanim kobiety w końcu zjawiły się nad wodą. Bo miał lunetę, Taniel wyostrzony wzrok prochowego transu. To była ryzykowna wyprawa, wiedzieli obaj, jakie lanie ich czeka, jeśli zostaną złapani. Jednak królowa miała być jedną z najpiękniejszych kobiet w całych Dziewięciu.

Rzeczywiście była. Czekanie i ryzyko się opłaciły.

W jaskini coś się poruszyło. Bo stanął w wejściu, nie dalej niż stopę od przepaści. Zacierając dłonie, spoglądał w stronę Kezu. Taniel nie miał pojęcia, jak przyjacielowi udaje się to bez zawrotów głowy. Odetchnął głęboko i złożył się do strzału.

Bo odwrócił się w stronę zbocza, zsunął przy tym gruby, futrzany kaptur. Taniel przyglądał się przyjacielowi z dzieciństwa znad lufy karabinu. Bo zapuścił długie włosy i rzadką, rozczochraną brodę. Sporo schudł od czasu ich ostatniego spotkania. Popatrzył na wzgórze, a potem w dół, na drogę, w stronę Taniela.

Taniel oparł się chęci, by się skulić. Bo patrzył prosto na niego. Uprzywilejowany osłonił oczy przed słońcem i w zamyśleniu pociągnął za magiczne rękawice. Tajemne symbole na ich wierzchu odbiły blask promieni. Taniel zastanowił się, czy Bo otoczył się właśnie tarczą z utwardzonego powietrza. Powietrze stanowiło najsilniejszy z jego żywiołów.

Czy wiedział, że Taniel tutaj jest? Czy czekał, śmiejąc się w duchu, gotów uderzyć w prochowego maga, gdy ten zdradzi swoją pozycję? Czy obserwował przyjaciela trzecim okiem? Taniel nie potrafił wyczuć trzeciego oka u Bo, ani też żadnego rodzaju tarczy. Jego palec naprężył się na spuście.

Bo stał jeszcze minutę albo dwie, obserwując drogę, a potem wrócił do środka.

Taniel zaklął pod nosem. Dlaczego, do otchłani, nie pociągnął za spust? Miał czysty strzał. Westchnął. Znał odpowiedź.

– Niech to szlag – powiedział na głos i wstał.

Zszedł z pagórka, zebrał wszystkie swoje rzeczy i ruszył ścieżką w stronę jaskini.

I co miał teraz powiedzieć przyjacielowi? „Cześć, Bo, jak się masz? Wiesz, przyszedłem tutaj, żeby cię zabić, ale się nie martw, zmieniłem zdanie. Mam nadzieję, że między nami wszystko jest w porządku”.

Potrząsnął głową. Został zmuszony do wyboru między obowiązkiem a przyjacielem. Miał nadzieję, że decyzja, jaką podjął, czyni z niego dobrego przyjaciela, bo żołnierzem okazał się beznadziejnym.

Taniel zrobił krok na wąziutkiej ścieżce wiodącej do jaskini, zastygł bez ruchu. Bo ponownie wyszedł z pieczary, dzieliło ich teraz może pięćdziesiąt kroków. Musiał widzieć karabin wystający Tanielowi zza ramienia. Czy rozpoznał przyjaciela? Taniel odsunął futra od twarzy i spróbował się uśmiechnąć. Podniósł dłoń w geście pozdrowienia.

Bo zmrużył oczy. Taniel przełknął ślinę. Bo podciągnął rękawice Uprzywilejowanego. Zlewały się ze śniegiem, całe białe, wyjąwszy złote symbole na grzbiecie.

Taniel już otwierał usta, żeby się przywitać.

– Ani kroku dalej – krzyknął Bo. – Odejdź stąd! – Raz jeszcze podciągnął rękawice.

Taniel uświadomił sobie nagle, że nie podoba mu się wyraz twarzy przyjaciela. Bo dobrze wiedział, w jakim celu zjawił się tu prochowy mag.

Uprzywilejowany uniósł dłonie nad głową. Poza, jaką teraz przybrał, wydawała się nieomal komiczna. Bo nie był zbyt wysoki, a zapadłe policzki i rzadka broda sprawiały, że wyglądał jak chłopiec. Jego pierś unosiła się i opadała, oddychał gwałtownie. Szykował się do czegoś naprawdę dużego. Taniel nie musiał otwierać trzeciego oka, by wiedzieć, że Bo dotknął Nieświata schowanymi w rękawicach palcami. Mag zacisnął powieki.

– Padnij, matole! – krzyknął Bo.

Taniel gwałtownie otworzył oczy. Coś uderzyło go od tyłu, przetoczyło się po nim, nawet nie zwalniając. Poleciał w zaspę. Puls huczał mu w uszach jak wezbrana rzeka. Obok przemknął jakiś duży kształt. Czyżby Gavril owinięty swoimi futrami?

Taniel poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Nie, to nie był Gavril. To był jaskiniowy lew.

Nazwa zwierzęcia wprowadzała w błąd, bo niezbyt przypominało lwa. Tylne łapy miało kocie, ale przednie wyposażone w pazury podobne do kogucich, trzy długie szpony ostre niczym kosy. Do tego głowę tygrysa i potężną pierś lwa, na barki zaś spadała mu gęsta grzywa. Bestia przerastała rozmiarami wszystkie lwy jaskiniowe, które Taniel w życiu widział bądź o których słyszał. Fatrastański niedźwiedź jaskiniowy byłby przy niej mały. Lew wspiął się na tylne łapy i ruszył w stronę Bo.

Uprzywilejowany zrobił taki ruch palcami, jak gdyby szarpnął za struny niewidzialnej wiolonczeli. Rozległ się trzask i z czystego nieba piorun gruchnął prosto w grzywę bestii. Ale stworzenie nawet nie było oszołomione, opadło na cztery nogi i pomknęło niczym jaguar. Z gęstej grzywy snuł się dym.

Bo wyrzucił rękę w powietrze i pozwolił, by opadła pod własnym ciężarem. Lód na zboczu zatrzeszczał złowrogo. Niewielka lawina uderzyła zwierzę z siłą dziesięciu pędzących powozów. Lód pękł, rozdzielił się wokół ciała bestii, jakby była płetwą rekina przecinającą powierzchnię morza. Wiatr dął wściekle, czyste powietrze rozbłysło płomieniami, które rozlały się po pysku stwora. Jednak lew wszystko ignorował.

Bestia znalazła się zaledwie piętnaście kroków od Bo, który wyglądał na wyczerpanego. Pot ściekał mu z czoła. Palce drgały, szarpiąc za niewidoczne struny. Lew się zatrzymał.

Wstrząsnął grzywą i ruszył naprzód, ale już znacznie wolniej.

– Czego siedzisz?!

Taniel poczuł, że ktoś szarpnięciem stawia go na nogi. Gavril. Twarz miał zaczerwienioną po długim, forsownym biegu. W ręku trzymał włócznię, taką, jakiej używa się do polowań na dziki.

– Zastrzel to plugastwo!

Taniel ściągnął karabin z ramienia i wycelował. Bestia potrząsnęła łbem, jak gdyby jej się w nim kręciło, potem zawyła cicho. Szponiastymi łapami

sięgnęła uszu. Szarpnęła się, uderzając głową o ziemię, jakby w czaszce miała rój wściekłych pszczół.

Taniel pociągnął za spust. I wybałuszył oczy zdumiony. Kula dotknęła celu i po prostu ześlizgnęła się z paskudnego pyska lwa – dokładnie tak jak wtedy, gdy Taniel strzelił do Rozalii w Adopeście. Bestia zaryczała ponownie, szponiastą łapą machnęła w stronę Taniela, gestem ewidentnie pełnym niesmaku. W tej istocie z pewnością była magia, taka, z jakiej uczynieni byli bogowie.

Śnieg za Tanielem eksplodował. Mag poleciał w powietrze, prosto ku przepaści. Wylądował na oblodzonej krawędzi. Nie znalazł punktu zaczepienia. Poślizgnął się. Już tylko sekunda dzieliła go od runięcia w przepaść.

Buty nagle znalazły oparcie. Skalna półka wystrzeliła ze zbocza. Półka, której jeszcze przed chwilą tam nie było. Taniel z trudem wgramolił się z powrotem na ścieżkę. Czuł, że chwytają go czyjeś dłonie.

– Chodź – powiedział Darden. Stary delivijski strażnik miał w ręku włócznię, taką samą jak Gavril. Drugą ręką trzymał Taniela. Pozostałe dwie dłonie należały do Ka-poel, która pomagała z całych swych wątłych sił. Spojrzała na Taniela oczami wielkimi jak talerzyki, a potem pośpieszyła w ślad za innymi.

Mag wzrokiem poszukał karabinu. Leżał na ziemi, niezbyt daleko. Czy zdąży go przeładować? Jedno spojrzenie w stronę Bo powiedziało mu, że nie.

Uprzywilejowany cofnął się do jaskini, opierał się plecami o skałę. Lew ponownie stanął na tylnych łapach. Mozolnie kroczył przed siebie, jakby zmagał się z bystrym prądem rzeki. Musiał walczyć o każdy krok. Jednak wygrywał.

Gavril dotarł do lwa jako pierwszy. Cisnął włócznią. Trafił w miękki bok. Bestia zaskowyczała i odwróciła się w stronę przeciwnika. W ostatniej chwili wielkolud uskoczył spoza zasięgu siekących pazurów i przetoczył się w dół ścieżki. Darden przeskoczył nad Gavrilem. Włócznię miał już uniesioną do ciosu. Zaatakował. I eksplodował. W jednej chwili jeszcze był,

w drugiej już nie. Krew i wstęgi tkanek bryznęły po śniegu i skale. Lew zaryczał triumfalnie.

Taniel nie miał czasu pomyśleć. Czy zauważyć krew Dardena, którą przesiąknął mu płaszcz. Wycelował oba pistolety, wypalił.

Prochowy mag umiał prowadzić kulę przez pewien dystans. Wymagało to jedynie wysiłku umysłowego oraz nieco więcej prochu, a znacznie zwiększało zasięg strzału. Potrafił także zapalić proch, przenosząc energię dotknięciem. Dobry Naznaczony umiał również kierować ją na wystrzelone kule, dając im siłę i energię zdolne przedziurawić skałę lub stal.

Taniel podpalił cały swój rożek z prochem, a uzyskaną energię pchnął prosto w wystrzelone kule.

Przedarły się przez lwa na wskroś. Zwierz zawył. Pienista, zielona krew bryznęła na oblodzoną ścieżkę. Lew zostawił Bo. Skowyt bestii zabrzmiał jak rżenie ranionego konia. Obróciła pysk w stronę Taniela. Uniosła szponiastą łapę. Taniel poczuł żar zbliżających się czarów.

Ka-poel przecisnęła się obok i stanęła między magiem a bestią.

– Cholera! Pole, nie!

Ka-poel uniosła obie dłonie w obronnym geście. W jednej z nich coś trzymała – lalkę. Nagą i mniej więcej wielkości dłoni, zrobioną z wosku. Wykonano ją z wielkim kunsztem. Każda z części ciała figurki była precyzyjnym odwzorowaniem człowieka, dokładniej mówiąc, kobiety, zwłaszcza twarz. Twarz Julene.

Ka-poel dźgnęła lalkę długą igłą. Lew zawył ponownie, łapą przyciskając bok. Ruda wetknęła igłę w głowę figurki, wiercąc końcówką wewnątrz woskowej czaszki. Lew szarpnął się, zaryczał. Drapał się po uszach i pysku, pozostawiając długie krwawe pręgi. Ka-poel nachyliła się do przodu, wzięła głęboki oddech, a następnie dmuchnęła na lalkę.

Bestia stanęła w płomieniach. Bo ponowił swoje ataki, jego palce śmigały niestrudzenie. Z wnętrza jaskini frunęły lodowe lance, uderzyły w lwa i rozsypały się tysiącem odłamków. Taniel, rozdygotany, naładował jeden z pistoletów. Zostało mu jeszcze kilka ładunków prochu, jednak w prochownicy miał już pusto. Co mógł wskórać przeciwko takiej istocie?

Znalazł się teraz w potrzasku, między Bo a czarami Ka-poel, nie chciał jednak umierać. Jak długo jeszcze wytrzymają?

Odwrócił się gwałtownie.

– Gavril! Twoja prochownica! Szybko!

Przewodnik, stojący nieco dalej w dole ścieżki, spojrzał Tanielowi w oczy, a następnie cisnął mu swój róg z prochem.

Taniel chwycił prochownicę, zważył w dłoni. Prawie pełna. Dobrze. Odwrócił się. Bo był już chyba u kresu sił. Ka-poel żonglowała w dłoniach płonącą lalką, dźgała ją palcami i igłą, w spojrzeniu dziewczyny lśniła dzikość.

– Padnij! – wrzasnął Taniel, rzucając prochownicą. Chwycił Ka-poel za ramiona i przycisnął do skały. Prochownica wylądowała między zboczem góry a jaskiniowym lwem. Taniel zapalił ją myślą.

Jego umysł okiełznał moc eksplozji i za sprawą czarów Naznaczonego zwiększył do granic możliwości. Lew poleciał w powietrze, na dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt kroków od górskiej ściany, potem zakręcił się i zaczął spadać. Taniel patrzył, jak wyje, przebierając łapami. Wycie zmieniło się w ludzki krzyk, a ciało lwa w paroksyzmach przeobraziło się w ciało kobiety. Odbiło się kilka razy od górskiego zbocza i zniknęło w zalegających na dole chmurach.

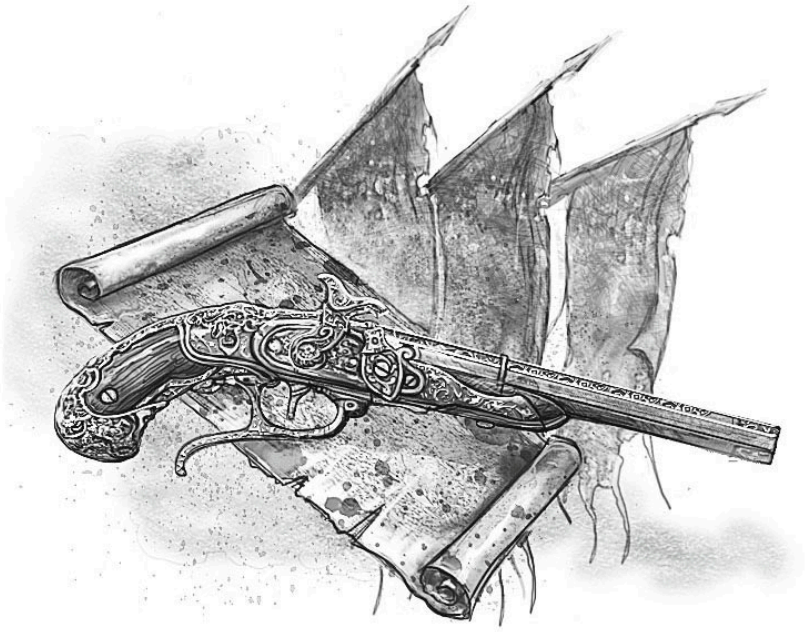

18
ROZDZIAŁ

Tamas zatrzymał się pod uliczną latarnią, aby zerknąć na adres, który kilka godzin temu nagryzmolił na świstku papieru.

– Jeden siedem osiem – mruknął. Mrużąc oczy, spoglądał na tabliczki z numerami budynków. Olem szedł kilka stóp za nim, pistolety miał schowane pod długim płaszczem. Bacznie się rozglądał, wypatrując kłopotów.

Na Trezorze mieli swoje siedziby bankierzy i kupcy ze starych gildii. Trzęsienie ziemi prawie nie tknęło dzielnicy, a powstanie rojalistów całkiem ją ominęło. Wzdłuż bocznych uliczek ciągnęły się rzędy niewielkich, lecz zadbanych kamieniczek należących do przedsiębiorców,

biznesmenów, urzędników oraz przedstawicieli kompanii handlowych. Wszędzie paliły się latarnie, aż Tamas zaczął się zastanawiać, czy jednak przypadkiem nie trafił do niewłaściwej dzielnicy.

To raczej kiepska okolica, aby kogoś skrycie zabić – uznał. Zaraz jednak skorygował się w duchu, dostrzegając przed sobą plamę ciemności. Kiedy się zbliżył, zrozumiał, że zgasło – albo raczej zgaszono – tam dobrych pół tuzina lamp. Policzył domy, upewniając się, że trafił pod właściwy adres, i ruszył prosto do drzwi. Zapukał trzykrotnie. Wewnątrz nie zapłonęły żadne światła, nie było widać żadnych oznak życia. Miejsce wydawało się opuszczone.

Drzwi uchyliły się nieco, a Tamas wraz z Olemem zostali natychmiast wpuszczeni do środka. Ordynans pozostał w bawialni, tymczasem marszałka ujęto pod ramię i poprowadzono w ciemności korytarzem do pomieszczenia, które jak zgadywał, było izbą na tyłach budynku. Trzasnęła zapałka, zapłonęła świeca.

W jej blasku zobaczył znajomą twarz.

– Tamasie, dobrze cię widzieć – przywitał go Sabon.

– Wzajemnie. Mam nadzieję, że nie jestem spóźniony.

– Balwierzy jeszcze nie ma.

– Dobrze. Chciałem ich zobaczyć w akcji. – Tamas rozejrzał się, gdy tylko jego oczy przyzwyczaiły się do słabego światła. Byli w niewielkiej kuchni. Przy kredensie, w rogu, siedział mężczyzna, w kąciku ust trzymał zgaszoną fajkę. Niewysoki, szczupły i średniej budowy, twarz skrywała mu gęsta, czarna broda, przez co jego rysy stały się niemal niewidoczne w półmroku. Gryzł ustnik fajki, przyglądał się Tamasowi.

– Pan jest naszym kontaktem? – zapytał marszałek.

– Proszę mi mówić Palce.

– To chyba nie jest prawdziwe imię? – Tamas uniósł brew.

– Pseudonim. Dla mojego bezpieczeństwa. – Mężczyzna przyglądał się marszałkowi badawczo. Obrzucał go szacującym spojrzeniem od stóp do głów.

– Jest pan Zdolnym. – Tamas wyczuwał w tym człowieku coś niebezpiecznego.

Palce poprawił swój długi, czarny płaszcz, strzepnął z klapy jakiś pyłek.

– Ach tak – odparł. – Jak większość szpiegów. Łatwiej załatwić to i owo, kiedy posiada się talenty, których inni nie są w stanie określić.

– Przez coś takiego jest mi też cholernie trudno stworzyć własną siatkę, po tym jak ludzie Manhoucha zapadli się pod ziemię po śmierci członków kamaryli królewskiej.

– Obawa o życie stanowi niemałą zachętę do zniknięcia. – Palce wodził spojrzeniem od Sabona do Tamasa. Widać było jasno, że nie podoba mu się przebywanie w jednym pomieszczeniu z dwoma prochowymi magami.

– A jednak pan tutaj jest – zauważył Tamas.

– Mam gęby do wykarmienia – przerwał Palce, a potem jeszcze dodał: – Moja Zdolność jest raczej nieznaczna. Potrafię otwierać zamki bez przyborów, otwierać kłódki od zewnątrz.

Tamas słyszał, jak kiedyś uczeni dyskutowali o podobnych sprawach. Nazywali to pomniejszą telekinezą.

– Nic takiego nie stanowiłoby dla mnie zagrożenia – przyznał marszałek. – Owszem, rozumiem pańskie obawy, ale nie mam zwady z nikim spoza królewskiej kamaryli. Pod warunkiem że on nie ma jej ze mną. Szpiedzy Manhoucha są mi potrzebni. Niech pan wie, że płacimy dwa razy więcej od Manhoucha.

Palce wyjął fajkę z ust i zakasłał w dłoń.

– Śmieje się pan ze mnie? – zapytał Tamas i zerknął na Sabona. Delivijczyk po prostu wzruszył ramionami. – Co, na otchłań, jest w tym zabawnego?

– Ta uwaga o podwójnej stawce – odparł Palce. – Naprawdę, nie o to chodzi.

– A o co?

– Marszałku polny, szpiedzy nie są tacy jak żołnierze. Żołnierz, owszem, ma poczucie lojalności, jednak ostatecznie robi swoje w zamian za pełny

brzuch i miesięczny żołd. Szpiedzy wykonują swoją pracę dlatego, że kochają tę grę. Kochają swój kraj albo swojego króla.

– Twierdzi pan więc, że nie będę w stanie wykorzystać dawnej siatki szpiegowskiej Manhoucha?

Palce wycelował w Tamasa ustnikiem fajki.

– Ależ skąd, marszałku. Niektórzy z nas byli lojalni w stosunku do Manhoucha. Ci już opuścili kraj albo pracują bezpośrednio dla Kezu. Reszta z nas kocha Adro i przydryfuje z powrotem. Podejrzewam, że im dłużej pozostanę przy życiu, jako Zdolny i w ogóle, tym więcej szpiegów nagle wyłoni się z cienia.

Tamas przetarł oczy. Kiedy już nagle wyłonią się z cienia, będzie musiał się martwić, czy nie ma przypadkiem do czynienia z podwójnymi agentami i komu z nich może ufać. Głowa mu od tego pękała.

– Sądziłem, że pan to robi dlatego, że musi wykarmić rodzinę – zauważył.

Palce pokiwał głową.

– No, może kłamałem na ten temat.

Sabon prychnął szyderczo. Tamas rzucił przyjacielowi wymowne spojrzenie. Szpiedzy. Wolałby, żeby wszyscy gnili w otchłani. Niestety, byli mu potrzebni.

– Czy Balwierze jeszcze tutaj są? – zapytał.

– Nie wiem – odparł Palce.

Tamas wycelował kciukiem w drzwi.

– Niech pan sprawdzi.

– Ktoś nas powiadomi.

– Teraz.

Szpieg pospiesznie opuścił izbę. Tamas potarł szwy na piersi, powstrzymując ochotę, by je poskubać.

– Potrzebuję rady – oznajmił.

– Jasne, że tak. Beze mnie przy boku jesteś jak nowo narodzone dziecię.

Cisza przeciągnęła się o kilka chwil. Tamas potrafił czytać z oczu Sabona. *Gdybym tam był* – mówiły – *tamten Stróż nawet by się do ciebie*

nie zbliżył.

– Mihali – odezwał się marszałek. – Ten szalony kuchmistrz.

– Naprawdę godzien jest twojej uwagi?

– Gotuje dla całej armii. Morale jest teraz wyższe niż kiedykolwiek wcześniej, głównie dzięki niemu.

– Zatem co jeszcze o nim wiesz?

– Uciekł z Zakładu dla Obłąkanych Hassenbur.

– Aha. Wariat.

– Z pewnością tak tam sądzą. Posłali kilku ludzi, żeby go znaleźli. Twierdzi, że zamknęli go zazdrośni krewni i rywale.

– Paranoja?

Tamas wzruszył ramionami.

– Możliwe.

– Odeślij go – powiedział Sabon. – Gotuje dobrze, ale to nie jest warte tego, by robić sobie wrogów z klientów zakładu. Wiesz, kto go tam zamknął?

– Jakiś człowiek o imieniu Claremonte.

Sabon przez chwilę milczał.

– Nowy szef Bruduńsko-Gurlańskiej Kompanii Handlowej?

– Tak.

– Sądzę, że to załatwia sprawę. Nie możemy ryzykować problemów z dostawami saletry.

– Nie jestem pewien – mruknął Tamas.

– Chodzi o te bzdury z gazet? – Sabon parsknął. – To, że Mihali twierdzi, że jest odrodzonym Adomem? Jak sądzę, to właśnie dowód jego szaleństwa. Niewielu wykształconych ludzi wierzy w podobne mity.

– Nie spotkałeś go.

Sabon pogładził ogolone ciemię.

– Wierzysz mu?

– Nie patrz na mnie w taki sposób. Oczywiście, że nie. Ale ten człowiek jest niegroźny.

– Jaki w takim razie jest powód tego, że go trzymasz?

– Czary – odparł Tamas.

– To Uprzywilejowany?

– Zdolny – sprostował Tamas. – Jego Zdolność ma jakiś związek z jedzeniem. Potrafi robić jedzenie z niczego.

– Nie brzmi imponująco – stwierdził Sabon.

– A słyszałeś kiedyś, żeby ktoś stwarzał materię z niczego? Nawet jakiś Zdolny?

– Hm – mruknął Sabon. – Byłby najbogatszym człowiekiem na świecie.

– Jeśli zajdzie taka potrzeba, możemy wykorzystać go do wyżywienia całego Adro, nawet podczas nieurodzaju. Im dłużej potrwa wojna, tym bardziej będziemy go potrzebować.

– To nie jakieś iluzjonistyczne sztuczki?

– Nie sądzę. Razem z Olemem uważnie mu się przyglądaliśmy. Zdjął z haka pusty kocioł, postawił na palenisku, a kiedy spojrzeliśmy ponownie, gar był już pełen bulgoczącego gulaszu. Włożył do pieca dziesięć bochenków chleba, a wyciągnął sto.

Sabon zmarszczył brwi.

– To nadal mogą być czary i sztuczki. Może być jakimś potężnym Uprzywilejowanym i ukrywać prawdziwą siłę. Nie do końca wiadomo, co potrafią Uprzywilejowani, nawet królewskie kamaryle nie wiedzą wszystkiego o manipulowaniu aurą.

– Owszem, to także przeszło mi przez głowę. Jednakże rozchodzą się różne plotki i obawiam się, że może narodzić się kult. I to w moich szeregach. Olem twierdzi, że Mihali stał się bardzo popularny w Siódmej Brygadzie. Uwielbiają jego jedzenie.

– Co zrobisz?

– Nie mogę go po prostu oddalić i wysłać z powrotem do zakładu – stwierdził Tamas. – Nie po tym, co widziałem. Jest co najmniej potężnym Zdolnym, nawet jeśli dziwacznym, i chcemy mieć go po swojej stronie. Podczas wojny znaczenie wyżywienia jest nieocenione.

Przerwało im ponowne otwarcie drzwi. To wrócił Palce.

– Wszystko gotowe – oznajmił szpieg. – Proszę za mną.

Ruszyli za nim przez ciemność do niewielkiego pomieszczenia na piętrze, z przodu domu, skąd rozciągał się dobry widok na ulicę. Kotary były odsunięte, ale w izbie tak kompletnie ciemno, że pozostawali ukryci przed niepożądanym wzrokiem. Palce poprowadził ich do krzeseł, ustawionych w odległości jednego kroku od okna. Usiedli na nich i czekali.

– Czyli że to on? – cicho zapytał Tamas, wskazując głową dom po drugiej stronie ulicy, zanim zorientował się, że przecież nie widzą jego ruchu.

– Tak jest – odparł Palce. – Od dawna szpieguje dla Kezu, ma niewielką flotę transportową, operującą na Admorzu. Stróż, który próbował pana zabić, został przeszmuglowany na jednym z jego statków towarowych.

– I jest pan pewien, że jest zamieszany?

– Tkwi w tym głęboko. Jest bankierem tu na Trezorze i ma przyjaciół w radzie miejskiej. Przeprowadził sporo rozmów w tutejszym ratuszu, opowiadając, jak to prochowi magowie zamierzają nas wszystkich pozabijać, twierdząc, że powinniśmy obalić pańską radę i skapitulować przed Kezem.

– Niesłychana bezczelność – stwierdził Tamas.

– Owszem – zgodził się Palce. – I sądziłbym, że to zbyt duża bezczelność, jak na szpiega, gdyby nie to, że obserwujemy go, od kiedy piętnaście lat temu przybył do kraju. Nie ma wątpliwości, że właśnie on był zaangażowany w sprowadzenie Stróża.

– Ustalmy coś jeszcze, żeby nie było wątpliwości. – Tamas ściszył głos niemal do szeptu. – Nie chcę rzezi obywateli Adro. Nie chcę państwa policyjnego. Robimy to wszystko tylko dlatego, aby pozbyć się szpiegów Kezu. A zatem jeżeli nie będziecie mieli dowodów, że jakiś dysydent rzeczywiście jest szpiegiem, po prostu przekażcie lokalnej policji, że należy go obserwować. Nie jestem gotów na jednoczesną wojnę z własnymi ziomkami i z Kezem.

Nastała chwila ciszy.

– Zrozumiałem.

– Świetnie. Czy wszystko działa bez zarzutu? – upewnił się Tamas. – Współpraca z Balwierzami? Muszę przyznać, że miałem opory przed ich wykorzystaniem.

– Są doskonali – odparł Palce. – Jeszcze czegoś takiego nie widziałem, nawet wśród naszych własnych zabójców. Dziwię się, że do tej pory z nich nie korzystaliśmy.

– Aż tacy dobrzy? – zdziwił się Sabon.

– Tacy skrupulatni – uściślił Palce. – Zabijają cicho, a potem wręcz perfekcyjnie po sobie sprzątają. Nie zostaje nawet kropla krwi, ciała po prostu znikają. Bez najmniejszego błędu czy potknięcia.

Tamas przypomniał sobie barykady i ciała rojalistów z poderżniętymi gardłami, w przesiąkniętych krwią łóżkach.

– Czyli umieją się nieco pohamować?

Palce zaśmiał się cicho.

– Tak, owszem, ale kiedy chcą, żeby jakieś ciało zostało odnalezione, to robią całkiem spory bałagan. To pomaga im utrzymać uliczną reputację na odpowiednim poziomie, a co większe gangi z daleka. Poprosiliśmy ich, by załatwiali wszystko cicho, i niech mnie szlag, dokładnie tak to robią. – W głosie szpiega zabrzmiała niemal nieuchwytna fałszywa nuta.

– A problemy? – zapytał marszałek.

– Czasem brak śladu jest gorszy od samych zwłok. Kiedy w domu każda rzecz jest na swoim miejscu, tylko rodziny brakuje, to zaczynają się plotki. Niedobre plotki, o duchach, demonach i bogach.

Tamas pomyślał o Wielkiej Południowej Turni, dymiącej w oddali, o podanym przez Adamata wyjaśnieniu Obietnicy Kresimira oraz o tajemniczym ostrzeżeniu Mihalego. Prości ludzie uwierzą we wszystko.

– Nie chcę już więcej takich plotek. Proszę się postarać, żeby te sprawy stały się nieco bardziej naturalne.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Tamas dostrzegł jakiś ciemny kształt na ulicy. Trącił Sabona i wskazał mu postać. Do pierwszego kształtu dołączyło kilka następnych.

– Wrócę za chwilę – oznajmił Palce. Szpieg bezszelestnie wyszedł z pokoju, a po chwili przyłączył się do ciemnych kształtów. Tamasowi wydało się, że dostrzega znajomy balwierski fartuch. Potrząsnął głową.

– Coś mi się wydaje, że od dzisiaj sam się będę golił – oznajmił cicho.

– Ja tak samo – powiedział Sabon.

– A miejscowa policja? – zapytał Tamas.

– Zostali uprzedzeni. Zostawią nas w spokoju, bo wiedzą, że rankiem będą mieli o jeden problem mniej.

Tamas otworzył trzecie oko. Palce jaśniał przyćmionym blaskiem, widocznym nawet przez ściany domu. Marszałek patrzył, jak szpieg idzie do drzwi wejściowych budynku po drugiej stronie ulicy, a następnie schodami do sypialni.

– Chwila – powiedział Tamas. – Tamten drugi szpieg, ten, którego śledzimy. To czarodziej. Mocniejszy od jakiegoś Zdolnego. To Uprzywilejowany.

Sabon ucichł na chwilę.

– Cholera. Pilnuj okien.

Zszedł z krzesła, pomacał wokół, a potem wepchnął Tamasowi karabin w ręce.

Marszałek przygotował broń, posługując się tylko dotykiem.

– Naładowany i podsypany?

– Tak jest – odparł Sabon.

– Zrobi się cholerne zamieszanie – zauważył Tamas. – Nikt nie będzie miał wątpliwości, co się tutaj stało.

– Tylko tak na wszelki wypadek – uspokoił go Sabon.

Tamas spojrzał nad lufą broni w okna sypialni budynku naprzeciwko. Widział blask kezańskiego Uprzywilejowanego, który leżał w łóżku, wyczuwał także Palce, stojącego w drzwiach do izby. Pomyślał, że chyba dostrzegł jakieś cienie poruszające się w mroku.

Tamas uchylił się instynktownie, kiedy w oknach zapłonął blask czarów. Rozległ się stłumiony łoskot, a potem nastała cisza. Marszałek wyjrzał na zewnątrz, trzymając karabin w gotowości. Widział Zdolnego

i Uprzywilejowanego dzięki ich aurom. Palce był na klatce schodowej, leżał płasko na brzuchu, zaś kezański Uprzywilejowany klęczał na podłodze w sypialni. Tamas podejrzewał, że jego gardła dotknęła brzytwa, w przeciwnym wypadku szpieg nadal próbowałby czarować. Palce powoli stanął na równe nogi, wszedł do sypialni. Tamas opuścił broń.

Po kilku minutach z domu naprzeciwko wyłoniły się ciemne postaci: Balwierze oraz ich jeńcy. Przeszli przez ulicę, a Tamas usłyszał otwierające się drzwi na dole. Pozostał na swoim krześle. Obserwował ulicę, wypatrując jakichkolwiek oznak zainteresowania ze strony niepowołanych osób. Sabon poszedł upewnić się, że wszystko w porządku.

Palce wrócił po chwili. W dłoni trzymał świeczkę. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Nie ostrzegliście nas, że to Uprzywilejowany.

– Powinien pan to sam zauważyć – odparł Tamas. – Jeżeli naprawdę jest pan Zdolnym, powinien pan mieć trzecie oko. Paskudne zaniedbanie.

– Nie mogę go otworzyć – wymamrotał Palce. – Potem przez tydzień mam biegunkę.

– Tamten Uprzywilejowany mógł pozbawić pana głowy – zauważył marszałek.

Szpieg odchrząknął głośno.

– To wszystko było tylko na pokaz. Światło i dźwięk. Nic prawdziwego, chociaż przez chwilę myślałem, że zaraz ciało roztopi mi się na kościach.

– Gdy pan się przestraszy, staje się pan szczery. – Tamas zwolnił kurek i oparł karabin o ścianę. – Przyprowadził pan jego żonę?

– Obudziła się, kiedy pokazał się ten błysk. Musiał czarami zabezpieczyć pokój. Był przytomny, kiedy Balwierze pojawili się przy jego łóżku. – Potrząsnął głową. – Widywałem, jak ci ludzie zabijali człowieka śpiącego z żoną w ramionach i zabierali ciało, pozostawiając ją nadal śpiącą jak dziecko. Gdyby nie te glify, wszystko poszłoby jak z płatka.

Tamas uświadomił sobie, że Palce denerwował się, bowiem w słowach marszałka upatrywał krytyki.

– Dobra robota – uspokoił go. – Proszę mi powiedzieć, co wykazało pańskie śledztwo.

– Pan tam nie pójdzie? – Palce wydawał się zaskoczony.

– Pomimo tego, co może pan o mnie słyszał, nie jestem żądny krwi Uprzywilejowanych.

Palce z rozczarowaniem pociągnął nosem.

– Nie sądzę, żeby dużo powiedział. Wygląda na twardego.

– Proszę mu oznajmić, że jeśli nic nie powie, to za pięć minut straci dłoń. Proszę także powiedzieć, że po kolejnych dziesięciu minutach straci drugą.

Palce wybałuszył oczy.

– Tak...

Tamas uśmiechnął się lekko.

– No tak, może jestem trochę żądny krwi czarodziejów. Wiem także, jak z nimi rozmawiać.

Palce wyszedł z pokoju. Tamas nasłuchiwał krzyków, ale daremnie. Gdziekolwiek teraz byli, ściany dobrze tłumiły dźwięk. Sabon zjawił się po jakiejś minucie.

– Nasz szpieg coś źle wyglądał – stwierdził.

– Powiedziałem mu, żeby obciął Uprzywilejowanemu dłonie, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Sabon parsknął.

– To niebezpieczny precedens. Czy tak właśnie zamierzamy postępować w Adro z Uprzywilejowanymi?

– Na otchłań, nie! – zawołał Tamas.– Ten sukinsyn jest jednak kezańskim szpiegiem, a my musimy działać szybko.

Palce wszedł do izby niedługo potem. Jego twarz, widoczna w blasku świecy, była blada, a dłonie nieco mu drżały.

– Podał już trzy imiona.

Tamas poczuł lekki niepokój.

– Ktoś z mojej rady?

– Nie. Twierdzi, że nigdy nie miał żadnych bezpośrednich powiązań z kimś będącym wyżej od niego samego. Same zaszyfrowane wiadomości i pośrednicy. Podał imię swojej żony. – Umilkł. – Marszałku, wystarczy za mocno kogoś przycisnąć, a wyda nawet własną matkę. Właśnie dlatego zachowujemy pewien umiar w torturach. Ludzie powiedzą cokolwiek, byle tylko zakończyć ból.

– To czysta psychologia – odparł Tamas. – Przecież tak naprawdę nie odciął mu pan dłoni? – Ukrył rozczarowanie brakiem jakichkolwiek tropów prowadzących do zdrajcy w radzie.

– Nie...

– Proszę przesłuchać żonę. Dowiedzieć się, co wie. Kiedy już skończycie, proszę ich oboje przekazać moim żołnierzom, a oni załatwią sprawę egzekucji. Jakieś dzieci?

– Jedno – powiedział Palce. – Córka w szkole z internatem w Novi.

– Neutralny kraj. – Tamas się zadumał. – Byli przygotowani na taką okoliczność. Proszę wysłać pismo do przełożonej jej szkoły. Kazać zatrzymać dziewczynę na czas nieokreślony.

Palce niepewnie pokiwał głową.

– Co wiemy o tych szpiegach? – zapytał marszałek. – Wtyczkach, takich jak ten? Jak pan sądzi, ilu ich jest?

Palce nerwowo przygryzł ustnik fajki.

– Nie będzie pan zadowolony.

– Nie muszę być zadowolony. Muszę natomiast wiedzieć.

– Setki – odparł agent. – Już na samym początku przedsięwzięcia uzyskaliśmy tuziny imion, dobrych imion, a nie takich wykrzyczanych podczas tortur. Wielu rzeczywiście okazało się szpiegami Kezu. Mamy setki kolejnych, co do których nie wiadomo na pewno. Kez wniknął tutaj głęboko. Planowali to od dziesięcioleci.

Tamas zamknął oczy. Nie to chciał usłyszeć. Szpiedzy mogą być w jego armii, w mieście i na wsi, w każdym budynku Adopestu. Wiedział już, że zdradził go jeden z członków rady. A ilu jeszcze?

– Dobra robota, Palce – podsumował cicho. Szpieg odczekał chwilę, zanim wyszedł, nie spuszczając spojrzenia z marszałka.

– Muszę podwoić Balwierzom stawkę – stwierdził Tamas. – Dadzą ludzi, jak ja dam pieniądze.

– To niebezpieczne polegać na nich zbyt mocno.

– Ryzyko, które muszę podjąć. Ci szpiedzy mogą zniweczyć wszystko, nad czym pracowaliśmy. Podwoimy patrole i damy więcej uprawień miejscowej policji. Na Kresimira, możliwe, że musimy odłożyć plany związane z nowym rządem.

– Zawsze wiedzieliśmy, że droga, którą będziemy kroczyć, jest niepewna. Po prostu nie zapominajmy o ludziach.

– Oczywiście, że nie. Jak przebiega trening? – Tamas zmienił temat. – Błagam, przekaż mi jakieś dobre wieści.

Na twarzy Delivijczyka pojawił się zmęczony uśmiech.

– Jest lepiej, niż się spodziewałem. Andriya może i jest szalony, ale młodsi rekruci go lubią. Jak się okazało, Vadalslav ma trochę talentu do nauczania. A tym, którzy mieli najmniejszy talent, pokazaliśmy, jak odnaleźć prochowego maga, i rozesłaliśmy, żeby szukali rekrutów. Już teraz jest więcej kandydatów, niż sądziłem, że to w ogóle możliwe.

– Jak wielu?

– Jak dotąd trzynastu o jakimś przyzwoitym poziomie talentu. Dwóch z nich o zdolnościach mogących rywalizować z moimi. Niestety, żaden nie jest na twoim poziomie albo poziomie Taniela.

– Trzynastu? – zdumiał się Tamas. – Chyba żartujesz. Mnie zebranie takiej grupy zajęło całe lata.

– Nie uwierzyłbym, gdyby nie widział na własne oczy – zapewnił go Sabon. – Pamiętaj, że niecałych sto pięćdziesiąt lat temu w Adro prowadzono odstrzał prochowych magów. Każdego mężczyznę, kobietę oraz dziecko sprawdzano pod kątem zdolności związanych z prochem i jeśli coś odkryto, przeprowadzano egzekucję. Nawet dzisiaj ludzie ukrywają te moce. Przynajmniej tak robili jeszcze do niedawna. Staramy się właśnie opracować system bezpośredniego wyszukiwania prochowych magów.

– To ma być coś w rodzaju Różdżkarzy Uprzywilejowanych?

Sabon przytaknął.

– Kamaryla królewska miała do dyspozycji znacznie silniejsze czary niż my. I więcej ludzi. Ale jestem pewien, że coś wykombinujemy.

Tamas poklepał go po ramieniu.

– Dobra robota, przyjacielu. Informuj mnie na bieżąco. Wiem, że nie jesteś zadowolony z tego przydziału.

– Jest jeszcze coś, o co powinienem cię zapytać. – Sabon zdawał się wahać przez moment.

– Co takiego?

– Jeszcze niedawno Taniel i Vlora mieli się pobrać – Delivijczyk starannie dobierał słowa. – Muszę cię zapytać, czy celowo chciałeś ich ze sobą skojarzyć.

– Co masz na myśli? – spytał Tamas, chociaż wiedział doskonale, o czym mówi przyjaciel.

– Połączyłeś ich, żeby ich dzieci zostały prochowymi magami?

Marszałek zastanowił się nad odpowiedzią. Oczywiście był to niezwykle korzystny zbieg okoliczności, no i poparcie Tamasa dla tego związku nie było tak całkiem pozbawione ukrytych motywów.

– Taka myśl przeszła mi przez głowę.

– Nawet kamaryle nie posuwały się do podobnej hodowli. – Sabon wyraźnie przeciwny był takiej koncepcji.

– Nie? A jak myślisz, dlaczego król obdarzał każdego czarodzieja płci męskiej własnym haremem? Z dobrego serca? Nie, Sabonie, zdecydowanie chodziło o hodowlę Uprzywilejowanych. To nie jest wiedza powszechna, ale sam Odźwierny miał ponad tysiąc dzieci.

– Byli jacyś Uprzywilejowani?

– Jedno – powiedział Tamas. – Młodszy członek kamaryli królewskiej. Nawet nie wiedział, kto był jego ojcem.

Sabon słuchał z otwartymi ustami, w oczach miał zgrozę.

– Co stało się z tymi wszystkimi pozostałymi dziećmi?

– Obozy pracy, sierocińce, Straż Górska. – Tamas wzruszył ramionami. – Niektóre zamordowano w niemowlęctwie. Królewska kamaryla nigdy nie była czymś przyjemnym. Nie pozwolę, żeby moja, prochowa, tak skończyła, ale owszem, planowałem, że ich dzieci zostaną Naznaczonymi. Z moich własnych badań wynika, że prochowi magowie przekazują moce potomstwu znacznie częściej niż Uprzywilejowani.

– Jak długo badasz ten temat?

– Zacząłem na długo przed tym, jak się spotkaliśmy.

Sabon przyjrzał mu się ciemnymi oczyma.

– Erika była prochowym magiem.

Tamas nie zdołał powstrzymać pełnego wściekłości grymasu. Już miał dosyć tych przypuszczeń Sabona.

– Nawet o czymś takim nie myśl – ostrzegł. I choć starał się mówić spokojnie, to w jego tonie warczała wściekłość. – Kochałem swoją żonę. Dałbym wszystko, aby ją odzyskać. – Głos mu się załamał. Odchrząknął. – Taniel NIE BYŁ wynikiem eksperymentu.

– To dobrze. – Sabon zdawał się usatysfakcjonowany odpowiedzią. – Miałem nadzieję, że mnie wezwiesz po swojej ostatniej przygodzie – dodał po chwili.

Tamas potrząsnął głową.

– Przykro mi. Potrzebuję cię, żebyś uczył nowych prochowych magów. Potrafię zadbać o siebie.

Tamas usłyszał, jak Sabon zgrzyta zębami.

– Jesteś upartym draniem, a to cię kiedyś zabije – stwierdził Delivijczyk. – Następnym razem poślą więcej niż tylko jednego Stróża.

– Możliwe, ale jeszcze nie teraz. Zamierzam się trochę przespać, a zanim wrócisz do swojej szkoły, daj komuś znać, że chcę, by tego szpiega ścięto, a jego dłonie odesłano do Kezu razem z wdową po nim. Chcę też, żeby Ipille wiedział, że jego szpiedzy będą wracać w coraz mniejszych pudełkach, dopóki ich stąd wszystkich nie odwoła.

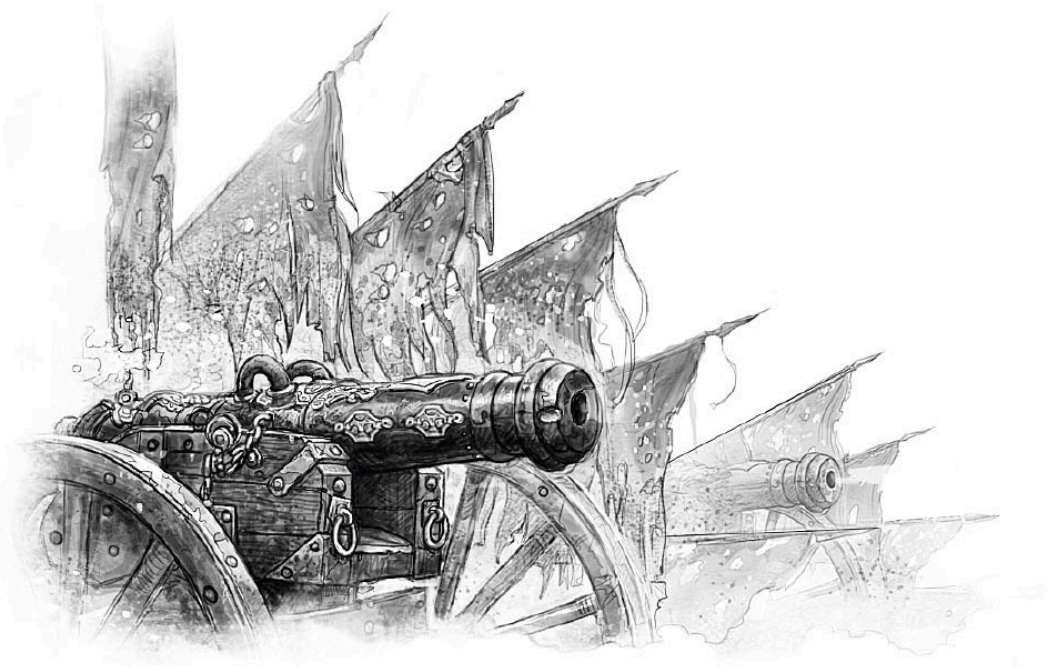

19
ROZDZIAŁ

To, co zdołali zebrać z Dardena, pochowali pod niewielkim kurhanikiem ze skał i lodu. Gavril powiedział, że jest tu więcej mogił: pielgrzymów, którzy nie przetrwali wędrówki na szczyt, mnichów, którzy padli ofiarami zimy, chorób albo górskich drapieżników. Darden będzie spoczywał w dobrym towarzystwie, zapewnił ich wielkolud.

Taniel, ścisnąwszy w palcach kawałek węgla drzewnego, zaczął szkicować w kajecie twarz zmarłego. Rysy starego Delivijczyka już zaczynały blednąć we wspomnieniach chłopaka. Zbyt krótko się znali. Zamknął oczy, starając go sobie przypomnieć.

Wspomnienie Julene – Taniel miał pewność, że to była ona – wrzeszczącej, gdy leciała w dół, obijając się o skały, by w końcu zniknąć gdzieś w dole, prześladowało maga przez całą noc. Nie potrafił zasnąć. Za każdym razem, kiedy już ogarniała go senność, widział pod powiekami jaskiniowego lwa. Jak mógł tego nie dostrzec? Ta jej złość, ta cała brawura. Powinien spodziewać się jakiegoś podstępu. Wreszcie zasiadł u wejścia do jaskini, przypatrując się, jak niebo ponad nim jaśnieje, w miarę jak po drugiej stronie góry, na wschodzie, wznosiło się słońce.

Odmówił wykonania bezpośredniego rozkazu. Co Tamas z tym zrobi? Co dobrego z tego wyniknie? Tamas wyśle jakiegoś innego prochowego maga. Może nawet sam się zjawi? Mógł postawić Taniela przed sądem wojennym. Czy każe go stracić? Taniel nie sądził, aby nawet ktoś taki jak Tamas był zdolny zlecić egzekucję własnego syna. W każdym razie taką miał nadzieję.

Jak wyjaśni to wszystko ojcu? Co zrobi, kiedy zjawi się tu po nich kolejny prochowy mag? Skopał z półki kawałek lodu. No cóż, trzeba będzie sobie radzić z tymi problemami na bieżąco.

Usłyszał trzeszczenie lodu pod czyimiś podeszwami. Z jaskini wyszedł Bo. Taniel zmierzył przyjaciela przeciągłym spojrzeniem. Uprzywilejowany wyglądał tak, jak gdyby nie spał od tygodni. Oczy miał zaczerwienione, twarz spaloną górskim słońcem. Wydawało się, że nieustannie się poci, a gdy usiadł obok Taniela, nerwowo szarpał klapę płaszcza.

Bo patrzył na blednące gwiazdy, zaś Taniel szkicował podobiznę Dardena, aż wreszcie rozległy się pierwsze krzyki ptaków, ruszających na polowanie o świcie.

– Jesteś w tym coraz lepszy – ocenił Bo. – Wygląda dokładnie jak on.

– Miło słyszeć. Miałem problem, żeby go sobie wyobrazić. – Wetknął węgiel do kieszeni i zamknął szkicownik.

– To było paskudne ze strony Tamasa, że wysłał tu ciebie, żebyś mnie zabił – stwierdził Bo. Głos miał miły, cichy. Bez wątpienia dla niejednej kobiety brzmienie tego głosu było pieszczotą. – Nie zrozum mnie źle –

dodał. – Cieszę się, że to zrobił. Ktoś inny oddałby ten strzał. Chociaż mogłeś sobie wybrać lepszy moment.

– Spodziewałeś się mnie. – Taniel nie był nawet zaskoczony. Bo wiedział o wielu sprawach, nawet o takich, o których wiedzieć nie powinien.

Mag chuchnął w zziębnięte dłonie.

– Prochowego maga, prędzej czy później – stwierdził Bo. – Tak naprawdę to przede wszystkim spodziewałem się jej. Na nią się szykowałem. – Wskazał szlak prowadzący po skalistej półce i klasztor daleko w dole. – Pilnowałem całego szlaku od dwóch tygodni. Od kiedy odwiedził mnie tamten detektyw i przyniósł wiadomość, że ona spróbuje przyzwać Kresimira. – Ponownie pociągnął klapę płaszcza, przesuwając palcem po kołnierzu.

– Ona?

– Julene. Ta suka Predei.

– Predei – powtórzył Taniel. – Uprzywilejowana, którą tropiłem w Adopeście, też mówiła, że jest Predei.

Bo przełknął z trudem ślinę.

– Są aż dwie takie? Do otchłani.

– Co to jest Predei?

– Nie wiesz?

– A pytałbym, gdybym wiedział? – obruszył się Taniel.

Bo zmarszczył brwi.

– Jak się jest członkiem królewskiej kamaryli, to się można dowiedzieć bardzo ciekawych rzeczy. Takich, o których pamiętają tylko uczeni. Można poznać sekrety liczące sobie z tysiąc lat albo i więcej. Ja... Aha, mówiłeś, że Tamas wyrżnął całą kamarylę. To prawda?

– Tak.

Bo spojrzał na blednące gwiazdy.

– W takim razie zakładam, że nikt mnie nie będzie ścigał za zdradę sekretów. – Nabrał powietrza. – Kresimir nie zjawił się tutaj tak sam z siebie.

– Nie byłem na nabożeństwie, od kiedy byłem chłopcem. – Taniel spoglądał na przyjaciela ze sceptycyzmem. – Teraz już tylko pospólstwo słucha takich rzeczy.

– I nie są tacy ciemni, jak myślisz – pouczył go Bo. – We wszystkich przesądach jest ziarno prawdy.

– A ty wierzysz w ten przesąd?

– Istnieje różnica między wiarą w coś, czego nigdy nie widziałeś ani nie doświadczyłeś, a wiedzą z pierwszej ręki o tym, że coś jest prawdziwe.

– Mówisz, że spotkałeś Kresimira?

– Nie, nie spotkałem... – Bo westchnął. – Po prostu zamknij się i słuchaj. W kamaryli pokazali mi rzeczy, które od mileniów przechodziły przez umysły kolejnych czarodziejów.

Taniel parsknął.

– Kresimir. Dobra. Zakładając, że istniał naprawdę, to było tysiące lat temu.

– Och, Kresimir istniał naprawdę. Czy go nazwiesz bogiem, czy też potężnym czarodziejem, nie ma znaczenia, faktem jest, że był prawdziwy. I to było tysiąc czterysta lat temu, tak mniej więcej. Dokładna chronologia przepadła w czasie Pomrocza – opowiadał Bo. – Wezwano go tutaj. Sprowadzili go na ten świat, może nawet siłą, Predei. Niektórzy nawet sądzą, że był posłuszny ich woli.

– Nieważne, bóg czy czarodziej, jak można kogokolwiek zmusić, żeby przybył do tego świata?

Bo bawił się kołnierzem.

– Predei to poprzednicy Uprzywilejowanych. Potężni czarownicy, przy których dzisiejsi Uprzywilejowani wyglądają jak dzieciaki bawiące się ogniem. W czasach przed Kresimirem byli władcami i szukali sposobu na zwiększenie swojej potęgi. Wezwali Kresimira z... – uczynił dłonią nieokreślony gest i wzruszył ramionami – po czym zaproponowali, aby użył swojej mocy do wprowadzenia ładu w Dziewięciu.

– A święci? – zapytał Taniel.

Bo potrząsnął głową.

– Nie. Chociaż dobrze rozumujesz. Święci, Adom, Novi i cała reszta, zjawili się później, kiedy Kresimir nie był już w stanie sam podołać zadaniu i wezwał braci oraz siostry, żeby mu pomogli. Podzielił się z nimi mocą i wiedzą, a kiedy odszedł, oni także odeszli.

– Jednak Predei zostali? – zapytał Taniel. – Mieliby teraz tysiące lat.

– Albo i więcej – powiedział Bo. Znowu wzruszył ramionami. – Zanim jeszcze wezwali Kresimira, wiedzieli, jak powstrzymać starość, choroby i śmierć. Czary były wtedy potężniejsze. Nie wiem, czy w ogóle teraz ktoś ma taką moc, żeby zabić Predei.

Taniel przełknął ślinę. Spojrzał z urwiska w chmury na dole.

– Mówisz, że ona nie jest martwa?

Bo zrobił ponurą minę.

– Nie wiem. Przypuszczalnie nie, chociaż staram się pozostać optymistą. W każdym razie musimy się dowiedzieć. Jeśli przetrwała, to Adro jest w wielkim niebezpieczeństwie.

– Jak to?

– Ona chce unicestwić nasze wojska, naszych czarodziejów i naszych prochowych magów. Połowa roboty już za nią, w związku ze śmiercią kamaryli królewskiej. Jeżeli wezwie z powrotem Kresimira, on zrobi za nią resztę roboty i będzie już miała Adro w garści. Kresimir jasno określił, że nie interesuje go sprawowanie władzy nad Dziewięcioma. Julene sądzi, że jeśli dowiedzie mu, że królowie oraz ich kamaryle nie są w stanie podołać temu zadaniu, odda władzę w jej ręce. Długo czekała na to, by rządzić.

Taniel parsknął szyderczo.

– Kresimir. Kto myśli o takich rzeczach? Kresimira już dawno nie ma.

– Julene jest innego zdania. Podobnie kezańska szlachta, jak również pewne frakcje w obrębie Kościoła Kresimskiego.

– Dlaczego chciałaby tutaj boga? Z tego, co mówisz, niewiele jej brakuje, żeby sama została jakimś bogiem.

Po wyjaśnieniach Bo Taniel zaczynał rozumieć, co wydarzyło się na Uniwersytecie Adopestańskim, moc, jaką dysponowały Julene i Rozalia, jak również fakt, iż Julene przeżyła atak Rozalii.

– Władza. O to chodzi Julene. Władza nad innymi. Książki historyczne opowiadają o Pomroczu, czasach, kiedy zaginęła wiedza o Kresimirze. Tylko kamaryle królewskie pamiętają, co działo się w czasie Pomrocza. Trwała wtedy wojna między Predei a nowymi królami Dziewięciu i ich kamarylami. Julene twierdzi, i to z dumą, że to ona zaczęła tę wojnę. Miliony zginęły. W końcu Predei zostali zdziesiątkowani i zniknęli. Niektórzy zginęli, inni uciekli. Jeszcze inni się ukryli. Julene była wśród tych, którzy przeżyli.

– Wydaje się, że sporo o niej wiesz.

– Byliśmy... ze sobą... kiedyś. – Bo się skrzywił.

Taniel nie zdołał się powstrzymać i parsknął śmiechem.

– Nie jestem z tego dumny – przyznał czarodziej.

– Coś ty w niej widział?!

Bo pociągnął nosem.

– Jest bardzo dobra w łóżku.

– Ona... najwyraźniej... jest z pięćdziesiąt razy starsza od ciebie!

– Dzięki temu jest bardzo doświadczona. – Bo z uwagą oglądał własne paznokcie. – I nie najlepiej u niej z rozsądkiem i oceną sytuacji, gdy do głosu dochodzą emocje. Zadurzyła się we mnie i opowiedziała o rzeczach, o których nie powinna.

– A teraz próbuje cię zabić? Dlaczego?

Bo cisnął kamień w przepaść i patrzył za nim, póki odłamek skały nie zniknął wśród chmur.

– Mówisz, że pracuje dla Tamasa?

– Owszem, jako najemniczka. Ściga Uprzywilejowanych.

– Najwyraźniej dostrzegła jakąś sposobność i nie mogła odpuścić. Nie lubi innych Predei i z pewnością nie lubi mnie. Zobacz sam, jak bardzo chciała mnie dorwać. Kobieta porzucona i tak dalej. Ledwie mi się udawało ją spowolnić, a miałem na tej ścieżce wystarczająco dużo czarodziejskich pułapek, żeby zabić całą armię. – Spojrzał na Taniela ze strapieniem. – Szkoda, że wyłączyłeś połowę z nich.

Taniel zmarszczył czoło.

– Nie wiesz? – Bo potarł skronie. – Boże, ile spraw muszę ci jeszcze wyjaśnić? Magia ochronna opatula cię mocniej niż własna skóra. Nawet najsilniejsi Uprzywilejowani nie są w stanie stworzyć na kimś takiej ochrony, ludzkie ciało jest po prostu zbyt skomplikowane. Po tej stronie góry utkałem czary zdolne unieruchomić nawet boga. Przynajmniej tak sądziłem. A ty przeszedłeś przez nie, nawet ich nie zauważając. Jeszcze nigdy nie widziałem takiej magii. Chociaż w pobliżu Naznaczonego każdy glif staje się słabszy, najsilniejsi Naznaczeni, jak na przykład Tamas, potrafią całkowicie rozwiązać glif ochronny, chociaż na to trzeba czasu i praktyki.

– To właśnie dlatego krzyczałeś, żebym się nie zbliżał?

– No.

– Dobra... – Taniel strzepnął śnieg z płaszcza. Istniało tyle spraw, o których nie wiedział. Zdawało się, że Bo ma cały wachlarz odpowiedzi, ale nawet on nie znał wszystkich. W Adro coś się działo, coś oprócz wojny i zamachu stanu, i wszystkiego innego, coś znacznie poważniejszego, niż ktokolwiek miał pojęcie. Aż rozbolała go od tego głowa.

– Kto, do otchłani, utkał wokół mnie czary? Ja przecież nawet...

Ona.

Bo zerknął do jaskini, na śpiącą Ka-poel.

– Opowiedz mi o tej dzikusce.

Ka-poel leżała opatulona ściśle w koce, nie widać było nawet palca, ale od góry wystawało kilka czerwonych kosmyków. Koce unosiły się i opadały w rytm oddechu.

– Jest Dynizyjką – zaczął Taniel. – Nie z Imperium Dynizyjskiego, ale z Dziczy Fatrastańskiej.

– Jak ją spotkałeś?

– Kiedy Fatrasta ogłosiła niepodległość od Kezu, przyłączyłem się do wojny. Spędziłem tam trzynaście miesięcy, bazę miałem w wiosce Ka-poel. Jej plemię sprzymierzyło się z Fatrastanami. Wyprawiałem się stamtąd do południowej Fatrasty i ze swoim odziałem uderzałem na kezańskie obozy, zabijając Uprzywilejowanych i oficerów, nawet paru Stróżów. Wioska

leżała wśród bagien, nie dało się jej znaleźć, chyba że jakiś tubylec wskazałby drogę. Doskonałe miejsce. Na tych samych bagnach mieszkało jeszcze jedno plemię. Przez większość wojny pozostawało neutralne, ale pod koniec mojego pobytu sprzedali się Kezowi. Zaatakowali wioskę Ka-poel. Jej ziomkowie zdołali w końcu ich odeprzeć, ale tamci porwali dwadzieścioro czy nawet trzydzieścioro dzieci. Ludzie Ka-poel chcieli, żeby Fatrastanie pomogli im je odzyskać. Fatrasta bez reszty była zaangażowana na rozmaitych frontach. Odmówiła. Mój oddział odwołano z wioski. Jednak zostałem i ruszyłem z tubylcami po dzieci. Większość została zamordowana.

Taniel poczuł suchość w ustach. Tamto wspomnienie prześladowało go nawet teraz. Widok tuzinów dzieci, ukrzyżowanych na kolczastych krzyżach i zwisających z pokrzywionych gałęzi omszałych bagiennych drzew.

– Dlaczego? – wykrztusił Bo.

Taniel prychnął z goryczą.

– Chcieli pokazać Kezowi, jak bardzo potrafią być okrutni. Kez dawał im whiskey, przyprawy, karabiny, konie. Wszystko, czego chcieli, za pomoc w rozbiciu mojego oddziału. W tamtym roku przysporzyliśmy im sporo zmartwień.

– Co zrobiliście w tamtej wiosce?

– Sprawiedliwość – odparł Taniel krótko. – Nie jestem z tego dumny. Ale też nie żałuję.

Taniel patrzył, jak strzępiaste chmury przetaczają się pchane niewidzialnymi prądami powietrza, po czym znikają za krawędzią urwiska. Nagle zrobiło mu się zimno, objął się ramionami. Wróciło doń wspomnienie mordu, dawno już upchnięte w najdalszym zakamarku umysłu i tam szczelnie zamknięte. Może jednak paru rzeczy żałował.

– Tak czy owak – otrząsnął się z zadumy – Pole była nieco starsza od pozostałych, ale ją też zabrali. Pewnie dlatego, że była Kościanym Okiem. Nie wiedziałem, co to dla nich znaczy. Nadal nie wiem. Wczoraj po raz pierwszy widziałem, jak używa swoich mocy do czegoś więcej niż

tropienie. Chociaż od dawna wiem, że jest kimś w rodzaju Uprzywilejowanej. – Taniel gmerał wokół siebie i w plecaku, aż wreszcie znalazł zapasowy ładunek. Odgryzł papier, smakując siarkowy pył, za jednym zamachem wciągnął połowę prochu.

Bo wpatrywał się w niego zatroskany. Odsunął się powoli i w zamyśleniu potarł odsłoniętą skórę.

– No, nie patrz tak na mnie – mruknął Taniel ze zniecierpliwieniem.

– Jeszcze nigdy nie widziałem takich czarów jak te, które wczoraj uwolniła – stwierdził Bo. – Ani takiej ochrony, jaką wokół ciebie utkała. Królewskie kamaryle są przekonane, że istnieją tylko trzy rodzaje ludzi obdarzonych mocą: Uprzywilejowani, Naznaczeni i Zdolni. W dalekich zakątkach świata natknęliśmy się jeszcze na pomniejsze czary wiedźm, szamanów i czarowników, ale na nic tak potężnego jak to, co pokazała. Czy ma trzecie oko?

– Tak, jestem pewien. Pomaga mi tropić Uprzywilejowanych.

Bo przyłożył dłoń do czoła Taniela. Zamknął oczy, mamrocząc coś, a następnie odsunął się gwałtownie. Wytarł dłoń śniegiem.

– Boże, aż zioniesz prochem. Od tego oczy łzy mi łzawią i swędzi między palcami. A co do twojej ochrony. Nie mam pojęcia. Całkiem nieźle unieszkodliwiła moje zabezpieczenia. Nie wiem, czy powstrzymałaby kulę albo nóż. To może działać tylko przeciwko czarom. W każdym razie nie ryzykuj.

Taniel powrócił myślami do walki z lwem jaskiniowym. Z Julene. Prawie spadł w przepaść, niemal już rozpoczął długi lot ku śmierci, gdy nagle ze zbocza góry wyrosła półka skalna, dokładnie pod jego stopami. Zastanawiał się, czy to była sprawka Ka-poel, czy Bo. Nie pytał. Nie chciał uzależniać się od czyjejś opieki. Bo mógł sobie przypisać zasługę, nawet gdyby nie była jego. Albo wręcz przeciwnie. Zawsze był nieprzewidywalny.

– Tamas wysłał mnie, żebym cię zabił – przypomniał przyjacielowi Taniel.

– Wiem.

Nie patrzyli na siebie.

– Nie zrobiłem tego.

– Owszem – cierpko stwierdził Bo. Zerknął na Taniela z ukosa, potem szybko się uśmiechnął.

– A powinienem?

Bo spoważniał.

– Wie o przysiędze?

– To prawda?

– Tak, prawda – burknął Bo. – Element członkostwa w królewskiej kamaryli. Pewnego dnia będę musiał pomścić króla. – Spod koszuli wyciągnął jakiś wisior. Prosty, srebro oplecione wokół pojedynczego szlachetnego kamienia. Taniel mgliście przypominał sobie podobne naszyjniki u martwych Uprzywilejowanych z Kezu. Nawet dzicy ich nie zabierali.

– Czy... czy to właśnie to? – upewnił się.

– Demoniczny karbunkuł. Bardzo mroczna sprawa. Nie chciałbyś o tym wiedzieć. Powiązane jest z nim geas każące chronić albo pomścić króla. Nawet teraz czuję, jak mnie ciągnie, szarpie w stronę Adopestu. Przymus nie jest zbyt silny. Będzie narastać z czasem. Nie jestem pewien, jak długo to będzie trwało, ale wiem, że jeśli będę się opierał, w końcu mnie zabije.

– Jedynym sposobem, aby to przełamać, jest pomszczenie króla?

Bo milczał.

– To znaczy, że musisz zabić mojego ojca?

Uprzywilejowany rzucił kamyk w dół urwiska. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Powinniśmy już zacząć szukać sposobu na przełamanie klątwy. – Taniel miał nadzieję, że powiedział to z wiarą i przekonaniem. – Uprzywilejowani nie przywiązywaliby się do czegoś, czego nie da się pozbyć. To tylko kolejny sekret. Może zna go któryś z Predei.

Przyglądał się przyjacielowi i dopiero teraz zdał sobie sprawę, ile kosztowała Bo wczorajsza walka. Policzki mu się zapadły, skóra wyglądała na obwisłą i pomarszczoną, jakby przybyło mu nagle ze czterdzieści lat.

– Razem się tego dowiemy – zapewnił przyjaciela. – Przełamiemy to. Przyrzekam.

Bo zaśmiał się zmęczony.

– Oczy mnie będą mnie piekły każdego dnia, gdy będziemy razem, ty optymistyczny sukinsynu. Chodź. – Wstał, przeciągając się. – Musimy sprawdzić, czy zabiliśmy tę sukę.

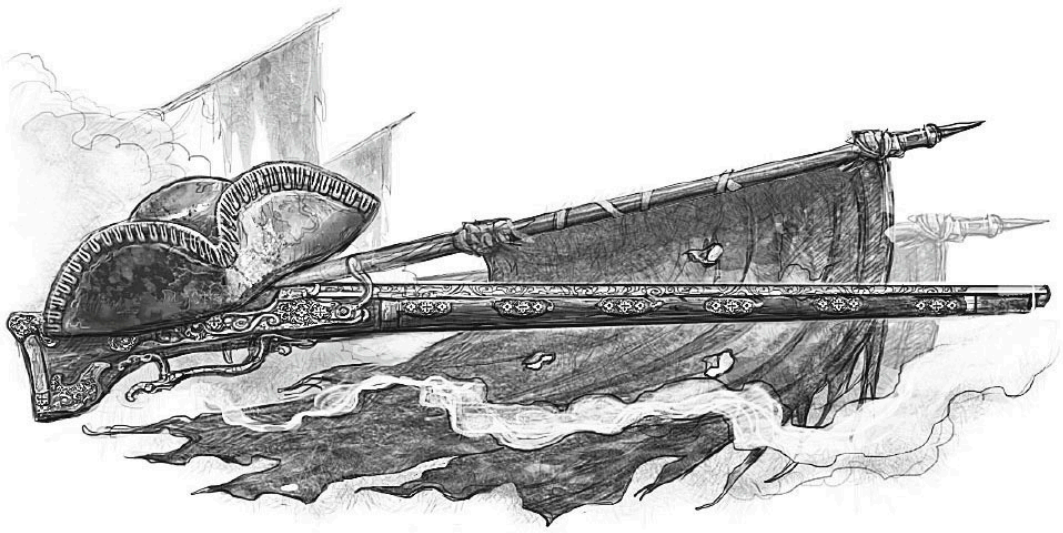

20
ROZDZIAŁ

Salon dworu Winceslavów był ogromny. Miał ceglane, zdobione ściany i granitowy kominek tak wielki, że można by przeprowadzić przezeń parę wołów. Adamat nie skorzystał z propozycji kamerdynera, by usiąść, i teraz powoli przechadzał się po komnacie, czekając na panią domu. Na ścianach wisiały liczne portrety lady Winceslav i jej męża, Henriego Winceslava, jak również wspólny portret ich obojga w towarzystwie czwórki dzieci. Obraz miał może z pięć lat, powstał tuż przed śmiercią starego diuka. Według posiadanych przez Adamata informacji dzieci powysyłano do szkół z internatem albo zostawiono na wsi z guwernantką.

Detektyw uważnie obejrzał podłogę, ściany oraz drzwi. Ze stanu posiadłości adrańskiej rodziny szlacheckiej można było niejedno wywnioskować. Gdy z finansami było nie najlepiej, często rezygnowano ze służby, co oczywiście odbijało się na czystości pomieszczeń.

Tutaj wszystko aż lśniło. Drewniane meble i mosiężne elementy wypolerowano, posadzkę niedawno wymieniono, cegły kominka starannie omieciono. Najemnikom wiodło się całkiem nieźle, nawet gdy zabrakło lorda Winceslava. Walczyli w Fatraście przeciwko Kezowi, przeciwko Gurlanom w służbie Brudanii oraz wszędzie tam, gdzie kolonistów z Dziewięciu stać było na wynajmowanie Skrzydeł Adoma.

Adamat wspomniał, że za Skrzydła był odpowiedzialny nie tylko lord Winceslav. Powiadano, że lady Winceslav jest wystarczająco bystra, aby dorównać większości liniowych generałów, oraz że lord Winceslav bardzo polegał na żonie i przed śmiercią jeszcze przekazał jej większość spraw. Lord miał tęgi umysł, potrafił obchodzić się z ludźmi i ze słowami. Lady była przebiegła, praktyczna i umiała planować.

Adamat odwrócił się w stronę drzwi, gdy usłyszał dobiegające z korytarza głosy. Wygładził przód kamizelki. Do salonu weszła niewielka grupka: trzech mężczyzn i kobieta, wszyscy w białych mundurach, przewiązanych na piersi złotymi szarfami. Czworo brygadierów Skrzydeł Adoma. Za nimi kroczyła lady Winceslav, w sukni do jazdy konnej uszytej z dobrej fioletowej wełny, której kołnierz zapięła ciasno pod szyją, mimo że dzień był bardzo ciepły, jak na tę porę roku. Jej ramiona okrywał też szal, kolorem dopasowany do sukni. Wysokie obcasy bucików stukały na deskach podłogi.

Adamat dostrzegł rezerwę w twarzach dowódców. Dwoje rozpoznał z malowideł wiszących w wielkim holu: brygadier Ryze był starszy od marszałka polnego Tamasa. Włosy miał równie białe co mundur, a na dłoniach i twarzy liczne blizny, lniana przepaska na oku zasłaniała ślad po ranie otrzymanej w bitwie przed pięciu laty.

Brygadier Abrax była zaś całkowitym przeciwieństwem lady Winceslav. Krótkie blond włosy miała ścięte nad uszami, policzki ogorzałe po zbyt

wielu kampaniach w Gurli. Nieczęsto ludzie spoglądali na Adamata z takim chłodem jak ona.

Przedstawiono ich sobie szybko. W porównaniu ze starszymi oficerami brygadier Sabastenien i brygadier Barat przywodzili na myśl chłopców, którzy przebrali się w ojcowskie mundury. Żaden z nich nie mógł mieć jeszcze dwudziestu pięciu lat.

– Jeśli łaska, chciałbym obejrzeć pańskie listy uwierzytelniające – zażądał Barat energicznie.

W odpowiedzi na taką impertynencję Adamat obrzucił brygadiera spojrzeniem spod przymrużonych powiek.

– Okazałem je natychmiast po przybyciu. Wszystko jest jak należy.

– A jednak...

Detektyw wręczył młodemu brygadierowi kopertę. Starał się przemóc płonące w nim oburzenie. W przeciwieństwie do wielu współczesnych armii awansu w Skrzydłach nie dało się kupić, na stopień trzeba było zasłużyć. Dlatego też brygadier w tak młodym wieku musiał być kimś wyjątkowym.

Barat przeczytał uważnie dokumenty Adamata. Podszedł do pozostałych i podał im notkę od Tamasa, w której marszałek dawał detektywowi pełną swobodę w zakresie prowadzonego śledztwa.

– Dlaczego – zaczął powoli brygadier Ryze – Tamas czuje potrzebę kierowania gróźb pod adresem swych najbliższych doradców?

– Środek ostrożności – odparł Adamat. – Marszałek chciał mieć pewność, że śledztwo zostanie przeprowadzone sprawnie i nie napotka na żadne... przeszkody.

Był jednak pewien, że owych przeszkód napotka mnóstwo. Zgodnie z dokumentem podpisanym przez Tamasa każdy, kto w jakikolwiek sposób będzie utrudniał detektywowi śledztwo, zostanie z góry uznany za winnego. A i tak nawet setka podobnych not nie powstrzyma szlachty przed ukrywaniem swoich tajemnic. Adamat zastanawiał się, czy Tamas rzeczywiście spełniłby swoje groźby, gdyby detektywa znaleziono na przykład leżącego twarzą do dołu w jakimś rowie nieopodal dworu.

Ryze oddał papiery Baratowi, a ten zwrócił je Adamatowi. Detektyw odebrał dokumenty bez słowa, nie zaszczyciwszy młodszego z oficerów spojrzeniem. Prawie czuł, jak Barat kipi ze złości, wracając do swoich przełożonych. Barata wyłuskano ze szlachty, Adamat mógłby się o to założyć. Tacy jak młody brygadier zawsze patrzyli z góry na wszystkich, których mieli pod sobą, i klękali przed każdym, kto znajdował się nad nimi.

– Proszę prowadzić swoje śledztwo – odezwał się brygadier Ryze. – Lady Winceslav nie ma nic do ukrycia.

Adamat powiódł spojrzeniem po czterech brygadierach i skupił je na lady Winceslav. Siedziała w kącie salonu, za swoimi podwładnymi, jak gdyby spodziewała się, że będzie tylko świadkiem wymiany zdań. Zdawała się zaskoczona, gdy Adamat zwrócił się do niej bezpośrednio.

– Czy poinformowała pani Kez o miejscu swoich spotkań z marszałkiem polnym Tamasem? – zapytał.

– Jak pan śmie! – Brygadier Barat wstał, ręka powędrowała mu do krótkiej szpady u boku.

Adamat odczekał moment, dając innym brygadierom możliwość upomnienia młodszego kolegi. Nie zrobili tego. Czubkiem laski wskazał więc Baratowi krzesło.

– Proszę usiąść.

Brygadier patrzył na detektywa przez chwilę, zaciskając przy tym zęby, a następnie wrócił na swoje miejsce.

– Czy mam powtórzyć pytanie, pani? – Adamat nie zamierzał ustąpić.

– Nie poinformowałam – powiedziała lady Winceslav.

Adamat pozwolił sobie na uśmieszek.

– Oby wszyscy byli tak bezpośredni i szczerzy.

– To nie jest potrzebne – wtrąciła Abrax tonem nauczycielki, wypowiadała słowa prędko, ucinając końcówki.

Adamat umilkł. Brygadierzy usiedli tak, jak gdyby chcieli sformować mur wokół lady. Ciekawe, czy była tak głupia, że nie chcieli jej dopuścić do głosu, czy też naprawdę ją chronili.

– Jestem tutaj, aby porozmawiać właśnie z panią, lady – oznajmił. – Nie po to, by znosić protekcjonalne zachowanie pani brygadierów. Jestem pewien, że od tego ma pani służbę. – Adamat aż się skrzywił w duchu. Pozwolił przemówić swojemu rozdrażnieniu. Niemal słyszał swojego starego komendanta z czasów, gdy jako młodzieniec służył w policji. Stary jasno wyrażał się w kwestii tego, jak trzeba traktować szlachtę: nigdy nie robić sobie z nich wrogów.

Lady Winceslav przez chwilę przyglądała się Adamatowi spod ronda jeździeckiego kapelusza. Spojrzenie miała spokojne, dłonie złożone na kolanach. Wstała, przeszła przez salon i usiadła naprzeciw detektywa.

– Proszę pytać, inspektorze. – Pomimo uprzejmego tonu w jej słowach słychać było nutę wyższości, uniosła też lekko podbródek.

Adamat westchnął w duchu. Na lepsze traktowanie nie miał co liczyć.

– Dlaczego poparła pani przewrót Tamasa?

– Z wielu powodów. Po pierwsze, gdyby Manhouch podpisał Ugody z Kezem, Skrzydła Adoma zostałyby rozwiązane.

– Dlaczego? Skrzydła Adoma jedynie stacjonują w Adro. Nie podlegały królowi.

– Właśnie to był jeden z warunków porozumienia – odparła i pochyliła się do przodu. – Wie pan, dlaczego Ipille chce, by Adro dostało się pod jego rządy?

– Mamy mnóstwo surowców naturalnych – powiedział Adamat.

– To jeden z powodów, owszem. Jednak Ipille i jego kamaryla lękają się Adro. W Kezie krajem rządzi dwór. Nic nie dzieje się bez jego zgody. W Adro jest inaczej. Pomimo swoich wad Manhouch był królem o otwartym umyśle. Pozwolił na związki zawodowe, na prochowych magów i na to, aby moi najemnicy działali niezależnie od dworu. To wzmocniło Adro. Kamaryla z Kezu obawia się, że prochowi magowie uczynią ją zbędną. Boją się też Straży Górskiej, albowiem kontroluje główne szlaki handlowe, wiodące przez samo serce Dziewięciu. I boją się Skrzydeł Adoma, gdyż Henri zebrał najtęższe wojskowe umysły oraz najodważniejszych ludzi ze wszystkich Dziewięciu i kupił, a także zaskarbił

sobie ich lojalność. Ugody zakładały, że oddziały prochowych magów zostaną rozwiązane, Straż Górska zredukowana, a Skrzydła Adoma nie będą już mogły operować z terenu Adro. – Potrząsnęła głową. – Nie mogłam na to pozwolić... Nie pozwoliłam na to.

– Mogła pani przenieść sztab główny do innego państwa. Nawet do Fatrasty, z dala od wpływów Ipille'a.

– Nie. Mój mąż wybrał Adro, bo to był jego kraj i jego duma. Skrzydła Adoma to nie jest pierwsza lepsza najemna armia. To druga linia obrony Adro. W ten sposób Tamas użyje ich w zbliżającej się wojnie. Uszanuję wizję Henriego.

Adamat uważnie obserwował lady Winceslav. Policzki miała zaróżowione, podniosła też głos. Zdawała się mocno związana z najemnikami swojego męża i z Adro. Jeśli grała, to doskonale.

– Czy Skrzydła otrzymują zapłatę za służbę Adro?

– Otrzymają część gruntów skonfiskowanych szlachcie – wyjaśniła.

– A gdyby Kez zaoferował zapłatę większą niż taka, na jaką mogłoby się zdobyć Adro?

Lady Winceslav dumnie uniosła głowę.

– Skrzydła Adoma nigdy nie zmieniły strony po zawarciu kontraktu. Sama taka sugestia mnie obraża.

– Proszę o wybaczenie – wycofał się. – Jakie jeszcze miała pani powody, by udzielać poparcia Tamasowi?

Lady Winceslav opanowała się natychmiast.

– Zgadzałam się z opinią Tamasa na temat monarchii. To przestarzała i skorumpowana instytucja.

– Pani sama jest znakomitą przedstawicielką szlachty.

Lady Winceslav wyjęła z rękawa haftowany kieszonkowy wachlarz, rozpostarła go jednym strzepnięciem i zaczęła się wachlować.

– Wbrew pozorom nie jestem szlachcianką z urodzenia, podobnie mój mąż. Henri był najemnikiem w Gurli, a ja najmłodszą córką kupca. Kiedy Henri zbił majątek na manufakturach sukienniczych, stworzył Skrzydła

Adoma i nabył godność książęcą od schorowanego starca pozbawionego żony i dzieci.

Adamat zamrugał.

– Diuk Winceslav nie był jego ojcem?

Dostrzegła wyraz jego twarzy i roześmiała się.

– Na Kresimira, nie. Oczywiście nie jest to powszechnie wiadome. W rzeczy samej wie o tym niewiele osób poza tymi, którzy są tutaj. Tamas jest jedną z nich. Mówię to panu jedynie dlatego, że mam nadzieję, iż pomoże to usunąć mnie z kręgu podejrzanych. Tamas i ja jesteśmy pokrewnymi duszami. Nigdy nie chciałabym jego śmierci.

Spojrzenie Adamata powędrowało ku czterem dowódcom najemników. Patrzyli nań bystro jak jastrzębie, bez jednego mrugnięcia.

– Czy mówiła pani komukolwiek, nawet najbardziej zaufanej osobie, o spotkaniach rady?

– Nie. – Lady Winceslav uniosła podbródek. – Tamas tego zabronił. Nawet moim brygadierom. – Zerknęła na nich. – Ku ich wielkiemu niezadowoleniu.

Adamat zadał jeszcze kilka prostych pytań, a następnie usiadł i złożył dłonie na kolanach. Starał się ukryć grymas rozczarowania. Nic. Winceslav okazała się damą w każdym calu. Uprzejma i czarująca. Karty trzymała przy piersi. Informacja o kupionym szlachectwie... Adamat był pewien, że wszyscy wrogowie, którzy mogli użyć tego przeciwko niej, skończyli w zeszłym miesiącu na gilotynie.

– Dziękuję, że byłaś, pani, tak bezpośrednia. – Dopilnował, by w jego tonie słychać było odpowiednią dozę szczerości. – Doceniam to. – Odwrócił się do kamerdynera, który właśnie wszedł do pokoju. – Czy zgromadzono już służbę z dworu?

Starszy mężczyzna skłonił się dwornie.

Adamat wstał, tak samo lady Winceslav. Brygadierzy również podnieśli się za jej przykładem. Detektyw ujął wyciągniętą dłoń gospodyni i dotknął jej czołem.

– Sprawę z pani służbą zakończę tak szybko, jak to będzie możliwe.

– Moja służba i posiadłość są dzisiaj cały dzień do pańskiej dyspozycji, inspektorze – oznajmiła.

– Jeszcze jedno, pani. – Adamat zatrzymał się w progu. – Czy masz pani jakieś podejrzenia względem pozostałych członków rady?

Lady Winceslav zastanowiła się przez chwilę.

– Nikt nie nasuwa się tak od razu. Charlemund to człowiek Kresimira. Nigdy nie podejrzewałabym kanclerza. Pierwszy Lektor jest od lat przyjacielem rodziny, to przede wszystkim uczony. Na samym szczycie listy na pewno byłby Szafarz. Bądź co bądź, to kryminalista, mimo wszystkich swoich powiązań. Słyszałam, że Ondraus i Tamas od tygodni spierali się o miejskie rejestry, ale jestem pewna, że chodziło jedynie o te rejestry, nic więcej. – Zmarszczyła brwi. – Słyszałam, że zaraz po przewrocie Ricard Tumblar wysłał do Kezu delegację swojego związku zawodowego. Wydaje się, że chce założyć tam jego sekcję.

Lady Winceslav pożegnała Adamata, życząc mu dobrego dnia. Brygadierzy ruszyli za nią, zostawiając detektywa sam na sam z kamerdynerem.

Detektyw przepytywał służbę i ogrodników przez kolejnych kilka godzin, potem wyszedł na zewnątrz, zaczął obchodzić tereny posiadłości. Tam przyłączył się do niego SouSmith. Bokser wyglądał, jak gdyby dokładnie przegrzebał skrzynię ze swoimi najlepszymi ubraniami.

– No i? – zapytał.

– To szczwana, stara lisica – stwierdził Adamat. – Pomimo tego, co jej brygadierzy chcą, abyśmy o niej sądzili.

Zerknął przez ramię. Barat i Abrax wyszli bocznymi drzwiami, w chwili gdy Adamat opuszczał posiadłość. Nawet nie starali się ukryć, że ruszają w ślad za nim oraz SouSmithem. Detektyw wypatrzył jakieś zabudowania gospodarcze, dosyć daleko, i skręcił w ich stronę, idąc na przełaj, tylko żeby sprawdzić, jak daleko oficerowie będą za nim szli.

– Brygadierzy bardzo ją chronią. Moim zdaniem bardziej prawdopodobne jest, że to któryś z nich zdradził Tamasa. Chociaż ona twierdzi, że żaden nie wiedział o miejscu spotkań rady. Oczywiście nie

można wykluczyć, że ją szpiegowano albo nawet... – Zawahał się na moment, ważąc słowa, zanim wypowiedział je głośno. – Albo nawet, że powiedziała coś przez sen.

SouSmith rzucił mu wymowne spojrzenie.

– Nie mogę wykluczyć – utrzymywał Adamat – niezależnie od tego, jak bardzo to niewłaściwe, że sypia z jednym, albo i z kilkoma brygadierami. Nie sądzę, by należała do tych chętnych iść do łóżka z kobietą, co wykluczałoby Abrax. Ale Sabastenien i Barat to przystojni młodzi mężczyźni, zaś Ryze ma ten rodzaj rysów, który ujmuje kobiety szczególnie w zestawieniu ze szpakowatymi włosami.

Szli starą, wijącą się ścieżką w stronę stajni, a potem przez gęsty las, gdzie nie mógłby zobaczyć ich nikt ze dworu. Dwoje brygadierów nadal trzymało się za nimi w dogodnej odległości.

– Żaden ze służących nie zauważył niczego podejrzanego w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Pamiętali, że Tamas odwiedzał dwór kilkukrotnie, jeszcze w zeszłym roku, jednak ani razu po zamachu stanu. Nie pojawił się tutaj nikt obcy, nikt, kto mógłby być agentem Kezu. – Adamat potrząsnął głową. – Lady zajmuje raczej niską pozycję na liście moich podejrzanych. Jednak pewna sprawa nie daje mi spokoju. Wspomniała, że Ricard Tumblar wysłał delegację do króla Ipille’a. Nie słyszałem o tym z żadnego innego źródła. Dlatego się zastanawiam... – Postukał laską w ziemię. – Tutaj już skończyliśmy.

Dotarli do oczekującego na nich powozu o kilkanaście kroków przed Abrax i Baratem. Adamat oparł się o drzwiczki, czekając na dwoje oficerów. Podeszli do niego bez wahania.

Brygadier Abrax odezwała się pierwsza. Pozostawała zdystansowana i chłodna, jak gdyby właśnie rozmyślała o jakiejś odległej bitwie i nie miała dla Adamata ani czasu, ani uwagi.

– Mam nadzieję, że zakończył pan swoje śledztwo, jeśli chodzi o naszą panią, detektywie – powiedziała.

– Moje śledztwo nadal trwa – odparł Adamat. – Z pewnością powiadomię lady Winceslav, czy będę jej jeszcze potrzebował.

– Nikt jej NIE BĘDZIE niepokoił – odezwał się Barat. Abrax rzuciła mu enigmatyczne spojrzenie i młodzik umilkł.

Adamat udał, że ignoruje Barata, koncentrując spojrzenie na Abrax. Jednak skrycie przyglądał się uważnie młodemu brygadierowi. Skąd ta troska i opiekuńczość? Czy to coś w rodzaju synowskiego afektu dla wdowy, czy może coś więcej?

– Prowadzę śledztwo – stwierdził sucho. – Nie jestem sprzedawcą, nękającym pańską przełożoną bez powodu. A teraz – otworzył drzwiczki powozu – są jeszcze inni podejrzani, których muszę NIEPOKOIĆ.

Brygadier Barat podszedł, kiedy drzwiczki trzasnęły, i oparł dłoń na ramie okna.

– Inspektorze, brygadierów Skrzydeł Adoma się nie lekceważy. Proszę nie wykraczać poza swoje uprawnienia.

Adamat końcem laski zepchnął palce oficera z okna.

– Nie nadużywaj mojej cierpliwości, młody człowieku. Rachowałem się już z gorszymi od ciebie.

Adamat zastukał dwa razy w sufit i powóz ruszył. Prędzej czy później z tym oficerem będzie jakiś problem.

– Bo twierdzi, że spowiłaś mnie całego czarami ochronnymi.

Taniel zrównał krok z Ka-poel. Zerknęła na niego z ukosa, z zielonych oczu nic nie dało się wyczytać. Unikała go od chwili, gdy ruszyli w dół górskiego zbocza, albo trzymała się daleko z tyłu, albo wszystkich wyprzedzała. Być może przypadkiem okutała się od stóp do głów, tak że nie był w stanie z nią porozmawiać nawet, gdy się już spotkali. Ale Taniel nie bardzo wierzył w taki zbieg okoliczności. Ka-poel wiedziała, że chce zadać jej pytania.

Znowu przeciągłe spojrzenie. Przedzierali się teraz przez śnieg, rakiety na butach sprawiały, że szli powoli i niezgrabnie, jednak dzięki nim nie

zapadali się w miękką górną warstwę ani nie brnęli po kolana w białym puchu.

– Dziękuję – powiedział Taniel.

Tym razem spojrzała na niego zaskoczona. Powściągnął uśmiech.

– Bo mówi, że jesteś bardzo potężna – zauważył Taniel.

Zatrzymała się na chwilę i odwróciła w jego stronę.

– Zastanawiam się, czym zasłużyłem sobie na twoją ochronę.

Ka-poel wyciągnęła obnażoną dłoń i dotknęła jego twarzy.

Przez oczyma Taniela pojawił się obraz Ka-poel, nagiej, wystraszonej i zabłąkanej. Kulącej się na tyłach lepianki. Kiedy Taniel wszedł do chaty, dziewczyna na ślepo wymachiwała przed sobą zaostrzonym kijem, pragnąc zabić któregoś z porywaczy, bowiem odebrali jej wzrok jakimś ziołem, żeby nie uciekła. Rozpoznała jego głos i Taniel zdołał ją uspokoić. Przypomniał sobie nacięcia na jej brzuchu i udach oraz krew na twarzy.

Wizja sprawiła, że Taniel z trudem złapał oddech. Zatrzymał się, aby uspokoić, czując nagłą słabość w kolanach. To ona zrobiła? Wizja ukazywała obraz widziany jego oczyma. Czy byłaby w stanie...? Potrząsnął głową. Przestał już zgadywać, do czego Ka-poel była zdolna, a do czego nie.

Dotarli do wylotu szlaku, górującego ponad siedzibą Straży Górskiej. Bo wyprzedzał ich o kilka kroków, nagle gwałtownie nabrał powietrza. Na ten dźwięk Taniel błyskawicznie znalazł się u boku przyjaciela.

Zdawało się, że cały świat rozpościerał się u ich stóp. Niedaleko, na górskiej grani dzielącej Kez i Adro, rozłożyła się Forteca Wierchowieńca, tkwiąca niczym korek w samym środku tamy. Pod nią Taniel ujrzał ludzi, z tej wysokości wydawali się maleńcy.

Wypełniali nieckę zaraz pod Wierchowieńcem, po kezańskiej stronie. Widać było morze namiotów, a trakty prowadzące w głąb Kezu zdawały się zapchane kolumnami maszerujących mrówek.

– Armia – szepnął Bo.

– Cała cholerna Wielka Armia. – Taniel zaciągnął się czarnym prochem.

– Albo prawie cała – mruknął Gavril.

– Skąd się tu wzięli, do otchłani? – zapytał Taniel. – Ile czasu byliśmy na górze, sześć dni?

– Siedem – powiedział Gavril.

– Nie było ich tutaj, kiedy wyruszaliśmy – zauważył Taniel.

Przewodnik tylko wzruszył ramionami.

– Za bardzo byłem pijany, żeby ich zauważyć.

– Nie było ich – stwierdził Taniel z przekonaniem. – Wojnę wypowiedziano... – policzył w pamięci – niecałe trzy tygodnie temu. Jak oni zdołali zgromadzić w takim czasie całą armię? I dlaczego są tutaj, skoro Przesmyk Surkova to łatwiejszy cel?

Nagle zorientował się, że wszyscy patrzą na Bo.

– Julene. – Uprzywilejowany pociągnął nosem.

– Nie – powiedział Taniel. – Nie ma mowy, żeby wiedziała o tej armii. Była ze mną przez pięć tygodni.

– To nie jest JEJ armia – odparł Bo. – Ale mógłbym się założyć, że planuje jej użyć.

– Jak?

– Plan ukryty w planie. – Bo unikał spojrzenia Taniela. – Raz jej się wymsknęło, że jest dobrze znana na kezańskim dworze.

– Nie znajdziemy jej ciała, prawda?

Bo potrząsnął głową.

– I tak spadła po stronie Kezu.

– Co teraz? – zapytał Taniel.

Gavril wziął głęboki oddech.

– Obsadzimy pozycje w fortecy. Zrobimy to, co Straż Górska robi od tysiąca lat. – Wyprostował się. – Będziemy bronić Adro.

Dotarli do fortecy, gdy popołudnie powoli zbliżało się do końca. Przy północno-wschodniej bramie oczekiwała niewielka grupka mężczyzn i kobiet. Bliżej, ścieżką, spieszyły jeszcze trzy kobiety. Taniel nawet nie musiał zgadywać, kim były.

Uprzywilejowani przyciągali płeć przeciwną niczym magnes. Wedle opinii ogółu działo się tak z powodu ich wytrzymałości i mocy.

Powszechnie było wiadomo, że ustawiczny kontakt z Nieświatem wzmaga popęd tak bardzo, że niewielu Uprzywilejowanych, zwłaszcza mężczyzn, obywało się bez haremu. Bo nie stanowił wyjątku.

Tym razem jednak Bo zbył kobiety oraz ich pytania szorstkim gestem i oddalił się gdzieś w towarzystwie Fesnika i jeszcze jednego strażnika o imieniu Mozes. Poprowadzili go bez słowa, pozostawiając Taniela tylko z Gavrilem.

– Chciałbym się lepiej przyjrzeć tamtej armii – stwierdził Gavril.

Taniel ruszył za nim. Też powinien dobrze przyjrzeć się temu wojsku, by złożyć raport Tamasowi.

Wszędzie byli robotnicy. Taniel nawet sobie nie wyobrażał, że bastion Straży może pomieścić takie mrowie ludzi, i zastanawiał się, czy z Adopestu nie przysłano może jakichś posiłków. Strażnicy biegali rozgorączkowani, większość trzymała muszkiety albo karabiny. Ale mimo ewidentnego pośpiechu, tego całego zamieszania, tak naprawdę nie wyglądało na to, by ktokolwiek coś robił. Straż znajdowała się w szczytowej formie i wszelkich przygotowań dokonano już wcześniej. Teraz tylko oczekiwano ataku.

Południowy mur fortecy stanowiły starożytne fortyfikacje, przy których budowie brano pod uwagę zarys góry. Artyleria sprawiła jednak, że umocnienia można było całkiem łatwo bombardować od góry, prawie nie naruszając muru. Węgły bastionu były dosłownie naszpikowane stanowiskami strzeleckimi, tyloma, ile tylko dało się upchnąć.

Taniel i Gavril dotarli na sam szczyt fortyfikacji. Widzieli stąd całe górskie zbocze i mag natychmiast doszedł do wniosku, że atak kezańskich żołnierzy na fortecę był ni mniej, ni więcej, a atakiem samobójczym. Na dole ciągnęły się mile krętych dróg, wystawionych na bezpośredni ostrzał artylerii czy muszkietów, i na drodze do murów znajdowało się zaledwie jedno płaskie podejście. Wszędzie indziej atakujący musieli się wspinać pod nieprzerwanym ostrzałem prowadzonym z góry.

Taniel uniósł kciuk, starając się ocenić dystans.

– W połowie drogi na górę jest takie miasteczko – powiedział Gavril. – Nazywa się Mopenheig. Tam rozłożyła się obozem ich straż przednia.

– Jak daleko stąd?

– W linii prostej? – zapytał Gavril. – Trzy mile. Zaraz poza zasięgiem artylerii.

– Dla mnie to nie jest za daleko.

Gdyby zaczęła się walka, Taniel mógł strącić kilka głów, a wtedy Kezanie musieliby cofnąć obóz o milę.

– A niech ich Novi zdepcze! – Gavril zmarszczył brwi, spoglądając w dół zbocza. – Co za durnie! – Złapał jakiegoś młodego strażnika za ramię. – Kto ich podpuścił tak blisko? Są w zasięgu strzału z muszkietu. Prawie na naszych redutach!

Chłopak wzruszył ramionami.

– Co robić. Dopiero co podeszli. Nikt nie dał rozkazu otwarcia ognia. Kiedy zjawiła się armia, posłaliśmy gońca do Adopestu, ale jeszcze nie dostaliśmy rozkazów.

Taniel popatrzył tam, gdzie pokazywał Gavril. W górę i dół po stoku wąską wstążką wędrowali ludzie w piaskowych mundurach z zielonymi wyłogami. Kezańska piechota. Dźwigali drewno i narzędzia, podchodzili pod same reduty. Adrańscy żołnierze po prostu przyglądali się ich pracy.

– Ażeby to otchłań! – zaklął Gavril. Popędził w dół do bramy i na zewnątrz, na drogę. Taniel ruszył za nim, chwyciwszy karabin oraz zapasową prochownicę.

Reduty były zasadniczo sześcioma niewielkimi fortami umieszczonymi przy kilku pierwszych zakosach drogi. W każdym znajdowało się niewielkie działo, jego załoga i towarzyszący jej strzelcy. Niedawno odgarnięto śnieg, z fortecy wytoczono duże armaty. Taniel domyślał się, że tych redut nie obsadzano już od setek lat.

Zeszli z Gavrilem do ostatniego fortu na górskim zboczu.

– Kto jest kapralem tej reduty? – zapytał przewodnik.

Zgłosił się jeden z żołnierzy, kapral regularnej armii, w niebieskim mundurze sił Tamasa. Zapewne należał do oddziałów wysłanych

z Adopestu dla wzmocnienia Straży Górskiej. Sceptycznie spojrzał na Gavrila.

– Ja. A kim ty jesteś?

– Strażnikiem – rzucił sucho Gavril. – Dlaczego pozwalacie wrogowi budować stanowiska dla artylerii i – zerknął przez mur – tunele minerskie?

Taniel zmarszczył brwi. Dlaczego Kez miałby budować tunele minerskie? Znajdowali się zbyt daleko, aby podjąć próbę wysadzenia fortecy. A żeby zdobyć reduty, wystarczyło rzucić do walki odpowiednio dużo ludzi – co bez wątpienia stanowiło opcję preferowaną przez większość generałów. Nastała właśnie dobra chwila, żeby otworzyć ogień uprzedzający. Kiedy tylko nieprzyjaciel przejdzie przez serpentynę drogi na dole, załoga zdoła wycofać się do fortecy.

– Nie muszę tego wysłuchiwać – przerwał kapral Gavrilowi. – Może nie jestem strażnikiem, ale i tak przewyższam cię stopniem, kim byś nie był.

Taniel nie miał pewności co do szarży Gavrila. Straż używała własnych stopni. Wskazał więc na swoją wpinkę z baryłką.

– Ale ja przewyższam stopniem ciebie. Masz wykonywać jego rozkazy – polecił.

Kapral obrzucił Gavrila wrogim spojrzeniem, choć strażnik był od niego dwie głowy wyższy i dwa razy cięższy.

– No to co mamy robić? – zapytał kapral.

Taniel słyszał, jak rosły górski przewodnik zgrzyta zębami.

– Masz naładowany karabin? – odezwał się Gavril.

Taniel podał mu broń, Gavril obrzucił karabin szybkim spojrzeniem, przesunął palcem wzdłuż lufy i gwizdnął z podziwem.

– Otóż to – powiedział.

Wychylił się znad szańca i strzelił. Jakiś saper niecałe pięćdziesiąt jardów dalej runął na ziemię. Kezanie rzucili się szukać schronienia.

Gavril wręczył karabin Tanielowi.

– Zaczęła się wojna – oznajmił. – Walcie do tych sukinsynów tak długo, aż pouciekają wystraszeni albo sprowadzą Uprzywilejowanego, żeby wam przychrzanił.

Kapral spojrzał na Taniela, oczekując potwierdzenia.

– Wykonać – polecił mag.

Zawrócili z Gavrilem do fortecy. Za nimi rozległa się palba z muszkietów i krzyki kezańskich żołnierzy.

– Czy Uprzywilejowany po prostu nie porozgniata tych redut? – zaniepokoił się Taniel.

Za nimi zagrzmiała lekka artyleria.

– Dalej! – Gavril krzyczał do następnej reduty. – Walić we wszystko, co macie w zasięgu! – Odezwał się do Taniela: – To całe zbocze jest magicznie strzeżone. Każdą cegłę tutaj grubo posmarowano magią obronną.

– To było setki lat temu. – Taniel spojrzał przez ramię z niepewną miną.

Kezańska kamaryla zjawi się wkrótce, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. I jak długo Bo zdoła ich powstrzymać? Niedługo. Był tu jedynym Uprzywilejowanym.

– Wtedy zaklęcia były o wiele silniejsze – uspokoił go Gavril. – Ponoć moc Uprzywilejowanych osłabła przez wieki, które minęły od wynalezienia prochu. Kiedyś potrafili stawiać osłony mogące trwać przez jakiś tysiąc lat. Teraz często glif znika wraz ze śmiercią Uprzywilejowanego.

Gavril zdawał się sporo wiedzieć na temat czarów i tym podobnych. Taniel przyglądał mu się z namysłem. Teraz ledwie przypominał pijaka, który tydzień temu powiódł go na górski szczyt.

Kiedy dotarli do fortecy, Mozes, Bo i Fesnik już na nich czekali.

– Widzę, że zaczęliście strzelaninę – stwierdził Bo. Przytykał sukno do nosa i ust. Taniel powęszył w powietrzu. Spalony proch tworzył już nad redutami ciemne kłęby. A to był dopiero początek. Bo dostanie w kość, kiedy zacznie się ostrzał z armat.

– Ktoś musiał – powiedział Gavril. Strzelanina ściągnęła strażników, którzy teraz obserwowali saperów wycofujących się w dół zbocza.

– Hej tam – Gavril odezwał się do najbliższej grupy. – Wycelować baterię. Dać im trochę wsparcia. Nie brakuje nam amunicji. Nie chcę, żeby ci saperzy dotarli do wnętrza góry.

Bo i Mozes wymienili szybkie spojrzenia.

– Obejmujesz dowodzenie? – upewnił się Mozes.

– Na otchłań, nie! – zaprzeczył natychmiast Gavril. – Tylko przygotowuję ludzi dla Jara. Gdzie on jest?

Mozes potrząsnął głową.

– Coś go wzięło. Gorzej z nim, niż sądziliśmy. Ledwie się rusza. Doktor mówi, że może nie przeżyć nocy.

W oczach Gavrila na chwilę zalśnił smutek, ale olbrzym szybko powściągnął wszelkie emocje.

– Niech będzie. – Obrócił się na pięcie i pomaszerował w dół, wzdłuż bulwaru. – Wy tam! Przynieść kule! Więcej prochu! – Odszedł, wydając rozkazy i wygrażając pięściami wielkości szynek.

– Moment – odezwał się Taniel. Jaro zapewne był wachmistrzem. – On jest zastępcą dowódcy?

– Był wachmistrzem, zanim nie zaczął pić – wyjaśnił przyjacielowi Bo.

Mozes ruszył za Gavrilem, a Fesnik poszedł po broń.

– No niby był wcale niezłym przewodnikiem, ale żeby... on?

– Tak. On. – Bo pokiwał głową. – On... eee... no ja nie jestem właściwą osobą, żeby ci o tym opowiadać. Nie martw się, Gavril to nasz człowiek. O, proszę – dodał, zerkając nad szańcem. – Gotowi są odpowiedzieć na ostrzał.

Z Mopenheig wyszła kompania wojska. Za nią ustawiała się kolejna, a dalej jeszcze jedna. Wydawało się, że przygotowują się do pierwszego szturmu. Gdy podejdą do fortyfikacji na odległość strzału, dzień będzie miał się ku końcowi. Jednak wojna już się zaczęła.

– Następny – zarządził mężczyzna.

Nila przesunęła się na początek kolejki. Stała na frontowych schodach Domu Szlachty, w głównej kwaterze adrańskiej armii. Dawno już zabrano gilotyny, na których stracono szlachtę, wciąż jednak na bruku zostały plamy

krwi. Słońce prażyło ramiona Nili, wiatr mierzwił kasztanowe włosy. W nowej sukience wyglądała na sto razy bogatszą niż ktokolwiek inny w tej kolejce bezrobotnych.

Mężczyzna za biurkiem zmierzył ją spojrzeniem.

– Nie wyglądasz na kogoś, kto potrzebuje pracy – stwierdził. Miał na sobie niebieski adrański mundur z korpusówką kwatermistrza na piersi.

– Jestem praczką – oznajmiła Nila, wysoko unosząc głowę. – Utrzymuję moje ubrania w czystości.

– Praczka, co? Dole, jak tam, Szlachetni Wojownicy Pracy potrzebują praczki?

Mężczyzna siedzący za sąsiednim biurkiem zmierzył Nilę spojrzeniem.

– Nie – odparł. – Szef mówi, że mamy ich dużo.

Nila poprawiła sukienkę.

– Słyszałam, że wojsko szuka praczek.

– Dziewczyno, ktoś o twoim wyglądzie nie powinien szukać pracy przy żołnierzach. – Kwatermistrz odchylił się na krześle. – To po prostu zły pomysł.

– Słyszałam, że dobrze płacą. Dają namiot i wszystko. Mogę zarobić dziesięć razy więcej niż żołnierz.

– To prawda – przyznał kwatermistrz. – Ale na twoim miejscu bym się tak nie przechwalał. Komuś z kwalifikacjami płacimy lepiej niż związek. Jesteś pewna?

– Potrzebuję pieniędzy – wyznała Nila. Skinieniem głowy wskazała miejsce, gdzie kiedyś stały gilotyny. – Mój ostatni pracodawca stracił głowę, a nikt inny tak dobrze nie płaci.

– Ostatnimi czasy bardzo często to słyszę – stwierdził kwatermistrz. – Nie jesteś przypadkiem rojalistką, co?

Nila nachyliła się ku niemu.

– Mój lord dwa razy dziennie brał mnie do łoża, od kiedy skończyłam jedenaście lat – powiedziała półgłosem tak jadowitym tonem, na jaki zdołała się zdobyć. – Naplułam na jego głowę, jak spadła.

– Rozumiem. – Kwatermistrz przygryzł końcówkę pióra. – Masz w sobie ogień. Coś mi mówi, że umiesz sobie poradzić. Ale i tak skieruję cię do pracy u oficerów, z nimi bezpieczniej. Zazwyczaj. Umiesz szyć? Wydaje mi się, że marszałek polny potrzebuje szwaczki.

– To byłoby doskonałe. – Nila po raz pierwszy od tygodni uśmiechnęła się szczerze.

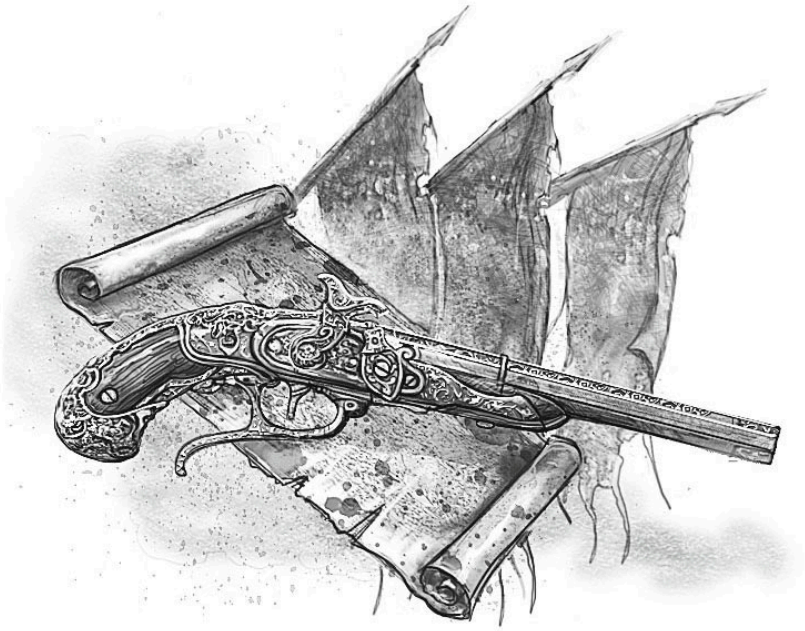

21
ROZDZIAŁ

Tamasa obudził własny ciężki oddech. Podniósł się, opierając na łokciach i spazmatycznie chwytając powietrze. Miał wrażenie, że na piersi zaległ mu kamień młyński. Zrzucił pościel, która okręciła mu się wokół stóp, i siedząc, wyjrzał za krawędź łóżka.

Sypiał teraz w swoim gabinecie na najwyższym piętrze Domu Szlachty, zrezygnował przy tym z nadzwyczaj miękkiej sofy na rzecz prostego, lecz wygodnego polowego łóżka, ustawionego w kącie pokoju. Szorstkie płótno pościeli mokre było od potu, tak jak koszula i włosy Tamasa. Marszałek objął się ramionami, nagle drżąc z zimna, gdy pot zaczął stygnąć. Zegar widoczny w jasnym blasku księżyca wskazywał pół do czwartej rano.

Przypomniał sobie swoje sny, tak jak wspomina się coś, co wydarzyło się lata temu, niewyraźnie i niedokładnie. Dłonie mu drżały, kiedy o nich myślał, i to wcale nie z chłodu. W jego śnie umierali ludzie: żołnierze, których znał całe życie, przyjaciele i towarzysze, nawet wrogowie. Wszyscy, których znał. Stali na szczycie Wielkiej Południowej Turni i jeden po drugim skakali w ognisty krater. Był tam również Taniel, chociaż Tamas nie pamiętał, co stało się z jego synem. A gdzie była Vlora w tym śnie? Widział Sabona skaczącego do wulkanu, ale gdzie podział się Olem?

Tamas odetchnął z drżeniem. Przeszedł do okna z balkonem i stał tam przez chwilę. Nocne niebo było czyste, wyjąwszy pojedynczą wstęgę chmur, tworzącą doskonały krąg wokół księżyca. Boskie Oko. Tamas znów zadrżał, gwałtownie, aż drżenie zmieniło się w dygot. Trzymał się ściany obiema dłońmi, dopóki mu nie przeszło.

Usłyszał znajome skamlenie i spojrzał w dół.

– Hrusch – mruknął. – Nic mi nie jest. Gdzie jest Rech... – Umilkł, imię zniknęło w mimowolnym kaszlnięciu. – Dobrze. Wybacz, pieseczku. – Pochylił się i wyciągnął dłoń. – Niedługo zabiorę cię na polowanie. Oderwiesz się od innych spraw.

Tamas znalazł kapcie, przeczesał włosy palcami, poprawił koszulę nocną i wyjrzał na korytarz. Olem poruszył się na krześle stojącym pod drzwiami. Naprzeciwko, też na krześle, spała oparta o karabin Vlora, pochrapując cicho. Jeszcze dalej dwóch strażników czuwało w świetle lamp. Po próbie zamachu dowódcy podwoili straże.

– Panie. – Olem zgasił papierosa na poręczy krzesła.

– Czy ty w ogóle nie śpisz?

– Nie, panie. Właśnie dlatego pan mnie najął.

– Olem, to żart.

– Zrozumiałem.

– Wszędzie spokój?

– Wyjątkowy, panie. Nic nawet nie piśnie. – Głos Olema był cichy, przytłumiony.

Tamas kiwnął głową w stronę Vlory.

– Co ona tutaj robi?

– Martwi się o ciebie, panie.

Tamas westchnął.

– Wszystko w porządku, sir?

– Zły sen – wyjaśnił Tamas uspokajająco.

– Moja babunia zwykła mawiać, że złe sny to złe wróżby – stwierdził Olem.

Tamas spojrzał na żołnierza ze złością.

– Dzięki, od razu mi lepiej. Idę znaleźć sobie coś do jedzenia. – Odszedł, szurając.

Olem ruszył za nim po schodach w odległości dziewięciu kroków. Wędrówka do kuchni przez sześć kondygnacji ciemnych korytarzy wydawała się Tamasowi znacznie dłuższa niż zwykle i musiał przyznać, że towarzystwo adiutanta dodawało mu nieco otuchy. Szczególnie że cienie igrały z wyobraźnią marszałka, sięgając ku niemu z mroku. Raz aż podskoczył, kiedy wydało mu się, że widzi przyczajoną w kącie postać Stróża. Okazało się jednak, że był to tylko piecyk węglowy.

Tamas miał nadzieję na jakieś resztki z kolacji, które chciał zabrać do swojego pokoju, ale kiedy zbliżył się do kuchni, ujrzał przyćmiony blask palenisk i poczuł zapach świeżego chleba. Do ust zaczęła napływać mu ślina – nieomylny znak, że w pobliżu gotował Mihali. Wszedł do kuchni i zamarł zaskoczony nieoczekiwanym widokiem.

Przy jednym z palenisk dwie kobiety stały nad ogromną patelnią, wielką jak koło od wozu, wbijając na nią jajka i odrzucając na bok skorupki. Mihali stał zaraz za nimi – dokładnie za nimi, wręcz opierając się o nie, a jego dłonie zwinnie poruszały się nad powierzchnią patelni. Dodał szczyptę soli, potem jedna z rąk zsunęła mu się niżej, na co zaskoczona kucharka zachichotała cienko, dłoń znów pojawiła się w polu widzenia, tym razem z nożem oraz całą zieloną papryczką, która raz-dwa trafiła do dania.

Tamas chrząknął. Kobiety podskoczyły, na widok marszałka zrobiły wielkie oczy. Mihali odsunął się od nich, nader zwinnie mimo swojej tuszy, uśmiechnął szeroko.

– Marszałku polny! – zawołał. Otarł dłonie o fartuch i poklepał każdą z kucharek po policzku, następnie ruszył w stronę niespodziewanego gościa. – Coś mi się widzi, że nie ma pan dobrej nocy.

– Za to mnie się widzi, że pan wręcz przeciwnie – powiedział Tamas. – Wszystko widziałem. Uwodzenie poprzez robienie omletu.

Trudno było to stwierdzić przy tak słabym oświetleniu, jednak odniósł wrażenie, że twarz Mihalego poczerwieniała nieco.

– To tylko poranne lekcje, marszałku – zaoponował kuchmistrz. – Bellony i Tasha to najbardziej obiecujące spośród moich uczennic. Zasłużyły na więcej uwagi.

– Uczennic? – powtórzył Tamas. – Sądziłem, że to podkuchenne.

– Każda podkuchenna to zarazem uczennica. Jeśli się nie uczą, to cóż są warte? Każdy mistrz musi przygotować się do tego, iż ktoś go przerośnie, tak właśnie czynił mój ojciec. Pewnego dnia ktoś przygotuje dania bardziej oszałamiające niż te spod mojej ręki. Może właśnie jedna z tych dwóch.

– Mam co do tego pewne wątpliwości. – Tamas spojrzał na pomocnice kuchmistrza. Jedna była starsza, może po trzydziestce, o przystojnej twarzy i ciele zaokrąglonym tam gdzie trzeba. Druga młoda, nieco pulchna, z dołkami w policzkach. Wpatrywały się raczej w Mihalego niż w to, co działo się na patelni, a taki wyraz twarzy Tamas widywał tylko u ludzi należących do dwóch kategorii: młodych kochanków oraz gorliwych wyznawców. Nie był w stanie zdecydować, do której grupy zaliczyć podkuchenne.

– Źle pan sypia? – zapytał Mihali.

Tamas wzruszył ramionami.

– Złe sny.

– Raczej złe wróżby.

– Już mu mówiłem – od strony drzwi dobiegł cichy głos Olema.

Mihali przyjrzał się Tamasowi krytycznie.

– Ciepłe mleko.

– To na mnie nigdy nie działało – stwierdził Tamas. – A pan w ogóle sypia? Jest trzecia rano.

– Trzecia czterdzieści pięć – poprawił go Mihali, chociaż w kuchni nie było żadnego zegara. – Od kiedy byłem chłopcem, potrzebuję niewiele snu. Papa mówił mi, że to za sprawą cząstki boga, która jest we mnie.

– Ojciec panu wierzył? – zdziwił się Tamas. – Nie chcę być nieuprzejmy. Mówił pan wcześniej, że zabronił panu wspominać o tym, że jest pan nowym wcieleniem Adoma.

– Wszystko w porządku. – Mihali przesunął się do pustego stołu i zaczął wyjmować z kieszeni fartucha liczne gliniane buteleczki na przyprawy. Nie miały etykiet, jednak rozstawił je na blacie w ściśle określonym porządku. – Ojciec mi wierzył. Po prostu wiedział, z jakimi problemami będę się musiał zmierzyć, jeśli to wyjdzie na jaw.

– A teraz? Powiedział mi pan o tym i jak sądzę, wieść o pańskich twierdzeniach zatacza coraz szersze kręgi.

Zerknął na kobiety. Co było? Religijna adoracja czy miłość? A może jedno i drugie? Nie odrywały wzroku od kuchmistrza, dopóki jedna z nich nie dostrzegła, że z omletu już się dymi i nie zajęła się daniem z okrzykiem przerażenia.

Mihali uśmiechnął się lekko. Wyjął moździerz i tłuczek, po czym zaczął ucierać zioła.

– Moje twierdzenia? – zapytał Mihali. – Pan mi nie wierzy, prawda?

– Ja... nie wiem – odparł Tamas. – To sporo do przełknięcia. Widziałem, co pan robi z jedzeniem, jak za pana sprawą samo się pojawia. Nigdy nie słyszałem o podobnej magii. I widziałem wokół pana blask Zdolnego.

Mihali zdawał się tym zaskoczony.

– Pan to zauważył?

– Tak, owszem, pan to zrobił na oczach moich i Olema.

– Och. Nikt nie powinien tego zauważyć. Zwykle bardziej się pilnuję. Papa kazał mi to ukrywać, kiedy byłem chłopcem. Powiedział, że jeśli dowie się o tym kamaryla albo Kościół, to po mnie przyjdą.

Tamas przyglądał się kuchmistrzowi, szukając w jego twarzy jakichś oznak kłamstwa. Mihali skupiał się na swojej pracy, łącząc zioła, dopóki

nie poczuł się zadowolony z rezultatu. Wyjął jakiś ciemny proszek i dodał do mikstury.

– Tasha – powiedział – podgrzej proszę trochę koziego mleka.

– Sądziłem, że pan to robił specjalnie – powoli powiedział Tamas. – Może, aby przekonać nas o swojej... boskości.

– Nigdy nie byłem efekciarskim bogiem. – Mihali uśmiechnął się nieśmiało. – Zostawiam to Kresimirowi.

– Potrawy, jakie pan serwuje, są bardzo egzotyczne, jak na Adro – zauważył Tamas. – W Admorzu nie mamy węgorzy. Używa pan drogich przypraw tak, jak gdyby to były po prostu mąka i woda. Przez jakiś czas służyłem w Gurli. Wiem, ile takie rzeczy mogą kosztować, i wiem, że Ondraus nie przeznaczyłby takich sum na jedzenie. Czy to pańska Zdolność? Tworzenie jedzenia z niczego?

Mihali podrapał się po wąsiku.

– Owszem, byłem nieco zbyt oczywisty, nieprawdaż? Czy powinienem... się ukryć?

– Może.

Mihali bez wątpienia miał jakąś Zdolność. Tamas mógłby pewnego dnia potrzebować tej Zdolności. Czy zmartwił szalonego kuchmistrza?

– Sądzę, że powinien pan jak najmniej rzucać się w oczy. Na wszelki wypadek.

– Mogę zapytać, o czym były te pańskie sny?

– Pamiętałem je zaraz po przebudzeniu – powiedział Tamas. – Ale teraz już ulatują. Myślę, że wszyscy, których znałem... nie, nie wszyscy, ale większość ludzi, których znałem, stała na krawędzi Południowej Turni i zeskakiwała w głąb góry. Był tam również mój syn, ale nie wiem, co mu się stało i... – Przypomniał sobie kolejne fragmenty. – Ktoś stał z nami na tej krawędzi. Ktoś, kogo nigdy wcześniej nie widziałem. Oczy miał jak ogień, włosy błyszczące jak złota przędza. Ponaglał każdego, żeby skakał, i trzymał Tanielowi nóż na gardle.

– Mogę panu coś powiedzieć? – łagodnie zapytał Mihali.

– Oczywiście. – Tamas zbliżył się o krok, aby lepiej słyszeć kuchmistrza.

– Dziękuję, Tasho. – Mihali wziął kubek od jednej z kobiet. – Słuchałem tego, co mówią w mieście. – Dodał do ciepłego mleka swoją ziołową miksturę i wymieszał grubym paluchem, po czym wręczył Tamasowi.

Marszałek bezmyślnie upił odrobinę. Szerzej otworzył oczy. Kiedyś, raz czy dwa, próbował fatrastańskiej czekolady, wydała mu się za gorzka. To miało podobny smak, ale było słodsze, z taką pikantną, pieprzną nutą. Przyprawy paliły w język, lecz zioła koiły i całość spływała ciepłem w dół gardła niczym najlepsza brandy. Przechylił kubek, wypijając do ostatniej kropli.

– Wszędzie czają się niebezpieczeństwo i zdrada – kontynuował Mihali. – Adopest to wrzący kocioł, trzeba w nim obniżyć temperaturę albo zaraz wykipi. Jeszcze zanim nadejdzie Kresimir. Sądzę, że... sądzę, że trzeba przygotować mojemu bratu jakieś powitanie. Dobrej nocy, marszałku.

Tamas spojrzał w dół i zobaczył, jak Mihali zabiera kubek z jego dłoni. Słowa kuchmistrza dochodziły do niego z daleka.

– Trzeba go będzie zanieść do łóżka – mówił Mihali. – Teraz nie powinien mieć żadnych kłopotów z zaśnięciem.

– Adamacie, mój stary przyjacielu!

Ricard Tumblar stał w drzwiach niewielkiego gabinetu, szeroko rozpościerając ramiona. Lata, które minęły od ostatniego ich spotkania, zmieniły szefa związków zawodowych. Gęste, brązowe kędziory cofnęły się do połowy głowy, pojawiły się w nich nitki siwizny. Ricard zapuścił długą brodę, na modłę fatrastańskich osadników. Jego drogi surdut z wielbłądziej wełny był wymięty niczym piżama, a krawat krzywo zawiązany.

– Ricardzie, dobrze cię widzieć. – Adamat uściskał starego przyjaciela.

Tumblar uśmiechnął się od ucha do ucha. Ujął detektywa za ramiona, spoglądając mu w twarz niczym dawno zaginionemu bratu.

– Jak tam u ciebie?

– Dosyć dobrze – odparł Adamat. – A u ciebie?

– No ja z pewnością nie mogę narzekać. Usiądź, proszę. – Zaprosił Adamata do gabinetu. Panował tam bałagan, na który składały się porozrzucane książki, na wpół opróżnione butelki brandy oraz brudne talerze. Ricard zgarnął z krzesła stos gazet i obszedł biurko. Uchylił okno.

– Coel! – zawołał. – Coel, przynieś nam trochę wina. Butelkę pinny! Dwa kieliszki... nie, lepiej dwie butelki.

Pospiesznie zamknął okno, jednak pokój i tak wypełnił się zapachem martwych ryb oraz słonej wody. Ricard zmarszczył nos. Z kieszeni na piersiach wyjął zapałkę, po czym rozpalił na wpół już zużyte kadzidełko na półce ponad biurkiem.

– Nie jestem w stanie znieść tego odoru – wyjaśnił. – A nie da się przed nim uciec, bo jesteśmy jakieś pół mili od doków. Ale... – wzruszył ramionami – cóż mogę zrobić. Muszę być blisko miejsca akcji.

– Słyszałem niesamowite rzeczy o twoich postępach w sprawach związku – odezwał się Adamat.

Zaraz po ukończeniu szkoły Ricard założył pierwszy swój związek. Nie powiodło mu się, podobnie jak z kilkoma kolejnymi próbami: może z powodu braku chętnych, a może dlatego, że wezwano siły policyjne, by zmusić go do zakończenia działalności. Pięciokrotnie trafiał za kratki, jednak upór się opłacił i wreszcie pięć lat temu Manhouch zalegalizował pierwszy związek zawodowy w Dziewięciu.

Ricard uśmiechnął się jeszcze szerzej, choć przed chwilą wydawało się to niemożliwe.

– Szlachetni Wojownicy Pracy. Od Dnia Elekcji otworzyliśmy już trzy filie i prowadzimy rozmowy z radami miast na temat otwarcia do końca roku następnych trzech. Mamy ponad sto tysięcy członków, a moi rachmistrzowie mówią mi, że to dopiero początek. W przeciągu kilku lat możemy mieć milion członków, może nawet więcej. Objęliśmy związkami zawodowymi metalurgię, koksownictwo, górnictwo, wszystkie największe gałęzie adrańskiego przemysłu.

– Nie wszystkie – powiedział Adamat. – Słyszałem, że aleja Hruscha przysparza ci problemów.

Ricard parsknął.

– Cholerni rusznikarze nie chcą przystąpić do związku.

– No trudno ich winić – powiedział Adamat. – Już teraz wytwarzają połowę broni używanej w Dziewięciu. Nie martwią się konkurencją.

– A gdyby byli w związku, produkowaliby broń dla całego świata! Kluczem jest organizacja. Ba – oznajmił Ricard. – Tym, co naprawdę ekscytuje, jest kanał przez Góry Smolne i przez Deliv. Kiedy skończymy, będziemy mieli z Adro bezpośrednie połączenie z oceanem, a wtedy nie będzie już żadnych ograniczeń dla naszych zdolności produkcyjnych. Adro nareszcie będzie miało trakt wodny aż do oceanu! – Nagle spoważniał. – Ale, mój drogi, to nieuprzejme, abym w ten sposób opowiadał o swoich sukcesach. – Urwał, zakłopotany.

Adamat zbył to machnięciem ręki.

– Masz na myśli mój nieudany interes? Nie przejmuj się tym. Od samego początku to było ryzykowne przedsięwzięcie, postawiłem nie na to, co trzeba. Mógłbym o to winić raczej cenę papieru albo silną konkurencję...

– Albo eksplodującą prasę drukarską.

– Albo ją – zgodził się Adamat. – Wciąż jednak mam rodzinę i przyjaciół, jestem zatem bogatym człowiekiem.

– Jak miewa się Faye? – zainteresował się Ricard.

– Całkiem dobrze – odparł Adamat. – Pozostanie na wsi, dopóki tutaj, w stolicy, sprawy się nie unormują. Szczerze mówiąc, zastanawiałem się, czy nie powinna tam zostać do końca wojny.

Ricard przytaknął.

– Wojna to otchłań.

Do pokoju wszedł jakiś młodzieniec o wychudłych ramionach, odziany w stare, wyświechtane ubranie. Niósł butelkę wina oraz dwa kryształowe kielichy.

– Niech cię szlag, powiedziałem dwie butelki! – huknął Ricard.

Młodzieniec zdawał się nieporuszony.

– Została tylko jedna.

Z głośnym brzdękiem postawił tacę na biurku i wycofał się spiesznie, unikając zarazem kułaka Ricarda.

– Nie sposób dziś znaleźć dobrej służby – stwierdził Ricard, przytrzymując chybocząca się butelkę.

– W rzeczy samej.

Tumblar nalał wina. Kieliszki były brudne, lecz trunek chłodny. Wypili po dwa, zanim powrócili do rozmowy.

– Wiesz, dlaczego tutaj przyszedłem? – zapytał Adamat.

– Tak – odparł Ricard. – Zadawaj pytania. Nie jestem bufonem, żeby się obrażać. Masz swoją robotę do wykonania.

Adamatowi ulżyło. Pochylił się do przodu.

– Masz jakieś powody, żeby chcieć śmierci marszałka polnego Tamasa?

Ricard podrapał się po głowie.

– Chyba mam. Ostatnio mruczał coś o redukcji zasięgu związku. Mówi, że za szybko zdobywa zbyt wielką siłę. – Rozłożył ręce. – Jeśli postanowi ograniczyć naszą liczebność albo zbyt mocno nas opodatkować, to będziemy mieli prawdziwe problemy.

– Na tyle duże, aby go zabić?

– Zapewne. Jednak zanim się podejmie takie kroki, należy rozważyć wszelkie za i przeciw. Tamas łaskawym okiem patrzy na nasze związki zawodowe. Wspiera ich istnienie, chociaż przez prawie tysiąc lat były zakazane. Manhouch pozwolił mi założyć Wojowników tylko dlatego, że ostrzył sobie zęby na podatki, jakimi chciał nas obłożyć. Zdołaliśmy uniknąć ich na tyle, aby nasze istnienie w ogóle się opłacało.

– Skoro mogliście funkcjonować za monarchii, dlaczego poparliście zamach stanu?

– Księgowi Manhoucha dokładnie sprawdzali nasze księgi. Uświadomili sobie, że nie płacimy tyle podatków, ile planowali, i doradcy króla zachęcali go, żeby nas w ogóle rozwiązać. Szlachta nas nienawidziła. Nienawidzili tego, że przez nas muszą więcej płacić robotnikom, nawet jeśli to oznaczało zwiększenie produkcji. Nawet gdyby Manhouch nas nie rozwiązał, to

Ugody poddawały Adro kezańskiemu prawu kolonialnemu, przez co ja i inni przywódcy związkowi trafilibyśmy za kartki, albo i w gorsze miejsce, zaś Wojowników i tak by rozwiązano, konfiskując nasze mienie.

– Mówiłeś, że zabicie Tamasa niosłoby ryzyko?

– Przede wszystkim problemy do rozwiązania. Nie mam w radzie wielu przyjaciół. Lady Winceslav mnie toleruje. Podskarbi nienawidzi, bo moi księgowi są prawie tak dobrzy jak jego, a biskup już ze dwa razy mnie ekskomunikował. Pierwszy Lektor uważa mnie za głupca, a Szafarz... no, akurat ten jest zadowolony z łapówek, jakie dostaje od związku. Po śmierci Tamasa miałbym w radzie tylko dwóch sojuszników, z których każdy mógłby obrócić się przeciwko mnie.

Adamat upił łyk wina. *Możliwe, że jeden już to zrobił* – pomyślał, wspominając słowa lady Winceslav.

– Mówi się, że wysłałeś delegację do Ipille'a.

Ricard wyprostował się gwałtownie.

– Kto ci o tym powiedział?

– Za dobrze mnie znasz, żeby się spodziewać odpowiedzi.

– Ty i ci twoi informatorzy. Czasem zapominam, że ty chyba wiesz o wszystkim. Nawet o rzeczach robionych w najgłębszej tajemnicy.

– Czyli wysłałeś?

Ricard wzruszył ramionami.

– Oczywiście. Nawet Tamas tego nie wie. Nie żebym coś ukrywał – dodał szybko, unosząc dłoń w obronnym geście.

– To po co ta tajemnica, skoro niczego nie ukrywasz? – Adamat zaczął się niepokoić. Przyjaciel czy nie, jeśli Ricard knuł za plecami Tamasa, to przyjaźń stanowiła kiepską walutę.

– Mówiłem, że możemy mieć milion członków?

– Tak.

– Dobrze, wyobraźmy sobie, że byłoby ich dziesięć milionów. Albo sto milionów?

– Mówisz o wszystkich pracujących ludziach w całych Dziewięciu.

Ricard z powagą pokiwał głową.

– Wysłaliśmy niewielką delegację do Ipille’a. Od razu ci mówię, że to nie było nic podstępnego, żadna próba wyprzedania Adro. Po prostu list intencyjny, że Wojownicy chcą się rozprzestrzenić poza Adro, po całych Dziewięciu. Powszechnie wiadomo, że Kez ma więcej mieszkańców, ale nie może się równać z naszym przemysłem. Zaproponowaliśmy trochę niewielkich przywilejów, jeżeli pozwolą nam założyć filię u siebie.

– Rozumiem. – Adamat oglądał wnętrze kieliszka.

Doskonale pojmował, dlaczego Ricard zrobił to w tajemnicy. Stojąc u progu wojny, Tamas nie życzyłby sobie nawet cienia podejrzeń, że ktoś pomaga Kezowi. A Kez skorzystałby, i to niemało, na powstaniu związków zawodowych. Kez był krajem rolniczym, nie przyswoili sobie jeszcze wszystkich dobrodziejstw przemysłu, jak Adro, dlatego mimo większej liczby ludności pozostawali w tyle pod względem poziomu technologii oraz produkcji. Gdyby Wojownicy zaczęli działać i w Kezie, to wraz z nimi rozprzestrzeniłby się przemysł. Jak już powiedział Ricard, Kez nie mógł równać się z przemysłem Adro. Jeszcze.

– Otrzymałeś jakąś odpowiedź?

Ricard skrzywił się. Rozejrzał się wokół biurka, potem spojrzał na półki, aż wreszcie znalazł to, czego szukał, pod okruchami na wpół zjedzonego chleba. Cisnął papier opatrzony pieczęcią króla Kezu na kolana Adamata.

Detektyw szybko przeczytał list.

– Odrzucili propozycję.

– Nie szczędząc jadu – uściślił Ricard. – Moich ludzi wyrzucono z pałacu. Kezanie to głupcy. Idioci. Tkwią w minionym wieku, podczas gdy reszta świata szykuje się już do wieku następnego. Przeklęci szlachcice.

Adamat wziął pod uwagę wszelkie okoliczności. Tak czy owak, ten trop przepadł. Chyba że jakieś negocjacje toczą się gdzieś poza oficjalnymi decyzjami. Słyszało się o takich rzeczach. Adamat mógł w razie potrzeby pogrzebać głębiej. Ricard nie był przyjacielem na tyle bliskim, by detektyw uwierzył mu na słowo i nie sprawdził, czy jego opowieść na pewno jest prawdziwa.

Ricard dopił resztkę wina prosto z butelki. Położył pustą na blacie biurka i nią zakręcił.

– Miesiąc temu zostawiła mnie Maies. Zaraz po przewrocie.

Maies była jego szóstą żoną w przeciągu dwudziestu lat. Adamat wbrew sobie ciekaw był, co też Ricard przeskrobał tym razem.

– Dobrze się czujesz?

Ricard utkwił spojrzenie w wirującej butelce.

– Radzę sobie. Biuro nieopodal doków ma swoje zalety. Znalazłem taką parę bliźniaczek... – Uniósł dłonie na wysokość piersi. – Mogę cię zapoznać...

– Jestem szczęśliwie żonaty – przerwał mu Adamat. – I chciałbym, żeby tak zostało. – Ricard zazwyczaj nie dzielił się tak chętnie. Adamat nie miał nawet pewności, jakiego rodzaju była to oferta. – Co sądzisz o innych członkach rady? – zapytał, zmieniając temat.

– Osobiście?

– Nie obchodzi mnie, czy ich lubisz. Chodzi mi o to, czy sądzisz, że któryś z nich mógłby spiskować przeciwko Tamasowi.

– Charlemund – stwierdził Ricard bez zastanowienia. – Ten człowiek jest jak lew jaskiniowy w kurniku. – Potrząsnął głową. – Słyszałeś opowieści o jego willi, prawda? Wesołym domku dla możnych i wysoko postawionych zaraz pod miastem?

– Plotki – zbył go Adamat. – Nic poza tym.

– Och, bynajmniej, sama prawda – uświadomił go Ricard. – Na samą myśl oblewam się rumieńcem, a wcale nie jestem jakąś niewinną dziewoją. Każdy mężczyzna o takich apetytach ma plany co do całego kraju. Zapamiętaj moje słowa.

– Masz jakiś dowód? Jakieś solidne podejrzenia?

– Nie. Oczywiście, że nie. To niebezpieczny człowiek. Kościół już wypowiada się przeciwko Wojownikom. Głosi, że postępujemy wbrew woli Kresimira, powinniśmy bowiem pozwolić, by szlachta zatyrała nas na śmierć. Nie wtykam w to nosa.

– A co z Ondrausem? – zapytał Adamat.

Ricard znieruchomiał.

– Uważaj na niego – powiedział wreszcie. – To ktoś więcej, niż się wydaje.

Dziwne ostrzeżenie, jak na Ricarda.

– Dobrze, daj mi znać, jak trafisz na dowody, które pozwolą oskarżyć arcybiskupa. – Adamat wstał i wziął swój kapelusz.

– Poczekaj. – Ricard uniósł palec. – Właśnie sobie coś przypomniałem. Kilka lat temu krążyły pogłoski, że Charlemund dołączył do jakiegoś kultu. – Przyłożył dłoń do czoła. – W życiu nie zdołam przypomnieć sobie nazwy.

– Kultu – powtórzył Adamat dobrodusznie. Richard wyraźnie strzelał na ślepo. Ewidentnie nie przepadał za arcybiskupem. – Powiadom mnie, jak sobie przypomnisz. Potrzebuję dostępu do twoich ksiąg i do wszystkich budynków oraz pomieszczeń należących do związku w obrębie doków.

– Hmmm – powiedział Ricard.– Będziesz potrzebował całej armii, aby przez to wszystko przebrnąć.

– A jednak...

– Ależ proszę bardzo. Poinformuję swoich chłopców, aby ci nie przeszkadzano i że trzeba odpowiadać na twoje pytania.

Adamat i SouSmith resztę tego dnia oraz sporą część następnego spędzili, wędrując po dokach i magazynach. W tej okolicy prawie każdy należał do Wojowników Pracy, dlatego Adamat zadawał mnóstwo pytań. Jednak, tak jak podejrzewał, zaprowadziło go to donikąd. Przepytał blisko trzysta osób. Usłyszał podejrzenia i półprawdy, i kłamstwa, i wskazywano na konkretne osoby, ale wszystko obracało się w jednym wielkim kole. Ricard miał rację – do tego potrzeba było całej armii.

Jedyne, co Adamat stwierdził na pewno, to że agenci Kezu przybywali do Adro właśnie przez te doki, Admorzem. Pod koniec drugiego dnia zajrzał do sztabu Tamasa i pozostawił żołnierzom listę nazwisk i statków do sprawdzenia, jednak wrócił do domu, nie posunąwszy się do przodu w poszukiwaniach zdrajcy.

Wiedział, że jego praca mogła powstrzymać kolejny zamach, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wsadza rękę w mętne wody pełne rekinów.

Był sam, zaś wrogowie Tamasa mogli uderzyć zewsząd i o każdej porze.

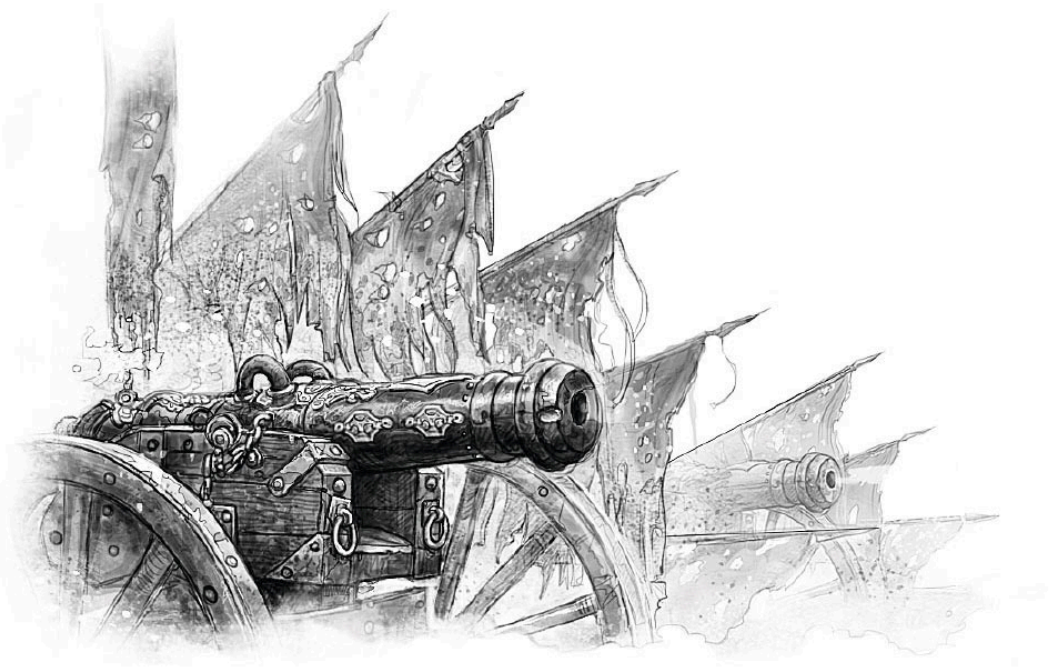

22
ROZDZIAŁ

Bicie dzwonu wybudziło Taniela z niespokojnego snu. Mag w ciągu kilku chwil był na nogach. Chwycił karabin stojący obok łóżka, pobiegł w stronę drzwi. Ka-poel zaczynała dopiero wygrzebywać się ze swojego posłania, a Taniel już był na zewnątrz i zbiegał po schodach.

W kasynie oficerskim było pusto. Taniel przebiegł obok rzędów stołów, na których do góry nogami tkwiły krzesła, i wypadł na ulicę.

Zatrzymał się tylko, aby wetknąć koszulę w spodnie i poprawić oporządzenie do karabinu. Potem jeszcze wzuł buty, a kiedy się wyprostował, z budynku wylewał się już potok ludzi. Taniel przyłączył się do nich, kierując ku południowemu murowi bastionu.

– Słyszałeś alarm? – zapytał Fesnik.

Od momentu gdy Taniel przed dwoma tygodniami powrócił z góry razem z Bo, Fesnik chętnie spędzał czas w towarzystwie prochowego maga, chociaż ten nie miał pojęcia dlaczego. Było nie było, przy okazji pierwszego ich spotkania połamał Fesnikowi zęby lufą pistoletu.

Teraz w odpowiedzi na pytanie przewrócił oczyma. Oczywiście, że słyszał alarm. Pół Adro słyszało, a cholerne dzwony wciąż biły.

– Tak – mruknął.

– Myślisz, że to duży szturm?

– Nie wiem.

W opinii Taniela młody strażnik był stanowczo zbyt podekscytowany nadciągającymi wydarzeniami. Od pierwszej wymiany ognia tylko strzelali do żołnierzy Kezu jak do kaczek. Nieprzyjacielska armia po prostu zaległa na przedpolu, poza zasięgiem ognia artylerii... jakby w oczekiwaniu na coś. Ich Uprzywilejowani w ogóle się nie pokazywali, co irytowało Taniela, jednak nie raz i nie dwa miał okazję strzelać do Stróżów. Tyle że zabicie któregoś z nich pojedynczym trafieniem wymagało raczej szczęścia niż umiejętności.

Taniel zajął stanowisko na szańcu i przygotował się do walki. Wciągnął szczyptę prochu, aby wymieść ostatki snu. Spod zmrużonych powiek spojrzał na poranne słońce.

– Mają słońce od swojej strony – zauważył.

– Sukinsyny – mruknął Fesnik.

– Zawsze wiedzieliśmy, że zaatakują rano. Ich przewaga zwróci się przeciwko nim po południu.

Słońce dopiero zaczęło się wychylać zza odległych wzgórz. Poranne powietrze było chłodne. Z początkiem lata śnieg zniknął już z niższych partii zbocza, a droga po południowej stronie rozmokła. Trakt stanie się błotnistą ślizgawką, kiedy już zaczną wspinać się po nim żołnierze Kezu. Taniel dziwił się kezańskiej strategii.

Dzwony ucichły wreszcie. Jeśli nie liczyć nerwowych szeptów i poszczękiwania rynsztunku, wokół panowała całkowita cisza. Ładowano

armaty, szykowano muszkiety. Cały szaniec obsadzony był działami i ludźmi, tak gęsto jak tylko się dało, by zachować sprawność działania. Taniel nie zazdrościł wrogowi.

– Na Kresimira – powiedział Fesnik, mrużąc oczy. – Mają tyle żołnierzy, żeby rzucać na nas ludzi i zasypywać kulami do końca świata.

– Proszę bardzo, niech próbują – powiedziała jakaś strażniczka po prawej. Jej głos wydał się Tanielowi znajomy. Zerknął ku niej. To była Katerine, jedna z kobiet Bo. Poważna i surowa, o kruczoczarnych włosach i ostrym głosie, zupełnie nie była w typie Uprzywilejowanego. Taniel ukłonił się jej. Odpowiedziała tym samym.

Mag zażył jeszcze trochę prochu i próbował dostrzec ruch na równinie poniżej. Prochowy trans nie tłumił oślepiających promieni słońca. Taniel poczuł, że ktoś go ciągnie za rękaw. Obok stała Ka-poel, wskazywała na coś w dole stoku.

Taniel popatrzył we właściwym kierunku, mrużąc oczy z wysiłku. I wtedy to zobaczył. Tuż za Mopenheig. Miasteczko dawno już opuszczono, przenosząc kwaterę główną niżej. Coś się jednak zmieniło. Nocą wzniesiono tam jakąś wieżę. Trójkondygnacyjną, z drewnianych bali, osadzoną na płozach, przy których stał już gotowy zaprzęg wołów.

Taniel poczuł, że serce bije mu szybciej.

– Wieża Uprzywilejowanych – powiedział. Otworzył trzecie oko, aby się upewnić. W Nieświecie Wieżę otaczał blask wystarczająco mocny, aby przyćmić indywidualne aury.

– To tylko stos patyków – uznał Fesnik z lekceważeniem. – Jeden dobry strzał z dużego działa i pójdzie w drzazgi.

Ka-poel parsknęła. Taniel podejrzewał, że dziewczyna po raz pierwszy w życiu widziała Wieżę Uprzywilejowanych, ale mogła poczuć czary oplatające budowlę.

Katerine wydawała się zmartwiona. Niepewnie spojrzała na Taniela.

– Nie licz na to – powiedział mag. – Wieże Uprzywilejowanych to bardziej kłąb magii niż patyków.

Obejrzał dokładnie całą budowlę. Trzecie oko dostrzegło w niej cały szeroki zakres kolorów, setki wymieszanych ze sobą pastelowych smug. Wieża jaśniała niczym tysiąc pochodni. Od samego patrzenia na nią mogła rozboleć głowa. Zamknął trzecie oko.

– Wplatali w to ochronne czary przez ostatnich kilka tygodni. Podejrzewam, że dawno już czegoś takiego nie budowano. Na taką Wieżę potrzeba całej kamaryli, a jak już ją zbudują...

– Dobra, ale co to w ogóle robi, do otchłani? – zniecierpliwił się Fesnik. Taniel zerknął na młodego strażnika. Lufa muszkietu Fesnika zakołysała się.

– To będzie chroniło żołnierzy wchodzących na wzgórze – wyjaśnił Taniel. – I Uprzywilejowanych w środku.

– Nadal nie rozumiem – odparł strażnik, osłaniając oczy.

– Już niedługo zrozumiesz. – Taniel podniósł karabin i zakręcił nim młyńca. – Wiesz może, gdzie jest Bo?

Fesnik potrząsnął głową.

– Z Gavrilem – podpowiedziała Katerine. – Ponad bramą.

Największy z szańców znajdował się nad południowo-wschodnimi wrotami. Wystawał z głównego muru, szczerząc lufy dwudziestu dział i górując nad zboczem. Taniel znalazł Gavrila na szczycie reduty. Strażnik osłaniał oczy od słońca i wychylał się tak, jak gdyby tylko czekał, aż uderzy go jakaś kula. Bo stał kilka kroków z tyłu, marszcząc brwi i wpatrując się w zbocze.

– Wieża Uprzywilejowanych – poinformował go Taniel.

– Wiem. Zastanawiałem się, co planują. Sądziłem, że czekają na więcej ludzi – burknął Bo i postawił kołnierz. – Tego się nie spodziewałem.

– Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem – powiedział Taniel. – Tylko słyszałem opowieści.

– Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Ostatnią taką zbudowano, och, dwieście piętnaście lat temu. W czasie gdy Kez oblegał pałac szacha w Gurli. Wspierany przez Adro zresztą. – Pociągnął nosem. – Obie

kamaryle współpracowały, żeby zbudować trzy Wieże Uprzywilejowanych. Wygrano nimi bitwę, a potem całą wojnę.

– Do czego ich potrzebowali? – zapytał Taniel.

Bo rzucił mu przeciągłe spojrzenie.

– Pałacu szacha strzegł jakiś gurlański bóg.

Taniel poczuł mróz w piersiach, wcale nie od wiatru.

– Żartujesz chyba. Bóg?

– Sekrety królewskiej kamaryli, mój przyjacielu – oznajmił Bo, postukując palcem w bok nosa. – Młody bóg. Młody i naiwny. – W głosie Uprzywilejowanego zabrzmiała tęsknota.

– To nie jest opowieść, którą przeczytasz w książkach od historii – dodał Gavril.

Zszedł z szańca i odwrócił się w ich stronę, chowając lunetę do kieszeni. Nosił strój górskiego przewodnika, uszyty z futer, brązowe skórzane buty oraz takąż kamizelkę, ledwie dopinającą się na piersiach. Kamizelka była stara i wytarta, a Taniel niemal czuł bijący od niej zapach kurzu, jak gdyby zalegała gdzieś na samym dnie skrzyni. Na lewej piersi Gavrila widniał emblemat Straży Górskiej: trzy trójkąty, jeden duży z aureolą, dwa mniejsze po bokach. Kamizelka wachmistrza.

Gavril, miejscowy pijak, okazał się wachmistrzem. Taniel ciągle nie mógł się temu nadziwić.

– Co o tym sądzisz? – Bo ruchem głowy wskazał zbocze za szańcem.

– Nie podoba mi się. – Gavril potarł szczecinę na podbródku. Od kiedy objął stanowisko wachmistrza, zaczął się golić. Najwyraźniej jednak nie dość często. – Wieża Uprzywilejowanych oznacza, że mamy tutaj całą kamarylę.

– Albo gorzej – mruknął Bo.

– Julene – domyślił się Taniel.

Wymienili niezadowolone spojrzenia.

– Widziałem, jak czaruje – powiedział Taniel. – Jest naprawdę potężna.

– Ba. A się powstrzymywała – uświadomił go Bo. – Nie masz pojęcia o jej mocy nawet w połowie.

– W takim razie odsunie sobie tę fortecę z drogi.

– Nie dbam, kim ona jest – uciął Gavril. – Tak łatwo się nas nie pozbędzie. Czary, tak stare jak ona sama, mocują tę warownię do góry. Wpleciono je w każdą cegłę i każdą garść ziemi oraz kawałek skały. To jest Straż Górska.

– I tak nie powinieneś jej lekceważyć. – Bo rzucił wachmistrzowi spojrzenie pełne irytacji. – Może być teraz osłabiona naszą walką. Na szczycie góry zebrała takie baty, że mogłyby zabić połowę kamaryli królewskiej. Nie wspominając o upadku. Pewnie wybiła krater, jak uderzyła o ziemię.

Wśród żołnierzy obsadzających szaniec rozległy się pomruki. Taniel wyszedł na skraj umocnień, aby zobaczyć, co się dzieje. Dołączyli do niego Gavril i Bo.

Mrużąc oczy w blasku słońca, dostrzegł ruch u podnóża góry. Nocą cała armia zgromadziła się tuż poza zasięgiem dział fortecy. Na pierwszy rzut oka Kezanie wyglądali jak gigantyczny, niezorganizowany tłum, jednak gdy Taniel im się przyglądał, zaczynali już formować szeregi. Potem ujrzał chorągwie kezańskiej kamaryli. Były o tyle większe od sztandarów szlachty i króla, o ile prześcieradło większe jest od koszuli. Wspomagane czarami, wznosiły się nad szeregami Kezan, tak by obsada fortecy mogła obejrzeć je sobie dokładnie. Na sztandarach widniał biały wąż na zbożowym polu, kezański symbol potęgi. Kiedy Taniel patrzył na węża, ten wił się i poruszał. Znowu czary. Paszcza gada rozwarła się i splunęła jadem ku górskiej fortecy.

Taniel zerknął na Bo.

– Sztuczki – powiedział Uprzywilejowany. – Iluzja. Nic groźnego. Jeszcze.

– Dobra.

Wieża Uprzywilejowanych zaczęła powoli pełznąć w górę traktu. Z obu jej stron zaroiło się od żołnierzy, maszerujących równym krokiem, a miarowy warkot bębnów odbijał się echem od skał. Tysiąc koni zaczęło

ciągnąć działa przy akompaniamencie skrzypienia uprzęży. Zagrzmiała trąba. Rozpoczęła się wspinaczka.

Aż do teraz obrońcy Wierchowieńca mieli do czynienia tylko z wycieczkami i pozorowanymi atakami.

Taniel wiedział, że tym razem rozpoczął się prawdziwy szturm. Już nie będzie odpoczynku, dopóki jedna ze stron nie zostanie zniszczona.

Poczuł, że ktoś szarpie go za rękaw. Ka-poel odciągnęła go na bok, wręczyła jakąś torbę. Sakwa miała wielkość armatniej kuli i tyleż ważyła.

– Pole, co jest, do otchłani?! Ugh, co to?! – Położył torbę na ziemi, zajrzał do środka. Była pełna kul, wystarczyłoby ich dla połowy jednostki. Spojrzał na Ka-poel niepewnie. – Dzięki?

Ruda przewróciła oczyma. Uderzyła pięścią o pierś – ten gest oznaczał u niej Uprzywilejowanego – a następnie udała, że strzela z karabinu. Taniel nie zdołał powstrzymać uśmiechu, gdy zrozumiał, o co chodzi.

– Co to jest? – zainteresował się Bo, spoglądając ponad ramieniem Ka-poel.

– Kule – odparł Taniel. Wyjął jedną i obejrzał pod światło. Był to standardowy, ołowiany pocisk do muszkietu, szerokości męskiego kciuka, naznaczony niezbyt wyraźną, ciemnoczerwoną obwódką. Bo sięgnął po pocisk, ale Taniel odtrącił dłoń czarodzieja.

– Nie chciałbyś tego dotykać – ostrzegł. – To czerwona pręga.

Bo spojrzał sceptycznie na kulę.

– Co takiego?

– Te pociski zostały zaklęte przez Kościane Oko, dynizyjskiego czarownika – wyjaśnił Taniel. – Używaliśmy ich w trakcie wojny fatrastańskiej. Zabiliśmy nimi wielu Uprzywilejowanych.

– Jak są zaklęte? – Bo przyglądał się kuli, starając się do niej nie zbliżać.

– Mają przenikać tarcze Uprzywilejowanych. Ją zapytaj, jak chcesz więcej szczegółów. – Taniel kciukiem wskazał Ka-poel. – Z tego, co ja wiem, zrobienie tego pochłania mnóstwo energii. – Popatrzył na rudowłosą. Nie wiedział, że dziewczyna umie robić coś takiego. Ale pociski wyglądały tak, jak zapamiętał, a ona miała podkrążone ze zmęczenia oczy, zapewne

niejedną noc spędziła przy pracy. I dopiero w tej chwili Taniel uświadomił sobie, że nie widział jej od tygodnia. Od świtu do zmierzchu tkwił na murach, spoglądając na Kez.

Bo miał skupiony wyraz twarzy, jak zawsze, gdy używał trzeciego oka.

– Powiedziałeś, żeby tego nie dotykać – wymamrotał. – Robią jakąś szkodę poza dziurą w głowie?

– Tak – odparł Taniel. – Fatrastański Uprzywilejowany powiedział mi, że parzą przy dotyku. Nie potrafię sobie wyobrazić czegoś takiego w środku ciebie.

– Czyli że nie jest potrzebne bezpośrednie trafienie – stwierdził Bo w zamyśleniu. Wyprostował się. – Dlaczego nigdy wcześniej o nich nie słyszałem?

– Gdybyś był Kezaninem, to ogłosiłbyś wszem wobec, że jakieś zaklęte kule mogą przedrzeć się przez twoje najlepsze zabezpieczenia? A gdybyś był Fatrastaninem, to przyznałbyś się, że masz taką przewagę?

– Fatrastanie mogliby sprzedać jeden taki pocisk za mnóstwo pieniędzy – uznał Bo.

Taniel wręcz słyszał tryby obracające się w głowie przyjaciela.

– Tak, a potem pewnego dnia jeden taki poleciałby im na spotkanie.

Bo uśmiechnął się.

– Przypuszczalnie tak by było, prawda? – Wciąż patrzył na kulę, zamyślony. – Na twoim miejscu nikomu bym o tym nie mówił.

Dalsze dywagacje przerwało im pojawienie się Gavrila.

– Tanielu, Uprzywilejowani zaczęli się pokazywać. Czas do pracy. Ty też, Bo. Chcę, żebyś cały czas, jak będą szli pod górę, miotał w nich wszystkim, co tylko masz. Zaraz zacznie się bitwa.

Jakby na potwierdzenie jego słów zagrzmiała armata. Tanielowi aż zadzwoniło w uszach. Nie minęła nawet chwila, gdy huknęło kolejne działo, a potem jeszcze jedno.

– Przyzwyczajcie się do tego dźwięku – Gavril przekrzykiwał ryk armat. – Jedyne, czego nam nie brakuje, to amunicja. Będziemy walić z dział dzień i noc, póki lufy nie popękają albo Kez nie pośle nas do otchłani.

Taniel resztę dnia spędził, zmuszając kezańskich Uprzywilejowanych do szukania kryjówek. Czerwone pręgi przedzierały się przez osłony. Tylko w najbliższym sąsiedztwie Wieży odbijały się od czarodziejskiej tarczy niczym zwykłe armatnie kule. Kezańscy Uprzywilejowani skupili się wokół konstrukcji, krocząc równo z nią. Niektórzy nawet na niej jechali. Od czasu do czasu bez większego entuzjazmu rzucali czarami w górę zbocza. Ani jedno zaklęcie nie przedarło się za reduty. Osłony chroniące Straż Górską były za mocne.

Wieża Uprzywilejowanych około południa miała już za sobą trzy czwarte drogi z Mopenheig do fortecy. Zatrzymała się na dość płaskim odcinku drogi, wystarczająco dużym, by pomieścić przysadzisty budynek z latryną – schronienie dla wędrowców podróżujących serpentynami drogi. Pod koła Wieży wstawiono bloki, woły zamknięto w zagrodzie. W jej cieniu rozstawiono namioty.

Kezańska kamaryla znalazła swoje pole walki.

Kezanie pracowali cały dzień, pod ciągłym ostrzałem artylerii. Powietrze migotało nad nimi tam, gdzie na utkaną z czarów tarczę spadał deszcz kul armatnich i kartaczy.

Po południu Taniel znalazł się ramię w ramię z Bo.

Borbador założył rękawice, ale jeszcze nie rzucił ani jednego czaru. Krzywił się, patrząc przez lornetkę na nową pozycję Kezan.

– Do otchłani! – zaklął pod nosem. Schował lornetkę i odwrócił się do przyjaciela. – Ona tam jest – oznajmił.

– Julene? – upewnił się prochowy mag. – Skąd masz pewność?

Bo potarł skronie.

– Cały dzień miałem otwarte trzecie oko. Dobrze się ukrywa i do otchłani, w ogóle ciężko jest spod tej tarczy wyłuskać jakieś poszczególne osoby. Ale dwukrotnie widziałem jej źródło mocy. Za każdym razem, kiedy trafiano Wieżę. – Parsknął. – Suka teraz pogania bydło. Właśnie ją widziałem, akurat teraz. To ona, na pewno. Tylko Predei tak jaśnieją w Nieświecie. Prawie się nie ukrywa.

– A co, jeśli tam na dole jest jeszcze ktoś inny taki jak ona? – zapytał Taniel.

Bo zbladł nagle. Z wysiłkiem przełknął ślinę i ponownie spojrzał przez lornetę. Po chwili opuścił szkła i splunął Tanielowi pod nogi.

– Ale z ciebie drań, żeś to powiedział. – Przetarł oczy. – Teraz przez całą noc będę na nogach, wypatrując tego drugiego. Niech to cholera.

– Czyli przetrzymała lanie, jakie sprawiliśmy jej na górze?

– Na to wygląda.

– Jak, do otchłani, mamy ją zabić? Czy to się w ogóle da zrobić?

– Nie wiem.

– Dodajesz mnóstwo otuchy, wiesz? – Taniel zignorował rozeźlone spojrzenie Bo. – Ona naprawdę stara się tutaj wejść, żeby przyzwać Kresimira?

– Tak.

Taniel zadawał to pytanie już z pięćdziesiąt razy. Miał nadzieję, że odpowiedź Bo jednak się zmieni. Nie zmieniła się. Mimo to Taniel miał przemożne odczucie, że powinien pytać.

– Dlaczego tego nie zrobiła już parę tygodni temu? Mogła się prześlizgnąć obok nas i wejść na górę.

– Ostatnim razem potrzeba do tego było trzynastu najpotężniejszych Uprzywilejowanych świata – uświadomił przyjaciela Bo. – Teraz będzie potrzebowała całej kamaryli.

– Stąd Kez.

– Tak.

– Dlaczego mieliby jej pomóc?

– Kto wie co im obiecała. – Bo wzruszył ramionami. – Nieśmiertelność? Potęgę? Władzę nad Dziewięcioma u boku Kresimira?

– Musimy powiedzieć ojcu.

– Wysłałem mu ostrzeżenie już ponad miesiąc temu – odparł Bo. – W odpowiedzi przysłał ciebie, żebyś mnie zabił.

– Ja ci wierzę – zapewnił go Taniel.

– Bardzo podnosi mnie to na duchu. Napisałeś mu o Julene?

– Napisałem. – Taniel nie miał jak dotąd wieści od ojca. Co to oznaczało? Ostatnie informacje z Adopestu przyszły tydzień temu. Jakiś Stróż próbował zabić Tamasa. Bezskutecznie. Taniel nie miał pojęcia, czy ojciec był teraz ranny, obezwładniony, czy może prostu zbyt zajęty, by odpowiedzieć. A może nadal planował posłać kogoś, żeby zabił Bo? Taniel codziennie oglądał się za siebie, wypatrując kolejnego prochowego maga. Nikt się nie zjawiał.

– Od razu mogę ci powiedzieć, że nie uwierzy w te wszystkie rzeczy o przyzywaniu Kresimira – uprzedził Taniel przyjaciela. – Jest na to zbyt praktyczny.

– Jednak mu napisałeś, prawda?

– Oczywiście, że mu napisałem. Napisałem mu, że nie mogłem cię zabić, bo potrzebowałem twojej pomocy na górze. Napisałem, że widziałem armię Kezu i uznałem, że będziemy potrzebować Uprzywilejowanego do jej odparcia.

– Jednak nie widzieliśmy armii Kezu, dopóki nie wróciliśmy tutaj na dół – zauważył Bo.

– Ale to wiarygodne kłamstwo.

– Jedyne, które może zadziałać.

– Zażądałem także wsparcia – dodał Taniel. – W najgorszym razie Tamas przyśle chociaż tyle.

– Dobrze. Jedyny problem z takimi wąskimi gardłami polega na tym, że może je trzymać tylko akurat tylu ludzi co teraz. Więcej żołnierzy mogłoby jedynie narobić zamieszania. Porozmawiam z Gavrilem. Kilka kompanii obozujących na dole, po adrańskiej stronie, pozwoliłoby nam wymieniać załogę. Dałoby to ludziom więcej czasu na odpoczynek.

Przez kilka chwil przyjaciele w milczeniu spoglądali na armie Kezu.

Bo odwrócił się w stronę Taniela.

– Tamas naprawdę igra z ogniem, prawda?

– Na to wygląda.

– Mam pytanie. – W głosie Uprzywilejowanego zadźwięczało coś jakby wahanie.

Taniel zmarszczył czoło. Od kiedy Bo krępował się go pytać o cokolwiek?

– Tak?

– Co się stało z twoją matką? Słyszałem tylko wersją oficjalną. O misji dyplomatycznej do Kezu. O oskarżeniu o szpiegostwo i zdradę oraz o szybkim ścięciu. W tym jest coś więcej.

Bo chciał wiedzieć, dlaczego Tamas rozpoczął tę wojnę.

– Nie mówiłem ci?

– Nigdy nie pytałem. Jakoś miałem wrażenie, że nie będziesz chciał o tym rozmawiać.

Taniel otworzył usta i odkrył, że brakuje mu słów. Przełknął ślinę, kaszlnął w dłoń i zamrugał gwałtownie, powstrzymując łzy. Nie, z nikim na ten temat nie rozmawiał. Nawet z najbliższym przyjacielem. Starał się odzyskać głos.

– Moja matka z pochodzenia była Kezanką i pod pretekstem wizyt u rodziny jeździła do Kezu raz, czasem dwa razy do roku. Jej status jako szlachcianki sprawiał, że nie mogli jej tknąć, chociaż prochowi magowie trafiali tam za kraty. W trakcie każdej wizyty starała się odnaleźć jakiegoś maga i przeszmuglować do Adro, pod skrzydła Tamasa, albo w ogóle poza Dziewięć. Dowiedział się o tym diuk Nikslaus. Aresztowali ją, razem z moimi dziadkami, i zanim wieść o tym dotarła do Adro, wszystkich stracono. – Taniel odchrząknął. – Tamas zażądał, żeby Manhouch wypowiedział wojnę, Manhouch odmówił. Korona zagrzebała całą aferę tak głęboko, że nikt już nie zadawał pytań. Ojciec zniknął na ponad rok. Kiedy powrócił, krążyła plotka, że próbował zabić Ipille’a, ale mu się nie udało. Tę plotkę zduszono prawie tak szybko jak pogłoski o tym, że moją matkę stracono bez sądu.

– Twój ojciec – zaczął Bo głuchym głosem – próbował zabić króla Kezu i uszło mu to na sucho?

– Nigdy o tym nie mówił. Moja matka miała dwóch braci. Obaj zniknęli mniej więcej w tym samym czasie. Sądzę, że ich schwytano, a Tamas zdołał zbiec i twierdził potem, że nie miał z tym nic wspólnego. – Taniel rozsypał

sobie proch na dłoni. Wujowie byli dlań tylko niewyraźnym wspomnieniem. Nawet nie pamiętał ich imion.

– Czy wystrzegać się kolejnego prochowego maga? – zapytał Bo.

– Nie sądzę. – Taniel ucieszył się ze zmiany tematu. – Jest tu cała Wielka Armia oraz większa część kezańskiej kamaryli. Tamas wie, że cię potrzebuje. Przynajmniej dopóki Kez się nie wycofa.

– Fantastycznie. – Bo zdołał się uśmiechnąć, klepnął Taniela w ramię i odwrócił się w stronę osiedla. Mag popatrzył na przyjaciela, przesuwając palcami po kolbie karabinu. Bo szedł zgarbiony, ledwie powłócząc nogami. Taniel uświadomił sobie, jak bardzo Uprzywilejowany jest zmęczony.

Bo stanowił ich najlepszą broń przeciwko Kezowi, a ona właśnie się tępiła. Co było ich drugą najlepszą bronią? Taniel poczuł suchość w ustach. Poczuł ciężar odpowiedzialności. Tamas żył dla takich chwil, cisnąłby w powietrze tysiącem pocisków i pozabijał wszystkich kezańskich Uprzywilejowanych na zboczu góry. To jego tyłek powinien tkwić na szańcu.

Taniel przewiesił karabin przez ramię. Musiał zrobić to starym sposobem. Jeden pocisk na raz. Nie, uświadomił sobie. Przecież był Tanielem Dwa Strzały. Mógł zdjąć dwóch za jednym zamachem.

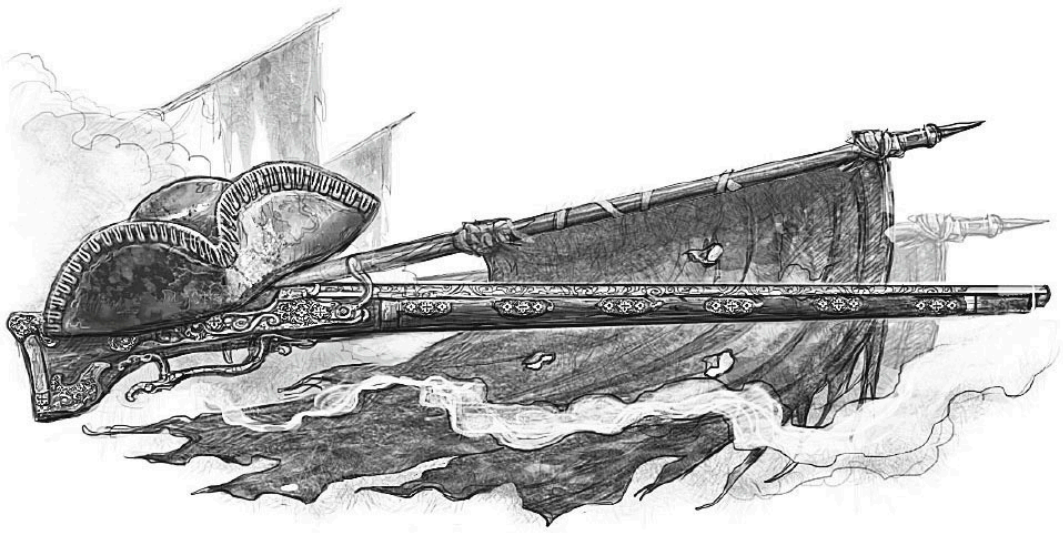

23
ROZDZIAŁ

Tamas wysiadł z powozu i głęboko zaciągnął się wiejskim powietrzem. Olem stał już na podjeździe, z jedną dłonią na rękojeści pistoletu wiszącego przy pasie, drugą wetkniętą do kieszeni szkarłatnej myśliwskiej kurty. Nos wystawiał na wiatr niczym pies. Adiutant ubrany był podobnie jak marszałek, wysokie buty, ciemne spodnie, kurta i myśliwska czapka. Na ramieniu zawiesił karabin.

Ujadanie psów niosło się echem nad łąkami. Dwór myśliwski stał między dwoma wzgórzami, nad kamienistym potokiem, przy skraju Królewskiej Puszczy. Zbudowany został w tradycyjnie złym guście adrańskiej monarchii i oczywiście był przeogromny, liczył sobie ponad sto

komnat. Wzniesiono go z miejscowego kamienia oraz ogromnych dębów, które zniknęły stąd ponad sto lat temu. Przy okazji ostatnich renowacji dodano mu ceglaną fasadę. Po drugiej stronie łąki widać było jeszcze psiarnię, dwukondygnacyjny gmach wielki jak królewskie stajnie.

– Chodź, Hrusch – zawołał Tamas. Wilczarz wyskoczył z powozu i natychmiast przytknął nos do ziemi, zwisające uszy zamiotły żwir. Tamasa zakłuło w sercu, bowiem Rechot po raz pierwszy od lat nie wyskoczył za Hruschem. Wiele się zmieniło również i w samej gonitwie.

Tamas wszedł do domu i od razu dobiegły go nerwowe chichoty towarzyszące niepewnym rozmowom. Przybywał jako jeden z ostatnich, jednak w głównym holu zastał tylko niecały tuzin innych gości.

– Niewielu ich tutaj, panie – odezwał się Olem, ignorując przy tym niechętne łypnięcia, jakie kamerdyner rzucał na dymiącego papierosa.

– Zabiłem dziewięćdziesiąt procent osób, które zazwyczaj się tutaj zjawiały – mruknął Tamas.

Marszałek ukłonił się wszystkim obecnym. Zjawiło się kilku znaczących kupców, a także szlachcice tak niskiej rangi, że oszczędzono im Placu Elekcyjnego. Jeszcze rok temu nosiliby jasne bryczesy i ciemne kamizelki, ponieważ nie braliby udziału w gonitwie. Teraz mieli na sobie barwy łowieckie, tak jak wszyscy pozostali. Zapełniali przerzedzone szeregi. Brygadierzy Ryze i Abrax dla zabicia czasu gawędzili z kupcami. Tamas zamienił kilka słów z oficerami, podziękował im za służbę w walce z rojalistami. Gdy przechodził obok szlachciców, wszelkie rozmowy milkły.

Lady Winceslav, ubrana w łowieckie barwy, w czarnej sukni i czarnym płaszczu ze szkarłatnym kołnierzem, spłynęła po schodach.

– Tamasie, cieszę się, że udało ci się do nas dołączyć – oznajmiła. Brygadier Barat, ponury i krewki młodzieniec, którego Tamas ustawicznie miał ochotę spoliczkować, łypał ze schodów za jej plecami.

– Za nic bym tego nie przegapił – odparł Tamas. – Hrusch potrzebuje czegoś, co pozwoli mu oderwać myśli od tego, co się wydarzyło.

Na dźwięk swego imienia pies przerwał obwąchiwanie podłogi i uniósł łeb.

– Zresztą może i ja też – dodał marszałek.

– Oczywiście – stwierdziła lady Winceslav. – Czyli że weźmie udział w gonitwie?

Tamas skrzywił się z wyższością.

– Wygra! Rechot był jedynym, który w zeszłym roku mógł go pokonać. Skoro nie startują królewskie psiarnie, nie będzie miał konkurencji. – Poczuł, że od wymuszonego uśmiechu drętwieją mu policzki. Wyszedł z pokoju, gestem zapraszając lady Winceslav, by do niego dołączyła. – Lady, to wszystko jakaś farsa – stwierdził, gdy oddalili się od towarzystwa.

Spojrzała na niego gniewnie.

– Wcale nie, i to obraźliwe, że tak mówisz.

– Król nie żyje. Gonitwa była JEGO tradycją. Większość ludzi, którzy brali w niej udział, także nie żyje.

– Mamy więc pozwolić, by umarła razem z nimi? – zapytała. – Nie zaprzeczaj, że też lubisz tę gonitwę.

Tamas wziął głęboki oddech. Gonitwa Owocowej Doliny stanowiła coroczną tradycję, sięgającą sześciu stuleci wstecz. Od niej właśnie zaczynał się Festiwal Świętego Adoma. Marszałek bił się z myślami. Uwielbiał polowanie, ale...

– To wszystko zawiera fałszywy przekaz – stwierdził. – Chcemy pokazać, że nie zastępujemy Manhoucha i jego szlachty, a wstawiamy na ich miejsce jeszcze jedną szlachtę. A łowy to sport dla szlachciców.

– Nie sądzę – odparła lady Winceslav. – To sport adrański. Czy zakażesz też tenisa albo polo? To tylko zwykła rozrywka. Zaraz będziesz chciał zabronić balów maskowych, a wtedy zobaczymy, jaki będziesz popularny zimą, kiedy nie ma nic innego do roboty.

– Nie zrobiłbym tego. Poznałem żonę na takim balu – odparł Tamas.

Spojrzała na niego ze współczuciem.

– Wiem. Tamasie, rozejrzyj się wokół. Zjawiło się kilka najznakomitszych rodzin kupieckich z Adro. Nawet Ricard i Ondraus. Każdy mieszkaniec Adopestu mógł się tu zjawić.

– Każdy? – zapytał Tamas. – W takim wypadku przyszłoby ich tu więcej, chociażby na darmowe jedzenie.

– Wiesz, co mam na myśli. – Pociągnęła noskiem. – Jest nawet kilku amatorskich hodowców psów z Północnego Johalu. Wyzwoleni chłopi. To ludzie szorstcy w obyciu, jednak zdaje się, że znają się na psach myśliwskich.

Stuknęła Tamasa w pierś szczupłym palcem.

– Festiwal Świętego Adoma nie może zacząć się bez Gonitwy Owocowej Doliny. Po prostu na to nie pozwolę. Nęciciele właśnie rozkładają zapach. Łowy zaczną się za dwadzieścia minut. Zaprowadź Hruscha na start. Stajenny będzie miał dla ciebie konia.

Tamas i Olem dostali wierzchowce, po czym ruszyli ku psiarni, gdzie oficjalnie miała się rozpocząć gonitwa. Na przystrzyżonej trawie kredą usypano linię biegnącą przez całe pole. Setki kobiet i mężczyzn czekało tu ze swymi ogarami. Niektórzy trzymali psy na smyczy, inni panowali nad swoimi tylko za pomocą komend, zaś wielu bogatszych uczestników polowania korzystało z usług pieszych psiarzy.

Tamas zajął miejsce na skraju linii. Zjawiło się więcej osób, niż się spodziewał, i znacznie więcej psów.

– Ona mówiła poważnie, twierdząc, że zaprosiła wszystkich. Połowa tych ludzi nawet nie ma na sobie łowieckich barw. – Ugryzł się w język. To była cholernie niestosowna pora, aby narzekać. Przecież gdyby nie on, wciąż byłaby tu szlachta i jej piękne kolory.

– Tak – powiedział Olem. – Cieszę się, że w ogóle ktoś się zjawił. To byłby smutny początek festiwalu, gdyby zabrakło gonitwy.

– Lady Winceslav zapłaciła ci, żebyś tak mówił? – zapytał Tamas. Olem miał chłopskie pochodzenie. Nie powinien czuć specjalnego sentymentu do polowań.

Ordynans wyglądał na zaskoczonego.

– Nie, sir.

Cisnął niedopałek papierosa w trawę i natychmiast zaczął skręcać nowego.

– Olemie, przecież żartuję. – Tamas rozejrzał się wokół, krzywiąc się na widok jakiegoś człowieka z pospólstwa na wynędzniałej szkapie, z dwoma psami i w spłowiałej kurtce, której barwa nawet z daleka nie przypominała kolorów obowiązujących w trakcie gonitwy.

Po kilku minutach zadęto w rogi i spuszczono psy. Tamas ruszył niespiesznym kłusem, przyglądając się, jak Hrusch wybiega przed pozostałe zwierzęta, kierując się w stronę zapachu. Wkrótce psy zniknęły w lasach. Tamas pospieszył na czoło grupy jeźdźców, a gdy wreszcie dotarli do drzew, zwolnił tempo, pozwalając im się wyminąć. Zamknął oczy, nasłuchując stłumionego ujadania, którego brzmienie koiło uszy.

Po jakimś czasie otworzył oczy i zobaczył, że został jedynie z Olemem, który kłusował obok i nieustannie przepatrywał otaczające ich zarośla z czujnością jastrzębia.

– Czy ty kiedykolwiek się odprężasz? – zapytał Tamas.

– Od czasu tamtego Stróża nie, sir.

Tamas widział konie przed sobą, słyszał je też gdzieś z tyłu. Szeregi jeźdźców rozciągały się coraz bardziej, każdy uczestnik gonitwy jechał tak, jak mu było wygodnie. Psy zaś pędziły, gotowe zagonić się na śmierć. Zawody miały potrwać cały dzień, dopóki któryś z psów nie złapie ochotnika roznoszącego zapach albo uczestnicy nie dotrą do końcowego punktu gonitwy. W zeszłym roku Rechot dopadł nęciciela już w połowie dnia, ku irytacji adrańskiej szlachty, której skrócił zabawę. Od Tamasa dostał za to połeć wołu.

Tamas otrząsnął się ze wspomnień dawnych polowań i odwrócił do Olema.

– To nie była twoja wina. Wyślą kolejnych, żeby się mnie pozbyć. Nic nie poradzisz przeciwko któremuś z nich.

Olem położył dłoń na pistolecie.

– Proszę tak szybko mnie nie przekreślać, panie. Mogę zadać więcej szkód, niż się wydaje.

– Oczywiście – Tamas zgodził się z nim łagodnie. Tak odprężony nie czuł się od, no cóż, miał wrażenie, że od lat. Pozwolił myślom błądzić,

cieszył się chłodną pieszczotą wiatru, muśnięciami ciepłych promieni słońca. Trwał doskonały, bezchmurny dzień, w sam raz na Gonitwę Owocowej Doliny.

– Mam pytanie. – Głos Olema wytrącił Tamasa z owego stanu.

– Jeśli ma związek z Kezem, to nie chcę go słyszeć.

– Zastanawiałem się, co pan zrobi z Mihalim.

Tamas ostatecznie poniechał snów na jawie i rzucił Olemowi spojrzenie pełne irytacji. Ale żołnierz wciąż wypatrywał niebezpieczeństw.

– Myślę, że odeślę go do Hassenbur.

Olem popatrzył na niego przenikliwie.

– No nie, ty też? – zdziwił się marszałek. – Że zwykli żołnierze się do niego przywiązali, to jeszcze rozumiem, ale ty?

– Ja jestem ZWYKŁYM żołnierzem, sir. Jednak sam pan mówił, że jest cennym nabytkiem – przypomniał mu adiutant. – Ma zdolność stwarzania jedzenia z niczego.

– Ale ryzykuje antagonizowanie Claremonte’a. Nie można go lekceważyć, nie przy jego pozycji w Bruduńsko-Gurlańskiej Kompanii Handlowej. Ryzykuję całą dostawę saletry. Na tym etapie wojny proch jest ważniejszy od jedzenia.

– A później? – zapytał Olem.

– Olemie, Mihali jest szaleńcem. Powinien przebywać w zakładzie – Tamas starannie dobierał słowa. – To byłoby okrutne, dać mu żyć jak normalnemu człowiekowi. – Wiedział, że te słowa miały sens, gdy układał je w myślach, jednak gdy je wypowiedział, zabrzmiały wyjątkowo źle. Skrzywił się. – W zakładzie mogą mu pomóc. A sprawdzałeś te imiona, które podał nam Adamat? – dodał, zmieniając temat.

Olemowi ewidentnie nie spodobało się nagłe zakończenie rozmowy o przyszłości Mihalego.

– Tak jest, panie – oznajmił sztywno. – Nasi ludzie już do tego zaglądają. Powoli. Mówiąc szczerze, nie mamy wystarczającej liczby ludzi, jednak przeczucia Adamata okazują się dosyć trafne.

– Powiedział, że zgromadził te nazwiska i nazwy statków zaledwie po dwóch dniach śledztwa – przypomniał mu Tamas. – Cała policja z doków od samego początku wojny znalazła tylko pół tuzina kezańskich szmuglerów. Jak on jest w stanie tak szybko pracować?

Olem wzruszył ramionami.

– Ma talent. Ponadto nie krępują go takie ograniczenia jak policji. Nie nosi munduru. Nie można go przekupić albo zastraszyć.

– Myślisz, że zdoła odnaleźć zdrajcę? – zapytał Tamas.

– Może – odparł Olem bez przekonania. – Szkoda, że nie można do tego zadania przydzielić więcej ludzi. Nie powinien pan składać losu całego Adro w ręce jednego emerytowanego inspektora.

Tamas pokręcił głową.

– Tak jak powiedziałeś, on może dotrzeć tam, gdzie nie zdoła dotrzeć policja. Nie mogę powierzyć tego komuś innemu. Wszyscy, którym naprawdę ufam: ty, Sabon, reszta prochowej kamaryli, wykonują zadania niezwykłej wagi, a żaden z nich nie ma takich talentów i umiejętności jak Adamat. Jeśli on nie zdoła wytropić zdrajcy, to już nikt nie zdoła.

Olem spojrzał na niego ponuro. Drgnął mu kącik ust, zaś Tamas poczuł dreszcz strachu, przenikający pierś.

– Niech mi pan da glejt – cicho powiedział Olem. – I pięćdziesięciu ludzi. Dowiem się, kto jest tym zdrajcą.

Tamas przewrócił oczyma.

– Nie zamierzam pozwolić ci siekać mojej rady tasakiem do mięsa i przypalać gorącym żelazem. Nic byś z nich nie zostawił, a ja miałbym przeciwko sobie najpotężniejszych ludzi w Adro. Przykro mi, Olemie, ale potrzebuję cię, żebyś strzegł moich pleców, i potrzebuję też pozostałych pięciu członków rady, tych, którzy nie są zdrajcami, całych i nienaruszonych.

Tamas odwrócił się, słysząc tętent.

– Do otchłani, a liczyłem na miły dzień.

– Darz bór, marszałku polny! – zawołał Charlemund. Arcybiskup w ogóle nie wyglądał jak sługa Powroza. Z dumą nosił łowieckie barwy,

siedząc na koniu o dziesięć kamieni cięższym od Tamasowego. Towarzyszyły mu trzy młode kobiety, zapewne kapłanki, choć trudno było powiedzieć na pewno, bo nosiły myśliwskie barwy. Zaraz za nimi kłusował podskarbi Ondraus. Założył czarną myśliwską kurtę oraz jasne bryczesy, aby podkreślić, że nie bierze udziału we właściwym polowaniu, jednak jechał na swoim wierzchowcu z większą wprawą i pewnością siebie, niż można było się spodziewać po szacownym księgowym.

– Charlemundzie, ile psów wystawiłeś dzisiaj do konkursu? – zapytał Tamas.

Arcybiskup spojrzał krzywo, jak zawsze kiedy ktoś zwracał się do niego, nie używając odpowiedniego tytułu.

– Dziesięć – powiedział. – Chociaż, szczerze mówiąc, trzy biegną dla tychże pań. – Wskazał swoje towarzyszki. – Oto kapłanki Kola, Narum i Ule. Marszałek polny Tamas.

Tamas skłonił się uprzejmie. Żadna nie wyglądała na starszą niż dwadzieścia lat, chociaż miały rangę kapłanek. Były jednak o wiele za młode. I za ładne. Tak atrakcyjne kobiety raczej nie poświęcałyby się służbie Kościołowi.

Podskarbi podjechał do Tamasa.

– Ondrausie – przywitał go marszałek. – Jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałem się zobaczyć na gonitwie.

Ondraus wskazał za siebie.

– Nie, to jest ostatnia osoba, której się spodziewałeś.

Czyjś koń przedzierał się przez dzikie róże, popędzany nieprzerwanym ciągiem przekleństw. Ricard Tumblar akurat zadrapał policzek o cierń i krzyknął, kopiąc konia. Wierzchowiec wyskoczył z krzaków, zmierzając ku pozostałym. Tamas wychylił się w siodle i złapał za uzdę rumaka Ricarda. Położył zwierzęciu dłoń między oczami.

– Ciii. Spokój – powiedział łagodnie do konia. – Ricardzie, na bogów, przestań go ponaglać. Bo zlecisz.

Pięty szefa związków wciśnięte były w boki zwierzęcia, teraz posłusznie rozluźnił mięśnie nóg i odetchnął głęboko.

– Sukinsyn – stęknął. – Stworzono mnie do jazdy powozem, a nie na koniu.

Charlemund uśmiechnął się do niego szeroko.

– No widzę właśnie – stwierdził. – Nie ja jeden zresztą. Widywałem już dzieci jeżdżące lepiej od ciebie.

– A ja widziałem alfonsów, którzy mieli mniej dziwek – odciął się Ricard.

Trzy kapłanki gwałtownie wciągnęły powietrze. Arcybiskup zawrócił konia tak, aby znaleźć się twarzą w twarz z Ricardem, dłoń trzymał na rękojeści szpady.

– Odwołaj to albo dobiorę ci się do skóry!

Ricard wyciągnął pistolet zza pasa.

– Podjedź bliżej, a odstrzelę ci twarz.

Tamas jęknął. Chwycił pistolet Ricarda za lufę.

– Spokój, wy obaj – nakazał. Podjechał, by zrównać się z Ricardem. – Co ci strzeliło do głowy, żeby grozić arcybiskupowi? – warknął. – Oszalałeś?!

Ricard otarł krew cieknącą z policzka po zadrapaniu różanym cierniem. Spojrzał na palce.

– Krwawe łowy, cholera.

– Po co się tutaj zjawiłeś? – zapytał Tamas.

– Lady Winceslav nalegała – wyjaśnił Ricard. – Powiedziała, że teraz, jako członek rady, należę do wyższych sfer i że właśnie czegoś takiego się ode mnie oczekuje. Już lepiej się bawiłem na dnie rybackiej łodzi.

– Nigdy dotąd nie jeździł pan konno? – zapytał Olem.

Ricard wsadził pistolet z powrotem za pas i chwycił wodze w obie dłonie.

– Ani razu. Kiedy byłem chłopcem, ojciec nie miał pieniędzy na lekcje, a kiedy sam o nich pomyślałem, to byłem już na tyle zamożny, żeby pozwolić sobie na powóz. No a gdzie, do otchłani, jest tamten dojeżdżacz? Lady Winceslav powiedziała, że ten głupiec będzie mi towarzyszył i pilnował, żebym nie wyszedł na osła.

– Nie udało mu się – skwitował Charlemund.

Ricard spojrzał wściekle. Tamas szturchnął go łokciem w bok. Tumblar odwrócił się w stronę trzech kapłanek.

– Panie, proszę o wybaczenie. Mój komentarz nie był skierowany do was.

Wszystkie jednocześnie zadarły nosy i odwróciły się od niego. Ricard westchnął.

– Chciałem tu mile spędzić popołudnie. – Tamas popatrzył po towarzyszach. – Czy mam na to szanse, czy mam jechać dalej sam?

Ricard i Charlemund mruknęli coś pod nosem. Marszałek ruszył, prowadząc konia Ricarda.

– Pozwól mu się nieść – powiedział po chwili, puszczając uzdę. – On zna drogę, zna inne konie. Będzie szedł po swojemu. Wie, że ty nie wiesz, co robić. Spróbujesz przejąć kontrolę, a będzie z tobą walczył do upadłego.

Ricard ukłonił się w ciszy, unikając patrzenia na Charlemunda oraz jego kapłanki.

Wkrótce przyłączył się do nich dojeżdżacz.

Tamas zdziwił się, bo znał tego człowieka.

– Gabenie! – zawołał.

– Panie. – Gaben podjechał do niego, cały roześmiany. Był to dziarski młodzieniec, zdawał się świetnie czuć w siodle. Dojeżdżacze zwykle zajmowali się utrzymywaniem psów na ścieżce, ale najwyraźniej ten miał na niej utrzymywać ludzi.

– Olemie, to jest Gaben – oznajmił Tamas. – Najmłodszy syn kapitana Ajucare’a.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział Olem. – Znam kapitana od wielu lat.

Gaben podał mu rękę.

– Pan jest tym Zdolnym, co nie musi spać?

– Zgadza się.

– Miło pana poznać.

– Lady przydzieliła cię do Ricarda, nieprawdaż? – upewnił się Tamas.

Gaben przytaknął.

– Powiedziała, że może potrzebować nieco pomocy.

– Zdaje się, że zgubiłeś go na jakiś czas.

– Szedł prosto przez krzaki dzikich róż, panie. Postanowiłem jechać naokoło.

– Mądrze. Słyszałem od twojego ojca, że masz szczególną smykałkę do koni.

– Przesadza – skromnie odparł Gaben.

– Nie, jestem pewien, że nie. – Tamas dostrzegł, iż młodzieniec zerka na urodziwe damy. – Proszę, nie pozwól mi się zatrzymywać.

Gaben podjechał do kapłanek i zaczął odpowiadać na ich pytania o łowy. Niedługo potem bez zbędnego zamieszania dołączył do nich brygadier Sabastenien. Zatrzymał się przy Gabenie i kapłankach i począł przysłuchiwać się rozmowie.

Tamas nachylił się do Olema.

– Brygadier Sabastenien zrobił na mnie wrażenie w trakcie tej ruchawki z rojalistami. Będziemy go bacznie obserwować w ciągu nadchodzących lat. Wspomnisz moje słowa, on jeszcze przed czterdziestką będzie starszym brygadierem.

W lesie zrobiło się cicho, słychać było tylko konie i prowadzoną półgłosem rozmowę młodych ludzi. Tamas właśnie zaczynał się rozkoszować względnym spokojem, kiedy odezwał się Ondraus:

– Chciałbym cię zapytać o tego kucharza.

Tamas odwrócił się ku podskarbiemu. Ścieżka była wystarczająco szeroka, by zmieściło się na niej czterech jeźdźców. Ricard po prawej, pozostając nieco w tyle, oraz Ondraus między Ricardem i Charlemundem. Olem trzymał się zaraz za nimi, spojrzenie miał utkwione w lesie.

– Jakiego kucharza? – zapytał Tamas.

– Tego, który zaopatruje wszystkich urzędników i robotników w Domu Szlachty, nie mówiąc już o twoim garnizonie. – Przygarbiony, stary księgowy wydawał się poruszony, dosiadał przy tym konia jak ktoś znacznie młodszy. Spojrzał twardo w oczy marszałkowi. – Tego, który

gotuje dania, jakich jeszcze nie widziano w Adopeście, ze świeżych produktów, na które sezon w tej części świata akurat minął, a do tego nawet ich nie zamawia. Tego, który codziennie karmi pięć tysięcy ludzi mąką i wołowiną, wartymi kilkaset krana. – Ondraus uśmiechnął się samymi kącikami. – Tego, który twierdzi, że jest bogiem. A może to wszystko umknęło twojej uwadze?

Tamas nieco zwolnił i poczekał, aż inni uczynią to samo. Kapłanki, brygadier oraz Gaben wysforowali się tym samym do przodu, nieświadomi całej rozmowy. Marszałek odczekał, aż znajdą się poza zasięgiem głosu.

– To Zdolny. Nie jakiś bóg – stwierdził stanowczo.

Charlemund parsknął.

– Naprawdę, jestem rad. To byłoby bluźnierstwo.

– Czyli o nim wiesz? – zapytał Tamas, zrezygnowany. Miał nadzieję, że Charlemund nie zwróci uwagi na Mihalego. Najwyraźniej próżna to była nadzieja.

– Oczywiście, że tak – powiedział Charlemund. – Moi współpracownicy powiadomili mnie o całej sytuacji. Akurat dzisiaj rano otrzymałem od nich pismo.

– I?

– Chcą, żebym natychmiast uwięził go w kościelnym areszcie. Zanim więcej jego kłamstw zdoła się rozprzestrzenić.

– Jest niegroźny – odparł Tamas. – Uciekł z zakładu Hassenbur. Lada dzień go tam odeślę.

Zaangażowanie Kościoła w tę sprawę było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował.

– Kim on w ogóle jest? – chciał wiedzieć Ondraus.

– Lordem Złotych Kuchmistrzów – wyjaśnił Tamas.

– Nie kpij ze mnie. – Podskarbi poczuł się urażony.

– Wcale nie kpi – wtrącił się nieoczekiwanie Ricard. – Lord Złotych Kuchmistrzów to tytuł nadawany kulinarnym ekspertom. To, że go nosi, oznacza, że jest najlepszym kucharzem w całych cholernych Dziewięciu. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę zjawił się w naszym mieście.

– Znasz go? – zapytał Tamas.

– Znam jego dokonania – uściślił Ricard. – Pięć lat temu zapłaciłem mu królewską gażę, aby gotował dla Manhoucha. To była ta kolacja, po której król pozwolił na założenie związku zawodowego. Jeszcze nigdy wcześniej nie kosztowałem takiego jedzenia. – Zagwizdał cicho. – Za jego zupę kabaczkową można by umrzeć. Bardzo chętnie się z nim zobaczę.

Tamas zdusił uśmiech, który pchał mu się na usta na samą myśl o zupie kabaczkowej Mihalego. Troszkę pociekła mu ślina i przez chwilę niemal czuł zapach potrawy, jak gdyby kuchmistrz właśnie przyrządzał ją w kociołku na środku pobliskiej polany.

– No cóż, raczej się z nim nie zobaczysz – oznajmił sucho Charlemund. – Dzisiaj wieczorem zostanie osadzony w kościelnym areszcie. Tylko ze względu na Tamasa powstrzymałem się przed wydaniem tego polecenia już dzisiaj rano.

– A jeśli go nie oddam? – spokojnie zapytał Tamas.

Arcybiskup roześmiał się, jak gdyby usłyszał przedni dowcip.

– To nie wchodzi w rachubę. Ten człowiek jest poganinem i bluźniercą. Wszyscy wiemy, że bóg jest tylko jeden, Kresimir.

– A czy Adom, Unice, Rosvel i cała reszta nie byli braćmi i siostrami Kresimira? – wytknął Tamas. – Nie znam wszystkich kościelnych przekazów, powinienem...

– Mówimy o doktrynie, nie o przekazach – poprawił go Charlemund. – Kwestia semantyczna. Owszem, pomogli mu stworzyć Dziewięć i właśnie dlatego są świętymi. Kresimir jest wśród nich jedynym bogiem. Twierdzenie, że jest inaczej, przeczy doktrynie Kościoła. Tak postanowiono na synodzie w Kezlei w roku pięćset siódmym.

Ricard zrobił wielkie oczy.

– Ty naprawdę wiesz coś na temat Kościoła i religii. Nie do wiary! A sądziłem, że wszystko, czego trzeba, aby zostać arcybiskupem, to fajna czapka i jakiś harem.

Charlemund zignorował Ricarda tak, jak ignoruje się natrętnego sprzedawcę dywanów na bazarze.

– Synod postanowił również, że heretyków i bluźnierców obejmuje jurysdykcja Kościoła. Pod tym dokumentem podpisali się wszyscy królowie Dziewięciu.

– Interesujące – ocenił Tamas. – Tyle że Adro nie ma już króla.

Charlemund spojrzał na niego zaskoczony.

– Co...?

– Czy żaden z arcybiskupów – kontynuował marszałek – nie zauważył, że Adro nie obowiązują już żadne umowy podpisane przez poprzednich królów? Zasadniczo to nawet nie musimy płacić dziesięciny.

– To chyba nieprawda! – Charlemund niemal się opluł. – To znaczy mieliśmy umowę...

– Z Manhouchem – odezwał się Ondraus. Podskarbi uśmiechał się paskudnie i Tamas zastanowił się, czy może właśnie nie umożliwił mu zagrania, które całkowicie zantagonizuje Kościół. Tamas zacisnął powieki. *O Kresimirze na niebiosach. W ogóle nie powinienem się odzywać.*

– A ja sądzę, że chciałbym teraz dołączyć do reszty polowania – powiedział, zanim Charlemund zdołał otworzyć usta. – Ledwie słyszę psy. – Ponaglił swojego wierzchowca, w ciągu kilku chwil dogonił dojeżdżacza.

– Panie – Gaben odwrócił się w jego stronę – znacząco zostaliśmy w tyle.

– Tak – odparł Tamas. – Widzę.

– Za twoim pozwoleniem, panie – powiedział Gaben – poprowadzę nas skrótem przez las. Wiem, dokąd tamci dotrą za... och... – zerknął na słońce przeświturające przez gałęzie – za dwie godziny. Myślę, że tam możemy do nich dołączyć. W innym wypadku możemy nie dotrzeć do nich przed końcem gonitwy.

– Sir – wtrącił Olem ściszonym głosem – to niebezpieczne schodzić z wyznaczonego szlaku. Te lasy należały do króla, są większe niż cały Adopest ze wszystkimi przedmieściami. Bawiłem się tu, jak byłem chłopcem. Możemy się tutaj zgubić na całe dnie.

– Będziemy jechali powoli – zapewnił dojeżdżacz – przez zarośla. Dobrze znam te lasy.

– Nie podoba mi się to, sir – Olem obstawał przy swoim.

Tamas stłumił niepokój i uśmiechnął się do ordynansa.

– Spokojnie. Znam Gabena, od kiedy był jeszcze chłopcem. Najgorsze, co mieszka w tym lesie, to jelenie. Naprzód.

Kłusowali sarnią ścieżką, gęsiego. Za plecami Tamasa kapłanki przekomarzały się głośno. Nie słuchał ich, opracowywał plany i strategie. Przy Bramie Wędrowca przyjdzie jeszcze stoczyć bitwę. Na razie do wymiany ognia doszło tylko na zboczu Południowej Turni, zaś jedyne w swoim rodzaju umiejscowienie fortecy sprawiało, że nie trzeba było wyrafinowanych strategii, by walczyć tam i zwyciężać. Już od miesiąca bastion opierał się atakom Kezu, przy minimalnych stratach i mimo potężnych czarów wroga. Ale myśl o zdradzie Julene sprawiała, że Tamasowi krew burzyła się w żyłach.

I Taniel. Cóż mógł uczynić? Bo wciąż żył i tych dwóch wspólnie odpierało teraz Kez. To cieszyło Tamasa. Jednak Bo w dalszym ciągu pozostawał pod wpływem geas. Czy Tamas mógł im ufać? Taniel nie wykonał rozkazu. Powinien zostać ukarany, tyle że twierdził, że miał dobry powód, aby oszczędzić Bo. Przecież potrzebowali Uprzywilejowanego do obrony Wierchowieńca.

Jednak marszałek znał prawdziwy powód. Taniel po prostu nie był w stanie tego zrobić. Nie zdołałby zabić najlepszego przyjaciela, nawet gdyby okazało się to konieczne. I nawet na rozkaz przełożonego. Taniel z pewnością wiedział, że ojciec przejrzy jego wymówki. Marszałek odpędził te wszystkie myśli, nie chcąc, by psuły mu dzień.

Okolica powoli się zmieniała. Dotarli do doliny, gdzie z obu stron mijali omszałe głazy, a ziemię zaścielała gruba warstwa zeschłych gałęzi oraz gnijących sosnowych igieł. Zdawało się, że cichnie tam wszelki dźwięk. Tamas poczuł się tak, jak gdyby po plecach zaczęła mu się przesuwać

lodowata dłoń. Las był tu stary, stukot końskich kopyt zakłócał ciszę, która zdawała się trwać od wieków.

Sarnia ścieżka się skończyła i teraz szlak wiódł wzdłuż niewielkiego strumienia. Kamienie robiły się coraz większe, a baldachim drzew coraz gęstszy. Tamas nie trafił tu podczas żadnej z wcześniejszych gonitw.

Przyłapał się na tym, że wpatruje się w tył głowy Ondrausa. Siwe kosmyki przylegały podskarbiemu do czaszki, miał też dwa pieprzyki wielkości dwukranowej monety. Czy właśnie on był zdrajcą? Tamas nagle uświadomił sobie, że przecież jedzie teraz z czterema członkami rady i każdy z nich mógł go zdradzić.

Olem nagle dał swojemu koniowi ostrogę i wyprzedził pozostałych. Zrównał się z dojeżdżaczem.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– Prawie na miejscu – zapewnił go Gaben. – Niecałą milę od reszty gonitwy.

– To dlaczego nie słyszymy psów? – nie odpuszczał Olem.

Tamas podjechał na czoło kolumny, zaraz za nim Charlemund i Ondraus. Ricard pozostał z tyłu, wpatrując się w otaczające ich kamienie.

– Nie sposób czegokolwiek usłyszeć pośród tych skał – wyjaśnił Gaben, kiedy obok niego ściągnął wodze także marszałek.

– W ogóle nie jesteśmy w pobliżu gonitwy – stwierdził Olem. – To Bilard Olbrzyma. Biegałem tutaj, jak byłem chłopcem.

– Wytłumacz się. – Tamas zmarszczył brwi, spoglądając na Gabena.

Z jednego z głazów u góry osunął się jakiś kamyk. Tamas rozejrzał się gwałtownie.

– Ricard?

Koń Ricarda stał samotnie na końcu kolumny, wodze miał przerzucone przez złamaną gałąź. Tumblar zniknął. Tamas odwrócił się z powrotem do Gabena.

– Wytłumacz się. Natychmiast!

Marszałek usłyszał szelest liści. Obrócił się ponownie, popatrzył uważnie. Niczego nie dostrzegł. Ricard miał przy sobie pistolet. Tamas

sięgnął ku niemu zmysłami. Wyczuwał go niedaleko. Tumblar wdrapał się na jeden z głazów, ułożył się na nim płasko, twarzą do reszty grupy. Czy to on był zdrajcą? Czy wpadli w jakąś pułapkę? Ricard miał przy sobie pistolet. Z pewnością wiedział, że proch pozwoli Tamasowi odnaleźć brakującego członka rady.

Tuż przed nimi na głaz wyszedł jakiś mężczyzna. Trzymał napięty łuk ze strzałą i mierzył w Tamasa. Spoglądał tylko jednym okiem, drugie zasłaniała mu biała przepaska. Był starszy od marszałka, twarz miał ogorzałą od bitew, a na ramionach plamiastą, brązowo-zieloną pelerynę, która pozwalała mu zniknąć wśród liści.

– Brygadier Ryze – powiedział Tamas.

Olem cisnął Tamasowi pistolet i sięgnął po karabin, poruszając się z szybkością wytrawnego żołnierza. Marszałek chwycił broń, wycelował w brygadiera, nie kłopocząc się odciąganiem kurka. Prochowy mag czegoś takiego nie potrzebował.

– Odłóż broń – rozkazał Ryze. Ręka mu nawet nie drgnęła. Zrobił pół kroku do przodu. Pod peleryną miał szkarłatny strój myśliwski.

– Zaraz cię zabiję – ostrzegł Tamas.

– Może mnie – zgodził się Ryze. – Ale nie nas wszystkich.

Tamas nie spuszczał brygadiera z oczu.

– Olemie? – zapytał.

– Jesteśmy otoczeni, sir – ponuro poinformował go adiutant. – Wszyscy mają łuki. Piętnastu. Ale w lesie może być ich więcej.

– Jest ich więcej – zapewnił Ryze.

– Wiesz, kim jestem?! – zapytał wściekły Charlemund. Tamas nie musiał patrzeć, aby wiedzieć, że arcybiskup dobył swojej krótkiej szpady. Niewiele mógł nią zdziałać przeciwko strzelcom ukrytym gdzieś wysoko.

– Wiemy, arcybiskupie – zapewnił go Ryze ze spokojem. – I nie stanie ci się krzywda, jeśli marszałek polny Tamas pójdzie z nami. Żadnemu z was się nie stanie.

– Zniszczę cię – warknął Charlemund.

– Z pewnością – odparł brygadier bez emocji. – Marszałku polny, pozwoli pan?

Tamas robił w myślach przegląd broni. Kilkanaście kul. Nie wystarczy, żeby zabić piętnastu ludzi, niezależnie od tego, jak bardzo by się starał. Pomyślał o Ricardzie, ukrytym wysoko na jednym z kamieni, i zastanowił się, czy znalazł się tam dlatego, że wyczuł pułapkę, czy dlatego, że sam ją zastawił?

– Widzę, że nie mam wyboru – stwierdził marszałek.

– Zgadza się – powiedział Ryze. Jedynym okiem popatrzył po pozostałych członkach grupy. – Dalej.

Tamas ponownie sięgnął swoimi zmysłami. Żaden z tych mężczyzn nie miał przy sobie nawet ziarna prochu. Byli bardzo ostrożni. Sięgnął głębiej w las w poszukiwaniu prochu. Zamarł. Między drzewami ukrywał się Uprzywilejowany.

– Dlaczego sprzedałeś nas Ipille’owi? – zapytał Tamas. – Lady Winceslav ci ufała.

Ryze nieznacznie potrząsnął głową.

– To nie ma nic wspólnego z Kezem. Służę Adro i lady Winceslav.

– To dlaczego tam, w lesie, jest Uprzywilejowany? – Tamas wskazał ku północy.

Brygadier Ryze nieco szerzej otworzył oko.

– To nie ma nic wspólnego z Kezem – powtórzył. – Teraz idź z nami albo powalimy wszystkich i dopiero potem będziemy zajmować się szczegółami. – Palce Ryze’a drgnęły na łuku. Mówiono, że był doskonałym strzelcem, cieszył się też reputacją człowieka czynu, który w razie potrzeby nie cofnie się przed brutalnym zachowaniem. Jednak nie był głupi. Właśnie dlatego awansował na brygadiera Skrzydeł Adoma.

Tamas popędził konia przed siebie.

– Proszę zsiąść – polecił brygadier. – Dodatkowe ładunki prochu oddać ordynansowi. Tak samo pistolet. Konia proszę przywiązać do drzewa.

Tamas wykonał polecenie i podszedł do brygadiera.

– Ty sukinsynu – powiedział Olem. – Ty podły gnoju. Wydłubię ci to drugie oko.

– Proszę uciszyć swojego psa – polecił Ryze.

– Olemie, wszystko w porządku. – Tamas zatrzymał się obok Gabena i zerknął na chłopaka, którego twarz pozbawiona była wyrazu. – Zakładam, że to jeden z twoich ludzi.

– Owszem – przyznał Ryze. – Odprowadzi pozostałych do reszty polujących.

– A niech cię otchłań pochłonie – parsknął Tamas. – Olemie, odprowadź wszystkich w bezpieczne miejsce. Mówiłeś, że bawiłeś się tutaj, będąc chłopcem. Znajdziesz drogę?

– Tak. – W głosie Olema zabrzmiało przygnębienie.

– W takim razie to rozkaz. Nie wracaj po mnie, dopóki wszyscy spokojnie nie wyjdą z lasu.

– Jeśli za nami pójdziesz, poderżnę mu gardło – zagroził Ryze i zeskoczył z głazu.

Ustawił Tamasa przed sobą w odległości kroku. Po obu ich stronach stanęła para łuczników, potem jeszcze dwóch. Tamas dostrzegł, że ci pod pelerynami już nie nosili myśliwskich barw. Przypuszczalnie tkwili tutaj od wielu godzin.

– Ryze – zawołał ktoś nagle. Tamas odwrócił się razem z zawołanym. Brygadier Sabastenien, małomówny zwykle i cichy. Głos miał spokojny, pozbawiony emocji.

– Za tę zdradę skrócimy cię o głowę – zapowiedział. – Lady cię nie obroni.

– Wiem – odparł Ryze. W jego głosie zabrzmiała nuta smutku.

Gdy znaleźli się poza zasięgiem wzroku myśliwych, Ryze przyspieszył nieco. Prowadził Tamasa przed sobą, trzymając marszałkowi ostrze sztyletu przy plecach. Robił to zupełnie bez przekonania. Tamas zerknął przez ramię, mierząc brygadiera wzrokiem.

– Dlaczego to robisz? – zapytał wreszcie.

– Cisza – polecił mu Ryze nawet dość życzliwie. – Nie wie pan, o co chodzi. Mówił pan, że w lesie jest jakiś Uprzywilejowany?

Tamas zatrzymał się gwałtownie. Odwrócił się w stronę porywacza i złapał go za przegub dłoni trzymającej sztylet. Ryze mocno chwycił rękojeść, sięgając drugą ręką do ramienia marszałka. Przez chwilę siłowali się w ciszy, żaden nie mógł zdobyć przewagi, aż wreszcie zbliżył się jeden z ludzi Ryze'a i uderzył Tamasa w dół pleców. Marszałek stęknął, puszczając rękę brygadiera. Opadł na kolana.

– Cofnij się – warknął Ryze na swojego człowieka. Chwycił Tamasa za przedramię i pomógł mu wstać. – Zostałem zdradzony – powiedział cicho, tak aby słyszał go tylko marszałek.

– Podobnie jak ja. – Tamas rzucił brygadierowi pełne wściekłości spojrzenie. Kiedyś uważał najemnika za kolegę, chociaż nigdy nie zdołali się zaprzyjaźnić. Dziesiątki lat temu wspólnie służyli za morzami.

– To nie tak, jak myślisz. – Ryze odsunął się i opuścił sztylet. – Nie zamierzam cię zabić ani wydać Kezowi.

– Zatem co to za przedstawienie? – Tamas zastanawiał się, czy powinien znowu rzucić się na Ryze'a. Mógłby uzyskać przewagę, tyle że brygadier nie był sam.

– Po to, żeby cię ostrzec – wyjaśnił Ryze. – Przyprowadziłem swoich najbardziej zaufanych ludzi, ale najwyraźniej nie dość zaufanych. Wiesz na pewno, że w lesie jest Uprzywilejowany?

– Tak. – Tamas otworzył trzecie oko. – Zbliża się. Ma ze sobą Stróża. – Na samą myśl przeszły go ciarki. Brygadier zdawał się mówić najzupełniej szczerze, ale Tamas nie był gotów mu zaufać. Przecież mógł jedynie opóźniać teraz wszystko, czekając, aż dotrze Uprzywilejowany.

Ryze zaklął.

– Kah! Loadio! Zajmijcie pozycje, tu i tutaj. – Wskazał na dwie gałęzie. Obaj mężczyźni skinęli głowami i wspięli się na skały. – Zabić czarownika – polecił. Następnie odwrócił się do Tamasa. – Biegiem!

Tamasowi przemknęło przez głowę, by skorzystać ze sposobności i spróbować ucieczki. Wahał się tylko chwilę, a następnie podążył za swoim

porywaczem do lasu. W drodze Ryze wywoływał po imieniu kolejnych ludzi, ustawiając ich dwójkami między sobą a czarownikiem. Marszałek od czasu do czasu oglądał się przez ramię, trzecim okiem wypatrując pastelowego blasku Uprzywilejowanego. Czarodziej zbliżał się szybko. Nie poruszałby się tak prędko, gdyby nie niósł go Stróż.

Ryze odwrócił się, aby wyszczekać rozkaz do jednego ze swoich ludzi, i się zatrzymał.

Tamas niemal wpadł mu na plecy. Brygadier dobył sztyletu i przyjął pozycję do walki.

Marszałek odwrócił się. W pobliżu pozostało już tylko dwóch ludzi najemnika. Jednym z nich był jakiś łucznik, który właśnie padł na warstwę zeschłych liści z poderżniętym gardłem. Drugim człowiekiem był Gaben. Spokojnie otarł sztylet o pelerynę łucznika, następnie odwrócił w stronę brygadiera.

– Twój ojciec... – zaczął Ryze.

– To cholerny głupiec, który nigdy nie powinien opowiedzieć się za tym zdrajcą – stwierdził Gaben, wskazując na marszałka. Ujął sztylet gotów do walki. – Muszę tylko zająć was, dopóki nie przybędzie diuk.

Stary brygadier rzucił się do przodu. Sparował cios, sam ciął, a potem skoczył na Gabena i przebił mu pierś. To nawet nie był pojedynek. Ryze wyprostował się, w jego jedynym oku płonęła wściekłość. Spojrzał w stronę, z której przybiegli. Ktoś krzyknął coś o czarach i rozległ się trzask walącego się drzewa.

– Zostawiłem ludzi na śmierć – wyjaśnił Ryze. Zacisnął powiekę, opuszczając sztylet. Tamas dostrzegł, że na pelerynie ma krew. Brygadier dotknął rany. – Miał szczęście – stwierdził, wskazując na martwego dojeżdżacza.

Tamas usadził Ryze’a na ściółce, opierając go o kłodę.

– Gadaj, co masz do powiedzenia – polecił – zanim będzie za późno.

Coraz bardziej zbliżały się do nich odgłosy czarów.

– Od jakiegoś czasu nie mogłem się do ciebie zbliżyć – zaczął Ryze. – To był głupi plan, ale byłem zdesperowany. Brygadier Barat nas zdradził.

Trzyma mojego syna jako zakładnika. Miałem nadzieję, że przekonam cię, żebyś opuścił gonitwę i pomógł mi go uratować. Mielibyśmy całe godziny, zanimby się zorientował, że nas nie ma. – Ryze przesunął dłonią po twarzy. Pot spływał mu po policzkach, mieszając się ze łzami. – Nie wiedziałem, że zostaliśmy zdradzeni.

– Czy to on jest tym zdrajcą? – zapytał Tamas. – Czy lady Winceslav o tym wie?

– On nie jest jedynym zdrajcą – powiedział Ryze. – Współpracuje z kimś z twojej rady. I nie, lady nie ma pojęcia. Zaślepia ją miłość. Barat ją uwiódł. Robiłem, co w mojej mocy, aby wysłać go na linię albo z dala od kraju, ale nawet nie chciała o tym słyszeć. Teraz jest jedynym, którego słucha.

– Wiesz, dla kogo pracuje?

– Nie – odparł Ryze. – Uciekaj! – Rzucił się do przodu, obalając Tamasa na ziemię. Nagle las eksplodował płomieniami, od żaru zapiekły marszałka twarz i dłonie. Uderzył o ziemię, przetoczył się, zerwał na nogi i gwałtownie odwrócił w stronę Ryze’a. Brygadier krzyczał, a skóra odpadała mu od płonącego ciała. Marszałek rzucił się za jakiś głaz, szaleńczo wypatrując oznak obecności Uprzywilejowanego oraz jego Stróża. Usłyszał jakiś trzask i ostatnim, co zapamiętał, był eksplodujący kamień.

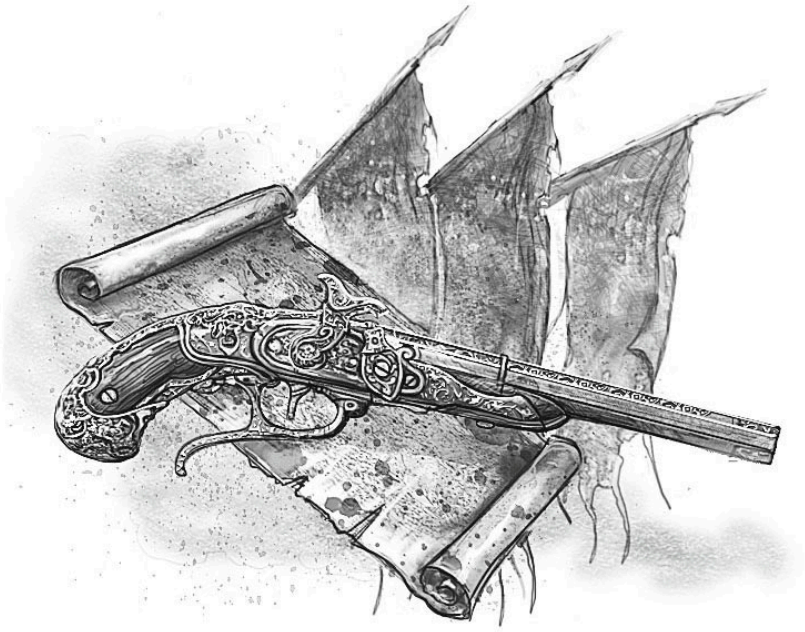

24
ROZDZIAŁ

Czego pan chce?

Lord Vetas stał na schodach przed frontowymi drzwiami. Kapelusz trzymał w dłoni, a krótkie czarne włosy miał ufryzowane i gładko zaczesane do tyłu. Ubrany był elegancko, w nowy, czarny frak, do tego czarne buty, tak lśniące, że Adamata aż bolały oczy. Spod fraka widać było szkarłatną kamizelkę oraz czarną, jedwabną koszulę. Adamat otarł sen z powiek i poprawił koszulę nocną. Zerknął na wiszący w holu zegar.

– Jest siódma rano – stwierdził beznamiętnie.

– Czy mogę wejść? – uprzejmie zapytał lord Vetas.

– Nie. Czego pan chce? – Adamat urwał, nagle ogarnięty podejrzeniami. – I gdzie pańskie zbiry?

– Dzisiaj nie muszę nikomu grozić – uspokoił go lord Vetas. – Ostatnim razem moi ludzie zjawili się tylko po to, żeby zaopiekować się Palagim. Jak mniemam, nie miał pan kłopotu z pozbyciem się ciała.

Tyle było w tym pytaniu troski, że Vetas mógłby równie dobrze pytać Adamata o poranną herbatę.

– Niewiele, dziękuję bardzo. Teraz proszę mi powiedzieć, po co pan przyszedł.

Lord Vetas zdawał się nieporuszony opryskliwym tonem gospodarza.

– Prezent. – Wyciągnął niewielkie, czarne puzderko. – Nie miałem od pana wieści. Zakładam, że postanowił pan nie przyjmować mojej oferty zatrudnienia?

Detektyw chwycił puzderko.

– Proszę powiedzieć swojemu panu, żeby się nią wypchał. Zajrzałem pod ten adres na kartce. To pusty magazyn nad rzeką. Nic dla mnie. A pan – dodał – pan nie istnieje. Nie miałem dużo czasu, aby pana tropić, ale nie ma żadnego „lorda” Vetasa.

– Bardzo sprytnie – pochwalił nieproszony gość. – Jednak adres jest całkiem prawidłowy, jestem zaskoczony, że moi ludzie nie zwrócili uwagi na pańską wizytę. W rzeczy samej, jestem pod wrażeniem. – Uniósł dłonie i łagodnie klasnął. – Pańskie umiejętności jako śledczego zaiste robią wrażenie. Nie wątpię, że w końcu odkryje pan moją tożsamość, a także tożsamość mojego pana.

– Dlaczego pan nie powie mi, kim jest, i nie zaoszczędzi nam obu czasu? – zapytał kwaśno Adamat.

Lord Vetas tylko się uśmiechnął.

– Prowadzi pan śledztwo dla marszałka polnego Tamasa, szuka zdrajcy w jego radzie.

– Nie.

– Niech pan mnie nie okłamuje, Adamacie – upomniał go łagodnie lord Vetas. – Ja już to wiem.

– Nawet jeśli, nie będę dyskutował na temat bieżącego śledztwa – upierał się Adamat.

– Do jakich wniosków pan już doszedł? – indagował gość.

– Czy pan mnie nie zrozumiał? Nie mamy o czym rozmawiać. Życzę miłego dnia.

Zaczął zamykać drzwi.

Lord Vetas uprzejmie przytrzymał jego dłoń, niczym urzędnik starający się zainteresować swojego zwierzchnika.

– Co? – warknął Adamat.

– Nie otworzy pan swojego prezentu?

Detektyw spojrzał na puzderko spod zmarszczonych brwi. Było czarne i proste, przewiązane pośrodku jedwabną wstążką, tak jak u jubilera. Wewnątrz leżał palec. Odcięty przy kłykciu, a dzięki doświadczeniu z podobnymi sprawami Adamat od razu rozpoznał, że to palec nastolatka. Na palcu był pierścień. Pierścień, który kiedyś nosił ojciec Adamata. Pierścień, który podarował...

Drżał, gdy zamykał wieczko puzderka i wsuwał je do kieszeni. Złapał lorda Vetasa za ubranie i przeciągnął przez drzwi. Lord nie protestował, kiedy detektyw zamknął drzwi kopniakiem i walnął intruzem o ścianę. Oddychał spokojnie, nawet wtedy gdy jego nos znalazł się o włos od twarzy Adamata.

– Należał do pańskiego syna – podpowiedział.

– Wiem, do kogo należał! – Adamat nie zdołał nie krzyczeć. Obiema dłońmi chwycił lorda Vetasa za poły fraka i pchnął w głąb korytarza. Wyjął swoją laskę z ostrzem ze stojaka przy drzwiach, po czym obnażył klingę. Podetknął ją Vetasowi pod brodę, ale ten nawet nie drgnął.

– Jeżeli on nie żyje...

Lord spojrzał na końcówkę ostrza, jakby ktoś pokazywał mu dziwaczny przedmiot na targu.

– Och, jest jak najbardziej żywy. Właśnie o to chodzi w wykorzystywaniu innych osób w roli środka nacisku. Nie nadają się do tej roli, jeżeli nie żyją.

– Zabiję cię.

– Proszę mnie zabić, a otrzyma pan kolejny prezent. Tym razem w nieco większym pudełku. W środku będzie głowa pańskiej córki.

Ostrze Adamata utoczyło z gardła lorda Vetasa kroplę krwi. Lord wyjął chusteczkę do nosa i starł szkarłat.

– Dlaczego nie mam od razu cię zabić? – wyszeptał Adamat.

– Właśnie to panu powiedziałem. – Lord Vetas uśmiechał się ze współczuciem. – Działa pan teraz pod wpływem emocji. Rozumiem. Proszę się trochę uspokoić i wszystko sobie przemyśleć.

Adamat nie pragnął niczego bardziej, jak przebić tego człowieka na wylot. Wytężył się, aby utrzymać w ryzach. Jedno drgnięcie i życie Vetasa spłynie na dywanik w holu.

U szczytu schodów pojawił się SouSmith w koszuli nocnej. Adamat gestem nakazał mu się oddalić.

– Co chce wiedzieć twój pan?

– Wszystko – powiedział lord Vetas. – Cokolwiek Tamas panu powie. Cokolwiek odkryje pan w trakcie swojego śledztwa. Od teraz.

Adamat westchnął, chęć walki powoli zeń uchodziła. Jej miejsce zajmował strach.

– Nic. O niczym nie wiem.

Przez twarz lorda przemknęło rozdrażnienie.

– W swoim śledztwie nie doszedłem jeszcze do żadnych wniosków. – Adamat z trudem zbierał rozproszone myśli. Cały czas przypominał sobie, że Josep nadal żyje. Wszystko będzie dobrze. Dopóki zdoła pogrywać z lordem Vetasem.

– Zacznijmy od początku – powiedział Vetas. – Niech mi pan opowie o swoich śledztwach.

Adamat zorientował się, że mówi. Słowa układały się jedno na drugim, jak gdyby każde z nich stanowiło cegłę w budowanym przez niego murze chroniącym rodzinę. W pewnej chwili urwał, schował ostrze do laski, oparł się na niej ciężko.

Powiedział lordowi Vetasowi o Obietnicy Kresimira i o tym, że Tamas uznał ją za bzdury. Powiedział o nocy w Pałacu Wschodzącego Słońca i o spotkaniu z Uskanem. Podawał szczegóły, których wcale nie planował ujawniać. Kontynuował, przypominając sobie spotkania z Ricardem Tumblarem i lady Winceslav. Lord Vetas cały czas milczał. Adamat nie potrafił niczego wyczytać z jego twarzy.

Mówił tak szybko, że dopiero gdy coś powiedział, przychodziło mu do głowy, że mógł przecież skłamać lub to zataić. Kiedy już skończył, ciężko usiadł na schodach, ręce mu drżały, czuł się wyczerpany. Wydawało się, że dopędziły go i przygniotły wszystkie przeżyte lata i troski.

Lord wydawał się rozważać coś w myślach.

– Dwa miesiące śledztwa i to wszystko, co pan ma?

Adamat zmrużył oczy.

– Wykonałem pracę dwudziestu osób.

– I jest pan pewien, że to wszystkie szczegóły?

– Jestem pewien – powiedział Adamat. – Niczego nie zapominam.

– Ach tak. Pańska Zdolność. Proszę mi powiedzieć więcej o tej... zbliżającej się zagładzie Adro – polecił lord Vetas.

– Wiem bardzo niewiele. – Detektyw był zmęczony. Nie pragnął już niczego więcej, jak wczołgać się do jakiejś nory. – To przepowiednia o tym, że Kresimir powróci. Sugeruje, że jego powrotowi towarzyszyć będzie spora dawka przemocy. Taka stara legenda.

Lord Vetas zamyślił się. Po raz ostatni potarł szyję, aby usunąć krew, następnie założył kapelusz.

– Wrócę – zapowiedział. – Mam nadzieję, że będzie pan miał wtedy dla mnie coś bardziej interesującego. Jeśli nie... – Zerknął wymownie na pudełko w dłoni Adamata.

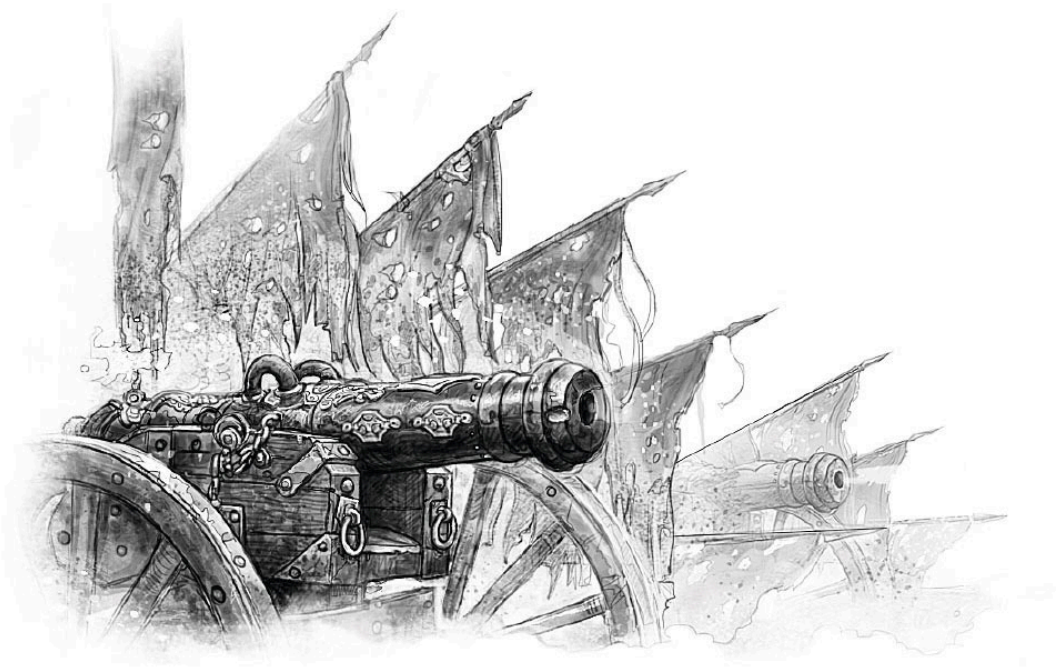

25
ROZDZIAŁ

Taniel otarł krew z twarzy i patrzył, jak jakieś dwie kobiety ściągają z szańca kolejnego strażnika, który zginął od kuli w głowę chwilę po tym, gdy wraz z Tanielem osuszyli flakon wina pod osłoną murów bastionu. Prochowy mag zamknął oczy i spróbował sobie przypomnieć twarz tamtego człowieka. Później, wieczorem, ją naszkicuje.

Krew była wszędzie; stara krew, świeża krew, rozbryzgi na ziemi i na płaszczu, niezliczone rdzawe plamy. Cały bastion pachniał słonym żelazem. Przyprawiający o mdłości, duszny zapach śmierci unosił się i rywalizował o zmysły Taniela z chmurami prochowego dymu.

Kezanie znosili ze zbocza swoich poległych w niepokojącym tempie. Pchano ich i podawano dalej jak worki zboża, byle tylko uczynić miejsce dla następnych żołnierzy. Tydzień temu Kezanie skonstruowali drewnianą pochylnię w kształcie litery V, biegnącą aż do Mopenheig. Zabitym owijano twarze lnianymi chustami, wrzucano na pochylnię i spychano kijami. Drewno już dawno przybrało kolor brązowawej czerwieni. Taniel nawet nie próbował sobie wyobrazić, jak musiała cuchnąć ta zjeżdżalnia. Na równinach poniżej widział wielkie doły, do których wrzucano zwłoki.

Usiadł, opierając się plecami o szaniec. Wyczyścił i załadował karabin. Tym razem do lufy włożył zwykłą kulę. Czerwone pręgi już mu się kończyły. Ka-poel, w swoim długim czarnym prochowcu i w kapeluszu, była tuż obok. Jakiś pocisk oderwał jej kawałek klapy. W odpowiedzi na zmartwione spojrzenie Taniela przechyliła enigmatycznie głowę. Uklękła na jedno kolano, po czym wyjrzała ponad mur bastionu.

Reduty padły już kilka tygodni temu. Nie podjęto próby ich odbicia. Kezańscy żołnierze schowali się po drugiej stronie murów i czekali na rozkazy. Taniel dostrzegł jakiegoś Kezanina, który wychylił się zbyt mocno. Strzelił. Żołnierz z krzykiem złapał się za twarz. Stracił przy tym równowagę i zaczął turlać się w dół zbocza, pociągając towarzyszy, bowiem na oślep machał rękami, starając się powstrzymać upadek.

Jeśli przeżyje, będzie okaleczony na resztę życia.

Taniel zdusił tę myśl i odwrócił się, aby znowu przeładować. Jakiś pocisk odbił się od muru zaraz obok, tuż po tym, jak prochowy mag się schylił.

– Znajdź mi jakiegoś Uprzywilejowanego – powiedział do Ka-poel. Skinęła głową i wyjrzała ponad kamieniami.

Tak właśnie mijały tygodnie. Kezańscy żołnierze trzymali zbocze góry, zaraz za pierwszą redutą. Na drodze usypali wysoki ziemny wał, dla ochrony. Kryli się za skałami, za usypiskami ziemi, za czym tylko się dało. Podciągnęli artylerię wyżej. Niedługo potem to, co z niej zostało, potoczyło się w dół zbocza. Działa Straży nie próżnowały. Podciągano kolejne armaty, tym razem towarzyszyli im Uprzywilejowani, chronieni tarczami. Po

niezliczonych próbach nieprzyjaciel założył w końcu przyczółek i teraz kezańska artyleria waliła w fortyfikacje z co najmniej piętnastu oczyszczonych stanowisk na zboczu góry.

Co kilka godzin szturmowano umocnienia. Regularnie, niczym w zegarku, Kezanie ustawiali się za swoimi bateriami i szykowali broń. Grał róg. Szarżowali pod górę, gdzie spadał na nich deszcz kul, któremu nie byli w stanie stawić czoła. Taniel widział w oczach ich oficerów obietnicę chwały, tuż przed tym, jak ich trafiał. Robiło mu się od tego niedobrze.

Każdy szturm kończył się niepowodzeniem, ale też za każdym razem Kezanie nieco zbliżali się do fortecy. Straż również ponosiła straty. Jakiś kartacz przedziurawił magiczne tarcze, niepewnie rozpięte przez Bo. Kule trafiały strzelców między oczy, gdy składali się do strzału. Zaczynała się nawet przedzierać magia. Wczoraj ktoś spłonął żywcem, muśnięty drobiną ognia Uprzywilejowanego. Wciąż jeszcze cuchnęło spalonym mięsem.

Taniel skończył ładować karabin czerwoną pręgą i odetchnął kilka razy głęboko. Ka-poel dała sygnał machnięciem dłoni. Cel namierzony, na godzinie jedenastej od jego pozycji. Wyobraził sobie wizerunek tej osoby. Ktoś z obsługi dział.

Przed podniesieniem się i oddaniem strzału powstrzymało go pojawienie się Gavrila. Rosły wachmistrz spieszył w stronę Taniela z pochyloną głową, w jednej ręce trzymał butelkę wina, w drugiej cynowy kubek. Usiadł obok maga, opierając się ciężko o mur. Pomachał mu butlą przed nosem.

– Jak tam na froncie, Naznaczony?

Ka-poel poklepała Taniela po ramieniu. Powtórzyła ruch dłonią. Wziął głęboki oddech i stanął. Złożył się do strzału w niecałą sekundę. Nacisnął spust i opadł za mur, głęboko zaciągając się prochowym dymem. Ka-poel wciąż obserwowała. Skinęła głową, jednak przesunęła dłoń poziomo, wzdłuż talii. Trafił Uprzywilejowanego, jednak nie zabił.

Taniel spojrzał na Gavrila spode łba.

– Do dupy ten strzał. Co cię tak cieszy?

– Wino na Festiwal Świętego Adoma! – Gavril uniósł butelkę. – Przysłali nam tego z Adopestu tyle, że można by spić całą armię Kezu. Szkoda, że

mamy wojnę. Zeszłej wiosny o tej porze roku mogłem być w Adopeście. Wino festiwalowe to naprawdę dobra rzecz. – Przerwał, aby napełnić cynowy kubek i podać go Tanielowi, ten jednak zbył go machnięciem ręki.

– Już skosztowałem – wykręcił się. – Pięć minut temu.

Ka-poel wyjęła butelkę z dłoni Gavrila. Przechyliła ją i piła dużymi łykami. Taniel odebrał jej trunek.

– Nie za dużo, dziewczyno – mitygował ją. Dynizyjka wyszarpnęła butelkę i wypiła jeszcze łyk.

– Jeśli może zabijać – powiedział Gavril – to może też pić. Taniel, ta dziewczyna jest całkiem dorosła. Mała, zostaw coś dla mnie. – Wachmistrz zabrał jej butelkę i opróżnił jednym długim haustem. Oblizał wargi, jego tęgie policzki zarumieniły się, a Taniel zastanowił się, ile butelek zdążył już osuszyć. Trochę się martwił – plotkowano, że Gavril nocami znowu tęgo pije. Miał nadzieję, że to nieprawda.

Nie tylko ta plotka go niepokoiła.

– Wino jest całkiem niezłe – stwierdził Taniel – ale ja wolę proch. Nie zaczyna już go brakować?

Opróżniali magazyny w zastraszającym tempie. To, co miało starczyć na rok oblężenia, zużyli w kilka tygodni. Kez miał zbyt wielu żołnierzy.

Gavril potrząsnął głową.

– Z Adopestu żadnych wieści. Ostatni kurier powiedział, że armia wciąż ma dużo. Chociaż w zeszłym tygodniu przysłali nam o dwa wagony mniej. – Skrzywił się. – Kazałem artylerii nieco się uspokoić, tak przez najbliższych kilka dni. Mam wrażenie, że niedługo będziemy mieli tutaj walkę wręcz.

– Naprawdę sądzisz, że zdołają przejść przez szaniec?

– Prędzej czy później. – Gavril nagle wydał się Tanielowi bardzo zmęczony. Potężne ramiona nieco opadły, a twarz stała się obliczem człowieka toczącego wojnę ze zmęczeniem, którą powoli przegrywa. – Zabiliśmy już dwadzieścia tysięcy ludzi. Zraniliśmy parę razy więcej, a oni wciąż idą. Podobno tam na dole mają milion żołnierzy, a każdemu w uszach brzmią słowa o zwycięstwie i obiecanych bogactwach.

– Słyszałem, że Ipille oferuje całe księstwo oficerowi, który poprowadzi zwycięski szturm.

– Słyszałem to samo – odparł Gavril. – A z pierwszego tysiąca żołnierzy, którzy za nim pójdą, zrobią oficerów.

– To spora pokusa.

– Racja. Zapewnią nam sporo strzelania.

– Mają więcej ludzi niż my kul.

– Jak sądzisz, ilu Uprzywilejowanych już zabiłeś?

Taniel przesunął palcami po nacięciach na kolbie karabinu.

– Trzynastu. Zraniłem dwa razy tylu.

– To spora część ich kamaryli.

– Nie dość – przypomniał mu Taniel.

– No tak, chciałbym, żebyś miał oko na jeszcze jedno.

Taniel skrzywił się.

– Co jest ważniejszego od Uprzywilejowanych?

– Saperzy – uświadomił go Gavril.

Taniel przypomniał sobie saperów. Już pierwszego dnia próbowali kopać w zboczu, ale kule posłały ich na dół na złamanie karku. Potem nie widziano ich przez ładnych parę dni. Pojawili się ponownie poniżej ostatniej reduty, spory kawałek za liniami Kezu. Na tyle daleko, że nie musieli się przejmować artylerią, chociaż kilka dział waliło w stronę ich pozycji.

– Naprawdę tak cię martwią? – zapytał Taniel. – Całe lata zajmie im przekopanie takiego dystansu. Jeśli jednak się przebiją, jedyne, co będziemy musieli zrobić, to wycelować działo w tę dziurę i zasypać ich kartaczami.

– Chciałbym, żeby było tak łatwo – odparł Gavril. – Bo mówi, że mogą mieć wsparcie Uprzywilejowanego. Julene.

Taniel poczuł, że dłonie zaczynają mu nieco drżeć. Zatarł je więc, żeby pozbyć się tego drżenia.

– Jeśli ona zdecydowała się pomagać przy czymkolwiek, to źle nam to wróży. A jednak. Chcesz, żebym strzelał do saperów?

– Nie do samych saperów. Wypatruj wspierających ich Uprzywilejowanych.

– Gavril!

Bo zatrzymał się przy nich, dysząc ciężko. Taniel natychmiast dostrzegł zmęczenie przyjaciela. Policzki Bo się zapadły, zniknęły wszelkie ślady nadwagi, a włosy stały się brudne i zmierzwione. Na twarzy miał błoto. Tylko Kresimir wiedział, skąd się tam wzięło.

– Planują coś dużego – poinformował ich.

– Saperzy? – domyślił się Gavril. – Wiemy o nich.

– Nie – uciął Bo. – Teraz. Ci... – Umilkł, gdy łoskot nieprzyjacielskiej artylerii ucichł nagle. Ciszę przerwało działo Straży, po nim odezwały się muszkiety. Ale wróg nie odpowiadał ogniem.

– Ich wszyscy Uprzywilejowani zgromadzili się pod ostatnią redutą, w pobliżu saperów – podjął Bo.

Taniel wzruszył ramionami.

– Ponad stu! – uświadomił go Bo. – Oni się tak nie zbierają na piknik. Nie wątpię, że tam są też ich oficerowie. Przygotowują się do ostatecznego uderzenia.

Gavril wstał i wyjrzał ponad murem. Taniel zamknął oczy i czekał.

– Cholera! – Wachmistrz znów usiadł. – Możesz mieć rację. Ich ludzie spokojnie idą drogą. Mnóstwo. Widziałem kilka czarnych kurtek.

– Stróże? – upewnił się Taniel. – Do otchłani.

Gavril stanął na równe nogi i odszedł, wykrzykując rozkazy strażnikom, wzywając wszystkich zdolnych do noszenia broni.

– Jak mogłeś to przegapić? – zapytał Bo po odejściu Gavrila. – Przecież strzelałeś do tych sukinsynów?

– To ona naprowadza mnie na cel. – Taniel wskazał Ka-poel. – Ja zawsze jestem za osłoną.

Ka-poel szybko coś zasygnalizowała.

– Mówi, że zebrali się w przeciągu ostatnich kilku minut – przetłumaczył Taniel.

– No to szykujmy się na koniec świata...

Bo uniósł dłonie w ochronnym geście. Po sekundzie dokładnie nad ich głowami rozerwał się kartacz, a echo eksplozji wstrząsnęło fortecą. Tarcze Bo zajaśniały czerwienią i pociski spadły na ziemię, nie czyniąc nikomu krzywdy. Kartacze eksplodowały na całej długości bastionu z ogłuszającym hukiem. Mur za plecami Taniela trząsł się od armatnich kul. Mag zerknął na Ka-poel. Nawet nie drgnęła.

– Muszą strzelać z każdego cholernego działa, jakie tylko mają! – zawołał Taniel, przekrzykując łoskot. Ale Bo mu nie odpowiedział, z twarzą wykrzywioną z wysiłku wymachiwał rękoma w niewiarygodnym tempie, splatając zaklęcia ochronne nad bastionem.

Bombardowanie było zaciekłe. Z oczu Uprzywilejowanego zaczęły cieknąć łzy, na czole wystąpiły żyły. Nad ich głowami błyskał ogień, a Taniel wiedział, że artylerię Kezu wspierają czary.

Strażnicy pospieszyli pod tarcze Bo, kuląc się, gdy nad ich głowami eksplodowały kolejne pociski. Nieśli worki i pochodnie. Jeden z żołnierzy delikatnie położył worek obok Taniela i ruszył po kolejny, spojrzał przy tym przelotnie na Bo i wymamrotał krótką modlitwę.

Taniel zajrzał do wnętrza worka. Był pełen glinianych kul wielkości męskiej pięści. Granaty. Zaiste, spodziewali się, że Kez podejdzie dzisiaj blisko.

– Bagnet na broń! – ryk Gavrila dał się słyszeć poprzez hałas artylerii.

Taniel poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej. Wyjął swój bagnet, nasadził na koniec lufy i przekręcił, mocując pewnie.

– Przygotować się! – wrzasnął Gavril.

Taniel sprawdził swój karabin. Naładowany. Zerknął na Bo. Uprzywilejowany robił wszystko, co w jego mocy, aby utrzymać się na nogach, zaś jego palce rozkazywały nieprzerwanie niewidzialnym żywiołom. Tarcze zaczynały pękać. Po drugiej stronie szańca jakiś kartacz rozerwał się wewnątrz chronionego obszaru. Ludzie krzyknęli i upadli, jedno z dział straciło obsługę.

Gdy zabrzmiała trąba, Taniel wyjrzał ponad krawędź szańca. Zbocze góry nagle zaroiło się od żołnierzy Kezu. Spieszyli drogą, wspinali się po

stromej skale. Byli wszędzie. Gdzie ci wszyscy ludzie ukrywali się do tej pory? Pod samym nosem obrońców?

– Cel!

Taniel wybrał sobie jakiegoś oficera. Białe pióro na czapce Kezanina drżało na wietrze, gdy ten biegł, prowadząc swoich ludzi i wymachując szpadą. Wtedy wzrok Taniela przykuła czarna kurtka wyróżniająca się w tej powodzi czerwieni i złota. Zmienił cel. Puls huczał mu w uszach. Stróże. Mnóstwo Stróżów. Z wielkimi nożami w zębach, niczym żeglarze wspinali się po skałach, kierując prosto ku pochylonym ścianom szańca.

– Pal!

Taniel pociągnął za spust. Podpalił nieco prochu, dając kuli więcej mocy. Chmura prochowego dymu na chwilę przesłoniła widok. A gdy się rozwiała, wśród obrońców bastionu rozległy się okrzyki przerażenia.

Od salwy padł tylko jeden człowiek: Stróż, którego Taniel trafił czerwoną pręgą dokładnie między oczy. Reszta pocisków, nie czyniąc nikomu krzywdy, upadła na ziemię, kilka stóp od pierwszych linii. Kezanie nawet nie zwolnili.

– Mają Uprzywilejowanych w szeregach! – wrzasnął Taniel.

– Strzelać bez rozkazu!

Taniel szybko sięgał do sakwy po czerwone pręgi, otworzył trzecie oko. W głowie mu się zakręciło, ale opanował to uczucie, przeładowując broń. Nie miał czasu na proch. Po prostu wrzucił czerwoną pręgę do lufy i napchał bawełnianych pakuł. Pastelowe kolory, jakie widział trzecim okiem, sprawiły, że świat zawirował. Niewidzialna tarcza używana przez kezańskich Uprzywilejowanych stała się przejrzystą, połyskującą żółtawo taflą. Wysilił się, aby dostrzec kolory za nią. Wśród kezańskich wojsk jaśnieli Stróże, a także Zdolni. Taniel szukał najjaśniejszych barw – Uprzywilejowanych. Wyłuskał jednego i ściągnął spust. Mężczyzna drgnął i upadł, a prochowy mag załadował kolejną czerwoną pręgę.

Zanim Kezanie dotarli do murów, udało mu się zdjąć jeszcze dwóch. Łoskot artylerii nagle umilkł.

Gavril krzyknął:

– Na stanowiska!

Taniel usłyszał, że Bo rzęzi z wysiłkiem. Odwrócił się i zdążył pochwycić przyjaciela, a potem ostrożnie usadził go na ziemi. Uprzywilejowany potrząsnął głową.

– Strzelaj dalej – wykasłał. – Osłabiasz ich.

Szeroko otworzył oczy i zerwał się na równe nogi.

– Opuszczają tarczę!

– Ognia! – wykrzyknął Gavril.

Kolejna chmura prochu spowiła fortyfikacje. Na chwilę bastion ogarnęła martwa cisza, a potem ludzie zaczęli się krzątać, ponownie ładując działa. Dym opadł.

Salwa przedarła się przez pierwszych kilka szeregów. Ludzie zostali tam zdziesiątkowani. Ranni rzucali się w bok, aby nie stratowali ich żołnierze idący za nimi. Jednak nie byli w stanie zejść im z drogi. Żołnierzy było zbyt wielu. Adrańskie armaty strzeliły kartaczami, łoskot zadźwięczał Tanielowi w uszach.

Tylko Stróże utrzymali się na nogach. Nieustannie parli naprzód. Mokre plamy na czarnych kurtach były widomym znakiem, że Stróże krwawili z ran. Ale się nie zatrzymywali. Zakrzyknęli z pogardą, potrząsnęli nożami w powietrzu. Gestem pospieszali szeregi za sobą. Zabici zostali zdeptani.

– Granaty!

Gliniane kule odpalano od pochodni i ciskano w atakujących. Wybuchy nadwerężyły szeregi Kezu. Kilku Stróżów zostało rozerwanych na strzępy.

Atakujący roili się u podstawy muru niczym wściekłe szerszenie. Wznosili drabiny, zarzucali liny z hakami. Kiedy jeden z haków wylądował tuż obok, Taniel sięgnął po siekierę, przerąbał linę jednym uderzeniem i podskoczył, strzelając do Uprzywilejowanego na dole.

Stróże pełzli po murach bastionu, jak gdyby były zaledwie lekką stromizną. W ciągu kilku chwil wspięli się na szczyt, kilku skoczyło pomiędzy strażników.

– Na bagnety! – wrzasnął Gavril. – Nie przerywać ognia z dział!

Jakaś wielka, paskudna głowa wyłoniła się zza szańca dokładnie przed Ka-poel. Wziął Stróża na cel, ale Dynizyjka okazała szybsza. Jej dłoń wystrzeliła do przodu, odsłaniając długą igłę ukrytą w rękawie. Wetknęła ją Stróżowi w oko, prosto do mózgu.

Taniel ciął w ramię jakiegoś kezańskiego żołnierza, poprawił kolbą i spróbował załadować kolejną czerwoną pręgę. Kezanie wchodzili zbyt szybko. Pospiesznie zaciągnął się prochem, chwycił karabin w obie ręce, pewien, że już nie zdąży oddać kolejnego strzału. Przygotował się na nową falę szturmu. Ci, co wejdą, spotkają przygotowanego prochowego maga w transie.

Jakiś Stróż przelazł przez mur, w ręce miał nóż tak duży, że mógłby nim przeciąć Taniela na pół. Ka-poel skoczyła w jego stronę, ale odrzucił ją jak lalkę. Taniel wrzasnął i dźgnął kreaturę bagnetem. Stróż zignorował tkwiące w nim czternastocalowe ostrze, zamachnął się długim ramieniem ponad lufą karabinu i uderzył maga. Taniel zachwiał się. Cios wstrząsnął nim nawet mimo prochowego transu.

Stróż dostrzegł Bo na dole i szarpnięciem wyciągnął bagnet z ciała. Uprzywilejowany uniósł dłonie, starając się stworzyć jakąś osłonę, jednak Stróż znalazł się przy nim w mgnieniu oka z nożem uniesionym do ciosu.

Taniel dosięgnął Stróża, gdy ten miał ciąć bezbronnego Bo. Mag przebił potwora bagnetem, nadziewając niczym prosię na rożen. Stróż odwrócił głowę, zaskoczony, że przeciwnik tak szybko odzyskał siły. Spróbował wykorzystać swoją wagę i siłę, by wyrwać broń z uchwytu maga.

Jednak Taniel na to nie pozwolił. Słyszał, jak lufa karabinu trzeszczy pod naporem wielkiego cielska, ale nie przestawał spychać Stróża pod mur. Zaparł się stopami i zrzucił przeciwnika poza krawędź obwarowania. Miał nadzieję, że rany nie pozwolą kreaturze ponownie wspiąć się na bastion.

Pomógł Ka-poel stanąć na nogi. Była roztrzęsiona, jednak poza tym cała.

U jego boku pojawił się Gavril.

– Wracaj do strzelania – warknął, chwytając za gardło jakiegoś kezańskiego żołnierza. Uniósł tego człowieka jedną ręką i zrzucił z murów. – Zabijaj Uprzywilejowanych!

Nagle obok Gavrila pojawił się Fesnik, uzbrojony w krótką szpadę i długi kij, służący do odpychania drabin. Taniel sięgnął do torby z czerwonymi pręgami. Wrzucił do lufy dwie kule, przybił bawełną i wycelował.

Prochowi magowie nazywali to zmianą kąta. Po wystrzeleniu pocisku wykonywano nim ostry skręt w jednym kierunku. Taniel wielokrotnie widział, jak robił to jego ojciec – podobno Tamas był w tym najlepszy.

Tanielowi zmiana kąta przychodziła opornie, a sam kąt wydawał się niewystarczająco ostry. Cała operacja wymagała precyzyjnego odmierzenia czasu oraz niesamowitego skupienia. Taniel nie dawał sobie rady z koncentracją. Po każdej nieudanej zmianie kąta miał wrażenie, że ktoś walnął go młotem po głowie. Po udanej cierpiał jeszcze bardziej.

Umiał za to trącać pociski. Polegało po prostu na spaleniu większej ilości prochu, po to, by skorygować tor lecącego pocisku – mniej więcej tak jak przy zmienianiu kąta. Trzeba było do tego celnego oka, a Taniel jeszcze nie natknął się na nikogo, kto strzelałby dalej albo celniej od niego. W dodatku potrafił zrobić coś podobnego z dwoma kulami naraz.

Ka-poel wskazała dwójkę Uprzywilejowanych, stojących w odległości około dziesięciu kroków od siebie, pod osłoną reduty i osobistych tarcz. Taniel wycelował, nacisnął spust.

Obaj mężczyźni upadli, każdy z kulą w piersi. Trzeci Uprzywilejowany widział, jak giną. Taniel schował się za ścianą.

Gestem nakazał Ka-poel pozostać w ukryciu. Uprzywilejowany pewnie teraz go wypatrywał. Taniel nie mógł przestać strzelać. Wziął kilka głębokich wdechów, załadował kulę i wyobraził sobie trzeciego Uprzywilejowanego. Miał mniej niż sekundę na wycelowanie i strzał. Z karabinem w dłoni przeczołgał się o pięć kroków dalej. Kilka szybkich oddechów i wyprostował się gwałtownie.

Uprzywilejowany unosił dłonie, jego palce drgały. Kiedy Taniel nacisnął spust, z powietrza nad nimi wystrzelił łuk błyskawicy. Wyładowanie pomknęło do miejsca, w którym mag był jeszcze kilka chwil temu.

Uderzyło z taką mocą, że zdołało zwalić z nóg Taniela, Gavrila, Ka-poel, Fesnika i jeszcze tuzin kezańskich żołnierzy.

Pocisk podryfował wysoko, rozdarł Uprzywilejowanemu gardło w rozbryzgu krwi.

Taniel odetchnął z ulgą.

Ryk rogu poniósł się po zboczu góry. Kezanie zaczęli się wycofywać.

Gavril odepchnął żołnierza, z którym się siłował. Uniósł pięść nad głowę.

– Wstrzymać ogień.

Działa umilkły. Kezańscy żołnierze po wewnętrznej stronie murów rzucili broń.

– Nie bierzemy jeńców – powiedział im Gavril ponuro. – Zostawcie broń i rynsztunek, a potem jazda na dół.

Kezanie zeszli z murów, pozbawieni muszkietów i prochu, a potem zaczęli długi marsz między zabitymi. Gavril znalazł wśród rannych jakiegoś kezańskiego oficera i chwycił go za ramię.

– Powiedz feldmarszałkowi Tine’owi, że może tu wysłać żołnierzy bez broni, aby pozbierali zabitych. I sugeruję, żebyśmy wszyscy dali sobie kilka dni na zajęcie się rannymi.

Gavril powtórzył rozkaz po kezańsku, aby mieć pewność, że został zrozumiany.

Oficer ostrożnie kiwnął głową i z pomocą któregoś ze swoich przeszedł przez mur.

Taniel ciężko usiadł obok Bo.

– Wszystko w porządku?

Bo rzucił mu przeciągłe spojrzenie.

– Czyli że nie.

– Do otchłani z tym wszystkim – wychrypiał czarodziej.

Katerine, Rina i Alasin pojawiły się jak gdyby znikąd. Otoczyły Uprzywilejowanego, na zmianę to fukając z niezadowoleniem, to załamując ręce, i chwilę później już poniosły go w stronę osiedla.

Taniel i Gavril odprowadzili ich wzrokiem.

– Muszę sobie coś takiego załatwić – stwierdził Taniel.

– Co? – zdziwił się Gavril. – Harem?

– No – potwierdził Taniel i zarobił kuksańca od Ka-poel.

– Spróbowałem kiedyś mieć więcej niż jedną babę naraz – mruknął Gavril. – Normalnie wrzód na dupie. Nie wiem, jak Uprzywilejowani sobie z tym radzą.

– Traktują je jak łajno – stwierdził Taniel.

– Nie Bo – odparł Gavril. – Chociaż, jak sądzę, powinienem powiedzieć, że tak naprawdę nie wiem, jak Bo to robi.

Odwrócili się i w ciszy przez chwilę patrzyli na wycofujących się Kezan.

– Naprawdę uratowałeś nam dupska – podsumował Gavril.

Taniel spojrzał na niego zdziwiony.

– Hę?

– Nie wiedziałeś?

Gavril klepnął się w kolano i zaśmiał głośno. Strażnicy zajmujący się zabitymi i rannymi umilkli, spoglądając na niego ze zdziwieniem.

– To znaczy, że nie wiesz, kogo zastrzeliłeś?

– Uprzywilejowanego? – Taniel podniósł porzuconą butelkę festiwalowego wina. Jakimś cudem nie pękła. Pociągnął łyk, zawahał się i podał flaszę Ka-poel. Wzięła łyk i oddała mu trunek.

– Rozpoznałem go nawet z tysiąca jardów – powiedział Gavril. – Ten ostatni, ten, który walnął w nas błyskawicą tak mocno, że przebiła się przez wszystkie glify Wierchowieńca. To był Brajon Okrutny.

Taniel zakrztusił się winem.

– Głowa kezańskiej kamaryli?

– Ten sam – oznajmił Gavril.

Taniel poczuł, jak miękną pod nim kolana. Oparł się o mur.

– Nigdy bym się wtedy nie podniósł, gdybym wiedział, że to on. Brajon był w Fatraście na początku wojny. Niemal sam ją zakończył. Własnoręcznie starł z powierzchni ziemi całą fatrastańską armię. Na tym wojna już by się skończyła, gdyby nie został odwołany do Kezu przez samego Ipille’a.

– No to się cieszę, że nie wiedziałeś – stwierdził Gavril. – Prawie nas tutaj mieli. Uprzywilejowani byli ubrani w mundury piechoty i schowali rękawice. Dobrze się wtopili w tło. Bo był zbyt zajęty utrzymywaniem tarcz, żeby ich zauważyć.

Taniel również nie otwierał trzeciego oka, dopóki już niemal nie było za późno. Skrzywił się. Wygłupił się. O mało ich wszystkich nie pozabijali. Przyglądał się, jak Gavril oszacowuje straty i uszczerbek w murach.

– Wiesz – zaczął – mogliśmy dalej strzelać, kiedy już odegrali odwrót. Na zboczu wybilibyśmy całe tysiące. W Fatraście Kez zrobił nam to kilka razy.

– Na wojnie muszą być jakieś zasady – prychnął ze złością Gavril. – W przeciwnym razie znowu wrócimy do Pomrocza, a Kresimir będzie zgubiony.

Taniel wyjrzał ponad krawędź bastionu. Przez chwilę rozważał, czy nie otworzyć trzeciego oka i nie śledzić Uprzywilejowanych, ale uznał, że tylko rozboli go od tego głowa.

Jedno go niepokoiło. Gdzie była Julene podczas tego natarcia? Zatrzymał spojrzenie na wejściu do tuneli saperów. Coś tam się poruszało i zdało mu się, że zobaczył, jak jakiś człowiek opróżnia taczkę z ziemią.

Tamas wpatrywał się w strop niewielkiej izby. Wzrok mu się rozmazywał, ale nawet gdyby marszałek dobrze widział, to niewiele więcej by zobaczył. Rozróżniał pochyłe deski sklepienia, surowe drewno i szczeliny zapchane gliną. Światła było niewiele. Ciało mówiło mu, że nastał świt. Przyćmiony blask wskazywał, że dzień będzie pochmurny. Usłyszał pianie koguta oraz stukot kopyt, a następnie przytłumioną rozmowę. Po kezańsku.

Nie czuł prawej nogi. Paskudne wrażenie. Tamas poczuł narastającą panikę. Jak zdoła uciec bez nogi, do tego nie widząc wyraźnie? Odetchnął

głęboko, zmusił się do spokoju i zbadał resztę ciała, szukając innych obrażeń.

Obie dłonie i ramiona miał sprawne. Poruszały się zgodnie z jego wolą. Czuł pod sobą kłucie słomianego materaca. Kiedy oddychał głębiej, ból przeszywał pierś, ale nie na tyle mocno, by podejrzewał złamane żebro. Bolał go też jeden bok, może przez jakieś skaleczenie albo siniaka. Dotknął się tam delikatnie. Chyba siniak. Na sobie miał jedynie krótkie kalesony, a wyrobiony przez lata instynkt podpowiadał, że Tamas nie jest w izbie sam.

Spiął się w sobie, wysilił i spróbował usiąść. Nie miał ani koca, ani poduszki, leżał na brudnym słomianym materacu, na drewnianej ramie. Po lewej było okno i schody kończące się przy łóżku. Przetarł oczy, co nieco poprawiło ostrość widzenia. W kącie siedział Stróż. Tamas natychmiast rozpoznał ten zarys zdeformowanego, umięśnionego ciała.

– Gdzie jestem? – zapytał.

Niewyraźna góra mięsa zdawała się przyglądać mu przez chwilę, potem wymamrotała coś niezrozumiałego po kezańsku.

– Gdzie jestem? – powtórzył Tamas.

Stróż wyszedł z izby.

– Gdzie jestem? – Tamas zawołał za nim. Uniósł się nieco bardziej. – Potworze. Bestio! – Opadł na łóżko. Zużył już resztkę sił. Kiedy się poruszał, zaczęło łupać go w głowie. Delikatnie, krzywiąc się, wymacał na niej opatrunek. Najlżejszy dotyk wywoływał przeszywający ból, więc w końcu dał spokój. Opatrzyli go. Rany miał przewiązane bandażami z brudnego lnu. Nogę owinięto ciasno, jednak zachował w niej krążenie. Z pewnością nieprędko się na niej oprze. Usłyszał kroki dwóch par butów, ktoś wchodził po schodach. Stróż powrócił w towarzystwie niewysokiego mężczyzny.

– Marszałku polny – odezwał się ten niski po adrańsku, z mocnym obcym akcentem. Tamas poczuł, że na dźwięk tego głosu jeżą mu się włosy.

– Nikslaus – wypluł. – Sądziłem, że wrzuciłem cię do Admorza.

– Moi Stróże mnie wyłowili – odparł diuk wesoło. – Jak tam twoja noga?

– Fantastycznie – zapewnił go Tamas. – Zamierzam wywijać hołubce. Gdzie jestem?

Nikslaus usiadł w kącie izby, Stróż zaś stanął w nogach łóżka.

– Głęboko w Królewskiej Puszczy – powiedział diuk. – Mój chirurg twierdzi, że gdy upadłeś, mocno uderzyłeś się w głowę. Masz jakieś problemy ze wzrokiem?

– Nie – skłamał Tamas.

– Oczywiście, że masz. – Nikslaus wiedział swoje. – Widzę przecież, że nie możesz na niczym skupić wzroku. Zanim wyruszymy, raz jeszcze każę chirurgowi, żeby cię zbadał.

Tamas naprawdę chciał rzucić diukowi wściekłe spojrzenie, jednak stwierdził, że to trudne, kiedy ledwie go widzi.

– Dlaczego wciąż żyję, do otchłani? Gdzie wyruszymy?

– Do Kezu – odparł Nikslaus. – Odradzałem to, ale po tym jak pierwszy Stróż cię nie zabił, Ipille postanowił, że powinniśmy przekazać pewną wiadomość. Jeśli wszystko pójdzie według planu, na oczach mojego króla trafisz pod gilotynę w ostatni dzień Festiwalu Świętego Adoma.

– Planowałeś to od dawna – odgadł Tamas.

– To była tylko jedna z wielu możliwości. Jeśli mamy zająć Adro, musimy się ciebie pozbyć, w ten czy inny sposób. Jesteś najsilniejszym z prochowych magów i geniuszem taktycznym. Nie mam zamiaru zaprzeczać, bo taka jest prawda. Będzie trochę walki z najemnikami, ale to ty jesteś podstawą swojej armii. Bez ciebie żołnierze pójdą w rozsypkę.

– Nie doceniasz ich – zapewnił go Tamas.

– Może. – Nikslaus najwyraźniej się tym nie martwił. – Tamasie, kostki domina zaraz upadną. Ty jesteś tylko pierwszą z nich. Mamy nad Adro przewagę liczebną. Kiedy twoja głowa wyląduje w koszu, zetrzemy w proch Straż Górską i wyłowimy twoich prochowych magów. Mamy nad wami przewagę pod każdym względem.

Tamas spojrzał na swoje dłonie, starając się rozpaczliwie skupić na nich spojrzenie.

– Co mi się stało w nogę?

– Moja wina – przyznał Nikslaus. – Głaz, za którym się chowałeś, rozpadł się w specyficzny sposób, a potem wybuchnął, kiedy zaaplikowałem odpowiednio dużo czarów. Kawałek skały uderzył cię w nogę. Obawiam się, że ją zgruchotał. Jednak niezbyt bym się tym przejmował – kontynuował Nikslaus. – Nasz chirurg mówi, że to się może zagoić w swoim czasie. Jest dosyć utalentowany. Złożył wszystko razem i zaszył ciało tak, że nic nie widać. – Nikslaus wstał, podszedł do łóżka. I pochylił się nad Tamasem, jednak poza zasięgiem rąk marszałka. – Jesteś teraz bogatszy o kilkaset krana – oznajmił ściszonym głosem i skinął głową w stronę jego nogi. – Teraz jest w niej złota gwiazda, zaraz przy kości. Zostałeś uleczony.

Tamas szarpnął się, zamachnął, celując w rozmazaną plamę, jaką był diuk, a jego ciało aż zakrzyczało cierpieniem. Z nogi rozeszły się ogniste igły bólu. Nikslaus zgrabnie się uchylił.

Uleczony. Tak o tym myślał Nikslaus. Złoto w układzie krwionośnym prochowego maga stanowiło prawdziwe przekleństwo. Odbierało zdolność wyczuwania i dotykania prochu, wchodzenia w trans.

Nikslaus zachichotał.

– Zostałeś uleczony, Tamasie, ale to niewiele ci pomoże. Na twoją szyję spadnie to samo ostrze, które przed tylu laty ścięło głowę twojej żony. Nie pójdziesz na śmierć jako prochowy mag. Pójdziesz jako syn ubogiego aptekarza.

Puls ciężko dudnił Tamasowi w uszach, a ręce drżały mu gwałtownie. Chciał sięgnąć nimi i złapać Nikslausa za gardło. Pragnął zakończyć to, co zaczął w dokach. Niestety, nie mógł nic zrobić. Był bezsilny.

To było dlań całkiem nowe uczucie. Od kiedy pamiętał, zawsze miał ze sobą magię. Nawet gdy nie przebywał w prochowym transie, potrafił wyczuć pobliskich czarodziejów i określić ilość prochu w promieniu setek kroków. Mógł detonować ładunki albo całe baryłki, wdychać siarkowy dym oraz walczyć jak demon.

Teraz wszystko utracił. Zostały tylko dłonie, zgruchotana noga oraz wzrok, nieostry po wstrząśnieniu mózgu. Opadł z powrotem na łóżko

i poczuł wilgoć spływającą po twarzy. Odwrócił się od Nikslausa.

Diuk opuścił swego więźnia bez słowa. Wyszedł nawet Stróż. Było jasne, że Tamas niczego nie może zrobić, a sądząc po narastającym zgiełku na zewnątrz izby, mieli co innego na głowie niż pilnowanie załamanego, starego mężczyzny.

Głos Nikslausa brzmiał najdonośniej. Wydawał rozkazy z arogancją szlachcica. Tamas podniósł zdrową nogę i postawił stopę na podłodze. Odepchnął się od łóżka.

O mało nie upadł. Wytężył wszystkie siły, aby nie runąć prosto na twarz. Jedną dłonią oparł się o ścianę, drugą o ramę łóżka. Ruszył w stronę okna, podskakując na jednej nodze. Zatrzymał się tylko, aby zwymiotować, bo jednak ból okazał się silniejszy od woli marszałka.

Tamas osunął się na podłogę pod oknem, starannie unikając kałuży żółci. Przysunął głowę do chłodnego muru. Słyszał Nikslausa niemal tak wyraźnie, jak gdyby ten był obok. Diuk albo nie spodziewał się, że Tamas będzie chciał podsłuchiwać, albo zupełnie o to nie dbał.

– Czeka nas długa droga do Adopestu – oznajmił po kezańsku. – Nie obchodzi mnie, co mówią zwiadowcy, nie będę ryzykował spotkania z tymi głupcami z gonitwy.

Tamas usłyszał tętent kopyt. Wierzchowiec zatrzymał się pod oknem.

– Słucham? – zapytał Nikslaus.

– Wytropiliśmy jeszcze czterech, wielmożny panie – odparł niski głos. Tamas natychmiast rozpoznał Stróża po charakterystycznym gardłowym brzmieniu.

– Czy to byli ostatni z nich? – zapytał Nikslaus.

– Nie wiadomo. Nasz człowiek nie żyje, więc nie wiemy, ilu zabrał ze sobą Ryze. Podejrzewam, że dostaliśmy wszystkich.

– Nie lekceważ tego brygadiera – warknął diuk. – To był jeden z najlepszych oficerów Winceslav. Miał pewnie jakąś eskortę, na wypadek gdyby coś się stało. Wyślij dwóch Stróżów na łowy.

– Musimy unikać patroli. Szukają Tamasa.

– Wyjedziemy, zanim do nas dotrą. Pomóż reszcie. Ruszamy w ciągu godziny.

Z prochowymi magami na swoim tropie, Nikslausowi spieszno będzie wracać do Adopestu. Sabon mógł jeszcze nie wiedzieć o zaginięciu marszałka. Jedyną nadzieję stanowiło, że Nikslaus pozwolił uciec pozostałym. Ilu miał ze sobą Stróżów? Czy wysłał ich za Olemem, Charlemundem i całą resztą?

Tamas westchnął ciężko. Nawet jeśli go znajdą, to kimże wtedy będzie? Jedynie starcem, a nie prochowym magiem.

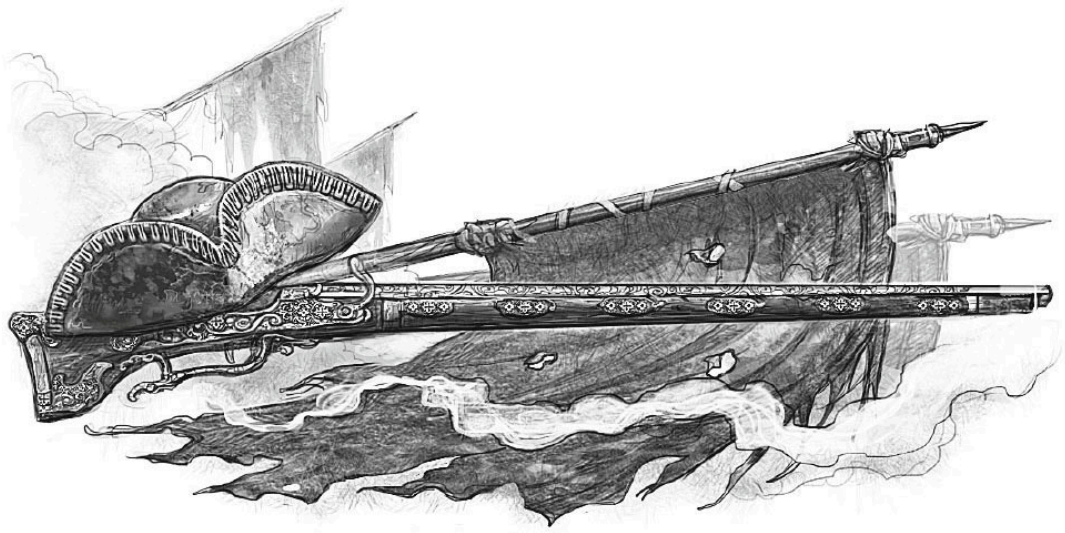

26
ROZDZIAŁ

Adamat prawie tydzień spędził na rozpracowywaniu podskarbiego Ondrausa, zanim wreszcie umówił się z nim na rozmowę. O mało nie odwołał tego spotkania w związku z niezwykłymi plotkami, jakie dotarły do miasta dzień wcześniej. Opowiadano o zniknięciu Tamasa podczas wczorajszej Gonitwy Owocowej Doliny, o zdradzieckim brygadierze, o czarach w Królewskiej Puszczy. Żadnej z tych pogłosek nie potwierdzono, więc Adamat nie zaniechał rozmowy z podskarbim, chociaż miał niepokojące wrażenie, że być może już stracił pracę.

Zjawił się pod domem Ondrausa pięć minut po umówionej godzinie, a to dlatego, że kilka razy minął budynek, ukryty za żywopłotem i wetknięty

między dwie rezydencje. Wniosek, że to kwatery służby, sam się nasuwał. Między żywopłotem a frontowymi schodkami mieścił się niewielki, starannie utrzymany ogródek. Każde źdźbło trawy i płatek kwiatu znajdowały się na swoim miejscu. Sam dom był praktyczny i prosty, wzniesiony z dobrej, lecz niedrogiej cegły.

Drzwi otworzyły się, kiedy Adamat unosił dłoń do kołatki. Wyjrzała zza nich stara kobieta w zgrzebnym fartuchu służącej oraz zwykłej wełnianej sukni.

– Przyszedłem, żeby...

– Zobaczyć się z podskarbim – przerwała mu. – Spóźnił się pan.

– Przepraszam, nie mogłem znaleźć...

Starsza kobieta odwróciła się w połowie zdania i oddaliła, utykając. Adamat ruszył za nią. Przełknął złość, idąc w głąb domu.

Wnętrze nie rzucało się w oczy, tak jak i zewnętrze. Gzyms komina był starannie odkurzony i pusty, podobnież półki, jeżeli nie brać pod uwagę dwóch rzędów ksiąg rachunkowych. Żadnych bibelotów czy ozdób. Pojedyncze krzesło przy wygaszonym kominku. W izbie znajdowało się jeszcze troje drzwi. Jedne prowadziły do kuchni, która sprawiałaby wrażenie całkowicie nieużywanej, gdyby nie bochenek chleba na stole. Drugie drzwi były zamknięte – przypuszczalnie wiodły do sypialni, a za trzecimi siedział podskarbi, przy niewielkim biurku w kącie. Na czubku nosa chybotały mu się okulary i przesuwał palcem po stronie pełnej liczb.

Gosposia, gderając coś pod nosem, ruszyła do kuchni, pozostawiając Adamatowi przedstawienie się podskarbiemu. Detektyw patrzył na nią przez chwilę, zastanawiając się, co ona w ogóle robi w tej kuchni. Nie dane mu było się dowiedzieć, bowiem kobieta odwróciła się i podchwyciwszy taksujące spojrzenie Adamata, zatrzasnęła drzwi.

Detektyw zwrócił swoją uwagę ku drobnemu człowieczkowi siedzącemu za biurkiem. Ricard ostrzegał go, że podskarbi jest kimś więcej, niż się wydaje. No a kim się wydawał? Zakurzonym księgowym. Trzeba przyznać, że jednym z najlepszych w Adro. Kim jeszcze? Nikim, uznał Adamat.

– Spóźnił się pan. – Podskarbi nie raczył nawet unieść wzroku znad ksiąg.

– Proszę o wybaczenie. Ulice były okropnie zapchane przez ten festiwal i w ogóle. – Nie dodał, że mało kto umawia spotkania robocze w trakcie festiwalu. Coś mu podpowiadało, że podskarbi tak naprawdę nie lubi zabawy.

– Niech pan zostawi te usprawiedliwienia dla kogoś innego. Inspektorze, proszę nie marnować mojego czasu – uciął Ondraus. – Nie próbowałem zabić Tamasa. Nie mam ani cierpliwości, ani czasu, żeby odpowiadać na pańskie pytania. Mimo nieobecności Tamasa nadal trzeba prowadzić księgi. – Skrzywił się, uświadamiając sobie, że coś mu się wymsknęło.

– Więc jednak zaginął? – podchwycił Adamat.

Podskarbi spojrzał na niego z wściekłością.

Detektyw przyglądał mu się przez chwilę. Ondraus był niewysoki, przygarbiony za sprawą dziesięcioleci pochylania się nad biurkiem. Twarz miał pociągłą, policzki zapadłe, barki wąskie. Należał do grona najbardziej znanych osobistości Adopestu. Już samo to stanowiło w jego przypadku niezłe osiągnięcie, zważywszy, że rzadko pokazywał się publicznie, nigdy nie pozwolił się sportretować i podobno starał się odstręczyć od siebie każdego, kogo tylko spotkał. W ostatnie Adamat był w stanie uwierzyć. Zdawał sobie także sprawę, że z podskarbim nie porozmawia o zniknięciu Tamasa.

Tygodniowe śledztwo przyniosło irytująco niewiele. Podskarbi zza tego małego biurka zajmował się finansami całego państwa, wyjąwszy królewską szkatułę, chociaż plotkowano, że to zmieniło się wraz z egzekucją Manhoucha. Utrzymywał biuro na ulicy Joon, którego nigdy nie odwiedzał, pracował tam zespół księgowych. Ondraus sprawdzał później wszystko, co zrobili. Nic nie było wiadomo na temat jego hobby i przyjaciół. Gosposia mieszkała z nim od czterdziestu kilku lat, jednak nikt nie wierzył, że coś ich mogło łączyć. Miał jednego strażnika, towarzyszącego mu zawsze, gdy wychodził z domu, co jednak zdarzało się rzadko.

Krążyły plotki, że podskarbi brał udział w gonitwie, podczas której zaginął Tamas. Jednak Adamat nie potrafił wyobrazić sobie tego mężczyzny na koniu.

– Nie wygląda pan na człowieka, który mógłby zdradzić swój kraj – powiedział detektyw. – Zresztą jako miejski podskarbi zdołałby pan podkopać Adro u samych korzeni i bez pomocy Kezu. To nie jest kwestia pieniędzy. Moje śledztwo wykazało, że jest pan jednym z najbogatszych ludzi w Adro. Za swoje usługi dostaje pan dwieście tysięcy krana rocznie i ma trzy miliony akrów gruntów rolnych w Fatraście, pół miliona akrów na wybrzeżu Bakashkanu, w tym jakiś ważny port, do tego kopalnię węgla w Delivie i połowę jakiejś kompanii handlowej z Kezu. Dziwię się tym wszystkim zagranicznym posiadłościom. Nie ufa pan swojemu krajowi?

– Gdyby był pan bardziej dokładny, toby pan znał odpowiedź – oznajmił Ondraus. – Mam trzy kopalnie złota i dwanaście płatnych traktów Straży Górskiej. Mam sto dwadzieścia tysięcy akrów winnic i finansuję gildię kupiecką na północy. – Machnął dłonią. – Niech pan zapyta swojego przyjaciela Ricarda Tumblara, jeśli chce wiedzieć więcej. W swoich hutach osobiście zatrudniam trzy tysiące robotników z jego związku.

– A także w innych zakładach – dodał Adamat.

Ondraus zmrużył oczy.

– Pan wiedział.

– Byłem po prostu ciekaw, co pan uważa za najcenniejsze.

– Jeżeli pan mnie nie podejrzewa, dlaczego w ogóle odbywamy tę rozmowę?

– Nie powiedziałem, że pana nie podejrzewam. Aczkolwiek przyznaję, że na liście podejrzanych zajmuje pan dalekie miejsce. Chcę wiedzieć, co panu mówią księgi.

– Nie rozumiem.

Po sposobie, w jaki dłoń Ondrausa zacisnęła się na rejestrze, Adamat wywnioskował coś wręcz przeciwnego.

– Pieniądze. Pan śledzi wszystko. Skatalogował pan nawet takie rzeczy, o których podskarbi wcale nie musi wiedzieć. – Adamat wskazał laską na

rachunek. – Przyjrzałem się pańskim księgom na ulicy Joon. Bardzo dokładne. Robią bardzo duże wrażenie.

– Te informacje nie są przeznaczone do wiadomości ogólnej – warknął Ondraus.

– Nie jestem ogółem. Niemal siłą musiałem utorować sobie drogę przez pańskich urzędników. Są względem pana bardzo lojalni. A teraz niech mi pan powie, co panu mówi przepływ pieniędzy?

Ondraus przyglądał się detektywowi zza okularów. Niewątpliwie dokonywał odpowiednich kalkulacji, porządkował myśli.

– Jeżeli motywem są pieniądze – zaczął – a są nim prawie zawsze, to nie musi pan podejrzewać ani Szafarza, ani lady Winceslav. Od miesięcy mam dostęp do ksiąg Winceslav i nie ma w nich absolutnie żadnych nieprawidłowości. Szafarz... to może jest kryminalista, ale płaci podatki. Co do pensa, nawet z nielegalnych zarobków. Człowiek, który w ten sposób płaci podatki, nie przejmuje się sprawami władzy, pragnie tylko stabilnego świata, w którym może powoli i spokojnie poszerzać swoje wpływy.

– Dla oportunisty wojna oznacza mnóstwo pieniędzy.

– Oportuniści nie płacą podatków – wytknął mu podskarbi.

– A inni członkowie rady?

Ondraus pociągnął nosem.

– Pierwszy Lektor to zagadka. W ogóle nie ma żadnych finansów. To bardzo dziwne. Wyjąwszy okazyjne granty z uniwersytetu, wszystko wygląda tak, jak gdyby przez jego ręce w ogóle nie przechodziły pieniądze. Ricard Tumblar to człowiek interesu. Kręci w swoich księgach jak tylko się da. Ostatnio dostał bardzo duże sumy z Brudanii i z banków w Fatraście, a także z Gurli.

– Brudania jest najważniejszym sojusznikiem Kezu.

– A banki w Gurli należą do Kezu.

– Fatrasta nie jest jego sojusznikiem – powiedział Adamat. – I nie jestem pewien, czy mogę wierzyć w to, co pan mówi na temat Ricarda. Uzwiązkowienie pańskich pracowników musiało pana doprowadzić do szału.

– Czyżby? – Ondraus uniósł brew. – Jego związek zorganizował produkcję w taki sposób, w jaki ja bym nigdy nie zdołał. Zyski z moich hut oraz kopalni złota wzrosły o trzysta procent, od kiedy pojawiły się związki. Niech pan zapyta Ricarda. Wcale ich blokowałem. Byłem im bardziej niż przychylny. – Machnął ręką i wrócił do głównego wątku. – Jest jeszcze arcybiskup. To duchowny, dlatego jego posunięcia są całkowicie okryte tajemnicą. Nikt spoza Kościoła nie może zerknąć w ich księgi. Chociaż wydaje tyle, że nawet króla doprowadziłoby to do płaczu. Znacznie więcej, niż wynosi jego pensja jako arcybiskupa. Często się nad tym zastanawiam.

– A pan sam?

– Mam podejrzewać samego siebie?

– Jest jakiś powód, dla którego chciałby pan zabić Tamasa?

– Tamas wydaje za dużo na wojsko i za dużo na szpiegów. Jednak mamy okres wojny, a zatem są to praktyczne wydatki. Podwyższył wydatki publiczne bardziej, niżby mi się podobało, ale to wynika z naszego uprzedniego porozumienia. Nawet fretka zarządzałaby tym krajem lepiej od Manhoucha. Tamas przynajmniej słucha moich rad. Gdyby Tamas umarł, dowództwo wojsk nie podołałoby zadaniu powstrzymania Kezu. Kez podbiłby Adro, a na Adopest zostałyby nałożone podatki. Kez od dawna ściąga ogromne daniny ze swoich kolonii w Fatraście i Gurli. Z nami byłoby nie lepiej, a z miejską szkatułą nawet gorzej niż za czasów Manhoucha.

Adamat po raz kolejny pomyślał o szczególnej pozycji Ondrausa. Gdyby chciał obalić Tamasa, byłby w stanie to zrobić w sposób znacznie subtelniejszy, niż nasyłając nań Stróża. Mógł po prostu oznajmić Tamasowi, że nie ma pieniędzy, aby opłacić armię albo wyżywić lud. Marszałek w ciągu miesiąca miałby na głowie zamieszki, a w przeciągu dwóch byłoby po nim.

Niepokojące natomiast było to, co podskarbi mówił o Ricardzie. Tumblar stał na czele Wojowników Pracy i otrzymywał wielkie sumy, jednak nie był bogaty, nie w takim sensie, w jakim rozumieli to ludzie

pokroju Ondrausa czy Charlemunda. Nie był jakimś królem. Kez miał jednak pieniądze, żeby go nim uczynić.

– Dziękuję za poświęcony mi czas – powiedział detektyw. – Sądzę, że tutaj już skończyłem. Mogę jeszcze wrócić, jeśli będę miał dalsze pytania.

Podskarbi bez słowa wrócił do swoich rachunków.

– Sam znajdę drogę do wyjścia – skwitował to Adamat.

Nikslaus może i nie obawiał się już Tamasa, ale nie dawał mu żadnej szansy ucieczki. Marszałek siedział w powozie, twarzą w kierunku przeciwnym do kierunku jazdy. Na przegubach i kostkach miał kajdany, połączone z podłogą grubymi łańcuchami, niczym w karetce więziennej. Obok siedział Stróż, zdeformowanym cielskiem przyciskając marszałka do ściany. Bliskość monstrum budziła w Tamasie dreszcze.

Jeśli nie liczyć okowów, powóz był przygotowany dla diuka. Nikslaus zajmował miejsce naprzeciwko Tamasa na miękko wyścielanym siedzeniu. Obicia ścian i zasłony wykonano z grubego aksamitu, co w pewnym stopniu tłumiło odgłosy dochodzące z zewnątrz. Powóz właśnie przestał się kołysać, teraz jechał po brukowanej ulicy, dobiegające z zewnątrz dźwięki potwierdzały, że znaleźli się w obrębie miasta.

Nikslaus zdawał się głęboko pogrążony w myślach. Jego palce tańczyły na kolanie, ukryte w białych rękawicach. Tamas zastanawiał się, czy to jakieś niewidoczne dla otoczenia czary, czy po prostu diuk zabijał czas. Marszałek odrobinę uchylił kotarę i wyjrzał na zewnątrz. Nie było tam nic ciekawego do oglądania. Na brzęk łańcucha Nikslaus zerknął w stronę więźnia, po czym skinął na Stróża, który stanowczym gestem odsunął dłoń Tamasa od okna.

Marszałek westchnął. Przynajmniej odzyskał ostrość wzroku. Wczoraj po południu opuścili wiejski dom. Coś uspokoiło Nikslausa, który zdawał

się już nie obawiać, że zostaną złapani. Marszałek sięgnął zmysłami do swojego wnętrza. Spróbował otworzyć trzecie oko.

Tylko moc prochowych magów można było zakłócić w podobny sposób. Tamas nie pamiętał, kto i kiedy to odkrył, ale złoto w krwiobiegu całkowicie odbierało magowi moc. Uniemożliwiało nawet spoglądanie w Nieświat, podczas gdy obcięcie Uprzywilejowanemu dłoni powstrzymywało go tylko od manipulowania Nieświatem.

– Nie jestem złym człowiekiem – odezwał się nagle Nikslaus.

Tamas zerknął na niego. Diuk patrzył na swojego więźnia wyraźnie czymś zmartwiony.

– Nie rozkoszuję się twoją niewygodą ani nie uśmiecham się na myśl o twojej zagładzie – kontynuował.

– To i tak nie powstrzymałoby mnie od wyduszenia z ciebie życia, gdybym tylko miał ku temu okazję – skwitował Tamas.

Nikslaus uśmiechnął się z roztargnieniem.

– Postaram się więc nie dać ci takiej okazji. – Urwał. – Zastanawiałem się właśnie teraz, jak to by było, gdybym nie mógł używać czarów. Gdyby odjęto mi dłonie i zniknęła moja zdolność dotykania drugiej strony. To była straszna myśl.

– Nie spodziewaj się ode mnie cienia życzliwości – zapowiedział Tamas.

– Chcę tylko, żebyś wiedział – odparł Nikslaus – że żadnej z tych rzeczy nie robię dla przyjemności. Działam z woli swojego króla. Jestem tylko sługą.

– Czy byłeś tylko sługą, kiedy przysłałeś głowę mojej żony w cedrowej skrzynce? – zapytał Tamas. Zaczął spokojnie, ale zanim dokończył pytanie, warczał, nie kryjąc swego gniewu. Wściekłość ogarnęła go niczym monstrualna fala, łańcuchy zabrzęczały i zagrzechotały. Stróż spojrzał na niego groźnie.

Nikslaus uspokoił Stróża uniesieniem ręki.

– Tak – potwierdził. – Byłem sługą.

– Podobało ci się to – warknął Tamas, zgrzytając zębami. – Przyznaj się. – Jego głos pełen był goryczy. – Podobało ci się zamawianie katowskiego

ostrza, cieszyłeś się, przysyłając mi jej głowę i oglądając moją rozpacz. Tak jak teraz cieszysz się, widząc mnie okaleczonym i skutym.

Nikslaus chyba się nad tym wszystkim zastanawiał.

– Masz rację – powiedział wreszcie.

Tamas zamilkł, zaszokowany, że Nikslaus właśnie przyznał się do czegoś podobnego. To było poniżej godności diuka.

– Jeśli patrzysz na to od tej strony... podobało mi się i nadal podoba – kontynuował Nikslaus. – Ale nie z takich powodów, o jakich myślisz. To nic osobistego. Prochowi magowie są skazą. Czarną plamą na magii. Nie rozkoszuję się cudzym cierpieniem. Jestem dumny, widząc powalonego prochowego maga, tak jak byłem dumny, gdy Ipille skazał twoją żonę na śmierć.

– A to sprawia, że jesteś bestią – skwitował Tamas. Zerknął w bok, na Stróża. – Nie mniejszą bestią od tych, którzy stworzyli to coś.

Nikslaus zmrużył powieki.

– I to mówi prochowy mag. Wasz rodzaj jest znacznie potworniejszy od Stróżów. Tamasie, nigdy nie pojmowałem umysłów takich jak twój. Jak sądzę, obaj mamy swoje uprzedzenia. – Parsknął. – Gdybyś urodził się Uprzywilejowanym, byłbyś potężnym sojusznikiem.

– Albo przeciwnikiem – poprawił go Tamas.

– Nie. Nie przeciwnikiem. Nasz wzajemny antagonizm bazuje wyłącznie na tym, że jesteś prochowym magiem.

– Jestem Adrańczykiem – cicho powiedział Tamas. – A ty jesteś Kezaninem.

– Zaś adrańska kamaryla weszłaby w skład kezańskiej, gdyby tylko podpisano Ugody. Tak jak powinno się stać.

– Ipille naprawdę spodziewa się, że będzie rządził Adro?

– Oczywiście. – Nikslaus uśmiechnął się do Tamasa.

Tamas dostrzegł w oczach Nikslausa, że Uprzywilejowany nie miał co do tego wątpliwości. Cóż za arogancja!

– Zastanawiałem się – zaczął Nikslaus – od kiedy tylko przyszły wieści o twoim przewrocie, co ostatecznie do niego doprowadziło? Zwykła chęć

zemsty? Czy naprawdę myślisz, że działasz w najlepszym interesie Adro?

– Czy ty NAPRAWDĘ uważasz, że w najlepszym interesie Adro jest podporządkować się Kezowi? – zapytał w odpowiedzi Tamas. – Nie, nie odpowiadaj. Widzę to po twojej twarzy. Jesteś tak samo zaślepiony, jako szlachcic i królewski sługus, jak każdy z tych, których posłałem na gilotynę. Nie czytasz gazet? Nie wiesz o powstaniach w Gurli? Wiem, że poczuliście żądło rebelii, kiedy Fatrasta zbuntowała się i wypędziła wasze armie.

– Głupcy, wszyscy co do jednego – odparł Nikslaus.

– Świat się zmienia – obstawał przy swoim Tamas. – Lud nie istnieje po to, aby służyć swoim rządzącym albo swoim królom. Rząd jest po to, by służyć ludowi, a zatem lud powinien mieć w tym rządzie coś do powiedzenia.

– Niemożliwe – oznajmił Nikslaus. – Decyzji nie powinno się pozostawiać motłochowi.

– Jeden lud nie może rządzić drugim – powiedział Tamas.

Diuk złączył wyprostowane palce. Ten gest często miał znaczenie u Uprzywilejowanych, zwłaszcza kiedy nosili rękawice.

– Albo ze mną igrasz, albo jesteś naiwnym głupcem. Służyłeś w Gurli, w Fatraście i w jeszcze kilku dzikich krajach, gdzie mieszkańcy Dziewięciu zdobyli ziemię. Podobnie jak ja. Pospólstwo i dzikusów należy poskromić. Tak jak Adro i prochowych magów.

– Ty i ja wyciągnęliśmy ze swoich doświadczeń różne wnioski – stwierdził Tamas.

Z miny Nikslausa wynikało niezbicie, że nie jest zainteresowany wnioskami rozmówcy.

– Kto mnie zdradził? – zapytał marszałek. Też chciał poznać kilka odpowiedzi, zupełnie jak diuk.

– Sądzisz, że zaryzykuję i ci powiem? – Nikslaus potrząsnął głową. – Nie. Może kiedy ostrze gilotyny będzie miało już opaść, wtedy szepnę ci do ucha. Ani chwili wcześniej.

Tamas otworzył usta, już miał dogryźć Nikslausowi, wyjawiając, że wie, iż zdrajcą jest brygadier Barat. Jednak się powstrzymał. Naprawdę diuk obawiał się, że jego jeniec może uciec? Że Tamas ma jakąś szansę? Kulawy, pozbawiony swojej mocy? Jak miałby zbiec?

Nikslaus poprawił się na siedzeniu powozu. Odsunął kotarę na tyle, żeby wyjrzeć na zewnątrz, potem opadł na oparcie ze zirytowaną miną.

– Czyżby nas śledzono? – zapytał Tamas tonem tak obojętnym, jak tylko zdołał.

– Wiesz – Nikslaus zignorował pytanie i znów wyjrzał przez okno – na dworze królewskim wielu cieszy się z twojego przewrotu.

– Z pewnością – odparł Tamas. – Jeśli zajmiecie Adro, to rozdzielicie między siebie ziemię, którą skonfiskowaliśmy szlachcie.

– Skonfiskowaliście? – powtórzył Nikslaus. – Ukradliście. Ziemia i własność zostaną zwrócone wszystkim żyjącym krewnym szlachciców. Zostaną przywrócone tytuły. Zostaną na was nałożone podatki, jednak do przetrzebionej szlachty trzeba wyciągnąć braterską dłoń.

– Czyli Ipille nie jest aż tak wielkim głupcem, jak sądziłem – ocenił Tamas. – I nie jest aż taki chciwy.

Nikslaus przez chwilę sprawiał wrażenie, że uderzy więźnia. Najwyraźniej jednak uznał, że lepiej tego nie robić, więc tylko dumnie uniósł głowę.

– Jaki błąd przy rozmnażaniu sprawił, że tak bardzo nie szanujesz lepszych od siebie? Gardzisz królem wybranym przez boga?

– Ipille’a nie wybrał żaden bóg – parsknął Tamas. – Chyba że wyjątkowo głupi bóg.

– Nie będę tolerował bluźnierstwa. Rozmowa skończona.

Mijał dzień, poranek ustępował popołudniu, a w powozie zrobiło się bardzo ciepło. Tamas poluzował kołnierz przepoconej jeździeckiej koszuli. Z myśliwskiej kurtki przebrano go w zwyczajny brązowy surdut. Marzył o tym, by Nikslaus otworzył okno. W powozie było niewygodnie i duszno, Uprzywilejowany i Stróż jednak zdawali się tego nie odczuwać.

Tamas wiedział, kiedy przekraczali kanał. Most z kamienia i stali rozpięty był na wysokich, szerokich przęsłach, zaś koła powozu toczyły się po nim z łatwością. Zbliżali się do zatoki. Czuł jej zapach.

Nikslaus nadal co rusz wyglądał przez okno. Tamas bardzo chciałby się dowiedzieć, co diuk wyczuwał swymi zmysłami czarodzieja. Czyżby Sabon był już na ich tropie? A może Nikslaus zwyczajnie denerwował się bliskością miejskiego garnizonu? Tamas odetchnął głęboko i przyjrzał się przeciwnikowi. Niepokoił się? Owszem. Bliski paniki? Nie, ani trochę. A diuk z pewnością by panikował, mając prochowych magów na karku.

Tamas nasłuchiwał odgłosów z ulicy, starając się odgadnąć, dokąd teraz zmierzają. Gdzieś niedaleko doków i kanału. Jeśli jechali mostem Deresza, rzeczywiście zbliżali się do celu. Mogli wziąć szmuglerską łódź z któregoś z magazynów przy nadbrzeżu. Nikslaus nie czekałby na coś godnego diuka. Chciał oddalić się wraz z łupem najszybciej jak tylko się da.

Powóz się zatrzymał. Nikslaus odsunął zasłonę i się uśmiechnął. Tamasowi zamarło serce. Dotarli na miejsce.

Marszałek nie wiedział, co bardziej go zaskoczyło: eksplozja czy kwik koni, jaki po niej nastąpił. Powóz zadygotał, szarpiąc skutym więźniem. Tamas zacisnął zęby, by nie krzyczeć, gdy uderzył poranioną nogą o ścianę pojazdu.

Nikslaus otworzył drzwi kopniakiem.

– Zabić go, jeśli mnie dostaną – rozkazał Stróżowi i wyskoczył z powozu. Echo czarów wstrząsnęło powozem mocniej niż eksplozja.

Tamas i Stróż popatrzyli po sobie nawzajem. Strażnik zasiadł na miejscu Nikslausa i wyciągnął nóż.

Nastąpiły kolejne eksplozje. Rozległy się krzyki. Tamas usłyszał głosy kobiet i dzieci. Poczuł się chory. Tam umierali ludzie, przypadkowi przechodnie, w trakcie weekendowego spaceru złapani w krzyżowy ogień zrodzony w otchłani. Zagrzmiała karabinowa salwa, a po niej rozległy się ciche trzaski, kiedy Stróże odpowiedzieli ogniem ze strzelb powietrznych. Jakaś kula stłukła okno, wybijając dziurę w drugiej ścianie powozu,

przelatując dokładnie między Tamasem a Stróżem. Potwór tylko nieco szerzej otworzył oczy.

– Oczyścić drogę! – Tamas usłyszał wrzask, najpewniej woźnicy. – Przedrzemy się!

Marszałek zazgrzytał zębami. Chciał teraz uderzyć, sięgnąć i wyrwać Stróżowi nóż z dłoni. Bez prochu by przegrał, ale przynajmniej coś by zrobił. Ze skutymi rękami i nogami, bez swojej magii, mógł jedynie siedzieć i słuchać.

Nagle ruszyli. Cokolwiek blokowało drogę – przypuszczalnie płonący powóz pełen Stróżów – teraz zniknęło. Woźnica smagał konie biczem. Pędziły dziko ulicą przy wtórze wrzasków. Strzały karabinów i czary zostały gdzieś za nimi. Powóz dygotał cały. Stróż zaparł się rękoma o ściany i nawet się nie skrzywił. Tamas miał skute ręce, więc rzucało nim we wszystkie strony. Mógł tylko słuchać własnego skowytu za każdym razem, gdy szarpało poranioną nogą.

Stróż wyjrzał przez okno.

– Prawie na miejscu – oznajmił.

Wyjął jakiś klucz i pomimo gwałtownych wstrząsów powozu zdołał rozpiąć łańcuchy Tamasa. Zostawił okowy na przegubach oraz nodze.

– Będziesz sprawiał kłopoty, to po tobie – powiedział po adrańsku z mocnym akcentem, podkreślając słowa machnięciem ostrza.

Powóz się zatrzymał. Woźnica zeskoczył z kozła i szarpnięciem otworzył drzwiczki. Stróż odwrócił się, aby wysiąść, i zamarł.

Po ledwie ułamku sekundy odwrócił się z powrotem do Tamasa z nożem w dłoni. Marszałek przechwycił pchnięcie między nadgarstki i używając swoich kajdanek jako dźwigni, wyrwał napastnikowi ostrze. Padł na siedzenie, niemal sparaliżowany wysiłkiem. Światła pływały mu przed oczyma, w uszach dzwoniło. Nawet ból nogi stał się odległy i przyćmiony.

Powrót do pozycji siedzącej trwał dobrą chwilę. Każdy cal stanowił wieczność pełną cierpienia. Noga wręcz krzyczała. Czuł krew spływającą z boku twarzy. Czyli jednak nie zdołał całkiem uniknąć noża. Tamas

przywarł do ściany powozu, nozdrza wypełniał mu zapach prochowego dymu.

Stróż zniknął. W ścianie naprzeciwko wejścia ziała za to dziura podobnych rozmiarów. Ciało leżało na ziemi, na zewnątrz, z jedną nogą ciągle wewnątrz pojazdu, zaczepioną o jakiś kawał drewna.

Tamas spojrzał w dół, na Olema, odkładającego rusznicę na ziemię. Ordynans podniósł wzrok na marszałka. W oczach miał tylko ulgę.

– To znaczy, że porwałem właściwy powóz – powiedział.

Pomógł Tamasowi wysiąść. Znaleźli się w alei między dwoma ceglanymi budynkami. Mocny zapach morza i szum fal zdradzały bliskość wody. W ciągu kilku chwil uliczka zapełniła się adrańskimi żołnierzami. Któryś chciał podeprzeć Tamasa, jednak Olem zbył go machnięciem dłoni.

– Gdzie jest Sabon? – zapytał marszałek.

– Ściga Uprzywilejowanego razem z Vlorą – odparł Olem. W jego głosie słychać było zmęczenie. Czy w ogóle mógł być zmęczony? – Sukinsyn zwiał, kiedy tylko zobaczył, ilu nas tu jest.

Tamas szeroko otworzył oczy, widząc, że na alejkę wchodzi jeszcze więcej wojska. Na sąsiednich też było pełno żołnierzy.

– Przyprowadziłeś cały garnizon?

– Tylu, ilu było w okolicy – potwierdził Olem.

– Jakżeś mnie, do otchłani, znalazł?!

Olem uśmiechnął się w odpowiedzi. Spojrzał w dół i Tamas po raz pierwszy dostrzegł psa siedzącego mu u stóp, patrzącego nań ślepiami jak dwa spodki. Machał ogonem. Marszałkowi wręcz odebrało mowę. Mimo bólu schylił się i pogłaskał Hruscha po głowie.

– To niemożliwe – wykrztusił po chwili.

– Sabon wytresował Hruscha tak, żeby znalazł pana niezależnie od okoliczności. Tresował go od urodzenia, od cholernego szczeniaka. Pomagała mu stara wiejska wiedźma. Zdolna, potrafiąca tresować zwierzaki. Hrusch wyłapałby pana zapach wszędzie, nawet gdyby zamknięto pana w skrzyni na dnie morza.

– Nie wiedziałem – zdziwił się Tamas.

– To był nasz mały sekret. Plan awaryjny – oznajmił Olem. – Wolałbym, żebyśmy nigdy nie musieli z niego korzystać.

Tamas poczuł, jak dwa dni strachu, wściekłości i oczekiwania topnieją pod spojrzeniem Olema. Adiutant patrzył na niego niczym rodzic na zagubione dziecko. W jego oczach złość ścierała się z ulgą. Żołnierze tłoczyli się wokół, pełni niepokoju i troski. Tamas uśmiechnął się do nich wszystkich z wdzięcznością. I zemdlał.

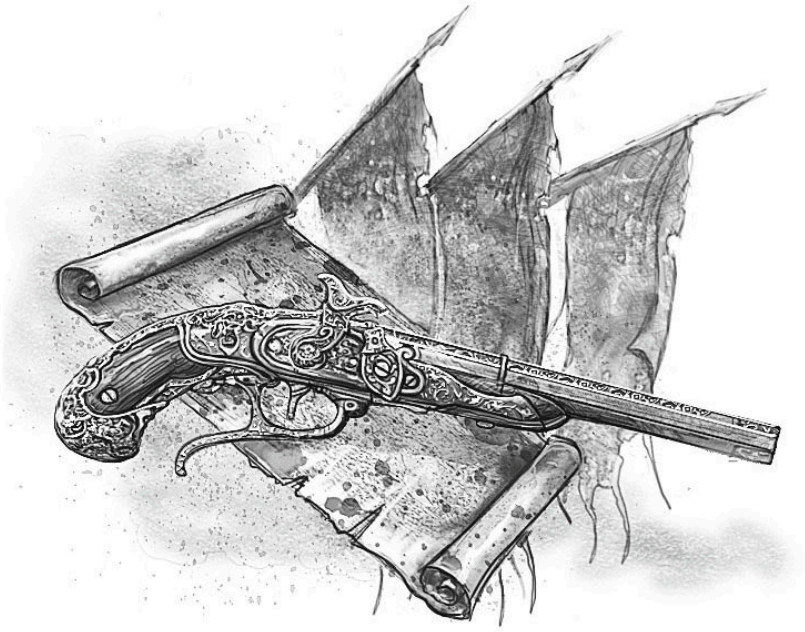

27
ROZDZIAŁ

Biuro na najwyższym piętrze Domu Szlachty wydawało się teraz Tamasowi znajome od lat, chociaż zajmował je ledwie od kilku miesięcy. Było niczym dom. Przesunął palcami po plecionych chwostach na krawędzi sofy. Dłonie mu zadrżały, ciężko wsparł się na kuli. W pokoju pachniało cytrynami. Zastanowił się, czy ten zapach unosił się tu zawsze.

Olem obserwował marszałka od drzwi. Zdolny czy nie, nawet Olem potrzebował czasem odpoczynku. Teraz mrugał raz po raz jak ktoś, kto marzy, by na chwilę zamknąć oczy, pod którymi widniały fioletowe kręgi. Jego broda, zazwyczaj schludnie przycięta, teraz była w nieładzie, włosy

miał rozczochrane. W zwyczajny dzień Tamas zganiłby go za brak dyscypliny.

Jednak to nie był zwyczajny dzień.

Powinienem mu kazać odpocząć. Ale co zwykł mi mówić ojciec? „Odpoczniesz po śmierci”.

– Tak, sir – odezwał się Olem.

Tamas zerknął na niego.

– Hmm?

– Powiedziałeś: „Odpoczniesz po śmierci”, panie – wyjaśnił Olem.

– Wyglądasz, jakbyś umarł.

– Również nie wyglądasz za dobrze, panie. – Olem zmusił się do uśmiechu. Tamas dostrzegł troskę w spojrzeniu adiutanta. – Panie, powinieneś odpocząć. Prawie cię zabiło wejście po tych wszystkich schodach.

Olem upierał się pomagać Tamasowi przy każdym kroku, czasem prawie go niósł.

– Nie potrzebuję pielęgniarki – burknął marszałek. – Jest robota do zrobienia. – Pokuśtykał w stronę swojego biurka, jednak w połowie drogi o mało nie upadł. Olem w jednej chwili znalazł się u jego boku i ujął pod łokieć.

– Niech pan usiądzie – polecił, prowadząc marszałka w stronę sofy. – Doktor Petrik będzie tu za chwilę.

– Ech – mruknął marszałek. Wskazał adiutantowi krzesło. – Usiądź.

– Myślę, że postoję, panie.

– Jak wolisz. – Tamas jeszcze nie mógł pozwolić Olemowi na odpoczynek. Nie mógł sobie samemu pozwolić na odpoczynek. – Muszę wiedzieć, co działo się pod moją nieobecność. Ile osób wie o moim porwaniu?

– Wieści rozchodzą się szybko – powiedział Olem. – Obawiam się jednak, że głowę zaprzątały mi inne sprawy. Posłałem po Sabona od razu, kiedy wróciliśmy z gonitwy, i zabrałem Hruscha. Charlemund zrobił wszystko, co w jego mocy, aby wyciszyć sprawę. Nie byłbym jednak

zdziwiony, gdyby jego kapłanki coś wygadały. Wiem, że brygadier Sabastenien niczego nie powiedział.

– Czyli wszystkim udało się bezpiecznie oddalić od Nikslausa?

Olem przytaknął.

– Prawie zawróciłem, kiedy usłyszałem odgłosy czarów, panie. – Unikał patrzenia Tamasowi w oczy. – Jeśli zechcesz odebrać mi za to szlify...

– Cicho siedź – zbeształ go Tamas. – Nie zabiorę ci szlifów.

– Wydałeś mi rozkaz, panie, aby odprowadzić pozostałych na gonitwę.

– Sądzę, że tak zrobiłeś.

– Niezupełnie, panie. Wyrwałem się do przodu, odnalezienie drogi powrotnej zostawiłem innym. Nie potrafiłem czekać.

– Na twoim miejscu też nie wykonałbym tego rozkazu. Nie mogę winić nikogo za jego instynkty. Poza tym uczyniłeś, co do ciebie należało. Nie zawróciłeś. Idź już. – Tamas z wysiłkiem przełknął ślinę. Teraz nie pragnął niczego bardziej, jak położyć głowę i zasnąć, ale wpierw należało się zająć pewnymi sprawami. Zwalczył wyczerpanie, ból oraz zawroty głowy.

– Rozeszły się wieści o zdradzie Ryze’a – powiedział Olem. – Lady Winceslav chce wyjaśnień. Krążą różne plotki.

– Połóż im kres – polecił Tamas.

– Co?! – Olem był zaskoczony.

– To nieprawda. – Tamas wstał z trudem. Ryze był dobrym człowiekiem. Marszałek nie mógł dopuścić, by obwiniano brygadiera.

– Widziałem, jak pana zabierał. – Olem położył dłoń na ramieniu dowódcy i przytrzymał go lekko.

– Znalazłeś ciała, prawda? – zapytał Tamas.

Olem wolno pokręcił głową.

– Krew tak, ale żadnych ciał.

– Ta magia, którą słyszałeś, odchodząc. To nie ja próbowałem się uwolnić. To ludzie Ryze’a powstrzymywali diuka Nikslausa, tak żeby brygadier zdołał mnie ostrzec. Ryze został usmażony żywcem.

– Jest pan pewien...?

– A idźże do otchłani! – zirytował się Tamas. – Nie traktuj mnie protekcjonalnie. Nie oszalałem w przeciągu jednego popołudnia.

– Skoro Ryze chciał pana ostrzec, to dlaczego robił sobie tyle kłopotu? – zapytał Olem. – Mógł po prostu wysłać panu notkę albo zjawić się osobiście.

Tamas potarł skronie.

– Nie pamiętam. Pamiętam, że się bał. Był zły. Barat miał coś na niego, coś, co kazało mu milczeć.

– Brygadier Barat? Naprawdę mocno pan się uderzył w głowę, sądząc po tym, jak wygląda guz. – Olem uśmiechnął się słabo.

– Nie bądź głupcem.

Tamas z trudem usiłował znowu się podnieść. Noga płonęła, spłynął gorącym potem. Poddał się.

– Wyślij umyślnego do lady Winceslav. Przekaż jej, że Ryze jest niewinny wszelkich zarzucanych mu czynów... – Zamilkł. – Sprowadź mi brygadierów Barata i Sabasteniena.

– Poślę kogoś. – Olem ruszył do drzwi.

– Nie – stęknął Tamas. – Sprowadź ich osobiście. Nie chcę, aby któryś mi się wymknął. Weź ze sobą oddział. I tak po namyśle, jednak nie mów nikomu o Ryzie.

– Ale jeśli jest niewinny...

Tamas zamknął oczy. Będzie potrzebował sił na to, co go teraz czekało.

– Załatwię to później. Odmaszerować.

– Tak jest, sir.

Gdy tylko Olem wyszedł, marszałek jęknął z bólu. Noga mu zesztywniała w ciągu zaledwie kilku chwil. Kiedy ból jej nie szarpał wściekle, to pulsował nieustannie, rozdzierając od środka, jeśli Tamas spróbował poruszyć kończyną. Marszałek wolał już pulsowanie. Przegarnął palcami rozczochrane włosy.

Zmusił się do myślenia. Dlaczego Ryze udał, że go porywa, tylko dlatego, by powiedzieć o Baracie? W tym momencie Tamas chciał mieć ten dar co Adamat.

Jego syn!

– Olem! – krzyknął. Odczekał kilka chwil. Olem nie wracał. Krzyknął jeszcze raz. Jakiś strażnik wetknął głowę przez drzwi.

– Co się dzieje, sir?

– Kema, czy Olem już odszedł?

– Wyszedł z minutę temu. Wyglądał jak ktoś, kto zamierza wysłać kogoś na samo dno otchłani.

– Podaj mi pióro i papier.

Kema wziął z biurka Tamasa papeterię oraz wieczne pióro. Tamas szybko nakreślił notatkę.

– Znajdź Olema. Powiedz mu, że ma to zrobić, zanim weźmie się za inne sprawy.

– Tak jest.

Po chwili marszałek znów został sam. Noga pulsowała cierpieniem. Szczypta czarnego prochu i już nie będzie czuł bólu... gdyby tylko mógł użyć czarnego prochu. Jednak nie był w stanie wejść w prochowy trans ze złotą gwiazdą w nodze.

– Gdzie jest ten Petrik, do cholery?

– Tutaj. – Doktor cicho zamknął za sobą drzwi. W jednej ręce miał torbę lekarską, w drugiej płaszcz. Przyglądał się Tamasowi zza okularów. – Oderwano mnie od całkiem niezłej partii brydża – oznajmił.

Wydawał się zirytowany, ale też i zwykle tak wyglądał. Stracił posadę publiczną, prywatnie też nie szło mu najlepiej, z powodu całkowitego braku delikatności i taktu względem pacjentów. Brak manier nadrabiał jednak zdecydowaniem oraz umiejętnościami.

– Proszę o wybaczenie – powiedział Tamas. – Najwyżej jeszcze trochę pocierpię, jeśli ma pan ochotę do niej wrócić.

Doktor Petrik zatrzymał się. Wzruszył ramionami, po czym odwrócił w stronę drzwi.

– Czy ty nie wyczuwasz sarkazmu, ty stary sukinsynu?

Zirytowany Petrik rzucił Tamasowi przeciągłe spojrzenie i podszedł do sofy. Dreptał jak człowiek ważący dwadzieścia pięć kamieni, chociaż był

chudy niczym szczapa. Usiadł obok marszałka i zdjął okulary. Używając monokla, przyjrzał się twarzy oraz głowie Tamasa.

– Parę drobnych zadrapań – ocenił. – Nic, czym trzeba by się martwić. Wygląda na to, że miał pan wstrząs mózgu. – Pstryknął palcami przed twarzą Tamasa, zaglądając w każde z oczu. – Nic panu nie jest.

Chwycił zranioną nogę marszałka i nie bawiąc się w delikatność, dźwignął na swoje kolano. Zdjął lniane opatrunki, przyjrzał się uważnie.

– Już pana oglądał lekarz – stwierdził ze złością.

– Tak – przyznał Tamas. – Moi porywacze mieli medyka. Poskładał mi nogę.

– Jak to wyglądało wcześniej?

– Nie wiem. Cały czas byłem nieprzytomny.

– Na szczęście. Wygląda na to, że rozszarpało panu całą nogę. W każdym razie ktokolwiek to był, zrobił dobrą robotę – stwierdził niechętnie Petrik.

– Chcę, żeby pan ją ponownie otworzył.

Doktor zamrugał zaskoczony.

– Słucham?!

– Moją nogę. Ma pan ją ponownie rozciąć.

Petrik delikatnie odłożył kończynę.

– Uderzył się pan w głowę mocniej, niż sądziłem.

Czyżby w głosie lekarza pojawił się zatroskany ton? Niemożliwe. Tamasowi na pewno tylko się wydawało.

– Ten chirurg, zanim zamknął ranę, wprowadził do niej kawałek złota. – Marszałek przełknął ślinę, bo nawet od mówienia o tym robiło mu się słabo. – Nie mogę używać magii.

Doktor Petrik ponownie włożył okulary. Zdjął je, potem założył raz jeszcze. Podparł brodę pięścią, ponuro spojrzał na nogę.

– Oszalał pan – powiedział. – Nie zrobię tego. Jeśli pan to w niej zostawi, utworzy się cysta. To odetnie złoto od krwiobiegu i będzie pan znowu mógł używać swoich mocy.

– Niech pan to zrobi – odparł Tamas. – To rozkaz.

– Pan myśli, że to coś da? Jeśli szok pana nie zabije, to straci pan nogę. Co też może pana zabić. Pan nie myśli jasno.

– Nikslaus powiedział, że ten kawałek jest w kształcie gwiazdy. Za każdym razem, kiedy się ruszam, rozdziera mi tkankę, i złoto ma ponownie kontakt z krwią. Czuję, jak mi rżnie nogę od środka.

Petrik zawahał się.

– Doceniam pana troskę – powiedział Tamas.

– Troskę? – zdziwił się Petrik. – Owszem, troskę o mnie samego. Pan wie, co pańscy podwładni mi zrobią, jeśli pan przy tym umrze? Jak tutaj szedłem, widziałem Olema. Nie jestem idiotą. Pan go odesłał, żeby nie mógł protestować, a z kolei Sabon jeszcze nie wrócił. Oni mnie rozerwą na kawałki.

– Kto pana rozerwie na kawałki?

Sabon stał w drzwiach i rozpinał surdut. Pokryty plamami prochu, błota, ze śladami osmaleń na ubraniu Delivijczyk wyglądał, jak gdyby wyszedł prosto z kopalni węgla. Zawiesił ubranie na kołku w kącie. Przez jego policzek biegła pojedyncza szrama, krew zdążyła już na niej zaschnąć.

– Złapałeś go? – zapytał Tamas.

Sabon pokręcił głową.

– Przykro mi.

Tamas przełknął słowa ostrej krytyki. Cholera.

– Jak się wydostał?

– Miał dobrze przygotowaną drogę ucieczki – odparł Sabon. – Do magazynu z fałszywą podłogą, a potem w dół, do kanałów. Nasi ludzie przeczesują wyjścia z kanałów, ale zdziwię się, jeśli go znajdą. Vlora wciąż go tropi, jednak diuk może pojawić się teraz gdziekolwiek w Adopeście. Tak jak gdyby się spodziewał, że go dopadniemy. – Sabon mruknął z odrazą. Podszedł bliżej i przyjrzał nodze Tamasa. – Bywało już z tobą lepiej – stwierdził.

– Racja, bywało.

– Czy straci nogę? – zapytał Petrika.

Doktor zignorował ostrzegawcze spojrzenie Tamasa.

– Może – powiedział – jeśli ją rozetnę tak, jak sobie tego życzy.

– Dlaczego? – Sabon spojrzał na Tamasa, oczekując wyjaśnień.

Marszałek nabrał powietrza.

– Medyk Nikslausa naprawił mi nogę. Zanim to zrobił, przy kości umieścił okruch złota. Ma kształt gwiazdy, żeby nie zrobiła się cysta.

Sabon szeroko otworzył oczy.

– Co za bestia! – warknął. – Obetnę mu ręce, jak go złapię!

Tamas nie mógł się nie zgodzić.

– Jeśli w ogóle go złapiemy – przypomniał przyjacielowi. – Petrik, domagam się operacji.

Doktor spojrzał przeciągle na Sabona.

– Nie – powiedział Sabon. – Jeśli umrzesz, to zagrozi przebiegowi całej kampanii.

Kampanii. Tamas prawie się uśmiechnął. Sabon nigdy by się nie przyznał, że się martwi.

– Dopiero co cię odzyskaliśmy – Delivijczyk obstawał przy swoim.

– Nie dam rady bez magii – uświadomił go Tamas. – Petrik, czym ryzykuję, zostawiając to coś w nodze?

Stary doktor zmarszczył brwi.

– Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, będzie pan nieustannie cierpiał. Nie będzie pan spał, a wyczerpanie powstrzyma ciało od naturalnego leczenia się. – Nie wyglądał na zadowolonego. – Powinniśmy to usunąć.

Sabon spojrzał na Tamasa i na doktora, potem pociągnął nosem.

– Powodzenia – powiedział, wychodząc z pokoju.

– Chciał się pan ze mną widzieć? – Adamat przestępował z nogi na nogę, przyglądając się rzędowi instrumentów chirurgicznych, rozłożonych obok Tamasa. Operacje zawsze go stresowały. Zbyt wiele rzeczy mogło pójść nie tak, wręcz odnosiło się wrażenie, że lekarze wynajdują co roku coraz to

nowsze i boleśniejsze sposoby zabijania pod przykrywką uprawiania medycyny. Było to całkowicie bezpodstawne przekonanie i Adamat to wiedział. Statystyki wykazywały coś wręcz przeciwnego. Starożytna praktyka upuszczania krwi coraz bardziej traciła na popularności, zaś wśród medyków zaczęły rozprzestrzeniać się nowe idee dotyczące sterylizacji narzędzi. Poziom przeżywalności był obecnie najwyższy od Ery Kresimira.

Marszałek polny siedział na krawędzi stołu operacyjnego, w sali zabiegowej zaimprowizowanej w bocznej izbie Domu Szlachty. Miał na sobie tylko ręcznik owinięty wokół bioder, zaś Adamata zdumiała liczba starych blizn krzyżujących się na jego piersi. Niektóre były śladami szabli, inne wyglądały na rany po nożu, a trzy różowe, wyblakłe, jak ślady po kulach. Na głowie miał guza, widocznego nawet spod siwiejących włosów, zaś prawą nogę czerwoną i nabrzmiałą. Z boku jakiś lekarz w białym kitlu studiował swoje instrumenty.

A jednak Tamas żył, chociaż pokiereszowany. Redaktorzy kolumn plotkarskich wręcz zabiliby za informację o tym, co się wczoraj wydarzyło na ulicy Palo, i o tym, gdzie marszałek spędził minione dwa dni. Adamat postanowił o nic nie pytać.

– Znalazł pan zdrajcę? – spytał marszałek.

– Nie, panie.

– Dlaczego?

– Nie szukam wymówek, ale wykonuję pracę dwudziestu osób.

– Płacimy panu dobrze, nieprawdaż?

– Nie tak do końca, a pieniądze i tak w żaden sposób nie przyspieszą mojej pracy. Muszę przeprowadzić przesłuchania, badania i bardzo dużo podróżować.

– Nie tak do końca?

– Sprawdzam teraz podskarbiego. Nie zamierzam najpierw go przesłuchać, a następnie poprosić o czek.

Tamas parsknął.

– Olemie, zajmij się kwestiami płatności dla tego zacnego detektywa.

Strażnik w kącie przerwał dreptaninę, aby pospiesznie skinąć głową.

– Z pewnością ma pan jakieś podejrzenia?

– Jak zawsze – przyznał Adamat. – Jednak żadnych twardych dowodów.

– Mam tutaj list. – Tamas wskazał na swoje biurko. – Od mojego syna Taniela. Przebywa teraz w Fortecy Wierchowieńca, wraz ze Strażą Górską walczy z armią Kezu. Wygląda na to, że on i Uprzywilejowany Borbador zgadzają się, iż pewna potężna czarodziejka przeszła na stronę Kezu i stara się teraz przeprowadzić kezańską kamarylę poprzez fortecę, na sam szczyt góry, do Kresimskiej Kurgi, i tam wezwać Kresimira.

Adamat poczuł, że ma usta otwarte niemądrze ze zdziwienia.

– To jakiś absurd!

– Owszem – zgodził się Tamas. – Ludzie walczący w oblężeniu często tracą perspektywę. Co więcej, z moim synem nie jest ostatnio dobrze. – Marszałek nie zagłębiał się w temat. – Chociaż jestem zmuszony przygotować się na każdą ewentualność. Kez mógł opracować jakąś nową broń albo... – Zerknął przez okno i skrzywił się. – Ta cała sprawa z Obietnicą Kresimira... Czy w trakcie swojego śledztwa znalazł pan coś jeszcze na ten temat? Coś wskazującego na to, że Kresimir mógłby zostać przyzwany albo że w jakiś sposób próbowałby pomścić śmierć króla?

– Nie – odparł Adamat. – I tak jak panu mówiłem, moje śledztwo niczego nie wykazało. Z ksiąg zostały zupełnie usunięte całe ustępy, usunięte przez kogoś, kto nie chciał, aby znano te informacje. – Już sam ten fakt martwił detektywa od samego początku. Jednak nie zamierzał teraz spekulować. – Moja wiedza na temat Obietnicy Kresimira pochodzi jedynie od Uprzywilejowanego Borbadora.

– To niezbyt fortunne. – Tamas dotknął dłonią czoła i lekko się zachwiał. Nie było z nim dobrze. – Waham się, czy nie złożyć tego na karb histerii, jednak muszę przygotować się na to, że jest w tym gadaniu jakaś prawda. Ha! Przyzywanie bogów! Kto myśli o takich rzeczach? Wysłałem do Wierchowieńca Czwartą Brygadę. – Machnął dłonią. – Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam panu w śledztwie, inspektorze. Jednak chciałbym panu coś jeszcze powiedzieć, zanim pan wróci do swoich obowiązków.

– Tak?

– Jeśli nie przetrwam operacji albo moja rekonwalescencja przebiegnie niepomyślnie, chcę, żeby pan kontynuował swoje śledztwo.

Adamata przeszył dreszcz strachu.

– Z całym szacunkiem, sir, ale w takim wypadku w ciągu kilku godzin skończę martwy w rowie. Podejrzewam, że tylko lęk przed wzbudzeniem podejrzeń sprawia, że nie padłem jeszcze ofiarą zabójców. A dokładniej, lęk przed panem.

– Otrzyma pan ochronę – zapewnił go Tamas. – Jeśli umrę, sprawiedliwość wymierzy nie sąd, lecz zimna stal. Podejrzewam, że Siódma Brygada wesprze pana z ochotą.

Czyli Tamas spodziewał się, że może teraz umrzeć. Lęk Adamata przybrał na sile. W razie śmierci marszałka wszystko się rozpadnie, zwłaszcza w obecnej sytuacji. Armia przejdzie pod rozkazy pozostałych członków rady, każdy zacznie ciągnąć do siebie. Kraj pogrąży się w chaosie. Nie będzie zwycięzców. Ale jeżeli Tamas przeżyje, Adamat będzie dalej go zdradzał, mówiąc o wszystkim lordowi Vetasowi. Gdzież podziała się jego uczciwość? Po raz setny zastanowił się, jakie ryzyko niosło za sobą wyjawienie wszystkiego marszałkowi i poproszenie go o pomoc. Nie, uznał ponownie. Bezpieczeństwo jego rodziny było ważniejsze od uczciwości czy honoru.

Rozmyślania Adamata przerwało zjawienie się wysokiego, tęgiego mężczyzny o długich, czarnych włosach zebranych w kitę. Zachowywał się niczym król, chociaż nosił fartuch oraz czapę kucharza. Nad głową dźwigał srebrną tacę, a z jego kitla zwisała chochla tak duża, że można by nią wyłowić mózg z głowy.

Tamas przyjrzał mu się z cieniem nieufności w oczach.

– Mihali?

– Marszałku polny – odpowiedział nowo przybyły – przyniosłem bulion, którego powinien się pan napić przed operacją. To pomoże panu wrócić do zdrowia. Jak mniemam.

Doktor rzucił kucharzowi wrogie spojrzenie.

– Żadnego jedzenia ani picia – zarządził.

– Nalegam! – Mihali podsunął tacę w stronę Tamasa.

– Absolutnie nie. Jedzenie albo picie może wywołać komplikacje podczas operacji, ja...

Tamas zbył lekarza machnięciem ręki.

– Sądzę, że dam radę. Pan mi nawet nie podaje eteru.

Adamat miał już wymknąć się z pokoju, pozostawiając Tamasa z jego bulionem i operacją, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie. Detektyw natychmiast rozpoznał arcybiskupa. Charlemund był człowiekiem o przerażającej reputacji i rzadko odprawiał publiczne ceremonie. Nie cieszył się zbytnią popularnością wśród niższych warstw społeczeństwa, jak i pozostali arcybiskupi.

– Tamasie – zahuczał Charlemund od progu – rad jestem, widząc cię żywego i bezpiecznego, ale nie przychodzę prywatnie. Moi ludzie twierdzą, że twoi żołnierze nie chcą wydać tego bluźnierczego kucharza. Wczoraj, kiedy moja straż przyszła po niego, doszło do szamotaniny...

Umilkł i zmarszczył czoło, kiedy zauważył Mihalego, Adamata oraz pozostałych.

– Z pewnością Mihali nie jest osobą wielkiej wagi – stwierdził Tamas.

– Gdyby chodziło o mnie, zostawiłbym go w twoich rękach. Co mnie obchodzi obłąkany kucharz? Jednak arcybiskupi gorliwsi w wierze ode mnie domagają się jego zaaresztowania. Wywierają na mnie nacisk, Tamasie. Zagrażają neutralności Kościoła.

– Później zadecyduję – odparł marszałek.

– Muszę nalegać, abyś zadecydował już teraz. – Charlemund założył ręce na piersi. Jego spojrzenie spoczęło na Mihalim. – Ty nim jesteś, nieprawdaż? Tym bluźnierczym kucharzem?

Mihali delikatnie odłożył tacę obok Tamasa i odwrócił się w stronę Charlemunda. Wciągnął powietrze, a zarazem swój ogromny kałdun.

– Panie, jestem kuchmistrzem i proszę w ten sposób się do mnie zwracać.

– Kuchmistrz! Ha! – Charlemund odchylił głowę i zaśmiał się. Jego dłoń powędrowała do rękojeści szpady. – Tamasie, aresztuję tego człowieka w imieniu Kościoła.

– Precz.

Słowo wypowiedziano cicho, jednak Adamat odniósł wrażenie, jak gdyby z pokoju wyssano właśnie całe ciepło. Spojrzał na Tamasa, marszałek jednak milczał. Słowo padło z ust kuchmistrza.

– Jak śmiesz! – Charlemund wysunął klingę na długość dłoni.

– Precz! – ryknął Mihali. W jego dłoni pojawiła się chochla. Trzymał ją niczym miecz, wymierzoną prosto w nos Charlemunda. – Nie będę cię tu znosił. Ty fałszywy kapłanie, ty odrażający głupcze! Daj mi tylko pretekst, a cię zmiażdżę!

Twarz Charlemunda wykrzywiła się z wściekłości.

– Cóż to za szaleństwo?! Aresztuję cię w imieniu Kościoła! Nie lękam się twojej chochli, ty bezbożny żarłoku!

Mihali natarł nagle. Arcybiskup odstąpił kilka kroków, wyciągnął szpadę i wyprowadził pchnięcie. Kuchmistrz przechwycił ostrze chochlą, odbił, a potem uderzył z zamachu, posyłając Charlemunda na sofę.

W pokoju zapadła cisza. Olem pospieszył do Charlemunda.

– Czy pan właśnie zabił arcybiskupa? – zapytał oszołomiony Adamat.

– Powinienem był – prychnął Mihali. – Proszę wypić bulion, marszałku – polecił i wyszedł.

– On żyje – oznajmił Olem. – Tylko jest nieprzytomny.

Adamat i Tamas wymienili szybkie spojrzenia. Detektyw zobaczył w oczach marszałka odbicie swojego własnego niedowierzania.

Tamas złapał się za chorą nogę.

– Olemie, dopilnuj, aby arcybiskupa zaniesiono do izby na dole – polecił. – Powiadom innych, że spadł ze schodów. Znajdź świadków. Inspektorze, jestem pewien, że pan to widział.

Adamat wygładził przód marynarki.

– To był bardzo przykry upadek. Przeturlał się przez dwa poziomy schodów, zanim wreszcie zdołaliśmy go złapać.

– Wierzę, że tak w istocie było – powiedział Tamas. – Doktorze, co mógłby pan przepisać Charlemundowi?

Doktor spojrzał na nieprzytomnego arcybiskupa.

– Arszenik?

– A poważnie? Coś, co zapewni mu solidny ból głowy i spory ubytek pamięci.

– Cyjanek.

– Doktorze!

– Znajdę coś – mruknął lekarz.

– Olemie.

Adiutant zatrzymał się. Ująwszy Charlemunda pod pachy, właśnie wyciągał go z pokoju.

– Tak, panie?

– Co to była za szamotanina ze strażami Charlemunda?

– Miałem o tym powiedzieć po operacji.

– Z pewnością miałeś. Co się stało?

– Tylko tyle, panie, że chłopcy nie chcieli oddać Mihalego. Twierdzą, że przynosi im szczęście, nieważne, czy gotuje, czy nie. Nie miałem z tym nic wspólnego. Przynajmniej jakoś tak niezbyt wiele.

– Jak, do otchłani, on przynosi im szczęście? Co takiego robi, że je gwarantuje?

– Napełnia im brzuchy – stwierdził Olem.

– Były jakieś straty w ludziach?

– Mogą być następnym razem. – Przez oblicze adiutanta przemknęła chmura.

– A jeśli wydam bezpośredni rozkaz?

Olem opuścił wzrok.

– Jestem pewien, że ludzie go posłuchają, panie.

Tamas zamknął oczy i potarł powieki.

– Co pan sugeruje, inspektorze?

Adamat drgnął.

– Nie jestem pewien, czy wiem dość o tej sprawie, panie. – Czuł się jak mucha na ścianie. Nie powinien być świadkiem tego, co tu się działo. Ten cały Mihali... Adamat musiałby się czegoś więcej o nim dowiedzieć.

– Niech pan spróbuje – nalegał Tamas.

– Tylko kiepski dowódca poddaje się kaprysom swoich podwładnych – odparł Adamat. – A jeszcze gorszy ignoruje to, czego chcą i potrzebują. Chociaż istnieją pewne okoliczności łagodzące. – Ruchem głowy wskazał arcybiskupa, którego Olem ponownie zaczął ciągnąć po podłodze.

– Olemie.

Adiutant się zatrzymał.

– On już dochodzi do siebie, panie.

– Wolałbym, żeby jeszcze pozostał nieprzytomny.

Rozległ się odgłos, jakby ktoś tłuczkiem uderzył w mięso.

– Zostanie.

Tamas chwycił się za głowę.

– Powiadom wszystkich, że Mihali został wcielony do Siódmej Brygady adrańskiej armii. Wysłać notę do Hassenburu, informującą ich, że mogą tutaj przysłać doktora, który miałby na niego baczenie. Pokryjemy wszelkie wydatki, a Claremonte’owi zostanie oszczędzone wszelkie zamieszanie.

– A Kościół?

Tamas westchnął.

– Mogą wysłać jakiegoś kapłana, żeby z nim porozmawiał, jeśli chcą, żeby go nawrócił czy robił jakieś inne bzdury.

– A więc teraz Mihali jest oficjalnym kucharzem brygady?

– Kuchmistrzem.

– Racja, sir. Dziękuję, sir.

Tamas poczekał, aż żołnierz odejdzie, i wziął się do jedzenia bulionu. Minęło kilka chwil, podczas których jedynym odgłosem było jego pełne satysfakcji mlaskanie. Uniósł wzrok.

– Inspektorze?

– Tak? – Adamat odkrył, że znowu uleciał gdzieś myślami.

– Może pan odejść.

Adamat, wychodząc z komnaty, usłyszał jeszcze, jak Tamas mówi:

– Petrik, bierzmy się do tego.

Detektyw zatrzymał się na korytarzu. Tamas całkiem nieźle sobie ze wszystkim poradził. Marszałek polny nie był człowiekiem, który tolerował głupców kwestionujących jego rozkazy. Nie należało mu wchodzić w drogę. Adamat ponownie zastanowił się, czy powinien powiedzieć Tamasowi o lordzie Vetasie. Jeżeli Tamas sam odkryje zdradę Adamata, detektyw nie będzie miał żadnej szansy uratowania rodziny. Jednak jeśli Adamat spróbuje ją ocalić, nawet z pomocą żołnierzy Tamasa, jego bliscy mogą przy tym zginąć. Ryzyko okazywało się po prostu za duże.

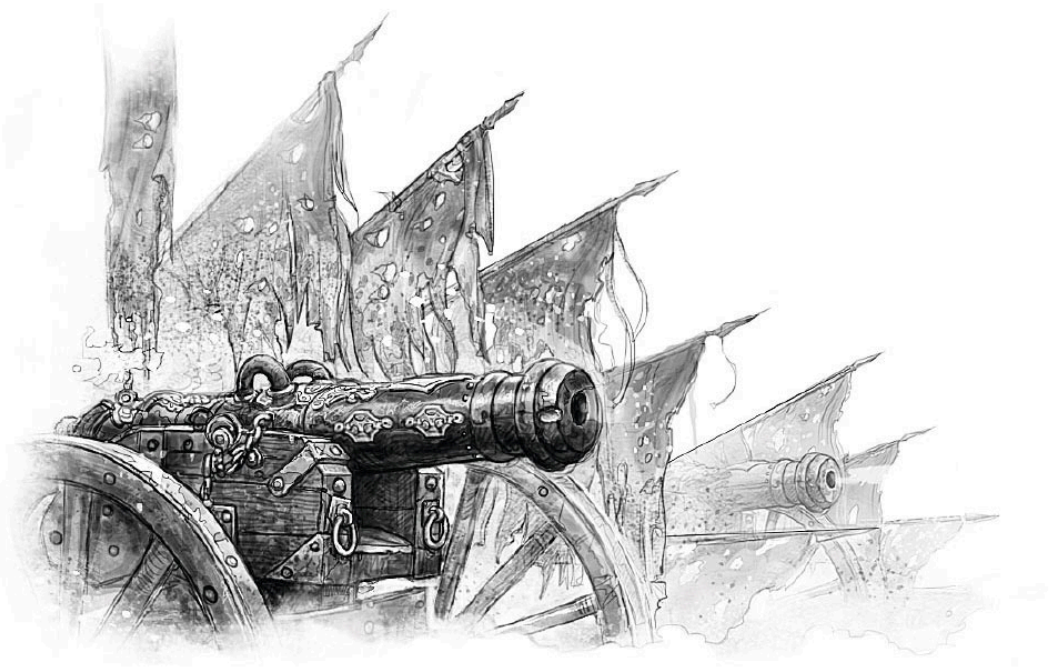

28
ROZDZIAŁ

No podejdź, idioto – zażądał Tamas. – Podeprzyj mnie. Wsadź tutaj poduszkę. – Zatrzymał się i chwycił krawędzi biurka, gdy pokój zawirował wokół niego.

– Sir? – Olem żuł końcówkę papierosa.

– Nic mi nie jest. No, dalej.

Adiutant wetknął poduszkę między plecy Tamasa a krzesło.

– Niżej – nakazał marszałek. – Doskonale. Odwróć trochę krzesło. Chcę wyglądać normalnie.

Tamas wydał jeszcze kilka poleceń, aż w końcu poczuł się zadowolony. Usadowił się za biurkiem, wskazał na drzwi gabinetu. Plecy miał podparte,

aby wydawać się wyższy. Olem odstąpił.

– Czy wyglądam jak inwalida? – zapytał Tamas.

– Nie.

– Zawahałeś się.

– Na trochę poobijanego, sir – uściślił Olem. – Może być.

– Dobrze. – Tamas nie ważył się pochylać do przodu, ani nawet patrzeć w dół. Wymacał szufladę biurka, wydobył patron z prochem. Kciukiem oddarł końcówkę i wysypał sobie proch na język. Zwalczył falę zawrotów głowy, następnie przypływ ciemności, gdy jego świadomość spróbowała uciec przed nagłym wyostrzeniem zmysłów. Smak był siarkowy, gorzki. Tamasowi zdał się boski.

Wyczerpanie stopniało. Ból nogi zmienił się w jednostajne ćmienie gdzieś z tyłu świadomości, zwykłe przypomnienie, że kończyna została rozcięta, ciało rozdarte, kość złożona na nowo. Proch położył kres męce, która powinna temu towarzyszyć.

– Panie, trzy ładunki w ciągu godziny? – W głosie Olema zadźwięczało zatroskanie.

– Zachowaj takie słowa dla kogoś innego – burknął Tamas. – Nie mam czasu, żeby się martwić, że oślepnę od prochu.

Przyznał się jednak sam przed sobą, że rzeczywiście poniosła go euforia prochowego transu. Potrzebował prochu. Niczym spragniony kochanek tęsknił za jego jak najmocniejszym uściskiem. Oznakami uzależnienia zajmie się później. Teraz miał na głowie znacznie ważniejsze sprawy. Chociaż przebywał w transie, i to znacznie głębszym niż zwykle, ledwie był w stanie się ruszać. Jego ciało nadal czuło ból, aż krzyczało o odpoczynek – tylko mózg po prostu nie brał tego pod uwagę.

– Opowiedz mi o brygadierze Sabastenienie – rozkazał Tamas.

– Jest sierotą – zaczął Olem – przyjętą do Skrzydeł Adoma jako syn pułku. Skrzydła Adoma to jego rodzina. Adro jest mu matką, wojsko ojcem.

– Tyle to i ja wiem.

– Pomógł mi cię szukać, panie – powiedział Olem. – Zdrada Ryze’a bardzo go dotknęła.

– Czy wie, że Ryze nie żyje? – zapytał Tamas.

Olem potrząsnął głową.

– I nie wspomniałeś mu, że Ryze był niewinny?

– Ani słowem, panie.

– Dobrze. Poślij po niego.

Tamas wiedział, że brygadierów nie wybierano wedle jakiegoś widzimisię. Ci oficerowie byli energiczni, inteligentni, odważni oraz fanatycznie oddani rodzinie Winceslavów i Adro. Przynajmniej byli tacy kiedyś, zanim Barat stał się jednym z nich.

Sabastenien był niewysokim mężczyzną o ciemnych, zmierzwionych włosach, przyciętych tuż nad oczyma. Miał ledwie dwadzieścia pięć lat, więc zapuścił bokobrody, aby dodać sobie powagi. Pasowały mu lepiej niż przeciętnemu mężczyźnie w jego wieku.

– Cieszę się, że widzę pana w dobrym zdrowiu, marszałku – przywitał się Sabastenien.

– Dziękuję – odparł Tamas. – Jak rozumiem, pomógł pan Olemowi mnie wyśledzić. – Skinął ku adiutantowi, a następnie ruchem głowy nakazał mu się oddalić. Olem posłusznie wycofał się na balkon, a marszałek odwrócił gwałtownie. *Ostrożnie* – upomniał Tamas sam siebie.

– Pomogłem, jak potrafiłem – rzekł brygadier. – Bardzo proszę mi powiedzieć, jeśli mogę coś jeszcze uczynić. Właśnie zacząłem gromadzić ludzi, aby z błogosławieństwem lady Winceslav zapolować na brygadiera Ryze’a. On nie ucieknie.

– Jest jeszcze jedna rzecz, którą może pan zrobić – powiedział Tamas.

– Cokolwiek, panie.

– To drobna sprawa. Widzi pan ten parawan? – Wskazał w kąt pokoju. – Chciałbym, aby pan za nim stanął i słuchał.

– Sir? – zdziwił się Sabastenien.

– Niedługo pan zrozumie – powiedział Tamas. – Proszę. Niech pan spełni zachciankę poobijanego, starego człowieka.

Brygadier Sabastenien skinął głową z wahaniem.

– Teraz?

Tamas zerknął na zegarek.

– Tak, byłoby dobrze.

Sabastenien ustawił się za parawanem. Minęło kilka chwil, podczas których Tamas siedział z zamkniętymi oczami. Jego umysł, chociaż odcięty od bólu i zmęczenia, które byłyby w stanie odebrać przytomność, nadal walczył z zawrotami głowy spowodowanymi prochowym transem. Kiedy otworzył oczy, zobaczył Olema na balkonie, przyglądającego się słońcu ponad Placem Elekcyjnym. Dostrzegał źdźbełka słomy na kurtce adiutanta, a kiedy się skupił, uznał, że słyszy bicie serca Sabasteniena zza parawanu. Młody brygadier był spokojny.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę wejść – zawołał marszałek. Wyprostował się na fotelu. Teraz nie była odpowiednia pora, aby wyglądać na słabego.

Otworzyły się drzwi i Tamas dostrzegł Vlorę czekającą w holu, z dłońmi spoczywającymi na rękojeściach pistoletów. Dwóch żołnierzy doprowadziło brygadiera Barata. W przeciwieństwie do Sabasteniena Barat był człowiekiem wysokim, wyjątkowo wysokim nawet, o ostrych rysach, mocnych brwiach, chociaż jego oczy i zarys policzków miały w sobie wystarczająco dużo łagodności, by uznać go za przystojnego. Golił się gładko, zaś Tamas słyszał, jak żołnierze mówili, że nawet gdyby chciał, nie mógłby zapuścić brody. Barat, syn zmarłego przed laty bogatego wicehrabiego z północy, miał dwadzieścia sześć lat.

Tamas nie przeoczył ani pewności siebie na twarzy brygadiera, ani jego szpady, wciąż przypiętej do pasa.

– Proszę usiąść. – Marszałek wskazał gościowi jedno z krzeseł po drugiej stronie biurka.

– Dziękuję, wolę stać – odparł Barat. – Mam nadzieję, że istnieje jakiś powód tego, że zostałem tutaj przyprowadzony pod eskortą. Być może doszło do jakiegoś nieporozumienia.

– Zapewne w tym rzecz – zgodził się Tamas. – Proszę tylko poświęcić mi nieco czasu. – Ucichł, przyglądając się Baratowi, czekał, aż brygadiera ogarnie niepokój. Minęła minuta, może dwie.

– To całkowicie niezgodne z regulaminem – zauważył brygadier Barat.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział Tamas. – Moje przygody z ostatnich kilku dni odcisnęły na mnie swoje piętno. Tak się zastanawiam...

– Nad czym, sir?

– Słyszał pan o zdradzie Ryze’a?

Barat zesztywniał.

– To hańba dla Skrzydeł Adoma. Z ulgą przyjąłem wiadomość, że nic panu nie jest – dodał jeszcze, jak gdyby po namyśle.

– Dziękuję. – Tamas uśmiechnął się przelotnie. – Czy wie pan, dlaczego Ryze nas zdradził?

– Był złamanym człowiekiem – stwierdził Barat. – Starym i kruchym.

Tamas udał zaskoczenie.

– Naprawdę? Nie mogę powiedzieć, abyśmy kiedyś byli przyjaciółmi, ale Ryze był moim rówieśnikiem. Na uniwersytecie i w akademii było między nami zaledwie kilka lat różnicy. Kochał Adro ponad wszystko, był świetnym dowódcą i ojcem. Doskonale poprowadził kampanię przeciwko rojalistom.

– To było jedynie moje odczucie na temat jego osoby, sir – odparł Barat. – To znaczy znam go rok, no, może dwa. Nie chciałem nikogo urazić.

– Dlaczego był „kruchy i złamany”? – zapytał Tamas.

– Nie wiem. On...

– Tak?

– Nie chciałbym szerzyć plotek, panie, nie mając faktów na ich poparcie.

– Na to jest już trochę za późno – zauważył Tamas. – Ryze wydał mnie kezańskiemu Uprzywilejowanemu. Jest zdrajcą i łotrem.

Barat sprawiał wrażenie nieco wstrząśniętego. Oblizał nerwowo wargi.

– A zatem, sądzę, że za mną nie przepadał. Był zazdrosny o moje względy u lady Winceslav. Uważał, że ktoś tak młody nie powinien aż tak szybko dotrzeć do stopnia brygadiera.

– Naprawdę? – Tamas ponownie udał zaskoczenie. – Ja... no tak, nie jestem sobie w stanie czegoś takiego wyobrazić. Wiem, że brygadier Sabastenien awansował szybciej od pana. I nie sypiał z lady Winceslav.

– No tak, ale... – Barat szeroko otworzył oczy. – Z całym szacunkiem, muszę poprosić o odwołanie tych słów, sir.

– Obaj wiemy, że to prawda – zbył Tamas tę prośbę. – Szczerze mówiąc, wszyscy o tym wiedzą, zarówno w moich wojskach, jak i w szeregach Skrzydeł Adoma. – Nie wiedzieli, ale o tym z kolei Barat nie musiał wiedzieć. Tamas usłyszał, jak Sabastenien poruszył się za parawanem. Barat na chwilę zerknął w tamtą stronę. Marszałek kaszlnięciem zwrócił jego uwagę.

– Marszałku, wyzwę pana, jeśli będę do tego zmuszony – obstawał Barat. – W obronie swojego honoru i honoru lady.

– Wyzwie pan prochowego maga? – upewnił się Tamas. – Naprawdę?

Kącik ust Barata drgnął w uśmieszku.

– Tak – potwierdził. – I będę błagał, aby wybrał pan pistolety, nawet jeżeli miałoby to oznaczać moją śmierć. Aby udowodnić, iż mam honor.

Czyli Barat wiedział o gwieździe w nodze Tamasa, w przeciwnym razie nie byłby aż taki rycerski. No i starał się zrobić odpowiednie wrażenie. Miał świadomość, że jest obserwowany.

– Gdzie jest syn Ryze’a? – zapytał Tamas.

Brygadier Barat stracił rezon.

– Co? Skąd mam wiedzieć?

– Przepraszam – wycofał się marszałek. – Moje myśli gdzieś pobłądziły. Doskonale wiem, gdzie jest. Dzisiaj wieczorem wydobyto jego ciało z kanału. Na kostkach miał przywiązane obciążniki. Został zgarotowany, tak okrutnie, że przy wyciąganiu ciała odpadła mu głowa. Smutne, że osiemnastoletniego młodzieńca, wyjątkowo obiecującego, spotkał taki koniec. Wie pan, mnie i Ryze’a łączy coś jeszcze poza wiekiem. Obaj późno się ożeniliśmy i zanim nasze żony zmarły, każdy z nas dochował się tylko jednego syna. – Tamas pomyślał o Tanielu i przez chwilę zastanawiał się, jak przebiega bitwa o Wierchowieniec. Co on by uczynił, gdyby ktoś jego syna wziął na zakładnika? Zamrugał, przez chwilę widział nieostro. Zdusił w sobie wściekłość. Musiał załatwić tę sprawę na zimno.

– To prawdziwa tragedia. – W głosie Barata zadźwięczało napięcie.

– Świadek z uniwersytetu w Adopeście widział, jak wczoraj, późną nocą, do dormitoriów wchodził ktoś o wyglądzie odpowiadającym pańskiemu. Jeden z kolegów młodzieńca powiedział, że potem chłopiec wyszedł z tym samym mężczyzną.

– Niemożliwe – warknął Barat. – Żadne śledztwo nie mogłoby przebiegać aż tak szybko... – Urwał, wyczuwając pułapkę. – Mam nadzieję, że jego zabójca został schwytany i przyprowadzony przed oblicze sprawiedliwości. To jednak nie stanowi usprawiedliwienia dla tego, co uczynił jego ojciec.

– Jako garoty często używa się struny fortepianowej – mówił dalej Tamas. – Ci, co mają w tym niewiele doświadczenia, często ranią sobie palce. Czy mogę obejrzeć pańskie dłonie?

Barat zwarł dłonie za plecami i cofnął się o krok.

Tamas wziął głęboki oddech. Głośno i spokojnie oznajmił:

– Jego ojciec ostrzegał mnie przed zdrajcą wśród brygadierów. Wyjawił, że jego syn jest w istocie zakładnikiem, i błagał mnie, abym go chronił. Nie dbał o swoje życie, kiedy dopadł nas czarodziej. Ryze nie był zdrajcą. Był patriotą. Bohaterem. I ostrzegł mnie przed tobą.

– Co to za bzdury?! – syknął brygadier. – Pan oszalał.

– Czasem myślę, że tak byłoby prościej – powiedział Tamas. – Kto jest zdrajcą w radzie? Pomożesz sobie, jeśli mi powiesz.

– Idź do otchłani – drwiąco prychnął Barat. – Nie masz żadnych dowodów, starcze. Nie będę bawił się z tobą w tę grę. – Odwrócił się na pięcie i chwycił za klamkę. Drzwi zadygotały, ale pozostały zamknięte. – Dlaczego nie mogę wyjść? – Nerwowo spojrzał w stronę balkonu, gdzie Olem z karabinem w rękach przyglądał się całej scenie.

Barat gwałtownie odwrócił się w stronę Tamasa.

– Za kogo, do otchłani, ty się uważasz?! Lady Winceslav na to nie pozwoli! Jak myślisz, co mi zrobisz?! Zaprowadzisz mnie przed oblicze sprawiedliwości?! Postawisz przed sądem? Lady mnie ochroni. Nigdy nie ujrzę więziennej celi, a ty się tylko okryjesz niesławą. Fałszywe oskarżenia zgorzkniałego, załamanego człowieka. – Uśmiechnął się szerzej. –

Dokładnie taki sam jak Ryze! Pełen kłamstw i złudzeń. Zdrajca własnego kraju. Już nawet nie jesteś prochowym magiem!

Tamas parsknął. Sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął kulę. Uniósł ją, obrócił w palcach. W drugiej dłoni trzymał prochowy ładunek.

– Czyżby? – Pokręcił przecząco głową. – Jednakże to nie ja powinienem załatwić tę kwestię, nieważne, jak bardzo bym chciał. – Opuścił dłonie i dodał głośno: – Pod poduszkami na sofie leży pistolet, jest naładowany.

– Co? – chciał wiedzieć Barat. Wyjął szpadę i zrobił krok w stronę Tamasa.

Zza parawanu wyszedł Sabastenien. Podniósł pistolet i odciągnął kurek, pewnie trzymając broń.

Strzał poniósł się echem. Tamasowi zakręciło się w głowie. Mocno chwycił się biurka, czekając, aż przejdzie oszołomienie, następnie uniósł głowę, żeby spojrzeć na Olema, wchodzącego z balkonu.

Barat leżał na podłodze. Jego krew i mózg rozbryznęły się po sofie i zasłonie. Sabastenien opuścił pistolet. Twarz brygadiera była blada. Ręce nieco mu drżały, kiedy cisnął broń na podłogę i niepewnie podszedł do sofy.

– Sądziłem, że to Ryze był zdrajcą. – W jego głosie dźwięczała udręka, twarz miał wykrzywioną cierpieniem.

– Był zacnym człowiekiem – zapewnił Tamas.

– Jego syn...

– Nie żyje – odparł marszałek. – Olemie, chcę, aby odnaleziono szczątki Ryze’a. Został rażony czarami, więc niewiele pozostało. Przeczeszcie całą Królewską Puszczę, jeśli będzie trzeba. Chcę, żeby został pochowany wraz ze swoim synem. Obok żony. Z honorami.

– Tak jest – cicho powiedział ordynans.

– Co mam powiedzieć lady? – Sabastenien był głęboko wstrząśnięty. Tamas ujrzał w nim teraz młodzika, którym tamten w istocie był, i zrobiło mu się go żal.

– Strzelił pan w mojej obronie – łagodnie powiedział. – Nie pozwolę, by pana sądzono.

– Zabiłem kochanka lady Winceslav, kolegę brygadiera. – Głos Sabasteniena drżał. – Niezależnie od powodu, zostanę karnie zwolniony ze Skrzydeł. – Umilkł. – Czy mogę już iść?

– Oczywiście. Zawsze znajdzie pan miejsce w moich oddziałach – pożegnał młodzika marszałek. Kiedy brygadier wyszedł, Tamas popatrzył wymownie na Olema. – Niech ktoś go pilnuje.

Olem zmarszczył czoło.

– Wszystko słyszał. Zrobił to, co należało. Dlaczego miałby się przejmować, że wyleją go ze Skrzydeł? W armii gorzej płacą, ale...

– Olemie, Skrzydła to nie są po prostu najemnicy – wyjaśnił Tamas. Jego znużenie powoli stawało się silniejsze niż prochowy trans, ból zaczynał sączyć się za osłony. – Skrzydła to sposób życia. Braterstwo. Zabicie jednego ze swoich to najgorsza ze zbrodni. Nawet w przypadku zdrady. Kiedy załatwiają sprawę we własnym gronie, kat jest pod ochroną, nieznany, tak aby jego bracia nie dowiedzieli się, kim jest i go nie odtrącili. Kariera Sabasteniena w Skrzydłach już się zakończyła.

– W takim razie dlaczego...?

Marszałek westchnął. Wyjął kolejny ładunek. Zatęsknił za szczypaniem prochu na języku. Schował patron z powrotem do kieszeni.

– Uznasz, że jestem okrutny – stwierdził. – Potrzebuję Sabasteniena na linii. Jeśli przeżyje tę wojnę, w wieku trzydziestu lat będzie generałem. – Zignorował pełne niezadowolenia spojrzenie Olema. – Znajdź kogoś, kto zaproponuje mu stanowisko, kiedy już zostanie wydalony ze Skrzydeł. Stanowisko samodzielnego dowódcy.

Tamas pochylił się na krześle, w głowie mu się zakręciło i zwymiotował na podłogę. Otarł usta rękawem i uniósł wzrok, napotykając zmartwione spojrzenie Olema.

– Sądzę, że teraz chwilę odpocznę.

Olem ruszył, aby wezwać woźnego. Marszałek odchylił się na krześle, czując smak żółci. Zajął się już lisem w swoim kurniku, teraz musiał odnaleźć lwa w oborze.

Nila nie mogła oderwać wzroku od krwi na sofie.

Zastanawiała się, czy to marszałek polny Tamas zastrzelił człowieka, którego krew obryzgała Gabinet Królewski, czy może któryś z jego podwładnych. Wiedziała, że marszałek potrafiłby zabić od niechcenia. Widziała, jak zastrzelił Bystre’a na ulicy i potem nawet na niego nie spojrzał.

– Olem, ja... – Marszałek polny wykuśtykał zza parawanu i zatrzymał się, widząc Nilę. – Przepraszam. Nie wiedziałem, że już przysłali kogoś, aby posprzątał ten bałagan.

Bałagan. Tak to nazwał. Jak gdyby cząstki mózgu, czaszki oraz krew niczym się nie różniły od resztek po kolacji.

– Proszę o wybaczenie, panie. – Dygnęła. – Właśnie kazano mi przyjść po pański mundur.

– Oczywiście. Praczka. Olem! Pomóż mi zdjąć mundur!

Adiutant wszedł do komnaty, kręcąc w palcach papierosem. Uśmiechnął się do Nili, a następnie ruszył za parawan.

– Wszędzie ta cholerna krew – stęknął marszałek polny.

– Tak się zwykle dzieje, panie.

– Au. Sukin... ostrożniej!

– Przepraszam, sir.

– Moja cholerna noga!

– Panie, jest tutaj dama.

Przekleństwa marszałka przycichły do pomruków. Po chwili Olem pojawił się z mundurem pod pachą i wręczył go Nili. Brodaty adiutant wyglądał inaczej niż tamtej nocy, kiedy adrańscy żołnierze wtargnęli do miejskiej rezydencji Eldaminse’ów. W jego brodzie pojawiły się siwe włosy; kurze łapki w kącikach oczu stały się nieco głębsze. Nila widywała go czasem w Domu Szlachty, jednak nie dawał żadnego znaku, że ją poznaje.

– Jak sądzisz, zdołasz wyprać także zasłony? – zapytał. – Kto wie kiedy przyślą kogoś, żeby zajął się obiciami.

– Oczywiście – zapewniła go Nila.

Marszałek polny Tamas, kuśtykając, wyszedł zza parawanu i podszedł do biurka. Miał na sobie białą koszulę oraz niebieskie żołnierskie spodnie, twarz po ostatnich przejściach ziemistą i pozbawioną rumieńców. Nila zastanawiała się, jak by ta twarz wyglądała, gdyby zadusiła go we śnie.

Olem zdarł kotary.

– Panie – odezwał się – pomogę jej to znieść i zaraz wracam na górę.

– Nie musisz się spieszyć. – Marszałek polny odesłał adiutanta machnięciem dłoni. – Charlemund przysłał mi jakieś idiotyczne kościelne dekrety, z którymi trzeba się uporać do wieczerzy.

– Dam radę sama to zabrać – stwierdziła Nila, kiedy wyszli na korytarz.

Olem upchnął sobie zasłony pod ramię.

– Nic nie szkodzi. Marszałek od czasu do czasu potrzebuje samotności.

– A czy pan nie jest jego strażnikiem?

– Bardziej jego służącym – powiedział bez goryczy. – Potroiliśmy straże na najwyższym piętrze. Cokolwiek zdoła się przebić przez resztę chłopaków pilnujących mu pleców, nie będzie już miało kłopotu ze mną. Papieroska?

Kiedy szli po schodach, Nila uważnie przyglądała się Olemowi kątem oka.

– Dziękuję. – Wzięła tytoniowy rulonik.

– Nie wyglądasz na nieśmiałą. – Olem natychmiast zaczął skręcać następnego. – Ale chłopcy mówią, że rzadko się odzywasz.

Nila poczuła, jak zimny strach ściska jej żołądek. Dlaczego ordynans marszałka polnego Tamasa o niej rozmawiał?

– Zwykle jestem małomówna – powiedziała spokojnie.

– Właśnie tak słyszałem. – Umilkł na chwilę, a potem dodał: – Nie sądziłem, że jeszcze cię zobaczę po tamtej nocy.

Serce Nili zabiło gwałtownie. Pamiętał ją? Nie chciała być pamiętana. Ani tym bardziej rozpoznana. Jeśli wiedział, kim była, może doszedł także

do tego, że to właśnie ona przemyciła Jakoba z rezydencji.

– O? – wykrztusiła, gdy już odzyskała głos.

– Wydaje się, że tutaj pasujesz lepiej niż do pralni jakiegoś lorda, gdzie musiałaś szorować liberię służby – stwierdził Olem. – Podoba mi się twoja sukienka, jest lepsza niż ta, którą ostatnio nosiłaś.

Nila spróbowała sobie przypomnieć strój z czasów służby u diuka Eldaminse'a. Ale nie była w stanie. Musiała jakoś odwrócić uwagę adiutanta od swojej osoby. Nie chciała, żeby Olem zadawał pytania.

– Pan też się nieco inaczej ubiera – odwdzięczyła się.

Olem wskazał wpinkę ze stopniem kapitana na swoim kołnierzu.

– Marszałek polny stwierdził, że jego ordynans nie może mieć niższego stopnia niż kapitan. – Wzruszył ramionami. – Niezbyt dobry ze mnie oficer. Nigdy zresztą nie przepadałem za oficerami. Ale kapitańska gaża mi bardzo odpowiada.

Olem przełożył papierosa do drugiej dłoni, a potem wsadził z powrotem do ust. Nagle gwałtownie się zatrzymał, zmuszając Nilę, aby się odwróciła.

– Czy wybrałabyś się dzisiaj wieczorem do teatru? – zapytał.

Nila zamrugała zaskoczona. Do teatru? Czyli nie interesował się nią jako ordynans marszałka polnego Tamasa. Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu ulgi, który pojawił się na twarzy.

Olem najwyraźniej uznał to za zgodę.

– Marszałek polny nalegał, żebym wziął wolny wieczór. Niewiele jest lepszych sposobów na jego spędzenie niż w towarzystwie pięknej kobiety.

– To dla mnie zaszczyt. – Dygnęła, posyłając mu najlepszą wersję nieśmiałego uśmiechu.

Dotarli do pomieszczeń pralni pod Domem Szlachty i tam Olem ją zostawił. Poszukała środków pozwalających pozbyć się krwi z zasłon i munduru marszałka. Kiedy szorowała plamy, przypomniała sobie, że przybyła tutaj, aby zabić Tamasa. Nie mogła pozwolić, żeby Olem ją powstrzymał albo rozproszył. Wydawał się dobrym człowiekiem, ale służył nikczemnemu panu. Tamas musiał umrzeć, zanim na jego mundurze pojawi

się jeszcze więcej krwi. Zabijał kobiety i mężczyzn. Nawet niewinne dzieci. Trzeba go było powstrzymać.

Olem wspomniał, że nie jest jedynym strażnikiem marszałka. Gdyby zabiła Tamasa jakoś wtedy, kiedy Olema nie będzie na służbie, kapitan nie zostanie obwiniony o zaniedbanie. Tak, tak właśnie byłoby najlepiej. Zaczęła mocniej szorować plamy.

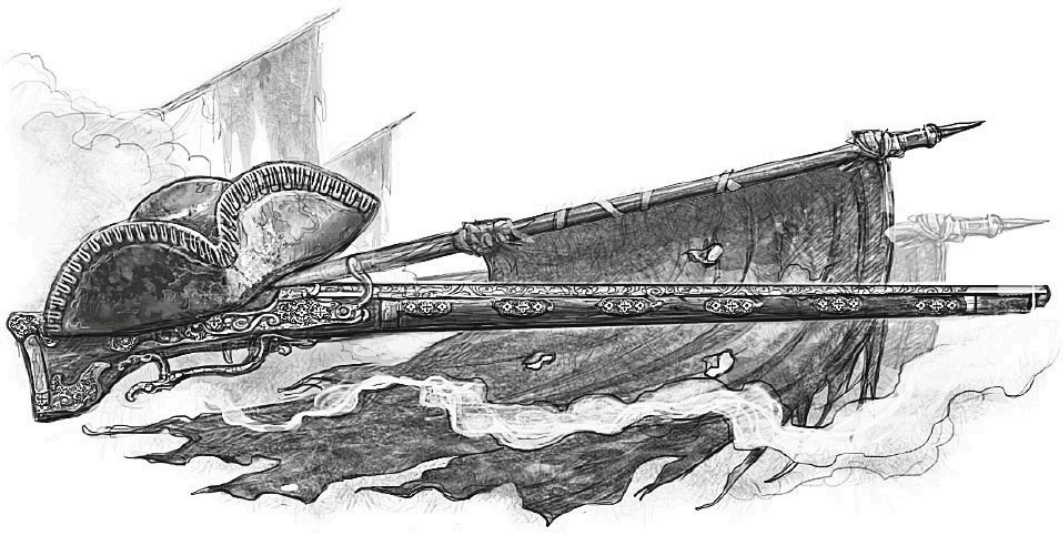

29
ROZDZIAŁ

Taniel nasłuchiwał stukotu podkutych kopyt. Pochylił się nad swoim karabinem i wciągnął szczyptę prochu. Przypatrywał się nadciągającemu jeźdźcowi, od kiedy słońce zaczęło chować się za mury za jego plecami. Tamten jechał z najbardziej wysuniętej palcówki Kezu. Nad głową powiewała mu biała flaga.

Parlamentariusz.

– Idę po Gavrila – poinformował Taniel Fesnika. Młody strażnik pokiwał głową i ruszył z powrotem do zabudowań. Fesnik wylosował popołudniową wartę. Taniel dotrzymywał mu towarzystwa, co stanowiło pretekst, aby przyjrzeć się pracy inżynierów oraz murarzy naprawiających bastion.

Warta Fesnika miała się skończyć, kiedy z nieba zniknie ostatnie światło dnia. Taniel zszedłby z posterunku razem ze strażnikiem, licząc na długi odpoczynek. Ale jeśli los okaże się łaskawy, ten parlamentariusz oznajmi, że Kez się wycofuje.

W górach panował spokój. Od czasu do czasu słychać było coś od strony obozującej poniżej ogromnej armii kezańskiej. Ale tej nocy wróg nie szykował się do natarcia, zresztą podobnie jak poprzedniej i przez cały miniony tydzień. Bitwa o bastion osłabiła obie strony. Ostatni tydzień spędzili, zbierając ciała, odnawiając stan amunicji i zapasów, a także próbując nieco odpocząć.

Spokój w obozie Kezu denerwował Taniela.

Odwrócił się na dźwięk kroków na kamieniach. Mozes, z muszkietem na ramieniu.

– Dostałem nocną wartę – oznajmił.

Taniel się przeciągnął.

– Możesz zaczynać.

Mozes był spokojnym człowiekiem, rzadko wdawał się w długie rozmowy, jednak dobrze się z nim piło. Przez ostatni tydzień wiele godzin spędzili razem w Wyjącym Wendigo.

Taniel został przy murze bastionu jeszcze przez kilka minut. Wystarczająco długo, aby obserwować, jak jeździec zbliża się do wrót, zostaje wpuszczony, a z obszaru zabudowań wyłania się niewielka grupa. Delegacji przewodził Gavril, jego rosłą sylwetkę poznawało się od razu. Rozmowa trwała krótko, zaś jeździec wkrótce ruszył z powrotem przez bramę.

Taniel kiwnął głową Mozesowi na pożegnanie i ruszył w stronę Gavrila. Wachmistrz i jego towarzysze naradzali się, kiedy Taniel do nich podszedł. Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę.

– Jakie wieści od marszałka Tine’a? – zapytał.

– Oznajmił, że należy uznać, iż nastąpił powrót do działań wojennych – powiedział Gavril. – Jakieś oznaki nocnego ataku?

Cholera.

– Przez cały dzień na zboczu nie było żadnego ruchu.

– Kopacze?

– Ani śladu.

Saperzy nie przestawali pracować, nawet w trakcie tygodniowego zawieszenia broni. Taniel chciał zejść i ich sprzątnąć, ale Gavril nalegał, żeby dotrzymywać warunków rozejmu.

– Po co w ogóle kopią? – burknął wachmistrz. – Są za daleko, aby nas podminować, a Bo mówił, że przy kopaniu nie korzystali z czarów.

– Widziałeś Bo? – zainteresował się Taniel. – Przez cały tydzień nurkował w kuflu piwa i wygląda, jak gdyby powędrował do piekła i z powrotem. Nie wierzę, żeby akurat teraz był w stanie wykryć jakieś czary w tych ich krecich tunelach.

– Och, daj spokój – odpowiedział mu ktoś cicho. – Nie jest ze mną aż tak źle.

Taniel odwrócił się i zobaczył Bo, stojącego nieco na uboczu. Gdzie on się podziewał przez ten cały czas? Zmarszczył brwi, spoglądając na starego przyjaciela. Bo niósł butelkę i opierał się na Katerine. Kobieta zmierzyła Taniela wściekłym wzrokiem.

– Powinieneś spać, a nie pić – powiedział prochowy mag.

– To jest jakiś podstęp – stwierdził Bo, dłonią z flaszką wskazując w stronę kezańskich wojsk. – Kto wie co planują.

– Co możemy zrobić? – spytał kpiąco Taniel. – Są dobrze osłonięci przed ogniem artylerii. Kiedy zbombardowaliśmy to wzgórze nad ich jaskinią, to nie było widać, żeby zawaliły im się tunele. Nie mamy pojęcia, jak głęboko się przekopali ani w którym kierunku. Mogą starać się podminować bastion albo wyłonić się pośrodku zabudowań, albo, do otchłani, za pomocą czarowników mogą też próbować w ogóle przejść pod całą Strażą i wyleźć w Adro.

– Trzeźwiąca myśl – stwierdził Bo. – Jednak mówiłeś, że przez cały dzień nie widziałeś śladu kopaczy.

– Ciągle pracują. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

– Właśnie dlatego podjąłem decyzję – oznajmił Gavril. – Zamierzam poprowadzić wycieczkę, aby oczyścić ten podkop.

– Kiedy? – Taniel wciągnął szczyptę prochu.

– Jutro – oznajmił Gavril. – Jeśli zdołam do tej pory otrzeźwić Bo.

– Jestem całkiem trzeźwy – powiedział Bo. Zatoczył się i byłby upadł, gdyby nie Katerine.

Gavril zdawał się tego nie zauważać.

– Chciałbym powiedzieć, że to będzie wycieczka co najmniej ryzykowna. Ich armia jest całe godziny drogi stąd, jednak jeśli jest tam Julene albo nawet kilku niższych stopniem Uprzywilejowanych, będziemy potrzebować czegoś więcej niż tylko Bo. – Wyczekująco spojrzał na Taniela. – Również innych... ochotników.

Taniel spróbował parsknąć. Tylko głowa go zabolała. Starał się jak mógł, aby przez ostatni tydzień trzymać się z dala od prochu. Nie udało mu się, ale przynajmniej przez kilka dni krew nie ciekła mu z nosa.

– Oczywiście, że pójdę.

– Dzięki. – Gavril sprawiał wrażenie, jak gdyby nieco mu ulżyło. – Jednak nie tylko ciebie potrzebuję.

Taniel zmarszczył brwi, a potem coś mu zaświtało.

– Ka-poel.

Gavril przytaknął.

– Nie wiem... – wahał się Taniel. – Jest taka młoda.

– Jest czarownikiem – stwierdził Gavril. – Potężnym. Rozmawiałem z Bo. Jest nią bardzo zainteresowany.

– Bardzo – powiedział Bo.

Gavril umilkł na chwilę, potem dodał:

– Nie w ten sposób.

– Oczywiście, że nie – potwierdził Bo.

Taniel nie był przekonany.

– Ka-poel jest pod moją opieką. – Tak naprawdę to on był pod jej opieką, a przynajmniej Bo chciał, żeby Taniel w to uwierzył. – Jasne, pomogła mi śledzić Uprzywilejowanych, raz czy dwa trochę się pokaleczyła... –

Przypomniał sobie, jak tam, na górze, rzuciła się między niego a Julene. Była silniejsza, niż się wydawało.

Bo westchnął.

– Tanielu, większość kezańskiej kamaryli jest przy niej jak dzieci. Będziemy jej potrzebować.

Taniel nagle przypomniał sobie dzień, kiedy stanął twarzą w twarz z Rozalią w muzeum na Uniwersytecie Adopestańskim. Zdenerwowało ją, że Ka-poel przyłączyła się do walki. Czyżby była zdolna wyczuć coś, czego Taniel nie potrafił?

– Nie sądzę, że była aż taka silna, ale nawet jeśli... to nie narażę jej na niebezpieczeństwo.

– To nie od ciebie zależy – zauważył Gavril.

– Na otchłań, zależy.

– Już jej pytałem. Idzie z nami.

– Za moimi plecami?

Gavril przesunął językiem po wnętrzu policzka. Odwzajemnił spojrzenie Taniela.

– Wiem, jak bardzo ryzykujemy, idąc tam na dół, a ona jest w tym momencie walorem większym nawet od Bo. Przed podjęciem decyzji chciałem wiedzieć, czy w ogóle by z nami poszła.

Taniel ze złością popatrzył na Gavrila. Rosły wachmistrz go zignorował.

– Jutro w nocy?– upewnił się prochowy mag.

– Jutro w nocy – potwierdził Gavril.

Taniel wsadził ręce do kieszeni i samotnie ruszył z powrotem do zabudowań. Teraz, kiedy do Adro zbliżało się lato, dni były gorące, a noce wyraźnie cieplejsze. Jednak wysoko w górach po zachodzie słońca powietrze prędko stygło. Taniel ściślej zapiął swoją kurtę z jeleniej skóry i nasłuchiwał wycia wiatru. Zawodzenie było niesamowite, aż się wzdrygnął.

Zatrzymał się w połowie ulicy. Wycie przybierało na sile, im bliżej był karczmy, jednak uznał, że to chyba jeszcze jakiś inny dźwięk albo w ogóle coś innego. Brzmiał znajomo, niczym niski ryk bestii dobiegający z oddali.

Był jakiś taki... bardziej osobowy. Dochodził z wyższej części góry, a w taką widną noc, kiedy gwiazdy jaśniały nad głową, niósł się daleko. Taniel wzdrygnął się i popatrzył w stronę północno-wschodniej przełęczy. Przetarł oczy, spojrzał raz jeszcze. Wydawało mu się, że coś się tam poruszyło.

Wycie rozległo się ponownie, upiorny, zwierzęcy dźwięk. Taniel przypomniał sobie, że kiedyś czytał, iż na Południowej Turni nie ma wilków, jedynie lwy jaskiniowe. To jednak nie brzmiało jak wycie lwa. Przełknął ślinę i zmusił się, by odwrócić wzrok od góry.

Kątem oka wyłapał jakiś ruch. Ktoś przekradał się bokiem. Taniel niemal podskoczył. Postać pobiegła. Zaczął ją ścigać. Skręcił za róg, w alejkę.

– A niech cię otchłań pochłonie! – Złapał Ka-poel za klapy jej długiego płaszcza. Ręce mu drżały. – Nie strasz mnie tak.

Spojrzała na niego wielkimi, zielonymi oczyma, które jaśniały w blasku księżyca. Puścił ją i wygładził przód własnej kurty.

– Do cholery – powiedział – wystraszyłaś mnie, że niech to szlag trafi. Co tutaj robisz?!

Ka-poel wskazała na swoje oczy, a potem na niego.

– Pilnujesz mnie? Po co, na Kresimira?

Wzruszyła ramionami.

Taniel delikatnie pacnął ją w tył głowy. Ścięła włosy jeszcze krócej, prawie nad uszy. Mag pomaszerował z powrotem na ulicę i przysiadł na jakimś ganku. Ka-poel szykowała się, by go zostawić.

– Chodź tutaj – nakazał jej, starając się zrobić to tonem możliwie łagodnym.

Usadowiła się obok niego, niczym dziewczyna, której ojciec zagroził właśnie laniem, a która wie, że wykręci się ze wszystkiego dzięki uśmiechowi.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Gavril poprosił cię, żebyś wzięła udział w tej wycieczce?

Ka-poel uniosła brew. Wskazała swoje gardło.

– Tak, wiem, że nie możesz mówić. – Taniel przewrócił oczyma. – Jednak cholernie dobrze potrafisz mi o czymś powiedzieć, jeśli tylko chcesz.

Ka-poel wydęła wargi.

– Nie udawaj takiej tajemniczej. Cały czas tak robisz. Odpowiadaj.

Objęła się ramionami, a potem wskazała na Taniela. Mag potrząsnął głową. Jedną rękę gwałtownie przyłożyła sobie do piersi, nad sercem, a potem znowu na niego wskazała. *Ty... mnie kochasz?* Nie, to nie może chodzić o to. Potrząsnął głową. Ka-poel westchnęła. Udała zamach szablą, a potem uniosła drugie ramię.

– Tarcza? – zapytał Taniel.

Pokiwała głową i wskazała na niego.

– Osłaniasz mnie tarczą. Chronisz mnie? Chcesz mnie chronić? Co jest, do otchłani?! Ile ty masz lat, piętnaście? Nie powinnaś mnie chronić. Ledwie co przestałaś bawić się lalkami. No dobra... – Taniel przypomniał sobie lalkę przedstawiającą Julene i co Ka-poel z nią zrobiła. – Ty się cały czas bawisz lalkami. I to w niebezpieczny sposób. Ale nie powinnaś mnie chronić.

Taniel wyobraził sobie siebie samego w wieku piętnastu lat. Uparty, chudy chłopak o prostych czarnych włosach i zaczątkach zarostu. Od tamtej pory nabrał siły, rozrósł się i miał już blizny doświadczonego żołnierza. Czuł się stary, chociaż skończył zaledwie dwadzieścia dwa lata.

Ka-poel odwróciła się do niego plecami.

– Hej, nie...

Założyła ręce na piersi.

Taniel wstał i stanął za nią. Gwałtownie wyciągnęła ku niemu palce.

– Co?

Powtórzyła gest.

– Dziewiętnaście? Och tak? Masz dziewiętnaście lat. – Taniel był zaskoczony. – Zawsze brałem cię za dzieciaka. Dynizyjki wychodzą za mąż w wieku szesnastu lat.

Potrząsnęła głową, nadal nie patrząc na niego, i wskazała na siebie.

– Nie ty, co?

Pokiwała głową.

– Dobra, do cholery, nie dbam, ile masz lat. Nie chcę, żebyś mnie chroniła.

Nagle się odwróciła. Ich twarze znalazły się tak blisko siebie, że potrafił wyczuć jej oddech. Był słodki jak miód, zaś Taniel odruchowo zastanowił się, co jadła.

„To pech” – powiedziała samymi ustami.

Taniel zacisnął szczęki. Cholerna dziewczyna.

– Dlaczego tak się o mnie martwisz? – zapytał powoli.

Zbliżyła się jeszcze bardziej, ich wargi niemal się dotykały. Poszukał spojrzeniem jej oczu. Odbijało się w nich światło gwiazd. Błysnęły łobuzerskie iskierki i usta wykrzywiły się w kpiącym uśmiechu. Taniel poczuł, że serce bije mu szybciej. Ka-poel odwróciła się i odbiegła.

Odetchnął głęboko, patrząc za nią.

– Co to było? – szepnął sam do siebie. Oblizał wargi i zastanowił się, jak smakowałyby jej usta. Odsunął od siebie tę myśl. Ona była sługą, niewykształconą dzikuską. Wcisnął dłonie w kieszenie i ruszył ulicą, mając nadzieję, że kiedy wróci do swojej izby, to Ka-poel tam nie będzie.

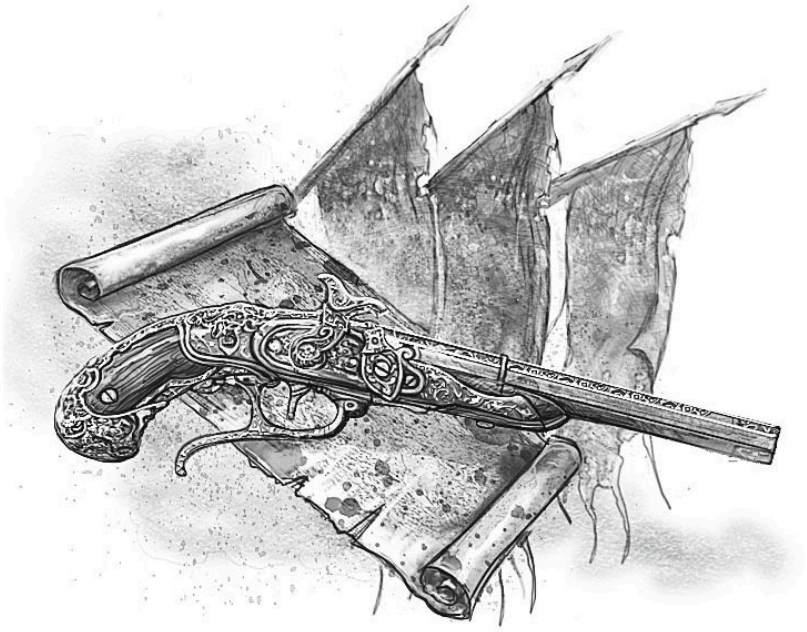

30
ROZDZIAŁ

Ulice na zachodnim skraju dzielnicy portowej nie były ciche nawet o wpół do drugiej rano. Z barów i burdeli płynął śpiew. Kilka grup pijaków zdecydowało też bawić się na zewnątrz, na bruku. Wymachując pięściami ku wilgotnemu niebu, każdego, kto chciał słuchać, zasypywali marnymi wierszami.

Adamat zaszył się w zaułku, mocno opatulił długim czarnym płaszczem, kołnierz postawił wysoko, a na głowę założył melonik, by chronił przed deszczem i zasłaniał twarz. Kawałek dalej w ciemnym kącie czekał SouSmith. Ogromny bokser stał się zaskakująco niewidoczny w spłachetku

ciemności o dwa rozmiary za małym. Adamat oczy miał szeroko otwarte, a laskę pod ręką.

Burdel po drugiej stronie ulicy z zewnątrz przypominał skromny domek i był, w porównaniu z innymi, całkiem spokojnym lokalem. Klientela składała się z osób bogatszych od większości bywalców tego typu miejsc. Przybytek nazywano Targowiskiem Molly i nie można było doń wejść bez rekomendacji. Zwaliste draby o wielkich pięściach i małych mózgach przycupnęły w przedsionku nieopodal drzwi. Pilnowali porządku w domu uciech. Kilku dostrzegło Adamata, od czasu do czasu rzucali mu ponure spojrzenia, ale jeszcze żaden nie podszedł.

Drzwi do burdelu otworzyły się, za nimi ukazały się drogie meble i czarna koronka. W progu stanął Ricard Tumblar. Rzucił kilka monet mężczyźnie przytrzymującemu drzwi i wyszedł na moknącą w deszczu ulicę.

Szedł krokiem człowieka, który wypił dużo, jednak zna swoje ograniczenia. Uchylił kapelusza przed grupą strażników. Dwóch z nich podeszło do szefa związków. Tumblar machnięciem dłoni zbył tego, który proponował mu parasol.

Adamat poczekał, aż Ricard znajdzie się odpowiednio blisko, i dopiero wtedy wyszedł z cienia. Uchylił nieco kapelusza, aby dało się go rozpoznać w słabym blasku latarni. Dwóch osiłków Ricarda wystąpiło naprzód, sięgając po noże, zaś draby pilnujące burdelu pod okapem spojrzeli czujnie. W pobliżu Targowiska Molly nie życzono sobie rabusiów.

– Odwołaj swoich chłopców – powiedział Adamat. – Chciałem tylko porozmawiać.

Ricard gestem odprawił ochronę, a drugą ręką złapał się za serce.

– Adamacie, na Kresimira, ale mnie wystraszyłeś. O co chodzi?

Detektyw skinął głową i ruszył ulicą. Ricard dotrzymywał mu kroku.

– Wiesz, że możesz zawsze przyjść do mojego biura – powiedział Tumblar. – Moje drzwi stoją przed tobą otworem. – Nie nosił kapelusza i teraz uniósł dłoń, aby osłonić oczy przed deszczem.

– Przynoszę ci ostrzeżenie – poinformował go detektyw. – Jako stary przyjaciel.

Ricard zawsze źle reagował na groźby, nawet jeśli były oparte na kłamstwie, zatem Adamat położył mu dłoń na ramieniu, pragnąc zawczasu uspokoić przyjaciela.

– Zaistniały okoliczności, które zmuszają mnie, bym uważał ciebie za głównego podejrzanego o zdradę Tamasa.

Ricard zacisnął usta, ale milczał. Adamat ryzykował. Gdyby szef związków rzeczywiście okazał się zdrajcą, posłałby teraz na niego swoich zbirów.

– Ricardzie, musisz posprzątać swój dom – oznajmił śledczy. – Przez Admorze szmugluje się szpiegów Kezu. Także Stróżów. Tamas nie jest zadowolony. Sądzę, że na razie ci tego nie okazuje, bo rozpaczliwie trzeba mu twoich statków, aby zabrały jego ludzi do Bramy.

– A co to ma wspólnego ze mną? – zapytał wreszcie Ricard. Głos miał opanowany, jednak słychać w nim było złość.

– Przyjacielu, doki to jest twój rewir. – Adamat stuknął go palcem w pierś dla podkreślenia wagi swoich słów. – Tamas wie, co tam się dzieje, a jeśli poczuje się zagrożony, wszystko pozamyka. Cały handel z Novi i Unice, wszystkie twoje fabryki i młyny.

Ricard zrobił wielkie oczy.

– Nie może. To by wydarło Adopestowi serce, a związek chwyciłby za broń.

– Może być do tego zmuszony, jeśli uzna, że ma w związku wrogów.

Zdawało się, że Tumblar przez chwilę się nad tym zastanawia.

– Kto jeszcze wie, że tutaj jesteś?

Adamatowi serce zabiło gwałtownie. Nieco mocniej ścisnął laskę. Nie zamierzał poddać się bez walki. Jeśli dopisze mu szczęście, zdoła powstrzymać tamtych trzech, zanim SouSmith do niego dołączy.

– Nikt – odparł.

– Nikt cię nie przysłał?

– Przychodzę sam.

Ricard przyglądał się detektywowi przez chwilę, jak gdyby szacował całą sytuację. Adamat miał wrażenie, że Tumblar się zastanawia, gdzie by tu wrazić nóż. Detektyw natomiast zastanawiał się, czy nie przywołać SouSmitha.

– Dziękuję – powiedział wreszcie Ricard. – Jeśli sam doszedłeś do tych wniosków... To może, w rzeczy samej, powinienem trochę posprzątać. Dziękuję, przyjacielu.

Adamat przyglądał się, jak przyjaciel odchodzi w noc i wreszcie bierze parasol od jednego ze swoich strażników. Teraz stawiał kroki szybciej, bardziej trzeźwo, miał cel. Obok detektywa bezszelestnie pojawił się SouSmith.

– Wziął sobie do serca twoje ostrzeżenie? – zapytał.

– Nie wiem – powiedział Adamat. – Nie próbował mnie zabić, a to już coś. Ale może wiedzieć, w co gram. To nie idiota. Zobaczymy, jaki będzie jego kolejny ruch.

– Co teraz?

– Mam innych podejrzanych. Wciąż muszę się zobaczyć z arcybiskupem, Szafarzem i Pierwszym Lektorem.

SouSmith spojrzał na Adamata, marszcząc brwi.

– Szafarzem? Nie dostaniesz się do niego.

– Coś wymyślę. – Detektyw starał się sprawiać wrażenie pewnego siebie. – Zakładam, że to oznacza, iż następny jest arcybiskup.

SouSmith przeżegnał się znakiem Powroza.

– Nie podoba mi się to.

Rzadko trafiało się mądrzejsze stwierdzenie.

– Wie, że przyjdę. Jesteśmy z nim umówieni na rano.

Jakiś młody kapłan, chyba szalenie zdenerwowany, stał na frontowych stopniach domu arcybiskupa i z wyczekiwaniem przypatrywał się

powozowi Adamata. Samo domostwo było rozległą willą, co prawda tylko parterową, jednak przepychem mogącą rywalizować z Pałacem Wschodzącego Słońca. Zbudowano je w stylu dalekowschodniej Gurli, z białymi iglicami ponad marmurową fasadą. W oknach o cebulowym kształcie wisiały satynowe kotary. Po jednej stronie długiego, brukowanego podjazdu rozciągały się winnice. Po drugiej koniuszowie ćwiczyli konie na padoku.

Adamat wysiadł z powozu i rozprostował nogi. Przypomniał sobie, co powtarzano o tutejszym gospodarzu: że arcybiskup to przede wszystkim sybaryta, a dopiero potem sługa Kresimira. Jednak czy to powiedzenie nie mogło odnosić się do wszystkich sług Kościoła. Och, istnieli szczerzy kapłani, ludzie kochający Kresimira i bliźnich, trudzący się w imię pokoju oraz braterstwa. Jednak tacy pokroju Charlemunda zdarzali się znacznie częściej. Zamiłowanie do kobiet, złota i władzy zaślepiało ich niczym gorączka.

Młody kapłan podszedł do Adamata szybko, szurając nogami. Miał na sobie białą szatę sięgającą kostek oraz sandały. Strój ubogiego mnicha, kontrastujący z ewidentnym bogactwem domostwa.

– Jestem Siemone – przedstawił się. Spuścił wzrok, złączył dłonie, jak gdyby się modlił.

– Służysz arcybiskupowi? – upewnił się Adamat.

– Mam przyjemność służyć Kresimirowi, panie – odparł Siemone. – Poprzez służbę jego prawowitemu słudze Charlemundowi, arcybiskupowi Adro.

– Jestem umówiony z arcybiskupem – powiedział detektyw. – Czy mamy czekać na zewnątrz? – Laską wskazał drzwi wejściowe.

– Nie... nie, panie. – Siemone potarł dłonie, jak gdyby właśnie je czyścił. – W domu jest teraz bardzo tłoczno. Liczna rodzina Jego Eminencji przybyła do willi, aby świętować Festiwal Świętego Adoma. Pod nogami biegają dzieci, straszny ścisk.

Adamat zerknął przez okno. Zobaczył jakiegoś bardzo dużego mężczyznę, przyglądającego mu się zza szyby. Przypuszczalnie jednego ze

strażników arcybiskupa. Ale żadnych dzieci. Należało jednak przyznać, że willa była ogromna. Charlemund mógł tam ukryć armię i nie byłoby jej widać z podwórca.

– Rozumiem. – Dziwny był to sposób traktowania gościa, nawet jeżeli Adamat nie był gościem wyczekiwanym.

Siemone odchrząknął.

– Poza tym arcybiskup jest człowiekiem bardzo zajętym. Będziemy musieli spotkać się z nim w kaplicy. W związku z poranną orgią późno zjawi się na popołudniowym nabożeństwie.

– Słucham? – Adamat poszarzał na twarzy. – Orgią?

– Owszem – potwierdził Siemone. – A teraz, jeśli pan pozwoli, zaznaczę, że arcybiskup nie lubi czuć się zagrożony. On będzie musiał pozostać tutaj. – Wskazał SouSmitha, który właśnie gramolił się z powozu, z włosami zmierzwionymi po długiej drzemce.

– To mój współpracownik – wyjaśnił Adamat. – Pomaga mi w śledztwie. Nie stanowi zagrożenia dla arcybiskupa.

Kapłan patrzył wszędzie, tylko nie bezpośrednio na swego rozmówcę.

– Nie zrozumiał mnie pan. Pański współpracownik to bardzo rosły mężczyzna, dobrze zbudowany i wyraźnie jakiś wojownik. Arcybiskup nie chce, aby oczy jego sług gdzieś wędrowały. On, ach, nie lubi rywalizacji. Jego Eminencja bardzo dokładnie określił, jacy goście mogą wejść do jego domostwa.

Adamat zerknął na kapłana. Nie lubi rywalizacji...? Potrząsnął głową.

– W takim razie lepiej zostań w powozie – zwrócił się do SouSmitha.

Pięściarz bez słowa wspiął się z powrotem.

– Powiedziałeś, że twój pan zjawi się późno? – przypomniał Adamat.

Kącik ust Siemone’a drgnął.

– Tak, z powodu orgii. Teraz proszę za mną. Zdołamy się z nim spotkać zaraz po modłach, zanim zaczną się popołudniowe wyścigi.

Siemone uniósł dłoń. Z winnicy wyjechała niewielka bryczka, ciągnięta przez pojedynczego, białego kucyka. Przed chwilą jeszcze niewidoczna, teraz zbliżała się do nich.

Adamat nie mógł oderwać wzroku od woźnicy. Była nim dziewczyna, młoda, może szesnastoletnia, o długich złotych włosach sięgających pasa. Nosiła zwykły strój furmana, luźną koszulę, czapkę i rękawice – tyle że wszystko z przejrzystego jedwabiu, pod spodem zaś nie miała niczego.

– Panie? – Uśmiechnęła się uprzejmie. – Jeśli pan pozwoli.

Adamat oderwał od niej wzrok i wsiadł do dwukółki. Było w niej miejsce tylko dla jednego pasażera, odwrócił się więc do Siemone'a. Jednak zanim zdążył powiedzieć choćby słowo, bryczka ruszyła. Kleryk pobiegł obok.

Detektyw przytrzymał rondo kapelusza, bo nagły powiew o mało nie zerwał mu nakrycia głowy. Szybko ruszyli ścieżką w głąb winnicy, mijając po drodze licznych robotników. Mimo tempa jazdy oraz długiej szaty Siemone bez kłopotu nadążał za bryczką. Adamat zwrócił uwagę, że kapłan albo ma wzrok utkwiony w ziemi, albo patrzy prosto przed siebie. Od razu zrozumiał też dlaczego.

Pracujący wokół ludzie nosili jednakowe tuniki wykonane z przejrzystego jedwabiu – zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Wszyscy byli też młodzi i piękni.

Jak takie miejsce w ogóle mogło istnieć? Adamat sądził, że poznał już najgorsze jaskinie rozpusty w całym Adopeście, ale to... Każda z tych urodziwych istot stanowiłaby wielką atrakcję w najbardziej ekskluzywnym domu uciech, a noc z jedną z nich była warta z tysiąc krana. A jednak, odziani w takie stroje, pracowali teraz w posiadłości arcybiskupa.

– Siemone... wyglądasz tu okropnie nie na miejscu – zauważył Adamat. Uświadomił sobie, jak to musiało zabrzmieć, i się skrzywił. – Nie żebyś nie był przystojnym, młodym mężczyzną – dodał szybko.

– Wiem, o co ci chodzi, panie. – Siemone uśmiechnął się przelotnie, ale nie uniósł wzroku. – To jest moja pokuta. Jeżeli przesłużę u arcybiskupa jeszcze jeden rok, otrzymam zgodę na małżeństwo. – Przez czoło przemknął mu grymas zmartwienia. – Pod warunkiem że ona wciąż mnie chce.

Kościół Kresimski dopuszczał małżeństwa najniższych rangą kapłanów, wymagając od nich celibatu tylko wtedy, gdy pragnęli piąć się po szczeblach kościelnej hierarchii. Jednak ci, którzy się żenili, często musieli wcześniej odbyć pokutę.

Charlemund był okrutnym człowiekiem, skoro domagał się czegoś takiego.

– Powiedz mi – pytał dalej detektyw – czy ta willa zawsze tak wyglądała? Słyszałem, że to wspaniałe miejsce z winnicami i stajniami. Nie uświadamiałem sobie, że jest takie... unikalne. – Oczywiście, że słyszał plotki. Każdy słyszał. Ale nigdy nie wierzył. Owszem, zakładał istnienie burdeliku w którymś z przyległych budynków albo obecność kilku pięknych kobiet będących na każde zawołanie gospodarza. To jednak przekraczało pojęcie rozpusty.

– Tak, panie – odparł Siemone. – To nie nowość. Arcybiskup ma tu pewne zasady. Jego goście mogą wybrać sobie, kogokolwiek tutaj widzą, poza mną, i robić to, na co mają ochotę. Pan również, jako gość biskupa.

Adamat poczuł, że się rumieni.

– Och nie. Nie. – Zaśmiał się nerwowo z zakłopotania. – Jestem szczęśliwie żonatym starszym panem. Całkiem mi z tym dobrze, dziękuję.

– Arcybiskup ma jedną zasadę: jeśli ktoś rozpowiada o jego... sługach, nie jest już zapraszany ponownie.

– Przecież nie można tego sprawdzić.

– Och, panie, arcybiskup wie. Ma wszędzie uszy.

Adamat nie potrafił powstrzymać krzywego uśmiechu.

– Jeśli o tym mowa, potrafię zrozumieć, że to jest dobra zachęta do milczenia. Czy każdy, kto odwiedza arcybiskupa, korzysta z jego gościnności?

– Nie. Nie każdy, jednak ci, którzy nie korzystają, zasadniczo należą do osób, które nie mają przyjemności rozmawiać o życiu arcybiskupa.

Albo im wstyd, uświadomił sobie Adamat. Nikt o niczym nie opowiadał, bo nie chciał, aby go kojarzono z jakimikolwiek ohydnymi nieprawościami,

do których mogło dochodzić w willi. Z tego samego powodu dżentelmen nigdy nie zwierza się ze swoich odwiedzin w domach uciech.

Zdjął kapelusz, aby podrapać się po głowie.

– A zatem w zasadzie pracujesz w największym burdelu w całym Adro... do otchłani, we wszystkich Dziewięciu... Po to, żeby pewnego dnia móc poślubić swoją ukochaną i móc pozostać sługą Powroza? – podsumował spokojnie.

Siemone zachichotał nerwowo.

– Och, Kresimir chadza nieodgadnionymi ścieżkami, panie.

Adamatowi zrobiło się trochę słabo.

– Sądzę, że powodem jest raczej poczucie humoru arcybiskupa niż bóg – mruknął pod nosem.

Bryczka wyjechała z winnicy i przebyła niewielki placyk, kierując się w stronę kaplicy. Sama kaplica była dosyć skromna, zbudowana z niewielkich bloków wapienia, nie większa od domu średnich rozmiarów. Miała dwie kondygnacje, stromy sufit i taras zaraz ponad głównym wejściem. Z tarasu zwisał złoty, pleciony powróz. Adamat poczuł ulgę, że w okolicy nie ma żadnych sług arcybiskupa.

Detektyw wysiadł z bryczki i odprowadził ją wzrokiem. Dopiero gdy zniknęła, sięgnął ku klamce, ale wtedy Siemone dotknął jego ramienia.

– Panie, proszę, za chwilę skończą modły – powiedział kapłan.

Adamat westchnął.

– Czy właśnie miałem wejść w sam środek orgii?

Przez chwilę zdawało się, że Siemone się roześmieje, ale tylko pokręcił głową.

– Nie, to tylko popołudniowe nabożeństwo, proszę chwilę poczekać.

Pomimo sprzeciwu kapłana Adamat jednak nieco uchylił drzwi. Wewnątrz kaplicy było kilka rzędów obitych aksamitem ławek. Ściany pokrywał tynk, jednak do połowy zasłaniały je kosztowne gobeliny barwy złota oraz czerwieni, ukazujące dymiące góry i Kresimira schodzącego ze swojego Powroza na szczyt Wielkiej Południowej Turni. W nabożeństwie

uczestniczyła tylko garstka osób, chociaż w kaplicy starczyłoby miejsc siedzących dla co najmniej trzydziestu.

Arcybiskup stał na przedzie kaplicy, unosząc ramiona, z twarzą zwróconą ku niebu, a jego głos płynął ponad zgromadzonymi:

– Wszechpotężny Kresimirze, chroń nas od nieprawości i nikczemności, ocal nas od złego, tak abyśmy mogli zostać zabrani na Twe łono....

Adamat cicho zamknął drzwi. Wycofał się pod stary, kamienny mur kaplicy, wraz z Siemone'em, i oparł o chłodne cegły.

– To miejsce zadaje się dosyć... opuszczone – powiedział.

– Co pan ma na myśli?

– Arcybiskup to ważna osobistość. Spodziewałem się ujrzeć więcej gości, posłańców, urzędników, kogoś w tym rodzaju.

– Och, bardzo niewielu gości wpuszczanych jest na właściwy teren posiadłości. Jego Eminencja ze wszystkimi osobiście spotyka się w willi – wyjaśnił kapłan. – W rzeczy samej, to bardzo gwarne miejsce.

– A dlaczego ja zostałem tak wyróżniony?

– Ma pan glejt marszałka polnego.

To przynajmniej coś.

– Jak długo tutaj jesteś? – zapytał Adamat kleryka.

– Dwa lata i siedem dni. – Siemone nadal nie chciał patrzeć prosto na niego, ale detektyw doszedł do wniosku, że rozumie tę postawę. Kapłan starał się zachować przed swoim potencjalnym ożenkiem jak największą czystość. Rzecz godna szacunku, nawet jeśli oznaczało to, że rzadko kiedy nawiązywał z kimś kontakt wzrokowy. Aby uniknąć otaczającej go pokusy, musiał patrzeć prosto pod nogi.

– Nieczęsto wychodzisz na zewnątrz, prawda?

– Od czasu do czasu wychodzę do Adopestu. W sprawach Jego Eminencji.

Wielkie nieba.

– Dlaczego nie odejdziesz? – indagował Adamat. – Nie musisz odprawiać pokuty, aby uzyskać normalne pozwolenie na małżeństwo.

– Panie, jestem sługą Powroza. Jeśli odejdę teraz, odrzucę swój Powróz. – Przesunął dłonią po niewielkim sznurze, naszytym na lewej piersi szaty. – I odrzucę swoją szansę na ożenek.

– Ona chce poślubić kapłana, co?

– Wielu kapłanów się żeni.

– Nigdy nie słyszałem o takiej pokucie. Czy zazwyczaj nie trwa tak z sześć miesięcy?

Siemone sprawiał wrażenie nieco zgnębionego.

– Chodzi o siostrzenicę arcybiskupa, panie.

Adamat spojrzał na Siemone’a z takim współczuciem, na jakie tylko potrafił się zdobyć.

– Biedaczysko.

– Panie, nabożeństwo skończone.

I w tej samej chwili otworzyło się główne wejście do kaplicy. Zza drugiego boku budynku wyłaniać zaczęły się bryczki, gotowe zabrać swoich pasażerów. Z kaplicy wyszło siedmioro kobiet i mężczyzn. Odziani byli w drogie skóry i jedwabie oraz najlepszy muślin. Adamat rozpoznał kilku bogatych kupców. Ze zdumieniem dostrzegł w tej grupie madame Lourent, swoją ostatnią klientkę. Wywodziła się z wpływowej rodziny i detektyw był szczerze zdziwiony, że przetrwała przeprowadzoną przez Tamasa czystkę szlachty. Minęła go, nie zwracając nań uwagi.

Adamat wyobraził sobie Ricarda w jednej z owych bryczek. Stary druh pasowałby do takiego miejsca, chociaż nie był specjalnie pobożny. Bryczki ruszyły przez plac, jednak nie w stronę głównego podjazdu. Kierowały się na tyły budynku, ku jakiejś następnej niemoralnej rozrywce zaplanowanej przez Charlemunda. Detektyw pokręcił głową w zadziwieniu.

Arcybiskup wyszedł z budynku, kiedy wszyscy pozostali już odjechali. Powoli zbliżył się do Adamata.

– Dzień dobry – powiedział detektyw.

Charlemund zignorował jego powitanie. Siemone pospieszył za arcybiskupem, aby zamknąć wrota kaplicy, a następnie szybko się odwrócił, by podnieść służbowe szaty zwierzchnika.

– Siemone – rzekł arcybiskup – lady Jarvor zasnęła podczas nabożeństwa. To już trzeci raz. Poleć, aby zakazano jej wchodzenia na teren willi.

– Tak, Wasza Eminencjo.

– A któż to?

– Inspektor Adamat, Wasza Eminencjo.

Arcybiskup wyprostował ramiona i spojrzał z góry na Adamata.

– Ogar Tamasa. Zaiste. Dlaczego pan tu przyszedł?

Adamat obejrzał sobie arcybiskupa od góry do dołu. Charlemund był mężczyzną imponującej postury, a nim został sługą Powroza, również najlepszym szermierzem w Adro. Nadal poruszał się ze swoistą gracją, kroki stawiał długie oraz pewne, potężne ramiona dawały mu istotną przewagę zasięgu. Adamat pamiętał, jak Charlemund jednego dnia został kapłanem, a już nazajutrz ustanowiono go arcybiskupem Adro. Wybuchł przez to skandal, a o całej sprawie mówiono jeszcze przez lata, chociaż nigdy nie odwołano Charlemunda ze stanowiska. Miał potężnych przyjaciół.

Dzisiaj twarz arcybiskupa zdobiły dwa duże sińce, zamaskowane w miarę możliwości białym pudrem.

– Wasza Eminencjo – Adamat skłonił głowę – mam nadzieję, że wrócił pan już do zdrowia po upadku. Widziałem, jak to się wydarzyło. Straszliwy wypadek.

Charlemund parsknął.

– Do rzeczy. Po co pan przyszedł?

Adamat zauważył, że arcybiskupa łatwo zirytować. Po raz kolejny zrobiło mu się żal Siemone’a.

– Zjawiłem się, aby zapytać pana o próbę zabójstwa marszałka polnego Tamasa, do jakiej doszło w zeszłym miesiącu.

– O to? Jeszcze tego nie wyjaśniono? Phi. Zaraz zaczną się wyścigi, więc proszę się pospieszyć z pytaniami.

Adamat ugryzł się w język. Arcybiskup czy nie, istniały granice przyzwoitości.

– Wasza Wielebność, prowadzę dochodzenie w sprawie zdrady, a nie w sprawie twojej ulubionej ladacznicy – przypomniał mu łagodnie detektyw. – A teraz proszę odpowiedzieć na kilka pytań.

Siemone stanął za arcybiskupem, przytrzymując jego szaty. Oczy biednego kapłana o mało nie wyskoczyły z orbit. Skupił spojrzenie na jakimś punkcie w oddali, gwałtownie potrząsał głową.

Arcybiskup uważniej przyjrzał się Adamatowi.

– Jest pan bodajże najpotężniejszą osobą w radzie Tamasa – kontynuował detektyw. – Może nawet łącznie z samym marszałkiem. Ma pan poparcie całego Kościoła Kresimskiego, instytucji, przy której bledną najemnicy lady Winceslav, związek zawodowy Ricarda Tumblara oraz kryminalne wpływy Szafarza, zarówno pod względem bogactwa, jak i siły. To daje mi powody, aby sądzić, że jeśli rzeczywiście chciałby pan ujrzeć Tamasa martwego, ten byłby już martwy. Jedynym, co sprawia, że waham się przed usunięciem pana imienia z mojej listy, jest to, że za nic nie potrafię dociec, dlaczego pan poparł przewrót. Nie ma pan ani powodu, żeby popierać Tamasa, ani by chcieć jego śmierci... Tyle jestem w stanie wykoncypować.

– Co uprawnia pana do przesłuchiwania mnie? – chłodno zapytał arcybiskup.

Adamat wyciągnął kartkę z kieszeni na piersi i przytrzymał ją przed Charlemundem. Siemone zrobił krok do przodu i chwycił papier, mamrocząc przeprosiny. Odchrząknął, przeczytał tekst na głos.

Arcybiskup odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

– Współpraca z panem? Odpowiedzi na pańskie pytania? A co mnie obchodzi, czy Tamas mnie podejrzewa? Co on mi może zrobić? Potrzebuje mnie do tej wojny. Potrzebuje mnie, żebym trzymał Kościół z dala od reszty spraw.

Adamat odebrał dokument i schował do kieszeni.

– Mógłbym napluć na Tamasa – mówił dalej arcybiskup – a i tak by mnie błagał o wsparcie. Sądzi pan, że się przejmuję tym całym śledztwem? Nie, wolne żarty. Ma pan jednak rację co do jednego. Gdybym chciał

śmierci Tamasa, już by leżał w jakiejś ubogiej mogile. Pewnego dnia, już niedługo, za rzeczy, które uczynił, odpowie przed wyższą potęgą. Nie ma więc potrzeby, abym się mieszał.

Wyższą potęgą? Adamat miał ochotę parsknąć. Sam Charlemund zdecydowanie nie był wzorem kapłana. Detektyw nabrał głęboko powietrza i pochylił się, opierając na lasce. Spojrzał arcybiskupowi prosto w oczy. Wiedział, że zapłaci za swoją natarczywość.

– Jakie odniósł pan korzyści z poparcia Tamasa?

Arcybiskup odpowiedział na jego spojrzenie. Zdawało się, że przypatruje się detektywowi tak, jak można by się przyglądać małej myszce, która nie jest w stanie wyjść ze spiżarni, a wygląda zbyt żałośnie, by zmiażdżyć ją pod stopą.

– Kościół uznał za konieczne usunięcie Manhoucha. W Adro monarchia zbytnio odsunęła się od ludu.

Adamat powstrzymał się od komentarza o świątobliwym mężu prowadzącym burdel przy swojej willi.

– Czy Kościół w dalszym ciągu popiera Tamasa?

– Takie pytanie może mi zadać Tamas – osadził go arcybiskup. – A nie jego piesek. A teraz, jeśli rzeczywiście chcesz pan dotrzeć gdzieś ze swoim śledztwem, to przepytaj pan Ricarda Tumblara albo podskarbiego Ondrausa. Obaj to ludzie, którym nie można ufać, ludzie, którzy w ogóle nie powinni się znaleźć w radzie Tamasa.

– A dlaczego? – zainteresował się Adamat półgłosem.

– Żaden z nich nie pracuje dla dobra Adro. Ricard jest bluźniercą, skrywającym się przed sprawiedliwością za tymi swoimi bezbożnymi związkami. Bierze łapówki od każdego...

– Przepraszam, ale skąd Wasza Wielebność o tym wie?

Charlemund zachłysnął się, górna warga odsłoniła zęby w nieprzyjemnym grymasie.

– Nie przerywaj mi.

– Proszę o wybaczenie.

– Brał łapówki od Kezu, od kryminalistów i od gangów. To człowiek zepsuty, zły i poza zasięgiem miłości Kresimira.

– Skąd pan wie, że brał łapówki od Kezu?

– Kościół ma swoje źródła. Niech pan mnie nie przepytuje.

– A Ondraus?

– Ten człowiek usiłował nałożyć podatki na Kościół – oburzył się Charlemund. – Jego dusza jest w wielkim niebezpieczeństwie. Zwalcza mnie, sługę Kresimira! I to w każdej kwestii. Nie płaci swojej dziesięciny i kryje księgi przed kościelnymi księgowymi. Nawet król nie ukrywał przed nami swoich ksiąg! Przejrzyj jego księgi, a gwarantuję, że znajdziesz dowody zdrady. – Arcybiskup zerknął na kieszonkowy zegarek. – Zaraz spóźnię się na wyścigi. Możesz pan oddalić się już teraz, nim stracę cierpliwość. – Charlemund wezwał karocę, zanim Adamat zdołał cokolwiek odpowiedzieć.

Detektyw popatrzył za arcybiskupem. Opinia Charlemunda na temat Ondrausa nie miała większego znaczenia. Arcybiskup dał tylko wyraz swojej niechęci, nic poza tym. Ale już po raz trzeci detektyw usłyszał, że Ricard otrzymuje jakieś wielkie sumy. To nie brzmiało dobrze.

– Teraz się trochę rozejrzę po posiadłości – oznajmił Adamat Siemone’owi.

Kapłan szybko pokręcił głową.

– Przykro mi, ale to niemożliwe. – Potarł dłoń o dłoń.

– Muszę dalej prowadzić śledztwo – upierał się detektyw. – Nie będę nikomu wchodził w drogę. Nie będę niepokoił rodziny arcybiskupa.

Siemone nerwowo oblizał wargi.

– Nie o to chodzi, panie... Jego Eminencja to człowiek bardzo ceniący prywatność. Przykro mi, ale pan musi już iść.

Dalszy spór niczego nie zmienił, Adamatowi odmówiono nawet spaceru po posiadłości. Odrzucił więc propozycję przejażdżki bryczką i szybkim krokiem wrócił do swojego powozu. Szarpnięciem obudził SouSmitha.

– Co byś powiedział – zapytał – na zbadanie terenu willi arcybiskupa pod osłoną nocy?

SouSmith szeroko otworzył oczy.
– To szybka droga do sosnowej skrzynki.
– W rzeczy samej. Jednak... mamy swoje do zrobienia.

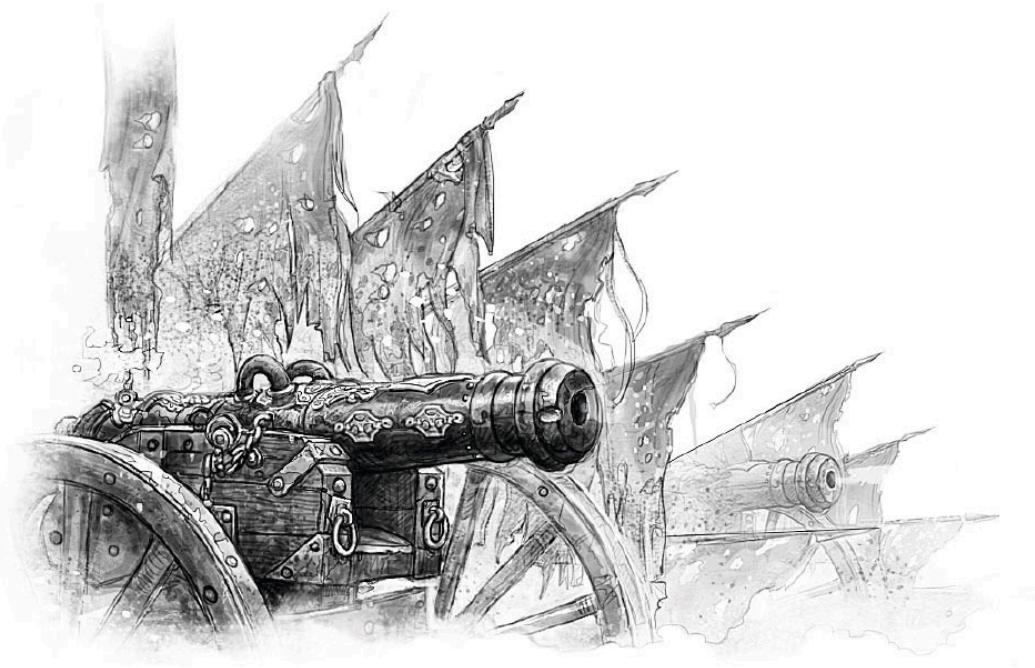

31
ROZDZIAŁ

Tamas obudził się nagle. Ubranie miał przesiąknięte potem, ciało wręcz za bardzo rozgrzane, aby oddychać. Widział słońce za oknami. Minęła już dziesiąta rano.

– Sir – odezwał się Olem. Kapitan stał nad marszałkiem, w jednej ręce trzymał miskę z owsianką, w drugiej gazetę. Najwyraźniej zdołał odpocząć, chociaż Tamas nie miał pojęcia, w jaki sposób, skoro ordynans nigdy nie sypiał. Oczy Olema zdawały się żywsze, a zmarszczki na twarzy nieco się wygładziły. Odstawił śniadanie, pomógł Tamasowi usiąść.

– Pozdrowienia od Mihalego – powiedział, stawiając miskę na nocnym stoliku.

Tamas potrzasnął głową, aby odegnać resztki snu. Czuł się otumaniony i ociężały. Mijało pięć dni od operacji. Z każdą godziną cholerna noga bolała coraz bardziej. Zaczęła pulsować, gdy tylko nią poruszył.

– Czy miałby pan ochotę poczytać na balkonie? – zapytał Olem. – Doktor Petrik powiedział, że świeże powietrze dobrze panu zrobi.

Tamas spojrzał na czyste, rozjaśnione słońcem niebo. Spojrzał też na swoją nogę. Co wybrać, ból czy dalsze tkwienie tutaj?

– W porządku.

Olem pomógł mu wstać i wręczył kulę, a następnie powoli wyprowadził na balkon. Cofnął się po krzesło, zaś Tamas pokuśtykał do balustrady.

– Strasznie dzisiaj głośno – mruknął i wyjrzał na dół. Zgromadzeni ludzie niemal całkowicie wypełniali plac. Tamas nie oglądał takiego tłumu od czasu Dnia Elekcji.

– Olem! – Odwrócił się i drgnął przestraszony, gdyż kapitan był tuż za nim.

– Panie? – Adiutant uśmiechał się zadowolony z papierosem zwisającym z kącika ust.

– Co to jest, do otchłani? – Wskazał na plac niezadowolony.

Olem wyciągnął szyję.

– Och tak. Sprawka Mihalego.

Plac zapełniony był tuzinami – nie, setkami – stołów otoczonych krzesłami. Wszystkie miejsca były zajęte, a niezliczone rzesze ludzi stały, oczekując na swoją kolej, by usiąść. Mężczyźni, kobiety, dzieci, jedni za drugimi aż do bulwaru Męczenników i dalej, za róg ulicy. Tamas wychylił się przez barierkę, chociaż sprawiło mu to ból, chciał jednak zobaczyć, gdzie zaczyna się ta kolejka.

A zaczynała się zaraz pod nimi. Długie, prostokątne stoły, w których Tamas poznał wyposażenie Sali Lordów, ciągnęły się wzdłuż całego frontu budynku. Wszystkie zastawione były jedzeniem. Górami chleba, wazami zupy, mięsem. Było tego więcej niż na królewskiej uczcie.

Tamas odwrócił się do Olema.

– Zetrzyj z twarzy ten zadowolony uśmieszek i pomóż mi zejść po schodach.

Trochę to trwało, jednak w końcu Tamas zdołał dokuśtykać do frontowych drzwi Domu Szlachty. Tam się zatrzymał. Już z góry tłum wydawał się przytłaczający. Stąd jednak wyglądał na dwa razy większy. Marszałek, całkowicie oszołomiony, zatrzymał się na progu.

– Panie, proszę mi wybaczyć.

Tamas, szurając, usunął się z drogi. Żołnierze wynieśli na zewnątrz kolejny stół. Za nimi szli urzędnicy niosący krzesła, a potem jakaś kucharka z misą zupy niemal zbyt dużą, by mogły ją udźwignąć kobiece ramiona. Wszędzie gdzie tylko spojrzał, ludzie jedli, czekali na swoją kolej albo w czymś pomagali. Księgowi, żołnierze, mieszczanie, nawet żeglarze i dokerzy. Zdawało się, że każdego nakłoniono do służby.

– Jak sądzę, ty za to odpowiadasz?!

Tamas odwrócił się i zobaczył Ondrausa. Podskarbi był wściekły. Okulary przekrzywiły mu się na nosie, do piersi przyciskał jakąś księgę rachunkową. Wargi miał zaciśnięte, a po czole spływał pot.

– Nikogo nie mogę ściągnąć z powrotem do pracy! Mówią mi, że Mihali poprosił ich o pomoc, i po prostu ignorują! – Twarz poczerwieniała mu od wrzasku.

Tamas nie wiedział, co odpowiedzieć. Przyjrzał się tłumowi, szukając wysokiej, opasłej postaci kuchmistrza.

– Skąd to całe jedzenie?! – ciskał się Ondraus. – Kto za to płaci?! – Uderzył dłonią w swój rejestr. – Nie ma żadnych zapisów! Żadnych rachunków! Wszystkie krana na miejscu, a jednak coś takiego! Nie mogę tego pojąć. Mówiłeś, że on ma Zdolność związaną z jedzeniem, ale to wręcz niedorzeczne! Tamasie, nic nie jest za darmo! Wszystko ma swoją cenę!

Tamas oddalał się już od Ondrausa, kuśtykając powoli. Wkrótce głos podskarbiego utonął w ogólnym gwarze rozmów. Marszałek patrzył na ucztujących. Kupcy siedzieli obok pomywaczek, pomniejsi szlachcice dzielili półmiski z żeglarzami i ulicznikami. Tamas potknął się. Chwyciła

go czyjaś mocna dłoń. Odzyskawszy równowagę, marszałek odwrócił się do Olema.

– Ja... ja nie rozumiem.

Olem milczał.

Po drugiej stronie placu wrota Szablozębu zostały otwarte i wytoczyły się z nich wozy, dołączając do długiej linii kuchni polowych, czekających na załadunek oraz rozsyłanych do odległych zakątków miasta. Tamas dostrzegł niebieskie mundury żołnierzy kierujących zaprzęgami.

– Kto im dał pozwolenie? – zapytał, wskazując na Szabloząb.

– Proszę wybaczyć – odezwał się donośny, dudniący głos – ale pan sam.

Jak gdyby znikąd, obok Tamasa pojawił się Mihali. Ręce miał wetknięte w kieszenie fartucha. Uśmiechał się szeroko.

– Ja? – zapytał marszałek.

– Tak jest – zapewnił go Mihali i dodał nieco zmieszany: – Przynajmniej tak im powiedziałem. Ale proszę się nie martwić, wrócą, kiedy będą potrzebni. Komenderowanie kuchniami polowymi przekazałem jednemu z pana prochowych magów. Vlora, chyba tak ma na imię.

– Gdzie jest lady Winceslav? Miała zajmować się festiwalem.

– Panie – wtrącił się Olem – lady udała się do miejsca, gdzie może pobyć sama. Zarządzanie przejął Mihali.

Tamas nie wiedział, co ma powiedzieć. Rozejrzał się wokół i odezwał do kuchmistrza:

– Co ty zrobiłeś?

Mihali uśmiechnął się szerzej, a marszałek pomyślał, że dostrzegł łzy połyskujące w kącikach oczu ogromnego kuchmistrza.

– Jestem... wdzięczny – oznajmił grubas. – Jestem wdzięczny, że załatwił pan to wszystko z arcybiskupem. Jestem wdzięczny, że wreszcie przyjął mnie pan jako swego, więc z wdzięczności posłuchałem serca miasta. Marszałku polny, odkryłem, czego potrzebuje Adro.

– A czego potrzebuje? – wyszeptał Tamas.

– Ludzie głodują. – Mihali gestem pulchnych dłoni objął miasto. – Ludzi trzeba wyżywić. Potrzebują chleba i wina, zupy i mięsa. Ale nie tylko tego.

Potrzebują przyjaźni. – Wskazał na jakiegoś pomniejszego szlachcica, wicehrabiego odzianego w swoje najlepsze wymuskane falbanki, który właśnie rozlewał wino z Festiwalu Świętego Adoma do kubków uliczników. – Potrzeba im koleżeństwa. Potrzebują miłości i braterstwa.

Odwrócił się do Tamasa. Położył marszałkowi dłoń na policzku. Instynkt nakazywał Tamasowi się odsunąć. Marszałek odkrył jednak, że nie jest w stanie tego uczynić.

– Napoiłeś ich krwią szlachty – łagodnie powiedział Mihali. – Napili się, ale nie ugasili pragnienia. Zjedli nienawiść i stali się jeszcze bardziej głodni. Twoje intencje były... no, nie były czyste, ale były prawe. – Puścił Tamasa i odwrócił się w stronę placu. – Sprawię teraz, iż wszystko będzie jak należy – obiecał. Wypiął pierś i rozpostarł ramiona. – Wyżywię całe Adro. Tego właśnie im trzeba. – Zatrzymał jedną ze swoich pomocnic, która akurat szła z chlebem do kuchni polowych. – Chleba nie wystarczy – powiedział. – Weź mięsiwo, zupę i ciastka. Podawaj biednym na srebrnej zastawie. Niechaj kupcy jedzą z drewnianych misek. Zabierz jadło do każdej części miasta. Te wozy będą pod ochroną.

– Czyją ochroną? – dopytywał się Tamas.

– Jestem odrodzonym Adomem – przypomniał mu Mihali. – Adro trzeba zjednoczyć. Mój lud pójdzie na wojnę syty.

– Adom – prychnął Tamas, jednak bez przekonania.

Do Mihalego podszedł jakiś mężczyzna w robotniczym fartuchu.

– Panie – odezwał się. Kuchmistrz się odwrócił. – Przysłał nas Ricard Tumblar. Kazał pomóc przy czymkolwiek, czego pan by potrzebował.

– Nas? – zapytał Mihali.

Robotnik wskazał za siebie. Na całym placu stali inni robotnicy, rozsypani między stołami i obok kolejki. Mieli na sobie fartuchy, brudne od sadzy, poprzepalane, poplamione mąką i krwią. Zdawało się, że zjawili się tutaj ludzie pracy z każdego zakładu w dokach, a także z nadrzecznego młyna. Robotnik się uśmiechnął.

– Pozamykał fabryki, panie. Ale cały czas dostajemy płacę, pod warunkiem że przyjdziemy pomóc.

– Szlachetni Wojownicy Pracy, co? – domyślił się Mihali.

Mężczyzna przytaknął.

– Wszyscy, panie.

Kuchmistrz szeroko otworzył oczy.

– Doskonale! Chodź, pokażę, jak pomóc.

Mihali odszedł. Gdzieś wydawał rozkazy, gdzie indziej udzielał rad. Tamas obserwował go z daleka.

– To niezwykły człowiek – stwierdził. – Niezależnie od tego, czy jest szalony.

Nili nie podobało się to całe kucharzenie Mihalego.

Niweczyło jej zdeterminowanie. Każdego dnia czuła, że po trochu ubywa jej nienawiści. Każdego dnia przykładała coraz mniejszą wagę do obserwacji zwyczajów marszałka polnego Tamasa, nieco mniej starannie wypatrywała szansy zakończenia jego krwawych rządów. Nie wiedziała, skąd u niej to przekonanie, ale wiedziała, że dzieje się tak za sprawą jedzenia.

Próbowała zabrać własny chleb, kupiony w Piekarach. Jednak nie smakował tak samo, a Mihali rozdawał teraz darmową strawę na Placu Elekcyjnym.

Nila nie była w stanie już dłużej czekać. Musiała to zrobić dzisiaj w nocy. Olem miał służbę, ale Nila postanowiła na to nie zważać. Lubiła go, naprawdę. Przez ostatnich kilka dni odnosił się do niej milej niż jakikolwiek mężczyzna, jakiego spotkała za czasów służby u diuka Eldaminse’a. Jednak Tamasa należało powstrzymać.

Najpierw, gdy wszyscy położyli się już do łóżek, zrobiła pranie dla niższych rangą oficerów. Jak zwykle szorowała, gotowała, prasowała. Następnie poroznosiła mundury do żołnierskich izb. Ubranie marszałka

polnego zostawiła sobie na koniec. Zawsze zostawiała. Poświęcała mu szczególną uwagę.

W korytarzu prowadzącym do gabinetu Tamasa stało czterech strażników. Teraz już ją poznawali. Nila znała też imię każdego z nich. Od kiedy Olem zaczął się do niej zalecać, nikt nie przyglądał jej się zbyt natarczywie ani nie mówił niczego niestosownego. Przepuścili Nilę bez słowa. Zmartwiła się jednak, bo nie widziała nigdzie brodatego kapitana. A co, jeżeli był w środku?

W pokoju marszałka panowała ciemność. Nila szła, kierując się dotykiem i pamięcią, pomogła jej odrobina księżycowego światła, wpadającego przez okna balkonu. Dziewczyna upewniła się, że nigdzie w komnacie nie ma Olema, po czym stanęła przy łożu Tamasa. Głośno chrapał, śpiąc na wznak. Nila wyciągnęła z rękawa ukryty sztylet, zatrzymała się.

Czoło i policzki marszałka polnego okrywał pot. Tamas wymamrotał coś i się poruszył.

Uniosła nóż.

– Erika! – zawołał Tamas przez sen.

Nila zamarła. Marszałek poprawił się na pryczy, wciąż pogrążony w głębokim śnie. Odetchnęła głębiej kilka razy, aby uspokoić rękę.

– Nilo – szepnął ktoś.

Zamknęła oczy. Drzwi do gabinetu uchyliły się odrobinę.

– Nilo – szepnął głos ponownie. To był Olem.

Schowała nóż z powrotem do rękawa i wzięła mundur marszałka, wiszący na oparciu krzesła. Wyślizgnęła się przez drzwi. Dowie się, czego chce Olem, potem jakoś się go pozbędzie. Będzie i następna okazja.

Olem czekał w korytarzu. Inni strażnicy udawali, że nie zauważają, jak ujmuje dłoń dziewczyny i całuje ją w policzek. Miał ciepłe usta.

– Już sądziłem, że się minęliśmy. – Poprowadził Nilę korytarzem.

– Nie. – Zmusiła się do miłego uśmiechu.

– Cieszę się. – Ujął ją pod ramię. – Nie mam dużo wolnego. Przez tę moją Zdolność i w ogóle marszałek polny chce, żebym pracował dłużej.

– Oczywiście. – Zamilkła. – Powinieneś mieć więcej czasu dla siebie.

– Chętnie, ale tylko z tobą.

To nie miało być tak.

– Jesteś pewien?

– Czego jestem pewien?

– Tego, że chcesz ze mną być? – Zatrzymała się i wyswobodziła ramię. – Olemie, dlaczego właśnie ja? Nie jestem dobrą partią. Nie mam rodziny ani koneksji, a nie próbowałeś brać mnie siłą. Nie rozumiem.

Olem uśmiechnął się kącikiem ust.

– Gdy nadejdzie właściwy czas, nie będę musiał używać siły.

Pacnęła go w ramię, wbrew sobie oblała się rumieńcem.

Roześmiał się.

– Chodź tutaj. Chcę coś ci pokazać.

Ponownie ujął ją pod ramię i zaprowadził do bocznego korytarza.

– Wiesz, rozmyślałem o tobie po tym, jak zniknęłaś z miejskiej rezydencji Eldaminse’ów.

– Rozmyślałeś?

– Rozmyślałem zwłaszcza wtedy, kiedy nie mogliśmy znaleźć syna diuka.

Nila potknęła się i byłaby upadła, gdyby Olem jej nie podtrzymał. Serce łomotało jej w piersi.

– Wtedy cię zobaczyłem, tam na barykadach – kontynuował kapitan. – Nie byłem w stanie do ciebie dotrzeć. Nie mogłem opuścić marszałka polnego wśród tego całego chaosu, ale poprosiłem ludzi, żeby nie robili ci krzywdy, kiedy będą zabierać chłopca.

Nila drżała na całym ciele. Olem wiedział. Wiedział cały czas, że była rojalistką. Dlaczego tak długo się z tym nie zdradzał? Dlaczego nie pochylała się właśnie nad katowskim pieńkiem, zamiast przechadzać się korytarzem z adiutantem marszałka?

Olem zatrzymał się obok jakiegoś żołnierza, przy drzwiach na skraju korytarza. Żołnierz mu zasalutował, kapitan w odpowiedzi dotknął czoła palcem. Żołnierz otworzył przed nimi drzwi.

O to właśnie chodzi – pomyślała Nila. Teraz miała zostać oddana pod straż. Ukryta, aż do następnej tury egzekucji. Czy wyślą ją prosto do Szablozębu? Nadal miała nóż. Mogłaby zaatakować Olema... jednak on się tego na pewno spodziewał. Będzie musiała zaczekać, aż jego miejsce zajmie inny strażnik.

W pokoju było ciemno, wyjąwszy pojedynczą latarnię na stole przy oknie. Wcale nie wyglądał jak więzienna cela. Stało tutaj łóżko, biurko i sofa. Jakaś stara kobieta w ubraniu służącej drzemała na krześle obok posłania.

– Chodź – szepnął Olem.

Weszła do pokoju. Kapitan wziął lampę w dłoń i uniósł nieco. Obok, na stole, coś leżało. Drewniany konik. Nila uklękła przy łóżku. Spoczywał na nim chłopiec, śpiąc mocno, po brodę opatulony kocem.

Jakob wyglądał o wiele zdrowiej. Włosy miał ostrzyżone i ufarbowane, policzki pełniejsze, a na ustach cień uśmiechu.

– Tamas wcale nie jest taki bezduszny, jak sądzi większość ludzi – wyjaśnił Olem. – Nie zabiłby niewinnego dziecka. Nie wysłał na gilotynę nikogo, kto miał mniej niż siedemnaście lat. Rozpuścił plotkę, że wszystkie dzieci szlachty zostały skrycie zaduszone. Chciał w ten sposób wyjaśnić ich zniknięcie.

Nila pogłaskała czoło Jakoba.

– Co się z nimi stało? Co z nim się stanie?

– Zostały odesłane. Niektóre do Novi albo Rosvel. Inne na wieś.

– Mogę się z nim zobaczyć, kiedy nie będzie spał?

– Nie. Nie może znać nikogo z poprzedniego życia. Nie może dorastać, sądząc, że jest kimś wyjątkowym. Ma żyć na farmie, gdzie życie będzie ciężkie, ale nie będzie ani niebezpieczne, ani skomplikowane. Pewnego dnia poślubi jakąś praczkę. Jednak nigdy nie zostanie królem.

Nila przez kilka minut klęczała obok łóżka Jakoba, zanim Olem wreszcie ją stamtąd zabrał. Lampa wróciła na swoje miejsce, a kapitan zamknął drzwi. Dziewczyna przycisnęła do piersi mundur marszałka.

– Na pewno nas nienawidzisz. – Olem dłonie miał złączone za plecami, twarz poważną. – Za zniszczenie twojego świata. Przykro mi z tego powodu. Ale Tamas... my wszyscy... uczyniliśmy to, aby prości ludzie mogli pewnego dnia zaznać dobrego życia. Abyśmy już nie byli niewolnikami.

– Sądzę, że byłam wtedy szczęśliwa – powiedziała Nila.

– Bo to był najlepszy rodzaj niewolnictwa. Jednak wciąż niewola. – Olem zamilkł na chwilę. – Zrozumiem, jeśli zechcesz teraz zostać odesłana. Musi być ci tu trudno, wiedząc, co zrobił ludziom, którym kiedyś służyłaś. Wścieknie się. Mówi, że od kiedy był w Gurli, jesteś pierwszą praczką, która porządnie krochmali mu kołnierzyki.

– A ty? – zapytała Nila.

Olem zapalił papierosa i westchnął.

– Nie da się polubić kogoś, kto zna twoją tajemnicę. Marszałek polny ułaskawił rojalistów, ale w armii wciąż nie ma do nich zaufania. Nikomu nie powiem. I jeśli chcesz, zostawię cię w spokoju.

Nila szukała w twarzy Olema oznak fałszu. Nie znalazła. Nie miała wątpliwości, że gdyby powiedziała choć słowo, adiutant już nigdy nie będzie z nią rozmawiał. Pokręcił papierosem w ustach. Zaciągnął się, wypuścił dym, odwracając wzrok. Dawał jej czas.

– Jesteś pewien, że w jakimś innym życiu nie byłeś dżentelmenem? – zapytała.

– Zdecydowanie. – Odwrócił się ku niej. Minę miał wciąż niezwykle poważną.

Nila próbowała sama siebie przekonać, że to niczego nie zmienia. Że Tamas nadal jest potworem zagrażającym Adro, tak długo, jak długo będzie żył. Jednak Olem pokazał jej, że Tamas był człowiekiem, że umiał współczuć. Nie potrafiłaby spojrzeć w czyjeś oczy i odebrać tej osobie życia, wiedząc, że zachowała swoje człowieczeństwo.

Nienawidziła Olema za to.

– Wolałabym – splotła dłonie za plecami, tak by Olem nie widział, że drżą – abyśmy już więcej ze sobą nie rozmawiali.

Żołnierz zesztywniał. Opuścił wzrok, a poważna mina zniknęła i Nila dostrzegła w jego twarzy smutek. Olem wyprostował się po chwili.

– Oczywiście, proszę pani.

Nila patrzyła, jak kapitan odchodzi korytarzem, i otarła łzę z kącika oczu. Aby uczynić to, co należało, musiała być okrutna. Nie miała czasu na łzy. Wciąż jeszcze miała do zrobienia pranie, zanim Dom zbudzi się ze snu.

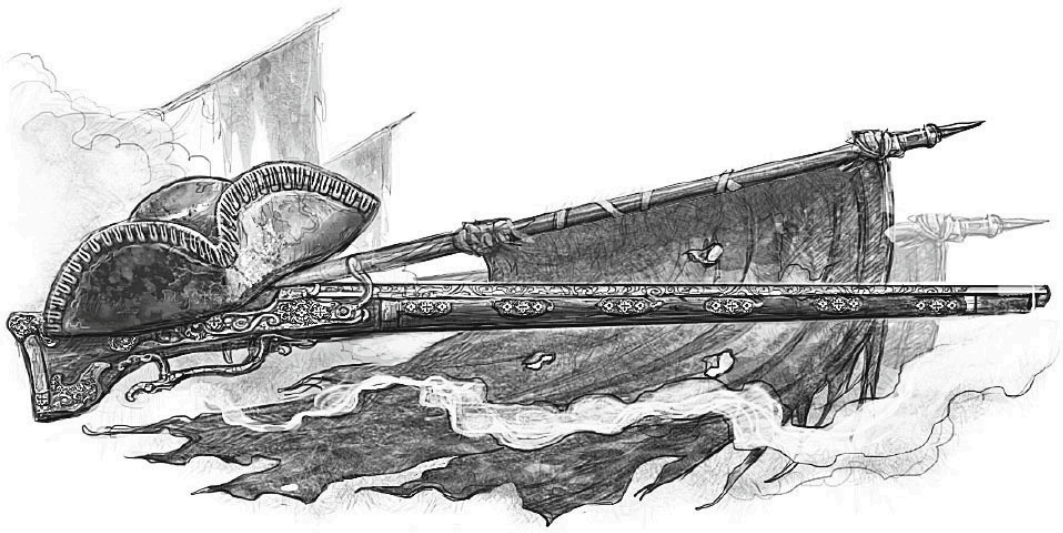

32
ROZDZIAŁ

Taniel zbliżał się do bramy bastionu, zastanawiając się, jak Festiwal Świętego Adoma wygląda teraz w Adopeście. Rano dostali dostawę prowiantu: baryłki piwa, solonej wieprzowiny oraz wołowinę najwyższej jakości. Znacznie lepszą żywność, niż zwykle widywano w Straży.

Mozes był już pod bramą, uzbrojony po zęby w noże, pistolety oraz karabin. Rina, jedna z kobiet Bo, w Straży zajmowała się psami. Zatrzymała się naprzeciw Mozesa, przykucając przy swoich podopiecznych. Zwierzaki zaskomlały cicho, kiedy Taniel do nich podszedł. Przycupnął kilka stóp dalej i przyglądał im się w świetle pochodni.

Były to trzy duże, długowłose mastify. Założono im czarne ćwiekowane obroże, a Rina trzymała je tylko na skórzanych smyczach. Większe od wilków, gdyby tylko chciały, bez trudu zdołałyby ściągnąć ją z górskiego zbocza.

– Po co psy? – zainteresował się Taniel.

Rina nie spojrzała na niego.

– Tunel. – Głos miała niski, łagodny. – Tresowałam tę trójkę w kopalniach. W przeciągu sekundy przemierzą czterdzieści jardów i powalą każdego Uprzywilejowanego. Nie boją się strzałów z muszkietów. – Podrapała jednego za uchem. Odwrócił się ku niej, przekrzywił wielką głowę, wywalając jęzor.

– Jak się wabią?

– Kresim. – Wskazała największego. Potem następnego. – Lourad. – Poklepała tego, którego wcześniej drapała. – A to jest Gael.

Taniel wyciągnął dłoń w stronę Kresima. Pies powąchał ją i się odwrócił.

– Nie są wytresowane do tego, żeby się przyjaźnić – wyjaśniła.

– Ale ciebie lubią.

Pokiwała głową.

– Jestem ich panią.

– Rozumiem. – Taniel wstał. Bo przyszedł razem z Katerine, która patrzyła na nich wszystkich z dezaprobatą. Uprzywilejowany przykucnął obok Riny, objął ją w pasie. Lourad zawarczał nisko.

– Ciii – kobieta syknęła na psa. Lourad położył się na ziemi.

– Cholerne wielkie psiska. – Bo cofnął się o krok. – Przez coś takiego robię się nerwowy – zwierzył się Tanielowi.

– Sypiasz z ich panią – stwierdził prochowy mag. – Przez to ja się robię nerwowy. Jestem zaskoczony, że w ogóle możesz ustać po tym, ile wypiłeś.

Bo spojrzał przez ramię ku Katerine.

– Ona umie otrzeźwić mężczyznę.

– Wyobrażam sobie, że to nic przyjemnego.

Bo aż się wzdrygnął.

Kilka chwil później z ciemności wśród zabudowań wyłoniła się Ka-poel, ubrana w swoje jelenie skóry. Taniel nie widział jej w tym stroju od czasów Fatrasty. Zazwyczaj wolała długi płaszcz oraz szerokoskrzydły kapelusz. Skórzany ubiór opinał jej ciało, przypominając Tanielowi, że ma do czynienia z kobietą, a nie dziewczyną. Wcześniej mag jakoś tego nie dostrzegał. Zorientował się, że przez niedobór prochu drżą mu dłonie, więc zaciągnął się z tabakiery. Pomogło. Odetchnął głęboko, starając się powstrzymać chęć zażycia kolejnej dawki, nim stanie się to naprawdę potrzebne.

Po Ka-poel zjawił się Fesnik, za nim para osiołków obładowanych baryłkami prochu, i wreszcie Gavril. Wszyscy zgromadzili się wokół wachmistrza.

– Mamy wystarczająco dużo prochu, żeby zawalić im tunel – poinformował wszystkich olbrzym. – Możemy ci zaufać, że podpalisz to, kiedy już będziemy w bezpiecznej odległości?

– Tak dużo prochu – ocenił Taniel. – Wtedy bylibyśmy już dla mnie za daleko.

Vlora mogłaby to zrobić. Umiała odpalić proch z większej odległości niż jakikolwiek inny mag, to był jej unikalny talent.

– No to użyjemy lontu – zadecydował Gavril. – Załatwimy to szybko. Nikt nie może nawet pisnąć, zanim nie sprawdzimy tunelu. Rina, to dotyczy także twoich psów. Kto wie jakie tam czekają na nas pułapki albo ilu robotników i żołnierzy mają w środku. Jak już sobie poradzimy, podłożymy proch, a potem spadamy. Jeśli będzie trzeba, zostawiamy osły.

– A czym sobie zasłużyły na taki los? – zapytał Fesnik.

Gavril przewrócił oczyma.

– Wszyscy gotowi?

Pokiwali twierdząco głowami. W ciszy wyszli przez główną bramę.

Na zboczu góry panowała absolutna ciemność, światła błyskały dopiero w okolicy Mopenheig, gdzie nadal obozowała armia Kezu. Weszli w mrok, powoli, by przyzwyczaić wzrok. Szczypta czarnego prochu sprawiła, że Tanielowi zaszumiało w głowie i wyostrzyły się zmysły. Ciemność

przestała mieć przed nim tajemnice, co go wyjątkowo cieszyło, wciąż bowiem pamiętał wycie z poprzedniej nocy oraz wrażenie, że po zboczu góry pełzną jakieś złowrogie istoty.

Taniel ruszył przed siebie. Ka-poel trzymała się za nim w odległości dwudziestu kroków. W ciszy schodzili górskim zboczem, ze wzrokiem utkwionym w kezańskich wartach. Dotarł do ruin pierwszej reduty. Tracono ją i odbijano, aż porzucono, zmiażdżoną czarami oraz ogniem artylerii. Spodziewał się jakichś wartowników, jednak nikogo nie zobaczył.

Tak samo w kolejnych redutach. Na miejscu Kezan wystawiłby w każdej z nich niewielką wartę, aby podniosła alarm w razie kontrataku – nawet i mało prawdopodobnego. W czwartej reducie znalazł jakieś ciało. Głowę urwała armatnia kula, zaś cuchnący trup miał na sobie strzępy kezańskiego munduru. Pewnie przeoczyli go zbieracze zwłok.

Nadal nie było wart.

Wykop zaczynał się zaraz za ostatnią redutą. Taniel pilnie wypatrywał jakichś oznak obecności nieprzyjaciela. Nie było żadnych świateł, żadnych ludzi, a nawet kiedy przytknął ucho do ziemi, nie usłyszał stukania łopat i kilofów. Zmarszczył czoło. Coś się tutaj nie zgadzało. Polecił Ka-poel powiadomić resztę, że mogą iść dalej. Zbocze trwało w ciszy i bezruchu. Prochowy mag słyszał zgrzyt kamieni pod butami zbliżających się towarzyszy.

Byli już na trakcie, zaraz ponad wejściem do tunelu, kiedy zaryczał jeden z osiołków. Taniel poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Opadł do pozycji siedzącej, lufę karabinu skierował ku dołowi, czujnym spojrzeniem omiótł zbocze. Czekał, aż w polu widzenia pojawi się jakaś kezańska głowa, czekał również na ostrzegawcze krzyki i sygnał trąbki wzywającej do boju.

Minęło kilka chwil. Spojrzał za siebie, na Bo i Gavrila. Z twarzy wachmistrza niczego nie dało się wyczytać. Bo wydawał się zirytowany.

Dał znak Tanielowi, a następnie dotknął palcem środka czoła. Taniel pokiwał głową i otworzył trzecie oko. Zawrót głowy szybko minął i mag skupił się na obserwacji okolicy. Kredowe, barwne pozostałości magii

pokrywały całą górę niczym rozbryzgi farby na ziemi pod świeżo malowanym płotem. Wszystkie te ślady były jednak stare i zaczynały blednąć. Taniel spojrzał w stronę tunelu.

To, co tam ujrzał, nie było ani stare, ani wyblakłe. Pod ziemią, w górę zbocza, biegły dwa pasma kolorów. Taniel zamknął trzecie oko i ruszył w stronę tuneli. Ka-poel zaraz za nim.

– Co...? Taniel! – szepnął Gavril. Mag nie zwrócił na niego uwagi. Powoli szedł ponad tunelami, potem ostrożnie zsunął do ich wylotu. Wyżej Ka-poel klasnęła językiem. Zanim dał jej znak, sprawdził, czy w okolicy nie ma żadnych wrogów. Kiedy zeskoczyła, złapał ją i postawił na nogi. Przed sobą mieli dwie dziury ziejące w górskim zboczu. Ciemność była tam zbyt głęboka nawet dla zmysłów Naznaczonego. Dwa tunele, każdy o stopę wyższy od mężczyzny, wydrążone czarami niczym jakimś gigantycznym wiertłem. Spojrzał wzdłuż korytarzy, ku górskiemu zboczu, i domyślił się już, dokąd prowadzą.

Po chwili dołączyli do nich Bo wraz z Gavrilem.

– Nikogo nie ma – stwierdził wachmistrz zaskoczony.

– Dzięki, że nam o tym powiedziałeś – warknął Bo.

– Zamknij się – powiedział mu Taniel.

– Gdzie są wszyscy saperzy? Gdzie Uprzywilejowana? – zapytał Gavril.

– Tam, na górze. – Taniel machnął ręką.

– Sądzisz, że już skończyli?

– Tak.

– A wyjdą...?

– Ponad fortecą – stwierdził Taniel. – Zeszłej nocy wydawało mi się, że coś tam zauważyłem, ale uznałem, że mi się przywidziało w księżycowym świetle. Myliłem się.

Gavril spojrzał w stronę grzbietu.

– Czary, jakich trzeba, żeby się tam wdrążyć...

– Julene – stwierdził sucho Bo. – A razem z nią przypuszczalnie połowa kezańskiej kamaryli.

– Dlaczego jeszcze nie zaatakowali? – zapytał Gavril. – Północno-wschodnia przełęcz jest prawie niestrzeżona. Przez połowę czasu na tamtym murze nie ma nawet wartowników. Mogliby na nas uderzyć od tamtej strony tysiącem ludzi i niewiele zdołalibyśmy poradzić.

– Ona ma gdzieś Straż i fortecę – uświadomił go Bo. – Nigdy jej to nie obchodziło. Chodzi o to, aby dostać się na szczyt góry.

– To nadal nie ma sensu – stwierdził Taniel. – Mogłaby zniszczyć Fortecę Wierchowieńca, a potem ruszyć wyżej w góry. Chyba że...

– ...jej się spieszy – dokończył Bo. – Słyszałem opowieści krążące wśród kamaryli, tak stare jak Kresimir, wedle których najpotężniejsi Uprzywilejowani potrafią używać aury innych planet, księżyca, gwiazd oraz słońca do wzmocnienia własnej magii. A ona do tego potrzebuje letniego przesilenia.

Taniel poczuł ucisk w żołądku. Z trudem oddychał. Pomogła mu szybka dawka prochu.

– Ale nawet jeśli jej się spieszy, to dlaczego nie powiedziała o tych tunelach marszałkowi polnemu Tine’owi? Jak w ogóle zdołała je przed nim ukryć?

– Myślę, że w obozie Kezu dzieje się więcej, niż możemy przypuszczać. Julene na pewno wykorzystuje kamarylę. Ale może nie Tine’a.

Gavril podrapał się po podbródku.

– Ale jak zdołała ukryć coś takiego? I skoro mu nie powiedziała, to po co dwa tunele?

– Przed nami jakoś ukryła – przypomniał mu Taniel. – I myślę, że wiąże się z tym jakiś plan awaryjny. Gdyby nie zdołała przywołać Kresimira, nadal byłaby w stanie zająć fortecę. Nie sądzę, aby brała pod uwagę, że po prostu sobie zejdziemy i znajdziemy to wszystko.

Przez kilka chwil w milczeniu przyglądali się tunelom.

– Czy ona naprawdę może przyzwać Kresimira? – zapytał Gavril.

– Może próbować – odparł Bo. – Czy jej się uda... to wszystko zależy od tego, ilu ma ze sobą Uprzywilejowanych.

– Nie podoba mi się pomysł, żeby tu czekać, aż się dowiemy – podsumował Taniel, następnie odwrócił się z powrotem ku fortecy.

– Dokąd idziesz?

– Potrzebuję paru rzeczy, jeśli mam ją gonić w górę zbocza.

Bo zrównał się z Tanielem szybciej, niż ten się spodziewał.

– To samobójstwo – oświadczył. – Na pewno ma ze sobą ze trzydziestu Uprzywilejowanych. Może też Stróżów i żołnierzy. Jak już cię zwęszą... – pstryknął palcami – to pozamiatane.

– W takim razie nie pozwolę, aby mnie zwęszyli.

Dotarli do pozostałych i przedstawili im sytuację.

– Idę po Julene – oznajmił Taniel.

– Chodzi ci o to, że jest na tyle potężna, aby przyzwać boga? – odezwał Fesnik.

Katerine skrzyżowała ramiona i posłała Tanielowi spojrzenie, z którego jasno wynikało, że uważa go za idiotę.

– Zakładam, że teraz nam powiesz, że to zbyt niebezpieczne dla reszty z nas i zamierzasz wyruszyć sam.

Taniel parsknął śmiechem.

– Nie, do otchłani. Każdy, kto chce, może iść. Wcale mi się nie uśmiecha samotnie umierać na tej zimnej, skurwysyńskiej górze.

Bo prawie się zadławił.

– Ja pójdę – oznajmił.

– Prędzej pójdziesz do otchłani – warknęła Katerine.

– Odczep się, kobieto – zbył ją Uprzywilejowany. – Julene trzeba powstrzymać.

– Też z wami pójdę. – Taniel o mało nie podskoczył, słysząc pozbawiony emocji głos Riny. Trzymała się z boku razem ze swoimi psami. – Gdzie idzie Bo, tam i ja.

– Nie... – zaczęła Katerine.

– Powiedziałem dość! – huknął Uprzywilejowany.

Gavril sprawiał wrażenie rozdartego.

– Powinienem... – zaczął i umilkł.

Taniel uświadomił sobie, że Gavril chciał z nimi iść, ale był przecież odpowiedzialny za całą fortecę. Wachmistrz powinien zostać i dowodzić obrońcami, na wypadek gdyby marszałek polny Tine znowu zaatakował.

– Odpowiadasz za to, co dzieje się tutaj – Taniel uciął jego rozterki i w tej samej chwili o czymś sobie przypomniał. – Czy mnisi pozwolą im przejść?

– Nie wiem – odparł Bo. – Jeśli nie, to Julene zrówna klasztor z ziemią.

– Cholera! – splunął Gavril. – To są dobrzy ludzie. – Odwrócił się do Mozesa i Fesnika. – Szykujcie proch.

Zanim podpalili lont, cofnęli się o cztery reduty. Taniel patrzył, jak płomyk pełznie po zboczu. Gdy proch eksplodował, cała góra zadrżała. Mag poczuł, jak pod stopami przesuwa mu się ziemia. Ostatnia reduta zapadła się w pozostałości tunelu. W przeciągu kilku minut obóz Kezan rozjarzył się światłami, rozbrzmiał wrzawą.

Wrócili do fortecy. Zaopatrzyli się w proch i broń i pół godziny później spotkali się przy północno-wschodniej bramie. Grupa okazała się większa, niż Taniel by sobie życzył: Bo, Rina ze swoimi psami, Fesnik, Mozes oraz jeszcze ośmiu strażników, których mag widywał w obozowisku.

– Nie możemy zabrać aż tylu – zakomunikował Gavrilowi.

Rosły wachmistrz stał pod bramą, ewidentnie wciąż pełen wahań.

– Będziecie potrzebowali ludzi – nalegał. – Jeśli wdacie się w walkę, rozejdźcie się po wzgórzu tak bardzo, jak tylko zdołacie. Jeśli dojdzie do najgorszego, wyślijcie kogoś do nas z wieścią, że otchłań właśnie wyrzygała się na Adro.

– Tak zrobimy – zapewnił Taniel.

– Powodzenia.

Prochowy mag podszedł do Ka-poel. Spojrzał na jej plecak przewieszony przez ramię.

– Jest jakaś szansa, żeby cię przekonać, żebyś tu jednak została? – zapytał.

Dynizyjka stanęła mocno i pewnie.

– Sądzę, że nie – westchnął. – To idziemy.

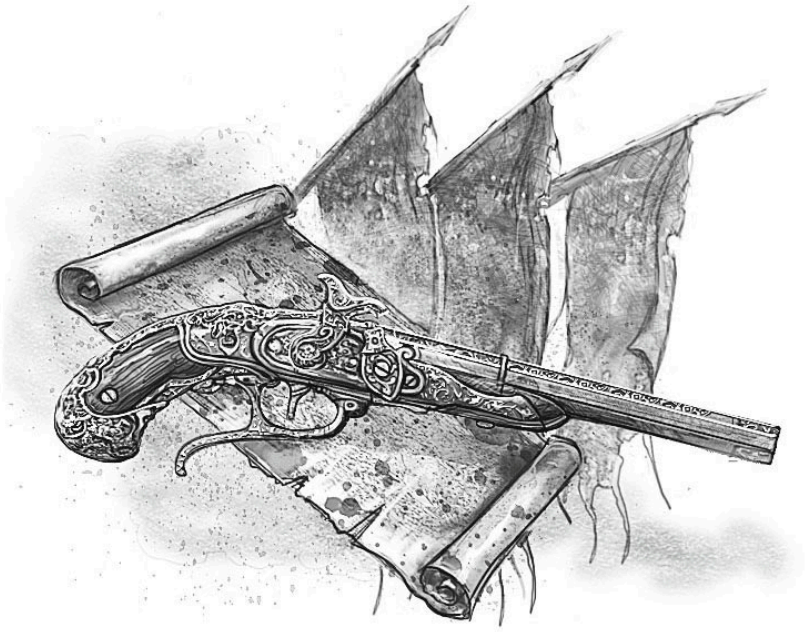

33
ROZDZIAŁ

Adamat wrócił do domu po zmierzchu, miał za sobą kolejny dzień pytań bez odpowiedzi. Kolejny dzień udręki, strachu o rodzinę, której nie był w stanie ochronić, i przed szantażystą, przed którym nie mógł się bronić. Bolały go stopy, oczy same się zamykały. Jednak gwar świętującego miasta, narastające podekscytowanie świętem, o którym nie zapomniano pośród całej tej wojny i chaosu, podniosły go na duchu. Ale i to podekscytowanie szybko zaczęło go męczyć. Zatrzymał się przy tylnych drzwiach i uważniej spojrzał na zamek. Potarł palcem miejsce przy dziurce od klucza. Poczuł nutkę jakiegoś delikatnego zapachu: słododzwonek, przyprawa z Gurli.

– Co jest? – odezwał się z tyłu SouSmith.

– Nic. – Adamat otworzył drzwi. Większą część wieczora spędzili, szukając w Archiwum Publicznym planów willi Charlemunda. W końcu je znaleźli, ale tak stare, że bezużyteczne. Wystarczyło bowiem zobaczyć dom z zewnątrz, aby stwierdzić, że Charlemund mocno go przebudował. Inspektor nie mógł się zdecydować, czy jednak powinien nocą wkraczać do willi. Gdyby go złapano, poniósłby surowe konsekwencje, ale przecież nie zdoła przeprowadzić pełnego śledztwa bez starannego przeszukania.

SouSmith od razu ruszył do pokoju gościnnego, zaś Adamat do gabinetu. Nie potrzebował światła, by znaleźć drogę we własnym domu. Zapach słododzwonka, wciąż bardzo delikatny, najmocniejszy był w gabinecie. Adamat wydobył z barku butelkę brandy, po czym nalał do trzech szklanek. Wziął sobie jedną, usiadł w fotelu i zapalił fajkę. Zaciągnął się kilka razy, upewniając, że fajka się pali, po czym wypuścił dym przez nos. Zapałką dotknął knota lampy.

– Mam za sobą długi dzień – oznajmił. Przycisnął chłodną szklankę do czoła i spod przymrużonych powiek przyjrzał się mężczyźnie w kącie pokoju.

Przybysz mrugnął, gdy zalśniła lampa. Miał skórę o niemal czerwonym odcieniu, charakterystyczną dla mieszkańców Gurli. Pyzata twarz całkowicie pozbawiona zarostu, miękkie jak u kobiety ciało, nadto zasobne w tłuszcz w okolicy talii, były dowodem tego, że wykastrowano go, nim osiągnął dojrzałość.

Adamat wskazał jedną ze szklanek na stole.

– Napije się pan?

Eunuch stał w kącie, dłonie miał schowane wewnątrz długich rękawów. Powoli ruszył przed siebie.

– Skąd pan wiedział, że tutaj jestem? – zapytał dziecięcym głosikiem.

– Słyszałem o panu – odparł Adamat. – O cichym zabójcy Szafarza. Mówi się, że pan pojawia się i znika bez śladu. Jestem detektywem od lat. Nawet najlepsi pozostawiają zadrapania na zamku, kiedy się włamują.

– Śledzi pana wiele osób – zauważył eunuch. – Marszałek polny Tamas, agenci lorda Claremonte’a. Jak pan rozpoznał akurat mnie? – Zdawał się szczerze zaciekawiony.

Agenci lorda Claremonte’a? Adamat starał się nie pozwolić, aby na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie. Czyli to on wynajął lorda Vetasa?

– Oczekiwałem pańskiej wizyty, od kiedy Tamas kazał mi szukać zdrajcy. Prędzej czy później musiało do niej dość.

– Nie odpowiedział mi pan.

Adamat uniósł szklankę, dając do zrozumienia, że usłyszał to pytanie. Jednak wciąż uchylał się od odpowiedzi.

Eunuch podszedł do biurka. Przyjrzał się szklance z brandy, ale się nie napił. SouSmith wszedł do pokoju w koszuli nocnej i szlafroku. Zatrzymał się. Adamat zauważył, że bokser zacisnął pięści, ale to była jedyna reakcja na obecność eunucha.

– SouSmith – przywitał go wysłannik Szafarza z lekkim ukłonem łysej głowy. – Od jakiegoś czasu nie widujemy cię w Arenie. Zastanawiamy się, czy jeszcze do nas wrócisz.

SouSmith pociągnął nosem niczym niedźwiedź, gdy wyczuwa węża.

– Wrócę, kiedy Szafarz przestanie mnie próbować zabić – odparł.

– Napij się, przyjacielu. – Adamat zaproponował bokserowi brandy.

Pięściarz wziął szklankę i cofnął się na korytarz, ustawiając w jedynym wyjściu. Eunuch zdawał się nie zwracać na to uwagi.

– Zakładam, że zjawił się pan w związku z moim śledztwem – powiedział Adamat.

– Mój pan poinstruował mnie, abym odpowiadał na pańskie pytania w granicach rozsądku, co ma przekonać pana, że nie jest zdrajcą, którego pan szuka – odpowiedział eunuch z poważną miną.

Adamat zastanowił się chwilę. Wiedział, dlaczego Szafarz poparł Tamasa: część Ugód dotyczyła kezańskiej policji, co drastycznie odmieniłoby półświatek Adopestu. Krótko mówiąc, Ugody oznaczały głowę Szafarza w katowskim koszu. Był zbyt wpływową osobistością zbrodniczego podziemia, by pozwolono mu pozostać przy życiu.

I tajemnica okrywająca jego tożsamość nie miała tu najmniejszego znaczenia. Kez rozdarłby Adopest na kawałki, byle odnaleźć Szafarza.

Gdy Ugody przestały wisieć nad Adro, Szafarz mógł rozważać zwiększenie chaosu poprzez usunięcie Tamasa. Miałby jednak wtedy ten sam problem, co większość jego towarzyszy z rady. Po śmierci marszałka Kez najprawdopodobniej wygrałby wojnę, Ugody i tak zostałyby wprowadzone w życie, kto wie czy nie w wersji daleko bardziej restrykcyjnej.

– Skąd ta otwartość? – zainteresował się Adamat.

– Mój pan nie życzy sobie, by wtykał pan nos w jego sprawy. Cieszy się pan reputacją człowieka nieskończenie upartego i niepowstrzymanego. Jednakże Tamas jasno zapowiedział, że zabicie pana przyciągnie jego uwagę w najbardziej niemiły sposób. Najprostszym rozwiązaniem jest więc uporać się ze śledztwem jak najszybciej.

– Pragmatyczne podejście – ocenił detektyw. Czy Szafarz rzeczywiście był takim realistą, czy może starał się odsunąć od siebie dochodzenie? – Czy Szafarz wie, kto próbował zabić Tamasa?

– Nie – odparł eunuch bez wahania. – Przeprowadził śledztwo na własny rachunek. Kimkolwiek jest zdrajca, nie korzysta z adrańskich pośredników. Mój pan by o tym wiedział.

– To znaczy, że zdrajca zadaje się bezpośrednio z Kezem – zrozumiał Adamat.

– To nie podskarbi – oznajmił eunuch. – Szafarz ma na niego baczenie, przez ręce podskarbiego przepływają wszystkie pieniądze w mieście. Nie jest nim także lady Winceslav. Mamy kilku agentów w jej posiadłości.

– Jeden z jej brygadierów był zamieszany – zauważył Adamat.

– Tylko jeden – podkreślił eunuch. – Brygadier Barat nie miał takiego poczucia lojalności i sprawiedliwości jak pozostali.

– Kanclerz?

Eunuch się zawahał.

– Kanclerz... Pierwszy Lektor... jest równie nieprzewidywalny co Brude.

Brude. Święty z Brudanii o podwójnym obliczu. Dziwne porównanie.

Adamat poczekał, by eunuch powiedział coś więcej, ten jednak milczał. Podskarbi także miał pewne wątpliwości co do Pierwszego.

– Sugeruje pan – podjął detektyw – że Pierwszy Lektor jest równie zdolny do zdrady, co Ricard Tumblar i arcybiskup? To przecież szanowany dyrektor placówki naukowej.

– Tak jak już powiedziałem – cicho powtórzył eunuch – nie jest tym, na kogo wygląda.

Adamat zaciągnął się fajkowym dymem. Zakładając, że eunuch mówi prawdę, a było to bardzo ryzykowne założenie, najprawdopodobniej zdrajcą był Ricard Tumblar. Arcybiskup był zepsuty, władza przewróciła mu w głowie, jednak nie miał zbyt wielu powodów, aby chcieć widzieć Tamasa martwym. Ricard z kolei zrobiłby wszystko dla swoich związków. Bardzo prawdopodobne, że zawarł jakiś tajny układ z Kezem.

Adamat znowu pomyślał o przeszukaniu willi Charlemunda. Tylko brak wyników tego przeszukania nie pozwalał mu otwarcie oskarżyć Tumblara. Oczywiście musiał jeszcze sprawdzić kanclerza.

– Dziękuję – zwrócił się do eunucha. – Był pan niezwykle pomocny. Proszę przekazać swojemu panu, że będę unikał wtykania nosa w jego sprawy. Jeśli zdołam.

Eunuch uśmiechnął się beznamiętnie.

– Będzie zadowolony.

– SouSmith, pokaż naszemu gościowi drogę do wyjścia.

Bokser wrócił po chwili i usiadł na sofie.

– Aż mnie ciarki przechodzą – stwierdził.

– Mnie również. – Adamat rozkoszował się aromatem dobrego tytoniu wiśniowego, który zostawiał na języku delikatny posmak. To odprężało. – Sądzisz, że mówi prawdę?

– Ponoć zawsze mówi szczerze – mruknął SouSmith.

Adamat spojrzał na boksera z zaciekawieniem.

– Naprawdę? Słyszałem, że temu eunuchowi nie należy ufać.

– Nie mówię o samym eunuchu – uściślił SouSmith. – Kiedy przemawia w imieniu Szafarza, jego słowo jest złotem.

– Muszę uwierzyć ci na słowo – stwierdził Adamat. Zanotował sobie w pamięci, by lepiej przyjrzeć się sprawom Szafarza, byle nie tak, aby przy tym zginąć.

Adamat następną godzinę spędził przy biurku, czytając codzienną gazetę, a SouSmith drzemał na sofie. Kiedy detektyw ostatecznie zdecydował się położyć, noc była już bardzo cicha.

Ciężko szedł po schodach, głęboko zadumany, z SouSmithem za plecami. Na szczycie Adamat spojrzał w ciemny korytarz.

– Nie zapalałeś lampy, gdy wchodziłeś na górę?

Zadziałały instynkty głębsze od zwykłego refleksu. Detektyw rzucił się w tył, w dół schodów, poczuł ruch powietrza, gdy brzytwa minęła jego gardło. SouSmith zaklął głośno. Huknął strzał.

Adamat leżał na schodach, tak jak upadł. W uszach dzwoniło mu od huku. Strzał padł z głębi korytarza. Detektyw nie poczuł kuli, nie ważył się pytać SouSmitha. Przycisnął dłoń do gardła. Poczuł krew. Tylko muśnięcie ostrzem, lekko draśnięta skóra.

Adamat nasłuchiwał uważnie. SouSmith poleciał w dół schodów i leżał teraz przy pierwszym stopniu. Albo zachował tyle zimnej krwi, by się nie ruszać, albo został trafiony i zginął na miejscu. Detektyw modlił się o to pierwsze.

Odetchnął głęboko. Ktokolwiek go zaatakował, czekał teraz u szczytu schodów. W korytarzu nikt się nie poruszył, od razu byłoby słychać skrzypienie podłogi. Napastnik czekał. Na pewno zrozumiał, że nie udało się za jednym zamachem dostać zarówno Adamata, jak i SouSmitha. Detektyw w skupieniu nasłuchiwał i wpatrywał się w ciemność, chcąc ustalić liczbę zabójców. Weszli do domu, kiedy czytał gazetę, przypuszczalnie oknem na górze.

Powoli podniósł się na kolana, unikając środkowej części stopni, bo w tamtym miejscu zdarzało im się trzeszczeć. Powoli, na rękach i kolanach, wchodził na górę, aż zdołał wyciągnąć palce i dotknąć podłogi korytarza.

Ostrożnie sięgał palcami coraz dalej. Wreszcie na coś natrafiły. Dotykiem leciutkim jak piórko wymacał skórzane kontury jednego buta,

potem drugiego, aż wreszcie ustalił, gdzie dokładnie stoi napastnik. Wyobraził sobie jego pozycję. Przypuszczalnie miał teraz uniesioną rękę, w niej brzytwę albo nóż. Adamat nie potrafił stwierdzić, w której ręce. Postanowił więc zaryzykować.

Skoczył do przodu. Lewą dłonią złapał prawy nadgarstek napastnika, a przedramieniem uderzył go w gardło. Intruz krzyknął zaskoczony. Adamat poczuł, że coś ostrego drasnęło mu ucho. Czyli nie ta ręka.

Pociągnął prawą rękę w dół i obrócił napastnika, starając się odgadnąć, jak ten machnie brzytwą w lewej. Uderzył go łokciem w bark. Mężczyzna stęknął i w tej samej chwili ktoś strzelił, błysk na chwilę oślepił Adamata. Detektyw poczuł, jak przeciwnik wzdryga się i wiotczeje, trafiony przeznaczoną dla Adamata kulą.

Napastników było więc co najmniej dwóch, może więcej. Detektyw skoczył do przodu. Pistolet wypalił gdzieś w głębi korytarza, nieopodal drzwi jego sypialni. Adamat sięgnął na ślepo i chwycił gorącą lufę. Drugą rękę wsadził do kieszeni, szukając scyzoryka. Dwie dłonie uderzyły go w pierś. Został popchnięty ku schodom. Zaczepił o coś piętą – ciało pierwszego napastnika – i poturlał się w dół.

Wylądował obok drzwi wejściowych. W uszach mu dzwoniło, w głowie się kręciło, ale wciąż mógł się ruszać.

Na schodach zadudniły kroki. W blasku księżyca wpadającym przez okno z przodu pojawiły się teraz dwie postacie. Jedna z grzechotem upuściła pistolet i wyciągnęła coś zza pasa. Adamat usłyszał delikatne kliknięcie, w słabym świetle coś błysnęło.

Poderwał się, wycofał w stronę kuchni, tak aby nie mogli zaatakować go od góry. Tamci ruszyli za nim. Jeden dał nura do gabinetu, drugi następował Adamatowi na pięty.

Detektyw wyciągnął scyzoryk. Podłoga zaskrzypiała pod nogami zbliżającego się napastnika. Adamat czuł, jak kropla potu spływa po czole, zalewa oko.

Jeden z intruzów zapalił lampę w gabinecie. Teraz Adamat zobaczył zarys sylwetki tego, który szykował się do ataku. Mężczyzna był średniego

wzrostu, nisko się przygarbił i szeroko rozstawił nogi, aby lepiej zachować równowagę. *Do otchłani* – zaklął w myślach detektyw. Drugi napastnik wyłonił się zza rogu z lampą w dłoni. Światło padało na Adamata, oślepiając go, a zarazem działając na korzyść jego przeciwników. Detektyw skoczył i uderzył na ślepo.

Ktoś krzyknął. Adamat poczuł zimne ukąszenie, które smagnęło mu pierś. Czyjaś dłoń chwyciła za rękę ze scyzorykiem. Szarpnął się. Czekał, aż ogarnie go słabość, płynąca ze śmiertelnej rany. Ale dostał tylko łokciem w pierś.

W dalszej części przedpokoju coś się poruszyło. Światło zatańczyło gwałtownie. Adamat dostrzegł SouSmitha, który potężnymi ramionami pochwycił mężczyznę z latarnią. Zagrzmiał wystrzał z pistoletu.

Adamat zdołał uwolnić rękę z nożem. Przeciwnik naparł ręką zbrojną w brzytwę. Detektyw pchnął z całej siły, modląc się, aby cios trafił w cel. Wyciągnął ostrze, następnie dźgnął jeszcze raz, potem jeszcze raz, aż wreszcie przeciwnik zawołał zmiłowania i upadł.

Adamat oparł się o tylne drzwi i rozejrzał po korytarzu, wypatrując jakiegokolwiek ruchu. Próbował uspokoić oddech i nasłuchiwać, czy ktoś nie czai się jeszcze w innej części domu.

– Wszyscy już? – wymamrotał SouSmith.

Adamat odetchnął głębiej kilka razy.

– Tak sądzę. Jeden zabity na schodach, dwóch tutaj na dole. Jesteś ranny?

– Postrzelony – odparł SouSmith. – Dwakroć. A ty?

Detektyw się skrzywił.

– Nie wiem.

Trącił czubkiem stopy jednego z napastników. Człowiek jęknął cicho. Adamat pokuśtykał do gabinetu, pierś promieniowała mu bólem. Przycisnął do niej dłoń, czując, że stała się śliska od krwi. Pochylił się, każdy cal był istną agonią, aż wreszcie podniósł lampę. Jakimś cudem świeczka w środku nie zgasła.

W korytarzu panował chaos. Na podłodze okruchy tynku mieszały się z krwią. Do tego trzy ciała. Adamat podszedł do SouSmitha. Bokser siedział na najniższym stopniu schodów, z dłonią wsuniętą pod koszulę. Jej przód był cały we krwi.

Detektyw przełknął ślinę.

– Daj, niech zobaczę.

Zapalił lampę w holu i rozciął koszulę SouSmitha brzytwą jednego z napastników. Kula musnęła pięściarzowi lewe ramię, odrywając kawałek ciała wielkości palca. Druga trafiła go w brzuch i Adamat o mało nie zwymiotował na widok rany.

– Jest źle? – SouSmith oparł głowę o ścianę. Pot zaperlił mu się na czole i policzkach. Próbował go otrzeć, ale tylko umazał się krwią.

– Dostałeś w brzuch. Nie ma jak stwierdzić, czy kula trafiła jakieś organy wewnętrzne. Potrzebujesz chirurga. Trzymaj tutaj dłoń, spróbuj zatamować krew. Postaram się sprowadzić pomoc.

Nie musiał iść daleko. Wielu sąsiadów słyszało wystrzały. Wylegli na ulice zbrojni w lampy i pistolety. Z otwartymi ustami gapili się na Adamata, starali zerknąć do wnętrza domu.

– Niech ktoś sprowadzi chirurga – poprosił detektyw słabym głosem. – I wyśle gońca do Domu Szlachty. Z wiadomością dla marszałka polnego Tamasa. Niech się upewni, że marszałek ją otrzymał. Niech mu powie... niech powie, że Adamata napadli Balwierze z Ulicy Czarnej.

Nikt nie pobiegł ulicą, nikt nie ruszył, aby wzywać powóz. Niektórzy cofnęli się, przestraszeni już samą wzmianką o ulicznym gangu.

– Proszę – Adamat słyszał rozpacz we własnym głosie.

Jeden z sąsiadów wystąpił przed pozostałych. Był to starszy dżentelmen, weteran wojen w Gurli. Miał czarny płaszcz narzucony na koszulę nocną. W dłoniach ściskał wiekowy garłacz. Detektyw przypomniał sobie, że sąsiad o długich białych bokobrodach ma na imię Tulward.

– Znam się trochę na ranach. Z wojny – oznajmił Tulward. Odwrócił się, wykrzykując w stronę swojego domu: – Millie! Przyślij tu chłopca! Szybko! Ludzie, wracać do domów. I to już! – huknął do gapiów.

Adamat pokiwał w podziękowaniu głową, razem z Tulwardem weszli do domu.

– Jest pan ranny? – zapytał sąsiad.

Adamat wskazał na SouSmitha.

– On gorzej. Dostał kulę w brzuch.

Tulward skrzywił się i fachowym spojrzeniem obrzucił ciała, po czym podszedł do SouSmitha.

Detektyw jęknął, ciężko oparł się o ścianę. Dopiero teraz mógł przyjrzeć się efektom starcia. Jeden z mężczyzn wciąż trzymał się życia, leżał u wejścia do gabinetu. Adamat zignorował błagalny wyraz jego oczu. Drugi spocczywał u szczytu schodów, na boku, trafiony przez własnego kamrata. Pocisk wszedł policzkiem i tamten zginął natychmiast. Po schodach kapała krew.

Ostatnie ciało wciąż stało wyprostowane, bo jego głowa została wbita w ścianę. Detektyw podkuśtykał, aby lepiej mu się przyjrzeć. To był ten, który trzymał latarnię. SouSmith złapał go za twarz i rozbił jego głową cegły.

Tulward przykucnął przy pięściarzu. Mówił coś do niego cicho, obmacywał brzuch. Adamat podszedł do ocalałego zabójcy. Zdjął mu surdut, starając się nie zadawać niepotrzebnego bólu. Mężczyzna jęknął.

– Próbuję pomóc... – Detektyw zamarł. Przyjrzał się twarzy mężczyzny, po raz pierwszy tak naprawdę.

– Coel – powiedział.

Cherlawy pomocnik Ricarda z doków. Adamat wziął drżący oddech.

Skończył ściągać surdut Coela. Ogarnięty paniką, dźgnął go scyzorykiem w pierś co najmniej dziesięć razy. Rany nie były głębokie, ale Coel się wykrwawiał. Adamat podwinął mu rękaw koszuli, tak tylko, dla pewności. Znalazł tam to, czego się spodziewał: czarny tatuaż, przedstawiający balwierską brzytwę.

Kiedy przybyli żołnierze Tamasa, Coel już dawno nie żył. W domu zaroiło się od ludzi, co uspokoiło Adamata, który obawiał się, że kolejni Balwierze mogą pojawić się, by dokończyć dzieła. Zespół chirurgów

zaniósł SouSmitha do salonu. Wrzaski i przekleństwa boksera świadczyły, że lekarze starali się wydobyć z niego kulę.

Adamat siedział na schodach, tępo wpatrując się we frontowe drzwi.

– Może się panu przydać kilka szwów.

Adamat uniósł wzrok. U dołu schodów stał Tamas, z jedną dłonią na balustradzie, ciężko opierając się na kuli. Cuchnął prochem. Skinieniem głowy wskazał pierś detektywa.

Inspektor spojrzał w dół. Rana była powierzchowna, ale piekła tak bardzo, jak gdyby ktoś wycisnął na nią cytrynę. Wciąż krwawiła.

– Kiedy skończą z SouSmithem, wtedy przyjdzie pora na mnie. – Adamat przerwał na chwilę. – Pan jeszcze nie doszedł do siebie.

Tamas przyglądał mu się kilka chwil.

– Balwierze z Ulicy Czarnej nie mieli brać innych zleceń. Rankiem więc sprawy przybiorą dla nich bardzo niemiły obrót. Jest pan wielkim szczęściarzem. Widziałem kiedyś, jak pracują. – Tamas odwrócił wzrok od Adamata i spojrzał na plamy krwi na podłodze. – Szkoda, że żaden nie przeżył.

– No szkoda – zgodził się detektyw. – Jednak nie byłem w stanie myśleć rozsądnie, napadnięty w ciemnościach przez mężczyzn z brzytwami – mruknął. – Teraz miesiącami nie będę w stanie się golić. – Przesunął dłonią po gardle, po brzytwie pozostała wąska kreska zaschniętej krwi. Dłoń mu zadrżała. Ogarnęła go nagła chęć, by opowiedzieć Tamasowi o wszystkim: o lordzie Vetasie, o swojej rodzinie. A może Tamas już wie. Nie był kimś, kogo dawało się otumanić. Jednak marszałek nie pozwoliłby Adamatowi na kontynuowanie śledztwa, gdyby zwątpił w lojalność detektywa.

Adamat poczuł, że się czerwieni.

Tamas zdawał się tego nie dostrzegać.

– Jak pan myśli, kto zlecił pańską śmierć? – zapytał.

Przecież to było jasne.

– Balwierze z Ulicy Czarnej są lojalni względem Ricarda Tumblara. – Skinieniem głowy wskazał ciało Coela, przepchnięte pod ścianę korytarza.

– A ten tutaj przynosił Ricardowi wino, kiedy spotkałem się z nim jakiś miesiąc temu.

– Niezbyt obciążający dowód – stwierdził Tamas. – Jest jeszcze jakiś inny powód tego, że Ricard chciałby pana śmierci?

– Nie – odparł zmartwiony Adamat. Przypomniał sobie czasy, kiedy jakieś piętnaście lat temu Ricard trafił do więzienia za próbę założenia związków zawodowych. Adamat, już wtedy cieszący się nieposzlakowaną opinią, poręczył za Tumblara, dzięki czemu ten następnego dnia znalazł się na wolności.

Dwa lata później, kiedy Adamat był zbyt biedny, aby kupić dzieciom prezenty na Dzień Świętego Adoma, Ricard pojawił się u jego drzwi z podarkami wartości półrocznych dochodów inspektora. Przez lata wielokrotnie się nawzajem wspierali. Adamat nie mógł pozwolić, by ich przyjaźń skończyła się w taki sposób.

– Wyślę oddział, aby natychmiast go sprowadził – oznajmił Tamas. Odwrócił się do jednego z żołnierzy.

– Niech pan poczeka – powiedział Adamat.

Tamas zatrzymał się, odwracając ze skrzywioną miną.

Adamat zamknął oczy.

– Niech mi pan da jeszcze trochę czasu. Nie mamy pewności, że to Ricard.

Tamas uniósł brwi.

– Inspektorze, Balwierze z Ulicy Czarnej są już skończeni. To nie była żadna pomyłka. Odpowiadają przed Ricardem. Kiedy się z nimi porachuję, ślad po nich nie zostanie.

– Oni przecież są do wynajęcia – przypomniał Adamat, świadom, że to bardzo lichy argument. – W zeszłym tygodniu dałem Ricardowi okazję, aby mnie zabił. Nie skorzystał z niej.

Tamas spojrzał wprost na detektywa.

– Jeśli poczekamy jeszcze kilka godzin, rozejdzie się wieść, że zabójcy zawiedli, i przed wschodem słońca będzie już na statku do Kezu.

– Proszę o czas do południa – powiedział Adamat.

– Nie mogę na to pozwolić. – W głosie Tamasa pojawiła się nutka złości. – Jeśli zdrajca mi umknie, stracę kontrolę nad radą i obrócą się przeciwko mnie.

– Niech pan wyśle oddział – poradził Adamat. – Niech pan im każe pilnować Ricarda na wszelkie sposoby i aresztować go, jeżeli spróbuje uciec. Wtedy to będzie wyraźny dowód zdrady. Ale jeśli teraz zrobi pan błąd, nadal będzie miał pan zdrajcę w swoich szeregach, a Szlachetnych Wojowników Pracy przeciwko sobie.

Tamas zdawał się wahać.

– Proszę dać mi czas do południa – nalegał Adamat. – Sądzę, że zdołam dotrzeć do sedna sprawy.

– Jak?

Detektyw przełknął szybko ślinę.

– Muszę pożyczyć jednego z pańskich prochowych magów. Pójdę na spotkanie z Balwierzami.

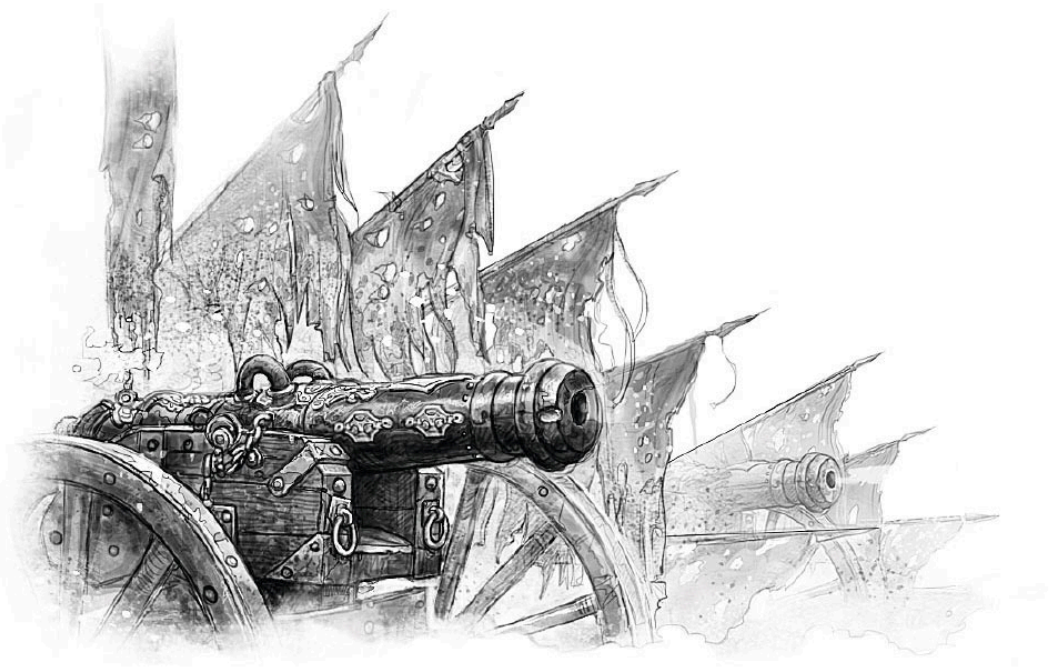

34
ROZDZIAŁ

Balwierze z Ulicy Czarnej byli jednym z najstarszych ulicznych gangów Adopestu. Twierdzili, że istnieją od stu pięćdziesięciu do trzystu lat, w zależności od tego, kto pytał i ile wypił. Ich kwaterę główną stanowiła obskurna kamienica, ledwie kilka ulic od Wodociągów. Wedle lokalnej policji w gangu było siedemdziesiąt pięć osób.

Adamat przyglądał się budynkowi z bezpiecznej odległości. Wydawało się, że kamienica miała za sobą lepsze czasy. Była piętrową, walącą się ruiną, skleconą z mułowej cegły, zdecydowanie za starej, aby bezpiecznie wchodzić do budynku. Na piętrze mieściły się sypialnie, zaś parter wyglądał jak wielki bar. Przed budynkiem, w świetle słońca, rozstawiono

krzesła. Nieopodal kilku Balwierzy grało w kości na chodniku, czekając na dokerów, którzy chcieliby się ogolić.

– Nie podoba mi się zadawanie się z Balwierzami – oznajmił SouSmith.

Adamat zerknął na przyjaciela. SouSmith miał na sobie krótki czarny surdut z podwiniętymi rękawami. Opierał się o ścianę zamkniętej koksowni. Na czole perlił mu się pot, a w oczach lśniło cierpienie, jedyny dowód na to, że zeszłej nocy został dwukrotnie postrzelony i zoperowany. Kulę usunięto bezpiecznie. Ktoś słabszy pewnie tkwiłby teraz po szyję w opiatach.

– Mówiłem, żebyś nie przychodził.

– Zapłaciłeś mi – zauważył SouSmith. – Nie mogłeś iść sam.

Adamat parsknął. Zdecydowanie nie przyszedł tu sam. SouSmith pewnie chciał przebić ścianę głową jeszcze jakiegoś Balwierza. Adamat potarł pierś, opierając się pokusie skubania szwów.

Przyglądał się, jak trzy oddziały żołnierzy obsadzają ulicę, odcinając wszelki ruch po obu stronach. Kolejne dwa oddziały, niewidoczne dla Adamata, skryły się za siedzibą gangu. Jeden z Balwierzy grających w kości uniósł wzrok. Poklepał przyjaciela po ramieniu i coś pokazał, następnie spiesznie wszedł do środka.

– Czas wkraczać – orzekł Adamat. Odepchnął się od ściany i ruszył ulicą.

Wśród żołnierzy pojawił delivijski porucznik Tamasa, Sabon. Niebieski mundur miał nienagannie wyprasowany, mahoniową głowę dokładnie ogoloną, na jednym biodrze pistolet, na drugim krótką szpadę. Pozdrowił Adamata skinieniem głowy.

– Nie dajcie im podejść za blisko – zalecił detektyw. – Są śmiertelnie niebezpieczni z tymi swoimi brzytwami.

Poczekał chwilę, aż dołączy do nich SouSmith. Już samo przejście przez ulicę sprawiło, że twarz boksera pobladła i spocił się, jak gdyby był właśnie środek lata. Adamat już otwierał usta, aby go odesłać, jednak uznał, że lepiej tego nie robić. Jeśli SouSmith będzie chciał przyjść, i tak przyjdzie.

Adamat dla pewności pomacał pistolet schowany pod długim płaszczem. Mocno chwycił laskę i pomaszerował w stronę wejścia, ignorując ból w piersi.

Kopnięciem otworzył drzwi. Całkiem wyleciały z zawiasów, a na podłogę opadł deszcz rdzy. Pomieszczenie za progiem było dobrze oświetlone, po wschodniej stronie ciągnęły się otwarte okna, przed nimi stał rząd foteli balwierskich. Pod nimi, na podłodze, widniały ślady krwi, cegły też znaczyły krwawe rozbryzgi. Po przeciwnej stronie znajdował się długi bar, a za nim na ścianie piętrzyły się zapasy rozmaitych trunków. Przy skraju baru stała beczka wina, mogąca pomieścić dorosłego chłopa.

Mężczyźni w pomieszczeniu popatrzyli po sobie i ruszyli w stronę intruza. Wyglądali podobnie. Chudzi jak szczapy, o chorobliwym wyglądzie, w fartuchach na białych koszulach.

– Cześć, Teef – powiedział detektyw do tego, który szedł na przedzie.

Mężczyzna właśnie wyciągał brzytwę z kieszeni, kiedy jego spojrzenie padło na twarz nieproszonego gościa. Zrobił wielkie oczy i o mało nie wypuścił ostrza. Laska Adamata świsnęła, trafiając Teefa w nadgarstek. Brzytwa poleciała w powietrze.

Towarzysze Teefa nie rozpoznali intruza. Wyciągnęli brzytwy wprawnymi ruchami, ku Adamatowi skierowały się blade ręce. Detektyw się wzdrygnął.

Trzech mężczyzn obok Teefa jednocześnie zareagowało na trzask prochowego wybuchu. Brzytwy wypadły im z dłoni, na twarzach pojawiło się zaskoczenie i ból, gdy chwycili się za krwawiące nadgarstki. Trzy kule przeszyły trzy przeguby – chociaż nikt nie dobył pistoletu. Adamat smagnął Teefa po policzku końcem laski, a potem przytknął ją Balwierzowi do szyi. Spojrzał przez ramię. SouSmith stał w środku, zaraz za drzwiami, oczy miał zamknięte i ciężko opierał się o ścianę. Sabon spokojnie czekał z boku, jego spojrzenie wędrowało po wnętrzu tak, jakby był to pierwszy z brzegu zakład balwierski. Tylko unosząca się nad nim chmura prochowego dymu zdradzała, co właśnie zrobił.

– Co jest, do otchłani? – Głos Teefa się załamał. – Co wy robicie? Zarżnąć ich! – Zerknął na swoich kamratów i opadła mu szczęka. – Co się stało...? – Poruszał ustami jak ryba wyciągnięta z wody. Spojrzał na Sabona, wtedy na jego twarzy błysnęło zrozumienie. Adamat przycisnął Balwierzowi czubek laski do gardła.

– Zarżnąć ich, co? – zapytał Adamat. – To właśnie powiedziałeś Coelowi i tamtym dwóm, kiedy ich wysłałeś zeszłej nocy, żeby mnie zabili.

– Adamat, przysięgam, to nie było nic osobistego. – Teef wyciągnął przed siebie dłonie, zerkając nerwowo w przestrzeń między Sabonem i detektywem. Jego oczy zatrzymały się nad ramieniem detektywa.

– O cholera.

– Nie powiedzieli ci, że SouSmith ze mną pracuje, co? – Adamat uśmiechnął się, widząc panikę w spojrzeniu Teefa. – Głową jednego z twoich ludzi przebił ceglaną ścianę. Całe godziny zabrało mi szorowanie krwi w przedpokoju. A teraz gadaj, kto cię wynajął?

– Przysięgam, nie chciałem, ale...

– Wiem, ale to było mnóstwo pieniędzy. Pewnie królewska cena. Powiedz mi, ileż to razy puszczałem cię wolno, jeszcze zanim stanąłeś na czele Balwierzy? Kiedy byłeś tylko głupim dzieciakiem z talentem do noża i ogromnym niefartem? Teef, ja nie lubię, kiedy w taki sposób odpłaca mi się za przysługi. – Nacisnął ostrzem na skórę i lekko potrząsnął głową, kiedy Teef spróbował się odsunąć. Bandzior zadrżał.

– Gdzie oni są, do otchłani? – krzyknął nagle. – Pomocy!

Adamat westchnął ciężko.

– Teef, twoich chłopców otoczyło pięć oddziałów najlepszych żołnierzy Tamasa. Brzytwy nieźle się sprawdzają w walce bezpośredniej, ale nie przeciwko wytrawnym strzelcom z bagnetami na karabinach. – Jak gdyby na potwierdzenie tych słów na zewnątrz budynku zagrzechotały strzały. Na piętrze nad nimi coś zaszurało i zwaliło się na podłogę.

Teef zacisnął pięści, jednak trzymał je wyciągnięte przed sobą.

– Dalibyśmy wam wycisk – powiedział, ściągając wargi. – Gdyby wszyscy chłopcy tu byli, dalibyśmy wam wycisk jak cholera.

– Z pewnością – zgodził się obojętnie Adamat. – Kto was wynajął, aby mnie zabić?

Teef zacisnął zęby.

Adamat odetchnął głęboko. Teraz nie miał na to czasu.

Poczuł, że ktoś delikatnie odsuwa go na bok. Opuścił laskę, gdy do Teefa podszedł SouSmith. Pięściarz był co najmniej o głowę wyższy od Balwierza i dwa razy szerszy w ramionach. Adamat przygryzł język, widząc, że SouSmith spływa zimnym potem i zaciska zęby z bólu. Pięściarz wyciągnął dłoń, dotknął jednej z rąk Teefa.

– Tę złamię pierwszą – mruknął.

– Ricard – powiedział Teef. Imię zabrzmiało jak nagłe przekleństwo.

– Nie wierzę – ocenił Adamat.

Usłyszał trzask, kiedy SouSmith odgiął Teefowi palce tak daleko, że aż dotknęły przegubu. Teef wrzasnął z bólu. Jeden z pozostałych Balwierzy podniósł się, jednak tylko po to, aby dostać od pięściarza butem w pierś. Kopnięty przeleciał przez pół izby, Adamat wysunął zaś rękę, aby podtrzymać chwiejącego się SouSmitha. Bokser odzyskał równowagę, wykręcił Teefowi nadgarstek.

Balwierz z krzykiem upadł na podłogę. Adamat laską postukał SouSmitha po ramieniu. Pięściarz odsunął się.

– Kto cię wynajął? – ponowił pytanie detektyw.

– Szafarz! – Teef zaskrzeczał wśród przekleństw. – Chce twojej głowy.

– Przynajmniej się postaraj, aby twoje kłamstwa brzmiały jakoś wiarygodnie. – Adamat sieknął laską po nadgarstku bandziora. Poczuł przypływ współczucia, kiedy Teef ponownie krzyknął, jednak nie trwało ono długo. Brzytwy zjawiły się w domu Adamata, w domu jego żony i dzieci, i próbowały go zabić. Gdyby rodzina Adamata była na miejscu, każde z nich zginęłoby we własnym łóżku. Adamat doskonale wiedział, jak pracują Balwierze. Byli równie chłodni i bezlitośni jak lord Vetas. Uniósł laskę, aby uderzyć mocniej.

– Kapłan.

Adamat znieruchomiał.

– Kapłan? Mów dalej.

– To był jakiś kapłan. – Teef wciągał powietrze przez zęby, pierś unosiła mu się ciężko, kiedy mówił, po twarzy spływały łzy. – Zjawił się tutaj wczoraj rano. Cały czas płakał, błagając Kresimira o wybaczenie.

– Jak wyglądał? – zapytał Adamat.

– Jak kapłan. Białe szaty i sandały. Jasne włosy. Nieco wyższy od ciebie. Pieprzyk na prawym policzku. Nie patrzył mi w oczy.

Siemone. Adamat poczuł suchość w ustach.

– Ile?

– Pięćset tysięcy krana.

O mało nie wypuścił laski.

– Co? Za mnie?

Teef zarzęził, piana pojawiła się na jego wargach.

– Dwa zlecenia. Za ciebie piętnaście tysięcy.

– A reszta? – Adamat rozejrzał się wokół. Dotąd myślał, że zastał tutaj jedynie kilku Balwierzy tylko dzięki swojemu szczęściu. Teraz uświadomił sobie, dlaczego nie było ich więcej: zajmowali się wykonaniem zlecenia. Na samą myśl poczuł gęsią skórkę. To oznaczało, że czterdziestu, albo i więcej, jest gdzieś w mieście.

Sabon wystąpił do przodu i przyciągnął sobie Teefa do stóp, szarpiąc go za przód koszuli.

– Czy to Tamas? – zapytał. Potrząsnął Balwierzem. – Ty dwulicowa świnio! Czy to on?

– Na otchłań, nie! – odparł Teef. – Za żadne pieniądze na świecie.

– W takim razie kto?

– Kuchmistrz – oznajmił Teef. – Jakiś wielki, gruby mężczyzna zarządzający ucztą. Zleceniodawca chciał, aby zarżnąć go publicznie. Zazwyczaj tak nie robimy, ale za oferowaną sumę... – Balwierz umilkł.

Sabon go puścił. Teef próbował wziąć się w garść, krzyczał z bólu. Delivijczyk spojrzał na niego z odrazą.

– Popełniłeś straszliwy błąd – oznajmił. – Zabrać go do Szablozębu. Muszę już iść – rzucił do Adamata i oddalił się bez zwłoki.

Adamat zorientował się, że zostali sami z SouSmithem w towarzystwie czterech Balwierzy. Wymienił spojrzenia z pięściarzem. SouSmith wzruszył ramionami. Adamat końcem laski uniósł podbródek Teefa.

– Dlaczego ten kuchmistrz jest taki ważny? – zapytał. Mihali, przypomniał sobie imię kucharza. Czyżby arcybiskup pamiętał lanie, które Mihali spuścił mu w obecności Tamasa? Jak na zemstę, to były ogromne pieniądze.

Teef pokręcił głową. Adamat groźnie poruszył laską. Kręcenie głową stało się bardziej intensywne.

– Nie wiem, niech cię Kresimir przeklnie! To było tylko zlecenie.

– I nie masz pojęcia, skąd są te pieniądze? – To Charlemund. Siemone nie robiłby brudnej roboty za nikogo innego. Charlemund próbował wrobić Ricarda.

Teef wahał się o sekundę za długo.

– Sugeruję, abyś pozostał w niewiedzy – poradził mu Adamat. – Inaczej twoja dola stanie się jeszcze gorsza. – Tamas zniszczy przywódcę gangu. Niemal pożałował Balwierza. Odstąpił od Teefa, kiedy do izby wszedł oddział żołnierzy. – Zabrać ich do Szablozębu – polecił. – Wszystkich. Muszę odnaleźć marszałka polnego.

– Przejście teraz przez miasto, podczas festiwalu, zajmie ci całe godziny! – krzyknął za nim SouSmith.

Adamat ledwie go usłyszał, kiedy wybiegał z budynku. Musiał powiedzieć Tamasowi o Charlemundzie, nim będzie za późno.

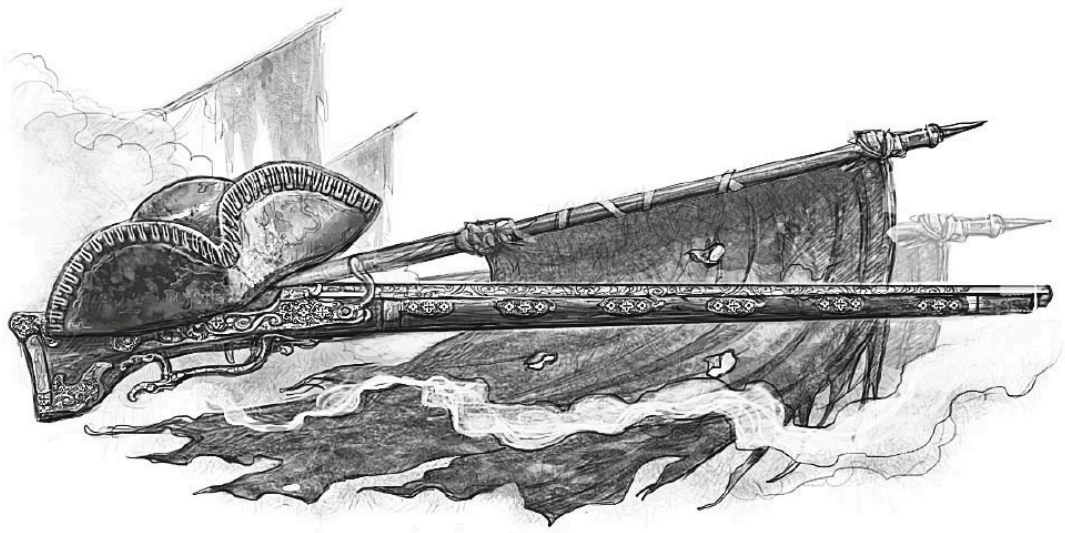

35
ROZDZIAŁ

Pierś Taniela unosiła się ciężko, nogi go bolały. Kilka godzin odpoczynku tuż przed świtem to było wszystko, na co mogli sobie pozwolić w trakcie ostatnich dwóch dni. Tylko prochowy trans trzymał go na chodzie. Jednak cały czas widział, że i tak wyprzedza towarzyszy. Dwóch strażników zemdlało z wyczerpania. Zostawili ich i szli dalej. Ci ludzie sami znajdą drogę na dół.

Wspinaczka okazała się łatwiejsza niż ostatnim razem. Część śniegu stopniała, resztę usunęła Straż. Od zimy na trasie między Fortecą Wierchowieńca a Kolibą Noviego trwał ruch związany z uzupełnianiem

zapasów. Po przejściu ostatniej karawany zostały ślady ognisk i wyschnięte końskie łajno.

Taniela jednak najbardziej interesowali ci, którzy przeszli tędy niedawno. Jeszcze nie natknęli się na żadnych Kezan, ale znaleźli dwa obozy. Sądząc po łajnie i śladach, zatrzymało się tam co najmniej stu ludzi, prowadzących sporą liczbę zwierząt pociągowych. Taka grupa nie powinna prześlizgnąć się obok Straży Górskiej, a jednak się prześlizgnęła.

Trzeci obóz znaleźli w połowie dnia. Z dala od głównego szlaku przy wodospadzie, wciąż na wpół zamarzniętym, choć niżej czuć już było rządy lata. Taniel sprawdził popioły ogniska. Jeszcze ciepłe.

Trącił stopą jakiś przedmiot i poczuł nagły chłód w piersi. Podniósł ów przedmiot, obrócił w dłoni. Metalowa kula, mniej więcej wielkości męskiej pięści. Zbiornik z powietrznej strzelby Stróża.

– Jak daleko są przed nami? – zapytał Bo, kiedy reszta grupy dotarła do Taniela. Uprzywilejowany z każdym dniem wyglądał coraz gorzej. Policzki mu się zapadły, pod oczami miał czarne kręgi. Zabójcze tempo marszu odciskało na nim swoje piętno.

– Całe godziny – ocenił Taniel. Rzucił Bo zbiornik powietrza. – Mogłem się tego spodziewać.

– Tam gdzie jest kezański Uprzywilejowany, tam są i Stróże. – Bo cisnął pojemnik w bok od drogi.

Ka-poel skoczyła ku zbiornikowi, podniosła, przyjrzała się uważnie i wepchnęła do plecaka.

– Doganiamy ich – oświadczył Taniel.

– Jesteśmy też blisko szczytu – dodał Bo. – Niedaleko Koliby Noviego.

– Wszyscy odpoczęli? – Taniel zapytał Fesnika. Młody strażnik pokuśtykał do wodospadu, aby napełnić manierkę.

– Na otchłań, nie! – zaprotestował. – Mamy być zdolni do walki po takiej wspinaczce?

– Do zwycięskiej walki. – Taniel szturchnął Fesnika czubkiem stopy.

– Jasne, jasne. – Strażnik wstał niechętnie. – Chodźcie – wezwał pozostałych. – Ruszamy dalej.

Taniel patrzył, jak wracają na główny szlak. To byli twardzi ludzie. Strażnicy. Żaden z nich nie korzystał z przewagi, jaką dawał proch, a przecież nawet Taniel czuł się wyczerpany wspinaczką. Co zdziałają przeciwko Julene oraz innym Uprzywilejowanym? Jak w ogóle zdołają wygrać walkę?

Taniel dogonił Ka-poel. Trzymała pozbawioną twarzy figurkę z wosku i kształtowała ją palcami.

– Co ty robisz? – zapytał.

Wsadziła sobie lalkę pod pachę. Taniel, spodziewając się jakiegoś wyjaśnienia językiem gestów, podszedł bliżej i zarobił kuksańca w ramię.

– Aua.

Ruchem ręki kazała mu się odsunąć i wróciła do lepienia. Zrównał krok z Bo.

Uprzywilejowany wyglądał na strapionego.

– Ale jesteś radosny – zakpił Taniel. Wyraz twarzy Bo się nie zmienił. Uprzywilejowany chyba nie usłyszał sarkazmu.

– Możemy dotrzeć zbyt późno – powiedział.

– Mamy lepszy czas, niż się spodziewałem.

– Musimy być tam podczas przesilenia.

– Nie martw się. Będziemy. – Taniel zauważył smugę dymu wzbijającą się w niebo. – Czy to góra? – zapytał, złapawszy Bo za ramię. Nie pamiętał, czy poprzednim razem widział stąd dymiący krater.

Uprzywilejowany zbladł.

– Nie – odparł. – Za blisko. To Koliba Noviego.

Wiadomość rozeszła się szybko, zdwoili wysiłki. Dotarli do Koliby w przeciągu godziny.

Mur klasztoru, zamykający tę część szlaku, został zmieciony. Zupełnie jak gdyby jakiś gigant stanął z boku góry i rozdeptał wszystko wokół. Tam gdzie dotknął gór, pozostało jeszcze kilka starych kamieni. Reszta spadła w otchłań, znikając gdzieś daleko, daleko na dole. Wnętrze klasztoru zostało odsłonięte.

Ruiny wyglądały jak dymiące, zwierzęce zwłoki, strzaskane belki przypominały połamane żebra. W kilku miejscach skała się stopiła. Niewidzialna pięść, która zniszczyła większą część klasztoru, uszkodziła także bryłę urwiska. Korytarz prowadzący z jednego krańca klasztoru przerywała szczelina szeroka na dwadzieścia kroków.

– Możemy zawrócić i ruszyć jednym z korytarzy – powiedział Fesnik. – Wewnątrz góry jest prawdziwy labirynt. Właśnie tam znajduje się reszta klasztoru. Nie zajmie nam to więcej niż kilka minut. – Mówił cicho, niemal nabożnym tonem. Rozglądał się przy tym ze smutkiem. Taniel uświadomił sobie, że strażnicy z pewnością dobrze znali poległych mnichów.

Znaleźli korytarz, dokładnie tak, jak mówił Fesnik. Wewnątrz góry dym dawał im się mocno we znaki. Ledwie byli w stanie oddychać. Psy Riny skamlały, mimo że je za to karciła. Taniel zatrzymał się przy jednej ze ścian, zauważywszy rozbryzg krwi. Od skały w jakiś dziwny sposób odłupano kawałek. Przesunął palcami po dziurze. Z pewnością zrobiła to kula.

– Nie ma ciał – cicho stwierdził Taniel.

Mówił głównie do siebie, ale zdziwił się, widząc, że Ka-poel trzyma się bardzo blisko niego. Rozglądała się czujnie.

– Ktoś mógł przeżyć – powiedział. – Dym mógł ich stąd wypędzić. Muszą być po drugiej stronie. – Pokiwał głową do własnych myśli. – Właśnie tak. – Targnęły nim mdłości.

Ka-poel posłała mu spojrzenie pełne powątpiewania.

Wyłonili się z korytarza po drugiej stronie rozpadliny. Zobaczyli miejsce, gdzie kończył się klasztor, a także zburzone schody prowadzące do wejścia naprzeciwko. Nikogo nie było widać.

– Proszę – powiedział jakiś głos.

Taniel aż podskoczył. Odwrócił się gwałtownie, wyciągając pistolet, jeszcze zanim zdołał cokolwiek pomyśleć.

Przed nim kuliła się mniszka.

– Przepraszam – powiedział. Na jej widok ręce zaczęły mu drżeć. Twarz miała posiniaczoną i obitą, szaty poplamione krwią. – Czy jeszcze ktoś

ocalał?

Kobieta wskazała jeden z wielu korytarzy. Trzydzieści kroków w głąb góry, tak daleko od szalejących żywiołów, jak tylko się dało, schroniła się grupa obszarpańców. Dym nie był tam aż tak gęsty. Taniel widział siedem osób, które wciąż trzymały się na nogach, a także wiele ciał na podłodze. Serce mu zamarło, kiedy liczył zwłoki. Zatrzymał się przy czterdziestu, a to nie była jeszcze połowa.

Fesnik rozmawiał ze starszym mnichem o spalonych brwiach, w podartej i brudnej szacie. Taniel podszedł do nich.

– Walczyliśmy najlepiej, jak potrafiliśmy – mówił starzec. Uniósł laskę. – Wyszli zewsząd. Powinniśmy się lepiej przygotować. Gdyby nie było ich tak wielu...

Taniel wiedział, że klasztor i tak zostałby zniszczony. Cóż mogła zdziałać garstka mnichów przeciwko kamaryli z Julene na czele? Parła jak burza, zabijając wszystko na swojej drodze. Jak mogliby ją zatrzymać?

– Przyszli dwie godziny temu – opowiadał mnich. – Walka była krótka i gwałtowna. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. Niektórzy z młodszych mnichów dotąd nie mogą uwierzyć, że to się wydarzyło. – Wskazał jakiegoś zakonnika, siedzącego nieopodal muru i obejmującego się ramionami. Był w szoku, jego oczy wpatrywały się w pustkę. – Od kiedy to się stało, Del nie odezwał się nawet słowem. Ale i tak nieźle nam poszło.

Taniel z ledwością opanował zdumienie.

– Dobrze poszło?

Twarz mnicha była poważna, lecz dumna.

– Owszem. Połowa tych poległych to oni.

Taniel rozejrzał się i dostrzegł coś, czego wcześniej nie zauważył: stos strzelb powietrznych w kącie. Uświadomił sobie, że sporo ciał ma rozmiary większe niż przeciętny człowiek. Piętnaście, dwadzieścia. Stróże.

I jeszcze poszarpany kraniec rękawicy Uprzywilejowanego i kezański mundur. Taniel poczuł się oszołomiony. Ta niewielka grupka mnichów nie

tylko obroniła się przed kezańską kamarylą, ale też odpłaciła napastnikom pięknym za nadobne.

Tutaj musiały działać czary. Potężne czary. Jednak już zniknęły. Zastanowił się, czy gdzieś głębiej w klasztorze również przebywają jacyś mnisi. Nie. Raczej nie. Jedynie ta żałosna garstka ocalonych. A i tak zdołali stawić opór Stróżom oraz Uprzywilejowanym.

– Dlaczego zostawili was przy życiu? – zapytał Taniel tak łagodnie, jak tylko potrafił.

Starszy mężczyzna mocniej zaciągnął bandaż wokół nadgarstka.

– Wygląda na to, że im się spieszyło.

– Przesilenie – przypomniał magowi Bo, stając tuż obok.

Mnich tylko zamrugał. Jego twarz nie wyrażała niczego.

– To stara magia – powiedział cicho.

– Czy przewodziła im kobieta? – zapytał Taniel. – Taka o arystokratycznej postawie, mniej więcej trzydziestopięcioletnia, z wielką blizną na twarzy.

– Kobieta? – powtórzył mnich. – Nie, tylko wielki lew jaskiniowy, miotający magią.

– To przybrana przez nią postać – ponuro stwierdził Bo.

– Ruszamy za nimi – zdecydował Taniel. – Wiesz, ilu zostało?

Starzec spojrzał na maga ze złością.

– Nie pomyślałem, żeby ich policzyć, kiedy zbieraliśmy swoich zabitych.

– Przepraszam – Taniel wycofał się natychmiast. Leżało tutaj mnóstwo trupów. Mogli wybić sporą część kezańskich sił. Wyglądało na to, że pozbyli się większości Stróżów. Zerknął na Bo. Uprzywilejowany przyglądał się zwłokom i przechadzał wśród ocalałych. Jego palce obleczone rękawicami drgały nieustannie. Wyraźnie bardzo chciałby się dowiedzieć, jakiego rodzaju czarów użyli mnisi. Taniel domyślał się, że nawet kamaryle nie znają wszystkich tajemnic.

Bo powrócił do starego zakonnika.

– Ten klasztor postawiono, żeby przed czymś strzegł.

Twarz mnicha pozostała obojętna.

– Przed powrotem Kresimira?

– Z powrotu boga nie przyjdzie nic dobrego – oświadczył starzec. – Jednak na tej górze są gorsze rzeczy. – Umilkł. – Tak, jesteśmy odźwiernymi Kresimskiej Kurgi. Teraz powrócili Predei. Mieliśmy ich powstrzymać. – Jego duma gdzieś się ulotniła. – Zawiedliśmy.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy – zapewnił go Bo.

Taniel przytaknął, mając nadzieję, że wypadło to zdecydowanie.

– On wie znacznie więcej, niż nam mówi – ocenił Uprzywilejowany, gdy już oddalili się od starca.

– Nie mamy czasu, żeby go przesłuchać.

Bo zatarł skryte w rękawicach dłonie.

– Załatwię to szybko. To się może przydać. – Jego oczy zalśniły z ciekawości, a na twarzy pojawiło się ożywienie, jakiego Taniel nie widział od tygodni.

– Nie – stwierdził mag. – Rozejrzyj się wokół. On chce śmierci Julene. Powiedziałby nam wszystko, co wie. Boże, czy wy naprawdę sprzedajecie dusze, aby wstąpić do tej kamaryli?

– Po bardzo dobrej cenie.

– Musimy iść – podsumował Taniel. – Przesilenie?

– Dzisiaj.

– Jak dużo czasu zajmie nam dotarcie na szczyt?

– Więcej, niż zostało do przesilenia.

– Musi nam się udać – powtórzył uparcie Taniel. – Mamy jakiś plan?

Bo się skrzywił.

– Wśród tych zabitych jest sporo Uprzywilejowanych – oznajmił. – Może wystarczająco wielu, aby udaremnić ich plany. Potrzebna jej będzie moc do wezwania Kresimira. Aby go przywołać, musi pokonać ogromny dystans. – Bo zamilkł, jakby wybierał w myślach najlepszy możliwy plan. – Załatwmy tylu Uprzywilejowanych ilu się da. Ignorujmy Julene.

– Ciężko ją będzie zignorować, kiedy się już wkurzy.

Uprzywilejowany westchnął.

– Zajmiemy się tym, jak już tam dotrzemy.

Taniel powrócił do starego mnicha. Mężczyzna klęczał obok zakonnika, którego nazywał Del, i cicho przemawiał mu do ucha. Uniósł wzrok.

– Będziesz potrzebował przewodnika po mieście – wyjaśnił. – Tam na górze są niebezpieczne ścieżki. Del najlepiej zna drogę. Staram się go namówić...

Bo odsunął Taniela na bok i przyklęknął obok mężczyzny. Palcami w rękawicy dotknął jego czoła i uniósł drugą dłoń. Delikatnie musnął powietrze, wykonując ruchy jak pianista grający piosenkę jedną dłonią.

– Tak – odezwał się Del. Słowo zabrzmiało jak syknięcie. – Pójdę.

Głos miał ochrypły, spojrzenie przytomne.

– Dobrze się czujesz? – zatroskał się Bo.

– Wody.

– Dajcie mu trochę wody – poprosił Taniel starego mnicha. Ten po chwili wrócił i razem zajęli się Delem, następnie postawili go na nogi.

– Nic mi nie będzie – zapewnił ich Del. – Pójdę. Wy... wy mówiliście, że zdołacie ich powstrzymać?

– Spróbujemy – poprawił go Bo.

– Musimy dotrzeć do Kresimskiej Kurgi przed przesileniem.

– Wiesz, gdzie oni będą? – zapytał Taniel.

Del skrzywił się, spoglądając w niebo.

– Jest tam taki amfiteatr zbudowany przez Kresimira. Pomaga w skupieniu czarów. Sądzę, że to najbardziej prawdopodobne miejsce.

– Doskonale – oznajmił Taniel. Odciągnął Bo na bok. – Co zrobiłeś, żeby go obudzić? – zapytał.

– Nic – odparł Uprzywilejowany. – Zamierzałem dotknąć jego umysłu, zobaczyć, czy jest tam coś jeszcze, ale przebudził się, zanim to zrobiłem.

– Dobrze będzie mieć przewodnika.

Bo przyznał mu rację skinieniem głowy.

Taniel się odsunął. Dwóch strażników wyciągnęło czyjeś ciało z głębi osmolonego korytarza, jakąś starą kobietę. Nie miała żadnych ran. Mogła umrzeć w łóżku, zabita przez dym, przebywając zbyt głęboko wewnątrz

góry, aby słyszeć bitwę. Zostawili jej zwłoki przy mnichach i wrócili, aby szukać innych zmarłych.

– Musimy iść – oznajmił Taniel. Starał się mówić łagodnie, jednak tak głośno, aby inni go słyszeli. – Fesniku – poprosił – zbieraj ludzi.

Strażnik właśnie pomagał układać ciało. Wstał, spojrzał zmęczonym wzrokiem. Zdawało się, że chyba już zrozumiał, z czym mieli teraz do czynienia. To nie była żadna przygoda. To był śmiertelny wyścig ze znacznie silniejszym przeciwnikiem.

Kiedy Taniel wrócił, Bo kłócił się właśnie ze starym mnichem.

– Nie zdołacie ich wszystkich pochować – mówił.

– Tak właśnie robimy. – Starzec miał tę swoją niewzruszoną minę.

– Kezan zepchnij w przepaść. Zajmijcie się swoimi, skoro nie możecie na kilka tygodni zostawić ich w lodzie. Musicie zejść z góry i powiedzieć Gavrilowi, co się stało.

– Kogoś poślemy – zgodził się beznamiętnie stary.

Bo parsknął.

– A co z waszym przetrwaniem? Klasztor został zniszczony. Noce są na tyle zimne, aby wszystko, co pozostało na zewnątrz, zamarzło. Nie możecie tu mieszkać! – zaczynał podnosić głos, a jego gesty budziły w Tanielu niepokój.

– Bo!

– Co?! – Uprzywilejowany odwrócił się do niego gwałtownie.

– Pora iść.

Bo wziął głęboki oddech i zebrał się w sobie.

– Uważajcie na siebie – poprosił starego. W jego głosie zabrzmiała odrobina sarkazmu. – Uparty sukinsyn – wymamrotał, mijając Taniela.

– Twój przyjaciel jest bardzo zmęczony – zauważył mnich.

– Miał ciężki miesiąc.

– Zostało mu bardzo mało sił.

Taniel się skrzywił. Ci mnisi byli zagadką. Jakich czarów użyli, aby walczyć z Julene i kezańską kamarylą? Żaden nie nosił rękawic Uprzywilejowanego. Otworzył trzecie oko, zmagając się z mdłościami.

Zamknął je znowu tak szybko jak zdołał i starał się mruganiem pozbyć oślepiających barw Nieświata. Czary były tu zbyt gęste, aby cokolwiek udało się zobaczyć.

– Wiem – odpowiedział mnichowi. – Znajdźcie sobie jakieś schronienie.

– Powodzenia. – Mnich zdołał się uśmiechnąć, za co Taniel poczuł dla niego większą wdzięczność, niż się spodziewał. – Daliśmy im popalić – oznajmił zakonnik. – Są teraz słabsi, pamiętajcie o tym.

Taniel uznał, że skoro ci starsi mężczyźni i kobiety byli w stanie stawić czoła Julene, tym bardziej on zdoła. Odetchnął głęboko, zacisnąwszy pięść. Nadszedł czas, aby podjąć walkę.

Uścisnął dłoń staremu i dołączył do strażników. Zrobili, co tylko mogli, aby umożliwić zakonnikom przetrwanie. Niektórzy zostawili swoje racje żywnościowe i zapasowe koce. Taniel miał nadzieję, że kiedy już opadnie dym, mnisi zdołają wygrzebać z ruin coś jeszcze poza ciałami.

Przeliczył obecnych i zorientował się, że gdzieś zniknęła Rina z psami.

Znaleźli ją na skraju klasztoru, przykucniętą zaraz za spękanymi murami. Przyglądała się ścieżce na szczyt. Kiedy się zbliżali, spojrzała na nich przez ramię. Psy skowyczały i szarpały się na smyczach. Uciszyła je syknięciem, jednak tylko na chwilę.

– Na tej górze czeka nas coś jeszcze – powiedziała.

Taniel zdusił nerwowe wzdrygnięcie.

– Co?

– Lwy jaskiniowe. – Wskazała ziemię, ślady, które Taniel ledwie widział. – Już je tropiliśmy. Psy znają ich zapach.

Mag poczuł falę ulgi. Chociaż... w tonie Riny dźwięczało coś złowrogiego. Uświadomił sobie, że drżą mu ręce.

– Lwy są tu wszędzie – odparł. – To mogłaby być nawet Julene. Mnisi mówili, że przybrała właśnie taką postać, kiedy na nich napadła.

– To raczej nie ona.

Taniel poczuł, iż serce zaczyna bić mu nieco szybciej.

– Pole! – zawołał. – Wracaj tutaj!

Dziewczyna wysforowała się jakieś trzydzieści kroków do przodu i przykucnęła na ścieżce, grzebiąc w ziemi. Zignorowała go.

– Nie? – zwrócił się do Riny. – Skąd możesz wiedzieć?

Rina rozłożyła dłonie i odpowiedziała swoim jak zwykle spokojnym głosem:

– Ponieważ jest ich co najmniej pięćdziesiąt.

Taniel usłyszał, jak niejeden ze strażników klnie. Bo splunął, kreśląc w powietrzu ochronne znaki.

– Co?! – zapytał Taniel znacznie dobitniej, niż zamierzał.

– Są wyżej – wyjaśniła Rina. – Tam gdzie szlak się rozszerza. Zeszły po zboczu i dogoniły Kezan.

Taniel zerknął na Bo.

– Ona potrafi je wezwać? – zapytał. – Słyszałem opowieści o Uprzywilejowanych, którzy umieli...

Przerwał mu śmiech Riny.

– O co chodzi?

– One nie służą Kezanom – powiedziała. – One na nich POLUJĄ. – W jej spokojnym głosie pojawiła się nutka histerii. – Na nas też będą polować, jak tylko wejdziemy na górę. Kresimirze na niebiosach, one na nas zapolują. – Przyciągnęła psy bliżej siebie i wpatrywała się w ślady na ziemi.

– Lwy jaskiniowe nie polują stadami – zauważył jeden ze strażników.

Zdawało się, że wszyscy jednocześnie odwrócili się w stronę Bo. Spojrzał na nich, na jego twarzy malowało się wyczerpanie. Ostrożnie muskał powietrze dłońmi w rękawicach, jak lekarz szukający pod skórą złamanej kości, zaś ciepła nić czarów dotykała zmysłów Taniela.

– Z tą górą jest coś nie w porządku – powiedział tylko.

Nila miała teraz wózek na pranie. Jeden z wielu robotników pomagających przy Festiwalu Świętego Adoma użył starej balii oraz podwozia czterokołowego wózka do obwoźnego handlu, żeby Nila miała czym wozić pranie. Nie potrafiła się zmusić, aby prosić o pomoc któregoś ze strażników, chociaż z pewnością by nie odmówili. Rozeszły się wieści, że dała kosza Olemowi. Żołnierze nadal byli uprzejmi, ale już nie tak jak do tej pory.

Przez trzy dni korzystała z wózka przy zbieraniu prania, więc strażnicy zdążyli się do niego przyzwyczaić. Wszystko miało sens, bo musiała teraz więcej pracować, skoro połowa personelu Domu Szlachty nagle porzuciła swoje obowiązki, aby uczestniczyć w uczcie Mihalego. Brak pomocników pozwalał dziewczynie zostawać samej w suterenie i zmienić swoją trasę z praniem tak, aby dotrzeć do pokoju Jakoba.

Nila szybko uznała, że noc byłaby najgorszą porą na wykradanie chłopca z budynku. Za bardzo rzucaliby się w oczy na pustych korytarzach. Jednak za dnia liczba osób odwiedzających Dom Szlachty była przytłaczająca. Uczta trwała nadal i nie można było pilnować każdego, kto wchodził i wychodził. Jeśli wydostanie się na zewnątrz gmachu, będzie mogła spokojnie wmieszać się w tłum.

Rankiem ostatniego dnia festiwalu przetoczyła wózek korytarzami Domu Szlachty, zatrzymując się tam gdzie zwykle, i zebrała tyle ubrań, żeby dało się pod nimi ukryć dziecko, a następnie skręciła w korytarz wiodący do pokoju Jakoba. Mijała kobiety i mężczyzn, żołnierzy i pisarczyków, kłaniając się i uśmiechając do wszystkich.

Straży nie było na posterunku. Nila westchnęła i wyszeptała modlitwę dziękczynną do Kresimira. Już tylko niańka Jakoba stała na drodze chłopca do wolności.

Zatrzymała się gwałtownie. Drzwi do pokoju były otwarte. Po raz pierwszy. Zmusiła się, aby pojechać dalej, a przetaczając wózek obok wejścia, zerknęła do środka tak ostrożnie, jak tylko zdołała.

Pokój był pusty. Nie było niani. Nie było Jakoba. Może popełniła jakiś błąd? Może Jakob przeniósł się tego ranka do innego pokoju, albo nawet

wyjechał z kraju?

Sprawdziła, czy w pobliżu nie ma żadnego żołnierza, i weszła do środka.

Na łóżku leżała zmięta pościel, na stoliku nocnym zabawki, a w szafie wisiały dziecięce ubranka. Wydawało się, że chłopiec opuścił to miejsce ledwie przed chwilą. Czy był w umywalni? Musiała stąd wyjść, na wypadek gdyby powrócił ze strażą.

– Kim ty, do otchłani, jesteś? – zapytał jakiś głos.

Nila odwróciła się, serce podeszło jej do gardła. W drzwiach stało dwóch mężczyzn. Ten, który zadał pytanie, wyglądał jak doker, w płaskiej czapce oraz wełnianej marynarce z pocerowanymi łokciami na grubej brązowej kamizelce. Drugi był ewidentnie jakimś dżentelmenem. Marynarkę miał założoną na welwetową kamizelkę, pod nią zaś białą koszulę. Do tego czarne spodnie i czarne, wypolerowane buty, i jeszcze laskę i cylinder.

– Jestem praczką – powiedziała Nila, przełykając z trudem ślinę. Kim byli ci ludzie? Skąd się wzięli w pokoju Jakoba?

Doker skrzywił się, patrząc na nią, potem zerknął na wózek z ubraniami.

– Przyjdź później – polecił.

– Mogę panom jakoś pomóc? – zapytał Nila. Akcent dokera świadczył, że mężczyzna pochodzi stąd. Pewnie należał do Szlachetnych Wojowników Pracy. Dżentelmen milczał, ale to on niepokoił Nilę daleko bardziej.

– Wróciliśmy tylko po ubrania i zabawki chłopca – powiedział doker. – To zajmie niecałą minutę.

– Właśnie miałam zabrać pranie. Mogę je oczyścić i potem odesłać.

– To nie będzie konieczne – odezwał się w końcu dżentelmen. Głos miał cichy, spokojny. Mówił jak osoba wykształcona. – Nie przerywaj sobie – nakazał dokerowi.

Doker przecisnął się obok Nili, uprzejmie, ale stanowczo, i zaczął opróżniać łóżko, szafkę oraz zawartość szuflad komody. Na stos rzeczy cisnął drewnianą kolejkę i parę ołowianych żołnierzyków. Potem zebrał to wszystko w prześcieradło, zawiązując je u góry na supeł.

– On ma na pewno torbę podróżną... – podsunęła Nila.

– Nie będzie potrzebna – ponownie odezwał się dżentelmen. – Możesz zająć się resztą pościeli. – Wyszedł z pokoju.

Doker przerzucił zawiniątko przez ramię i wyniósł na korytarz. Nila patrzyła, jak mężczyzna idzie korytarzem, w ślad za dżentelmenem. Ponieważ żaden z nich się nie odwracał, zaczęła pchać za nimi wózek.

Szli gdzieś głównym holem, potem skręcili w boczny korytarz i weszli do jakiegoś pokoju na końcu, zapewne jednego z wielu biur, mieszczących się w budynku. Nila zostawiła wózek i powoli zbliżyła się do drzwi. Zerknęła zza rogu.

Jakaś dłoń bez ceregieli chwyciła ją za ramię. Dziewczynę wciągnięto do pokoju, po czym gwałtownie rzucono na ścianę. Ktoś złapał Nilę za podbródek. Spojrzała w zimne oczy dżentelmena.

– Co ten chłopiec dla ciebie znaczy? – zapytał. Głos nadal miał spokojny, chociaż trzymał Nilę tak mocno, że z pewnością zostawił jej siniaki.

Wymamrotała coś zaskoczona, nie wiedząc, co właściwie ma powiedzieć. Kim był ten człowiek? Dlaczego tak ją traktował? Skąd wiedział, że Jakob cokolwiek dla niej znaczy?

– Co – powiedział dżentelmen, szarpiąc jej twarz z boku na bok, podkreślając tak każde słowo – znaczy dla ciebie ten chłopiec?

– Nic. Jestem tylko praczką.

– Mam Zdolność, która pozwala rozpoznać, czy ktoś mnie okłamuje – poinformował ją sucho. – Masz pięć sekund, żeby mi odpowiedzieć. Potem cię uduszę.

Nila poczuła jego palce zaciskające się na szyi. Spojrzała mężczyźnie w oczy. Widywała już więcej życia w oczach nieboszczyków. W myślach dokonała kalkulacji. Uścisk się wzmógł.

– Byłam... – zaczęła, czując, że brakuje jej tchu. Mężczyzna nieco poluzował uchwyt. – Przed przewrotem byłam praczką u jego rodziców. Znam go od urodzenia. Chciałam mu pomóc uciec od Tamasa.

Palce puściły gardło.

– Szczęśliwy zbieg okoliczności – podsumował dżentelmen. – Mieliśmy problemy z nianią. Zajmiesz jej miejsce i ruszysz z nami.

– Ja nie...

Chwycił ją za kark, na wpół ciągnąc przez izbę, niczym niesforne dziecko. Otworzył szafę i zmusił dziewczynę, aby spojrzała w dół.

Starsza tęga kobieta, która spała przy łóżku Jakoba, gdy Olem zaprowadził tam Nilę, teraz leżała na dnie szafy w nienaturalnej pozycji, wpatrując się w pustkę. Dziewczyna spróbowała się odsunąć. Ale dżentelmen mocno trzymał ją za kark.

– To – oznajmił – stało się dlatego, że miała skrupuły. Jeśli ty również postanowisz mieć skrupuły... jeśli kiedyś odmówisz mi posłuszeństwa... Nie zawaham się zabić cię gołymi rękami. Nazywam się lord Vetas i od tej chwili jestem twoim panem. Idziesz ze mną.

Zamknął drzwi szafy i wyprowadził Nilę na korytarz. Pojawił się doker, na ramieniu miał worek ubrań Jakoba. Vetas wskazał na dziewczynę.

– Ona będzie nową nianią chłopca. Zabierz ją. Mam jeszcze gdzie indziej sprawy do załatwienia.

Vetas odszedł szybkim krokiem. Nila nie potrafiła się powstrzymać od patrzenia, jak idzie. Serce waliło jej niczym młot, nogi się pod nią uginały. Jeszcze nigdy nie czuła takiego strachu. Nawet wtedy, gdy Olem uratował ją przed gwałtem, nawet wtedy, gdy jako dziecko o mało nie utonęła w Admorzu. Ten człowiek był uosobieniem podłości.

Doker wzruszył ramionami, chwycił Nilę za rękę. Poprowadził holem i przez boczne drzwi do powozu czekającego na ulicy. Nawet na tyłach Domu Szlachty pełno było ludzi. Dziewczyna zerknęła w górę, na dokera. Jego uścisk nie był boleśnie mocny. Mogłaby go kopnąć i się wyrwać, zniknąć w tłumie.

Zbliżyli się do powozu. Jakiś nieokreślony strach, dziwny ciężar gdzieś na dnie żołądka mówiły jej, że jeśli postawi stopę w tym powozie, nigdy już nie ucieknie lordowi Vetasowi. Wypatrywała okazji, by się wyrwać, napięła mięśnie. Zebrała spódnice w dłoni, aby móc biec.

– Panno Nilo? – Z powozu wyjrzał Jakob. Włosy miał zmierzwione, kurtkę założoną krzywo. Jednak zdawało się, że nie stała mu się żadna krzywda. – Panno Nilo! Nie wiedziałem, że tutaj jesteś!

Spódnice wymknęły się Nili z dłoni. Wzięła Jakoba za rękę i weszła do powozu.

– Nie martw się – powiedziała. – Przyszłam, żeby się tobą zaopiekować.

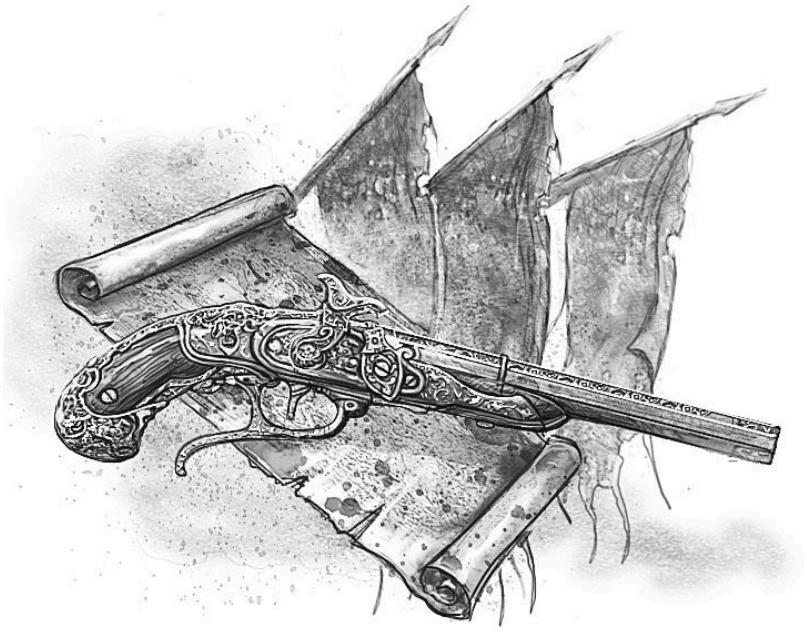

36
ROZDZIAŁ

Tamas odchylił się na krześle, z jedną nogą opartą na pufie, i przyglądał się, jak w ramach uczty Mihalego pół miasta spożywa późne śniadanie. Cały plac był pełen ludzi, a ulice zapchane tymi, którzy czekali na swoją kolej. Niektórzy „goście” kuchmistrza przyglądali się żonglerom, tysiące tłoczyły się wokół sceny na podwyższeniu nieopodal centrum placu. Na stojąco jedli owsiankę i przyglądali się trupie mimów wystawiających sprośną komedyjkę. W ostatni dzień festiwalu nie szczędzono rozrywek dla gawiedzi.

Tamas siedział na stopniu schodów od frontu Domy Szlachty, osłonięty od słońca parasolem, i rozprawiał się z całym koszykiem bułeczek, który

Mihali zostawił mu godzinę temu. Od dawna już nie czuł się tak dobrze.

– Z tą twoją nogą powinieneś leżeć w łóżku – stwierdziła lady Winceslav. – Na pewno jesteś w stanie wychodzić?

Spojrzał na nią, dostrzegł bladość jej policzków i zastanowił się przelotnie, czy nie powinien zapytać o to samo.

– Oczywiście, pani. Nigdy nie czułem się lepiej. – Śmiałe słowa, ale rzeczywiście, z jego nogą było lepiej. Prawie czuł, jak zdrowieje, jak powracają mu siły. Wiedział, że przed nim sporo pracy, ale wcale się tym nie martwił. Po raz pierwszy od śmierci żony znowu czuł się cały.

Nawet lady Winceslav zdawała się być w lepszym nastroju. Unikała tłumów przez niedawny skandal związany z brygadierem Baratem. Nie kierowała festiwalem, ale przynajmniej była obecna.

– Sądzisz, że wszyscy się zjawią? – zapytała.

Tamas przyjrzał się tłumowi.

– Lady, sądzę, że przyszło tutaj całe miasto.

– Chodzi mi o radę. – Wymierzyła mu żartobliwego kuksańca.

– Ricard jest tutaj od pół do siódmej – poinformował ją marszałek. – Wytacza jedzenie i wino razem z resztą swoich robotników.

I pod ścisłą, ale dyskretną strażą, dopóki nie powróci Adamat z dowodami winy lub niewinności Tumblara. Jeśli przywódca związkowy wiedział cokolwiek o zamachu na detektywa, nie dawał nic po sobie poznać.

– Naprawdę? – Zdawała się zaskoczona tym faktem. – Nie do wiary.

– Ondraus jest gdzieś w okolicy, wrzeszczy na swoich pisarzy. Olem widział ponoć eunucha jakąś godzinę temu. Charlemunda ani widu, ani słychu. A oto – wskazał – kanclerz.

Tamas przyglądał się, jak Pierwszy Lektor przeciska się przez tłum. Znamię, które jak pająk widniało na jego twarzy, wydawało się ciemniejsze niż zazwyczaj. Kanclerz przyglądał się jedzeniu, kiedy mijał stoły, zdawało się jednak, że myśli ma zajęte czymś ważniejszym. Zatrzymał się na chwilę pod surowym spojrzeniem strażników Tamasa, następnie zanurkował w cień parasola. Uchylił kapelusza przed lady Winceslav.

– Usiądziesz? – zapytał Tamas, dając znak strażnikom.

– Chętnie – odparł Pierwszy Lektor. Przyglądał się uczcie, póki nie przyniesiono mu krzesła, a następnie spoczął obok marszałka. – Zdajesz się być w niezwykle dobrym humorze.

– Naprawdę? – odparł Tamas. – Przecież nie powiedziałem nawet dwóch słów.

Lektor odchrząknął.

– Potrafię to u ciebie wyczuć. To wisi w powietrzu. Jak u studenta pierwszego roku, który wie, że będzie ulubieńcem profesora. To irytujące. – Lektor rozejrzał się ponownie. Patrzył na stoły i na pomocników wnoszących misy, półmiski i dzbany.

Tamas zerknął na kanclerza z ukosa.

– Nie czujesz tego? – zapytał. – Chodzi nie tylko o mnie. To całe miasto... To... chodzi o to. – Wskazał na ucztę, na dziesiątki tysięcy ludzi pałaszujących potrawy Mihalego. – Bogaci i biedni, szlachcice i pospólstwo, wszyscy razem. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Nie wierzysz w te wszystkie bzdury? – Lektor patrzył na plac ze zbolałą miną. – O tym kuchmistrzu, który jest bogiem?

Tamas zawahał się, było coś w tonie Pierwszego, coś, czego marszałek nie mógł do końca określić, jakby pomimo pozornej szorstkości Lektor niemal pragnął usłyszeć „tak”.

– Ha. Bogiem? Nie. Potężnym Zdolnym. Może nieco szalonym. Ale niegroźnym – odpowiedział Tamas. – Jednakowoż skąd wiadomo, jak wygląda bóg? Co robi? Kimże jestem, aby go rozpoznać, gdy na niego patrzę? – Potrząsnął głową, widząc zirytowane spojrzenie Lektora. – Mihali to uzdolniony człowiek. Wielce uzdolniony. Jednak nie sądzę, żeby był bogiem. A ty co o tym myślisz? Przypuszczalnie masz największe kwalifikacje, żeby to ocenić. Całą historię Dziewięciu masz w małym palcu. Mówi coś o Adomie?

– Ja już dawno temu uświadomiłem sobie, że Kresimir nie powróci. – Pierwszy Lektor umilkł, a Tamas pomyślał, że nie ma pojęcia, ile lat liczy sobie kanclerz.

– A Adom... – naciskał Tamas.

– On uwielbiał jedzenie – przyznał Lektor. – Dlatego jest świętym patronem kuchmistrzów. Był rosłym mężczyzną, silnym, mocarnym i... – powiódł spojrzeniem za jedną z pomocnic Mihalego, która balansowała na dłoni półmiskiem pełnym nadziewanego wodnego ptactwa – cieszył się wielkim powodzeniem u kobiet. Miał ponad czterysta żon i kochał każdą z nich. Dosłownie i w przenośni.

– Czterysta?! – zdumiał się Tamas. – Ledwie dawałem sobie radę z jedną. – Gdy to powiedział, coś ścisnęło mu gardło i musiał odchrząknąć. – Mówisz tak, jak gdybyś znał go osobiście.

Pierwszy Lektor nie odpowiedział.

– Wygląda na to, że Mihali to całkiem dobry kandydat na boga.

– Zbyt wiele jest niewiadomych – odparł Pierwszy Lektor. – Na tej ziemi nie było żadnego boga od setek lat. Kresimir odszedł, aby na nowo podjąć swoje badanie kosmosu. Novi i Brude ruszyli tą samą drogą ledwie kilka dni później. Reszta poszła w ich ślady albo zniknęła bez hałasu. Krąży plotka, że jeden albo dwoje pozostało... – Urwał.

Tamas wymienił zaciekawione spojrzenia z lady Winceslav.

– Dobrze się czujesz? – zapytał kanclerza.

Pierwszy Lektor rzucił mu przelotne spojrzenie.

– Uwierzyłbyś mi, gdybym powiedział, że Mihali jest utalentowanym czarownikiem?

– Bez wątpienia. Jednak nie Uprzywilejowanym, tylko Zdolnym.

– Dupa, a nie Zdolnym – prychnął Lektor. – A co, jeślibym powiedział „najpotężniejszym czarownikiem na świecie”? Albo gdybym powiedział, że właśnie tym są wszyscy bogowie: niezmierzenie potężnymi czarownikami?

– Hipotetycznie? – zapytał Tamas sceptycznie.

– Najpotężniejszym, jaki kiedykolwiek żył?

– Żartujesz sobie.

– To tylko pytanie – warknął Lektor.

– Zatem co, jeśli nim jest?

– Problem z logiką polega na tym – powiedział Pierwszy Lektor – że czasem zmusza cię, byś uwierzył we własną hipotezę, nawet jeśli nie chcesz. Co czujesz, kiedy sięgasz zmysłami do Mihalego?

– Zdolnego, jak ci mówiłem. Ma taki miękki blask. Znacznie mniejsza moc niż u Uprzywilejowanego.

– Możesz mieć pewność?

Tamas westchnął. Otworzył trzecie oko i spojrzał w stronę kuchmistrza. W tak dużym tłumie z pewnością było wielu Zdolnych, jednak Mihalego łatwo było odnaleźć. Coś wyróżniało go od pozostałych. Chociaż jego blask wcale nie świecił mocniej.

– Tak. – Tamas przyglądał się twarzy Pierwszego Lektora. Starzec marszczył brwi, patrząc na Mihalego.

– Nie sądzisz, aby to było możliwe, prawda? To, że naprawdę jest bogiem.

Pierwszy Lektor przymknął powieki i milczał przez kilka minut. Tamas zaczynał się już zastanawiać, czy starzec się aby nie zdrzemnął, kiedy ten otworzył oczy.

– Za dużo niewiadomych – powtórzył.

– Powiedziałeś „inni bogowie” – wytknął mu Tamas. – Sądziłem, że Kresimir był jedynym bogiem.

Lektor poprawił się na swoim krześle.

– To nie jest tak dokładnie prawda – stwierdził.

– To jest dogmat – powiedział Tamas. – Charlemund przypomniał mi o tym ostatnimi czasy.

– Tylko dlatego, że coś jest dogmatem, nie znaczy wcale, że jest też prawdą.

– No tak, rzeczywiście – zgodził się marszałek. – Każdy wykształcony człowiek... – Urwał, widząc, że Lektor się krzywi.

– Wykształceni ludzie – żachnął się kanclerz. – Też mi coś! Było dziesięcioro bogów. A nie jeden bóg i dziewięcioro świętych. Kresimir zjawił się jako pierwszy, potem wezwał swoich braci i siostry, żeby pomogli mu urządzić Dziewięć.

– Istnieje dziesięcioro bogów? – zapytał Tamas. Z trudem usiłował sobie przypomnieć coś z lekcji historii. – Zawsze sądziłem, że Kez obrał sobie Kresimira jako patrona. W takim razie kto jest tym dziesiątym?

Lektor potrząsnął głową.

– To niewłaściwe pytanie. Powinieneś zapytać: skoro Mihali jest bogiem, to dlaczego jest tu i teraz?

Z Domu Szlachty nie można było zobaczyć Wielkiej Południowej Turni, jednak obaj odwrócili się w jej stronę. Tamas przypomniał sobie ostrzeżenie, które przekazali mu Bo i Taniel. Potężna starożytna czarodziejka usiłowała przyzwać boga. Historia niemal tak osobliwa jak z książki z baśniami. Zapewne to wina miesięcy spędzonych na wojnie, stresu, zmęczenia, lęku. Jednak Tamas pamiętał, że po raz pierwszy usłyszał to przed rozpoczęciem oblężenia Fortecy Wierchowieńca. Pomasował zranioną nogę.

– Słyszałeś kiedyś o Obietnicy Kresimira? – zapytał nieoczekiwanie Lektora.

– Bzdury – stwierdził Pierwszy.

– Bzdury? A skąd o tym wiesz? Mówiono mi, że to sekret kamaryli, znany tylko królom oraz Uprzywilejowanym.

– Bo tak jest. – Lektor otarł czoło chustką.

Tamas miał już przycisnąć go bardziej, kiedy usłyszał krzyk. Potem kolejny i jeszcze jeden. Tłum zafalował. Ludzie podnosili się przestraszeni, zapominając o jedzeniu, starali się dostrzec źródło całego zamieszania.

– Co się dzieje? – Tamas chwycił kulę i dźwignął się z krzesła. – Dowiedz się, o co chodzi – nakazał jednemu z żołnierzy. – Do środka – polecił Lektorowi. – Straż, zabrać lady Winceslav do budynku.

Mihali wskoczył na stół, zwinnie pomimo tuszy, i stanął na palcach, chcąc zobaczyć, co się dzieje.

– Spokój! – zawołał, a jego głos niósł się ponad tłumem z zaskakującą mocą. – Proszę, powróćcie na swoje miejsca. – Ludzie zatrzymali się, nie wiedząc, co powinni robić. Ci stojący w kolejce zawahali się, nie chcieli

rezygnować z miejsca, ale niepokój nie pozwalał im zostać. Każdy przypomniał sobie dragonów z Dnia Elekcji.

Tamas nie widział niczego szczególnego. Poruszenie zdawało się mieć początek po przeciwnej stronie placu. Biegli stamtąd jacyś ludzie, zderzając się z tymi, których ciekawość pchała do źródła zamieszania.

– Mój pistolet – zażądał marszałek. Zauważył, że Lektor wstał na równe nogi i wyciągnął szyję, aby lepiej wszystko widzieć. Lady Winceslav czekała przy drzwiach do Domu Szlachty, razem ze swoim strażnikiem.

– Wejdź do środka – polecił Tamas kanclerzowi. – Nie chcę, żeby cię zabił spanikowany tłum.

Lektor go zignorował.

– Rób, co chcesz – warknął marszałek, odbierając od żołnierza jeden ze swoich pistoletów pojedynkowych. Sprawdził, czy broń jest podsypana i załadowana, a potem przyjrzał się tłumowi.

– Tam – wskazał Pierwszy Lektor.

Tamas dostrzegł jakiegoś mężczyznę, od którego tłum się odsuwał. Mężczyzna chyba trzymał coś w dłoni. Marszałek przegryzł ładunek prochu, zakołysał się, gdy porwała go moc transu. Odetchnął płytko kilka razy i wyprostował się, skupiając spojrzenie na tym człowieku.

Tamten ubrany był jak balwierz: w białą koszulę, ciemne spodnie oraz biały fartuch. Fartuch miał poplamiony krwią. U jego stóp leżało ciało kobiety o długich, jasnych włosach. Mężczyzna otarł ostrze brzytwy o kitel, skoczył w stronę tłumu.

– Balwierze z Ulicy Czarnej – wycedził Tamas. – Co, do otch...

Kolejne krzyki. Marszałek rozejrzał się po placu. Balwierzy były całe tuziny. Wpadli między ucztujących, przewracali półmiski jadła, bezkarnie zarzynali mężczyzn, kobiety i dzieci. Brzytwy śmigały w powietrzu niczym pędzel malarskiego mistrza tworzącego krwawe arcydzieło.

– Do broni! – wrzasnął Tamas. Jego pierwszy strzał trafił jakiegoś Balwierza prosto między oczy z odległości stu kroków. Marszałek nie musiał wspomagać się czarami.

– Potrafisz przeładować? – zapytał, rzucając Pierwszemu Lektorowi pistolet. – Kule!

Jeden ze strażników natychmiast podał mu garść okrągłych pocisków i drugą, ładunków prochu. Tamas rzucił jedną z kul w powietrze, potem myślą zapalił ładunek prochu. Padł kolejny Balwierz, potem następny.

– Do otchłani, po co ci to w ogóle? – zapytał Pierwszy Lektor, wręczając mu naładowany pistolet.

– Lepsza celność – wyjaśnił Tamas, zaskoczony, że uczony potrafił tak szybko naładować broń. Tłum zafalował dziko, ludzie na odgłos strzałów zachowywali się niczym spłoszone bydło. Marszałek zastygł, gdy zorientował się, że wiele osób spogląda ku otwartym drzwiom Domu Szlachty.

– Zamknąć te drzwi – polecił natychmiast. Uniósł pistolet. – Upewnić się, że lady Winceslav jest w środku.

– Tutaj! – Lektor pchnął rękę Tamasa, kierując jego pistolet w stronę Mihalego. Marszałek dostrzegł, że z tłumu nieopodal kuchmistrza wyłania się jakiś Balwierz. Nacisnął spust. Balwierz runął jak kamień.

– Na zmarznięte paluchy Noviego! – zawołał Tamas. – Przecież Sabon miał się zająć Balwierzami. Mihali! Uciekaj stamtąd!

Kuchmistrz go nie słyszał. Nadal stał na stole, machał ramionami i krzyczał, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z leżącego obok zabitego Balwierza.

– Kolejny – wskazał kanclerz. – Idą po Mihalego.

– Dlaczego?! – Tamas oddał pistolet Lektorowi i cisnął kulę w powietrze. Pocisk musnął ramię Balwierza i wpadł w tłum. Jakiś człowiek z krzykiem chwycił się za bok.

– Jesteśmy za daleko – skrzywił się Tamas. – Niewiele mu pomogę bez jakiejś lepszej broni.

Sięgnął do kieszeni po więcej pocisków, ale nic w niej nie znalazł.

– Cholera. Szaleniec czy bóg, teraz może być zdany tylko na siebie. Dajcie mi więcej kul!

– Nie. – Lektor powoli pokręcił głową. – Nie możemy zostawić go samego.

– Musimy, do cholery. Nie przedrzemy się przez to zamieszanie.

Ludzie uciekali powoli, najwyraźniej przekonani usilnymi prośbami Mihalego o zachowanie spokoju, ale okrzyki kuchmistrza nie były w stanie całkiem zdusić wrzącego w tłumie strachu.

– Musimy spróbować – powiedział Lektor. – Chodź, zabierz swoje straże. – Chwycił Tamasa za ramię.

Lady Winceslav pojawiła się po jego drugiej stronie. Tamas zdusił przekleństwo.

– Miałaś wejść do środka, pani!

– Nie zostawię tutaj swoich żołnierzy. – Lady Winceslav zacisnęła pięści. – Daj mi jakiś karabin. Wywalczymy sobie drogę do kuchmistrza i...

Tamasa zaskoczył nagły jęk Lektora.

– To on. Otwórz trzecie oko.

– Jak ty... – Marszałek wcale nie musiał otwierać trzeciego oka. Czuł, jak czary obmywają go z siłą przypływu.

– Adom – oznajmił Lektor. – Porzucił swoje przebranie.

– Co on robi? – Tamas poczuł się odrętwiały, bezradny. Jeszcze nigdy nie doświadczył tak potężnej magii. Przy niej czary Uprzywilejowanych były niczym ciepło świecy w porównaniu z wnętrzem kowalskiego pieca.

– On splata czar!

– Nie rozumiem.

– Splata! Chodzi o ten czas, który zajmuje stworzenie czaru, poruszanie aurami w Nieświecie. On nie rozdziera budynku ani nie niszczy batalionu. Skupiał moc przez cały tydzień! To jedzenie, ci ludzie. Wszyscy stanowią tego część. Wplata aury w samo miasto. Jeśli Balwierze go dostaną, zniszczeniu ulegnie wszystko, nad czym pracował!

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Nie mamy czasu! – Lektor puścił ramię Tamasa, gdy tłum ruszył w ich stronę. Jednego ze strażników marszałka rzucono na ziemię, prawie zadeptano, nim w końcu koledzy zdołali go uratować. Wszystko

wskazywało na to, że ludzka ciżba zmiecie ich wszystkich. To nie było coś, nad czym żołnierze zdołaliby zapanować.

– Musimy wracać do środka, panie. – Olem pojawił się przy Tamasie z karabinem w ręku. Kiedy wybuchło zamieszanie, stał między stołami.

Marszałek powiódł spojrzeniem od Olema do Lektora. Musieli się wycofać, poczekać, aż panika opadnie. Później zajmie się Balwierzami. Byli już skończeni. Zrobił krok do tyłu, chwytając kulę. O czym, do otchłani, gada Lektor? Jakie splatanie czarów?

Tamas wyczułby coś takiego dużo wcześniej.

– Zatarasować drzwi do Domu. Nie chcę, aby tłum dostał się do środka.

– Panie?

– Idziemy po Mihalego.

– To samobójstwo, sir!

– Formować oddział!

Wokół niego zgromadziła się straż i żołnierze z Domu Szlachty. W ciągu kilku chwil miał już trzydziestu ludzi. To nadal było zbyt mało, by wskórać coś przeciwko szaleństwu stu tysięcy.

– Lady, powinnaś wejść do środka – powtórzył Tamas po raz trzeci.

Jeden z żołnierzy podał lady Winceslav karabin. Sprawiała wrażenie kogoś, kto wie, jak się nim posługiwać. W oczach nie miała strachu. Marszałek to uszanował.

– Panowie, bez bagnetów – nakazał. – Odsuwać kolbami. Gdzie jest Lektor?

– Tutaj – wskazał Olem.

Tamas spojrzał w tamtą stronę. Lektor stał w odległości kilku stóp od jego ludzi, a stłoczona, rozgorączkowana tłuszcza była zaledwie o szerokość kilku palców od jego surduta.

– Niech go kto zgarnie! – szczeknął Tamas. – Stary sukinsyn wystawia się na śmierć!

Jakiś żołnierz opuścił szereg i ruszył po kanclerza. Chwycił Lektora za surdut. Starzec strząsnął go z zaskakującą łatwością. Za nim, daleko wśród tłumu, Mihali wciąż stał na swoim stole. Przestał krzyczeć i teraz

wpatrywał się w masy, marszcząc brwi. Choć panika wśród ludzi przybierała na sile, nikt nie zbliżał się do stołu bliżej niż na dziesięć kroków.

Póki nie zrobił tego jakiś Balwierz.

– Mój pistolet – polecił Tamas. – Szybko!

Z tłumu wyrwał się jeszcze jeden Balwierz, potrząsnął głową, jak gdyby oszołomiony, a następnie popatrzył na kompana. Dołączył do nich trzeci i razem zaczęli zbliżać się do kuchmistrza.

– Broń! – wrzasnął Tamas.

Żołnierzowi nie powiodło się wciągnięcie Lektora do budynku. Tamas widział starego kanclerza kątem oka. Ramiona Lektora opadły. Powoli sięgnął do kieszeni i wyjął parę białych rękawic z czerwonymi oraz złotymi runami. Wciągnął je, po czym uniósł dłonie.

Tamas patrzył na niego oszołomiony. Kanclerz, ten stary grubas, profesor w okularach, on był Uprzywilejowanym?! Dlaczego marszałek o tym nie wiedział?!

Lektor przebierał w powietrzu palcami niczym wirtuoz. Rozległo się głośne „łup” i tłum rozdzielił się na dwie części. Otworzyło się przejście, szerokie na powóz. Jakaś niewidzialna siła odsuwała ludzi na boki. Niektórzy drapali i uderzali w nią jak gdyby w szklany mur, inni zostali do niego przyciśnięci niczym statki do skały.

– Zabierz tędy swoich żołnierzy – polecił marszałkowi Lektor.

Tamas zawahał się.

– Idźcie – rozkazał. Potem pokuśtykał do kanclerza, biorąc karabin od jakiegoś żołnierza i celując w Balwierza. Miał tylko jeden ładunek i żadnych zapasowych patronów. Był za daleko, aby popchnąć pocisk, a jego ludzie nie dotarliby na czas. Cała analiza sytuacji zajęła mu ułamek sekundy. Wycelował w największego, najgroźniej wyglądającego Balwierza i nacisnął spust.

Balwierz wyparował. Pocisk przeszedł przez delikatną czerwoną mgiełkę i trafił jakąś kobietę w ramię. Tamas ze zdumienia szeroko otworzył oczy.

Natychmiast sprawdził lufę. Wszystko zdawało się w porządku. Popatrzył ponownie na Mihalego.

Drugi Balwierz znieruchomiał, wpatrzony w obłok, który przed chwilą był jego kamratem. Czerwona mgiełka rozwiewała się na wietrze niczym dym z fajki. Trzeci Balwierz zaszarżował na Mihalego z uniesioną brzytwą. Tamasowi wydało się, że słyszy delikatny trzask, i kolejny Balwierz zniknął. Nie pozostało po nim nawet ubranie czy metalowe ostrze. Jedynie czerwona mgła, którą rozwiała bryza. Drugi Balwierz odwrócił się, aby rzucić do ucieczki, i przy wtórze delikatnego trzasku, który jednak nie był złudzeniem, także zniknął. Tamas potrząsnął głową, słysząc jeszcze więcej podobnych trzasków. Ktoś wrzasnął.

Plac zaczął pustoszeć. Mihali został sam, stojąc na stole ze złożonymi ramionami. Spoglądał surowo ponad brukowcami, dopóki ostatnia osoba z uciekającego tłumu nie znalazła się na którejś z sąsiednich ulic. Na ziemi zostało porozrzucane jedzenie, powywracane stoły i krzesła, zwalone półmiski, wazy i kubki. Owsianka z obalonego gara rozlewała się powoli. Wokół leżały nieruchome ciała gapiów. Jakaś kobieta jęczała z bólu.

– Pomóż jej – polecił Tamas żołnierzowi.

Za nim gwałtownie otworzyły się drzwi Domu Szlachty. Na plac wylali się zbrojni.

– Co się stało, sir? – Vlora pospieszyła w ich stronę.

– Balwierze z Ulicy Czarnej – rzucił Tamas. – Adamat i Sabon nie wykonali swojej roboty.

– Gdzie oni są, do otchłani?

– Zastrzeliłem paru. Oni... – Urwał. Ranni Balwierze zniknęli. Zamrugał. Czy przypadkiem tam, gdzie niedawno byli, nie unosiła się teraz czerwona mgła? – Było ich tu więcej. Na pewno uciekli razem z tłumem. – Przepchnął się obok Olema i pokuśtykał w dół schodów. Zatrzymał się obok kanclerza. Lektor stał z rękoma w kieszeniach marynarki, przyglądając się pustemu placowi z wyraźną konsternacją.

– Kim ty jesteś, do otchłani?! – Tamasowi ręce drżały. Czary, które czuł jeszcze przed kilkoma chwilami, już zniknęły, ponownie ukryte. Bez

wątpienia ich źródło stanowił Mihali. Ale kim był kanclerz? Uprzywilejowanym? Przecież Tamas by to zauważył.

Lektor wyciągnął rękę z kieszeni i zabębnił palcami po brzuchu. Zdjął już rękawice.

– Jesteś jednym z nich – stwierdził Tamas, kiedy stało się jasne, że Lektor nie odpowie mu na pytanie. – Jednym z Predei. Tak jak Julene.

To była prawda. To wszystko była prawda. Marszałek poczuł, jak strach ściska mu żołądek.

– Nigdzie nie odchodź. – Tamas skierował się w stronę Mihalego.

Tęgi kuchmistrz zszedł już ze stołu i ustawiał krzesła. Zatrzymał się przy wywróconym kotle z owsianką. Delikatnie oparł dłoń na brzegu naczynia, zmarszczył brwi.

Marszałek stanął kilkanaście kroków przed Mihalim. Owsianka znikała na jego oczach, niczym deszcz schnący na nagrzanych słońcem skałach. Kuchmistrz pochylił się nad kotłem i dźwignął go bez trudu, chociaż gar z pewnością ważył ze dwadzieścia kamieni. Mihali odstawił naczynie na żelazny trójnóg.

Tamas otworzył trzecie oko, zwalczył falę zawrotów głowy. Świat pojaśniał. Teraz marszałek widział kamienie, na które rozlała się owsianka, w różowym kolorze. Barwy wirowały wokół Mihalego niczym festiwalowe serpentyny, chociaż żadna z nich nie dotykała samego kuchmistrza.

Grubas opadł na krzesło i oparł łokieć na kolanie, zaś podbródek na dłoni. Dostrzegł Tamasa.

– Dziękuję za opiekę nade mną – powiedział.

– Byłem za daleko, aby móc zrobić coś więcej – odparł Tamas.

Kuchmistrz uśmiechnął się do niego słabo.

– Mimo wszystko. W tym ciele jestem podatny na rany.

– Zrujnowali twoją ucztę – zauważył marszałek.

– Ludzie powrócą. – Mihali przesunął dłonią po czole. Podeszła do niego jedna z asystentek, położyła mu dłoń na plecach. Przyciągnął kobietę potężnym ramieniem i pocałował w czoło. – I będzie ich jeszcze więcej –

powiedział z westchnieniem. – Moja własna praca nie została zrujnowana. Może nieco opóźniona, ale nie zrujnowana.

– Lektor twierdzi, że splatałeś czar – stwierdził marszałek.

Mihali spojrzał w stronę kanclerza, ponad ramieniem Tamasa.

– Bardzo spostrzegawczy.

Uścisnął ramię swojej pomocnicy i delikatnie ją odsunął.

– Teraz sobie ciebie przypominam – stwierdził, kiedy Pierwszy Lektor się zbliżył. – Minęło bardzo dużo czasu.

– Tak ze czternaście stuleci – zgodził się kanclerz. – Więc to naprawdę ty? Nie wierzyłem... Nie chciałem uwierzyć. – Odetchnął z drżeniem. – Wierzyłem, że minęło już dość czasu, by Kresimir nigdy nie powrócił. Wierzyłem, że nadszedł czas zmian. Myślałem, że te wszystkie troski Rozalii były niemądre i że Julene żyje w przeszłości. Wierzyłem, że byliśmy sami.

– Mój lud nigdy nie był sam – powiedział Mihali. – Inni może i odeszli, ja nie.

– Co zrobiłeś tym Balwierzom? – chciał wiedzieć Tamas.

– Oni już nie istnieją. – Mihali nie wyglądał na zadowolonego. Mówił ponurym tonem, jak człowiek, który uczynił coś, czego nie chciał. – Straciłem nad sobą panowanie – przyznał. – Nie lubię... – Głos mu zadrżał, umilkł. – Nie czuli bólu. Nie lubię krzywdzić ludzi.

Tamas przez kilka chwil przyglądał się kuchmistrzowi, a przez głowę przepływały mu tysiące pytań. Jednak z jakiegoś powodu milczał.

– Panie – odezwał się Olem, zjawiając się u jego boku – nie możemy znaleźć żadnego z tych Balwierzy. Ani jednego.

– Nie znajdziecie – powiedział Tamas. Wziął głęboki oddech. – On jest bogiem, Olemie. Prawdziwym, żywym bogiem, we własnej osobie. – Ta nowa wiedza wcale go nie cieszyła. Bolała go głowa. W żołądku wirowało. – To niedobrze.

Olem wpatrywał się w Mihalego, jakby próbował zebrać myśli.

– Dlaczego niedobrze? To znaczy jeśli on jest bogiem, to dlaczego to niedobrze?

Tamas spojrzał w niebo. Dzień był piękny, ciepły, ale nie upalny. Orzeźwiony lekką bryzą, ale nie wietrzny, słońce miło grzało twarz.

– Dlatego że Mihali nie jest jedynym bogiem – wyjaśnił. – Jest też Kresimir. To oznacza, że Kresimira można wezwać z powrotem. To znaczy, że Kresimir po mnie przyjdzie. To znaczy, że ostrzeżenia Bo nie były wcale bredniami. A to niedobrze. – Poczuł czyjąś obecność przy swoim boku, jakąś dużą dłoń na ramieniu. Dołączył do niego Mihali.

– Jest jeszcze gorzej – powiedział kuchmistrz. – Gdyby chodziło tylko o ciebie, byłoby mi przykro, ale...

Tamas poczuł się ciężko chory. Noga znowu zaczęła mu dokuczać. Zmienił pozycję i poczuł dźgnięcie bólu. Przełknął podchodzące do gardła wymioty.

– Co masz na myśli?

– On zniszczy cały kraj – uświadomił marszałka Mihali. – Każdego mężczyznę, kobietę i dziecko. Każdą roślinę i każde zwierzę. Wypali wszystko do gołej ziemi.

– Dlaczego?

– Mój brat nie jest... łagodnym bogiem – wyznał kuchmistrz. – Uzna, że łatwiej zacząć wszystko od nowa.

Tamas zacisnął pięści. Bogowie. Co mógł na to poradzić? Co mógł zrobić?

– Dlaczego jeszcze tego nie uczynił?

Mihali spojrzał w stronę Wielkiej Południowej Turni.

– Mój brat wyruszył w daleką podróż. Nie sądzę, aby tak naprawdę miał zamiar powracać. Jednak zostanie wezwany. Są tacy, którzy starają się tego dokonać, i tacy, którzy chcą temu zapobiec. – Mihali odwrócił się do Tamasa. – Dla ciebie już za późno, abyś wpłynął na losy tamtej bitwy. Będę się starał ochronić Adro przed jego mocą, ale ty musisz oczyścić swój dom.

– Zdrajca – wyszeptał Tamas.

– Jeśli pojawi więcej zakłóceń takich jak to – kuchmistrz szerokim gestem wskazał plac – więcej takich rozpraszających zdarzeń...

– Ale ja nie wiem, kto nim jest – powiedział marszałek.

– On może wiedzieć – stwierdził Olem, wskazując poprzez plac. Tamas odwrócił się i zobaczył śpieszących w ich stronę Sabona z Adamatem.

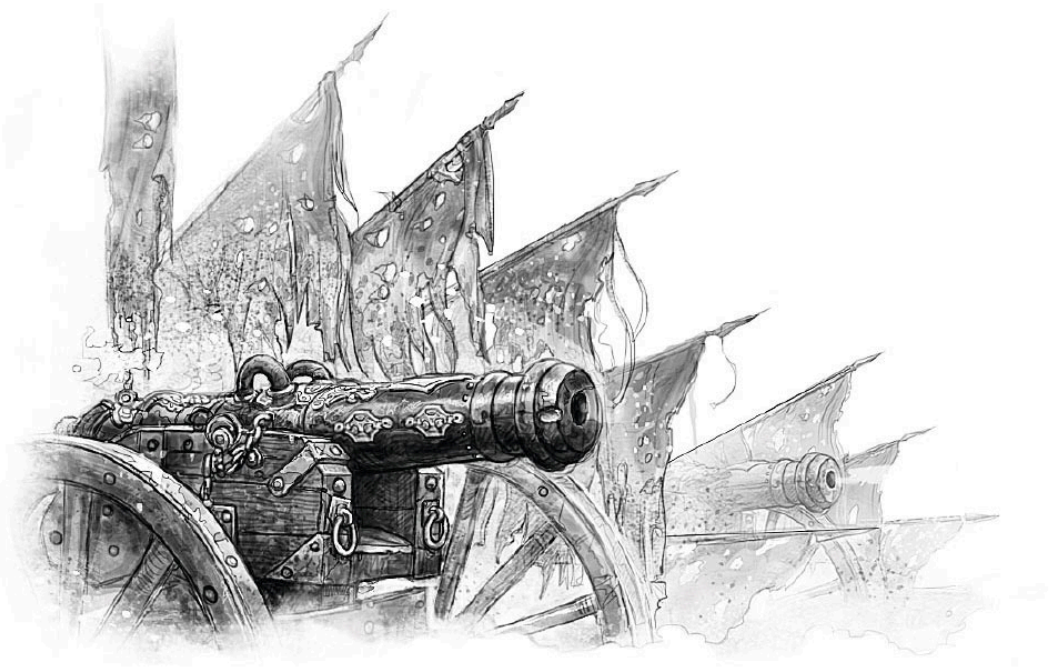

37
ROZDZIAŁ

Plac Elekcyjny był zdewastowany. Żołnierze wędrowali wśród wywróconych stołów, poprzewracanych krzeseł i rozsypanego jedzenia, jak gdyby szli po pobojowisku. Ze smutkiem szperali wśród szczątków. Kiedy zjawił się Adamat, kilku mieszczan zabierano właśnie na noszach, a u dołu schodów do Domu Szlachty zgromadziła się grupka ludzi.

Adamat patrzył, jak Sabon go wyprzedza. Zwolnił, próbując rozeznać się, co właściwie się tutaj wydarzyło. Czyżby zjawili się za późno? Ludzie uciekali wśród chaosu, tyle było jasne. Ale co się stało? Detektyw nie widział żadnych Balwierzy ani żadnych poległych żołnierzy. Ci, co leżeli na ziemi, nie nosili mundurów, byli zwykłymi mieszczanami, którzy dostali się

w krzyżowy ogień. Ujrzał podcięte gardła, krew na bruku, nawet kilka ran postrzałowych. Rodziny gromadziły się wokół zabitych krewnych. Kobiety zawodziły.

Adamat zbliżył się do grupki żołnierzy i odetchnął z ulgą. Tamas tam był, razem z kanclerzem oraz kuchmistrzem Mihalim. Nieopodal stała lady Winceslav, a zarówno Ricard Tumblar, jak i podskarbi Ondraus szli właśnie poprzez plac. Żołnierze Tamasa ruszyli pomagać rannym.

Sabon potrząsnął głową, słysząc jakieś słowa wypowiedziane przez Tamasa. Obaj wyczekująco zwrócili się ku Adamatowi.

– Charlemund – powiedział detektyw, zanim Tamas zdążył zadać pytanie. – Arcybiskup.

Gniew wykrzywił rysy marszałka. Przez chwilę Tamas zmagał się z emocjami, zanim wreszcie odzyskał panowanie nad sobą.

– Skąd wiesz? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

Adamat szybko opowiedział o kapłanie Siemonie i zeznaniu Teefa.

– To musiał być Charlemund – zakończył. – Kapłan opisany przez Teefa zbyt dobrze pasuje do Siemone’a, aby to był jakiś przypadek.

– Ten kapłan... Czy jest możliwe, żeby pracował dla kogoś innego?

– Nie.

Oczywiście, że to było możliwe. Nigdy nie istniała absolutna pewność. Jednak wydawało się to wyjątkowo nieprawdopodobne, zatem Adamat trwał przy swoim zdaniu.

Ordynans Tamasa przysunął się bliżej.

– Dorwijmy go – zaproponował. – Mamy imię. Mamy świadka. Nie możemy zwlekać.

– Racja – poparł go Sabon.

Tamas zamknął oczy.

– Trzeba to zrobić – powiedział Delivijczyk.

Adamat przyglądał się marszałkowi polnemu. Uświadomił sobie, że Tamas jest przerażony. Charlemund był jedynym członkiem jego rady, który miał dość sił, żeby go od razu zmiażdżyć. Marszałek mógł zostawić arcybiskupa w spokoju i czekać na następnego zabójcę albo zaatakować

i ryzykować gniew Kościoła. Adamat nie zazdrościł Tamasowi owej decyzji.

Marszałek powoli przyglądał się twarzom otaczających go osób. Jego spojrzenie spoczęło na kuchmistrzu. Mihali krótko się skłonił. Coś tu jeszcze się działo, coś, co Adamatowi umknęło.

– Dlaczego po ciebie przyszli? – zapytał Tamas kuchmistrza.

Mihali przez chwilę patrzył przed siebie, grymas wykrzywił mu twarz.

– To niejasne – powiedział wreszcie. – Julene jest Predei. Wie, że zamieszkuję śmiertelne ciało. Może go ostrzegła. A może przyłączyli się jeszcze jacyś inni.

Tamas czekał na Ricarda Tumblara i Ondrausa.

– Charlemund zdradził naszą sprawę – oznajmił, gdy już dołączyli do grupy. – Nie ścierpię tego. Nie wiem, czy jego zdrada ma błogosławieństwo Kościoła. Nie dbam o to. Kto stanie przy mnie?

– Ja. – Ricard postąpił do przodu.

– Ja także – dołączyła lady Winceslav.

Pierwszy Lektor pokiwał głową.

– Oczywiście – parsknął Ondraus.

– Przygotujcie konie i powozy – polecił Tamas. – Dajcie mi jakichkolwiek zbrojnych, jakich mamy pod ręką. Zamierzam aresztować arcybiskupa.

– Jedziesz do niego? – zapytał Sabon. – Dlaczego po prostu nie zwołamy narady? Kiedy się na niej zjawi, wtedy go pochwycimy.

– Musimy go zmusić, aby odsłonił karty – wyjaśnił Tamas. – Jego szpiedzy powiedzą mu, że atak na Mihalego się nie powiódł i że został ujawniony. Jeśli zacznie uciekać, potwierdzi swoją winę. Jeśli zostanie, dojdzie do konfrontacji. Tak czy owak, nie pozwolę mu zbiec. Ruszajmy.

Adamat poczuł się odsunięty. Żołnierze ruszyli do akcji. Tamas zatrzymał się przy nim, ciężko opierając się na lasce, i położył detektywowi dłoń na ramieniu.

– Dobra robota – powiedział. – Idź do domu. Pakuj się. – Głos mu zadrżał. – Wywieź swoją rodzinę z kraju. Jeśli wszystko pójdzie dobrze,

w przyszłości będę miał jeszcze pożytek z ciebie i twoich umiejętności.

Czy on żartował? Adamat poszukał twarzy Tamasa. Nie. Mówił poważnie. Zbyt poważnie. Marszałek ruszył. Kiedy szedł, podskakiwał jak marionetka, a jego kula stukała o bruk.

Oznaki obecności lwów jaskiniowych stały się wyraźniejsze, kiedy Taniel i jego towarzysze zbliżyli się do szczytu góry. Psy szarpały smycze. Przez pierwszą połowę drogi chciały rzucić się w pogoń, a przez drugą skamlały, ciągnąc opiekunkę w dół zbocza.

Taniel czuł, że stale napięte nerwy zaczynają już mu puszczać. W jego głowie lwy jaskiniowe czaiły się za każdym wzniesieniem, czyhały, by wyskoczyć zza każdego głazu. Po szaleństwie płonącym w spojrzeniach towarzyszy zgadywał, że myślą o tym samym. Ale jeszcze nic nie szło ich śladem. Wszelkie znaki wskazywały, że stworzenia znajdowały się z przodu, podążając za Kezanami. Z tropów wynikało, że bestii jest siedemdziesiąt. Ich liczebność wzrastała z każdą milą.

Odnaleźli pierwszego trupa, częściowo pożartego, na poboczu. Ciało było poszarpane, a biały śnieg nasiąknął krwią. Truchło należało do lwa jaskiniowego. Ka-poel przykucnęła obok, palcami przeczesywała śnieg. Tanielowi wydawało się, że dostrzegł, jak coś chowa do plecaka. Zbliżył się do niej.

– Co zabiło tego lwa? – zapytał, chociaż sam już wiedział.

Ka-poel pokazała gest strzelania z karabinu.

Pokiwał głową.

– Czyli Kezanie wiedzą, że są ścigani. A te kreatury? Pożerają pobratymców. Jak stąd daleko do szczytu? – zwrócił się do Bo, który do nich dołączył.

– Sądzę, że niedaleko – odparł Uprzywilejowany. – Do tej pory tylko raz dotarłem tak wysoko. – Odwrócił się w stronę mnicha. – Del?

Przewodnik zbladł na widok lwiego truchła. Powoli, z drżeniem, uniósł ramię, wskazując przed siebie.

– Tam – wydusił.

Taniel podążył za jego spojrzeniem, ku skalnej wychodni na górze, tam gdzie znikał szlak.

– Tak blisko? – Zmarszczył brwi. – A gdzie miasto?

– Tam – powtórzył Del.

– Zaraz zobaczysz, o co mu chodzi – dodał Bo.

Dotarcie na wysokość wskazaną przez Dela zajęło niecałe pół godziny. Wspięli się na stromy pagórek, poprzez który biegł szlak. Taniel zatrzymał się, aby złapać oddech – tylko po to, żeby odebrał mu go widok przed nimi.

Stał na krawędzi ogromnego krateru, który z pewnością mierzył dziesiątki mil średnicy i setki stóp głębokości. Taniel zachybotał się, ale odzyskał równowagę.

W dole sterczały drzewa z gatunków, które w ogóle nie powinny rosnąć na takiej wysokości. Wznosiły gałęzie ku niebu wzdłuż całej wewnętrznej krawędzi krateru. Taniel niemal mógł dotknąć wierzchołków najbliższych z nich. Jednak te drzewa od dawna były martwe. Boki miały czarne, zwęglone, gałęzie nagie oraz powykręcane. Kiedyś tworzyły potężny las. Teraz przypominały przeklęte cmentarzysko.

Za drzewami wznosiły się ruiny potężnego miasta. Budynki zapełniały większą część krateru, liczniejsze i wyższe niż w Adopeście. Teraz jednak stanowiły niewiele więcej jak kamienne truchła, poczerniałe, podobnie jak drzewa. Ich pozbawione okiennic okna spoglądały niczym puste oczodoły. Widok ten przyprawił Taniela o dreszcze.

– Kresimska Kaldera – oznajmił Del drżącym głosem.

Bo miał ponurą minę.

– Opieka Kresimira słabła przez stulecia. Żar i kwas z wulkanu pozabijały drzewa i wypaliły budynki. Nic tutaj nie żyje.

– Wyjąwszy lwy jaskiniowe – przypomniał mu Taniel. – Nie mam pojęcia, jak sobie dają radę.

– Coś utrzymuje je przy życiu – powiedział Bo.

Taniel dostrzegł jezioro pośrodku kaldery, kępy drzew, sadzawki i rozległe pagórki, niegdyś parki, gdzie w Erze Kresimira bawiły się dzieci. Pomyślał, że woda w kalderze była kiedyś czysta i piękna. Z miejsca, w którym stał, widział, że jezioro na dnie krateru jest zatęchłe i brunatne. Bulgotało, kipiało, a z jego centrum unosiła się gęsta chmura pary oraz dymu.

Rozległ daleki ryk jaskiniowego lwa.

– Bagnet na broń – polecił Taniel.

Rozciągnęli szeregi, zeszli do krateru.

Taniel ustawił się między Delem a Bo.

– Gdzie jest amfiteatr? – zapytał.

Del nie odpowiedział. Magowi wydało się, że słyszy, jak mnich skamle cicho. Potem raz jeszcze usłyszał podobny dźwięk, może to jednak były psy. Od kiedy weszli do kaldery, zachowywały się niepokojąco cicho.

– Południowa Turnia, zanim wezwano Kresimira, miała zwyczajny szczyt. – Bo zmarszczył brwi. – Mówi się, że gdy dotknął ziemi, ta usunęła się spod jego stóp, a góra wybuchła, wyrzucając wysoko w powietrze kwas i sadzę w takich ilościach, że wystarczyło, aby przykryć całe Adro. Predei ledwie uszli z życiem. Kiedy wszystko się uspokoiło, uformowała się kaldera, a na brzegu Jeziora Turni stanął Kresimir.

Wskazał na centrum kaldery.

– Czy właśnie tam jest amfiteatr?

Del przytaknął.

– Będę potrzebował jakiegoś miejsca, aby mieć czystą linię strzału. Im bliżej, tym lepiej, ale muszę mieć dobry widok – powiedział Taniel.

Zdawało się, że Del zastanawia się przez kilka chwil.

– Pałac Kresimira. Idźcie za mną, poprowadzę.

Umilkli, wędrując przez martwy las. Odgłos ich kroków odbijał się od twardej, brukowanej drogi, zaś Taniel nagle uświadomił sobie, że nie ma tutaj śniegu. Grunt był nagi. Nawet najbardziej wytrzymałe leśne zarośla i krzaki dawno już uschły. Powietrze stawało się coraz cieplejsze. Czy powodem była gasnąca już opieka Kresimira nad Świętym Miastem?

A może ciepło dochodzące z wnętrza wulkanu? Czy w ogóle zdołają dotrzeć do Jeziora Turni? Nieznośny żar i trujące gazy mogły przecież zmusić ich do zawrócenia z drogi. Nie mieli czarodziejskiej ochrony Julene i kezańskiej kamaryli. Taniel zerknął na Bo. Wyglądał coraz gorzej. Mag wątpił, czy Uprzywilejowany zdołałby ochronić muchę.

Następne trupy znaleźli na skraju lasu, na zboczu niewielkiego wzgórza. Taniel od razu zrozumiał, że są to nie tylko ciała lwów jaskiniowych.

Jakiś Stróż leżał rozerwany na strzępy, wśród szczątków co najmniej sześciu albo siedmiu lwów. Jego dłoń, pozbawiona skóry, wciąż spoczywała na gardle martwego zwierzęcia. Taniel zasłonił nos chusteczką. Ciała nie zaczęły jeszcze gnić, jednak lwy cuchnęły same z siebie, tym silniej, że powietrze stało się cieplejsze, a wiatr ucichł.

Ka-poel znowu wysunęła się na czoło. Zatrzymała się zaraz po drugiej stronie wzgórza i pomachała do reszty. Taniel cieszył się, że mogą pozostawić miejsce jatki za sobą.

Radość ta nie trwała długo. Gdy stanął obok Ka-poel, ledwie powstrzymał wymioty. Usłyszał, jak ktoś z tyłu głośno zwraca śniadanie. Zerknął przez ramię. To był Bo.

Stoczono tutaj zaciętą bitwę. Stróże zajęli pozycje pośrodku niewielkiego parku, a Julene i Uprzywilejowani najpewniej wycofali się wtedy do serca miasta. Zginęło kilkunastu Stróżów oraz trzykrotnie więcej jaskiniowych lwów. Szczątki porozrzucane były na sporym obszarze. Nieopodal jakiś Stróż leżał na kamiennej ławce z jedną ręką w górze, a na ziemi dookoła walały się jego wnętrzności. Coś pożywiło się nim w wielkim pośpiechu.

– Te stworzenia są głodne – powiedziała Rina. Psy cisnęły się jej do nóg. – Biegną, jak gdyby polowały, jak gdyby miały powód, żeby atakować i zabijać, ale kiedy natkną się na trupa, zatrzymują się, żeby jeść mięso. Pewnie głodują.

Taniel przełknął ślinę.

– Są głodne? Czy właśnie dlatego ścigają Kezan? – Coś podobnego byłoby łatwiejsze do zrozumienia, chociaż wcale nie mniej niebezpieczne

niż lwy prowadzone przez jakąś nadnaturalną siłę albo inteligencję.

Rina wzruszyła ramionami.

– Możliwe. Ale lwy jaskiniowe nie polują stadami, nawet w czasie głodu. To samotnicy.

– Jak to możliwe, że jest ich tak wiele? – zapytał Bo. – Przecież tutaj nie ma nic do jedzenia.

Zdawało się, że nikt nie potrafi znaleźć odpowiedzi.

Taniel sprawdził każdy z pistoletów oraz karabin, upewniając się, że są naładowane. Potem wciągnął szczyptę prochu. Dłonie mu drżały. Ciało prosiło o jeszcze. Potrzebował prochu. Zwalczył jednak ten impuls. Jeśli przesadzi, to przedawkuje. Z drugiej strony, jeśli nie będzie silny, będzie martwy. Zażył więc kolejną szczyptę.

Szli śladem porozrywanych ciał aż do centrum miasta. Drogę wyznaczała im krew i szczątki Stróżów, rozwleczone wzdłuż drogi.

Taniel uważnie przyglądał się budynkom. Wszystkie trwały w bezruchu i absolutnej ciszy, chociaż powinien w nich wyć wicher. Nic. Miasto było absolutnie martwe, nawet żywioły w nim milkły, co mroziło Tanielowi duszę.

Dotknięcie czyjejś dłoni sprawiło, że odwrócił się gwałtownie z uniesionym karabinem i o mało nie pchnął Dela bagnetem.

– Przepraszam. – Serce waliło mu o żebra.

– Pałac. – Mnich wskazywał na samo serce miasta.

Zmienili marszrutę zgodnie z instrukcjami Dela. Chociaż miasto przerażało Taniela, cieszył się, że zeszli ze szlaku lwów jaskiniowych i Uprzywilejowanych. Teraz odnajdzie Pałac Kresimira i przerzedzi szeregi Uprzywilejowanych z bezpiecznej odległości, a wtedy zabraknie im mocy, aby przyzwać boga.

Adamat przez całą drogę do domu wysłuchiwał plotek o masakrze na Placu Elekcyjnym. Ludzie starali się trzymać jak najdalej od tamtej okolicy. Wieści rozchodziły się szybko. Wszędzie wokół widział znaki Powroza, którymi mieszkańcy Adro chronili się przed pechem. Masakra podczas Festiwalu Świętego Adoma, to zniechęciłoby każdego do wyściubiania nosa za drzwi.

Miał nadzieję, że uda mu się wynająć powóz i od razu ruszyć do Offendale. Wydostanie rodzinę, wydostanie się z kraju, a potem...

– SouSmith! – zawołał, wieszając płaszcz na haczyku. Zatrzymał się. Obok wisiały jeszcze trzy płaszcze. Zamknął oczy. Nie znowu.

– Czy nie możesz wreszcie dać mi...? – Adamat wszedł do bawialni i zamarł.

Po drugiej stronie pokoju stał lord Vetas wraz z dwoma zbirami. Między nimi zaś Astrit. Chude dłonie Vetasa spoczywały na jej ramionach. Wyglądała niczym maleńka mucha schwytana w pajęczą sieć. Adamatowi niemal zamarło serce. Co innego było mieć świadomość zagrożenia, co innego zobaczyć dziewczynkę w rękach Vetasa.

SouSmith siedział na sofie. Wrócił tu zaraz po wizycie u Balwierzy. Twarz miał bladą, a pot spływał mu po policzkach. Oddychał z trudem, nierówno, dłoń przyciskał do rany.

– Przepraszam – wykrztusił. – Byli tutaj przede mną.

– SouSmith opowiedział nam o wizycie Balwierzy – oznajmił Vetas. W jego głosie nie było żadnych emocji, ani śladu współczucia czy miłosierdzia. – Przetrwać atak trzech zabójców... Brawo.

– Puszczaj ją – powiedział Adamat ze znużeniem. Nagle minione dwa dni zwaliły mu się na barki straszliwym ciężarem. Pragnął już tylko opaść na ulubione krzesło i przedrzemać do wieczora. Wyglądało jednak na to, że coś takiego nie wchodzi w rachubę.

– Proszę nie zmieniać tematu – oznajmił lord Vetas. – Jak tam Teef?

– Gnije w Szablozębie – rzucił Adamat. – A jak tam lord Claremonte?

Na ułamek chwili na twarzy Vetasa odmalowało się zaskoczenie, zniknęło tak szybko, że mogło wydawać się jedynie złudzeniem.

– Astrit, jesteś cała? – cicho upewnił się Adamat.

Dziewczynka pokiwała głową. Twarz miała umorusaną, a letnią sukienkę pomiętą, jednak wydawało się, że nie stała jej się żadna krzywda.

– Tak, tatusiu.

– Boisz się?

Zacisnęła zęby i potrząsnęła głową.

– Zuch dziewczyna. Czy zrobili ci krzywdę?

Znowu milczące zaprzeczenie.

– Dlaczego Teef jest w Szablozębie? – chciał wiedzieć lord Vetas.

– Bo miał układ z Tamasem i złamał go, próbując mnie zabić.

Lord zmarszczył czoło.

– Dlaczego pan mi nie powiedział, że on miał układ z Tamasem?

– Nie wiedziałem.

– Naprawdę? – Lord Vetas ścisnął ramiona Astrit. Próbowała się wyrwać, ale trzymał ją mocno.

– Tak, do cholery. Nie wiedziałem, przysięgam.

Lord rozluźnił dłonie.

– Mniemam, że odkrył pan zdrajcę? Tamas właśnie rusza aresztować Ricarda Tumblara?

Lord Vetas nie miał podstaw sądzić, że zdrajcą jest Ricard. Chyba że sam usiłował wrobić szefa związków.

– Jaki interes ma w tym wszystkim lord Claremonte? – odpowiedział pytaniem na pytanie Adamat. – Dlaczego zajmuje się sprawami tutejszej polityki? Nawet nie jest Adrańczykiem.

– Lord Claremonte interesuje się sprawami Bruduńsko-Gurlańskiej Kompanii Handlowej – oznajmił lord Vetas. – A te zależą od wydarzeń w całych Dziewięciu.

– Po czyjej stronie stoi?

– Niczyjej – odparł lord Vetas. – Tam szturchnięcie, tu popchnięcie. Więcej nie musi pan wiedzieć. A zatem kiedy Tamas zaaresztuje Ricarda Tumblara?

– Nigdy.

– Dlaczego nie?

– Jedzie teraz, aby zaaresztować Charlemunda, prawdziwego zdrajcę.

Astrit krzyknęła, gdy lord Vetas gwałtownie wykręcił jej ramiona.

– Wszystkie dowody wskazują na Ricarda – upierał się Vetas. – Dlaczego Tamas sądzi, że to jednak Charlemund?

– Wymieniono jego imię przy prochowym magu Tamasa. Cóż mogłem zrobić? – Adamat zrobił krok naprzód.

– Cofnij się! – rozkazał Vetas. Jego zbiry natychmiast popatrzyły groźnie na detektywa.

– Zrób jej krzywdę, a już nie żyjesz.

– Razem z resztą pańskiej rodziny – odparł lord Vetas.

– Vetas – powiedział Adamat – przysięgam na całe Dziewięć, że zniszczę ciebie i twój ród, jeśli zrobisz krzywdę mojej córce. Poniżę lorda Claremonte’a tak, jak gdyby był psem, którego wykopuje się na ulicę.

Poczuł, że coś zimnego drży mu w głębi trzewi.

Lord Vetas gwałtownie wciągnął powietrze. Jego uchwyt na ramionach Astrit zelżał. Dziewczynka się wyszarpnęła. Adamat chwycił ją dłonią, przyciągając do siebie.

Zbir węglarz wyjął nóż, jego kompan – pistolet. Lord Vetas powstrzymał ich ostrzegawczym gestem.

– Wszystko jest jeszcze do uratowania. Adamacie, jesteś za dobry, aby cię tracić. Nie zabijemy cię... jeszcze nie. Kiedy ma dojść do aresztowania?

– Kiedy tylko Tamas zbierze ludzi.

Czyżby Vetas zamierzał ostrzec Charlemunda?

– Gdzie?

– W willi biskupa.

– Lepiej, żebyś mówił prawdę – ostrzegł go lord Vetas. – Kale – zwrócił się do jednego ze zbirów.

Węglarz odwrócił głowę.

– Idź do willi, ostrzeż arcybiskupa. Powiedz, że wysłał cię Szaleniec. Jeśli nasz dobry diuk wciąż tam jest, powinni bez trudu zastawić pułapkę na Tamasa.

Węglarz skinął głową. Spojrzał na Adamata ostrzegawczo, potem przepchnął się obok niego i chwilę później już był na zewnątrz.

– Dlaczego Claremonte współpracuje z arcybiskupem? – indagował Adamat. – A skoro współpracuje, to dlaczego Charlemund próbował mnie zabić? Przecież wychodzi na to, że również pracuję dla Claremonte’a.

Vetas zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

– Jedna ręka nie wie o tym, co czyni druga. Taka strategia ma swoją cenę, której o mało pan nie zapłacił. Zadaniem Charlemunda było po prostu zabicie fałszywego boga, Mihalego. Okazał się nazbyt gorliwy. I niech pan wie, że Charlemund to nic więcej, jak tylko ręka. Claremonte wykorzystuje ludzi takich jak on do załatwienia swoich własnych spraw.

– Nikt nie wykorzystuje arcybiskupa.

– Claremonte tak.

– W jakim celu?

– Nie jest pan w stanie tego pojąć – uciął Vetas. – Rozczarował mnie pan, Adamacie. Mała miała być dowodem dobrych intencji, darem za to, co pan oferuje. Jednak teraz sądzę, że powróci razem ze mną. Mam ludzi, którzy znają się na takich sprawach. – Zrobił krok do przodu, wskazując mężczyznę z pistoletem.

Detektyw zacisnął pięści.

– W porządku!

Lord Vetas umilkł.

– Nie zamierzają zaaresztować go w willi. Jest w katedrze, odprawia popołudniowe nabożeństwo. Proszę, zostaw mi moją córkę.

Oczy lorda Vetasa rozbłysły.

– Okłamałeś mnie?

– To prawda, przysięgam!

– Do otchłani! Ty – wskazał na drugiego zbira – zostań tutaj, a jeśli spróbują wyjść, zabij Adamata, potem pięściarza i dziewczynkę.

Lord Vetas pospieszył do wyjścia, po drodze mocno trącając Adamata ramieniem. Detektyw mruknął. Na ulicy lord Vetas popędził ile sił

w nogach, aż łopotały za nim poły fraka. Adamat patrzył za nim przez okno, póki szantażysta nie zniknął w głębi ulicy. Odetchnął głęboko.

– Wszystko w porządku, tatusiu? – zapytała Astrit.

– Tak. Cieszę się, że nic ci nie jest. Jak się czuje mama?

– Martwi się. Krzyczała, kiedy mnie zabierali.

– Czy zrobili jej krzywdę? A twój brat, czy z nim wszystko w porządku?

– Obcięli Josepowi palec. Nawet nie płakał.

– To bardzo dzielny chłopiec.

– Tato. Co teraz będzie?

– Nie wiem.

Adamata nie powinno tutaj być, kiedy Vetas powróci. To by oznaczało śmierć ich wszystkich. SouSmith wyglądał tak, jak gdyby ledwie mógł się poruszać, a Astrit była tylko dziewczynką. Jednak detektyw musiał jakoś ostrzec Tamasa.

– Zostań tutaj – wyszeptał do Astrit.

– Hej! – odezwał się drugi zbir, kiedy Adamat ruszył na drugi kraniec pokoju.

Detektyw zatrzymał się posłusznie, unosząc ręce. Oprych wodził lufą pistoletu między SouSmithem i Adamatem. Pięściarz miał zamknięte oczy, dłońmi przytrzymywał brzuch. Oddychał płytko. Bandzior, uznając boksera za mniejsze zagrożenie, wymierzył broń w Adamata.

– Po prostu chcę się napić – wyjaśnił detektyw.

Oprych zmrużył powieki.

– Proszę – nalegał Adamat. Wyciągnął przed siebie dłonie, demonstrując, jak bardzo się trzęsą.

– W porządku – zgodził się zbir. – Będę tylko patrzył, żeby się upewnić, że nie chowasz tam żadnej broni.

– Naładowany pistolet w barku? Chyba zwariowałeś – obruszył się Adamat. – Jeśli myślisz, że zamierzam wyciągnąć jakiś nóż, to lepiej stań tam. – Machnął ręką w stronę sofy.

Zbir zajął wskazane stanowisko.

– Patrzę na ciebie.

Dobrze. Adamat wyjął z barku butelkę.

– Wina?

Oprych pokręcił głową.

Detektyw wyciągnął korek korkociągiem, mocował się chwilę, by zdjąć go ze szpikulca, po czym cisnął na półkę. Nalał do dwóch kieliszków, szyjka butelki zabrzęczała o krawędź naczynia. Zrobił krok w stronę bandyty.

– Na pewno nie chcesz?

– Pozwolę napić ci się pierwszemu – powiedział zbir. – Znam takie sztuczki.

– Żadne sztuczki – oburzył się Adamat. – Myślisz, że zatrułbym butelkę wina za dwa tysiące krana? Poza tym trucizna nie działa odpowiednio szybko. Umierając, wciąż jeszcze miałbyś czas, aby mnie zastrzelić. SouSmith, wina?

Bokser słabo pokiwał głową.

– Przepraszam – powiedział Adamat, unosząc oba kieliszki, aby pokazać, że niczego nie planuje, i zaczął wymijać zbira.

Upuścił oba kieliszki równocześnie. Jedną dłonią odsunął lufę pistoletu, drugą wbił korkociąg w szyję zbira. Pistolet wypalił, ogłuszając detektywa. Szyba w oknie obsypała się z trzaskiem. Astrit krzyknęła przestraszona. Adamat chwycił zbira i pchnął. Obaj upadli na SouSmitha.

Bokser stęknął głośno. Grubym jak szynka przedramieniem przytrzymał bandziora za głowę. Adamat siedział na oprychu, dopóki ten nie przestał się szarpać. Chwycił go za poły marynarki, zdjął z SouSmitha i zrzucił na podłogę. Pięściarz jęknął i zwinął się z bólu.

– Mogłeś mnie ostrzec. – Dotknięciem zbadał ranę. – Znowu krwawię.

– Mazgaj – skwitował go Adamat.

Upewnił się, że zbir nie żyje, i uniósł wzrok. Astrit spoglądała na niego z korytarza.

– Idź do swojego pokoju – polecił.

Dziewczynka nadal stała, drżąc na całym ciele.

Adamat wstał, zdjął zakrwawioną marynarkę, cisnął na podłogę. Uniósł Astrit w ramionach.

– Przykro mi, że musiałaś na to patrzeć – powiedział. – Wszystko w porządku?

– Tak, tato. – Głos jej się łamał.

– Grzeczna dziewczynka. Musisz być silna, kochanie. Chcę, żebyś poszła z SouSmithem. Musisz się z nim ukryć.

SouSmith ostrożnie zwlókł się z sofy, krzywiąc z bólu.

– Nie chcę być niańką – zaprotestował. – Dokąd idziesz?

– Muszę ostrzec Tamasa.

– Jeszcze czego – burknął SouSmith. – Ja pójdę... – Zachwiał się, chwycił oparcia sofy.

– Weź Astrit – polecił Adamat. Poprowadził dziewczynkę do SouSmitha i włożył jej dłoń w jego. – Ukryj ją, strzeż jej. Proszę. – Odetchnął głęboko. – Już niedługo będziesz wiedział, czy mi się udało. Tylko... trzymaj ją z dala od lorda Vetasa.

SouSmith przez chwilę patrzył na detektywa w milczeniu, a potem krótko skinął głową.

– Dziękuję, przyjacielu.

– Za mało mi płacisz – mruknął SouSmith.

– O twoim poświęceniu jeszcze będą opowiadać legendy – stwierdził Adamat.

Poszedł do swojego gabinetu i otworzył długą, nieoznakowaną skrzynię stojącą w kącie. Wyjął z pochwy lekką szpadę, sprawdził klingę oraz rękojeść. Broń nie była niczym specjalnym – dostał ją w wojsku, zanim został inspektorem. Nie miała ozdób, tylko owalny kosz do osłony dłoni. Była w dobrym stanie. Za sobą usłyszał kroki.

– Nie dotykałem jej od dekady – oznajmił. – Wydaje się, że jest w dobrym stanie.

– No lepiej, żeby była – stwierdził SouSmith.

Adamat się odwrócił.

Pięściarz wyciągnął pistolet, do tego zapasowy ładunek.

– Powodzenia.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym detektyw wyszedł.

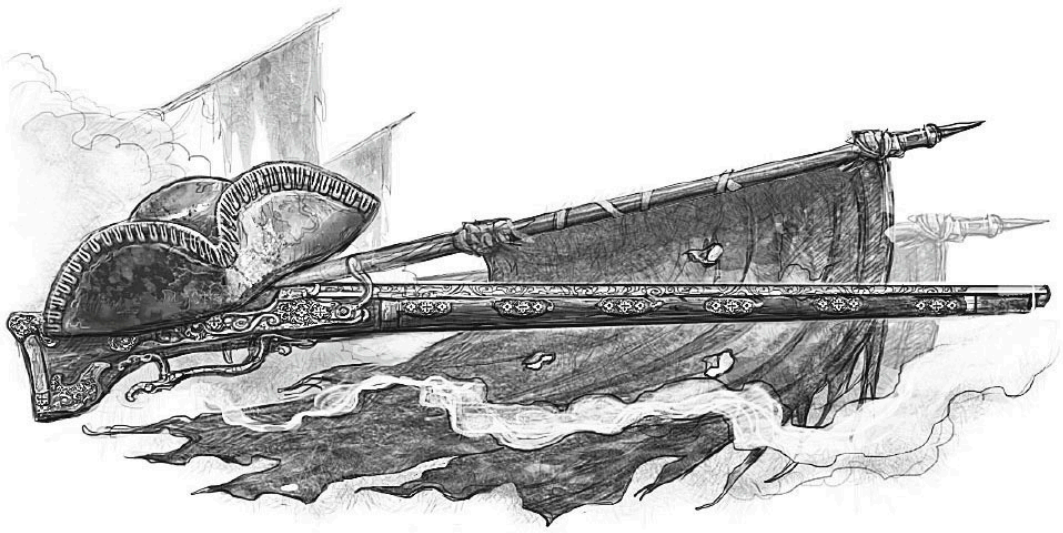

38
ROZDZIAŁ

Jak pan zamierza wyjaśnić to wszystko Kościołowi? – zapytał Olem.

– Łatwo – odparł Tamas z przekonaniem, którego wcale nie miał. – Kościół, podobnie jak my, nie lubi, kiedy się z nim pogrywa. Charlemund zapewni nam wszystko, czego potrzebujemy, aby się go wyparli. Jest pyszny i dumny. Nie wytrzyma śledztwa dłużej niż kilka godzin.

Kiedy zbliżali się do winnicy Charlemunda, powozem mocno trzęsło. Tamas spoglądał na swego ordynansa. Olem był żołnierzem w każdym calu. Wypełniał rozkazy. Nie był jednak głupcem. Chciał mieć pewność, że nie szarżuje ślepo na spotkanie ze śmiercią.

– Będziemy torturować arcybiskupa? – zapytał.

Skończył czyścić i ładować długolufowy pistolet Tamasa. Marszałek był wdzięczny ordynansowi, że ten nie palił w pobliżu prochu. Kapitan wręczył dowódcy przygotowaną broń i zabrał się do swojej.

– Pan naprawdę sądzi, że on nam powie to, co powinniśmy wiedzieć?

– Tak – odparł Tamas, mając nadzieję, że zabrzmiało to dostatecznie przekonująco. Aresztowanie arcybiskupa było szalenie ryzykowne. Jeżeli Adamat tak naprawdę nie miał żadnych dowodów albo jeżeli Kościół postanowi zignorować to, co zebrał detektyw, na otchłań, jeżeli Kościołowi będzie wszystko jedno, to wtedy świat Tamasa mógł mu się z hukiem zwalić na głowę. Nikt, nawet Kez ze swoją armią szpiegów i zabójców, nie był w stanie tak całkowicie zniszczyć komuś życia, jak właśnie Kościół.

Powóz zatrzymał się z szarpnięciem. Tamas wyjrzał przez okno. Minął go jakiś dragon, potem jeszcze jeden. Sabon podszedł do powozu.

– Zajęliśmy kordegardę. Wewnątrz willi nie widać żadnego ruchu.

– Bardzo dobrze – powiedział Tamas, lufą zasalutował Sabonowi. – Wchodzimy.

Powóz potoczył się do przodu, przez bramę willi. Między dwoma żołnierzami Tamasa stała para gwardzistów w dubletach w kościelnych barwach: purpury i złota. Ręce trzymali na głowach, ze złością wpatrując się w mijający ich pojazd.

– Mam nadzieję, że nie pomylił się pan, kiedy zdecydował, że pierwsi wejdziemy, sir – stwierdził Olem.

– Miałbym nie zobaczyć miny Charlemunda, kiedy przedstawisz mu zarzuty? Na cholerną otchłań, w życiu. Wgramolę swoje dupsko po tych schodach od frontu razem z całą resztą.

– Może dojść do walki – zauważył Olem.

Tamas dotknął pistoletu.

– Mam nadzieję.

– A jeśli jego straż ma strzelby powietrzne? – kontynuował adiutant. – Wystarczy nawet jedna.

– Olemie, psujesz mi zabawę. Naprawdę.

Po kilku chwilach powóz zatrzymał się ponownie. Sabon otworzył drzwiczki.

– Dom i okolica są otoczone. Nasi ludzie sprawdzają kaplicę i większość okolicznych budynków. Jego bryczka jest w powozowni. Prawdopodobnie sam siedzi w środku.

Sabon nie wyglądał na zadowolonego.

– I? – zapytał Tamas.

– Nigdzie ani śladu robotników. Mamy ładny dzień, powinni pracować w winnicy i zajmować się końmi. To miejsce jest całkowicie wyludnione...

Pocisk trafił go w lewą skroń. Mag upadł bez jęku, krew chlusnęła do wnętrza powozu.

Rozległy się trzaski strzelb powietrznych, nastąpiły okrzyki zaskoczonych żołnierzy. Jakaś kula przeszyła powóz nad głową Tamasa. Koń zarżał. Marszałek z trudem ruszył w stronę wyjścia.

– Panie, nie. – Olem chwycił go za surdut.

Tamas odepchnął ordynansa i wychylił się za próg pojazdu. Sabon leżał w błocie, martwe oczy nieruchomo spoglądały w górę.

– Niech to cholera – powiedział Tamas. Szeroko otworzył drzwiczki, błyskawicznym spojrzeniem ogarnął willę. Rozciągała się poprzez całe pole widzenia. Stiukowy front był nieskazitelnie biały, zaś wąskie okna oraz gruba cegła w starożytnym stylu dawały obrońcom przewagę. Od strony powozu znajdowało się co najmniej pięćdziesiąt okien. Strzelby powietrzne mogły prowadzić ogień z każdego z nich, albo nawet ze wszystkich naraz. Tamas dostrzegł w jednym lufę strzelby i wypalił w tamtym kierunku, po czym schował się do środka powozu. Wizg kul i brzęk rykoszetów był zbyt wyraźny, by Tamas czuł się pewnie bez osłony. Zaczął przeładowywać.

– Co, do otchłani...?

Olem wyskoczył z powozu. Odwrócił się, złapał Tamasa za kurtkę. Pociągnął go, zarzucił sobie na ramię i pobiegł ku winnicom.

– Do otchłani z tobą! – zawołał marszałek. Jęknął, gdy adiutant cisnął go na ziemię. Olem padł obok, dysząc ciężko, z karabinem w ręku. Byli w jakimś rowie, pod butami Tamasa mlaskało błoto. Noga rwała okropnie,

ból zdusił wszelkie myśli marszałka. Tamas chwycił ładunek prochu, wyjął go z kieszeni i rozdarł, opróżniając zawartość do ust. Żuł wściekle, ignorując smak siarki oraz ból zębów.

– Co to było? – dopytywał się Tamas.

Olem zerknął ponad krawędzią rowu.

– Od kiedy wyszliśmy z powozu, został już trafiony siedem czy osiem razy – oznajmił.

Marszałek nie odpowiedział. Prochowy trans porwał go ze sobą niczym rwąca rzeka. Świat przez chwilę wirował, Tamas zaś kurczowo uchwycił się trawy. Potem jego zmysły się uspokoiły. Usłyszał grzechotanie karabinów, kiedy jego ludzie zaczęli odpowiadać ogniem. Dźwięk ten rozchodził się wraz z zapachem czarnego prochu. Tamas zaciągnął się, pogłębiając prochowy trans, tłumiąc ból nogi.

– Mają więcej niż kilka strzelb powietrznych – stwierdził Olem. Zerknął nad krawędzią rowu, potem uniósł karabin, wycelował i strzelił. – Co najmniej dwadzieścia. Ale pewnie więcej – dodał, opadając z powrotem do rowu. – I mają Stróżów.

– Jesteś pewien?

– Właśnie widziałem w oknie jakiegoś brzydkiego brutala.

Tamas zakończył przeładowywanie pistoletu. Ból nogi zaczynał gasnąć.

– Stróże – powtórzył. – Nienawidzę Stróżów. – Wyjrzał ponad krawędzią rowu.

Front willi wyglądał całkiem normalnie, ale z okien wystawały lufy karabinów. Widział wewnątrz budynku groteskowe sylwetki Stróżów, jak również jaskrawe stroje gwardzistów Charlemunda. Strzelił z pistoletu, spalając pół ładunku prochu, aby pchnąć pocisk dokładnie tam, gdzie chciał. Jeden z karabinów wpadł do wewnątrz.

– Kto im wskazał cel? – warknął Tamas. – Mam jakiegoś szpiega wśród własnych ludzi. Wśród mojej elity!

– Powinniśmy się martwić, czy zabiliśmy ich wystarczająco dużo – stwierdził Olem. – Jest nas mniej niż setka. Jeśli arcybiskup tam w środku

razem ze swoimi gwardzistami ma jeszcze Stróżów, możemy mieć nielichy kłopot.

Nagle do rowu wskoczyła Vlora.

– Musimy się wycofać, sir! Ponosimy ciężkie straty. Straciłam dwóch ze swojego powozu, próbując znaleźć osłonę.

– Do otchłani! – zaklął Tamas. Mieli za mało ludzi, by schwytać Charlemunda. Ale jeżeli teraz się wycofają, w przeciągu godziny już go tutaj nie będzie. Nie mieli szans wrócić tu dość szybko z większą liczbą żołnierzy.

– Przyciśniemy go. Nie może zwiać. Nie wiedzą, czy mamy setkę ludzi, czy tysiąc. Vlora, chcę, żebyś się wydostała. Wracaj do koszar. Albo nie, przedostań się do posiadłości lady Winceslav. To bliżej. Chcę, żeby w przeciągu godziny zjawiły się tutaj dwa tysiące ludzi ze Skrzydeł Adoma.

– Wyślę kogoś, sir.

– Nie, idź sama. – Tamas zacisnął powieki i wciąż widział Sabona z głową roztrzaskaną kulą. Nie mógł dzisiaj utracić jeszcze jednego przyjaciela. Poklepał dziewczynę po ramieniu. – To rozkaz, żołnierzu. Naprzód!

Vlora skoczyła między winorośle. Tamas zaryzykował kolejne spojrzenie na willę.

Jeden z powozów przewrócił się, szarpnięty przez rannego konia. Zwierzę odcięto od dyszla, a za powozem przycupnęło czterech żołnierzy, rozpaczliwie starając się przeładować broń.

– Są w kiepskim miejscu – stwierdził Tamas. – Musimy dać im ogień osłonowy, ściągnąć ich do rowu albo do winnicy.

Ledwie zdołał to powiedzieć, gdy przewrócony powóz przeszyły czary. Tamas odwrócił się oślepiony blaskiem. Pojazd został rozcięty na dwoje, jego części poleciały na boki, jak gdyby rozrzucone ręką jakiegoś giganta. Poszarpani żołnierze poszybowali w powietrze. Jeden upadł nieopodal rowu, w którym leżał Tamas.

Marszałek upuścił pistolet i przeczołgał się ponad krawędzią rowu.

– Sir!

Prochowy trans pulsował mu w żyłach. Tamas prawie nie czuł kamieni brukowych obijających mu kolana. W zaledwie sekundę znalazł się obok żołnierza, chwycił mężczyznę za nogę. Niezbyt daleko, nad jego głową, padł strzał z karabinu. Olem stał nad Tamasem, zgrzytał zębami, wystawiając się jako lepszy cel, aby ściągnąć nieprzyjacielski ogień. Sięgnął w dół, złapał marszałka za kurtkę i wciągnął do rowu razem z żołnierzem.

– Co jest grane, do otchłani, sir?! – irytował się Olem. – Próbujesz dać się zabić, panie?

– Co z nim? – Tamas dopiero teraz zobaczył, że czar rozpłatał żołnierzowi pierś. Trudno było stwierdzić, gdzie kończy się ciało, a zaczyna zakrwawiony mundur. Olem przyłożył ucho do jego ust, potrząsnął głową.

Znowu wybuchły czary. Teraz krzyki dobiegły z winnicy, gdzie ukryło się sporo żołnierzy.

– To na pewno Nikslaus. – Tamas zazgrzytał zębami. Przeładował pistolet i wyjrzał zza żywopłotu. – Gdzie ty jesteś, arogancki skurwysynu?! – Otworzył trzecie oko, wściekłość pomogła mu przemóc zawroty głowy, i przyjrzał się willi. – Tam.

Skupisko jaskrawych, barwnych smug wskazywało, że czarownik skrył się w pokoju nieopodal drzwi frontowych, chował się poniżej okna. Tamas zacisnął zęby. Cegła powstrzymałaby kulę, ale już nie podbity pocisk. Dotknął ładunku prochu. Oparł palec o spust, a wtedy jego spojrzenie przykuł jakiś błysk.

– Lustra – odgadł. – Do otchłani, on używa luster. Jest w pudle czarownika.

– W czym? – zapytał Olem.

– To takie opancerzone pudło. Wsadzasz do środka czarownika, zostawiasz mu dziurkę i zestaw odpowiednich luster, żeby widział, w co celuje, a on może rozdzierać całe armie, nie wystawiając się na trafienie przez prochowego maga. Jest tam gorąco i ciasno, ale można przetrwać bitwę. Charlemund był przygotowany.

– Panie – Olem szarpnął marszałka za kurtkę – przestali strzelać.

Od czasu do czasu słychać były strzały karabinów na proch, ale trzaski strzelb powietrznych całkiem ucichły. Westchnął. Ilu ludzi już stracili?

– Tamasie! – zawołał ktoś z wnętrza willi.

– Panie, on może próbować określić twoją pozycję – powiedział Olem.

– Tamasie! Musimy porozmawiać.

– Chyba o twojej egzekucji – mruknął marszałek.

– Panie – w głosie Olema zabrzmiało ostrzeżenie – ostrożnie. Nie zostało nam dużo ludzi. Możemy chcieć się dowiedzieć, o co mu chodzi.

– Tamasie! – zawołał Charlemund. – Mam Stróżów i czarownika. Rozedrzemy twoich ludzi na strzępy, zanim w ogóle będziecie mieli szansę się wycofać.

Marszałek odetchnął, starając się stłumić wściekłość. Ciało Sabona na brukowanym podjeździe było niczym drwina rzucona Tamasowi prosto w twarz.

– Wysłucham go.

Olem położył dłoń na ramieniu Tamasa, kiedy marszałek próbował się podnieść.

– Proszę mi pozwolić, sir. – Olem odczołgał się z pół tuzina kroków dalej. – Wstrzymać ogień – zawołał. Wstał.

– Gdzie twój pan? – zakrzyknął Charlemund.

– Czego chcesz? – dopytywał się Olem.

Chwila ciszy.

– Porozmawiać. Musimy jakoś osiągnąć porozumienie. Tamasie, spotkam się z tobą pod flagą rozejmu.

– Dlaczego mamy ci ufać? – zapytał Olem.

– Nie dowierzasz mi, chłopcze? – ryknął arcybiskup.

Ordynans uparcie wpatrywał się w tył willi.

– Przysięgam na święte szaty, w mojej willi nic mu się nie stanie.

– Przyjdź tutaj porozmawiać – zawołał Olem.

– Żeby w nagrodę za swe trudy zarobić kulkę? Za dobrze znam Tamasa. Jestem człowiekiem Powroza.

Tamas najchętniej powiesiłby go na tym Powrozie. Dał znak Olemowi. Ten opadł z powrotem na brzuch i przeczołgał się do marszałka.

– To samobójstwo, sir – upierał się. – Nie ufam mu.

– Mamy za mało ludzi, żeby go pojmać – obstawał przy swoim Tamas. – Jak ma Nikslausa, może nas porozrywać na kawałki. Nie damy rady ustrzelić czarownika.

– Co pan może zrobić?

– Posłać po więcej ludzi. Resztę mojej koterii. Jeśli zdołam zająć go rozmową, dopóki nie przybędą Andriya, Vadalslav i Vlora...

– Zanim zjawią się posiłki, miną całe godziny – zauważył Olem.

– Mimo wszystko... – Tamas przyjrzał się willi. Wciąż ani śladu Charlemunda. Obecność Stróżów i Uprzywilejowanego z Kezu przekonała go, że nie popełnił błędu. Charlemund był zdrajcą. Czy będzie próbował jakoś się z tego wyłgać? Czy po prostu potrzebuje Tamasa jako żywej tarczy? Przysięgał na Powróz. Ale jakie to ma znaczenie dla człowieka takiego jak arcybiskup?

– Rozkaż sprowadzić posiłki – polecił Tamas.

Olem pomknął do pobliskiej grupy żołnierzy. Wrócił po kilku chwilach.

– Zrobione.

– Tamasie! – zawołał Charlemund. – Nie będę czekał całego dnia. Strzelamy dalej czy dasz mi się wytłumaczyć? Bądźże rozsądny!

– Rozsądny – splunął Tamas. – Ten sukinsyn mnie zdradził i jeszcze mówi o rozsądku. I co on mi powie? Że starał się zawrzeć jakiś układ z Kezem, żeby ratować Adro?

– Powie cokolwiek, panie – odparł Olem. – Nigdy nie można ufać mężczyźnie, który otacza się pięknymi kobietami. A już najmniej kapłanowi.

– Mądre słowa.

– Pan tam pójdzie, prawda? – odgadł kapitan.

– Tak.

– To i ja też.

Tamas otworzył usta.

– Proszę sobie to wepchnąć w tyłek, sir. Idę z panem. – Olem wstał. Skinął na pobliskiego żołnierza. – Nie daj im stamtąd wyjść – rozkazał. – Nawet gdyby mieli marszałka polnego. Strzelać, aby zabić.

Pałac Kresimira był olbrzymi. Taniel nigdy nie widział równie wielkiego gmachu, ani w Adopeście, ani w Kezie, ani w Fatraście. Stojąc na jednym krańcu, nie byłby w stanie dojrzeć drugiego. W przeciwieństwie do innych budynków Kresimskiej Kurgi kamień, z którego wzniesiono pałac, nie poczerniał od sadzy. Pochodził z wulkanu, jak gdyby góra wypluła ten gmach w jednym gigantycznym kawałku i dała mu potem ostygnąć. Ściany były tak gładkie, że Taniel mógł ujrzeć w nich własne odbicie. Nie potrafił znaleźć najmniejszej szczeliny ani dostrzec śladów narzędzi.

– To kilka budynków razem – wyjaśniał Del, kiedy szukali wejścia. – Dom Kresimira na ziemi. Razem z Predei mieszkał tutaj całe dziesięciolecia.

– Tak. Pamiętam, jak czytałem o tym miejscu. – Bo przesuwał rękoma po gładkim murze. – Ale jak wejdziemy do środka? Czarami?

– Jest wejście – zapewnił go Del.

– Lwy!

Okrzyk ten rozległ się na tyłach ich niewielkiej grupki. Del znowu zaczął dygotać przyciśnięty do muru. Taniel pchnął go do przodu. – Dalej! Biegiem! – ponaglił mnicha.

Zobaczył pierwszego lwa wyłaniającego się z ulicy, którą niedawno opuścili. Bestia była trzykrotnie większa od psa, szczęki wypełnione ostrymi zębiskami umazane miała szkarłatem.

Rzucili się do ucieczki, wypatrując wejścia do budynku.

– Znudziło im się ściganie Julene? – wysapał Taniel do Bo, kiedy biegli.

– Albo je odstraszyła – wydyszał Bo. Ledwie zipał. Taniel chwycił go za ramię i pociągnął za sobą. Po pierwszym lwie pojawiły się następne. Sześć.

– Pole! – zawołał Taniel. – Jeśli masz jakąś sztuczkę na taki wypadek, to jej teraz użyj!

Ka-poel wybiegła naprzód, oddalając się od pozostałych. Zahamowała gwałtownie, wyszarpnęła z torby zestaw lalek. Nie przypominały ludzi jak poprzednie. Miały kształt zwierząt. Jaskiniowych lwów. Chwyciła dwie za nogi i uderzyła nimi o wulkaniczny budynek.

Jedna z bestii zawyła. Poszorowała pazurami po ziemi, łapami sięgnęła do łba. Ka-poel upuściła lalkę i rozgniotła ją butem. Powalony lew eksplodował, bryzgając krwią na boki, jak gdyby zgniotła go niewidzialna ręka.

Ka-poel drugą lalkę schowała do torby.

Lwy jaskiniowe runęły na zmiażdżonego towarzysza. Zęby zaczęły go rozdzierać, błysnęły pazury. Jedna z bestii napchała sobie paszczę mięsem i zaczęła znowu biec, ciągnąc za sobą krwawy ślad. Zbliżała się do Taniela i strażników.

– Poczekaj, to jest za głośne! – krzyknął Taniel.

Zbyt późno. Fesnik już nacisnął spust. Kula musnęła głowę lwa, sprawiając, że zaskoczony zatrzymał się gwałtownie. Odgłos wystrzału odbił się echem wśród budynków, zakłócając ciszę. Nad Fesnikiem uniósł się kłąb dymu. Pozostałe lwy jaskiniowe przerwały jedzenie, podniosły łby. Taniel gwałtownie przełknął ślinę. To tyle w kwestii zaskoczenia.

Wśród szokującej ciszy, jaka nastąpiła po wystrzale, zabrzmiał cichy gwizd. Taniel rozejrzał się, szukając jego źródła.

Rina trzymała przy ustach kościaną piszczałkę. Dźwięk wzmógł się, a potem ucichł, kiedy jej psy nadstawiły uszu.

– Naprzód – powiedziała.

Trzy wielkie psy, spuszczone ze smyczy, wyrwały się w stronę ucztujących lwów jaskiniowych. Potwory nie zauważyły szarżujących mastifów, wracając do rwania ciała jednego ze swoich pobratymców. Jedna z bestii wrzasnęła zaskoczona, kiedy Kresim wpadł na nią z boku. Mastify nie traciły czasu. Natychmiast skakały do gardeł.

Chociaż jaskiniowe lwy miały większe rozmiary, również pazurów, psy uzyskały przewagę dzięki zaskoczeniu. Poradziły sobie z trzema bestiami szybciej, niż Taniel sądził, że to w ogóle możliwe. Ruszyły wspólnie na pozostałe dwa lwy, kiedy na ulicy zjawiło się więcej drapieżników.

– Biegiem! – wrzasnął Taniel.

– Tędy. – Bo już ich wyprzedził i teraz machał jak szalony. Dotarli do niego po kilku chwilach i znaleźli bramę wyciętą w jednolitej ścianie budynku. Trzeba było dwóch mężczyzn, aby otworzyć wrota, poradzić sobie z ciężarem samego kamienia oraz wieków, podczas których brama pozostawała zamknięta.

Gdy do środka gmachu wszedł ostatni członek grupy, pociągnęli drzwi, zamykając je za sobą. Wewnątrz nie było ani zasuwy, ani kłódki.

– Gdzie jest Rina? – zapytał nagle Bo.

Otworzyli bramę. Kobieta stała na ulicy, ściskając w dłoni pistolet. Cała dygotała, patrząc, jak lwy skaczą na jej psy.

– Chodź! – ponaglił ją Taniel.

– Nie zostawię ich! – Jej cichy głos niósł się wyraźnie.

Bo wyskoczył na zewnątrz. Uniósł dłoń w rękawicy, poruszył palcami, jak gdyby stukał w szkło.

Poprzez ulicę przemknął nagły wicher. Rina złapała kapelusz, gdy wiatr chciał porwać go w niebo. Walczące zwierzęta rozdzieliły się, boki miały pokryte krwią. Psy jakimś cudem nadal żyły. Zwierzęta podejrzliwie łypały na czarodzieja. Wiatr omiótł je i popchnął. Psy potykały się, pchane wiatrem, zostawiając za sobą krwawy ślad. Wpadły na Rinę, unosząc ją ze sobą. Bo umknął za wrota. Psy wpadły do środka razem ze swoją panią, a kamienne skrzydła zatrzasnęły się, pogrążając wszystko w ciemności.

Coś grzmotnęło o drzwi. Taniel zaparł się o nie plecami. Pozostali do niego dołączyli. Z zewnątrz dobiegały stłumione ryki lwów jaskiniowych. Ktoś zapalił zapałkę.

Bo leżał na podłodze, na kupie z psami i Riną. Jeden mastif skamlał boleśnie. Bo i Rina stracili przytomność – albo nie żyli, Taniel nie potrafił tego stwierdzić. Przyjrzał się towarzyszom w świetle zapałki. Twarze mieli

spocone, wykrzywione strachem i obsypane... czym? Popiołem? Skąd się wziął? Popatrzył na podłogę. Starożytny popiół pokrywał ją warstwą grubą na stopę. Kiedyś w budynku musiał szaleć pożar, który zniszczył wszystko w środku. Pozostała tylko wypalona skorupa. Taniel wpatrywał się w oblicza towarzyszy. Przebyli długą drogę. Po co? Aby w martwym mieście zostać karmą jaskiniowych lwów?

Poczuł straszliwy ciężar porażki.

– Gdzie jest Del? – zaniepokoił się nagle. Nigdzie nie było widać mnicha. Taniel zawołał. Żadnej odpowiedzi. Ślady stóp w popiele wiodły w stronę centrum budynku. Któryś z lwów znowu uderzył w drzwi. Taniel, wciąż zapierając się o nie plecami, wciągnął szczyptę prochu. Jego oczy wykorzystały każdą iskierkę światła. Znajdowali się w ogromnej, otwartej przestrzeni. Ciemnym wnętrzu, bardziej przypominającym wnętrze kopalni niż budynek. Taniel odetchnął głęboko, starając się zachować spokój.

– To nie wygląda jak pałac – oświadczył.

– Taniel!

Głos zabrzmiał echem wokół nich.

– Del? – upewnił się Taniel.

– Taniel, tutaj! Szybko!

– Bo jest ranny – odpowiedział.

– Nie ma czasu. Musisz przyjść.

Kolejne walnięcie w drzwi. Na zewnątrz zaskowyczał jaskiniowy lew.

– Dacie radę się utrzymać? – zapytał Taniel

– Idź – odpowiedział Fesnik. – Damy radę. Idź strzelać.

– Zostań tutaj – polecił Ka-poel. – Pomóż im przytrzymywać drzwi.

Zignorował jej gwałtowne gesty i odwrócił się, by wbiec na górę. Podłoga była gładka, doskonale równa. Pod popiołem mógł znajdować się marmur. Mag starał się podążać za głosem Dela. Dał wreszcie za wygraną i zaczął wpatrywać się w ślady stóp w popiele. Ponieważ mag znajdował się w prochowym transie, jasne punkciki wysoko na górze dawały wystarczająco dużo światła.

Odnalazł Dela stojącego nieopodal ogromnych schodów, takich jakie budowano w królewskich salach balowych. Nie miały balustrady i z pewnością wykonano je z tego samego kamienia, co ściany pałacu. Stopnie przetrwały ogień, który dawno temu wypatroszył budynek.

– To nie wygląda jak pałac – zauważył Taniel.

Del straszliwie dygotał. Zdawało się, że ledwie stoi. Wyciągnął obie ręce ku magowi, jak gdyby w błagalnym geście.

– To kiedyś było potężne miejsce – wydusił. – Tysiące tysięcy komnat pełnych złota, najlepszego drewna i dywanów. Gdybyś miał światło, ujrzałbyś popioły. Tylko zewnętrzna powłoka wykonana została z najtwardszej skały. To uczynił Kresimir. Wnętrze zbudowali jego poddani, drewnem i narzędziami. Ale wszystko spłonęło. Wszystko przepadło. – Jego głos odbił się w pustej przestrzeni niesamowitym echem.

– Bez okien?

– Chodź. – Del wskazał schody. – Musimy wejść na tyle wysoko, żeby zobaczyć amfiteatr. Przesilenie już bardzo blisko.

Olem pomógł Tamasowi wstać i wyjść z rowu. Marszałek poprawił kurtkę, otrzepał kolana, poprawił pas.

– Moja szpada – zażądał. Pokuśtykali do powozu, gdzie Tamas pochylił się nad ciałem Sabona. – Wybacz mi, przyjacielu. Moja arogancja wciągnęła nas w pułapkę. Teraz do mnie należy wejście w kolejną. Przepraszam cię.

– Panie. – Olem wręczył mu broń oraz wsunął woreczek ładunków prochowych. Wystarczająco dużo, aby zabić całą kompanię.

– Kule? – zapytał Tamas.

Olem poklepał się po kieszeni na piersi munduru.

Tamas przypiął szpadę i odwrócił się w stronę willi. Robił krok po kroku, z jedną dłonią na lasce, a drugą na ramieniu Olema. Niechaj myślą,

że jest słaby. Był, ale powinni sądzić, że czuje się gorzej niż w rzeczywistości. Wraz z każdym krokiem spodziewał się usłyszeć strzelbę powietrzną albo zobaczyć tęczowy rozbłysk czarów. Dotarł do drzwi wejściowych.

– Jeszcze żyjemy – mruknął.

Olem obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

– Jakoś nie czuję się pewniej.

Jedno skrzydło podwójnych wrót otworzyło się szeroko. W progu stał Stróż ze strzelbą powietrzną pod pachą. Olem pomógł Tamasowi wejść po schodach i do środka. Zatrzymali się w drzwiach. Tamas naliczył czterech Stróżów i trzech kościelnych gwardzistów. Celowali w niego ze strzelb powietrznych.

Sień była pozbawiona ozdób. Gdzie nie spojrzeć, bieliły się marmury, pod ścianami ciągnęły się ławy. Na półkolumnie pośrodku pomieszczenia stało marmurowe popiersie Charlemunda, widomy dowód jego nadmiernie wysokiego mniemania o sobie. Minimalizmu przedpokoju nie należało jednak brać za dobrą monetę. Tamas widział stamtąd wnętrza oświetlonych komnat pełne żywych barw i dzieł sztuki, zdobne złotem oraz aksamitem.

– Zostaw drzwi otwarte, tak żeby moi ludzie widzieli, że nic mi nie jest – polecił Tamas najbliższemu Stróżowi. Ten uśmiechnął się szyderczo w odpowiedzi.

Charlemund wszedł do sieni z bocznej izby.

– Brać go – powiedział.

Ktoś zatrzasnął drzwi za Tamasem. Marszałek sięgnął po szpadę, ale jakiś Stróż chwycił go za przegub. Inny walnął Olema w brzuch kolbą strzelby powietrznej. Adiutant stęknął, padając na kolana. Tamas ugiął się, pozbawiony jego wsparcia, ból w nodze rozbłysnął poprzez prochowy trans.

– I to nazywasz dobrą wiarą? – warknął Tamas.

– Nazywam ciebie głupcem – poprawił go Charlemund. – Poza tym nie kłamałem. Pod moją opieką, tutaj, nie spotka cię żadna krzywda. Nie mogę jednak obiecać tego samego, kiedy dotrzesz do Południowej Turni.

– Południowej Turni?

Charlemund jedną dłonią wygładził zmarszczkę z przodu swojego pojedynkowego stroju.

– Owszem.

– O co chodzi z tą Turnią? – wycedził Olem, podnosząc się na kolana.

– Uciszyć tego psa – polecił Charlemund.

Jakiś Stróż walnął kapitana kolbą w twarz. Olem upadł na podłogę, krew popłynęła mu z brwi.

Tamas zacisnął pięści i zdusił w sobie ochotę na podpalenie prochu. Potrzebował, by w tym pomieszczeniu znalazł się Uprzywilejowany Nikslaus.

– Będzie dla ciebie lepiej, jeżeli nic mu się nie stanie.

– Chętnie bym się dowiedział, o co ci chodzi, wasza miłość. – Do pomieszczenia wkroczył Nikslaus, ocierając pot z czoła. Jego kezański mundur był brudny i pomięty od siedzenia w pudle. – Tamas nie pojedzie na żadną turnię. Tylko ze mną, do Kezu.

Charlemund odwrócił się do Uprzywilejowanego.

– Nie ma mowy. Dzisiaj przybędzie Kresimir. Jedyną szansą, by zapobiec całkowitemu zniszczeniu Adro, jest zabranie stąd tej nisko urodzonej świni.

Nikslaus poprawił swoje rękawice Uprzywilejowanego.

– Nie podzielam twoich zabobonów, Wasza Ekscelencjo, ani nie jestem winien posłuszeństwa Kościołowi. Jestem winien posłuszeństwo swojemu królowi, a on życzy sobie głowy Tamasa na pieńku.

– Jeśli nie ułagodzimy Kresimira, to nie zostanie żadne Adro, którym moglibyśmy się dzielić – obstawał przy swoim Charlemund.

Nikslaus zacisnął pięści.

– Nie opuścisz tego kraju beze mnie – powiedział.

– Ani ty beze mnie.

Olem poruszył się na podłodze. Marszałek pochylił się, oparty na lasce, i podał adiutantowi ramię.

– Dasz radę wstać?

Olem miał rozcięty łuk brwiowy. Otarł krew z oczu i ostrożnie pomacał się po skroni.

– Panie, wyślij ich do otchłani.

Tamas wyprostował się i oparł obie dłonie o laskę. Nikslaus odwrócił się w jego stronę, wyczuwając niebezpieczeństwo. Czarodziej zmrużył powieki.

Marszałek poczuł, że Nikslaus otwiera trzecie oko.

– On może używać czarów! – Wyrzucił ręce w powietrze, pracując intensywnie palcami.

Tamas zapalił proch. Olem cisnął w powietrze worek z kulami, marszałek skupił się na nich. Strzępy torby opadły na podłogę. Ciała zwaliły się posadzkę, powietrzne strzelby zagrzechotały na marmurowej posadzce. Przed Nikslausem rozjarzyły się błyski, tam gdzie pociski uderzyły w pospiesznie wzniesioną blokadę.

– Uciekaj! – wrzasnął Nikslaus. Jego palce poruszyły się gorączkowo.

Charlemund patrzył przez chwilę na Tamasa, a potem odwrócił się na pięcie i pobiegł.

– Nie pozwól mu uciec. – Marszałek nie mógł oderwać oczu od Uprzywilejowanego. Jeden błąd i Tamas zginie. Musiał ciągle pilnować, żeby Nikslaus miał cały czas zajęte ręce. Spalał proch w jak najmniejszych porcjach, utrzymywał tuzin wirujących kul w powietrzu. Cisnął nimi w czarodzieja. Palce Nikslausa zatańczyły zwinnie. Trzecim okiem Tamas zobaczył barwne rozbłyski, gdy kule uderzały w osłony czarodzieja. Marszałek podpalił więcej prochu, mocniej pchnął pociski.

Olem dźwignął się chwiejnie. Przebiegł obok Nikslausa z szablą w dłoni, jednak zatrzymał się, gdy do pomieszczenia wpadło pięciu kościelnych gwardzistów. Natychmiast zrozumieli, że Tamas i Nikslaus ścierają się w milczeniu, i zwrócili się w stronę Olema.

Tamas chwycił gałkę laski. W miarę jak siły Nikslausa słabły, coraz bardziej się do niego zbliżał. Uprzywilejowany był już w stanie tylko szybko odbijać pociski, marszałek nie dawał mu czasu na wzniesienie lepszej bariery. Tamas zerknął na Olema. Kapitan powalił jednego

z wrogów, ale mieli nad nim przewagę liczebną. Zepchnęli go w tył, niemal na wysokość Nikslausa.

Tamasowi kończył się proch. Charlemund się oddalał.

Nikslaus otarł nos wierzchem rękawicy, dając Tamasowi chwilę, by garścią kul cisnąć w przeciwników Olema. Pociski trafiły w oczy i usta, kosząc gwardzistów. Kapitan rzucił się naprzód, przeskoczył nad ciałami. Popędził za Charlemundem.

Nikslaus znowu otarł nos.

Tamas uśmiechnął się szeroko.

– Alergia?

Uprzywilejowany cofnął się o krok. Tamas oparł się na lasce i postąpił o krok do przodu. Nikslaus zacisnął zęby. Cofnął się. Czubek laski marszałka stuknął o marmur.

Palce Uprzywilejowanego poderwały się jakby w skurczu. Po czole zaczął płynąć mu pot, bo Tamas posłał ku niemu jeszcze więcej pocisków. Każda kula została odchylona, odbita. Marszałkowi kończył się już proch. Gwałtownie zaczerpnął powietrza, zapach spalonego prochu wspomagał krążenie jego krwi. Trwał w głębokim transie.

Nikslaus machnął dłonią w szaleńczym geście i wydał ochrypły okrzyk.

Tamas wrzasnął i potoczył się po podłodze. Jego skupienie prysło. Wpatrywał się w dwie części swojej laski, potem w Nikslausa. Uprzywilejowany podszedł i stanął nad nim. Ułożył palce tak, jak gdyby zamierzał nimi pstryknąć. Koszulę miał przesiąkniętą potem, włosy w nieładzie. Spojrzał z góry na Tamasa.

– Stary dureń.

– Wygrałeś – powiedział marszałek, zapalając szczyptę prochu.

Nikslaus wrzasnął. Zatoczył się, kurczowo ściskając lewą rękę. Wpadł na kolumnę z popiersiem Charlemunda. Rzeźba spadła na podłogę, roztrzaskała marmurową płytę, zaś czarodziej potknął się o kolumnę i upadł.

Tamas podniósł się na czworaka, ignorując ból nogi. Używając dłuższej części laski, całkiem się podźwignął. Pokuśtykał do Nikslausa. Zapalił

nieco prochu. Uprzywilejowany znowu wrzasnął, gdy jakiś pocisk przeszył mu prawą dłoń, rozrywając tajemne symbole na rękawicy. Czarodziej wpatrywał się w swoje dłonie, jakby chciał porównać dziury po kulach w każdej z nich. Białe rękawice pokrywała krew, zasłaniając pozostałe runy.

– Teraz już wiesz, jak to jest, gdy odbiorą ci moc. – Tamas dobył szpady i ukląkł obok Nikslausa. Ujął jedną z dłoni czarodzieja i zdjął mu rękawicę. Uprzywilejowany zaskomlił.

– Cóż za delikatne palce – ocenił marszałek.

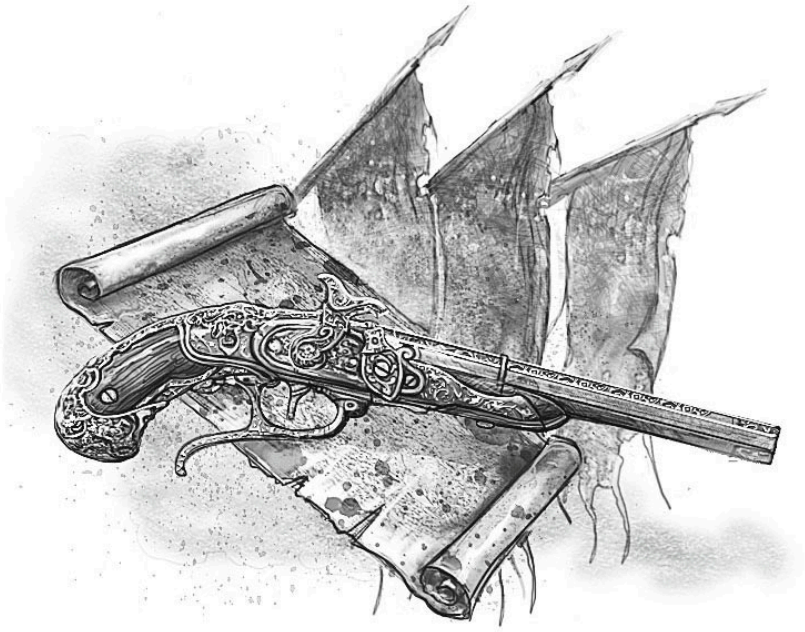

39
ROZDZIAŁ

Adamat ściągnął wodze wynajętego wierzchowca, zatrzymując się przed głównym wejściem do willi. Koń spieniony był od długiego galopu. Detektyw otarł pot z czoła, poklepał zwierzę. Widział sam szczyt willi oraz toczące ku niej powozy.

– Arcybiskup nie przyjmuje gości.

To byli ludzie Tamasa, w granatowych mundurach, o klapach szamerowanych srebrem. Jeden z nich skinął na Adamata karabinem z nasadzonym bagnetem.

– Idź pan stąd – powiedział. – Jutro przeczytasz sobie w gazecie.

Detektyw zatrzymał się tylko na chwilę, by złapać oddech. Jego wierzchowiec wierzgnął.

– Nie wyglądasz pan jak ktoś, kto dużo jeździ – stwierdził żołnierz z krzywym uśmiechem.

– Bo nie jeżdżę – warknął Adamat. – Muszę ostrzec marszałka.

Swoboda i rozluźnienie żołnierza zniknęły bez śladu. Podszedł bliżej, a jego towarzysz zaszedł detektywa z drugiej strony.

– Słuchaj – Adamat pociągnął i zluzował wodze – jestem Adamat, pracuję dla marszałka polnego, prowadzę śledztwo. Tamas właśnie wchodzi w pułapkę.

Żołnierz uważnie przyjrzał się detektywowi.

– To imię obiło mi się o uszy – wycedził. – Jedź pan. Nie rób pan z siebie idioty.

Adamat desperacko pokiwał głową. Nadal ciężko dyszał. Nie jeździł tyle konno od czasów studiów na uniwersytecie.

Brama została otwarta, przekroczył ją spiesznie. Znalazł się na brukowanym podjeździe, szturchnięciem kolan zmusił biedne zwierzę do galopu. Pochylił się ku szyi wierzchowca, zacisnął dłonie na wodzach tak mocno, że aż kostki mu pobielały. Powozy były już pod domem, stały wokół fontanny przed willą.

Strzały spłoszyły konia, który pomylił krok, potknął się i wpadł do rowu. Adamat krzyknął i zleciał z siodła. Uderzywszy o ziemię, potoczył się i zatrzymał na tyczce w winnicy. Podniósł się na czworaka, chwytając za bolący bok.

– Niech szlag to wszystko! – Miał na dłoni krew z jakichś drobnych zadrapań. Otarł ją o surdut, podniósł się, sprawdził pierś i żebra. Żadnych połamanych kości, ale trochę potężnych siniaków. Jego wierzchowiec leżał w rowie, ciężko robił bokami.

– Nie zabierzesz mnie już dalej, prawda?

Strzelanina trwała nadal. Towarzyszyły jej krzyki. Spóźnił się. Ludzie Vetasa już ostrzegli arcybiskupa. Adamat zamknął oczy. Co mógł uczynić? To wszystko jego wina. Nie miał karabinu, tylko pistolet i szpadę. Szybkim

krokiem cofnął się na podjazd, cały czas wpatrując się w budynek. Jakiś powóz się przewrócił, żołnierze rozsypali się po winnicy, strzelając do nieznanych napastników. Od strony willi Adamat nie widział rozbłysków wystrzałów ani prochowego dymu. Do kogo strzelali ludzie Tamasa? Potrząsnął głową. No jasne, przeciwnicy mieli strzelby powietrzne. Niech to szlag.

Adamat biegiem wrócił do winnicy. Ominął dom szerokim łukiem, przedzierając się przez winorośl, a potem za stajnię. Gdzieniegdzie dostrzegał niebieskie kurtki żołnierzy przykucniętych za osłonami. Strzały stawały się coraz rzadsze. To nie wróżyło nic dobrego.

Przeskoczył sąg opałowego drewna i o mało nie wpadł na jednego z żołnierzy Tamasa. Tamten niemal przedziurawił detektywa bagnetem. To był jakiś młodzik, oczy wytrzeszczał ze zdumienia.

– Kto idzie?! – zapytał drżącym głosem.

– Zejdź mi z oczu. – Detektyw stanowczo odsunął lufę karabinu chłopaka. – Jestem Adamat. Czy Tamas obstawił całą posiadłość?

Żołnierz spoglądał nieufnie. Ręce mu się trzęsły. Pewnie pierwszy raz brał udział w wymianie ognia.

Adamat chwycił żołnierza za klapy munduru.

– Słyszysz te strzały? Ci z przodu dostali się w pułapkę. To ma odwrócić uwagę. Charlemund korzysta z tego, by osłonić ucieczkę.

Żołnierz się zawahał.

– Nie dowierzam ci – powiedział powoli.

– Do jasnej otchłani, patrz! – Adamat wskazał w stronę domu.

Żołnierz odwrócił się gwałtownie. Wtedy detektyw mocno uderzył łokciem w szyję chłopaka.

– Przepraszam – powiedział, zabierając mu karabin. Pchnął nieprzytomnego młodzika na sąg drewna i rozejrzał się, starając się wypatrzyć więcej żołnierzy Tamasa. Zauważył jednego nieopodal krawędzi budynku, skradającego się w stronę frontu willi – bardziej skupiał się na swoich towarzyszach biorących udział w wymianie ognia niż na kimś uciekającym tyłem.

– Niech to szlag, będę musiał zrobić wszystko sam. – Pobiegł, na wpół skulony, aż całkiem skrył się za willą. Zatrzymał się za jakąś szopą i nasłuchiwał. Strzelanina ucichła. Wychylił się zza rogu, chcąc się rozejrzeć. Z tyłu willa miała portyk wychodzący na słoneczny ogród z zapewniającymi cień markizami oraz wielkimi parasolami. Na wąskim, żwirowym podjeździe dla służby czekała bryczka jednokonna, ze znajomym smutnym woźnicą na koźle. Adamat nigdzie nie widział strażników. Pobiegł więc do przodu.

– Siemone!

Woźnica uniósł głowę. Twarz młodego kapłana wykrzywiała udręka. Był tak poruszony, że zapomniał, by nie patrzeć Adamatowi w twarz. Ale tylko przez chwilę.

– Co pan tutaj robi? – zapytał, odwracając wzrok. – Niech pan ucieka, zanim arcybiskup pana zobaczy.

– Pomagasz mu w ucieczce – domyślił się Adamat. Złapał konia za uzdę.

– Muszę – odparł kapłan. Mocniej ścisnął lejce.

– Nie, nie musisz. To zły człowiek, zdrajca. Nie pomagaj mu.

– Pan myśli, że ja nie wiem? – zaszlochał Siemone. – Cały czas wiedziałem. Przepraszam, że zapłaciłem tamtym ludziom, aby pana zabili. Proszę mnie zrozumieć, nic nie mogłem poradzić. Nie mogę się od niego uwolnić. Cieszę się, że pan żyje. Teraz niech pan stąd odejdzie, zanim on się zjawi. On pana zabije.

Adamat głęboko zaczerpnął powietrza.

– Siemone. – Postąpił do przodu.

– Niech pan nie robi kolejnego kroku – ostrzegł kapłan.

– Proszę, Siemone. – Detektyw znów postąpił odrobinę do przodu.

– Straż! – zawołał kapłan. – Szybko!

Dwóch mężczyzn w mundurach kościelnej gwardii biegło od strony domu. Na widok Adamata dobyli szpad.

Gwardia Blasku. Doborowi żołnierze w służbie Kościoła. Gotowi oddać życie za arcybiskupów. Jeżeli zbliżą się do Adamata, nie będzie miał szans. Detektyw cofnął się i chwycił karabin, mając nadzieję, że jest naładowany.

Wycelował w pierwszego i nacisnął spust. Dźwięk poniósł się echem po dziedzińcu. Gwardzista zrobił jeszcze kilka kroków i padł na kolana. Jego towarzysz się nie zatrzymał. Adamat odrzucił karabin, wyciągnął pistolet. Kula trafiła żołnierza prosto w pierś. Stęknął, wykrzywił się z frustracją, po czym upadł. Pierwszy gwardzista dźwignął się z trudem, zatoczył niczym pijany. Detektyw wyciągnął szpadę i ruszył przed siebie. Mężczyzna zdołał sparować cztery, pięć sztychów, aż wreszcie Adamat przebił go celnym trafieniem.

– Siemone! Uciekamy!

Adamat odwrócił się. Z willi wybiegł Charlemund, na jednym ramieniu miał pelerynę, w drugiej ręce szpadę w pochwie.

– Jedź! – zawołał Adamat. – Jedź bez niego! Siemone, dasz radę!

Kapłan zacisnął powieki i zaczął się modlić. Detektyw zaklął, odwrócił się w stronę Charlemunda.

– To ty! – warknął arcybiskup. Zatrzymał się i z niesmakiem spojrzał na zabitych gwardzistów.

Adamat wszedł między Charlemunda i powóz. Pistolet stanowił jego jedyną szansę. Arcybiskup był najlepszym szermierzem w Dziewięciu. W starciu posiekałby detektywa na kawałki. Adamat uniósł szpadę i zaklął głośno.

Charlemund szarpnął za sznur przy szyi, cisnął na bok pelerynę. Wyciągnął szpadę, odrzucił pochwę.

Atak nastąpił szybciej, niż Adamat w ogóle zdołałby sobie wyobrazić. Sparował go wyłącznie dzięki instynktowi – dawno temu uważano go za niezłego szermierza, ale te lata już minęły i rzadko kiedy posługiwał się czymś innym niż ostrze schowane w lasce. Odskoczył poza zasięg Charlemunda. Cofał się szybko. Arcybiskup zbliżał się nieubłaganie, tam robił sztych, tutaj ciął, czubek szpady tylko o cale mijał twarz i pierś Adamata.

„Niezły szermierz” to było bardzo niewiele w porównaniu z kimś takim jak Charlemund. Adamat czuł się zupełnie bezradny, niczym dziecko podczas pierwszej lekcji fechtunku. A to przecież nie były drewniane

miecze do ćwiczeń. Kiedy Charlemund skoczył do przodu, utoczył detektywowi krwi. Pierwsze rany były ledwie zadrapaniami i ukłuciami. Jednak odpowiednia ich ilość mogła zabić równie skutecznie, co pchnięcie w samo serce.

Charlemund uderzeniem klingi zbił szpadę Adamata i zrobił krok do przodu. Pchnął dwa razy. Detektyw zatoczył się, aby uniknąć ciosów. Odzyskał równowagę i spróbował podnieść broń. Ramię go nie posłuchało. Zerknął w dół i zobaczył szkarłat pełznący po surducie. Miał jedną ranę tuż nad sercem, drugą na ramieniu. Poczuł, że słabnie, jakby śmierć była już blisko.

Charlemund gwałtownie odwrócił się od Adamata, ledwie parując pchnięcie szabli. Adiutant Tamasa natarł na arcybiskupa wściekle. Charlemund tanecznym krokiem odskoczył na środek żwirowej ścieżki, aby znaleźć pewne oparcie dla stóp. Olem ruszył za nim, nie dając wrogowi ani chwili wytchnienia.

Adamat zatoczył się ku kamieniowi w ogrodzie i usiadł. W dłoni słabo ściskał szpadę, drugą obmacywał rany. Przysunął pięść do gorszego z dwóch cięć. W głowie mu się kręciło, chociaż nie był pewien, czy to z powodu szybkiego upływu krwi, zwykłego podniecenia pojedynkiem, czy może za sprawą zbliżającej się śmierci. Przyglądał się Olemowi podekscytowany. Jeżeli adiutant przegra, Charlemund zabije ich obu i ucieknie.

Olem ewidentnie był lepszym wojownikiem od Adamata. Ruszył na Charlemunda z brawurową śmiałością żołnierza, człowieka, który całe życie poświęcił szpadzie i pistoletowi. Kapitan walczył bardziej żywiołowo od arcybiskupa, nie tak technicznie. Nadrabiał dzikością. Zęby miał zaciśnięte, oczy rozświetlone furią i determinacją. Wolną dłonią starannie balansował w powietrzu. Charlemund cofnął się o kilka kroków, atak wybił go z rytmu, jednak w końcu stanął pewnie i sam zaczął nacierać.

Adamat dostrzegł, że Charlemund studiuje sposób, w jaki porusza się Olem, starannie śledzi każde jego posunięcie. Na twarzy arcybiskupa nie było determinacji, nie tak jak u Olema, malowała się na niej spokojna,

pełna rezerwy czujność studenta podczas ulubionej lekcji. Z minuty na minutę z większą łatwością parował ataki żołnierza, któremu coraz trudniej przychodziło odbijać sztychy przeciwnika. Adamat uświadomił sobie, że to, co robi arcybiskup, to nie styl walki. On się uczył, dostosowując do ruchów przeciwnika. Tak właśnie walczył mistrz. Detektyw jeszcze nigdy czegoś takiego nie oglądał. Olem nieustannie oddawał pole.

Adamatowi wydawało się, że pojedynek trwa już całe godziny, chociaż wiedział, że upłynęło zaledwie kilka chwil. Olem wciąż się cofał. Walczący minęli detektywa, zbliżając się do powozu. Tam ordynans zatrzymał się na kilka sekund, pot perlił mu się na czole, oczy rozpaczliwie poszukiwały jakiejś luki w obronie. Adamat bez trudu czytał z jego twarzy. Coraz bardziej się męczył, martwił. Nie dawał rady Charlemundowi.

Dostrzegł wreszcie szansę i rzucił się do przodu. Jego cięcie zraniło Charlemunda w bok, arcybiskup cofnął się. W drugiej dłoni kapłana pojawił się sztylet, którym dźgnął Olema między żebra. Żołnierz szeroko otworzył oczy, broń wypadła mu z ręki. Charlemund odstąpił, odsunął szpadę, chcąc zadać ostateczny cios.

Adamat odwrócił wzrok. *Już po nas.*

Olem zakaszlał rozbawiony, przyciągając uwagę Adamata. Charlemund znieruchomiał.

– Teraz będziesz się musiał zmierzyć z kimś jeszcze gorszym ode mnie – zapowiedział Olem.

Charlemund szybko zerknął w stronę willi. Zostawił Olema na ziemi i pobiegł do powozu.

– Jedź! – zawołał, skacząc na boczny schodek bryczki.

– Nie jedź! – Adamat krzyknął do Siemone’a.

Kapłan skulił się na koźle z lejcami w dłoni. Ramiona mu drżały.

– Jedź! – rozkazał Charlemund.

Adamat pomyślał, że Siemone potrząśnie lejcami. Kapłan spojrzał w niebo, potem na swoje ręce. Jego wargi poruszały się bezgłośnie.

– Głupiec – skwitował Charlemund. Przeskoczył nad ścianą bryczki i siadł obok Siemone’a.

Kapłan skulił się i odsunął.

– Nie mogę tego zrobić – zajęczał.

Charlemund zepchnął go z kozła. Siemone krzyknął, upadł przy wtórze odgłosu, jakby melon pękł, po czym zastygł nieruchomo.

– Tchórz!

Tego słowa nie wypowiedziano głośno, ale przyciągnęło jednocześnie spojrzenia Adamata i Charlemunda. Tamas stał na schodku na tyłach willi. Ciężko opierał się na strzelbie powietrznej, odwróconej lufą w dół, która teraz zastępowała mu laskę. Wyglądał jak starzec, znużony i sterany. Przód munduru miał przesiąknięty krwią. Detektyw przypomniał sobie kwatery magów w Pałacu Wschodzącego Słońca i plamy na mundurze Tamasa. Wzdrygnął się.

Charlemund się zawahał. Trzymał lejce, a chociaż wyraźnie chciał nimi szarpnąć i uciekać, powstrzymywała go jakaś chorobliwa ciekawość.

Adamat zmusił się, żeby wstać na nogi. Pokuśtykał, krzywiąc się z bólu. Czuł lekkość w głowie. Pociągnął za uzdę.

– Nie – oznajmił.

Charlemund ledwie zwrócił na niego uwagę, nie odrywał wzroku od Tamasa.

– Widzę, że zaopiekowałeś się naszym dobrym diukiem – powiedział Charlemund. Wstał, puścił lejce i zeskoczył z kozła. Wyprostował się. Adamat poczuł szybsze bicie serca.

– On wciąż żyje – odpowiedział Tamas niewzruszony. – Choć pewnie wolałby umrzeć. Mam względem niego mnóstwo planów. – Marszałek powoli zaczął schodzić do ogrodu, opierając się na strzelbie powietrznej. – Względem ciebie również.

Charlemund wyciągnął szpadę.

– Skończył ci się proch – stwierdził. – Inaczej byś nie rozmawiał. Nie lękasz się mojego tytułu ani reperkusji. Wpakowałbyś mi kulę w łeb jeszcze z wnętrza domu. Czyżbyś zużył na Nikslausa wszystkie rezerwy?

Twarz Tamasa była jak wykuta w kamieniu.

– Gdybyś w ogóle miał jakiś honor – mówił Charlemund – to byłbyś już w drodze na Południową Turnię, aby złożyć się w ofierze Kresimirowi, z nadzieją, że tak ocalisz kraj.

– Przejmujące – odparł Tamas – szczególnie z ust zdrajcy.

– A co mi zrobisz, Tamasie? – zapytał Charlemund. – Nawet za swoich najlepszych czasów nie byłeś takim szermierzem jak ja. – Arcybiskup nagle ruszył sprintem, pochyliwszy głowę ku marszałkowi, machając ramionami niczym drapieżny ptak.

Marszałek puścił strzelbę. Dobył szpady, ponownie opierając się na chorej nodze. Adamat odetchnął gwałtownie i skrzywił się odruchowo. Ta noga była potrzaskana. Tamas nie był zdolny do jakichkolwiek manewrów. Za swoich najlepszych czasów prawie dorównywał Charlemundowi. Jednak teraz nie było mowy o pojedynku.

Arcybiskup rzucił się do przodu, wyprowadzając wściekłe pchnięcie. Marszałek sparował, ich ostrza się skrzyżowały, ale Charlemund już znalazł się z tyłu, obracając się, aby zadać śmiertelny cios, zanim przeciwnik zdoła odwrócić się na chorej nodze. Okrzyk zwycięstwa zamarł arcybiskupowi na ustach, gdy uniósł szpadę.

Przy wolnej ręce Tamasa w powietrzu unosił się obłok prochowego dymu. Marszałek otworzył pięść i pozwolił spalonym resztkom opakowania prochowego ładunku upaść na ziemię, tuż obok szczątków szpady Charlemunda. Arcybiskup patrzył na pozbawioną klingi rękojeść. Wykrzywił się z furią, oczy mu gorzały. Odrzucił zniszczoną broń, skoczył ku Tamasowi, który powoli odwrócił się w stronę przeciwnika.

Cisnął rękojeścią, trafił marszałka w czoło, pozostawiając płytkie rozcięcie. Tamas zamrugał i pchnął, oparłszy wolną dłoń na biodrze, w szermierczej pozie. Impet Charlemunda poniósł go tak, iż stal przeszyła go na długość dłoni. Tamas wyciągnął ostrze i przeszył arcybiskupa raz jeszcze, potem jeszcze raz. Kapłan zatoczył się, chwytając za pierś. Krew wsiąkała w jego nieskazitelny strój. Pokuśtykał ku ścieżce, spazmatycznie łapiąc powietrze. Osunął się na żwir.

Adamat gwałtownie przełknął ślinę. Rany Charlemunda nie wyglądały na śmiertelne, było ich jednak kilka. Jeżeli Tamas czegoś nie zrobi, kapłan będzie wykrwawiał się powoli i boleśnie. Tamas jednak nie zrobił nic, by mu pomóc. Po prostu patrzył, jak Charlemund drżącymi rękoma próbuje zatamować upływ krwi. Wytarł swoją szpadę o porzuconą pelerynę arcybiskupa i schował do pochwy.

Rany Adamata były poważne, jednak ocenił, że przeżyje, jeżeli jakoś lepiej je opatrzy. Otrząsnął się z tych myśli i przykucnął obok zwiotczałego ciała Siemone'a. Kapłan skręcił kark, upadając. Jego oczy niewidzącym wzrokiem wpatrywały się w pustkę, usta miał otwarte w krzyku rozpaczy. Adamat zamknął powieki młodzieńca. Wstał i przeszedł na drugą stronę powozu.

Olem i Tamas opierali się na sobie, głowy trzymali blisko, naradzając się. Tamas znowu używał strzelby powietrznej jako laski. Obaj spojrzeli na Adamata.

– Olem mówi, że powstrzymywał pan Charlemunda akurat tak długo, żeby zdołał go dopaść. – Tamas ukłonił mu się powoli. – Proszę przyjąć moje podziękowania.

Adamat oblizał spierzchnięte wargi. Żaden z nich nie patrzył podejrzliwie ani nie miał na ustach oskarżenia. Dlaczego? Przecież to, iż Adamat ostrzegł lorda Vetasa, spowodowało śmierć wielu żołnierzy Tamasa. Musieli się dowiedzieć, dlaczego w ogóle się tutaj znalazł.

– Panie – powiedział Adamat – przykro mi. Jednak moja rodzina...

Tamas powrócił do willi. Stróże i kościelni gwardziści leżeli martwi. Przyjrzał się doskonałym trafieniom – kule w sercach albo głowach. Niezbyt trudne osiągnięcie na małych odległościach, wewnątrz budynku. Marmurowe posadzki były śliskie od pokrywającej je krwi. W kącie sieni

znalazł jakiś parasol, który nadał się na laskę, a strzelbę powietrzną oparł o ścianę.

Nikslaus gdzieś przepadł. Tamas przygryzł wnętrze policzka, walcząc ze wzbierającą frustracją. Zostawił Uprzywilejowanego na ziemi, skręcającego się z bólu. Krwawy ślad prowadził do sąsiedniego pokoju. Tamas nie miał aż tylu ludzi, by jednocześnie zajmować się rannymi i organizować poszukiwania. Zamknął oczy i pokuśtykał krwawym tropem.

Adamat. Co marszałek miał uczynić z inspektorem? Adamat przyznał się, że zdradził Tamasa i Adro, że pracował dla lorda Vetasa i jego pana, lorda Claremonte'a. Ilu jeszcze wrogów miał Tamas? To właśnie Adamat był ostatecznie winien śmierci Sabona. A może to sam marszałek? Z tego, co mówił detektyw, ostrzeżenie dotarło do Charlemunda tuż przed Tamasem. Arcybiskup na zorganizowanie obrony miał ledwie kilka chwil.

Prochowy trans słabł, a ból w nodze przybierał na sile. Tamas miał trochę czasu, zanim działanie prochu całkowicie ustąpi, więc korzystając z laski, wytrzyma jeszcze kilka godzin. Później jednak cierpienie stanie się tak dojmujące, że będzie miał szczęście, jeżeli w ogóle uda mu się stać.

Doktor Petrik będzie wściekły. Tamas, walcząc, mógł nieodwracalnie uszkodzić nogę. Głupota.

Krwawy ślad prowadził przez dwa pokoje, dwa odrębne światy pełne cennych mebli pasujących do królewskiego pałacu. Krzesła z kości słoniowej, wykonane z rogów fatrastańskich zwierząt, do tego skóry i wypchane wielkie koty z najdalszych zakątków dżungli. Prostokątny stół wyciosany z pojedynczego kawałka czystego obsydianu. Szkielet dawno wymarłego jaszczura, wielkiego niczym koń. Dzieła sztuki z każdej części świata, rzeźby powstałe w epoce przed Erą Kresimira.

Krwawy ślad wiódł przez drzwi dla służby, na małe patio. Tamas rozejrzał się ostrożnie. Nie wiedział, czy uporali się już ze wszystkimi Stróżami. Dostrzegł jakiś ruch na zewnątrz, na łące. Otworzyły się drzwi stajni, ze środka wypadła para koni, oddalając się galopem od willi. Wciąż jeszcze wspomagany prochem, Tamas dostrzegł prowizoryczne bandaże na dłoniach Nikslausa, a także muskuły Stróża, który prowadził oba konie.

Nikslaus nerwowo zerknął w stronę willi. Tamas odprowadził ich wzrokiem.

Wszystko na próżno, jeżeli Julene zdołała przyzwać Kresimira.

– Nie mogę znaleźć Nikslausa – zameldował Olem.

Tamas odwrócił się. Kapitan nawet się jeszcze nie zajął własnymi ranami. Wyprostował się na tyle, na ile zdołał, starając się patrzeć Tamasowi w oczy. Źle mu szło ukrywanie bólu, co znaczyło, że bardzo cierpiał. Grzebał po kieszeniach, szukając bibułek oraz tytoniu. Prawie wypadły mu ze śliskich od krwi palców. Tamas wziął je od niego i skręcił Olemowi papierosa, a potem zapalił zapałką wyjętą z kieszeni na piersi kapitana. Żołnierz zaciągnął się i uśmiechnął z wdzięcznością.

– Zajmij się rannymi – polecił mu Tamas. – Nikslaus nie stanowi już zagrożenia. Najpierw zajmij się sobą. Dobrze się sprawiłeś, przyjacielu.

– Ale Nikslaus... – odezwał się Olem.

– Moja zemsta dopełni się, jeśli będzie żył – powiedział marszałek. Uśmiechnął się i wiedział, że w tym uśmiechu jest okrucieństwo. – To wystarczy.

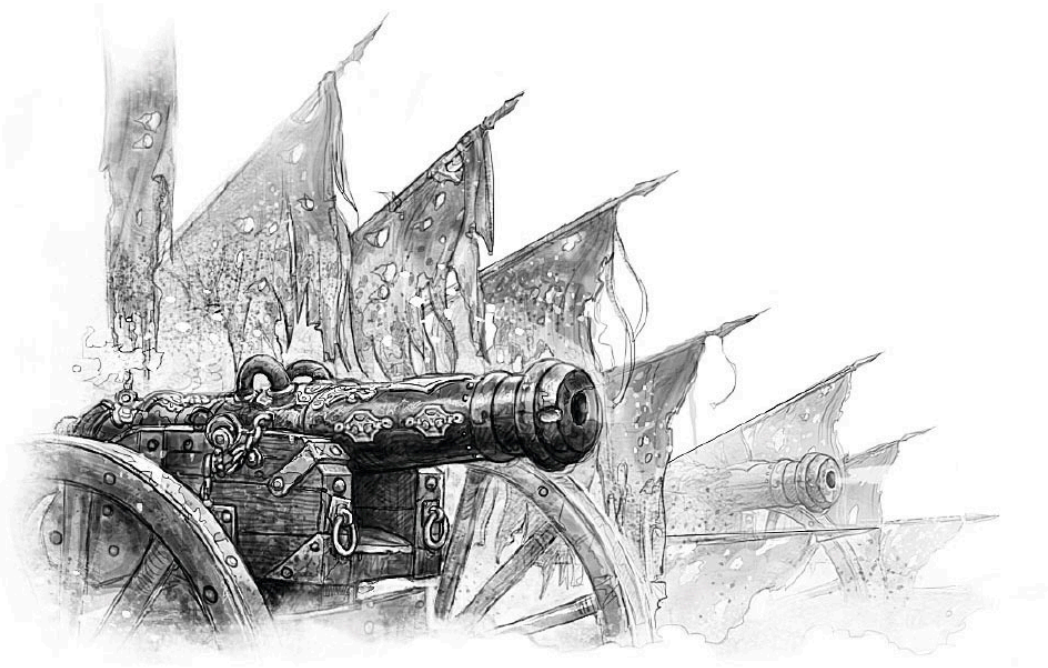

40
ROZDZIAŁ

Dopiero gdy Taniel musiał wspinać się po schodach przez całą wieczność, jak mu się zdawało, uświadomił sobie rozmiary Pałacu Kresimira. Zgodnie z tym, co powiedział Del, gmach stanowił skorupę – pustą skorupę, kiedyś mogącą pomieścić tysiące tysięcy komnat, sal oraz galerii. Pozostało tylko wulkaniczne zewnętrze i ogromne schody. W miarę jak wspinali się coraz wyżej, wokół coraz mniej było popiołu. Kroki zaczęły odbijać się echem, zaś Taniel wkrótce uświadomił sobie, że te punkciki światła na górze to okna. Zmusił się, aby trzymać dobre tempo, wspinał się, nie bacząc na to, czy Del za nim nadąża.

Przez tę dziwną ciszę prochowy mag miał wrażenie, jak gdyby czas stanął w miejscu. Wydawało mu się, że wśród cieni dostrzega blade migotanie barw, niczym jakieś upiorne aury dawno umarłej magii. Co jakiś czas obłoki popiołu unosiły się niczym zbłąkane widma. Kiedy zbliżali się do szczytu, Taniel zobaczył okna, jednak znajdowały się zbyt wysoko nad schodami, aby dało się z nich strzelać, i nie można się też było do nich wspiąć. Szedł dalej. Ściany zbliżyły się do siebie, klatka schodowa zrobiła się węższa. Dotarli na skąpaną w świetle platformę, zaczernioną sadzą i szeroką niczym sala balowa. Taniel ujrzał ponad nią sufit oraz szczeliny okien, wysoko w murach.

Osunął się wzdłuż ściany i poczekał, aż dołączy do niego Del.

– Dokąd teraz? – zapytał zdyszanego mnicha. Potem rzucił się do przodu i chwycił Dela za skraj szaty. – Dokąd?! Powiedziałeś, że będę mógł stąd strzelać. Zaprowadź mnie do jakiegoś cholernego okna! – Potrząsnął zakonnikiem.

– Tam! – jęknął Del. Zamknął oczy i zamachał dłonią ponad ramieniem maga.

Taniel puścił go i się odwrócił. Przeszedł go dreszcz, kiedy na nowo przyjrzał się pomieszczeniu. Zdawało się, że jakaś zimna dłoń dotknęła mu serca.

To była sala tronowa Kresimira. Na jej krańcu znajdowało się podwyższenie, trzynaście stopni wiodących do poczerniałego krzesła. Za tym krzesłem zobaczył światło.

Taniel pospiesznie przebył stopnie. Minął pusty tron i znalazł pozbawione drzwi wejście. Zebrał się na odwagę i przekroczył próg.

Wygląd pomieszczenia, do którego wkroczył, sprawił, że zatrzymał się gwałtownie. Zachłysnął się powietrzem, oniemiał. Sala była dobrze oświetlona i w pełni umeblowana. Na ścianach wisiały gobeliny. W oknach lśniły szyby, a pośrodku stało łoże z baldachimem. Stół zdobiony był złotem, a wokół niego stały obite aksamitem krzesła. Taniel równie dobrze mógł wyjść z jaskini prosto do Pałacu Wschodzącego Słońca. Zachwiał się.

– Zostawiłeś Bo za sobą? – zapytał jakiś kobiecy głos.

Tanielowi zrobiło się słabo. Z balkonu wyszła ku niemu Julene.

– Tak, pani. – Del pojawił się przy ramieniu Taniela.

– A dziewczyna? – zapytała Julene, pogardliwie krzywiąc wargi.

– Pilnuje Bo.

Del stał wyprostowany, z wysoko uniesioną głową. Już się nie trząsł. Nawet nie wyglądał jak Del. Z jego twarzy zniknęła młodość, pojawiły się zmarszczki, a gdy Taniel teraz na niego patrzył, fałszywy mnich wyjął z kieszeni parę rękawic Uprzywilejowanego i wciągnął na dłonie.

Julene podeszła do Taniela. Włożyła mu palec pod brodę i uniosła głowę, aby spojrzeć w oczy. Poczuł się źle, martwy w środku.

– Przeczuwałam, że możesz ścigać mnie aż tutaj – wyznała. – Cieszę się, że zostawiłam za sobą Jekela. Jaki był jego plan? – zapytała Uprzywilejowanego.

– Wystrzelać tylu z nas, aby powstrzymać cię od przyzwania Kresimira.

– To mogłoby zadziałać – przyznała Julene. – Potrzeba mnóstwo magii, aby przeciągnąć Kresimira przez Czeluść dzielącą światy.

Taniel czuł, że się chwieje. Pragnął chwycić za pistolet. Zdołałby przynajmniej zabić fałszywego mnicha. Jednak palce nie chciały go słuchać. Został pokonany. Wiedział o tym.

– Po co? – zapytał. Odetchnął kilka razy, starając się znaleźć słowa.

– Po co przyzywam Kresimira? – Julene przewróciła oczyma.

– Nie. Po co te kłamstwa? Po co ten podstęp? Równie dobrze mógł po prostu poczekać i wszystkich nas pozabijać. Dlaczego teraz mnie nie zabił?

Julene wzruszyła ramionami.

– Jeśli twój ojciec zdoła jakoś przetrwać nadciągający ogień otchłani, zachowam ciebie jako kartę przetargową. Nie jest szczególnie pomysłowy, za to uparty.

Taniel starał się pogodzić z tym, co słyszał.

– Po prostu zabij mnie od razu.

Postukała go w szyję długimi paznokciami.

– Zabiję, jeśli będę musiała.

Uniosła dłoń. Taniel zamknął oczy. Po chwili je otworzył, tylko po to, aby otrzymać policzek. Poczuł, jak paznokcie orają mu skórę.

– To za zrzucenie mnie z urwiska – oświadczyła, odwróciła się i odeszła.

Taniel poruszył palcami. Słuchały go. Dobrze. Co mógł jeszcze zrobić?

– Zamierzasz wezwać Kresimira? – zapytał.

Julene zachichotała.

– Już został wezwany – uświadomiła go. – Zamierzam przyglądać się jego nadejściu. Pójdziesz ze mną? Kiedy ostatnim razem dotknął ziemi, zawalił pół góry. Możesz zechcieć nieco ochrony moich czarów.

Jekel pośpieszył za Julene ze zmartwioną miną. Taniel zamrugał. Położył palce na pistolecie, a potem ruszył za nimi.

Na balkonie było pełno ludzi. Ze dwa tuziny Uprzywilejowanych, może więcej. Wpatrywali się w niebo. Taniel znajdował się teraz na szczycie potężnej budowli – albo tak blisko szczytu, jak tylko się dało. Przepchnął się między Uprzywilejowanymi i wyjrzał poza krawędź. Zdusił histeryczny śmiech, widząc, że przy jeziorze faktycznie znajdował się amfiteatr. Z tego miejsca mógł zajrzeć prosto do jego wnętrza.

– Rozkoszuj się widokiem – wyszeptał mu w ucho czyjś głos.

To był Jekel. Fałszywy mnich nieznacznie uśmiechnął się do Taniela.

– Wzbudzasz we mnie niesmak – powiedział. – Ty i twój rodzaj. Kresimir zniszczy prochowych magów raz na zawsze. Przeklęci Naznaczeni.

Taniel chwycił Jekela za poły szaty. Uprzywilejowany uśmiechnął się szyderczo, uniósł skryte w rękawicach dłonie. Wtedy Taniel zrzucił go z balkonu.

Krzyk Jekela trwał długo, nawet kiedy ten już odbijał się i ślizgał po gigantycznej płaszczyźnie wulkanicznej skały stanowiącej skorupę budynku.

– Co to? – ktoś zapytał.

– Kto to jest, do otchłani? – odezwał się inny Uprzywilejowany.

Taniel wyciągnął pistolet, choć sam nie wiedział po co. Jakie szkody mógłby wyrządzić? Kątem oka dostrzegł jaśniejące światło, wysoko

w chmurach. Poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Mocniej zacisnął dłoń na broni. Przynajmniej kilku ze sobą zabierze.

Jakiś Uprzywilejowany uniósł w stronę Taniela obleczone w rękawice dłonie. Palce mu zadrżały. Taniel przyszykował pistolet, jednak zawahał się, gdy jeden z Uprzywilejowanych nagle – i zdawało się radośnie – rzucił się z balkonu. A za nim kolejny. Trzeci upadł na podłogę, krzycząc, zasłonił rękami oczy. Taniel gwałtownie odwrócił się ku wejściu na balkon.

Stała tam Ka-poel, nogi rozstawiła szeroko, ramiona miała rozpostarte, płomienistoczerwone włosy w dzikim nieładzie. Jej kamizelka z jeleniej skóry była niechlujnie rozpięta pod szyją, a plecak leżał u stóp. Wokół były porozrzucane lalki. Uniosła dłoń.

Lalki, całe tuziny, uniosły się w powietrze. Rozłożyły się przed nią niczym karty przed wróżbitką, unoszone niewidzialnymi rękoma. Julene dostrzegła Ka-poel i krzyknęła.

Wszystko wydarzyło się jednocześnie. Uprzywilejowani sięgnęli po rękawice i wykonali ochronne gesty. Julene zamarła bez ruchu, jak gdyby sparaliżowana paniką, zaś Ka-poel ruszyła do ataku.

Z czubków jej palców pomknął ogień. Trafił kilka lalek, a wtedy Uprzywilejowani buchnęli płomieniami. W dłoni Ka-poel pojawiła się szpila. Szybko i mocno dźgała nią pozostałe lalki. Balkon wypełnił się okrzykami męki.

W stronę Ka-poel pomknął jakiś błysk, kiedy któremuś z Uprzywilejowanych udało się wystrzelić czar. Nawet się nie zachwiała. Światło zatoczyło łuk, trafiając w lalkę. Uprzywilejowany z prawej strony Taniela zmienił się w pył i rozwiał na wietrze.

Mangusta odnalazła więc gniazdo węży, zaś Taniel znalazł się w samym środku jatki. Uniósł pistolet i strzelił do Uprzywilejowanego, na którego Ka-poel dotąd nie zwróciła uwagi. Odrzucił pistolet i sięgnął po drugi. Kiedy ten wypalił, zerwał karabin z ramienia.

Gdy Ka-poel dziesiątkowała Uprzywilejowanych, Julene odzyskała rezon. Zacisnęła pięści i ruszyła w stronę Dynizyjki z twarzą wykrzywioną wściekłością. Taniel poczuł strach, i tym razem bał się nie o siebie. Ka-poel,

obracając swoją niezwykłą magię przeciwko Uprzywilejowanym z Kezu, nie była w stanie poradzić sobie dodatkowo z Julene.

Taniel rzucił się na Julene z bagnetem. Machnęła dłonią i znalazł się w powietrzu. Coś chrupnęło, kiedy uderzył o balustradę balkonu. Ledwie udało mu się czegoś przytrzymać, by nie spaść. Karabin szurnął po posadzce. Wokół Julene leżeli martwi albo umierający Uprzywilejowani, zaś ona kroczyła w stronę Ka-poel.

Gdy umierali Uprzywilejowani, lalki Ka-poel topiły się. Niektóre się połamały, inne upadły, jeszcze inne wciąż dryfowały w powietrzu. Zakręciła ręką i pozostałe lalki się obróciły. Taniel rozpoznał lalkę Julene.

Julene roześmiała się w głos, kiedy Ka-poel masowała powietrze nad jej lalką. Dynizyjka otworzyła usta.

– Taniel, uciekaj!

Głos wydobył się z Julene, chociaż nie należał do niej. To był głos dziewczyny, głos, w którym brzmiała desperacja.

– Wynoś się, już!

Julene zdawała się w ogóle nie zauważać, że cokolwiek mówi. Opuściła głowę i natarła na Ka-poel, płomień migotał na czubkach jej palców, zapalała wszystko, czego dotknęła – zarówno kamień, jak i ciało. Zajęło się kilka lalek Ka-poel, dwóch Uprzywilejowanych zaskowyczało w męce.

Taniel odnalazł karabin w przeciwległym kącie balkonu. Uprzywilejowani zdawali się w ogóle nie zwracać uwagi na prochowego maga. Uciekali przed Ka-poel najdalej jak tylko mogli. Gorączkowo machali dłońmi, aby odeprzeć jej magię.

Nie, nie będzie uciekał. Nie zostawi Ka-poel, by walczyła samotnie.

Chwycił karabin. Sprawdził lufę. Kuli nie było, pewnie wypadła, gdy uderzył o posadzkę. Oczyścił lufę i załadował jedną, a potem drugą czerwoną pręgę. Wepchnął bawełnianą przybitkę, żeby utrzymać pocisk w środku. Jakiś Uprzywilejowany kuśtykał w jego stronę, unosząc dłonie. Taniel wsadził mu bagnet w oko.

Znalazł miejsce przy balustradzie, w którym mógł złożyć się do strzału. Blask, jaki widział już wcześniej, teraz zstępował z niebios. Wyglądał

niczym chmura, opadająca szybko i rosnąca w miarę zbliżania się.

Chmura przemknęła, zniżając się pośrodku amfiteatru. Taniel oblizał wargi. Odchrząknął. Próbował uspokoić dłonie. Szczypta prochu pomogła oczyścić myśli i wyostrzyć wzrok.

Amfiteatr był za daleko, odległy o co najmniej sześć mil. Nie było mowy, aby Taniel tak daleko posłał kulę. Wziął głęboki oddech. Chmura dotknęła ziemi.

Z chmury wyłoniła się stopa. Taniel zwalczył osłabiający czar.

Człowiek z chmury był nieskończenie piękny, Taniel nie widział jeszcze kogoś takiego. Miał cudownie gładką skórę, długie i lśniące złote włosy. Nosił tunikę jak prosto ze sztuki dziejącej się w Erze Kresimira. Wyszedł z obłoku i znieruchomiał. Jego doskonałe oblicze naznaczył grymas.

Taniel zamrugał, gdyż pot zalewał mu oczy. Pociągnął za spust. Huk zadudnił mu echem w uszach. Opuścił karabin. Nie tyle widział, co czuł dwie kule pędzące w stronę Kresimira. Wola prochowego maga utrzymywała je w powietrzu długo po tym, jak już powinny spaść na ziemię. Umysł zaczął Taniela boleć od tego wysiłku, dłonie dygotały. Ból rozkwitł mu w głowie, gdy spalał swoją prochownicę, aby podtrzymywać lot pocisków. Wciąż je niósł w powietrzu.

Jedna z kul trafiła Kresimira w prawe oko. Druga w pierś, przeszywając serce. Taniel patrzył, jak złote ciało wiotczeje i upada.

Poczuł, że z jego piersi wyrywa się szloch. Zabił boga.

Osunął się na podłogę balkonu.

Pełen furii wrzask Julene rozdarł mu mózg. Taniel nie był w stanie zebrać się w sobie na tyle, aby się przejąć czymkolwiek. Przytulił karabin, starając się ułożyć w pozycji embrionalnej. Budynek się walił.

Zabiłem boga.

Ka-poel. Czy jeszcze żyła? Pokuśtykał, odrzucając karabin. Nie widział dziewczyny. Julene też przepadła. Budynek pod nim chwiał się i trzeszczał złowieszczo. Kolejne trzęsienie ziemi? Ze środka Jeziora Turni wystrzelił wielki gejzer. Taniel czuł bijące od niego ciepło. Zmusił się, aby wejść do środka budynku.

Ka-poel leżała pod łukowatym portalem prowadzącym do sali tronowej. Z ust, nosa i kącika oka ciekła jej krew. Uniosła wzrok ku Tanielowi, wciąż trzymając jedną z lalek. Julene, oczywiście, o twarzy wykrzywionej absolutną furią.

Taniel padł na kolana obok Ka-poel.

– Nie mogę zabrać cię w żadne bezpieczne miejsce – powiedział. – Nie ma już żadnych bezpiecznych miejsc. Zabiłem boga.

Ka-poel zamrugała, Taniel przełknął własny szloch.

– Pole?

Uśmiechnęła się, sięgnęła w górę, złapała go za kark i przyciągnęła blisko siebie z większą siłą, niż Taniel by się po niej spodziewał.

Właśnie wtedy poczuł, że budynek pod nimi się zawala.

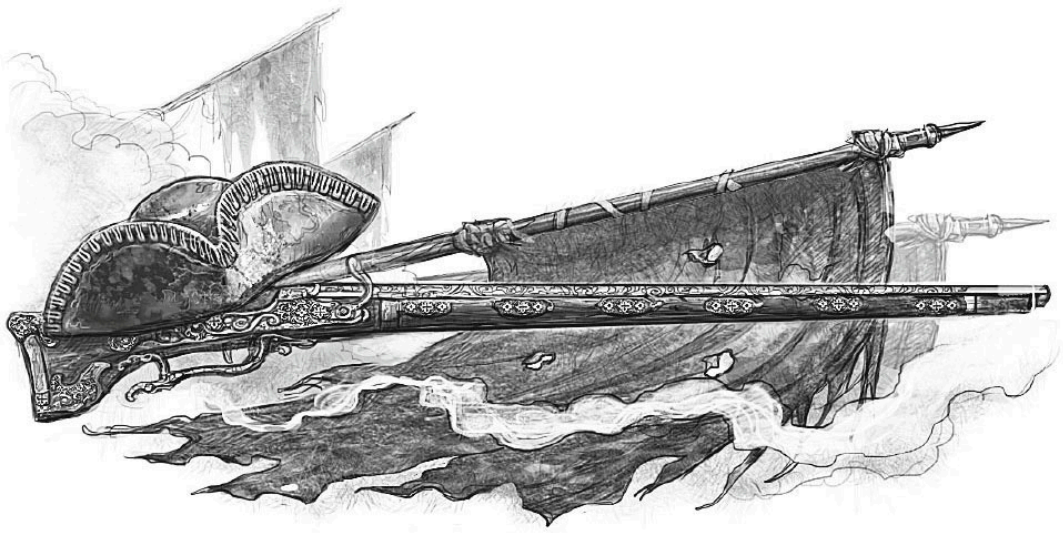

EPILOG

A *niech to otchłań* – pomyślał Olem, kiedy przynieśli już ciała i ułożyli je przed Tamasem.

O brezent namiotu nad ich głowami siekł deszcz, smagał go też wiatr. Po górach niosły się dźwięki, jakby krzyki dobywające się z nieludzkiego gardła, w powietrzu rozchodził się dławiący smród siarki, przez co kapitan miał ochotę spluwać raz po raz.

Poprzez kołyszące się drzewa od czasu do czasu dostrzegał Wielką Południową Turnię. Cała góra, nie, całe południowo-wschodnie niebo jaśniało jak ogarnięte ogniem. Bliskość góry budziła w Olemie niepokój, nieważne, co mówił marszałek polny. Turnia się zmieniała. Jej znajomy

ścięty wierzchołek zapadł się po południowej stronie, ogień wylał się z trzewi góry prosto na równiny Kezu.

Olem miał nadzieję, że pochłonął przy okazji całą cholerną kezańską armię.

Płynęły nad nimi pióropusze popiołu i dymu tak wielkie jak Adro, odbijała się w nich lawa wypływająca z góry. Popiół zasypywał wszystko wokół, przez co nieustannie musieli zasłaniać twarze materiałem. Z południowej krawędzi wystrzeliła chmura ognia i odpłynęła w stronę Kezu. Olem zadrżał. Była wystarczająco duża, aby przykryć całe miasto.

Forteca Wierchowieńca zniknęła, gdy osunął się cały bok góry. Do obozu Tamasa przybyli właśnie ostatni z ewakuowanych. Wyglądało na to, że w porę wyprowadzono z fortecy wszystkich strażników. Przywiedli ze sobą żołnierzy ocalałych z bitwy na szczycie góry, ci zas nieśli wstrząsające wiadomości.

– Oni żyją? – chciał wiedzieć Olem. Odpalił kolejnego papierosa od żaru paleniska i wsadził go w usta, zaciągając się słodkim dymem. Doktor Petrik rzucił mu spojrzenie spode łba. Olem skrzywił się. Powinien bardziej uważać. Mówił przecież o synu marszałka polnego.

Na ziemi leżały trzy ciała, opatulone od stóp do głów dla ochrony przed opadającym popiołem. W jednym z nich z pewnością tliło się jeszcze życie. Był to mężczyzna średniego wzrostu, bardzo wychudzony i wynędzniały. Leżał na noszach, miał związane ręce i nogi. Uniesiono mu ramiona, podpierając rozwidlonym patykiem, tak aby gołe ręce cały czas pozostawały widoczne. Olem domyślił się, że to Uprzywilejowany Borbador. Ostatni z kamaryli królewskiej. Bo się rozglądał. Nie zakneblowano go, jednak milczał.

Pozostałe ciała należały do młodej kobiety i młodego mężczyzny. Żołnierze odwinęli je, tak aby doktor Petrik mógł ich zbadać. Kobieta, a raczej dziewczyna, była dzikuską o piegowatej skórze i włosach, które były chyba płomiennorude, ale prawie całkowicie spłonęły. Olem nie potrafił stwierdzić, czy dziewczyna jeszcze oddycha. Trzeci był Taniel. Kapitan rozpoznał go bez trudu, zresztą tak jak wszyscy żołnierze Tamasa.

Olem zbliżył się do noszy Uprzywilejowanego i przysunął sobie stołek.

– Źle z nimi? – zapytał. Skrzywił się, czując ból w piersi. Rana doznana od Charlemunda była czysta i gładka, dzięki czemu Mihali zdołał ją uleczyć czarami, których Olem nie umiał pojąć. Ale nawet teraz bolało go między żebrami.

Bo zerknął na żołnierza.

– Papierosa? – Olem skręcił nowego papierosa i wetknął między wargi Bo. Zapalił go zapałką. Uprzywilejowany zaciągnął się dymem i rozkasłał. Olem złapał papierosa, potem wetknął z powrotem między wargi czarodzieja. Uprzywilejowany lekko skinął głową.

– Słyszałem, że wydostaliśmy wszystkich naszych – mówił kapitan. – Zanim góra runęła. Całe szczęście.

Bo milczał.

– Mówi się, że tam była jakaś wielka czarodziejka, biła się z tobą i Tanielem. Ocalała?

– Nie wiem – był to ledwie szept spomiędzy warg, zaciśniętych tak, aby nie wypadł z nich papieros.

– Co za szkoda – powiedział Olem. – Jeśli ocalała, miejmy nadzieję, że jest po kezańskiej stronie góry.

Bo nie odpowiedział.

Wtedy do namiotu ktoś wszedł. Ktoś tak wielki i owinięty futrem, że bez trudu można było wziąć go za niedźwiedzia. Na kamizelce nosił emblemat wachmistrza. Olem go nie znał.

Tamas na chwilę odstąpił od syna.

– Jakola – odezwał się marszałek, pozdrawiając wachmistrza.

– Jak tam chłopak? – zapytał Jakola.

– Żyje. Ledwo.

– To jakiś cud – uznał Jakola. – Podziękuj tej dziewczynie i poświęć tyle samo uwagi, co Tanielowi. Jeśli przeżyje, będzie zawdzięczał jej życie. Do otchłani, z tego, co opowiadali moi ludzie, możliwe, że wszyscy zawdzięczamy jej życie.

Tamas spojrzał na młodą dzikuskę.

– Trzyma się życia jeszcze słabiej od Taniela. Nie wiem, co możemy dla niej zrobić.

– No, ruszże się – nalegał Jakola. – Sprowadź więcej chirurgów, a nie tylko tego starego puchacza. – Przeszedł na drugą stronę, do pryczy Tamasa, i usiadł, wyciągając butelkę z kieszeni kamizelki.

Olem zmarszczył brwi. Czy miał zwrócić temu człowiekowi uwagę? Wydawał się trzy razy większy od adiutanta. Sabon był jedyną osobą, której mogło ujść na sucho zwracanie się do marszałka polnego w podobny sposób.

– Jakola – powtórzył z namysłem Olem. – To imię brzmi jakoś znajomo.

Bo lekko pokiwał głową.

– Znam go jako Gavrila.

Olem wyjął papierosa z ust Bo i otrzepał popiół. Potem wetknął go z powrotem.

– Jakola – powtórzył. – Jakola. Jakola, hmmm... Chwila, Jakola z Pensbrook! – Szeroko otworzył oczy. – To on?

– Mnie nie pytaj – stwierdził Bo.

Olem usiadł z powrotem na swoim stołku i zapalił papierosa, starając się sobie przypomnieć plotki krążące wśród żołnierzy. Mówiono, że Jakola był jednym z najbliższych przyjaciół Tamasa. Niektóry twierdzili nawet, że bratem jego zmarłej żony. Olem zastanawiał się, czy było w tych plotkach choć ziarno prawdy. O Jakoli nie było żadnych wieści od czasów poprzedzających służbę Olema.

Tamas pokuśtykał i przykucnął obok pryczy Bo. Nie pozwolił Mihalemu się wyleczyć, dopóki syn nie będzie bezpieczny. Z jego nogą było źle, robiło się coraz gorzej, ale marszałek był uparty.

– Mam do ciebie kilka pytań – zagaił Tamas.

Olem wyjął papierosa z ust Uprzywilejowanego, aby tamten mógł odpowiadać.

– Co się wydarzyło na górze?

Bo spojrzał na marszałka ponuro. Nie wyglądał na kogoś skłonnego do rozmowy.

– Nie zamierzam dokonać twojej egzekucji – zapewnił go Tamas. – W każdym razie jeszcze nie teraz. To tutaj – wskazał na sznury – to tylko na wszelki wypadek. Jak podejrzewam, wciąż jesteś w mocy geas?

Bo przytaknął.

– Czyli ty i Taniel nie znaleźliście sposobu jego zneutralizowania?

– Ostatnich kilka miesięcy spędziliśmy na próbach odparcia Kezu – powiedział Bo. Głos miał ochrypły. – Nie mieliśmy czasu.

– Kiedy geas cię zabije? – spytał Tamas.

– Nie wiem.

Tamas zamyślił się na chwilę.

– Na razie zostaniesz tak jak teraz. Postaramy się, aby było ci wygodnie. Wiem, że przymus, aby mnie zabić, nie jest twoją winą.

Bo wcale nie wyglądał tak, jak gdyby mu ulżyło.

– Co się tam stało? – Tamas zapytał raz jeszcze. – Czy Taniel naprawdę zastrzelił Kresimira?

– Tak.

– Widziałeś, jak to się stało?

– Poczułem, jak to się stało – poprawił go Bo. – Poczuł to każdy Uprzywilejowany w Dziewięciu. To przeszyło mi duszę. Pan tego nie czuł?

Tamas potrząsnął głową.

– Olemie, poczułeś cokolwiek?

– Nie, panie – powiedział Olem. Dmuchnął na papierosa Bo, aby nie zgasł. – Chociaż w sumie mogłem coś poczuć. Od kiedy jem racje podróżne, dostałem niestrawności, tęsknię za potrawami Mihalego.

– Poczułbyś to – zapewnił Bo.

Tamas odchylił się do tyłu, krzywiąc z bólu.

– A zatem Kresimir nie żyje. – Przytrzymał się krawędzi noszy.

Olem zmarszczył brwi

– Gdzie twoja kula, panie?

Bo zaczął się śmiać. To był niski dźwięk, cichy i denerwujący. Powoli narastał.

– Co jest takie śmieszne? – zapytał Olem.

Bo pokręcił głową.

– Nic nie jest śmieszne – stwierdził. – Tamasie, ty nic nie rozumiesz. Nie można zabić boga.

Tamas siedział obok syna. Taniel walczył o życie. Lekarze oznajmili, że zapadł w śpiączkę. Nie wiedzieli, kiedy i czy w ogóle się obudzi.

Marszałek powinien nalegać, aby zjawił się tutaj Mihali. Przełknął z trudem, licząc na to, że Taniel jakoś przetrzyma podróż powrotną do Adopestu. Z pewnością bóg zdoła go uleczyć. Kiedy już zapewni Tanielowi opiekę, wtedy pozwoli Mihalemu zająć się swoją nogą.

– Dobrze się sprawiłeś. – Położył synowi dłoń na czole. Pozostawało chłodne. – Teraz mi nie umieraj. Nie mogę cię utracić. Utraciłem twoją matkę. Ciebie już nie utracę.

Odsunięto połę namiotu. Na tle ognistej góry pojawił się wielki cień.

– Twój chłopak to wojownik jak z otchłani.

Tamas przyjrzał się swojemu szwagrowi, kiedy ten wsunął się do wnętrza namiotu i zasiadł na drugim stołku.

– Teraz mam się do ciebie zwracać Jakola czy Gavril? – zapytał. Przesunął dłonią po twarzy, mając nadzieję, że mężczyzna nie zobaczy ocieranych łez.

– Może być Gavril – stwierdził wachmistrz.

Gavril. Takie imię przyjął, kryjąc się przed łowcami nasłanymi przez Ipille’a po nieudanej próbie zamachu na króla Kezu, dokonanej wspólnie z Tamasem. To wydarzyło się tak dawno. Wydawało się, że całe życie temu. A Gavril od tamtej pory stał się pijakiem. Teraz jednak zdawał się wystarczająco trzeźwy.

– Kiedy opuszczaliśmy fortecę, widzieliśmy armię Kezu kierującą się na zachód – powiedział Gavril. – Do Bramy Wędrowca.

– Zamierzają atakować – stwierdził Tamas. – Pełnymi siłami. Od razu.

– Jeśli Bo mówi prawdę i Kresimir żyje, teraz mają po swojej stronie boga.

– Tak jak my.

– Co?

– Mamy Adoma. Brata Kresimira – wyjaśnił Tamas. – Adom nie jest gwałtownym bogiem. Nie jest Kresimirem, więc jeśli chodzi o wojnę, przewaga jest po stronie Kezu.

Gavril gwałtownie wyprostował nogi i odchylił się do tyłu, a potem, kiedy siedzenie pod nim zaczęło trzeszczeć, szybko wrócił do poprzedniej pozycji.

– Bóg – odetchnął. – Dwóch bogów! I pradawna czarodziejka. Tamasie, to nie jest ten świat, który znamy.

– Teraz nie jestem w stanie rozmyślać o czymkolwiek innym. – Marszałek wskazał swojego syna.

Gavril milczał przez chwilę, a potem się odezwał.

– Piętnaście lat opłakiwałem śmierć siostry – powiedział. – Jeśli dojdzie do najgorszego, nie popełnij mojego błędu. Błagam cię. I nie opłakuj go, zanim nie umrze.

Tamas przytaknął. Bo cóż mógł rzec.

– Słyszałem o Sabonie – odezwał się Gavril. – Przykro mi.

– Wśród moich ludzi byli zdrajcy – stwierdził marszałek.

Wachmistrz się skrzywił.

– Ten detektyw, któremu powierzyłem usunięcie zdrajcy w mojej radzie... – Tamas wziął głęboki oddech. – Udało mu się, ale sam okazał się zdrajcą, jego rodzinę wzięto jako zakładników. Przez to zginął Sabon.

– Co z nim zrobisz?

– Sprawię, aby odpowiedział za swoje zbrodnie.

– Nie pozwól, żeby pożarła cię nienawiść – ostrzegł Gavril.

– Nie nienawiść – odparł Tamas. – Sprawiedliwość.

– W imię sprawiedliwości Kresimir spaliłby całe Adro – stwierdził wachmistrz.

Tamas podniósł się i podszedł do swojego kufra podróżnego. Każdy krok był otchłanią udręki. Otworzył skrzynię i wyciągnął jeden z pary pistoletów Hruscha, które podarował mu Taniel.

– Mój syn leży u wrót śmierci – oznajmił. Powrócił na swoje miejsce, kładąc pistolet na kolanach. – Moja żona od dawna nie żyje i dołączyło do niej wielu moich przyjaciół. – Sprawdził lufę, odciągnął kurek, potem wycelował w ścianę namiotu. – Nie zostało mi nic, co mogłoby pobudzać mnie do współczucia. Spotkam się z siłami Ipille'a przy Bramie Wędrowca. Odepchnę je. Przegnam do Kezu i wypalę sobie drogę do pałacu Ipille'a. – Nacisnął spust, usłyszał kliknięcie kurka. – Zmierzę się z Kresimirem i nauczę go sprawiedliwości.

Koniec tomu pierwszego

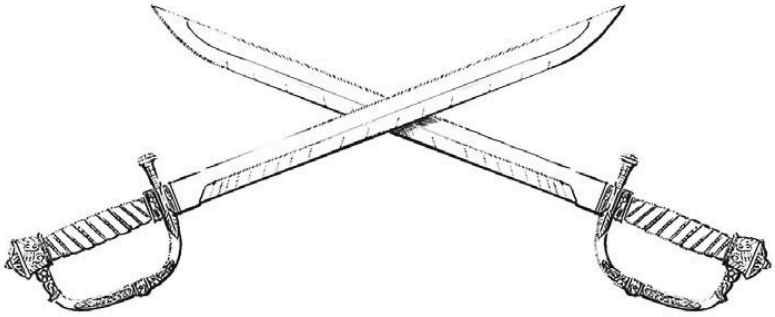

PODZIĘKOWANIA

Jest tak wielu ludzi, bez których ta książka by nie powstała.

Najpierw chcę podziękować mojej wspaniałej agentce, Caitlin Blasdell, za to, że ujrzała potencjał, a potem kopiąc oraz wrzeszcząc, zmusiła mnie do dopracowywania różnych szczegółów, zanim w ogóle zastanowiła się nad tym, czy pokazać tę książkę wydawcy. Następnie dziękuję mojemu wydawcy, Devi Pillai. Jej zaraźliwy entuzjazm podtrzymywał mnie na duchu, kiedy chciało mi się krzyczeć: „Nie... proszę... nie każ mi zmieniać imienia tej postaci!”.

Dziękuję mojej cudownej żonie Michele za godziny, które spędziliśmy, przerzucając się pomysłami. Mnóstwo ciekawych scen i rozwiązań

fabularnych narodziło się w jej głowie.

To, że chcę zarabiać na życie pisaniem, uświadomiłem sobie już w szkole średniej. Specjalne podziękowania przekazuję Marlene Napalo, która pocieszała mnie i czytała moje najwcześniejsze wytwory. To właśnie ona pchnęła mnie w tę całą podróż. William Prueter nauczył mnie miłości do historii, w której swoje korzenie mają nawet najbardziej fantastyczne wytwory wyobraźni. W college'u niezliczeni ludzie zachęcali mnie, przekazywali rady i słowa otuchy. Najbardziej zaś Zina Petersen i Grant „Boz" Boswell.

Dziękuję Nancy Gould, która była mi opiekunem w okresie przejściowym, chociaż nie miała żadnego dowodu na to, że w ogóle jestem cokolwiek wart.

Isaac Stewart, Steve Diamond i Logan Moritz przeczytali wiele wersji tej oraz innych książek. Nie jestem w stanie opisać, jak wspaniałym trzeba być przyjacielem, aby podjąć się czegoś takiego. Ich uwagi były bezcenne. Dziękuję Charisie Player, pierwszej obcej osobie, która przeczytała cokolwiek mojego i uznała, że z powodzeniem mógłbym to opublikować. W trakcie moich trudów związanych z pisaniem oraz publikowaniem pojawiły się dziesiątki osób, które czytały i dzieliły się swoimi uwagami. Dziękuję im wszystkim!

Dziękuję Susan Barnes, Lauren Panepinto i wszystkim pozostałym, ukrytym za kulisami agencji Orbit. Wciąż wprawia mnie w osłupienie, że inni ludzie potrafią ekscytować się pracą przy czymś, co pochodzi z głębin mojej wyobraźni.

Swój najwyższy podziw i szacunek pragnę okazać Brandonowi Sandersonowi, który nauczył mnie o pisaniu więcej niż ktokolwiek inny i pokazał, jak nawigować po tym całym przemyśle.

Oczywiście wszystko blednie wobec wdzięczności, jaką czuję dla mojej matki. To ona sprawiła, że zainteresowałem się sprawami, którymi nie bardzo chciałem, i nigdy nie wątpiła, że pewnego dnia wyjdę na ludzi – i dla mojego ojca, za to, że płacił za te wszystkie rzeczy, do których zachęcała mnie mama.

Wreszcie dziękuję całej rodzinie za to, że dała mi zachętę, abym dążył do realizacji marzeń.

foto @ Kevin Kempton

BRIAN McCLELLAN

Mieszka w Cleveland, Ohio z żoną, dwoma psami i kotem. Posiada też od 6000 do 60 000 pszczół miodnych (w zależności od pory roku). Jest zapalonym graczem gier wideo i czytelnikiem epickich powieści historycznych. Jego hobby to robienie domowych dżemów z jagód i pielęgnacja pszczół w ich przytulnych ulach.

Zachęcony do pisania przez rodziców, zaczął od opowiadań i nowel jako starszy nastolatek. Po pierwszych sukcesach zapisał się na kurs na kreatywnego pisania na Uniwersytecie Brighama Younga. To tu poznał Brandona Sandersona, który wspomógł wysiłki Briana w spisywaniu znaków, jak dziś uważa, bardziej, niż powinien. W listopadzie 2011 *Obietnica krwi* i dwa sequele zostały sprzedane na aukcji w Orbit Books. Od tego momentu zaczęła się międzynarodowa kariera McClellana i rosnące grono zachwyconych czytelników.

Peter V. Brett

Malowany człowiek
Pustynna Włócznia
Wojna w Blasku Dnia
Tron z czaszek

Świat, w którym nocą ludzkość chroni się przed atakiem demonów, a dzień przynosi rozgrywki polityczne i walkę o władzę.

Peter V. Brett jest dziś tak rozpoznawalnym autorem jak George R. R. Martin, Robert Jordan i Terry Brooks. Powieści z cyklu demonicznego podbiły już księgarskie rynki całego świata.

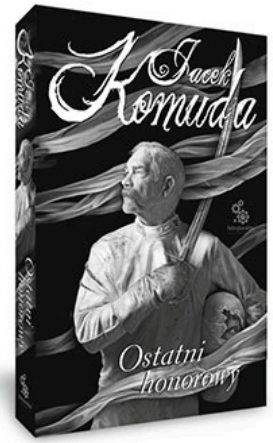

Jacek Komuda

Ostatni honorowy

Polska w latach PRL-u.

Kuba Błażyk to młody szermierz, zawodnik warszawskiej Legii. Młodzik niedobrze znosi dominację sportowców Dynama Moskwa. Kolejny stronniczy werdykt na korzyść rosyjskich „braci" przelewa czarę goryczy. Kuba szarpie się ze sobą. Chce odejść. Wtedy właśnie pojawia się atrakcyjna propozycja udziału w pojedynkach na ostrą broń białą. Walki są aranżowane dla obcokrajowców – bogaczy i arystokratów. Sparingi organizują dla zabawy, zakładów lub chcąc załatwić porachunki między sobą.

Kuba dostaje szansę na pozornie łatwy zarobek. Trzeba tylko przeżyć. Przeciwnicy nie stosują się do sportowych reguł. To walka na śmierć i życie.

COPYRIGHT © 2013 BY Brian McClellan.
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2015
COPYRIGHT © FOR TRANSLATION BY Maciej Nowak – Kreyer, 2015

TYTUŁ ORYGINAŁU The Powder Mage Trilogy: Promise of Blood #1

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-065-2

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

GRAFIKA NA OKŁADCE Gene Mollica and Michael Frost

PROJEKT OKŁADKI black gear Paweł Zaręba

ILUSTRACJE ROZPOCZYNAJĄCE ROZDZIAŁY Dominik Broniek

MAPY Isaac Stewart

REDAKCJA Dominika Repeczko

KOREKTA Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD „Grafficon” Konrad Kućmiński

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA

ZAMÓWIENIA HURTOWE
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka

TRYLOGIA
MAGÓW PROCHOWYCH

TOM 1 • OBIETNICA KRWI

TA KSIĄŻKA JEST PO PROSTU OBŁĘDNA. ZŁAPAŁEM SIĘ NA TYM, ŻE WSZYSTKO MI SIĘ W NIEJ PODOBAŁO. NOWE PODEJŚCIE DO MAGII, SZYBKA AKCJA, CIEKAWY ŚWIAT. ALE UBAW!

BRANDON SANDERSON

Królowie... Wyciskają z ludzi ostatnią
kroplę krwi dla kolejnego klejnotu w koronie.
Kto im powie: „Dość!"? Ja.
Dość marnotrawstwa, chciwości i korupcji.
Dość szlachty pijącej krew ludu.
Ich magia zostanie potępiona.
Ja im pokażę nowy rodzaj czarów:
...proch i kule.
Jutro odzyskam i oddam ludziom ich kraj.
Epoka królów dobiegła końca i to moje dzieło.

Tom drugi trylogii

fabryka słów WYDAWNICTWO

Wyłączny dystrybutor

zobacz trailer

facebook.com/fabryka

Patroni medialni